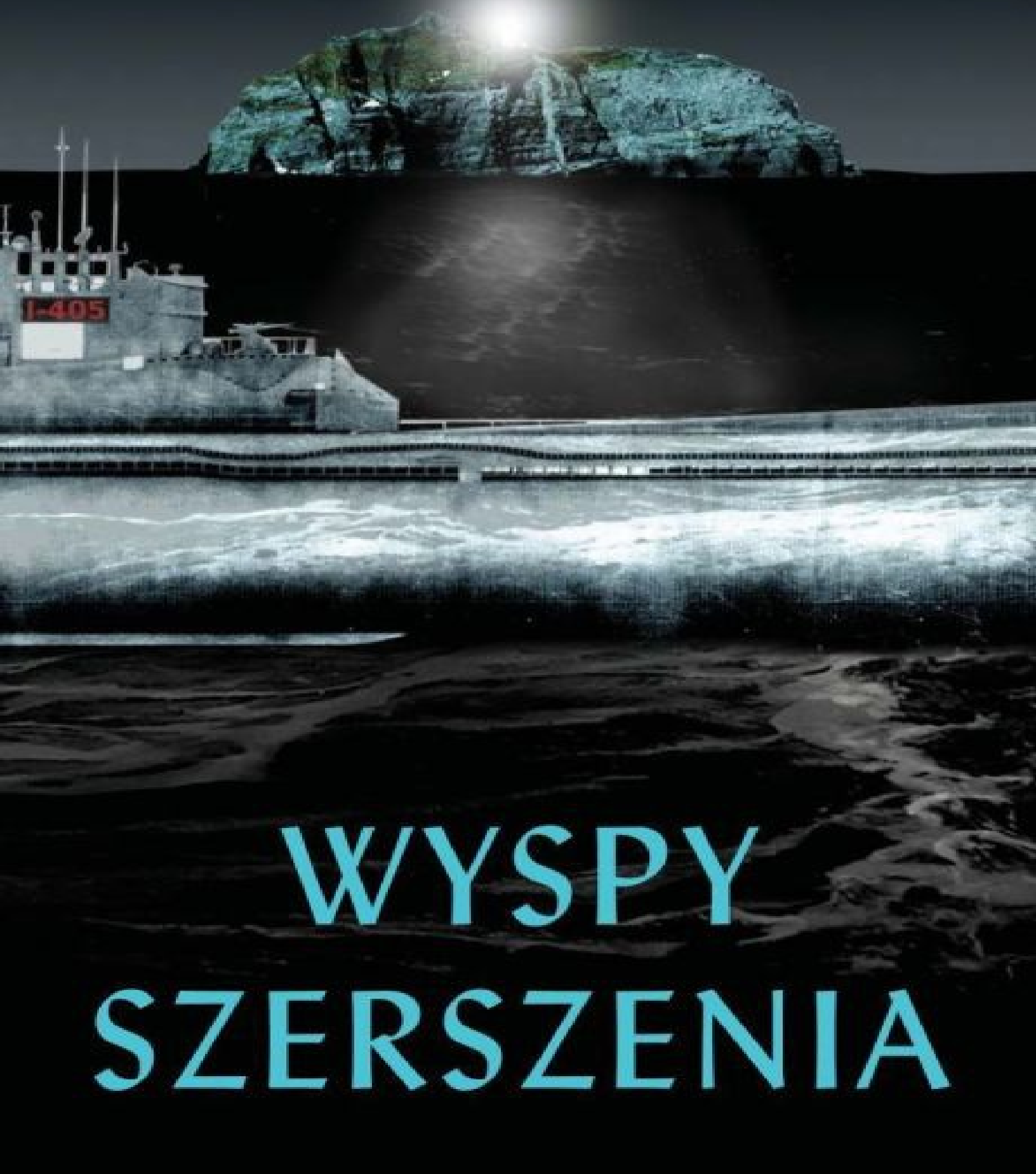


MIROŚŁAW M. BUJKO



WYSPY
SZERSZENIA

MIROŚLAW M. BUJKO

WYSPY SZERSZENIA



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Wydanie I

Warszawa 2008

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[Tekst](#)

Dedykacja

Opowieść dedykuję tym, których niezmiennie fascynuje klasyczna samurajska saga, taka jak Bunt Kobayashiego. Których nie irytuje powolne narastanie dramatu, niespieszna, leniwa reminiscencja; którzy chcą nieponaglani penetrować mroczne zakamarki ludzkiej duszy, poddawanej coraz cięższym próbom. Wreszcie wszystkim tym, którzy – zemocjonowani – oczekują krwawego finału, rozwiązującego wszystko jednym decydującym cięciem miecza.

Cytat

– Moi kochani – rzekłem – nie ma co rozpaczać. Przeszliśmy już dużo gorsze rzeczy. Bądźcie łaskawi czekać spokojnie; przekonajmy się, kim jest dowódca i załoga tego okrętu...

– Ja już wiem dokładnie – przerwał Ned Land. – To są łajdacy...

– No dobrze! Ale z jakiego kraju?

– Z kraju łajdaków!

Jules Verne, *20 000 mil podmorskiej żeglugi*

To nie sztuka wyrwać broń przeciwnikowi. Co z tego, że przechwycisz miecz, skoro nie będziesz wiedział, jak go użyć.

Munenori Yagyu, *Heiho Kadensho*

Morze Wschodnie 131° 51' 22" długości wschodniej, 37° 14' 18" szerokości północnej, wiosna 1604

Taki jeden ciekawski lew morski wychylił ładny, wilgotny łeppek nad wodę i zdziwił się, słysząc nieznane odgłosy. Od pewnego czasu czuł się współwłaścicielem tego miejsca, czyli głównego archipelagu i około trzydziestu niewielkich, ale malowniczo porozrzucanych skał, które go otaczały. Miał stąd znakomity widok na dwie główne wyspy, wschodnią i zachodnią. Dzielili je szeroka nie więcej niż na dwieście metrów cieśnina, w którą lubił się zapuszczać w pogoni za zdobyczą. Skały nosiły wprawdzie wymyślne koreańskie nazwy, o których jednak niczego nie mógł wiedzieć, nazywał je więc po swojemu w nieskomplikowanym, ale pełnym poezji języku lwów morskich. Ta, którą koreańscy rybacy zwali Generałem (*Janggun Bawi*), dla niego była Sutkiem. Objęci muskularnymi skalistymi ramionami Trzej Bracia (*Samhyeong Bawi*) kojarzyli mu się w sposób oczywisty z Zębem Rekina, który utkwiał na zawsze w tłustym karku jednego z jego starszych kuzynów. Jednak trzepoczącą rozpostartymi kamiennymi skrzydłami Mewę (*Galman-gi Bawi*) nazwał instynktownie Czymś-co-lata, a Focze Skały (*Mulgae Bawi*) – Kamieniem Dalszej Rodziny, wykazując podziwu godną wrażliwość oraz umiejętność kojarzenia i obserwacji.

On sam nazywany był przez kuzynów i rodzinę Bączkiem, nie z racji postury – bo przewyższał wagą i siłą większość rówieśników – ale metody, którą z powodzeniem stosował podczas polowania. Początkowo robił to dla zabawy, a może z nadmiaru rozpierającej go energii, chęci życia i ciekawości świata. Potem, gdy zauważył, że szybki obrót wokół własnej osi tuż przed uderzeniem zwiększa celność i niezawodność ataku, korzystał ze swego odkrycia konsekwentnie i z wielkim powodzeniem. A był groźnym łowcą. Trzeba sobie wyobrazić ćwierć tony muskularnego ciała atakującego

z szybkością kilkunastu węzłów, ciała zakończonego sympatycznym, ale uzbrojonym w ostre zęby pyskiem, przypominającym głowicę pocisku. Był przy tym w wodzie niewiarygodnie zwinny i zwrotny, co w połączeniu z możliwością nurkowania na głębokość stu metrów i zdolnością wytrzymania całego kwadransa w zanurzeniu czyniło z niego istotę świetnie wyposażoną do tego, by wieść niezagrożoną egzystencję w świecie, którym go obdarowano. Nie miał wielu naturalnych wrogów. Na tej szerokości geograficznej nie musiał się obawiać rekinów, a pojawiające się tu sporadycznie wielkie orki mijały go obojętnie, respektując jego wzrost i wagę. Czteroletnie życie minęło mu gładko na zabawie, polowaniu i pełnej sennej czujności kontemplacji. Ostatni rok, od czasu gdy porzucił rodzinne bekowisko¹, spędził właśnie tu, po wschodniej stronie archipelagu, rozkoszując się poczuciem własności i samotnością, mimo że jego gatunek preferował życie stadne. Zachodnią część okupował tłum krewniaków spędzających czas na nieprzerwanym rozgardiaszu, pełnej intryg i zawiści krzątaninie oraz poszukiwaniu pożywienia i atrakcyjnego partnera.

Jednak ta wiosna była inna. Nie wystarczało mu, że na jego część archipelagu nikt niepowołany nie odważył się wejść ani wpłynąć. Nie wystarczało mu, że miał pod dostatkiem ryb, wody, powietrza, nagranych od słońca płaskich skałek do wylegiwania oraz spokoju, przerywanego jedynie wrzaskiem ptactwa i tymi rzadkimi momentami, gdy musiał przepędzać intruzów nieumiejących uszanować jego samotności.

Ta wiosna była inna, a przyczyna tkwiła gdzieś w jego mózgu i ciele. Coś zbliżonego do impulsów emitowanych przez elektrycznego węgorza uderzało w niego niepokojącymi falami, sprawiając, że podczas jasnych księżycowych nocy przewalał się niespokojnie z boku na bok i wypatrywał na niebie i na powierzchni roziskrzanej wody czegoś nieokreślonego, ale jakże pożądanego. Pewnie także to coś kazało mu za dnia czujnie patrolować puste jak dotąd zatoczki. Sam nie bardzo wiedział, czego wypatruje, tak pilnie wysuwając łepkę nad powierzchnię i uważnie lustrując kamieniste plaże. Nie wiedział także, co każe mu ignorować

połyskliwe ławice ryb, choć w jego zazwyczaj pełnym żołądku zawsze znajdowało się miejsce na nową porcję świeżego mięsa. Podczas każdego patrolu z pedanterią zastanawiającą u kogoś tak młodego i niefrasobliwego opływał wszystkie zakamarki i zatoczki. Nie darował nawet podwodnym grotom i jaskiniom, choć tam nawet jego oczy, nawykłe do głębinowego mroku, niewiele mogły dostrzec.

Tak było aż do dzisiejszego poranka, bo nagle, gdy znalazł się na trawersie południowego zbocza Trzech Braci, z wrażenia zacisnął szczelnie powieki, a potem ostrożnie i delikatnie otworzył oczy, jakby bojąc się, by zarejestrowany przed momentem obraz nie zniknął. Nie. To jednak nie było przywidzenie. Na skalnej półeczce położonej tak nisko, że można było wpłynąć na nią wraz z łagodną, unoszącą ciało falą, a na tyle wysoko, by nie obryzgiwały je te bardziej kapryśne, zobaczył powód swojego niepokoju w całej okazałości. To było fantastyczne i tak nieoczekiwane wyjaśnienie jego nastrojów i oczekiwań, że z wrażenia na chwilę zanurzył łąpek, jakby chciał go ochłodzić. Po czym, wynurzywszy nad powierzchnię tylko nos ozdobiony parą kawalerskich wąsików i oczy, chłonał widok, niczym koneser, który po raz pierwszy znalazł się na dawno oczekiwanej wystawie. A było na co popatrzeć. Wyżej, na ogólnodostępnej plaży, kłębiło się stado jego krewniaków. Nie musiał się im nawet dłużej przypatrywać, by ich rozpoznać. Pełni pretensji i dąsów dalsi i jeszcze dalsi kuzyni, dla których rzeczą najważniejszą jest zdobycie akceptacji najbliższego otoczenia i zjednanie sobie terytorialnych sprzymierzeńców, pozwalających trwać w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Wiadomo bowiem, że wszyscy ciągle walczą. Nie dlatego że ich byt jest zagrożony, ale dlatego że chcą zapewnić sobie jak najlepsze pozycje na przyszłość. To dlatego ulokował się na południowo-wschodniej części archipelagu i przeganiał systematycznie wszelkich naruszających jego decyzję intruzów. Bączek był zdeklarowanym przeciwnikiem przebywania w tłumie. Był samotnikiem, co miało swoje dobre i złe strony. Wypracował techniki obrony i egzystencji, ale nie reagował na bodźce zrozumiałe jedynie dla kogoś, kto żyje w gromadzie

i ceni to sobie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Szarooka (tak ją od razu nazwał) ma wielu adoratorów. Choć wybrała trudno dostępną od strony lądu półeczkę, zerkali na nią z dołu i z boków, sapiąc wyzywająco i tocząc przekrwionymi oczami. Także w wodzie odbywał się specjalnie dla niej popis tężyzny i sprawności. Chołostiaki² prześcigały się w najbardziej nieprawdopodobnych wyczynach, by zdobyć choć cień jej zainteresowania. Nigdy przedtem nie brał udziału w zalotach, ale instynktownie wyczuwał, co może jej zaimponować. Przez chwilę obserwował konkurujących zalotników. Robili co mogli. Napinając mięśnie i wykorzystując siłę płetw, wyskakiwali nad powierzchnię, by opaść w fontannach niczym delfiny. Kilku wystawiało w jej kierunku schwymane w pyszczki ryby. Wiedział, że wobec natłoku i sprawności zalotników nie zdoła przyciągnąć jej uwagi cyrkowymi sztuczkami. Postawił więc wszystko na jedną kartę. Uważnie, ale ukradkiem, jak przebrany za żebraka Odyseusz, przyjrzał się zalotnikom i po chwili namysłu wytypował największego osiłka. Był to rosły okaz. Na pierwszy rzut oka pięciolatek, któremu nie powiodły się konkury w poprzednim sezonie i teraz sprawiał wrażenie gotowego na wszystko. To bardzo dobrze – ocenił chytrze Bączek. – Kto chce zrobić coś za wszelką cenę, zwykle pierwszy popełnia błędy. Jak powiedzieliśmy, Bączek nie zamierzał stawać na głowie ani ofiarować ryb. Czując, że nie znajdzie lepszej okazji, postanowił zagrać *va banque*. Poczekał na wyższą falę i na jej grzbiecie niczym wytrawny surfer elegancko i bezczelnie wpłynął na skalny balkon swej wybranki. Gdy ulokował się u jej boku, godnie i wyzywająco spojrział na tłum kłębiący się w świętym oburzeniu u jego stóp. Nie zwracał nawet uwagi na to, że Szarooka – oburzona, ale i zachwycona jego bezceremonialnością – gotuje się najwyraźniej do tego, żeby go ugryźć. Patrzył uważnie na tego, którego wytypował. Nie musiał czekać długo. Osilek najwyraźniej rzucał mu wyzwanie. Ponieważ przyparta do skały Szarooka, kręcąc się i sycząc, okazywała coraz wyraźniej zniecierpliwienie i złość, ukarał ją bez namysłu (uważając się za jej pana i władcę), boleśnie szczypiąc zębami w ponętny kark. Zrobiwszy, co

należało, zostawił usiłującą się dąsać, ale i pełną podziwu dla jego władczych manier brankę i jednym susem skoczył na tego, który go tak nieopatrnie wyzwał. Już samo zwałenie się z nieba ćwierćtonowego cielska było ogłuszające, ale osiłek usiłował walczyć. Nie zdało się to na nic. Wprawnie chwycony zębami za fałdy skóry na bezbronny podgardlu, bezlitośnie wtłoczony pod wodę i wytargany jak urwis, którego chwyci za ucho policjant, szybko dał płaczliwy sygnał, że ma dość, i wspaniałomyślnie wypuszczony z uścisku zrejterował, nie odwracając głowy, by nie prowokować zwycięzcy do kolejnych upokorzeń. Na ringu kawalerskich walk obowiązywał kodeks honorowy. Gdy zwyciężony kapitulował, zwycięzca zwykle nie posuwał się dalej, kontentując się przewagą punktową.

W stadzie zmrożonym demonstracją bezwzględnej siły i determinacji zapanowała cisza, ale po chwili zalotnicy, jakby poruszeni wspólną decyzją, odpłynęli w różne strony w poszukiwaniu okazji może mniej podniecających, ale rokujących większe szanse wyjścia z twarzą.

Bączek nawet nie zadał sobie trudu, by wracać na ląd. Spojrzał władczo na przyszłą matkę swojego potomstwa, a Szarooka potulnie zsunęła się z wygrzanej słońcem skały i po chwili znalazła się u boku swego nowego towarzysza, muskając go zalotnie pyszczkiem i dotykając ciałem. Bączek przyjął to jak coś zupełnie naturalnego i rezygnując z sułtańskiej pozy, oddał te gesty serdecznie i przyjaźnie. Płynęli obok siebie w najlepszym porozumieniu. Wiódł ją w stronę swych niedalekich włości, mając nadzieję, że znajdą jej uznanie i akceptację. Gdy mijali najbliższy załom skalny, o który rozbijały się grzbiety pienistych fal nadciągających od strony pełnego morza, i właśnie wychylali nozdrza, by zaczerpnąć powietrza, doszły ich odgłosy dotąd na archipelagu niesłyszane. Bączek błyskawicznie zastawił ciałem swoją partnerkę i nakazał, by za jego przykładem nie wychylała więcej niż czubek nosa z załomu, za którym przezornie się skryli. Nie rozumieli głosów, ale ton i postawa ludzi stojących we dwu kołyszących się naprzeciw siebie łodziach ze zwiniętymi żaglami pozwalały

im odczytać scenariusz obserwowanej sceny. Łodzie były duże. Na każdej około tuzina ludzi w wyzywających pozach, balansując na przygiętych kolanach (bo wysoka, choć łagodna fala dźwigała łodzie na dobre dwa metry w górę i płynnie opuszczała w dół), o ciałach żylastych i opalonych, włosach skręconych w niedbałe węzły, owiązanych chustami lub przykrytych stożkowymi kapeluszami, wygrażało sobie pięściami i bronią. Nie była to może broń w pełnym tego słowa znaczeniu, ale maczugi do bicia fok mogły z powodzeniem posłużyć także do zabicia człowieka. Kilku zarówno z jednej, jak i drugiej łodzi wymachiwało rybackimi ościeniami i długimi nożami. Jeden miał nawet olbrzymi łuk, z którego naciągnięciem i wycelowaniem na chwiejnym, wędrującym w górę i w dół pokładzie były jednak spore kłopoty. Dla pary lwów dźwięki wydawane przez ludzi nie brzmiały melodyjnie. Sami ludzie też ledwo się rozumieli – obie załogi posługiwały się bowiem dwoma różnymi językami i tylko kilku żeglarzy jako tako rozumiało, co krzyczą na kołyszącej się naprzeciw jednostce. Na tej, która znalazła się bliżej Bączka i Szarookiej, kudłaty drab o karykaturalnie wysuniętej dolnej szczęce i długich, małpich ramionach ryczał w pięknym gardłowym dialekcie kyongsang, najpospolitszym dla nadmorskich regionów Ulsan³:

– Już was tu nie ma! To nasze łowisko i nasze wyspy! – Żeby utwierdzić się w swoich racjach, spoglądał na rozgorączkowane twarze kompanów. Ci, potrząsając bronią i pięściami, chóralnie dokładali nieskładne i wrzaskliwe kadencje:

– Nasze! Jazda stąd, wyspiarskie gnojki!

Odpowiednik kudłatego prowodyra na drugim pokładzie nie mógł poszczycić się ani tak imponującym wzrostem, ani równie sprawnym narządem głosu. Nie uczono go ryczeć bez potrzeby tylko po to, by dodawać sobie odwagi. Tej mu nie brakowało, toteż zachowując stoicki spokój, z obraźliwym uśmieszkiem bacznie obserwował koreańską łódź i zastanawiał się nad odpowiedzią. Wysłano go tu nie po to, żeby ryczał i wymachiwał bronią, tylko po to, żeby prowokował. W końcu upewniwszy

się, że jego ludzie przebrani za rybaków i poławiaczy fok są gotowi i znajdują się na wyznaczonych stanowiskach, wysyczał jadowicie w twardej, ale zrozumiałej dla Szympana koreańszczyźnie:

– A co, koreańskie matkojeby. Nie możecie srać do swojej łódki? Potrzebny wam stały ląd? – I nie dając przeciwnikowi czasu na przemyślenie bezmiaru obrazy, rozwijał dalej piękną sekwencję: – Zawracajcie te swoje brudne i cieknące skorupy, jeśli w ogóle potraficie nimi kierować, i jedźcie kopulować z waszymi matkami.

Tego Koreańczyk nie był w stanie przełknąć, a oburzenie odebrało mu głos. Mógł tylko, komicznie poruszając końską zuchwą, wskazać cel swojemu łucznikowi. Ten drżącymi palcami wypuścił strzałę, która utkwiała w maszcie wrogiej jednostki, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Nareszcie – triumfował w duchu ten spokojny. – Jakże nieopanowani i gwałtowni są ci Koreańczycy. – On też dał dyskretny znak, a jego ludzie błyskawicznie sięgnęli po ukryte łuki i sprawnie zabili Szympana i kilku jego ludzi. Reszta koreańskiej załogi, przerażona rozwojem wydarzeń, zamarła w oczekiwaniu rychłej śmierci. Ponieważ jednak nikt więcej nie zginął, a przeciwnicy, zaprezentowawszy tak przekonujący popis skuteczności, poprzestali na wycelowaniu łuków, Koreańczycy rzucili się do wiosel i odwracając łódź dziobem na zachód, odpłynęli pospiesznie, starając się nie patrzeć na groty założonych na cięciwy strzał.

Zamek Nijo – reprezentacyjna siedziba Ieyasu Tokugawy w Kioto, lipiec 1604

Był w swoim kraju osobistością znaną i ważnym urzędnikiem, przebywał często w pięknych rezydencjach, ale wspaniałość nowej siedziby szoguna napawała go podziwem i szacunkiem. Wiedział, że takie budowle są zwykle odzwierciedleniem osobowości władcy. Gdyby kazano mu wnioskować o charakterze pana Ieyasu na podstawie stylu rezydencji, miałby co nieco

do powiedzenia, i zapewne by się nie pomylił. Otoczony wspaniałymi ogrodami zamek był monumentalny, ale jednocześnie jego styl cechowała skromność i powściągliwość. To nie była budowla mająca oszołomić przepychem i rozmachem. Architekt wyważył bryły, rytmy i proporcje tak starannie i mądrze, że w pierwszej chwili odbierało się Nijo właśnie z mieszaniną szacunku i podziwu. Bez niesmaku. Dlatego zapewne pan Sin Yongbok, nim wkroczył w cień pięknej bramy Karamon prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec, zatrzymał ruchem dłoni swoją nieliczną świtę i delikatnie uklonił się zamkowi w uznaniu dla jego klasy. Im bliżej był spotkania z człowiekiem, o którym otwarcie mówiono, że dzierży w Japonii niepodzielną władzę, tym pewniej widział los swojej misji, a jednocześnie rosła w nim ciekawość. Misja, którą mu powierzono przez wzgląd na jego talenty i stanowczość, przypominała do tej pory bardziej awanturniczy romans niż wyprawę o charakterze dyplomatycznym. Nie przeszkadzało mu to jako osobie prywatnej, bo lubił przygody i niespodziewane emocje, ale denerwowało jako oficjalnego delegata Królestwa. Na wysokości Cuszimy jego uzbrojony statek, nie bacząc na powiewające na maszcie rządowe barwy i groźny wygląd żołnierzy, zaatakowały dwie galery pozbawione znaków i bander. Ale nie byli to, jak się okazało, zwyczajni piraci, tylko poprzebierani za morskich grasantów ludzie zarządcy Cuszimy, którzy – zdławiwszy krótki opór załogi – wdarli się na pokład, wyrzucili za burtę kilka marynarskich i żołnierskich trupów, a następnie przejęli jednostkę, nie kwapiąc się do udzielania jakichkolwiek sensownych wyjaśnień. W rezultacie po dwóch dniach żeglugi, na czas której zamknięto go we własnej reprezentacyjnej kabinie, Sin Yongbok i jego skromna świta znaleźli się na pięknej skądinąd wyspie Oki, co ani na krok nie przybliżyło ich do celu misji. Na wyspie mieli względną swobodę i ładny pawilon z widokiem na morze, a także wyjątkowo uroczy wybór damskiego towarzystwa (o co zapewne zadbał mocodawca fałszywych piratów). Sin Yongbok uznał po kilku nocach, że koreańskie damy są zdecydowanie ładniej zbudowane i mają piękniejsze twarze, nie uważał więc tych dni za

całkowicie stracone. Nikt jednak, choć służba była wyjątkowo grzeczna i sprawna, nie informował go o jego roli w dotyczących go przecież wydarzeniach, a on jako zawodowy dyplomata zachowywał kamienny spokój. Oczywiście w pierwszym dniu pobytu na Oki złożył formalny protest. Przez kolejnych kilka dni nie działo się nic godnego uwagi (prócz, rzecz jasna, zmieniającego się jak w kalejdoskopie damskiego towarzystwa), aż któregoś ranka poproszono go w niskich ukłonach o powrót na służbową jednostkę i zaopatrzywszy galerę w świeże zapasy, pozwolono wypłynąć z portu.

Na drobne chociaż usprawiedliwienie tych, którzy go zatrzymali, powiedziec trzeba, że zdobyli się na piękny zaiste gest. Gdy Sin Yongbok wkroczył dostojnie na swój statek, a załoga i świta powitały go z należnym jego stanowisku szacunkiem, zobaczył dziewczynę, z którą podczas przymusowego postoju na Oki najchętniej spędzał czas, a ta, kłaniając się nisko, wręczyła mu akt własności podpisany przez głowę rodu So. Z Oki, przy spokojnym morzu i sprzyjających wiatrach, zaledwie dzień zajęła im podróż do najbliższego portu w Hamadzie. Czekwały tam na nich (ku zaskoczeniu pana Sina) luksusowe lektyki, konie pod siodło i liczna eskorta w barwach klanu Tokugawa. Wygodnym, świetnie utrzymanym traktem na Fukuyamę, Himeji i Osakę, nie spiesząc się, w ciągu zaledwie tygodnia dotarli do Kioto. Czas tej podróży, umilany przez panią Eiko, wcale się zresztą panu Sinowi nie dłużył. Choćby dlatego, że towarzyszył mu specjalny wysłannik szoguna, pan Wakayama. Ten chętnie i z miłym uśmiechem odpowiadał na pytania.

– To oczywiste, że był pan zniesmaczony. (Naprawdę użył tego określenia). Zakłócili panu podróż i wywieźli na tą zapowietrzoną Oki...

– Proszę wybaczyć. Wyspa jest bardzo ładna... – Królewski wysłannik poprawił się w wygodnym kawaleryjskim siodle. Cieszył się, że ma okazję dosiadać konia. Był świetnym jeźdźcem i ruch na świeżym powietrzu sprawiał mu wielką przyjemność. Gniady ogierek, na oko pięcioletni, którego mu użyczono, był mimo sporego temperamentu wspaniale

ujeżdżony i miał cudowny ruch. Raz pchnięty łydką, szedł chętnie do przodu, szukając równego kontaktu z kielznem, i kipiał niespożytą, radosną energią. – ...ale rzeczywiście byłem zaskoczony. Nie przewidywałem porwania...

Wakayama nie zwlekał z odpowiedzią:

– Zarządca Cuszimy zanadto sobie pozwala, ale może pan być pewien, że zostanie przywołany do porządku. Na szczęście wieści o pańskiej przygodzie szybko się rozeszły i interweniował dwór cesarski. Oczywiście ród So spotka stosowna reprimenda nie tylko ze strony cesarza, ale także mojego pana i zapewniam, że nie będzie to dla tych bezczelnych wyspiarzy przyjemne.

Spojrzenie Wakayamy potwierdzało, że ten poważnie traktuje swoje obietnice, ale w duchu wysłannik szoguna uśmiechał się ironicznie, wiedząc, że wybryki panów z Cuszimy są w zasadzie na rękę zarówno cesarzowi, jak i panu Ieyasu. Od kilku lat Japonia rościła sobie prawo do Takeshimy, a zarządcy Cuszimy wykorzystujący bogate łowiska archipelagu regularnie odprowadzali podatki zarówno do cesarskiego, jak i do szogunowego skarbcza. Wakayama doskonale wiedział, kim byli przebrani łowcy fok, którzy zastrzelili koreańskich rybaków. Sam przecież pomagał kompletować załogę, wybierając najbardziej sprawnych morderców spośród swoich marynarzy. Pan Yongbok znał się na ludziach i ich spojrzeniach, dostrzegł więc na dnie źrenic rozmówcy delikatne iskierki ironii, ale jako wytrawny dyplomata nie dał niczego po sobie poznać i odpowiedział spojrzeniem równie poważnym i szczerym.

Teraz, zagłębiając się w cień wspaniałej bramy Karamon, układał sobie w głowie to wszystko, co dało się ułożyć w sensowną całość. Jeśli szogun jest taki, jak jego zamek, rozmowa nie będzie łatwa. Kilka godzin później przekonał się, że tak właśnie jest. Ieyasu Tokugawa mimo szóstego krzyżyka na karku mógł się pochwalić znakomitą, zarówno duchową, jak i fizyczną formą. Niewielkiego wzrostu (co można było spostrzec, nawet gdy siedział, opierając lewy łokieć o niski stoliczek), sprawiał wrażenie

człowieka, którego aż rozpiera własna cielesność i energia. Był tęgi, ale była to tęgość sprężysta, wypracowana przez całe lata fizycznych ćwiczeń. Tęgość sprawna i krzepka. Dłonie wysuwające się z szerokich rękawów paradnego stroju łączyły się z masywnymi przedramionami bez żadnego zda się przewężenia. Cios miecza zadany takimi rękami musiał być ostateczny i nie istniała chyba zbroja, która zdołałaby go wytrzymać. Cieniutkie kreseczki lekko łukowatych brwi szoguna zakreślały linię ciężkich powiek, skrywających małe, ale skrzące się oczy. Ieyasu golił głowę jak kapłan, lecz masywna, lśniąca czaszka stanowiła znakomite zwieńczenie kwadratowych, krzepkich ramion i tułowia. Mimo emanującej siły Ieyasu sprawiał wrażenie człowieka wyjątkowo opanowanego. Jego ciało nie wykonywało żadnych zbędnych ruchów, a każdy - łącznie z drgnięciami powiek i delikatną pantomimą drobnych zmarszczek wokół oczu - zdawał się być odmierzony z aptekarską dokładnością. Jedynie głos szoguna, gdy po dłuższej chwili milczenia poprzedzonej etykietalną wymianą ukłonów gospodarz wreszcie się odezwał, rozczarował posła. Spodziewał się zupełnie innego brzmienia, gdy tymczasem pan Ieyasu dysponował głosem wysokim, nieprzyjemnie artykułującym syczące spółgłoski. Pan Yongbok dał się na moment ponieść wyobraźni - gdyby nie widział szoguna, a tylko słyszał, przedstawiłby go sobie zapewne jako rachitycznego człowieczka o krzywych nóżkach i chudej szyjce. Szybko jednak przywołał się do porządku, przypominając sobie, że celem jego misji jest załatwienie konkretnej sprawy, za przeciwnika ma najpotężniejszego człowieka w Japonii, a być może i w całym regionie, i syczący głos nie ma tu nic do rzeczy. Skupił się więc i skoncentrował, uważnie słuchając tłumacza.

- Pan Ieyasu, mając nieklämaną nadzieję, że wrażenia z pobytu w Kioto pomogą zapomnieć o przykrym nieporozumieniu, szczerze ubolewa nad tym, co się stało...

Sin kiwnął głową, co mogło zostać odczytane jako aprobata, a w rzeczywistości wyrażało jedynie prawdziwe uznanie dla bezczelności

szoguna nazywającego porwanie i uprowadzenie „przykrym nieporozumieniem”. Nie musiał też długo ważyć słów, by odpowiedzieć w podobnym stylu.

– Zawód dyplomaty, zwłaszcza w dzisiejszych niespokojnych czasach, bywa niekiedy ekscytujący ponad miarę, ale proszę powiedzieć panu Ieyasu, że świeże morskie powietrze doskonale mi posłużyło, a także pozwoliło myślom płynąć szybciej i jaśniej.

Tłumacz, przełożywszy kwestię, spojrzał pytająco w twarz swego japońskiego pracodawcy, co nie uszło bystrym oczom Yongboka.

– Mój pan, który, jak sam podkreśla, jest człowiekiem prostolinijnym, chciałby zrozumieć, co dostojny wysłannik ma na myśli.

Koreańczyk widząc, że przynęta została pochwycona, parł śmiało do przodu, ale jego skromnie zawieszona w połowie dystansu do rozmówcy spojrzenie przeczyło temu, co mówił:

– Tylko tyle, że jasny umysł pozwala widzieć zadziwiające nieporządki w kraju tak pełnym ładu i harmonii... – Nim tłumacz zdążył przełożyć, Yongbok, nie bacząc na etykietę, ciągnął: – Dostojny pan Ieyasu, o którego przenikliwym umyśle mówi się nawet w królestwach odleglejszych niż Korea, zapewne doskonale wie, że wyspy Dokdo od wieków należały do naszego kraju, i faktu tego nie zmieni ani haniebny incydent na naszych łowiskach, ani samowola panów z Cuszimy.

To było jak wyłożenie kart na stół, ale Yongbok wyczuwał, że wobec Ieyasu taka taktyka może się okazać najskuteczniejsza. I rzeczywiście. Bezpardonowość koreańskiego dyplomaty zmroziła jedynie obie świty, szogun natomiast, wysłuchawszy przekładu, odchylił się do tyłu, niespodziewanie głośno plasnął o kolana okryte kosztownymi jedwabnymi *hakama*, roześmiał się piskliwie i zawołał: - *Mochiron* !⁴

– Panie Yongbok! – dodał równie rozbawionym tonem. – Dajmy spokój komunałom. Widzę, że potrafi pan mówić dokładnie to, co pan myśli. Wobec tego... – zastanowił się chwilę – proponuję, żebyśmy zostawili ceremonie na później i dokończyli tę rozmowę w moim prywatnym

pawilonie. Jest tam dużo przewiewniej i nie będziemy musieli rozglądać się po kątach. Oczywiście bez tłumacza się nie obędziemy. – Spojrzał wyczekująco na wysłannika, w którego małych oczach jarzył się humor niepozbawiony uznania.

Kilka minut później pan Sin Yongbok miał okazję przyjrzeć się szogunowi z bliska, gdyż siedzieli w odległości ledwie kilku metrów. Rozsunięte na oścież drzwi letniego pawilonu pozwalały sycić się bajecznym widokiem stawów i ogrodów. Choć Yongbok nie przepadał za japońską sake, przyjął poczęstunek chętnie, wiedząc, że alkohol rozwiązuje języki, upraszcza myśli i zmiękcza serca nawet tak bezwzględne i twarde, jak to, które biło w piersi szoguna. Ieyasu bowiem był człowiekiem bezwzględnym, którego nie miały się sentymenty i który umiał podporządkować całość swych działań racjom politycznym, czyli - w jego rozumieniu – służącym interesom rodu i umacnianiu jego pozycji na przyszłość. Wiedząc to wszystko, pan Yongbok miał się jednak cały czas na baczności, bo ktoś taki, jak panujący od roku w Japonii szogun, nie robi niczego bez powodu i byłoby naiwnością sądzić, że jedyną przyczyną złamania etykiety i prywatnego, ba, niemal przyjacielskiego zaproszenia jest nagła sympatia do świeżo przecież poznanego dyplomaty.

– Proszę wyprowadzić mnie z błędu, jeśli się mylę – podjął bez zbędnych ceregieli Ieyasu, gdy tylko uznał, że gość nasycił oczy widokiem ogrodów, a wątrobę pierwszymi czarkami sake.

– Walczycie o te parszywe wysepki nie dla jakichś wymiernych korzyści, ale, jak rozumiem, głównie ze względów prestiżowych. Proszę mi tylko nie wmawiać – ciągnął, nie dając Yongbokowi wejść w słowo – że te... jak je tam nazywacie... Dokdo mają dla was istotne ekonomiczne znaczenie.

To było dobre postawienie sprawy. Eliminujące od razu możliwość wykrętów i owijania w bawełnę. Oczywiście – myślał pan Sin. – Te parszywe wysepki mają znaczenie czysto prestiżowe i pewno zapomnielibyśmy o nich już dawno, gdyby nie ta równie parszywa wojna, w której daliśmy do zrozumienia całemu światu, że nie jesteśmy nic warci.

Ani jako żołnierze, ani jako politycy. Dlatego muszę wycierać maty na dworze człowieka, którego ród pozbawił faktycznej władzy swego własnego ce sarza.

Yongbok miał tego głęboką świadomość, lecz postanowił bronić straconych pozycji, licząc na to, że w toku rozmowy znajdzie lepsze argumenty.

– Są tam wspaniałe łowiska dla naszych rybaków... – zaczął dość niepewnie.

– Mają wystarczająco dużo wspaniałych łowisk znacznie bliżej waszego wybrzeża. I o wiele bezpieczniejszych. Z tego, co mi mówiono, morze wokół Dokdo rzadko bywa spokojne... – Szogun zawiesił głos i patrzył na Koreańczyka z taką przyjemnością, z jaką nieświadome swego okrucieństwa dziecko patrzy na wijącą się gąsienicę, przyciśniętą patykiem do ziemi. Sin zaczął z innej beczki.

– Bekowiska... – spróbował niepewnie, ale Ieyasu uciał z wprawą wytrawnego szermierza:

– Raptem kilkaset sztuk lwów morskich. To też macie gdzie indziej, na lepszych terenach i więcej. Strażnicy również nie zbudujecie, bo miejsca tam ledwie tyle, żeby postawić stopę, a i to nie wszędzie. Nie oszukujmy się, panie Sin, bo obaj mamy za dużo doświadczeń. Niech pan przyzna. Pański rząd chce po prostu zachować twarz, i o to chodzi.

– A gdybym przyznał? – niespodziewanie nawet dla siebie samego zgodził się Yongbok, a Ieyasu, nieprzygotowany na tak szybkie ustępstwo, o mało nie rozlał alkoholu na matę. Opanował się jednak zadziwiająco prędko i wysączył resztkę sake z czarki.

– Wtedy, panie Yongbok – powiedział, rozwlekając nieznośnie każde słowo – moglibyśmy zacząć naprawdę negocjować warunki porozumienia. – Odczekał stosowną chwilę, by ciekawość skłoniła rozmówcę do odsłonięcia się. Ten zaś, rzeczywiście zaciekawiony, gorączkowo wertował w myślach katalog ewentualnych korzyści.

– Jak rozumiem – powiedział z namysłem Sin – w zamian za

nienaruszanie granicy naszych wód urząd, który pan reprezentuje, spodziewałby się określonych korzyści albo ustępstw.

Dyplomatyczne ceregiele w chwili, gdy do celu można było dojść prostszą drogą, były dla szoguna nudne i męczące. Całkiem niedyplomatycznie, jak prostak, machnął czarką, a kilka kropel sake spadło na matę.

– Mogę zagwarantować znacznie więcej niż – jak pan mówi – „nienaruszanie”. W krótkim czasie uzyskałbym dla pańskiego rządu uznanie praw wieczystych do Takesh..., do Dokdo (poprawił się szybko, bo nieopatrznie użył japońskiej nazwy) przez cesarza. Potwierdzonych traktatem na szczeblu ministerialnym. Czyli na moim, a chyba rozumie pan, jaki to rodzaj gwarancji?

– Odstawił czarkę i wlepił w Koreańczyka małe, zwycięskie oczka.

To było coś, i Sin, wiedząc, że nie można marzyć o pewniejszych gwarancjach niż te, które potwierdza swą pieczęcią człowiek rządzący krajem, skwapliwie podchwycił:

– Wieczystych?

– Oczywiście – bez zmrużenia powiek potwierdził Ieyasu, który miał w łganiu wprawę, jakiej nie powstydzilby się wirtuoz. – No... wieczystych albo obowiązujących do końca panowania dynastii sprawujących władzę w pańskim kraju i w moim. W każdym razie... – dopowiedział pospiesznie – ważnych nie krócej niż sto lat. Pana i mnie nie będzie już na tym świecie, a efekty naszego spotkania będą wciąż aktualne. Co pan na to?

Pan Yongbok smakował triumf. Gdyby wrócił na dwór z takim traktatem, jego pozycja, a także pozycja jego następców, znacznie by się wzmocniła. Było to szczególnie ważne teraz, kiedy nawet wysokie urzędy można było kupować za pieniądze. Często brudne. Zarobione na tej głupiej wojnie. Teraz, kiedy we wszystko wciskali swój czarny nos ci od ortodoksyjnie interpretowanych nauk Konfucjusza. Nawiedzeni mędrcy w kapeluszach z końskich włosów. A tak naprawdę – hieny kupujące wyrwanymi z kontekstu maksymami, które miały uzdrowić państwo i ludzi. Państwo było już zbyt chore, by odniosły skutek jakiegokolwiek,

nawet najmędrsze maksymy, a ludzie za głupi, by spojrzeć krytycznie na głosicieli nowego ładu. Więc czemu nie? Yongbok był pełen entuzjazmu, lecz odpowiedział spokojnie i rzeczowo, jak sprzedający na targu rybnym w Busan handlarz, który zdecydował się opuścić cenę i właśnie oznajmia to kupującym:

– Byłoby to z pewnością dobrze odebrane przez mój rząd. Ale czego pański urząd spodziewałby się w zamian? Jak rozumiem, proponuje pan rodzaj transakcji... – Teraz on zawiesił teatralnie głos.

Ieyasu ulokował się wygodnie na matach, oparł dłonie na udach i bardzo poważnie, choć ciepło popatrzył na Yongboka. Na tyle poważnie, że Koreańczyk przestał grać, uznając, że jego dyplomatyczne sztuczki są za słabe i mało przekonujące dla takiego konesera teatru, jakim był zapewne gospodarz tego zamku. Ieyasu po dłuższej chwili określił swoje stanowisko. Wywód sprawiał wrażenie przygotowywanego od dłuższego czasu.

– Jak się pan zapewne domyśla, oficjalna polityka zagraniczna cesarstwa Japonii pozostanie... – zawahał się krótko – oficjalną polityką, niczym więcej. Natomiast wszystkim, co ma istotne znaczenie dla stosunków z naszymi bliższymi i dalszymi sąsiadami, będą się zajmować moi ludzie. Większych rozbieżności zapewne nie będzie, a dworowi cesarskiemu przypadnie jedynie rola potwierdzania decyzji podjętych przeze mnie. – Wstęp był obiecujący i pan Sin słuchał coraz pilniej. – W pańskim kraju – ciągnął szogun – może być już za chwilę podobna sytuacja. Władza jest coraz słabsza i tylko patrzeć, jak ktoś trzeźwo myślący i dalekowzroczny postanowi naprawić gnijący system. Zapewne wydaje się panu, że w interesie mojego kraju jest to, by ten system był jak najsłabszy... Czyż nie tak? – upewnił się niespodziewanie.

– Wojna w zasadzie... – niepewnie podjął Sin – może wybuchnąć na nowo w każdej chwili...

– Wojna, mój panie – stanowczo przerwał szogun – była w zasadzie prywatnym przedsięwzięciem mojego znakomitego poprzednika, pana

Hideyoshi. Ale dziś wojna nie jest na rękę ani Korei, ani Japonii. Cesarz, jeśli to pana interesuje, też nie jest jej zwolennikiem. Ale ta wojna, panie Yongbok, uświadomiła mi jedno, i uważam to za najważniejszą lekcję. – Ieyasu pochylił się w stronę gościa, jakby to, co miał za chwilę powiedzieć, stanowiło tajemnicę. – Kiedy dwóch się bije, trzeci korzysta. Może wiedziałem to już przedtem, ale nasza wojna uświadomiła mi to z całą jaskrawością. Kiedy myśmy się mordowali i oblegali... Pan wie, co mam na myśli? – Poszukał potwierdzenia w oczach Koreańczyka. – No właśnie. I dlatego warto spojrzeć na sprawy nieco dalej niż czubek własnego nosa. Korea i Japonia nie są naturalnymi wrogami, i nigdy nie były. Nasze wzajemne położenie czyni z nas raczej naturalnych sprzymierzeńców. Prawdziwe niebezpieczeństwo nadciągnąć może z Zachodu i z tym właśnie wiąże się moja propozycja. Zdaję sobie doskonale sprawę z rangi pańskiej misji i pańskiej rangi na dworze, ale uważam, że sensowniej będzie rozpocząć rozmowy właśnie z panem – bo z pewnością ma pan wpływy również w rządzie – niż z kimś o wiele znaczniejszym i w związku z tym o wiele bardziej nadętym. Nie sądzi pan? – Spojrzał na Sina figlarnie, a Koreańczyk, wyobraziwszy sobie to, o czym mówił szogun, o mało nie parsknął śmiechem. Zdołał się jednak pohamować i kiwnął jedynie głową, uznając słuszność takiego rozumowania. – Jednym słowem – ciągnął szogun coraz pewniejszym tonem, gdyż czuł, że Sin jest otwarty na propozycje – chciałbym mieć możliwość trzymania ręki na pulsie...

– Jak pan to raczy rozumieć? – spytał Sin, a szogun sięgnął po płaskie naczynie z dzióbkiem i zachęcając gościa wzrokiem, nalał najpierw jemu, a potem sobie. Czarki do sake, jak każe zwyczaj, były bardzo płaskie, i choć trzeba było uważać, by nie rozlać trunku, taki kształt naczynia pozwalał delektować się delikatnym i niepowtarzalnym zapachem alkoholu.

Ieyasu nie odpowiedział, dopóki obydwaj nie siorbnęli po sporym łyku. Potem odstawił puste naczynie i wyjaśnił:

– Oficjalne stosunki sąjuz w zasadzie wznowione i za chwilę pewnie wymienimy ambasadorów, ale nie jestem zwolennikiem agenturalnego

szpiegostwa pod pozorem uprawiania dyplomacji. W tym gustują Chińczycy, co pan zapewne jako zawodowy dyplomata był łaskaw zauważyć w swoim kraju. – Sin także był zwolennikiem oddzielania działań agenturalnych od dyplomacji. Wiedział, że gdy połączy się te dwie sprawy i gdy robią to ci sami ludzie, nie wychodzi to na dobre ani dyplomacji, ani informacji, więc ze zrozumieniem przyjął słowa szoguna. Ten zaś ciągnął myśl: – Dlatego naszą – jak był pan łaskaw to ująć – „ceną” w tej transakcji jest możliwość wprowadzenia kilku, powiedzmy, placówek, które – nadzorowane przez wasze władze – zajmowałyby się oficjalnie wymianą handlową pomiędzy Japonią a kontynentem...

– A nieoficjalnie? – odważył się wtrącić Yongbok.

– Nieoficjalnie – uzupełnił niezrażony Ieyasu – zajmowałyby się, tak jak powiedziałem, trzymaniem ręki na pulsie. Wychodzę z założenia, że dla Chin i Mandżurów nasze kraje stanowią... jak by to ująć – podobny problem i w tym przypadku powinniśmy trzymać się razem i informować nawzajem o wszystkim.

Yongbok zajrzał w głąb własnego umysłu i poradził się swego doświadczenia. Doświadczenie odpowiedziało mu bez wahania. Nawet jeśli Ieyasu ma nieszczerą intencję i jego „placówki handlowe” skoncentrują się na szpiegowaniu, z umowy płyną same korzyści. Po pierwsze, „placówki” będą musiały nawiązać kontakty handlowe, służące choćby jako przykrywka dla ukrytych działań. Jeśli nawiążą, to on, Yongbok, i jego wpływowi przyjaciele dopilnują, żeby te kontakty trafiały do właściwych wtyczek. Po drugie, agenci szoguna też są ludźmi, a każdy uczciwy człowiek musi brać łapówki. Jeśli nie bierze, to oznacza tylko tyle, że proponuje się mu za małe sumy albo zbyt nikłe korzyści. Wszystko jest więc kwestią czasu i pieniędzy. Jeśli przeznaczy się ich na ten cel dostatecznie dużo, agentury Ieyasu będzie można z czasem obrócić przeciwko niemu (jak miecz odebrany przeciwnikowi i przyłożony mu sztychem do tętnicy szyjnej). Yongbok jako wytrawny szermierz znał takie techniki i potrafił je z powodzeniem stosować. Po trzecie, państwo jak

spróchniały, drążony przez korniki pieńek coraz szybciej się rozsypuje i jest w fazie ostatecznego rozpadu. Wystarczy w zasadzie mocniejszy podmuch wiatru...

Ostatnia refleksja skłoniła Sina do konkretnego pytania, a jego treść wcale nie zdziwiła szoguna:

– Czy te japońskie placówki... faktorie... będą płacić regularne podatki?

– Oczywiście – odparł bez wahania Ieyasu i dodał chytrze kwestię, którą miał zapewne przygotowaną: – Jasne jest też, że pan – jako konsultant urzędu szoguna – będzie pobierał od ich działalności stosowny procent. Powiedzmy cztery od stu, liczone od obrotu przed oficjalnym opodatkowaniem.

– Pięć – nieśmiało skorygował Sin.

- *Yoshi, yoshi*⁵! – Ieyasu zaśmiał się piskliwie i po raz kolejny plasnął serdelkowatymi palcami po udach. Wszystko układało się po jego myśli. – Niech będzie – powtórzył i sapnął z uznaniem dla człowieka, który potrafił pogodzić interes swego kraju z własnym. – W pańskim kraju z pewnością znajdzie się wielu takich, którzy właściwie ocenią znaczenie naszej umowy... – dodał proroczo.

Ciekawe, że kilkadziesiąt lat później jeden z potomków pana Yongboka – An – niemal w identycznej rozmowie z kolejnym szogunem usłyszał prawie dokładnie te same słowa.

Tokio, tymczasowa sala posiedzeń rady cesarskiej, tuż przed północą 9 sierpnia 1945

(...) wzywamy rząd Japonii, aby ogłosił natychmiast całkowitą i bezwarunkową kapitulację wszystkich jednostek japońskich sił zbrojnych na lądzie, na morzu i w powietrzu oraz by złożył potwierdzone gwarancje swoich szczerych intencji. Jeśli tego nie uczyni, Japonia zostanie całkowicie unicestwiona...

Sekretarz Gabinetu odczytywał obraźliwe zdania deklaracji poczdamskiej drżącym z emocji głosem, a baron Suzuki, który wyznaczył lektora, potakiwał gorliwie głową, jakby tekst był jego dziełem. W tymczasowym pomieszczeniu sali posiedzeń – podziemnym standardowym bunkrze przeciwlotniczym o powierzchni ledwie pięćdziesięciu metrów kwadratowych – było gorąco, parno i duszno, mimo – jak zapewniano – działającej wentylacji. Niski sufit i ściany ze zbrojonego betonu wyłożone prowizorycznie boazerią z czerwonego dębu najwidoczniej nie stanowiły najlepszej zapory przed przygniatającym sierpniowym upałem. Oddychałoby się i myślało być może lżej, gdyby nie wzmagające nastroj przygnębienia nader skąpe oświetlenie. Żarówki osłoniętych mlecznymi kloszami, umieszczonych tuż pod sufitem kinkietów przygasały rytmicznie w takt pracy awaryjnego agregatu. Przywodziło to na myśl agonię.

Sto dwudziesty czwarty przedstawiciel dynastii panującej nieprzerwanie od 2600 lat (tak przynajmniej zapewniali cesarscy historycy) miał ochotę rozluźnić zbyt ciasny kołnierzyk wojskowego uniformu, który wypadło mu włożyć tego wieczoru. Siedział jednak nieporuszony w dusznym i dręczącym zmysły upale, dzielnie przemagając narastającą irytację i chęć, by wyjść z posiedzenia. Na dodatek pełniąc rolę stołu i mównicy zwyczajna skrzynia oklejona grubym ryżowym papierem była za krótka i nie mógł wygodnie ulokować stóp obutych w oficerki z ostrogami, a małe, okrągłe okulary w cieniutkiej złoczonej oprawie zachodziły mgłą. Nigdy dotąd nie wydawał się sobie tak śmieszny i godny pożałowania. Naprzeciw, po prawej i lewej stronie, za stołami sporządzonymi z takich samych zapewne skrzyń, tyle że oklejonych papierem o zdecydowanie weselszym wzorze, siedziało jedenastu ludzi, z których kilku miał zapewne na myśli autor albo autorzy deklaracji, rozpoczynając ją od słów: *Japońscy militaryści, którzy doprowadzili cesarstwo Japonii na skraj zagłady...* Starając się nie kręcić głową, cesarz przyglądał się zebrany dyskretnie, odgadując, co czują i myślą.

Siedzieli tam kolejno: urzędujący premier Suzuki Kantaro, minister marynarki Yonai Mitsumasa, szef MSW Togo Shigenori, minister wojny Anami Korechika, szef sztabu armii Umezu Yoshijiro, szef sztabu marynarki Toyoda Soemu oraz jego zaufany – radca dworu cesarskiego, pan Hiranuma Kiichiro. Cesarz miał sprawnych doradców, którzy informowali go szczegółowo o rozkładzie kart w tej talii. Sędziwy, siedemdziesięcioośmioletni premier, niegdysiejszy oficer floty spod Cuszimy, znany był od lat z niechęci do wojny i potrzęsających mieczem ekstremistów z armii. W trzydziestym szóstym zamachowcy wpakowali mu za owe umiarkowane poglądy trzy kulki i ledwie przeżył. Suzukiego wspierał lojalny Togo, a obaj mogli liczyć na jowialnego alkoholika Yonaiego, który po upadku poprzedniego premiera znów szefował ministerstwu marynarki, i szefa sztabu marynarki Toyodę. Ci czterej i ich zaplecze mieli przeciw sobie dowódcę armii. Cesarz, choć uważał się za znawcę dusz, zupełnie nie wiedział, co sądzić o prawie sześćdziesięcioletnim generale. Jednego był pewien: minister wojny był uparty i niezbyt lotny (dopiero za czwartym razem dostał się do szkoły oficerskiej). Te dwie cechy tworzyły idealnego żołdaka. Obok siedział jego główny laufer Umezu, rozparty niczym tłusty, łysy demon o wąskich szparkach źrenic, zabawnie ruszając głupio przystrzyżonym wąsikiem. Teraz, gdy ze wspomnianych w deklaracji armii i marynarki pozostały nędzne resztki, a zgliszcza Nagasaki wysyłały ku niebu dym śmierdzący popiołem z ludzkich zwłok, wpatrywali się w jego boską twarz z nadzieją i wiarą, chcąc zapewne znaleźć w oszalałym i ginącym świecie coś stałego i znajomego. Takie dramatyczne sceny nie były niczym nowym w historii cesarstwa i zawsze aktorzy odgrywali swoje role z godnością i do końca. Teraz także zapewne nikt nie posunie się do hysterii – spodziewać się raczej należy wielkich słów i tragicznych gestów. Tym tragiczniejszych, że wszyscy doskonale zrozumieli akapit deklaracji mówiący o tym, że zbrodniarze wojenni zostaną przykładowo ukarani.

Ja was od tej odpowiedzialności nie uwolnię – myślał cesarz. – Nie mam

takiej władzy. Nie pytaliście mnie o zdanie, rozpętując tę wojnę, nie pytajcie teraz, jak się uchylić. Zawsze można przecież godnie odejść, nie czekając na to, co nieuchronne. Teatralne gesty i wzniosłe mowy nie zdadzą się na nic. Służą tylko temu, by pokonać zwykły ludzki strach, o którym dowiadujecie się dopiero teraz. Teraz, gdy zawiodły wszystkie wasze przemyślnie taktyki i strategie i zapędzono was w kąt. Ale wasz strach i wasze wątpliwości nie powinny mnie poruszać. Ja muszę myśleć o dynastii i o narodzie. Bo za waszą sprawą straciło życie już zbyt wiele istnień. Pan, panie premierze, za dużo obiecywał sobie po depeszy do barona Sato w Moskwie⁶. A czegoż można było oczekiwać po Rosjanach, jak nie tego, że wyczekają do ostatniej chwili i uderzą wtedy, gdy będziemy już leżeli na ziemi. To naród, którego przywódca umie przelewać krew swoich poddanych, ale ten przywódca umie też myśleć i kalkulować. W przeciwieństwie do was.

Choć sekretarz skończył czytanie dobrą minutę temu, nikt się nie odzywał i tylko Suzuki wciąż potakująco kiwał głową. On też, nie bacząc na etykietę, odezwał się pierwszy, a jego słowa zwrócone do ministra spraw zagranicznych zaskoczyły cesarza i większość obecnych:

– W zaistniałej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak... jak najszybciej odpowiedzieć, że przyjmujemy deklarację. Jak najszybciej... – powtórzył szef MSZ, jakby nie wierzył w intelektualne możliwości zebranych, i całkiem spontanicznym, zupełnie już niestosownym gestem zaczął masować zmęczone szklami i pełgającym światłem oczy. Nim Suzuki zdołał odpowiedzieć, minister wojny, generał Anami, poderwał się, jakby coś ukłuło go w zadek, złożył szybki pokłon majestatowi i wyrecytował szczekliwie:

– Nie wolno podejmować pochopnych decyzji. Nawet w takiej chwili... – Widząc, że nikt nie kwapi się mu zaprzeczyć, tokował dalej: – Przed nami największa i najważniejsza bitwa tej wojny. Cały naród chwyci za broń...

Naród? – dumiał monarcha, ledwie słuchając płomiennego i całkiem już teatralnego wystąpienia generała. – Żołnierze są zmęczeni trwającym od

miesiący odwrotem. Może te stare ciotki, ćwiczące parady i pchnięcia zaostrzonymi bambusowymi włóczniami pod okiem jednookiego kaprała, które widział onegdaj, gdy przed cesarską limuzyną wyrósł stos gruzów blokujących drogę i wypadło mu fatygować się dalej piechotą? Naród - myślał – dał już z siebie wszystko. Dopóki nie skończyły się surowce, te ciotki, dzieci i starcy montowali samoloty w bombardowanych całą dobę wytwórniach. Teraz napełniają butelki łatwopalnym olejem, bo benzyny też już nie ma. Oczywiście - konkludował gorzko – można ich wszystkich wykrwawić na śmierć i siedząc na hałdach trupów rozpruć sobie brzuch albo palnąć w skroń. Ale czy takiego końca dynastii spodziewali się jego czcigodni przodkowie? Kto powiedział, że cesarstwo nie może istnieć także po kapitulacji? Kiedy Hideyoshi przejmował władzę, nie stawiał warunków abdykacji. Domagał się jedynie inwestytury. No, ale Hideyoshi był stąd. Ci, którzy tu przyjdą, by przejąć władzę, też – być może – nie będą się domagali przerwania ciągłości dynastii. Taki MacArthur. To ponoć człowiek wielkiego ducha. Może zrozumie, że żeby sprawnie rządzić Japończykami, nie ma lepszego sposobu niż pozostawić im świadomość istnienia dynastii, która jest ponad wszystko. Dlaczego mieliby z tego rezygnować? Trzeba im tylko wyjaśnić, czym dla Japończyków jestem ja i moi przodkowie. Zastanówmy się spokojnie (o ile to możliwe w obecności tych sukinsynów), co jest lepsze. Bohaterskie zagrania są dobre w teatrze. W szkołach dzieciom wbija się do główek, że japoński żołnierz nie kapituluje i nie składa broni, ale co mają powiedzieć dzieciakom nauczyciele o nowej amerykańskiej broni, wobec której boskie interwencje wydają się powiewem nieszkodliwego wietrzyka? Znaleźliśmy się wszyscy w nowej sytuacji, a *budo* uczy elastyczności. Nie można uparczywie trwać w dawnej wierze, bo niczego w ten sposób się nie załatwi. Zresztą myślmy pragmatycznie. Gdyby chcieli zginąć, nie pytaliby mnie o zdanie. Zawsze trzeba troszkę pokrzyczeć, tak żeby inni słyszeli. Jak ten głupi Umezu: „Nie dostaną mojego miecza!” Dostaną. Dostaną – wyzłośliwiał się w myślach cesarz. – Razem z twoją głupią głową. Ale przynajmniej

wyjdiesz na bohatera i może napiszą o tobie w szkolnych czytankach. Jeśli japońskie dzieci będą kiedyś miały w ogóle jakieś czytanki. Chcą mojej zgody na swoją nędną kapitulację, to, proszę, dam im ją, bo przecież wraz z moim przyzwoleniem ich czas się skończy. Skończy się też cesarstwo takie, jakie znam. Ale musi się skończyć choćby po to, żeby zrobić miejsce dla nowego. W tym nowym nie będzie miejsca dla generałów, więc dam im moją zgodę.

Hirohito powiódł jasnym spojrzeniem po pełnych wyczekiwania twarzach.

– Oczywiście – stwierdził wolno i spokojnie – trudno nam będzie znieść widok naszych lojalnych do końca i zawsze odważnych żołnierzy stojących z podniesionymi rękami. Doczekaliśmy jednak czasów, w których będziemy zmuszeni znieść rzeczy nie do zniesienia.

Nie powiedział nic więcej. Wstał sztywno i z trudem prostując kolana, skierował się ku drzwiom, nie patrząc na pochylone w ukłonie głowy. Nie wiadomo dlaczego przypomniała mu się raptem wizyta na pokładzie pancernika Musashi. To nie było przecież tak dawno. 24 czerwca 1943. Upadł Guadalcanal i zabito podczas lotu inspekcyjnego Yamamotę. Już wówczas, tej wspaniałej wiosny, nikt nie miał złudzeń, że Amerykanów nie powstrzyma nic, chyba cud. Po co pokazano mu wtedy ten olbrzymi, zastanawiająco olbrzymi okręt? Żeby podnieść go na duchu? Żeby pokazać, jak ogromna jest mimo wszystko wola zwycięstwa? On, który urodził się po to, by oglądać rzeczy wielkie, nie mógł – zapamiętał to dobrze – pokonać uczucia lęku, gdy niewielka, pomalowana na biało motorówka z cesarskim proporcem ze złotą chryzantemą zbliżała się do burty okrętu. Gigantyczny, trzystumetrowy kadłub przytłaczał ogromem otaczające port w Yokosuce wzgórza i wydawało mu się, że pancernik – nieporuszony i majestatyczny – wyrasta wprost z dna zatoki. Strach był irracjonalny, ale na tyle silny, by on, Hirohito, musiał przytrzymać się ramienia młodszego brata, księcia Takamatsu, bo zakręciło mu się w głowie. Uległ na moment wyobrażeniu, że pancerny gigant ruszy na jego łupinę niczym morski potwór pożerający

zdobycz. Potem przez dwie godziny wykrochmaleni oficerowie oprowadzali go i oficjeli po nieprawdopodobnym labiryncie pomieszczeń olbrzyma, w których mimo upału na zewnątrz panował dzięki klimatyzacji przyjemny chłód. Gdy schodził później do motorówki, ostrożnie stawiając drobne stopy obute w białe mundurowe pantofle na szczeblach trapu, pomyślał, że cesarstwo jest podobne temu nikomu niepotrzebnemu żelaznemu mastodontowi, który wraz z identycznym siedemdziesięcioletnim bliźniakiem zbudowano chyba tylko po to, by napawać się widokiem ich pozornej potęgi. Forma przerosła treść. Takie też było jego państwo i jego boska władza. Pozornie potężna, wzbudzająca nabożny podziw, nikomu niepotrzebna, anachroniczna.

Jesteśmy jak dzieci – myślał w przeraźliwym dźwięku trapowych świstawek. – Jak dzieci, które budują potężne fortece w wilgotnym piasku, chcąc się w nich schronić przed gniewem dorosłych. Choć wiemy, że wystarczy jedno kopnięcie albo niespodziewana fala, by zawaliły się nasze marzenia.

Waszyngton, gabinet prezydenta Stanów Zjednoczonych, nazajutrz

– Rzućcie na to okiem. To kopia telegramu Carla⁷. – Prezydent podsunął zebrany odbitki.

Stimson wpatrywał się w tekst z niedowierzaniem. Intensywnie. Tak że zmęczone wielogodzinną pracą oczy zaczęły łzawić. Linijki latały mu przed oczami. Poczul się nagle stary i chory. Poczul, że ma dość wojny i śmierci. Telegram brzmiał jak sztubacki żart, ale jego tenor był przerażający.

Umieścimy trzecią bombę w Tokio. To może wyrzucić zbawienny wpływ na rządowe osobistości Japonii.

Stimson kątem oka zerknął na twarz Byrnesa⁸. Tamten także był przejęty. Stary sekretarz obrony odłożył delikatnie arkusik na rozłożyste

biurko prezydenta. Wstał roztrzęsiony i założył ręce do tyłu. Wyglądał jak zmęczony ptak. Dłuższą chwilę dreptał po dywanie. Wreszcie zapadł znów z wysiłkiem w swój fotelik i spytał lakonicznie:

– Do kogo to?

– Do Norstada⁹ – odpowiedział prezydent.

– Czy nie należałoby go przenieść... odsunąć? – sondował Stimson, któremu udało się uspokoić oddech i myśli. – Przecież to jakiś absurd... Czy im się wydaje, że grają w *Czarnoksiężniku z Oz*? To nie zabawka... To jest naprawdę... Czy to oficjalna kopia?

– Oczywiście, że nie. – Truman był uosobieniem spokoju. – Moi ludzie to przechwycili, ale nie musieli się specjalnie wysilać. Nie było szyfrowane i szło normalnymi kanałami. I to właśnie mnie niepokoi.

Byrnes zapanował nad nerwami i zdawał się najmniej przejęty. Znał wojskowych i ich zapędy. Przypominali czasem małych chłopców, którzy znaleźli w lesie granat i koniecznie chcą sprawdzić, jak wielkie bum można zrobić. Uśmiechnął się więc i spytał:

– Co to znaczy „umieścimy”? Chce tę bombę zawieźć do Tokio w walizce? Zresztą, to tylko mrzonki. Przecież nie mamy trzeciej... – Spojrzał na Stimsona. Ten odwrócił wzrok i Byrnes zrozumiał, że trzecia bomba jest gotowa¹⁰.

– Bzdury – uciął prezydent. – Potrzebna jest moja zgoda, a nigdy bym jej nie udzielił bez porozumienia z wami. Trzeba jednak kontrolować sytuację. Poza tym nie zgodzę się na dalsze niszczenie japońskich miast. To nie ma najmniejszego sensu. Znów zginie sto tysięcy ludzi. Dzieci... Jeśli dwie bomby nie wystarczyły...

– Myślę, że wystarczyły i uda się nam przekonać Kongres, że dobrze spożytkowaliśmy te dwa miliardy – dorzucił Stimson.

– Jeśli nie – zazartował ponuro Byrnes – pan, panie sekretarzu, i generał Groves skończycie w pace.

Truman zachichotał, ale natychmiast się opanował.

– Nie ma mowy o trzeciej bombie.

Prowizoryczne studio radiowe w Ministerstwie Budżetu Cesarzkiego, tuż przed północą 14 sierpnia 1945

Cesarz miał tremę, gdyż nigdy nie mówił do mikrofonu, a to, że znów poproszono, by wystąpił w gali generalissimusa, denerwowało go dodatkowo. Był najwyższą osobą w państwie, ale cenił sobie prywatność, bo pozostawało mu jej w istocie bardzo niewiele. Ktoś podsunął mu krzesło, a technik ze słuchawkami na uszach, choć ukłonił się przedtem z szacunkiem, dał znak najzwyklejszym ruchem dłoni. W innych okolicznościach z pewnością poczułby się urażony, ale to nie były „inne okoliczności”, tylko właśnie te. Odchrząknął i z trudem stłumił przemożną chęć przysunięcia bliżej mikrofonu (jaką odczuwa każdy radiowy nowicjusz). Początek przemówienia znał na pamięć, ale dla pewności zerknął na tekturową tablicę z tekstem, którą trzymał adiutant stojący naprzeciw stolika z uszatym mikrofonem. Pierwsze słowa zabrzmiały dziwnie i trochę niesamowicie nawet dla niego samego. Chciał, by jego przemówienie było stanowcze i bezdyskusyjne i, o dziwo, jego głos oddał to perfekcyjnie:

Uświadamiamy sobie w pełni to, co w głębi serca czują wszyscy nasi poddani. Nakaz chwili i rozwój wydarzeń skłonił nas do podjęcia decyzji o wstąpieniu na drogę prowadzącą do pokoju służącego przyszłym pokoleniom, znosząc to, co jest nie do zniesienia, i zgadzając się ścierpieć to, co nie jest do ścierpienia...

Głos płynął gładko, jak z ust zawodowego spikera, ale myśli cesarza wybiegły poza tekst: To się nazywa „pić sake z cudzej czarki”¹¹. Swoją drogą, czy mogłem być bardziej stanowczy wcześniej? I cóż by przyniósł mój sprzeciw? Narodowi i tak by tego nie wyjawiono, a gdyby nawet, naród nie byłby zachwycony „dysydencką” postawą swego władcy wobec wojny. A tak

zupełnie szczerze... Sam siebie nie muszę oszukiwać... Może marzyło mi się imperium rządzące światem aż po najdalsze horyzonty? Któż by o tym nie marzył? W moim życiu niczego istotnego by to nie zmieniło, ale chwała i potęga dynastii wzrosłyby niepomniernie. Tyle tylko, że nie ponieśliśmy ku horyzontom miecza ofiarującego życie, ale miecz zadający śmierć, a kto tak czyni, skazany jest na zagładę. By nie była zupełna...

Niech naród zjednoczy siły i poświęci je budowaniu przyszłości. Szanujcie prawa. Zachowajcie szlachetność ducha. Pracujcie wytrwale na wieczną chwałę cesarstwa, tak by dotrzymać kroku postępowi narodów świata.

To było wszystko, co mógł powiedzieć swoim poddanym, a tekst przemówienia stanowił mistrzowską kompozycję utartych, grzecznościowych zwrotów i istotnej informacji. Informacji o tym, że cesarz zgadza się na bezwarunkową kapitulację, a wręcz ją nakazuje. W istocie przemówienie przekazywało jeden najważniejszy komunikat: „Poddajemy się”, a ponieważ ja, cesarz, się na to godzę, wy, moi poddani, nie popełniając samobójstwa, możecie uważać, że zachowaliście honor. A tak naprawdę – pomyślał, wstając od mikrofonu – zhańbiliśmy się wszyscy. Jedni mniej, drudzy bardziej, i nie wiem, czy na ulicy będę w stanie podnieść na was oczy, i czy nie naplujecie mi w twarz. Nie potrafiliśmy zwyciężyć, a teraz nie potrafimy nawet godnie umrzeć. Cóż. Jeśli tak, musimy żyć i starać się zapomnieć.

80 mil na południe od wyspy Ponape, wschodnie Karoliny, tuż przed wschodem słońca 16 sierpnia 1945 roku

– Panie kapitanie. Radiogram ze sztabu floty.

Kaneyasu oderwał się z żalem od podwójnych okularów wodoszczelnej, powiększającej dwudziestokrotnie lornety i wziął blankiet depeszy z rąk sygnalisty. Radiogram nadano po raz pierwszy poprzedniego dnia

o szesnastej, gdy byli pod wodą. Powinien go dostać wczoraj po wynurzeniu już o dwudziestej pierwszej, ale najwidoczniej coś szwankowało w łączności. Kilka zdań informujących o zawieszeniu broni i nakazujących wstrzymanie ognia przyjął bez zdziwienia. W przeciwieństwie do sporej części oficerów z jego rocznika shosa * (* *Komandor porucznik.*) Toru Kaneyasu, w kwiecie swoich trzydziestu sześciu lat, myślał trzeźwo i zazwyczaj trafnie kalkulował szanse, nie tracąc intelektualnej energii na mrzonki i narodowe tromtadractwo. Depeszę o takiej właśnie treści przewidywał od kilku miesięcy. Zwinął radiogram w kulkę i cisnął za burtę. Widząc, że młodziutki sygnalista z ledwie sypiącym się pod delikatnym nosem wąsikiem czeka ze służbistym napięciem na twarzy, położył dłonie na jego ramionach i spytał:

– Oficerowie wiedzą? – Chłopiec, zaskoczony serdecznym gestem, pokręcił tylko przecząco głową. – To idź i im powiedz – polecił ciepło Kaneyasu i obrócił sygnalistę w palcach. – Powiedz też, że zaraz schodzimy i żeby za dwadzieścia minut szefowie działów zebrali się w mesie.

Sygnalista zniknął we włazie, a Kaneyasu znów przywarł do lornety. Nie musiał być aż tak gorliwy. Na galeriach rozłożystego kiosku były oprócz tej lornety cztery takie urządzenia, a wachtowi skrzętnie penetrowali horyzont. Lubił po prostu obserwować przez morskie szkła wschód słońca. Z powodu radiogramu przegapił początek najwspanialszego widowiska. Za nic nie dałby sobie odebrać reszty. Morze było zupełnie spokojne, a okręt płynący z prędkością zaledwie kilku węzłów zdawał się przesuwać po lustrzanej tafli. Woda była jak olej ryżowy albo jak chłodne płynne złoto. Wielki kadłub ledwie poruszał powierzchnię, tworząc łagodne oleiste fałdy. Podobnie delikatnie – wspominał Kaneyasu – przesuwało się żelazko jego babki, gdy prasowała jedwabne kimono. Właśnie. Powierzchnia była jak jedwab, sprawiała wrażenie dającej się kroić krawieckimi nożycami. Kawałek tarczy słonecznej przebił już ławicę niskich, bardzo ciemnych chmur ścielących się tuż nad czarną jeszcze linią horyzontu. Gdyby nie wiedział, dałby się nabrać tym teatralnym efektom. Tam nie było przecież

żadnego lądu, a pasmo zagadkowych tajemniczych wzgórz to zbite chmury. Od silnie już świecącego wiśniowym zarem rąbka słońca biegła przez lustrzaną powierzchnię aż do dziobu okrętu czerwono-złota ścieżka. Gdyby na nią zszedł i pobiegł bardzo, ale to bardzo szybko, być może udałoby mu się dobiec do niby-wyspy z chmur jeszcze przed wschodem.

Wyżej nad niby-chmurami były chmury prawdziwe. Ale nie było ich wiele. Właściwie jedna, bo kilka obłoków zlewało się powoli i niedostrzegalnie w jeden fantastyczny kształt stanowiący dla obserwatora prawdziwą zagadkę. Pomogło ją rozwiązać dopiero światło słoneczne. Żółty snop, niczym teatralny punktowy reflektor, przebiwszy wreszcie warstwę sepii tuż nad horyzontem, wytrysnął w górę i ostro, oślepiającym konturem zarysował kształty. Jak można było tego nie dostrzec? To był smok. Wielki, dobry smok, któremu przebito wydęty brzuch rozpalonym ostrzem. Kadłub smoka pękł i wyciekały zeń świetliste wnętrzości. Krótkie oponiaste skrzydła zwinęły się z bólu. Wielka paszcza z rzędami przerażających zębów rozwarła się w bezgłośnym ryku i tylko strzępki ognistego dymu buchające z paszczy zaświadczały o tym, że smok jeszcze żyje. Poparzone słonecznym wybuchem łapy i długi jak u latawca ogon wlokły się żałośnie za umierającym gadem. Jeszcze chwila i słońce, którego połowa tarczy prawie przebiła się przez sepię, rozerwało smoczy brzuch na świetliste strzępy i przed oczami zachwyconego feerią kapitana rozwinęło się na niebie dziwnie regularne *hinomaru* [12](#).

Kaneyasu obrócił lornetę i rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na galeryjki kiosku, sprawdził, czy wachtowi nie zauważyli, czym zajmuje się ich dowódca. Czterej chłopcy zajęci byli jednak metodyczną obserwacją nieba i wody w wyznaczonych sektorach. Obsługi działek przeciwlotniczych manifestowały podobny brak zainteresowania jego osobą, choć był pewny, że załoga pokładowa doskonale zna tę jego słabość. Festiwal czerwieni i złota zamieniał się w prezentację bieli, szmaragdu i błękitu. Nie należało dłużej pozostawać na powierzchni.

– Na dół! – polecił wachtowym, a ci sprawnie zablokowali lornety

w położeniu marszowym i jeden po drugim zniknęli we włazie, jak rodzina bobaków w norce. Ośmiu kanonierów obsługujących trzy potrójne i jedno pojedyncze stanowisko przeciwlotniczych dwudziestopięciomilimetrowych działek rozładowało i zablokowało broń i uginając się pod ciężarem, lokowało amunicję w beczkowatych wodoszczelnych parkach. Takie rozwiązanie było o wiele lepsze niż każdorazowe znoszenie pocisków na dół przez jeden z siedmiu wyjątkowo ciasnych włazów. Dwudziestopięciomilimetrowy pocisk do szybkostrzelnych działek ważył ćwierć kilograma, a były ich przecież setki w piętnastonabojowych łódkach. Same działka były wodoszczelne¹³. Wielka armata kalibru 140 mm¹⁴ na tylnym pokładzie nie była obsadzona, więc tam nie było nic do zrobienia. Wojna się skończyła, a gigantyczne działo nigdy nie wystrzeliło w kierunku wroga. Cóż za ironia? Ostatnie spojrzenie na niebo i ocean. Pusto. Zapowiadał się piękny bezwietrzny dzień. Stojąc na drabince głównego włazu, Kaneyasu starannie dokręcił koło dociskowe i zszedł do centrali. Nie musiał sprawdzać, czy są gotowi. Był pewien.

– Zanurzenie. 25 metrów. Marsz.

Szturman dai-i¹⁵ Takeo Shimada poszukał wzroku dowódcy, a ten skinął głową, co znaczyło: Radź sobie. Nie chciało mu się nadzorować znanych do bólu procedur. Chciał pomyśleć, co ma robić dalej i co powiedzieć załodze. Tłuściutki i zażywny Shimada z wypiełgnowanym wąsikiem doskonale wiedział, co ma robić, choć zanurzanie kolosa wypierającego pod wodą ponad pięć tysięcy ton to skomplikowana praca. Kaneyasu oparł się o stół nawigacyjny i wsłuchał w kontrapunkt komend i odgłosów. Dzwonki i brzęczyki. Gasnące kontrolki ryglowania włazów. Shimada głosem wysokim niczym trąbka podawał kolejne rozkazy. Gdzieś daleko z tyłu w przedziałach rufowych zamiera niedźwiedzie mruczenie diesli. Śpiewając mocarnie, silniki elektryczne wchodzą od razu na obroty. Stuk pokryw zamykających wydech silników spalinowych kontrapunktuje meldunki z siłowni. Gotowość meldują pozostałe przedziały. Teraz grzmiąca symfonia powietrza uchodzącego z otwartych odwietrzników. Okręt nabiera

szybkości.

– Napełniać! – trąbi Shimada, a nim obsługa stacji zanurzenia zdąży powtórzyć polecenie, padają kolejne dla sterników.

– Dziób minus piętnaście. Rufa minus dziesięć.

Sześcioszprychowe koła kręcą się w dłoniach sterników, a okręt wyraźnie choć powoli pochyla ciężki nos w dół. Przy takich manewrach czuje się dobrze, jaki jest wielki i ciężki. Przecież to pływający zbiornik na ropę. Można niemal okrążyć kulę ziemską. Ropy wciąż jest dużo. Nad ich głowami huczy i grzmi uchodzące ze zbiorników powietrze. Uderzenia wody o skomplikowane galerie kiosku nie słychać pewnie dlatego, że morze jest bardzo spokojne. Jeszcze kilkadziesiąt sekund i wszystko cichnie. Okręt jest pod wodą. Manometr pokazuje dwadzieścia pięć metrów i główny mechanik bierze się do trymowania. Okręt staje na równej stępce, ale główny mechanik wpatrzony w swoje przyrządy nie jest jeszcze zadowolony i rozpoczyna aptekarskie przelewanie balastów. Trwa to dłuższą chwilę. Kaneyasu ma czas, by coś przedsięwziąć. Dowódca takiego okrętu to właściwie reżyser na planie. Gdy skończy się jedno ujęcie i zmienią dekoracje, trzeba przystąpić do następnego, bo aktorzy i ekipa są gotowi. Trzeba jednak mieć pomysł na to ujęcie, szczególnie gdy w scenariuszu następuje niespodziewany zwrot.

– Kładziemy się na dno – komenderuje Kaneyasu i podchodzi do stołu nakresowego, by sprawdzić głębokość.

15 minut później w mesie

Przedział nazywany szumnie mesą łączył funkcje jadalni i sypialni i był w istocie ponurą klaustrofobiczną dziurą. Jednakże po tygodniach w morzu to i tak najbardziej wytworne pomieszczenie na okręcie wydawało się najprzytulniejszym miejscem na świecie.

Po lewej, patrząc w stronę dziobu, przyśrubowany do podłogi, podwójny i solidny stół, a z obu jego stron ławy z oparciami, wymoszczone

wypchanymi ryżową słomą białymi materacami z grubego żaglowego płótna. Stół wykonano z jasnej sosny, a bezbarwny lakier nie zniszczył piękna surowych słoików.

We wnętrzach okrętu było niewiele drewnianych sprzętów, toteż stół był obiektem adoracji ludzi tęskniących za widokiem lądu i zieleni. Także za zapachami lądu. Kaneyasu pomyślał, że niepotrzebnie lakierowano stół. Można by go było również wachać. Ale nielakierowany nasiąkłby jednak szybko zapachami okrętu, ludzkich dłoni i posiłków, a tak pachniał przynajmniej olejnym lakierem.

Prawą stronę ich wytwornego salonu zajmowały dwa poczwórne rzędy piętrowych koi. Pod nimi mieściło się szesnaście szafek-szufladek na osobiste rzeczy oficerów. Koje też były właściwie wielkimi szufladami. Wciskało się do nich stopami naprzód i będąc już w środku, można się było odciąć od okrętowej codzienności, zasuważąc płócienną zasłonkę z takiego samego żaglowego płótna jak to, którym obszyto materace. Żaglowe płótno i lakierowana sosna nadawały mesie nieuchwytny i najzupełniej przekorny w tym miejscu ton elegancji. Wystarczyło teraz postawić na cudownym stole jedno ładne, całkiem proste naczynie, ot choćby takie jak ta, wykonana z chropowatej glinki miseczka na sól, by poczuć się niemal jak w domu. Wchodziło się do tej groty cudów przez pomieszczony tuż nad podłogą sześćdziesięciopięciocentymetrowy wąż z wypukłą, wytrzymałą większe ciśnienia klapą. Wystrój wnętrza uzupełniały ciągi grubych i cienkich rur pod sufitem, rury głosowe, kilkadziesiąt kranów i zaworów, podstawowy zespół wskaźników nad wjazdem, a wreszcie dwie silne żarówki pod sufitem, w kloszach ze wzmocnionego szkła. Dalej w stronę dziobu znajdował się jeszcze jeden oficerski apartament, mniejszy, przeznaczony tylko dla ośmiu ludzi i niewyposażony w tak wspaniałe stół. Mieszkali tutaj piloci posiadający najczęściej stopnie oficerskie. Załoga miała jeszcze gorzej, a jedynym luksusem jej pomieszczeń była całkiem przyzwoicie działająca klimatyzacja. Poborowi w liczbie 124 nie mieli szans nawet na odrobinę prywatności. Ich szafki nie miały mosiężnych uchwytów, a jedynie

zwykle pokrywy ze sklejki. Musieli w nich zmieścić pościel i rzeczy osobiste, a sypiali na zmiany na podwieszanych na łańcuchach „łózkach” – płachtach brezentu rozciągniętego na stalowych ramach. Było to w założeniu higieniczne, ale nie zapewniało żadnego komfortu. Posiłki jadali także tu, w swoim „międzypokładzie”, siedząc na pokrywach szafek, i podobnie jak oficerowie mogli urozmaicać ten czas wpatrywaniem się w rury i pokrętła. Ale w końcu nie był to statek wycieczkowy, tylko Sentoku¹⁶.

Kaneyasu, który zjawił się tu pierwszy, wcisnął się w swój ulubiony kątek pod ścianą i gładząc delikatnie sosnowy blat, tak by poczuć nierówności drewna pod lakierem, czekał, aż zbiorą się najważniejsi po nim ludzie na okręcie. Ostatni, jak zwykle, zjawił się wiecznie uśmiechnięty szef ekipy lotniczej Katsuo Sakamoto. Nie to, żeby się spóźnił. Nigdy się nie spóźnił. Najzwyczajniej w świecie przychodził ostatni, wtedy, kiedy wszystko, co nie wymagało jego bezpośredniego udziału, było już zrobione i gotowe. Można to było oceniać dwojako. Albo ganić Sakamoto za brak entuzjazmu i niemanifestowanie gotowości, albo chwalić za doskonałe gospodarowanie czasem właściwe tylko najlepiej wytrenowanym wojownikom. Kaneyasu nie robił ani jednego, ani drugiego, uważając, że dopóki zachowanie porucznika nie godzi w okrętowy regulamin, nie ma się nad czym zastanawiać. Dlatego także teraz, gdy przystojny, uśmiechnięty Sakamoto sadowił się na ostatnim wolnym skrawku ławy, przywitał go uśmiechem. Lubił porucznika, który nikomu nie nadskakiwał. Nigdy nie był przygnębiony i opowiadał świetne dowcipy, które obiegały błyskawicznie cały okręt. Kaneyasu poczekał uprzejmie kilka chwil, aż przestaną gadać. Szanowali go, więc nie trwało to długo.

– Pewnie już wiecie. Szósta Flota dostała rozkaz powrotu do Kure. Mamy zawieszenie broni... – Przerwał czekając na reakcję.

– No... tośmy się nawojowali – westchnął główny mechanik i zabrzmiała w tym ulga. Szef dobiegał pięćdziesiątki i miał liczną rodzinę.

– Czy Ariizumi¹⁷ wraca? – spytał ktoś.

– Przypominam panom – surowo rzucił Kaneyasu – że nie powinniśmy o tym niczego wiedzieć. Nasza misja jest tajna, a komandor Ariizumi nawet nie wie o naszej tu obecności. Muszę też panom przypomnieć, że mam ze sztabu floty daleko idące prerogatywy i nawet w wypadku takiej jak ta szczególnej sytuacji mogę działać samodzielnie.

– Czy to oznacza, że nie wracamy? – zaniepokoił się szef ekipy lotniczej. Uśmiechał się, ale teraz jego zwykle sympatyczny uśmiech wydał się dowódcy drewniany.

– To oznacza jedynie tyle, że decyzję już podjąłem, ale zanim ją ogłoszę, chciałem poznać wasze zdanie. Po kolei. Poruczniku Sakamoto, pan ma zdaje się wiele wątpliwości?

Uśmiechnięty lotnik rzucił głową, jak koń urażony zbyt ostrym wędzidłem. On też lubił kapitana, a publiczna dysputa wcale go nie krępowała.

– Będę szczery. Panie kapitanie... Jeśli flota wraca, to my chyba też powinniśmy się wynurzyć. Wywiesić białą flagę. I wracać. – Wbrew temu, czego można się było spodziewać, Sakamoto nie szukał niczyjej aprobaty. Chciał wracać, i koniec. Kaneyasu skierował pytające spojrzenie na kolejnego oficera.

– Myślę dokładnie tak samo, panie kapitanie.

Pozostali byli podobnego zdania. Nie wyłączając szturmana. Najwidoczniej mieli dość wojny. Kaneyasu życzliwie pokiwał głową. W tym gronie czuł się nieraz jak stary nauczyciel wśród uczniów. Choć od większości z nich dzieliła go bariera wieku, to przecież było to tylko dziesięć lat. Czuł się jednak o wiele dojrzały, a oni bez protestu przyjmowali jego wyrozumiały, spokojny styl dowodzenia i udzielania rad.

– Rozumiem, co czujecie. Kapitulacja nie jest czymś przyjemnym i nie będziemy jej świętować, ale możemy się cieszyć, że wojna się kończy i ludzie nie będą ginąć. Musicie jednak zrozumieć to, co wam powiem, i zaufać mi. W naszym przypadku zawieszenie broni oznacza co innego. Wymaga to od was specjalnego zrozumienia, jesteśmy bowiem specjalną

załogą na pokładzie specjalnego okrętu.

Słuchali go z zapartym tchem, a jemu sprawiało przyjemność to, że nikt nie przerywał ani nie protestował. Najwidoczniej przez te wszystkie miesiące stał się dla nich autorytetem. Czego jednak przez ten czas zdołał się o nich dowiedzieć? Było wiele dni trudnych, godzin krytycznych, minut i sekund na granicy życia i śmierci. Żaden się nie rozkleił. Zachowywali się jak należy. Krótkie urlopy zgodnie z rozkazem musieli spędzać osobno. A oni o nim? Co wiedzą? Może tylko to, co chciał im pokazać. Uważał się za człowieka opanowanego i skrytego. Nie miał na tym okręcie przyjaciół, ale nie miał też wrogów. Czy oddaliby za niego życie? Albo... może inaczej: Gdyby kazał im umrzeć? Czy wykonaliby taki rozkaz? Katsuo może i tak, ale szturman? Ten sybaryta i wygodniś? Wątpliwe. Tworzyli jednak sprawny zespół i prócz małych scysji o drobiazgi, których dziś zapewne nikt nie pamięta, nie było między nimi konfliktów. Żądał od nich dobrego i sprawiedliwego traktowania załogi, co nie znaczy, że nie był wymagający. Był. Ale nie krzyczał i nie unosił się. Nie stosował zwyczajowych kar. Karą w jego pojęciu było to, że zmuszał do perfekcji, cierpliwie tłumacząc, interpretując niejasności, wytykając życzliwie błędy i każąc powtarzać czynności i procedury w nieskończoność. Tak go nie uczono, on tak uczył. Wiedział doskonale, że powszechnie stosowany we flocie system oparty na lizusostwie i donosicielstwie sprawdza się doskonale jedynie podczas postoju okrętu na kotwicy w bazie. Na morzu, szczególnie podczas wojny, był do niczego. Kiedy odbywał swój staż we flocie podwodnej, miał nieszczęście, albo szczęście, trafić na szefa, który był typowym produktem takiego systemu. Dla tego człowieka nie istniało nic ważniejszego od manipulacji podwładnymi. Traktował ich jak figury, którymi można rozgrywać dowolne gry, a oni, o zgrozo, dawali się w to wciągać. Gdy ledwie opierzony sho-i marynarki¹⁸ zaraz po ukończeniu kursów oficerskich zjawiał się na pokładzie stareńkiej, projektowanej jeszcze przez Vickersa RO-51, czuł się jak widz w teatrze. Oczywiście, dopóki nie zaproszono go do udziału w sztuce. Okręt był niewielki, a oficerów łącznie z nim, stażystą,

ledwie sześciu. Kapitan... diabli nadali, jak on się nazywał? Okuyama. I miał takie śmieszne, rzadkie imię – Bando. Na pierwszy rzut oka uosobienie uprzejmości i ogłady. Bardzo sympatyczna, choć mała jak u dziecka twarz pokryta siateczką delikatnych zmarszczek. Dla tego człowieka nie było nigdy żadnych problemów. Wszystko da się przecież załatwić. Jakoś to będzie. Zadbamy o to. Proszę to zostawić mnie, i tym podobne truty. W rzeczywistości pasją tego miłego człowieka było napuszczanie jednych oficerów na drugich. Metoda była fenomenalnie prosta. Kaneyasu został z nią zapoznany już po kilku dniach. Okuyama wezwał go na pomost. Dzień był mglisty i nieprzyjemny. Kapitan co chwila przecierał okulary morskiej lornety, bo najwidoczniej osiadała na nich wilgoć. W niewielkim kiosku byli tylko oni dwaj. Okręt z mizerną patrolową szybkością snuł się jak chory delfin po spokojnej, okrytej delikatną blendą rzadkiej mgły powierzchni morza. Diesle pulsowały nierówną mrużanką, a kratkowana podłoga pod nogami podchorążego drżała lekko. Kaneyasu zameldował się i czekał, co też Okuyama ma mu do powiedzenia. Ten jednak zwlekał i przez kilka minut metodycznie lornetował horyzont, jakby spodziewał się eskadry nieprzyjacielskich pancerników. W tym rejonie, i to w czasach pokoju, można było dostrzec jedynie flotyllę rybackich kutrów. Wreszcie, gdy Kaneyasu zamierzał już, nie bacząc na służbową etykietę, spytać o powód wezwania, Okuyama, nie odrywając oczu od lornety, wyartykułował tekst, który zaskoczył nowicjusza:

– Szturman skarżył się na pana chorążego...

Fala niepokoju podeszła mu wtedy do gardła. Serce zaczęło bić szybciej. W panice przeszukiwał pamięć, starając się znaleźć przyczynę krytyki. Zamurowało go i nie był w stanie odpowiedzieć. Wstydził się, jakby rzeczywiście miał coś na sumieniu, i milczał. To właśnie go ocaliło. Okuyama, który liczył na to, że stażysta złapie się na haczyk, wycofał się pospiesznie:

– Zresztą... to nic takiego. Tak w ogóle to raczej pana chwalił.

– Będę się starał, panie kapitanie – zdołał wreszcie wybąkać Kaneyasu, a Okuyama przytaknął bez entuzjazmu:

– Tak. Właśnie. Niech pan się stara. Ze wszystkich sił. Zresztą... Może pan odejść.

W ciągu kilkunastu dni bacznej, choć dyskretnej obserwacji Kaneyasu rozszyfrował mechanizm działań Okuyamy. Kapitan stosował dwa tanie, ale skuteczne chwyt. Pierwszy to informowanie wybranego oficera, że ktoś się na niego skarży albo że ktoś coś złego o nim powiedział. Naturalną reakcją ofiary było dopytywanie się o szczegóły, przyczyny, treść zarzutów i tak dalej. Drugi chwyt polegał na krytykowaniu i mówieniu najgorszych rzeczy jednym oficerom o innych. Te dwa prymitywne zagrania tworzyły klasyczny mechanizm *divide et impera* w najmarniejszym wydaniu, stosowniejszym raczej dla bab plotkujących w maglu niż dla cesarskiego dowódcy, któremu powierzono pieczę nad okrętem i morale ludzi. Wyglądało jednak na to, że prócz nowicjusza, który miał jeszcze prawo potykać się w szatach swego podwodnego zakonu, żaden ze starszych od niego i niewątpliwie czujniejszych wilków morskich nie połapał się w tej metodzie. W efekcie kadrę przenikała podejrzliwość, a oficerowie nie byli w stanie rozmawiać szczerze ani ze sobą, ani z kapitanem. Wszyscy coś udawali i na okręcie trwał nieustający festiwal mitomanii. Okuyama miał ich w garści. Skłóconych, donoszących na siebie nawzajem. Nieufnych i podlizujących mu się przy każdej nadarzającej się okazji. To nie byli źli czy głupi ludzie. A jednak nie potrafili wyrwać się z magicznego kręgu, który kapitan zakreślił wokół nich. Oficerowie chcieli za wszelką cenę robić karierę we flocie. Ściślej mówiąc, interesowało ich *shusse dai ichi shugi*¹⁹, czyli karierowiczostwo, od którego bardzo już blisko do lizusostwa. Ci, którzy w szkole uczyli się francuskiego, gdyby chcieli i mieli po temu okazję, mogliby sprawdzić francuski źródłosłów wyrazu kariera w językach Zachodu. Wywodził się on od wyścigów kłusaków, ciągnących charakterystyczne, dwukołowe wózki. Gdyby byli jeszcze bardziej dociekliwi, mogliby nawet dotrzeć do mądrego francuskiego porzekadła,

które głosi, że kariera to taki koń, który do mety dobiega bez jeźdźca. Możliwości zaprzepaszczenia szans było bez liku, a wiele z nich trzymał w dłoniach Okuyama.

Już podczas jednej z pierwszych rozmów z kapitanem Kaneyasu odniósł wrażenie, że Okuyama roztacza wokół siebie delikatną woń alkoholu. Kolejne bliższe spotkania utwierdziły go w tym spostrzeżeniu. Kapitan najwidoczniej pociągał z butelki, i chyba czynił to systematycznie i w określonych porach, gdyż zapach alkoholu bił od niego tylko podczas wieczornych i nocnych wacht. Kaneyasu nie miał nic przeciwko alkoholowi, ale dowodzenie okrętem w morzu i regularne zaprawianie się były w jego opinii nie do pogodzenia. Żeby ustosunkować się choćby tylko w duchu do praktyk kapitana, nazywał go w myślach *Bandoiruka**. (*Szyjka od butelki (jap.)). Przewisko to pasowało znakomicie także do sylwetki Okuyamy, który przy mizernym wzroście miał szeroki, obwisły, otłuszczony zad, wąskie, nieumięśnione ramiona podtrzymujące szyję i głowę, która rozmiarem pasowałaby lepiej do marionetki z przedstawienia *bunraku* [20](#).

Kaneyasu też myślał o karierze, ale rozumiał to po swojemu i bardzo specyficznym, jako doskonalenie umiejętności, zdobywanie wiedzy i doświadczenia. Mniej interesowało go szpanowanie kolejnymi złotymi paskami na rękawach i brylowanie na rautach w klubie oficerskim. Nie brakowało mu ani pieniędzy, ani ogłady. Był młody, bardzo przystojny, miał powodzenie u dziewcząt i kobiet, potrafił samodzielnie myśleć. Wobec tych walorów Szyjka od butelki był dla niego najgorszym z możliwych do naśladowania wzorów. Kaneyasu jednakże wcale nie zamierzał się na Okuyamie wzorować. Zamierzał się od niego uczyć. Dziesięć lat praktyki *budo* przekonało go, że warto się uczyć nawet od głupców, bo głupcy mają doskonale opanowane głupie i zaskakujące techniki, które mędrcom nigdy nie przyszłyby do głowy. Wypracowanie obrony przed podstępными atakami-intrygami szyjkobutelkowego Okuyamy nie było trudne. Wystarczyła otwartość i bezkompromisowa szczerowość zabarwiona odrobiną naiwności i prostolinijności. Do kolejnej zaczepki stażysta był

przygotowany, a *Bandoiruka* i tym razem nie silił się na wyrafinowane chwytły.

– Panie chorąży, dziwi mnie, że Szeł (główny mechanik) wygaduje o panu takie rzeczy...

– Jeśli pan kapitan uważa, że powinienem je usłyszeć bezpośrednio od niego, to proszę o wpisanie mnie do raportu i łaskawą obecność przy oficjalnej rozmowie z Szelem – powiedział śmiało Kaneyasa, podnosząc gardę do wysokiej pozycji.

– Ale co też pan? To pewnie tylko plotki. – Szyjka zrejterował pospiesznie, czerwieniąc się aż po szczyty pyzatyeh i równie obwisłych jak zad policzków.

– Niemniej proszę o wpisanie mnie do raportu. Jak panu kapitanowi wiadomo, mam do tego regulaminowe prawo. Jeśli ktoś mówi o mnie źle i dowiaduję się o tym okreśną drogą, to – przy całym szacunku dla pana kapitana – życzyłbym sobie to usłyszeć bezpośrednio z ust tej osoby.

Szyjka został przyparty do muru. Nie było odwrotu, bo oszczerstwa Szefa były oczywiście wyssane z palca. Po serii dramatycznych wykrętów i uników Szyjce udało się doprowadzić do tego, że Kaneyasu łaskawie zwolnił go z konieczności organizowania konfrontacji. Od tej pory kapitan traktował swego stażystę z ostrożnym szacunkiem, nie próbując kolejnych zagrań. Rozmowę musiał w dodatku podsłuchać któryś z sygnalistów i rzecz się rozniosła. Prosty *okuden*²¹, wynaleziony zupełnie – dodajmy – samodzielnie, przez Kaneyasu, został wykorzystany przez kolejne ofiary Okuyamowego terroru z równie znakomitym skutkiem. W dwa tygodnie życie na okręcie zupełnie się odmieniło. Ludzie zaczęli patrzeć sobie w oczy i szczerze ze sobą rozmawiać, a *Bandoiruka* zaszył się pod pokładem w swojej kabinie, wyłażąc tylko wtedy, gdy procedury bezwzględnie wymagały jego obecności. Kaneyasu zaś zaczął cieszyć się niezwykłym szacunkiem.

Na zakończenie stażu spotkała go miła niespodzianka. Okuyama dał mu najwyższe rekomendacje i najwyższe oceny, co potwierdza jedynie prostą

prawdę, że jeśli umiemy szanować siebie, inni także nas uszanują. Nawet jeśli są *Bandoiruka*.

Swoich oficerów i stażystów Kaneyasu traktował więc z całym szacunkiem z powodu owej antylekcji, której mu niegdyś udzielono. Gdy przychodzili do niego ze skargami na kolegów, odsyłał ich bezpośrednio do adresata, nie angażując swojego autorytetu w spory i intrygi. Nie był jednak miękki. Wymagał i egzekwował. Nie uważał siebie za dobrego dowódcę. Nie przypisywał też sobie szczególnych umiejętności przewodzenia grupie. Był przekonany, że istnieją zajęcia, w których sprawdziłby się lepiej i miałby z tego więcej satysfakcji. Rezerwa, z jaką odnosił się do siebie, nie znajdowała jednak potwierdzenia w praktyce; na okręty, którymi dowodził, ludzie zaciągali się bardzo chętnie, gdyż otaczała je dobra sława. Mimo to – pomyślał – nie wiadomo, jak zareagują teraz na jego decyzję. Obcował z nimi od dawna i był pewien, że nie ma między nimi fanatyków. Mógł za to być ktoś nasłany ze sztabu, ale temu akurat jego decyzja powinna być na rękę. W każdym razie należy się spodziewać najgorszego... Poprawił się w swoim kącie i dotknął pistoletu za paskiem spodni. Broń ogrzała się od gołej skóry na brzuchu i przez chwilę wydawało mu się, że pistolet parzy. Było to jednak złudzenie. Ze ścianą za plecami i z bronią mógł wyjść z tego cało i postawić na swoim.

– To, że flota wraca i wywiesza białe szmaty, to jedno. My mamy własne rozkazy i ten możemy wyrzucić do klozetu.

Poruszyli się niespokojnie, jakby pobudzeni jednym wspólnym impulsem, a on, upewniwszy się, że broń dobrze siedzi za paskiem, wyjął dłoń spod stołu i spokojnie sięgnął po imbryk z herbatą. Nalał sobie i podnosząc czarkę do ust, zlustrował ich wzrokiem. Zdawali się pić słowa z jego ust, ale w żadnej parze oczu nie dostrzegł wrogości.

– Zatem, moi panowie, możecie uważać, że dla nas wojna jeszcze się nie skończyła.

– Zamierza pan atakować? – wyrwał się Sakamoto, ale w jego oczach nie było entuzjazmu. Raczej zmęczenie.

– W żadnym wypadku. Zamierzam wracać do tajnej bazy. Przyczaimy się na kilka dni, aż zamieszanie przycichnie. Amerykanie będą raczej zajęci przejmowaniem kapitulujących jednostek i nie powinno być niespodzianek, ale maszerować będziemy w nocy.

– A potem? – chciał wiedzieć szturman.

– Potem? To znaczy, jak dojedziemy? – uśmiechnął się nie bez zakłopotania Kaneyasu. – Przesiądziemy się do naszych autobusów. Zdejmujemy marynarskie mundury i pojedziemy do kraju. Oczywiście jako zdemobilizowani. Papiery i ubrania czekają. Okręt i samoloty zostaną w bazie. Są pytania?

Leninград, siedziba Admiralicji, gabinet wiceadmirała Siergieja Aleksandrowicza Kotielnikowa, październik 1945

Order był piękny. I cenny. To nie była tania imitacja ze stopu drukarskiego, ale złoto i platyna. Z szesnastokaratowego złota odlano korpus cyzelowany w stylizowane kłosa z nieodzownym sierpem i młotem na dole i emaliowaną na czerwono gwiazdą, ułożoną oczywiście nie przez przypadek z lewej. Tak, by wódz rewolucji miał ją przed oczami. Sam Włodzimierz Iljicz, choć wytłoczony w czystej platynie, nie udał się projektantowi najlepiej. Głowę zamiast z rewolucyjną dumą trzymał jakoś krzywo, co przywodziło na myśl paralityka albo kogoś, komu podcięto ścięgno na szyi. Spojrzenie miał kose, wyrażające manifestacyjną dezaprobatę dla umieszczonej mu przed nosem gwiazdy, i na dodatek jedno ramię wyższe. Jakby dla dopełnienia sardonicznych, choć niezamierzonych przez medaliera akcentów, czerwony sztandar rozwinięty nad głową łysego herosa układał się najwyraźniej w koguci grzebień i admirał, ilekroć patrzył na order, odnosił wrażenie, że wódz za chwilę wespnie się na palce i zapieje ochryple, z wysiłkiem. Gdyby ktoś, kto akceptował projekt, miał

choć odrobinę gustu i wyczucia, wysłałby projektanta ciupasem dostatecznie daleko, by ten w skupieniu niezakłóconym zgiełkiem cywilizacji mógł odbyć pogłębione studia nad rewolucyjną estetyką. Ale nie miał.

Wiceadmirał Siergiej Kotielnikow po raz ostatni popatrzył na zezowatego wodza i uśmiechając się do swoich myśli, odłożył order pomiędzy trzy inne, identyczne, na dno specjalnej wyściełanej sukniem szuflady w lewym skrzydle sążnistego biurka. Admirał chętnie wylazłby z za tego biurka i wrócił na morze. Ale cóż. Na razie było to niemożliwe i nic nie zapowiadało zmiany. Kotielnikow zadumał się, patrząc na bure fale pędzone przez hulający po Nowie ostry jesienny wiatr, i bezwiednie oblizał czubkiem języka wargi, szukając na nich smaku słonej wody. Kiedy to ostatni raz było się na morzu? Oj, dawno. Nawet wojnę, jak na ironię, Kotielnikow spędził jako dowódca słodkowodnej flotyli dunajskiej wspomagającej działania armii na Ukrainie i na Bałkanach. Jednakże to niegodne wilka morskiego zajęcie okazało się bardzo owocne, a sukcesy flotyli – efekt umiejętnego wyważenia racjonalności i brawury w postępowaniu jej dowódcy – zdecydowały o jego obecnej pozycji. Bowiem generalnie flota w porównaniu do armii i sił powietrznych nie miała się zupełnie czym chwalić. Nawodni ani razu nie wyprowadzili swoich skorup przeciwko okrętom Osi w jakiejś znaczącej i spektakularnej operacji. Podwodniacy byli zadziwiająco mało efektywni, chociaż rozpoczęli wojnę na stosunkowo nowoczesnym sprzęcie. Admirał spróbował najpierw dokonać bilansu w myślach, ale już po chwili uległ swej naturze skłonnej do porządkowania rzeczywistości. Wzdychając, sięgnął do innej szuflady i wydobył oprawiony w skórę notatnik sporego formatu. Potem nie bez trudu (cierpiał na niedowład w wyniku rażenia odłamkiem) wygramolił się z za biurka i niechlujnie szurając podszwami po wspaniałym dywanie ze stylizowanymi żaglowcami, różami wiatrów i morskimi potworami, ruszył w stronę regałów z zamykanymi na solidne zamki żaluzjami. Wróciwszy za biurko z kilkoma segregatorami, położył je na blacie i otworzył notatnik na

czystej stronie. Odkręcił wieczne pióro i drobnym, równym pismem zaczął robić notatki czarnym atramentem. Mruczał przy tym zabawnie i od czasu do czasu przygryzał wargi w zadumie. – W lipcu czterdziestego pierwszego, w momencie uderzenia Hitlera mieliśmy 218 okrętów podwodnych detaszowanych do czterech flot: Czarnomorskiej, Bałtyckiej, Północnej i Oceanu Spokojnego. Ta imponująca flota to efekt wielu lat pracy. A po wojnie domowej wcale nie było wesoło. Po stłumieniu powstania marynarzy w Kronsztadzie (admirał wolał określenie „powstanie”, choć oficjalnie był to przecież „bunt”) flota była na cenzurowanym. Cała. Także najmniej winni w całej sprawie podwodniacy. Gdy kronsztadcy szli na bolszewików „Za Sowiety bez komunistów”, Kotielnikow miał ledwie dziesięć lat. Mieszkał jednak wówczas w tym pechowym i zimnym mieście na wyspie, bo ojca, bohaterskiego czerwonego dowódcę, przeniesiono tam już w 1918 i Siergiej pamiętał doskonale wiele z ówczesnych wydarzeń. Jak na ironię powstanie, które mocno potrzęsnęło krzepnącą powoli władzę, wzniecił ten sam dziesięcioletni morski garnizon, który w siedemnastym tak bardzo przysłużył się zwycięstwu bolszewików. Już na przełomie jesieni i zimy 1920, na wieść o tym, że do wygłodzonych robotników i ich rodzin w Piotrogradzie strzela się zupełnie tak samo jak za Mikołaja, połowa ośmiotysięcznej organizacji partyjnej oddała legitymacje. Potem rozpoczęły się regularne podchody wojenne i strzelanina. Choć dziesięć tysięcy uzbrojonych i dobrze dowodzonych marynarzy stanowiło pokaźną siłę i płomień mógł szybko przerzucić się do innych rejonów, powstanie stłumiono tym razem wyjątkowo umiejętnie. Szybko wycofano oddziały zaporowe, a głodnych robotników nakarmiono. Powstanie straciło poparcie i rozmach, a ojciec Kotielnikowa życie w tej niepotrzebnej ruchawce. W tyralierze matrosów bohatersko szarżującej po lodzie na karabiny maszynowe. Zwycięscy rzeźnicy z CzON²⁴ urządzili mu na miejscu „rewolucyjny” pogrzeb, wrzucając poszarpane pociskami ciało do przerębla.

Żeby ukarać flotę, kilkanaście następnych lat poświęcono na rozwijanie lotnictwa morskiego, bazującego na lądzie i artylerii brzegowej. Budowano

także zgodnie z doktryną „małej floty”, zapożyczoną bodaj u Francuzów, kutry torpedowe. W efekcie w 1928, a więc w roku, w którym Kotielnikow zdał egzaminy do Akademii Morskiej, z imperialnej podwodnej floty zostało ledwie dziesięć stareńkich okrętów typu „Morż”, projektowanych jeszcze w 1911, i cztery równie archaiczne, kupione od Amerykanów w 1916 „Hollandy”! W 1925 ówczesny komisarz morski Frunze przejrzał wreszcie na oczy i nakazał projektowanie nowych okrętów podwodnych. Żeby było taniej i szybciej, polecono kopiować najbardziej udane konstrukcje zagraniczne. Jesienią dwudziestego piątego udało się „zdobyć” dość szczegółowe rysunki konstrukcyjne najnowszej włoskiej „Balilli”. Po żmudnych przeróbkach „Balilla” przeobraziła się w „Dekabrystę”, czyli w późniejszy typ D.

Gdy „detki” zaczęły służyć w linii, okazało się, że są udane tylko na papierze. Na wodzie, a szczególnie pod wodą, były kapryśne, niebezpieczne i nieprzewidywalne podczas zanurzenia i wynurzenia. Nowe, skonstruowane dla nich torpedy modelu 27 były podobnie niebezpieczne i przez dłuższy czas używano starych, ale sprawdzonych „457”, leżących w arsenałach od 1912 roku.

Potem jak z nieba... a raczej jak z wody wynurzył się prezent, bo nurkowie marynarki odkryli płytko leżący, zatopiony w 1919 na minie wrak brytyjskiej L-55. Po podniesieniu i wyremontowaniu nieznaczących uszkodzeń okręt, skrupulatnie skopiowany, dał początek serii dwudziestu pięciu niewiele lepszych od „Dekabrystów” „Leninców”, czyli typu Ł. Ł-ki zanurzały się niechętnie i koszmarnie wolno. Pod wodą hałasowały niczym chore na astmę wieloryby. Na domiar złego miały wadliwy system wentylacji pomieszczeń akumulatorni, co zabiło kilkunastu ludzi, a załadowanie bojowego kompletu dwunastu torped zajmowało bagatela... dziewięć godzin.

Może szłoby tak (to znaczy nie najlepiej) dalej, ale na szczęście w 1933 roku nadszedł nowy plan pięcioletni. Pięcioletki, jak wiadomo, w Sowietach są rzeczą świętą tak samo jak rocznice rewolucji. Można by wręcz rzec, że

mają wyjątkową zdolność periodyzacji rzeczywistości i – choć nie w tej skali czasowej – przypominają magicznie brzmiące epoki w prehistorii planety: trzeciorzęd, czwartorzęd, trias, perm, glacjał Riss, glacjał Wurm... Tak więc, podobnie jak wraz z nowym „trzeciorzędem” niegdyś, tak i teraz wraz z nowym „pięcioleciem” powstały nowe gatunki podwodnych stworzeń, tym razem metalowych. Nowy, a więc gorliwy namorski²² Orłów dostał polecenia z politbiura.

Rozbudować flotę podwodną! Oczywiście do gigantycznych i zupełnie niemożliwych rozmiarów. Mędrcom z politbiura wydawało się zapewne, że okręty podwodne struga się tak jak lipowe dłubanki. W ciągu pięciu lat siły podwodne miały wzrosnąć do 370 okrętów! W tym – siedemdziesięciu dużych, dwustu średnich i stu małych. Było to półtora raza więcej, niż posiadały w tym czasie łącznie floty USA, Wielkiej Brytanii, Japonii, Francji i Włoch.

Stocznie zabrały się do pracy. W pierwszym roku położono stępki pod 31 okrętów, a w drugim nawet pod 52. Potem przestarzałe technologie, zła organizacja pracy, rozpadający się park maszynowy i ogólne bezhołowie w przemyśle okrętowym doprowadziły do tego, co musiało nastąpić: heroiczny plan zawalił się z hukiem, grzebiąc kariery kilku morskich prominentów. W tej sytuacji za cud uważać należy fakt, że do końca pięciolatki udało się spuścić na wodę 137 okrętów, czyli zrealizować założenia aż w 40 procentach.

No tak... – Kotielnikow przerwał wertowanie danych i telefonicznie polecił przynieść sobie herbatę. Ledwie drzwi zamknęły się za oficerem dyżurnym, admirał otworzył kluczykiem dołączonym do kluczy do segregatorów absolutnie tajną szufladę, w której trzymał prawdziwą kontrabandę: butlę aromatycznego jamajskiego rumu. Kieliszek 45-procentowego, pachnącego trunku i gruby plaster cytryny ze skórką zmieniły służbową herbatę w napój najzupełniej rozkoszny, a Kotielnikow, siorbiąc ten grog własnego pomysłu, zagłębił się w dalsze systematyczne rozważania.

137 okrętów to sporo, ale... no tak... pięćdziesiąt z nich to łupinki serii VI, niemające praktycznie żadnej bojowej wartości.

Tak czy inaczej przemysł stoczniowy został wyrwany z porewolucyjnego letargu. Uruchomiono seryjną produkcję średnich okrętów typu „Szczupak” przeznaczonych pierwotnie tylko na Bałtyk. Po nieznacznych modyfikacjach trafiły one jednak szybko także na Morze Czarne i na Daleki Wschód.

„Szczupaki” odziedziczyły większość wad swoich poprzedników: na powierzchni dogoniłby je chory zółw, manewrować nimi było piekielnie trudno, a pod wodą hałasowały dramatycznie. Do tego zupełnie już drobiazgi. Fatalne wykonanie (okręty ciekły jak rozeschnięte i niezakonopcone na wiosnę czółna), słabe radiostacje i brak nowoczesnego oprzyrządowania do nocnych strzelań i hydrolokacji.

Małe okręciki typu M – natychmiast nazwano je „maleństwami” – okazały się kompletnie bezużyteczne, ale do czterdziestego trzeciego wyprodukowano 110 sztuk. Jediną zaletą tych miniaterek (miały niecałe 40 metrów) było to, że można je było bez demontażu załadować na kolejową platformę i wozic od morza do morza²³.

Z początkiem 1937 roku interweniował Stalin i tym razem – wyjątkowo – udało mu się zrobić coś pożytecznego. Wódz, zapewne pod wrażeniem osiągnięć Rzeszy, zaczął lansować wielkomocarstwową ideę Floty Otwartego Morza. Miano więc budować nie tylko okręty liniowe i flotę krążowniczą, ale także wreszcie duże oceaniczne okręty podwodne z prawdziwego zdarzenia. Na arenie wydarzeń pojawił się utalentowany Michaił Rudnicki ze swoim podwodnym krążownikiem typu K. Znów, miast projektować od początku własne konstrukcje, dokonano plagiatu wykorzystując zdobyte przez wywiad szkice „Pietro Micca”²⁴ – włoskiego, podwodnego stawiacza min.

Choć zerżnięte z minowca, „K” okazały się jako okręty torpedowe lepsze od pierwowzoru. Rozwijały bardzo dużą prędkość na powierzchni, miały wspaniałą zasięg 15 tysięcy mil oraz dobre uzbrojenie w dwadzieścia dwie

torpedy i dwa stumilimetrowe działa.

Jednak najlepsze miało dopiero nadejść. I nadeszło jak zwykle z zagranicy. Wstępne projekty wykonała na zamówienie firma Deschimag z Bremy, a dopracowanie okrętu powierzono specjalnie powołanemu zespołowi Turkowa. Średnie okręty typu „S” okazały się rewelacją. Miały dobrą szybkość i zasięg. Zanurzały się na 80 metrów. Były łatwe w manewrowaniu i ciche. Szkoda tylko, że niemieckie diesle zamówiono jedynie dla pierwszych dwu jednostek, bo na rodzime silniki przyszło czekać aż półtora roku.

Budowa podwodnej floty szła opornie, a i tak – przypomniawszy sobie Kotielnikow – we wrześniu trzydziestego dziewiątego mieliśmy największą flotę podwodną na świecie. Z wyszkoleniem załóg i dowódców było o wiele gorzej. Nie opracowano także skutecznej taktyki, a myślenie o zadaniach floty podwodnej nie odbiegało wiele od standardów przyjętych jeszcze przez carską marynarkę. W wojnie podwodnej najważniejsza jest inicjatywa i samodzielność dowódców, a w procesie szkoleniowym te akurat cechy najskuteczniej tłumiono. Tradycyjnie przyszło więc liczyć na rosyjskie bohaterstwo i poświęcenie. Niemcy na morzu ruszyli równie gwałtownie, jak na lądzie i już jesienią czterdziestego pierwszego zablokowali Flotę Bałtycką pomiędzy Kronsztadem a Leningradem, pozbawiając ją wszystkich ważnych baz operacyjnych. W ciągu całej wojny bałtyccy podwodniacy zdołali zatopić ledwie 38 statków handlowych (w tym dziesięć pod neutralnymi banderami), tracąc aż 45 okrętów. Nie było się czym chwalić. Choć... Kapitan trzeciej rangi Marinesko, dowódca S-13, posłał przecież w czterdziestym piątym na dno siedem tysięcy cywilów, rannych żołnierzy i najrozmaitszego autoramentu urzędników i uciekinierów. Był to chyba największy sukces floty podwodnej i mimo że sprawa ocierała się o zbrodnię, Marinesko został Bohaterem Związku Radzieckiego, a obydwie cele uznano za zatopione zgodnie z prawem wojennym²⁵. Czernomorcy spisali się niewiele lepiej, jako że zatopienie jednego statku wroga okupione było utratą jednego okrętu podwodnego²⁶. W Arktyce bilans ten

przedstawiał się nieco lepiej, bo na jeden utracony okręt podwodny przypadało „aż” 1,83 wrogiej jednostki. Podwodniacy z Oceanu Spokojnego mogli powojować wyłącznie w czterdziestym piątym i udało się im posłać na dno cztery japońskie statki, przy stracie tylko jednego własnego okrętu. Bilans wojny był więc nie tyle tragiczny, co tragikomiczny. Co ważniejsze, w czasie działań wojennych nie projektowano nowych typów okrętów. Myśl techniczna znów stanęła w miejscu, toteż flota podwodna wyszła z wojny i przetrzebiona, i przestarzała. Gorszy bilans mieli tylko podwodniacy włoscy. Stracili więcej okrętów, niż posłali na dno.

Jeśli wziąć pod uwagę skuteczność Niemców, Amerykanów i Japończyków, wnioski są oczywiste i jednoznaczne. Zwłaszcza jeden, który nieodparcie nasuwał się admirałowi: Do dupy. Do dupy z taką flotą i jej dowódcami. Powinni dowodzić szaflikiem na stawie. Kotelnikow westchnął i popatrzył tęsknie na szufladę z rumem, zastanawiając się, czy nie zadysponować jeszcze jednej szklanki herbaty. Po chwili zmagania z zamiłowaniem do mocnych trunków dał za wygraną i zamówił. Przy drugiej szklance (która smakowała jeszcze bardziej niż pierwsza) myślało mu się znacznie lepiej:

I ja mam pomóc postawić ten bajzel na nogi – dumiał, nie do końca pewny swej nowej roli. – Ja. Pogardzany przez wilki morskie admirał słodkich wód. Wszak moje małe flotylle, w których największy okręt miał tyle metrów długości, co wasze najmniejsze, zwojowały milion razy więcej niż wasza, pożał się Boże, podwodna armada. Nie ma innego wyjścia. Muszę się za was wziąć, moi panowie. Po kolei... Po pierwsze. Niby dlaczego akurat ja? – Zastanawiał się nad tym wielokrotnie i po raz kolejny nie mógł znaleźć dobrego uzasadnienia dla swego niespodziewanego awansu na zastępcę dowódcy floty. – Było przecież tylu wyżej cenionych admirałów... (Między nami mówiąc w rosyjskiej flocie zawsze było za dużo admirałów. Za cara z powodu braku dostatecznej liczby jednostek, którymi można by dowodzić, niektórzy zajmowali się wydawaniem szczotek i mydła na okręty, a teraz snują się po korytarzach Admiralicji, psując powietrze i donosząc

na kolegów). Gdybym to ją rządził marynarką – myślał Kotielnikow – odesłałbym to całe bractwo na emeryturę i dopuścił do awansu młodych. Flocie zawsze przydaje się zastrzyk świeżej krwi. Ale teraz jest z tym chyba jeszcze gorzej niż kiedyś. Kiedy ja... Ano właśnie. W trzydziestym pierwszym, gdy jako nowo mianowany dwudziestojednoletni miczman, z drugą lokatą, opuszczał Akademię Frunzego, flota mimo tego, co z nią zrobiono podczas rewolucji i potem, trzymała fason. Jak nigdzie indziej, wciąż obowiązywały tu, jeśli nawet nieformalne, to niepisane prawa. Młodszy oficer nie śmiał myśleć o zaręczynach bez prezentacji wybranki swemu dowódcy, którego opinia liczyła się bardziej niż zdanie rodziców. Oficerowie, tak jak niegdyś – o ile pozwalały na to ich skromne apanaże – starali się dojeżdżać i wracać ze wszystkich oficjalnych imprez w kasynie taksówkami i dorożkami. Jeżdżenie tramwajami i autobusami było źle widziane. W tym kurczowym odwoływaniu się do tradycji było coś przewrotnego. Zwłaszcza że we flocie panoszyli się bez pardonu politycy, wśród których, w opinii korpusu, rzadko zdarzał się ktoś zasługujący na miano dżentelmena.

Rzeczywistość skrzeczała, a może raczej rechotała, i fasada wszystkiego, do czego przyzwyczał stary porządek, osypywała się, odsłaniając gołe, zmurszałe cegły. Na szczęście specyfika morskiej wiedzy jest tak skomplikowana, że ćwiczenia i wykłady w akademii musieli prowadzić ludzie, którzy naprawdę znali się na rzeczy. Byli nimi, co naturalne, weterani carskiej floty, a to sprawiało, że kadra naukowa stanowiła środowisko hermetyczne i zaimpregnowane na czerwone nowinki. Oczywiście podczas galówek mówiono to, co należało mówić, i bito rześiste brawa w momentach, które wymagały sztandarowego entuzjazmu. Zwykłych zajęć nie hospitowano jednak dostatecznie często, by zapewnić ich ideologicznie „słuszny” przebieg. W efekcie poświęcone były głównie temu, czemu powinny, czyli przedmiotowi, zaś na lekcjach „wychowania politycznego” wszyscy kursanci z wyjątkiem gorliwców nieumiejących w inny sposób zasłużyć na względy drzemali rozkosznie lub rozgrywali

dramatyczne partie „wojny morskiej”. Kotielnikow, pomny roli, jaką we flocie odegrał jego bestialsko zabity ojciec, chłonał specyficzną atmosferę akademii chciwie i bezkrytycznie. Nie przeszkadzało mu, że wszyscy – zarówno wykładowcy, jak i wychowankowie – pławia się w oparach absurdu podwójnej rzeczywistości. Ideologów ze sztabu floty respekt dla tradycji najwyraźniej uwierał. Widać zdawali sobie sprawę z siły wierności wzorcom. Nieobca im była także wiedza o tym, że życie nie znosi próżni i jeśli chce się zniszczyć jeden mit, trzeba go zastąpić nowym. Jednakże o ile łatwo jest wymienić marsz cesarski na rewolucyjny, o tyle trudniej zmienić mentalność i generalnie to, w co ludzie naprawdę wierzą. A we flocie ludzie wciąż byli święcie przekonani, że najważniejszą osobą na okręcie jest dowódca, a nie oficer polityczny. Dowódcom okazywano więc szacunek w sposób demonstracyjny, w skrytości pogardzając politrukami. Oficerowie w większości zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że na wojnie strzelać się będzie pociskami, a nie ideologią. Stare, mimo odkurzania, były także metody szkoleniowe i uświęcone tradycją podziały. Kastowość, system jakby żywcem przeniesiony z Indii, dobrze impregnowała na głoszone z mównic ideały bezklasowości. Rządzili specjaliści, zazdrośnie strzegący swej wiedzy i uprzywilejowanej pozycji. Od czasów Cuszimy niewiele się w tej materii zmieniło. Szeregowców traktowano dokładnie tak samo. Wprawdzie nie dostawali po pysku (choć i to się zdarzało), ale szkolono ich tak, by umieli robić tylko to, co im zlecono, w efekcie tłumiąc inicjatywę i kreatywność. Jediną dostrzegalną różnicą było to, że szeregowi mogli bez przeszkód wejść do parku, bo bram nie zdobyły już powszechne niegdyś tabliczki z napisem: „Psom i szeregowcom wstęp wzbroniony”.

Kiedy w 1931 opuszczał mury uczelni szczęśliwy jak dziecko, którym przecież jeszcze był, ani myślał o skorzystaniu z propozycji odbycia stażu w sztabie. Marzył o zdobyciu drugiego stopnia specjalizacji torpedowo-minerskiej i sprawdzeniu w praktyce książkowych mądrości, którymi nabito mu głowę. Nie zastanawiał się też specjalnie nad tym, dlaczego

pozwolono mu ukończyć studia mimo ciężącego nad nim grzechu ojca. Nie wiedział, bo i skąd, że w metodach NKWD było to normą. Wybitnie zdolnym darowywano grzechy ojców, by w przyszłości, gdy zrobią karierę i obejmą wysokie stanowiska, mieć na nich niezawodnego „haka”.

Trafił zrazu na Morze Czarne jako trzeci oficer na stareńki niszczyciel typu „Awtroil”, wodowany bodaj w 1914, kiedy okręty te nazywano torpedowcami. Okręcik był cudowny. Miał wspaniałą dzielność morską, dobrą szybkość i można nim było zakręcić niemal w miejscu. Także o załodze młody miczman mógł mówić z szacunkiem i uznaniem, a to za sprawą dowódcy, kapitana drugiej rangi Stanisława Przyjemskiego. Ten Przyjemski był niepospolicie sympatycznym człowiekiem. Miał rumianą, okoloną siwym zarostem twarz, która mimo jego zaawansowanego wieku (był po pięćdziesiątce) mogłaby należeć do kogoś znacznie młodszego. Było w niej coś sympatycznie dzieciennego, chociaż, zwłaszcza wtedy, gdy Przyjemski ssał fajkę, jego profil mógł z powodzeniem zdobić puszkę mocnego marynarskiego tytoniu. Dzięki tak zachęcającemu, przyjacielskiemu wizerunkowi kupowano by tytoń zapewne bardzo chętnie. Przyjemski – Polak, który całe życie związał z rosyjską, a potem sowiecką marynarką, był zlepkiem przeciwieństw, których współistnienie wydawać się mogło czystym absurdem. Łączył bowiem znakomite wyczucie psychologiczne i świetne zdolności kierowania ludźmi z monstrialnym wręcz cynizmem ideologicznym. Gdy znajdował się w gronie osób, którym mógł zaufać, można było odnieść wrażenie, że w elitarnym kręgu zdeklarowanych wrogów władzy radzieckiej jest to niekwestionowany lider. Gdy przyszło mu się poruszać na oficjalnym gruncie, każdy bezstronny i wnikliwy obserwator musiałby przyznać, że trudno o bardziej ideowego, bezkompromisowego i bezinteresownego bolszewika. Przyjemski nie był jednak politycznym schizofrenikiem. Wypracował na własny użytek metodę podobną do tej, którą czasami stosują pacjenci zakładów psychiatrycznych, by mieć święty spokój i funkcjonować gładko w rzeczywistości paranoicznej. Dlatego wierzyli i ufali mu wszyscy.

Zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy ustroju. Ze swoją dziecinną twarzą i śmiało deklarowanymi, krańcowo przeciwstawnymi w zależności od otoczenia poglądami był wiarygodny! Od Przyjemskiego można się było nauczyć wielu rzeczy. Przede wszystkim mądrego, wyrozumiałego cynizmu – najlepszej broni na głupców. Poza tym politycznego survivalu, który pozwalał mu przetrwać najsilniejsze zadymy na szczytach władzy i na niższych szczeblach. Rozpoznawszy w Kotielnikowie wdzięcznego i, co ważniejsze, lojalnego ucznia, Przyjemski dopuszczał najmłodszego oficera do zgromadzonej przez lata bolszewizmu wiedzy, a Siergiej wiedząc, że to niepowtarzalna okazja, chłonął nauki niczym gąbka. Kapitan był też znakomitym marynarzem i – co ciekawe – wybitnym specjalistą międzynarodowego prawa morskiego, które traktował z pasją snoba: jako niedostępne dla ciaśniejszych umysłów hobby dające mu przewagę nad salonową konkurencją. Bywał też gwałtownym i nieposkromionym hulaką, co wymagało żelaznego zdrowia i kondycji. O jego imprezkach urządzanych regularnie w Sewasto-polskim Klubie Marynarza opowiadano niestworzone rzeczy. Żeby mieć o nich dobre pojęcie, trzeba je było przeżyć. Po pierwszym półroczu wspólnego pływania Kotielnikow dostąpił tego zaszczytu.

Przyjemski, ogłaszając jakąś szczególną okazję (uwielbiał okrągłe rocznice i jubileusze, przy czym powód był mu najzupełniej obojętny), stawiał tylko jeden warunek: zaproszeni przybywali solo, a gospodarz zapewniał damskie towarzystwo. Ci, którzy nie zdołali na czas wyjednać dyspensy u żon, kochanek i narzeczonych, musieli poprzestać na wyobrażeniach, jako że uczestnicy nocnych hulanki Przyjemskiego solidarnie powstrzymywali się od zdradzania szczegółów. Kapitan bardzo starannie dobierał uczestników, a jeśli zdarzyło się już tak, że wśród gości znalazł się ktoś niepewny i niesprawdzony, reszta imprezowiczów była o tym zawczasu uprzedzona i izolowała takiego osobnika na tyle skutecznie, że nie był w stanie zebrać sensownych informacji wystarczających na porządny i wiarygodny donos. Przyjemski wymagał

ponadto, by jego goście, bez względu na ilość wypitego alkoholu, zachowywali się po dżentelmeńsku wobec dam. Nie przeszkadzało mu, jeśli pijani oficerowi dali sobie po pysku. Jako rycerz respektujący zasady dawnych kodeksów nie tolerował jedynie brudnego, bolszewickiego chamstwa. Imprezy miały rozmach godny Potiomkina i zachodzono w głowę, skąd kapitan drugiej rangi bierze na coś takiego pieniądze. Kotielnikow dowiedział się o tym przy jakiejś okazji. Okazało się, że jego dowódca jest korespondentem kilku zagranicznych wydawnictw i periodyków, a w kraju pisuje regularnie artykuły prawnicze, za które znakomicie (jak na sowieckie warunki) mu płacono. Zwierzchność tolerowała te fanaberie, uważając, nie bez racji, że publikacje sowieckiego znawcy prawa w międzynarodowej, burżuazyjnej prasie to dobry argument propagandowy, a dopóki Przyjemski wydawał honoraria na hulanki, wszystko było w porządku. Za sto ówczesnych funtów brytyjskich, a tyle płacono za artykuł o objętości połowy arkusza wydawniczego, można było ugościć pięćdziesiąt osób, nie załując kawioru, wódki, kobiet i muzyki.

Przyjemski miał gest, lubił huczne toasty, tańce i niezobowiązujące dyskusje o minach, torpedach, sztormach i armatach. Wszelkie próby wejścia na mielizny ideologiczne gasił natychmiast przygotowanym zawczasu dowcipem. Gości witał niczym udziałny ksiązę w nieodzownej asyście dwóch pięknych dziewcząt. Powitaniom towarzyszyły kordialne gesty i komplementy pod adresem zaproszonych, a delikatny rumieniec barwiący szczyty policzków Przyjemskiego świadczył o rozsądnym przyjęciu kilku kieliszczków dla kurażu i dobrego nastroju.

Kotielnikow wiele zyskał na tej znajomości. Uświadomił sobie bowiem dokładnie, że granica, po której przyszło się poruszać korpusowi oficerów marynarki w tych ciekawych czasach, jest bardzo cieniutka, ale da się nią kroczyć bezpiecznie, pod warunkiem że opanuje się właściwy balans.

Dzięki znakomitym wynikom w służbie i bardzo dobrej opinii Przyjemskiego z Morza Czarnego Kotielnikow trafił do Władywostoku, gdzie powierzono mu pierwsze dowództwo stawiacza min „Bajan”. Po

trzech latach był już dowódcą eskadry tych zabawnych i pożytecznych zarazem okręciaków z puszczakowatymi kominami i wielkimi cyframi taktycznymi wymalowanymi na burcie. Gdy złożona z dwunastu jednostek eskadra wychodziła w morze na wspólne ćwiczenia, czuł się na pomoście okrętu flagowego niemal jak Nelson, ale nauczony przez Przyjemskiego dystansu do własnej osoby uśmiechał się z autoironią do swoich ambitnych myśli i planów, wiedząc, jakie są kruche i ulotne. Szczęśliwy jak nigdy w życiu i zakochany we Władystoku, dowodził eskadrą przez trzy lata i dochrapał się pierwszej rangi, a sztuczki, które poznał u Przyjemskiego, nie raz pozwalały mu wyjść cało z opresji.

Potem nadszedł rok trzydziesty dziewiąty, który jak burza zmiotł z góry tych, co nie opanowali niezbędnych nauk. Zresztą czystka zapoczątkowana w 1937 rozwijała się tak dynamicznie i lawinowo, że pod nóż poszły zarówno najzwinniejsze piskorze, jak i najpowolniejsze żółwie. Kotielnikow najwyraźniej nie naraził się żadnemu z donosicieli, bo nic mu się nie stało, choć jego przełożeni znikali pojedynczo lub zbiorowo jak kręgle trafiane zręcznie rzuconą kulą. Po dwóch latach stwierdził z niejakim zdziwieniem, że niepostrzeżenie stał się najstarszym oficerem we władystockiej bazie. Oczekiwał najgorszego, ale zamiast wezwania na przesłuchanie otrzymał rozkaz stawienia się w Akademii im. Woroszyłowa na kursy podnoszące kwalifikacje. W akademii nie mówiło się wiele o wojnie, lecz kilka miesięcy po ataku Hitlera na Polskę atmosfera zgęstniała – coś wisiało w powietrzu. Kotielnikow, podobnie jak inni młodzi oficerowie floty, którym udało się przeżyć ostatnie trzy lata, wyczuł, że otwierają się przed nim nowe perspektywy. Wyrznięto bez pardonu niemal wszystkich najwyższych stopniem dowódców i flota została osierocona. Miało to swoje złe i dobre strony. Młodzi i zdolni błyskawicznie awansowali, ale stare struktury sztabowe trzeba było mozolnie odbudowywać. Czerwiec czterdziestego pierwszego zastał go na pomoście flagowego okrętu eskadry lekkich krążowników Floty Czarnomorskiej. Eskadrę złożono po części ze starych okrętów zwodowanych jeszcze przed pierwszą wojną, ale Kotielnikow rwał

się do walki. Na tym akwenie jednak nie było dla niego godnego przeciwnika. Dostało mu się za to nieźle od sztukasów, bo jego okręty zaangażowały się w przeciwlotniczą obronę Odessy. Bronił się świetnie i odniósł wiele sukcesów. To, że dowodził eskadrą z mostka, a nie ze schronu w porcie, zapewniło mu stopień kontradmirała, podówczas najmłodszego w całej flocie, i to zaledwie po dziesięciu latach służby. Został także głównodowodzącym Flotylli Azowskiej. Potem Niemcy gładko zajęli Krym, a Kotielnikow mógł wspaniale przeprowadzić spektakularną, acz okupioną nadmierną liczbą ofiar kerczeńską operację desantową w grudniu 1941²⁷.

Później równie widowiskowo zademonstrował swój wojenny entuzjazm w obronie Noworosyjska, co wystarczyło, by jego osoba wpadła w oko ówczesnemu dowódcy 47. i 18. Armii Greczce. Wojnę – jak już powiedziano – zakończył, szefując może mniej widowiskowo, za to niezmiernie skutecznie, świetnie walczącej flotylli dunajskiej, a ktoś, kto najprawdopodobniej chciał udupić kontradmirała, powierzając mu tak mało eksponowane stanowisko, wbrew intencjom zrobił mu przysługę. Wyniki flotylli, mierzone liczbą zatopionych jednostek, wyzwolonych miast i zestrzelonych samolotów wroga, były imponujące.

Gdy zakończyły się działania wojenne w Europie, kazano mu wrócić do Władystoku, ale nie powojował z dobijanymi Japończykami, bo na morzu już ich nie było. Potem, po kapitulacji, wezwano go na Kreml.

W Moskwie dowiedział się, że towarzysz Stalin przebywa w jednej ze swoich rezydencji nad Morzem Czarnym i polecono mu udać się tam bezzwłocznie. Po kilkunastu godzinach spędzonych w samolocie dostarczono go na miejsce służbową limuzyną. Głównodowodzący przywitał go w ogrodzie białej, pseudobarokowej rezydencji na wyniosłym nadmorskim wzniesieniu. Nie spotkali się nigdy przedtem. Patrzyli więc na siebie z ciekawością – Stalin nietłumioną, a Kotielnikow maskowaną. Rozmawiać mieli w cztery oczy, ale w odległości kilkunastu metrów admirał dostrzegł sylwetki oficerów ochrony dyskretnie skrytych wśród

krzewów wspaniale utrzymanych szeregów drzewek cytrynowych. Mimo bardzo ciepłego, choć jesiennego dnia generalissimus był w wełnianym czekmenie, a na stopach odzianych w białe wełniane skarpety, w które wpuścił mundurowe spodnie, miał rozdeptane, zniszczone kaukaskie kierzce. Oparty malowniczo o marmurową rzeźbę dziewczyny lejącej wodę z dzbana trzymanego na ramieniu, wystukiwał o postument podniszczoną fajeczkę. Kotielnikow, który był roslym mężczyzną, zdziwił się, że Głównodowodzący jest taki niski. Jediną ozdobą jego postaci była lwia głowa górala z łysiejącym plackiem na ciemieniu. Poza głową nic w tej postaci nie mogło zachwycić. Ani spadziste ramiona, ani niedyskretnie rozpychający przód czekmena krągły brzusek. Ani rzadkie zęby i szara, niezdrowa cera.

– Kotielnikow! – Stalin podał mu dłoń i przytrzymując rękę admirała, drugą poklepał go serdecznie po ramieniu. – Dobrze, że pan jest. Zjemy razem obiad, ale najpierw pogadamy. – Nie puszczając dłoni admirała, nakłonił go do obrania wyznaczonej przez siebie marszruty w głąb ogrodu. – Wytrzyma pan jeszcze pół godziny? – zatroszczył się wódz, zaglądając mu uprzejmie w oczy. – Możemy najwyżej kazać, żeby podano nam coś na apetyt. Nie pogardzi pan?

Kotielnikow zdobył się tylko na zaprzeczające potrząśnięcie głową, odczuwając dziwną przyjemność, że Głównodowodzący wciąż trzyma jego dłoń w swojej ciepłej i miękkiej. Dlaczego mówi mi na pan? – zastanawiał się przez dłuższą chwilę, ale uznał, że ekstrawagancje Stalina, o których dużo się mówiło, są dostatecznym usprawiedliwieniem dziwnej formy, właściwszej dla carskich salonów niż dla przywódcy państwa robotników i chłopów. Stalin puścił dłoń gościa i kiwnął krzywym palcem, zakończonym pożółkłym od nikotyny paznokciem w stronę najbliższej skrytej za krzakiem sylwetki, a gdy oficer o nieobecnej, ściętej służalczą twarzą zbliżył się, Głównodowodzący pokazał w powietrzu przed swoją twarzą coś za pomocą kciuków i palców wskazujących, tak jakby kadrował filmowe ujęcie albo trzymał dwie wyimaginowane szklaneczki.

Najwidoczniej gesty te należały tu do obowiązującego kodu, gdyż po kilkunastu sekundach zjawił się ktoś ze srebrną tacą, na której stały dwie angielski i miseczka z ćwiartkami cytryn.

– Pieprzówka będzie dobra na apetyt – oświadczył Głównodowodzący, ujmując z namaszczeniem swoją szklaneczkę, i uprzejmie odczekał, aż admirał weźmie swoją. Wówczas, zwierając pięty w podniszczonych kapciach i obracając się na wschód, przyłożył lewą dłoń do lampasa podniszczonych portek i wprawnie wlał dobrą setkę pieprzówki w śmiesznie rozchylone wargi. Kotielnikow wiernie powtórzył ruchy gospodarza. Głęboki, korzenny żar mocnej, pięćdziesięcioprocentowej wódki i natychmiastowe uderzenie alkoholu do głowy były rozkoszne. Alkohol miał zbawienne działanie. Kotielnikow poczuł, jak rozluźniają się naprężone w oczekiwaniu niebezpieczeństwa mięśnie barków, i głęboko wciągnął nosem powietrze. Stalin także najwyraźniej poweselał i zajął się zagryzaniem ćwiarteczką cytryny, mrużąc jak kot załzawione, pożółkłe oczy. Była w tym jakaś starcza skrętność. Z takim pośpiechem jedzą tylko emerycy, jakby bojąc się, że ktoś odbierze im pożywienie. Kotielnikow zamrugnął z wysiłkiem powiekami i odpędził od siebie natarczywą myśl. Wódz podsunął mu cytryny.

– Moje własne. Może jeszcze nie takie piękne jak na plantacjach, ale za to kwaśne jak diabli. A to przecież istota cytryny. Nie sądzicie?

Kotielnikow uprzejmie kiwał głową, ciesząc się, że nie jest już nazywany „panem”.

– Cóż... Zadysonujemy po drugim i przejdziemy do sprawy? – upewnił się Głównodowodzący tonem, którym mówi się o konieczności spełnienia przykrego obowiązku, i nie czekając na zgodę admirała, wysłał wiadomy gest kadrowania niewidocznych naczyń w stronę ochrony. Wypili. Stalin pieczołowicie strzepnął kilka ostatnich kropeł na żwir ścieżki, dziękując pewnie miejscowym bóstwom za opiekę. Potem poufałym, ale i nieznoszącym sprzeciwu gestem ujął admirała pod ramię i poprowadził w głąb ogrodu, tam gdzie między drzewami i krzewami widać było iskrzące

się morze. Ogród ulokowany na wzniesieniu kończył się tarasem widokowym okolonym balustradą z piaskowca. Gdy Kotielnikow spojrzał dyskretnie w dół, dostrzegł kolejnych ochroniarzy i uzbrojone w automaty patrole z psami. Przysiedli na ławeczce, rozkoszując się widokiem, a Głównodowodzący, osłoniwszy oczy daszkiem z dłoni, rzucił przed siebie uprzejmie: – Nie myśleliście o tym, żeby się ożenić?

Kotielnikow spodziewał się wszystkiego, ale takiego pytania nie przewidział. Zaskoczenie sprawiło, że odparował bardzo szczerze:

– A... czy to konieczne?

Stalin spojrzał na niego z zainteresowaniem i obtarł grzbietem dłoni dawno nieprzycinane wąsy, sownicie umoczone w pieprzówce.

– Rozumiem, że nie mieliście czasu myśleć o tym. Cóż... To oczywiście wasza sprawa. Na szczęście nie idziecie do sztabu, żeby froterować posadzki. Tam trzydziestosześcioletni admirał bez żony to podejrzana sprawa. Wzięliby was na jęzory... – Zadumał się pogodnie, a Kotielnikow odważył się podchwycić, starając się, by w jego pytaniu brzmiała nadzieja:

– A zatem to już postanowione? Mój przydział...

– Mam wobec was pewne plany, ale oczywiście to wy zdecydujecie, czy chcielibyście się podjąć ich realizacji. Mówimy o tym w cztery oczy, bo to mój pomysł i nie chcę go konsultować z moimi gówno wartymi doradcami. Potem, gdyby rzecz się powiodła – Stalin uśmiechnął się z przekąsem – będą trąbić, że to ich zasługa, a ja chcę to zrobić sam i chcę, żeby o tym nie wiedzieli. To oczywiście zobowiązuje was do bezwzględnej dyskrecji... – Zastanowił się chwilę. – Nawet gdybyście postanowili w to nie wchodzić, ale... – Głównodowodzący ciężko obrócił się na ławeczce i posępnie zajrzał w oczy admirała: – Z całego serca odradzam wam odmowę.

Kotielnikow zamarł. W skroniach, być może na skutek wypitego alkoholu, tętno załomotało mu kilka razy głucho i niespokojnie. Choć rozmowa nie dotknęła jeszcze przedmiotu, zrozumiał, że nawet samo wysłuchanie wstępu, w razie odmowy, kwalifikuje go do likwidacji. Przysłonił oczy powiekami i ciężko pokiwał głową, a potem podniósł

jaśniejsze już spojrzenie na gospodarza. Głównodowodzący także pokiwał głową. Komuś patrzącemu z boku mogłoby to przypomnieć wiele mówiące milczenie Szekspirowskich grabarzy z *Hamleta* – ludzi, którzy wiele rozumieją, a niewiele mówią.

– Wiecie... – podjął wreszcie Stalin – ludzie sądzą, że ja wszystko rozważam i kalkuluję po wielekroć. A wcale tak nie jest. Ja raczej mam naturę konia... – Wódz odczekał, aż Kotielnikow wyrazi spojrzeniem spodziewane zdziwienie, a gdy tak się stało, dokończył, chichocząc: – Co pojawi mi się we łbie, to zaraz to robię. Wiecie, koń, nim zdąży się przestraszyć, już się płoszy albo kopie. Na zastanawianie się zawsze jest czas potem. Im jestem starszy, tym bardziej ta końska metoda mi się sprawdza i coraz rzadziej się mylę... – Widząc, że Kotielnikow chce coś wtrącić, zastopował go wzrokiem i wcale serdecznie, z uśmiechem ujął za ramię. – Tylko żebyście mi tu nie zaczęli kadzić i zaprzeczać, jak ci moi, kiedy im mówię, że się starzeję. Szkoda, że ich nie słyszeliście. Czasami mam wrażenie, że jestem w teatrze. – Gruzin wstał nie bez wysiłku i przygiąwszy w służalczym geście kolana, odegrał przed admirałem komedię fałszywych pochlebstw, śmiesznie zmieniając głos i wykrzywiając twarz: – Ależ towarzyszu Stalin! Co też mówicie? Wyglądacie coraz młodziej i macie tyle siły. Lata nie mają na was żadnego wpływu. – Głównodowodzący zasapał się i musiał wrócić na ławeczkę. – Gdyby wszystko, co mówią, miało się sprawdzić, wróciłbym chyba do niemowlęstwa i musiał ssać cycek...

Stalin znów zachichotał, a Kotielnikow przypomniał sobie, co wyczytał kiedyś u jakiegoś rzymskiego historyka. Gdy Kaligula ogłosił się bogiem, jego dworacy wmawiali mu, że jaśnieje nieziemskim blaskiem. Zastanawiał się nawet chwilę, czy o tym nie opowiedzieć, ale rozsądnie dał spokój, nie wierząc w szczerą autoironię gospodarza. Poczucia humoru, tak chętnie na pokaz demonstrowanego, mogłoby nie starczyć na przełknięcie subtelnej nawet aluzji, a z tego co słyszał, wódz potrafił być pamiętliwy i mściwy. Stalin, wysapawszy się, gadał dalej:

– Wiecie, oglądałem niedawno film o Uszakowie²⁸. To admirał Katarzyny Wielkiej. Miała baba nosa do ludzi... Film niedobry, ale jedno zdanie mi się podobało. To, kiedy Uszakow mówi: Armia to miecz w jednym ręku, flota to miecz w drugim. Powiedzcie mi, dlaczego flota tak źle walczyła? Jest na to jakaś odpowiedź?

Kotielnikow zadumał się, ale troszkę na pokaz, bo sam częstokroć zastanawiał się nad tym pytaniem. Nie był pewien, czy Głównodowodzący zniesie historiozoficzne wywody, ale zaryzykował:

– Na to pytanie, towarzyszu Stalin, nie da się odpowiedzieć tak od razu. Trzeba pochylić się nad historią – zakończył niechętny krągłym, alegorycznym zdaniem.

– Mówcie – zezwolił Głównodowodzący, a Kotielnikow, nabrawszy powietrza, wyjaśniał:

– Nie jesteśmy państwem morskim. Wiem, wiem... – uprzedził wątpliwości słuchacza. – Tysiące kilometrów wybrzeża, cztery morza i oceany, i tak dalej. Ale – powtarzam – nie jesteśmy typowym państwem morskim. Takim choćby jak Wielka Brytania czy Japonia.

– Co przez to rozumiecie? – zainteresował się poważnie Stalin.

– Nasze interesy, choć w poważnym stopniu zależne od morza, można by spokojnie realizować dalej, nawet gdybyśmy dostępu do morza nie mieli. Bo wszystko, co możemy przetransportować morzem, możemy także, drogą może mniej korzystną i pośrednią, załatwić na lądzie. Nie mamy interesów kolonialnych i w zasadzie moglibyśmy się ograniczyć do obrony portów i wybrzeży. I tak właśnie było, bo nie stworzyliśmy sił zdolnych ani do projektowania uderzeń na dalekich rubieżach, ani do zadań krążowniczych na szlakach zaopatrzeniowych. Nie mamy lotniskowców ani nowoczesnych okrętów w linii, zresztą czas tych ostatnich już się kończy. Nie mamy też przyzwoitego lotnictwa morskiego. Wybaczcie, towarzyszu Stalin, ale szczerosc jest jak najbardziej na miejscu – ci, którzy projektowali zadania floty, nie mieli zupełnie koncepcji jej użycia. Nie mamy, niestety, dziś Uszakowów ani Piotra Wielkiego. A jeśli nie ma koncepcji, to za nic, nawet

na papierze, nie wypracuje się przewagi strategicznej i taktycznej.

– A podwodniacy? – wtrącił najwyraźniej zafascynowany wywodem generalissimus.

– Właśnie – podchwycił Kotielnikow. – Jeśli znacie, Josifie Wissarionowiczu, dane dotyczące skuteczności naszej floty podwodnej, pewnie tak jak ja zdumiewacie się nad ich żalosną... – przez chwilę szukał właściwego słowa – wymową. Tu sprawa jest bardziej skomplikowana. Dlaczego stosunkowo nowoczesna flota nie odniosła żadnych sukcesów, a w sensie operacyjnym i w wymiarze czysto ekonomicznym jej udział w działaniach wojennych trzeba uznać za kompletny blamaż?

– No właśnie. Dlaczego? – Stalin zarumienił się, a Kotielnikow odczuł szczególną satysfakcję człowieka, którego słucha się z najwyższą uwagą i atencją.

– Bo flocie podwodnej zabrakło dobrze sformułowanej strategii. To może się wydawać nieważne, ale jak sami zapewne wiecie, towarzyszu Stalin, idea to rzecz ważna. A nasi stratedzy byli zbyt zachowawczy. Jestem niemal pewien, że gdyby kazano podwodniakom wygrać wojnę i dopłynąć kanałami ściekowymi do kwatery Hitlera w Berlinie – zrobiliby to! Tak jak kiedyś Kozacy na swoich czajkach złupili Turków. Flota podwodna jest przecież stworzona do takich działań. Podkraść się. Pojawić w najmniej spodziewanym miejscu i czasie i dać po... Wiecie towarzyszu, co mam na myśli. Tymczasem... – Kotielnikow przyhamował jak wyścigowy koń przed hyrdą, za którą kryć się może niewidoczna przeciwskarpa, ale Stalin zachęcił życzliwie:

– Mówcie śmiało. Nie wahajcie się. Po to was tu zaprosiłem.

– Tymczasem – odważył się admirał – nie dano dowódcom dostatecznej samodzielności operacyjnej, tylko kontrolowano, czy na lądzie nie za dużo piją i czy nie chodzą na dziwki... I czy mają właściwe poglądy polityczne...

– Słowo „polityczne” Kotielnikow wyartykułował tak, jakby bolało go gardło, a Stalin oczywiście to zauważył. – Reasumując, tak nie można prowadzić wojny podwodnej. Jeśli zainwestowano tyle środków

w stworzenie floty, to dlaczego nie zadbano o wykształcenie kadry i dobre dowodzenie? A poza tym... Jak się traktuje we flocie ludzi? Choćby taki Marinesko... – Zawiesił głos i spojrzał wyczekująco na Stalina, ale w jego twarzy wyczytał tylko zachętę, więc upewnił się: – Mówi wam coś, Josifie Wissarionowiczu, to nazwisko?

– Mówi, mówi – skwapliwie podchwycił Gruzin najwidoczniej rad, że też może się czymś wykazać. – Bodaj to on puścił na dno Gustloff? Czyż nie tak? Dostał za to Czerwony Sztandar. Chcecie powiedzieć, że źle go potraktowaliśmy?

– To wy nic nie wiecie? – zasmucił się Kotielnikow, czując, że wkracza na grząski grunt.

– Ale wy wiecie i mówcie. Nie bójcie się. Rozumiecie chyba, że nie jestem faraonem i nie mogę wiedzieć dokładnie o wszystkim. Moi doradcy często nie chcą mi zawracać głowy drobiazgami, ale skoro zaczęliście, to mówcie. A ja już zmyję głowę, komu trzeba.

– Nie wiem dokładnie, towarzyszu Stalin, jak tam było, ale we flocie o takich rzeczach się mówi. Ten Marinesko, zresztą świetny marynarz i dowódca, to, niestety, alkoholik. Ale takich jest we flocie wielu. Piją, bo nie widzą perspektyw, bo nie dopuszcza się ich do awansów i każe bez szemrania wypełniać rozkazy jakichś durniów, którzy nie mają pojęcia o niczym poza tym, jak uprzykrzać ludziom życie...

– Alkoholik, powiadacie? To jeszcze nie zbrodnia. Sam znam kilku, i to bardzo blisko mnie... – Stalin łobuzersko przymrużył oko, a Kotielnikow nie zaufał mu po raz kolejny. Nie miał jednak wyboru i musiał relacjonować dalej nie swoją, smutną historię.

– Ten Marinesko musiał mieć sukces. Był zdeterminowany, jak diabli. Zapasy mu się kończyły, a on wciąż tkwił w morzu i czatował koło Kłajpedy. Musiał mieć sukces... – powtórzył. – Warunkowo wypuszczono go w morze i wstawiła się za nim cała jego załoga. Prawie pięćdziesięciu chłopów. Nie mógł wracać z pustymi rękami. Musiał coś ustrzelić. Bo w Turku czekało na niego NKWD.

– Musiał nieźle nabroić? – wtrącił Głównodowodzący.

– Nieźle. Wpadł pono w cug i zabarłoczył u swojej dziewczyny kilka dni ponad urlop. Tak z tydzień. Na dodatek to Finka. Przez kilka dni szukała go cała bezpieka z Turku. Mówiło się we flocie, że nawet chcieli go za to rozstrzelać²⁹.

– Ale... widzicie... jednak nie rozstrzelali. W czasie wojny można pójść pod mur za mniejszy figiel – triumfował Stalin.

– Nie bronię go. – Kotielnikow machnął ręką o śmielony swobodnym tonem rozmowy. – Daleko mi do tego. Wódka i służba nie mogą iść w parze. Wszystko ma swoje granice, ale warto by się zastanowić, dlaczego ludzie piją. I to tak zdolni jak Marinesko. Przecież to geniusz szkolenia. Zawsze brał nagrody za poziom przygotowania załóg. Najwidoczniej zna się na rzeczy. No i uratował honor podwodniaków. W jednym rejsie czterdzieści pięć tysięcy ton i kilkanaście tysięcy dusz. Piękny wynik. I to w dodatku efekt kolejnej... – Kotielnikow zawahał się – niesubordynacji albo... gdyby rzecz interpretować od innej strony – wspianiałej inicjatywy.

– Co macie na myśli? – zainteresował się uprzejmie Stalin.

– To, że gdy z warowania pod Kłajpedą nic nie wyszło, a miasto skapitulowało przed naszymi, Marinesko, nic nikomu nie mówiąc, przełożył ster i popłynął na Hel. Według procedur powinien grzecznie spytać o zgodę dowództwo, ale nie spytał i dlatego wygrał. Gdyby cała flota tak działała, mielibyśmy zupełnie inne wyniki. A tak tylko uszy czerwone i wstyd. I nikt nie odmieni faktu, że najlepszym dowódcą okazał się pijus i babiarz z wyrokiem śmierci.

– To rzeczywiście dziwna historia – przyznał frasobliwie Stalin, przyglądziwszy swoje przerzedzone włosy. – Byłaby z tego dobra powieść albo film... ale trzeba by popracować nad zakończeniem – dodał zaraz poważnie. – Nie możemy przecież, jak sami rozumiecie, stawiać takich ludzi za wzór. Wolę już waszą historię. Wy przynajmniej nie macie się czego wstydić. A właśnie. – Głównodowodzący zrobił znaczącą pauzę, jak dobry aktor w dramacie. – Jak wam się wydaje, towarzyszu admirale. Jaka

będzie przyszłość floty podwodnej?

Kotielnikow nie był zaskoczony tym pytaniem. Myślał o tym często, podobnie jak o przyszłości całej floty. Dużo czytał i był do takiej dyskusji znakomicie przygotowany. Był także wciąż czujny i pamiętając rady Przyjemskiego, starał się trafiać swymi głównymi тезami w oczekiwania Stalina, bacznie obserwując jego reakcje. Zaczął więc od spraw ogólnych.

– Po poprzedniej wojnie floty się redukowały. Niemcy zostały wyeliminowane z gry, a zwycięzcy dogadali się co do limitów redukcji i układu sił, bo byli u kresu sił i wydrenowani z pieniędzy. Teraz, jak rozumiem, nie ma o tym mowy.

– Dobrze rozumiecie – podchwycił Stalin. – Według moich kalkulacji następne starcie będzie już za piętnaście lat. Może wcześniej. I to nie jakaś mała wojenka, tylko taka na poważnie. Taka jak ta. Może nawet większa. Nic na to nie poradzimy. Tak się rozłożyły karty. Ale mówcie dalej. Przerwałem wam. Łapię się na tym, że nie umiem słuchać. Tylko gadam. Tak jak ci moi, pożał się Boże, specjaliści od gadania. Ale mówcie.

– Tak, jak powiedzieliście, towarzyszu Stalin, karty się już rozłożyły. Japonia się nie liczy. Niemcy przez kilka lat pewnie też. Włochy zostaną już tylko na swoim Mare Nostrum jako satelici USA. Dlatego trzeba myśleć o Amerykanach, Anglikach i pewno Francuzach. Chińczycy jak na razie floty nie mają, ale w przyszłości... Kto wie? To główni gracze po tamtej stronie, a naprzeciw my. Wiadomo też, co się będzie liczyć w wojnie morskiej. Szybkie zespoły lotniskowców i wsparcie. Lekka flota krążownicza i te wszystkie drobiazgi. Jeśli chcemy projektować uderzenia lotnicze na dalekich akwenach, musimy budować lotniskowce i pracować nad nowymi samolotami pokładowymi. Jeśli chcemy operować na dalekich szlakach handlowych, musimy mieć szybkie i dobrze uzbrojone lekkie siły krążownicze. Jeśli chcemy prowadzić sensowną wojnę podwodną i blokady, musimy mieć nowoczesną, oceaniczną flotę podwodną i szybko wykształcić dobre kadry. Musimy mieć pięciuset takich Marinesko...

– Tyle że trzeźwych... – nie mógł się powstrzymać Stalin, ale zaraz

zartobliwym wzrokiem poprosił Kotielnikowa o przebaczenie. Wywód admirała bardzo go zainteresował, bo sam rozumował do pewnego stopnia podobnie.

– Jednym słowem musimy mieć przede wszystkim siły ofensywne...

– Otóż właśnie! Trafiliście w sedno! – podjął entuzjastycznie Stalin. – Myślę dokładnie tak jak wy, a nawet podjąłem już pewne kroki. Plan jest taki.

Głównodowodzący podniósł się z ławki i nie umiejąc ukryć tego, że jest przejęty i zaangażowany emocjonalnie w sprawę floty, zaczął gorączkowo dreptać z rękami założonymi z tyłu wyświechtanych nieco na siedzeniu portek z lampasami. Co kilka kroków robił gwałtowny zwrot. W tych momentach admirałowi wydawało się, że z dyktatora coś odleci albo odpadnie. Było to wyobrażenie tak absurdalne, ale i komiczne, że Kotielnikow z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Zresztą, to, co usłyszał, wcale nie było zabawne. Stalin perorował:

– Cztery lotniskowce, dziesięć krążowników liniowych, dwadzieścia cztery ciężkie krążowniki...

– Chcecie budować krążowniki liniowe? Takie jak „Alaska”? – Kotielnikow nie potrafił się pohamować, ale Głównodowodzący nie miał o to pretensji, tak był pochłonięty swoimi pomysłami.

– „Alaska”? A co to jest „Alaska”? – spytał niepewnie, a Kotielnikow wyjaśnił cierpliwie:

– Amerykański pogrobowiec floty liniowej. Szybki. Nieźle opancerzony. Bodaj dwanaście armat 305 milimetrów. Zaprojektowali go z rozpędu. Myślę, że już dzisiaj żałują, że go zwodowali³⁰. Pamiętacie koncepcję szybkich zespołów operacyjnych? Lotniskowce i nadążająca za nimi flota pancerna? Okazało się jednak, że zespoły lotniskowców świetnie sobie radzą za pomocą własnych samolotów z wszelkimi zagrożeniami i pancerniki są im w ogóle niepotrzebne. Wystarczy dobra ochrona przed atakami spod wody, a do takich zadań potrzebne są jedynie lekkie krążowniki i niszczyciele plus dobry monitoring radarowy...

- Monitoring? – nie wytrzymał Stalin.
- No... taka ciągła kontrola nieba i wody.
- Monitoring, mówicie. Taki stały podsłuch?
- Właśnie, towarzyszu Stalin. Żeby nie dać się zaskoczyć.
- Mówicie więc, żeby nie budować liniowców? Czy budować?

Kotielnikow postanowił być szczery i zaryzykować nawet gniew i niełaskę generalissimusa, ale pomysł był idiotyczny, a jego realizacja mogła na lata zaabsorbować będący i tak w fatalnym stanie przemysł stoczniowy. Potrząsnął więc zapalczywie głową i wlepił szczere, oddane spojrzenie w tygrysie oczy wodza.

– W żadnym wypadku. Tendencje światowe są zupełnie inne. Wszyscy będą raczej się ich pozbywać. Żaden pancierz i żadna szybkość nie osłoni wielkiego okrętu przed bombami i torpedami. Zobaczcie, jak łatwo Amerykanie rozprawili się z superpancernikami Japońców, a większych i silniej uzbrojonych nikt nigdy nie zrobił. Wybaczcie, ale wasz pomysł to trochę tak, jakbyście chcieli znów formować jednostki kawalerii, kiedy wszyscy już wiedzą, że na polu bitwy rządzić będzie czołg i samoloty, i nic innego...

– Dobrze, że nie ma tu Budionnego. Dałby wam za tę kawalerię. Ale ja się nie gniewam. Przemyślę tę sprawę. Zawsze mi się wydawało, że wielkie okręty to także kwestia prestiżu... [31](#)

– Owszem, towarzyszu Stalin – przyznał Kotielnikow w stylu, który musiał spodobać się wodzowi. – Pancerniki świetnie wyglądają na paradzie. Podobnie jak kawaleria... Ale to drogie zabawki, a za takie pieniądze można wybudować coś pożytecznego.

– Lotniskowce? – podrzucił generalissimus i zachichotał: – Byle nie takie, jak „Stalin”. Słyszeliście o tym?

– Coś się u nas gadało, ale nikt nigdy tego lotniskowca na oczy nie widział – odparł Kotielnikow.

– Bo i nie mógł zobaczyć. To taki chwyt propagandowy. No... wiecie... – Wódz miał minę uczniaka przechwalającego się niewybrednym figlem. –

Chciałem sprawdzić, co może prasa. Kazałem więc najpierw roztrąbić, że budujemy znakomity lotniskowiec, a gdy zagraniczni żurnaliści chwycili przynętę, informować o postępach budowy, a potem o wodowaniu i wejściu do służby. Wszyscy byli zadowoleni. Zagraniczni dziennikarze, że mają o czym pisać, a ja miałem wspaniały okręt, tyle że na papierze. Ale przecież z takim papierowym też trzeba się liczyć, dopóki się nie spostrzeże, że go nie ma. To nie był właściwie mój pomysł, tylko jednego z admirałów. Może wiecie, o kogo chodzi? Nie miał nogi.

Kotielnikow kiwnął w zadumie głową, myśląc, że spotkanie choć w takim wymiarze staje się pożyteczne. Przynajmniej dowie się z pierwszej ręki rzeczy, których do tej pory mógł się jedynie domyślać. Tymczasem Stalin, najwidoczniej zadowolony, że ma tak wyrozumiałego słuchacza, paplał uszczęśliwiony:

– Powierzyłem mu planowanie rozwoju floty. Bodaj w trzydziestym piątym. Oczywiście przez wrodzoną skromność wzbraniał się, mówiąc, że bez nogi nie podoła obowiązkom. Powiedziałem mu wtedy... – Stalin uśmiechnął się i podkreślił fantazyjnie wąsa. – Powiedziałem mu: Andrieju Jakiśtam (nie pamiętam zupełnie, jak się nazywał), przecież we flocie jest wielu admirałów bez głowy, to i wy bez nogi z pewnością sobie poradzicie³². No i poradził sobie. Gdyby nie wojna, mielibyśmy największą nieistniejącą flotę na świecie. – Generalissimus rozbawił się na dobre i nawet klepnął Kotielnikowa w kolano, ten zaś niespodziewanie przypomniał sobie personalia beznogiego geniusza mistyfikacji, a także los, jaki go w efekcie spotkał. Bynajmniej nie na papierze. To już nie było z całą pewnością zabawne. – Oczywiście musimy zbudować ofensywną flotę podwodną, żeby kontrolować szlaki handlowe. Myślę, że za dziesięć, dwanaście lat będziemy mieli tysiąc dwieście nowoczesnych okrętów bojowych... – Co tak na mnie patrzycie? – przerwał, dostrzegłszy niedowierzanie w oczach Kotielnikowa. – Nie wytrzeszczajcie się. Nie przesłyszeliście się. Tysiąc dwieście... I to najlepszych na świecie. Nie jakichś skorup nieszczęsnych. Przechwyciliśmy kilka najnowszych projektów od faszystów. Wiecie coś

o tym? Nie. Zaręczam wam, że zadziwiające. Naciskam też na Amerykanów, żeby dali nam dostęp do japońskich konstrukcji... Ale... – Generalissimus zasepił się i tęsknie spojrzął na puste szklanki. Najwidoczniej zastanawiał się nad trzecią dozą pieprzówki. Rozsądek i ćmiący, pulsujący ból wątroby odwiodły go od pomysłu. Stękając, rozstawił szeroko nogi i oparł dłonie na kolanach. Wyglądał teraz jak zafrasowany wieśniak. – Ale... – podjął – z nimi trudno. Bardzo trudno. Są uparci, a przeszkody, jakie stawiają, są najzupełniej takie jak u nas. Wyobraźcie sobie... – Stalin westchnął. – Odpowiedzieli, że najpierw muszą zrobić inwentaryzację... in-wen-ta-ry-za-cję. – Macie pojęcie? – zachichotał niespodziewanie. – Tak jakby chodziło o jakieś szafy... czy kosze na śmiecie. W każdym razie jasne jest, że nie dopuszczą nas do tego, co zostało po Japończykach. A jeśli już, to chyba nieprędko i do jakichś żałosnych resztek. Sparzyli się pewno w Niemczech... – Generalissimus spojrzął badawczo na gościa, a upewniwszy się, że Kotielnikow usłyszy rzeczy zupełnie dla siebie nowe, kontynuował: – W Niemczech przed kapitulacją nasi sprzymierzeńcy i my sami krążyliśmy jak sępy, wypatrując nowych niemieckich broni. Nasze sępy, bo kazałem stworzyć specjalne oddziały, widziały czasem z daleka sępy angielskie albo amerykańskie. Czasami nasi przyjeżdżali za późno, bo wszystko, co można było zabrać, było już zabrane. Często nasi byli szybsi. Podobnie z niemieckimi specjalistami. Wielu pracuje już dla nas, ale bardzo wielu jest u Amerykanów. W Japonii, jak sami rozumiecie, jest inna sprawa, i to Amerykanie dyktują warunki...

– Inwentaryzacja? – podpowiedział delikatnie Kotielnikow.

– Właśnie – potwierdził Stalin i oczy mu pojaśniały. – Ale towarzysze sprzymierzeńcy nie doceniają dobrego wujaszka Joe. A szczególnie jego wywiadu. W Japonii mieliśmy i wciąż mamy wyjątkowo zręcznych ludzi. – Generalissimus rozejrzał się wokół i upewnił, że ochroniarze są dostatecznie daleko. Mimo że byli dostatecznie daleko, ściszył głos, a Kotielnikow, by dobrze słyszeć, pochylił się w stronę wodza. –

Amerykanie, towarzyszu admirale, są bardzo pewni siebie, a czasami nie chce im się sprawdzić wszystkiego do końca. Kierują się pozorami i chcą widzieć rzeczy po swojemu, a nie takimi, jakie są w istocie. To dziwny naród. Czasami wydają mi się bardzo podobni do Rosjan. Łatwo dadzą się otumanić. Wystarczy tylko krzyczeć głośno i często... A Japończycy? Znacie Japończyków?

Niby skąd mielibyście znać... U nich nigdy nic nie jest takie, na jakie wygląda. W każdym razie nasz wywiad wypatrzył tam coś, czym chciałbym was zainteresować. Nie znam się na tym, ale specjaliści zapewniają, że gdyby nad tym popracować, mielibyśmy broń, o jakiej inni mogliby tylko pomarzyć...

– Czy to, towarzyszu Josifie Wissarionowiczu, ma być mój nowy przydział? – upewnił się Kotielnikow i serce zabiło mu mocniej, bo lubił nowe wyzwania. – Jak rozumiem, awans na podwodniaka dostałem właśnie z tej okazji?

Stalin nie potwierdził, a tylko popatrzył na Kotielnikowa z dołu, wciąż opierając dłonie o kolana.

– Jak wejdziemy do domu, dam wam wszystkie materiały, ekspertyzy i raporty. Zostaniecie parę dni i będziecie mogli mi powiedzieć, co o tym myślicie. Ja w każdym razie przywiązuję do tego pomysłu wielką wagę i chciałbym mieć kogoś, kto tego nie spartoli. Wy, towarzyszu Kotielnikow, wydajecie mi się w sam raz... – Stalin spojrział mu jeszcze raz w oczy, a potem, przekrzywiając głowę jak szpak, popatrzył w łagodniejące już o tej porze słońce i dźwignął ciężki zad z ławeczki.

– Chodźmy jeść. – Poufale wziął admirała pod ramię. – Skosztujecie baraninki mojego pomysłu... dusi się ją w gruzińskim winie i z borówkami... i wreszcie porządnie się napijemy.

***Morze Wschodnie 131° 51' 22" długości wschodniej,
37° 14' 18" szerokości północnej, 10 września 1945***

tuż przed świtem

Morze było spokojne i w okularach nocnego peryskopu widział tylko drobne fale przepływające zda się zaledwie o centymetry od jego nosa. W dalszej perspektywie wszystko było szaroperłowe, ale kadr stawał się coraz jaśniejszy i Kaneyasu zdecydował, że opuści peryskop nocny i przejdzie na bojowy peryskop dzienny. Obydwa urządzenia były niemieckie, a wyprodukowała je, jak głosił napis na mosiężnych tabliczkach znamionowych, wytwórnia Nedinsco z Holandii. Oba reprezentowały udoskonalony, opracowany specjalnie na użytek jego okrętu typ używany przez niemieckie oceaniczne U-booty z ostatnich serii świetnych „siódemek”³³. Były jednak o niebo lepsze. Okulary można było adoptować do wady wzroku w zakresie nawet pięciu dioptrii, powiększenie osiągało dwunastokrotną wartość, a kąt elewacji pionowej wynosił aż 110 stopni. Oznaczało to w praktyce, że z głębokości peryskopowej Kaneyasu mógł zajrzeć pod powierzchnię wody i przy dostatecznym oświetleniu zobaczyć nawet odległy dziób okrętu, w górnym krańcowym położeniu zaś ujrzeć wypełniający cały kadr jasnoblękitny brzuch amerykańskiego samolotu patrolowego, przelatującego akurat dokładnie nad kioskiem.

Złożył rękojeści i zakomenderował:

– Nocny dół. Bojowy góra.

Odczekał, aż tłusta od smaru stalowa rura o średnicy osiemnastu centymetrów z cmoknięciem przywodzącym na myśl młaśnięcie wielkiego jęzora osiągnie swoje krańcowe położenie, i rozłożył rękojeści. Wyregulował ostrość, elewację i powiększenie i nagle zrobiło mu się zimno. Odczucie spowodowane zapewne widokiem chłodnych i mglistych szarości na zewnątrz było tak dojmujące, że Kaneyasu oderwał się od peryskopu i odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami sterników i wachtowych podreptał do stołu nakresowego, na którym leżał jego ukochany granatowy jedwabny szalik. Owinął dokładnie szyję, upchnął końce pod mundurową kurtkę i omijając ironiczne – jak podejrzewał – spojrzenie szturmana

wrócił do okularu. Nadal odczuwał chłód, ale miły dotyk śliskiego, gładkiego materiału sprawił, że zrobiło mu się rażniej.

Po kilku minutach wpatrywania się w horyzont, dokładnie tam, gdzie się spodziewał, na skrzyżowaniu opatrzonych podziałkami namiarowych nitek aesera³⁴ zarysował się ciemniejszy od tła kształt. Zerkając na chronometr, Kaneyasu sprawdził godzinę i zadowolony z celności własnych obliczeń wrócił do obserwacji.

Początkowo, ponieważ podchodzili z północnego wschodu (ze względów bezpieczeństwa wybrał szlak północny), mógł obserwować pojedynczy kształt. Potem, w miarę drobnych korekt namiaru podejścia – które rzucał sternikom przyciszonym głosem, tak jakby w pobliżu czaiły się nasłuchujące niszczyciele – ciemna sylweta skały rozdzieliła się, ukazując zarysy materializujących się grani i szczytów. Po kilku minutach, gdy mógł już, ustawivszy największe powiększenie, dostrzec bielejące w wątlým brzasku kozuski piany fal tłukących o strome ściany wyrastające wprost z morza, bliższa i mniejsza skała odsłoniła swą zachodnią, bardziej okazałą siostrę.

Robił to już kilkanaście razy, ale zawsze i nieodmiennie sceneria ta budziła w nim skojarzenia z powieściami Jules'a Verne'a. Zawsze też, nieodmiennie i uparcie, wracało do niego naiwne, dziecinne przekonanie, że wystarczy mocno chcieć, a wszystkie marzenia z pewnością się zrealizują. Verne'a czytał w dzieciństwie zachłannie, a największą przyjemność sprawiała mu niespieszna lektura i powracanie do najbardziej ekscytujących fragmentów znanych już powieści wtedy, gdy był chory i musiał przez kilka dni leżeć przykryty pod szyję futonami³⁵, obstawiony syropami i flakonami lekarstw. Matka twierdziła, że Toru lubi chorować, ale i ona była rada, że jedynek jest w domu i może się nim manifestacyjnie opiekować. Zrozumiał to dosyć wcześnie. Choć była niezbyt bystrą kobietą, doskonale wyczuwała chłód uczuć syna, który nie darzył rodzicielki miłością. Podczas jego – trzeba przyznać nadmiernie częstych – chorób wywołanych zwykle infekcją dróg oddechowych nadarzała się jedyna

okazja, by pod nieobecność innych domowników okazać mu troskę i zrozumienie. Robiła to wszak bez wyczucia i bez pohamowania. Chorując, co może wydać się absurdalne ze względu na oczywiste przecież niedogodności związane z bólem gardła, gorączką czy katarem, czuł się najzupełniej szczęśliwy i spełniony. Na ów stan wpływała głównie świadomość swobody, perspektywa kilku dni bez obowiązków. Nie cierpiał odrabiania lekcji, uważając, że mnogość szkolnych zajęć w zupełności wystarczy. Może i słusznie, bo w przeciwieństwie do większości rówieśników szkolne mądrości przyswajał bez problemu. Zapamiętywał każdy tekst po jednokrotnym przeczytaniu, a arytmetyczne słupki rozbrajał zwykle na nudnych lekcjach historii z taką wprawą i łatwością, iż zawsze dysponował kilkudniowym handicapem w harmonogramie zajęć.

Domowe chorowanie stanowiło rodzaj rozkosznej regencji, wypełnionej niespiesznymi lekturami, drzemką pełną marzeń i chleptaniem pysznej *miso*³⁶, która skutecznie łagodziła najbardziej dokuczliwy katar. Kochał Verne'a za pietyzm w przedstawianiu szczegółu, a głównie za to, że pisarz ten nie niweczył jego chłopięcego poczucia komfortu w imaginacji dramatycznych przygód. Przez pewien czas Toru koniecznie chciał być maszynistą. To szczególne pragnienie zakwitło w nim gdzieś koło roku 1920, gdy miał okazję odbyć wraz z ojcem podróż do Osaki na lokomotywie. Pociągi były wówczas piekielnie zatłoczone, a służbiście nastawieni konduktorzy, z których każdy wydawał się chłopcu przedstawicielem samego cesarza, tak byli godni i nadęci w swych białych nicianych rękawiczkach i w kepi kapiących od złotego szamerunku, że nie do pomyslenia była jazda w toalecie czy na stopniu. Zresztą ojciec nigdy by sobie na taką ekstrawagancję nie pozwolił, mając pod opieką dziesięcioletniego chłopca, którego ubóstwiał.

Gdy zatrzaskiwano im przed nosem drzwi kolejnych przedziałów, dreptali markotni w stronę parowozu, lecz kiedy doszli do równie godnego i imperialnego jak konduktorzy, sapiącego i wypuszczającego hałaśliwe strumyczki pary z rozrządu, amerykańskiego mikada³⁷, nastąpiło cudowne

zdarzenie. W przewieszonym leniwie przez boczne okienko, życzliwie uśmiechniętym wąsatym maszyniście ojciec rozpoznał starszego mechanika z krążownika, na którym służył podczas wojny jako trzeci oficer. Nie minęła i minuta, gdy obszedłszy dyskretnie parowóz, tak by nie wpaść w oko załodze konduktorskiej, znaleźli się wewnątrz mikada. Takich rzeczy się nie zapomina, i Toru wspominał jazdę na lokomotywie bardzo długo, żałując, że nie da się tak podróżować zawsze. Pozwolono mu nawet, ustroiwszy go najpierw w ciężkie przeciwpływowe gogle, powyglądać przez niewielkie, zasmolone okienko. Było to oczywiście wspaniałe przeżycie, ale rozczarowało go, że maszynista – pan i władca pochłaniającej kilometry maszyny – widzi w istocie tak niewiele: głównie bok olbrzymiego, wybiegającego w przód walczaka i gdzieś daleko delikatne niteczki torów. O ileż przyjemniej by było, gdyby budka maszynisty znajdowała się z przodu i można by obserwować, jak tor wbiega pod dolne krawędzie okien. Kaneyasu już wtedy rozumiał oczywiście konieczności wynikające z technologii. Budka musiała być tam, gdzie była, choć gdy czasem się nad tym zastanawiał, podejrzewał, że kolejni konstruktorzy parowozów dali się uwięzić w schematach narzuconych im przez Stephensona. Wystarczyłoby przecież wyjść poza owe schematy.

Jest coś na rzeczy. Dzieci chcą zawsze siedzieć z przodu – albo przy kierowcy, albo co najmniej przodem do kierunku jazdy. Verne, który sam najprawdopodobniej nigdy nie przestał być dzieckiem, doskonale to rozumiał. Z takich właśnie powodów, choć nie miało to najmniejszego sensu technicznego, Nautilus miał budkę z okienkami na samym przedzie i kapitan Nemo mógł patrzeć przed siebie do woli. Małemu Toru wystarczyło to w zupełności, by zakochać się w powieści i nie zastanawiać zbyt nad tym, że przez te okienka Nemo widziałby przede wszystkim mrok i plankton, a pod wodą – chyba że płynie się z silnym reflektorem tuż nad dnem – nie ma zgoła nic do oglądania.

Kaneyasu oderwał się od kapitana Nemo i jego okienek, by sięgnąć po table i sprawdzić pławy o tej porze roku i dnia. Wszystko się zgadzało.

Głębokość, na której majestatycznie sunął okręt, była idealna. Bliźniacze skały wypełniały już cały okular peryskopu. W tej sytuacji Kaneyasu polecił włączyć pasywny radiolokator, którego podobna do koszyka na zakupy antena z dwoma dziwacznymi różkami przypominającymi dziecięce rysunki mrówek albo – lepiej – ważek sterczała ledwie na metr ze sklepienia kiosku, lecz o dziwo był w stanie działać prawidłowo na głębokości peryskopowej. Na co dzień urządzenie to, także niemieckiej produkcji zakładów Telefunken, służyło do wykrywania aktywności radarów nieprzyjaciela i sprawowało się o niebo lepiej niż rodzime „model 2” i „model 3”, dostrzegające cokolwiek jedynie w promieniu czterdziestu mil morskich. Teraz jednak działało jak aktywny radar o bardzo małym zasięgu, ale o wielkiej precyzji. Na swoim okrągłym ekraniku z naniesioną na stałe linią brzegową obu skał, licznych wysepek i poziomiami głębokości operator mógł, podając korekty kursu i zanurzenia, zgrać zaznaczone punkty z bardzo wyraźnym na tę odległość echem odbitym od zakotwiczonych żelaznych boi namiarowych. System był prosty i pewny. Określał bez pudła, z fantastyczną dokładnością jednego metra, pozycję okrętu na torze podejścia. Działał w dzień i w nocy, a luzy łańcuchów kotwicznych, kontrolowane przez sprężynowe nawijarki, sprawiały, że boje zawsze były na powierzchni.

Okręt zaczął wykonywać łagodną cyrkulację w prawo. Gdy studwudziestodwumetrowy kadłub zakończył tę operację, a stery wróciły do pozycji zerowej, Kaneyasu nakazał następny manewr i okręt posłusznie zaczął kreślić rysunek w lewo, tworząc kształt wielkiej litery „S”. Lewą burtą minęli niewielką pojedynczą skałkę i znaleźli się między dwiema głównymi skałami, z których wyższa, wyrastająca na ponad sto pięćdziesiąt metrów ciemnym, ponurym masywem prosto przed dziobem, była ich domem. Wszystkie skały archipelagu zajmowały powierzchnię niecałej ćwierci kilometra kwadratowego. Nie pozostawało tu wiele miejsca na błędy, gdyż skały rozdzielała cieśnina o szerokości nieznacznie przekraczającej dwukrotną długość kadłuba okrętu. Ponadto pod wodą

trzeba było manewrować z prędkością co najmniej trzech węzłów, zapewniającą skuteczność sterowania, a choć okręt miał dwie wielkie śruby i rozłożysty ster, przy tak wielkich gabarytach kadłuba opóźnienie reakcji było spore. Pierwsze podejście musiało być bezbłędne.

Dziób okrętu celował już prosto w środek zatoczki zakończonej ostro zwężającą się skalną niszą, którą załoga nazywała celnie *koiguchi*³⁸, a za plecami kapitana operator telefunkena zaczął cicho podawać korekty sternikom. Jeszcze kilkadziesiąt szybko mknących sekund i Kaneyasu zobaczył tuż przed sobą mglisty zarys górnego sklepienia tunelu. Szybko zmienił ogniskową i powiększenie. Nad głowicą wysuniętego peryskopu było ledwie kilka metrów miejsca. Podobnie po bokach zanurzonego kadłuba, który na śródokręciu miał szerokość dwunastu metrów, pozostawało w najwęższych miejscach ledwie cztery metry. Tunel wyposażono wprawdzie w odboje z masywnych drewnianych bali, lecz gdyby na nie wjechali, wielki kadłub, druzgocąc je siłą rozpędu, mógłby się na wieki zaklinować w dziurze, jak miecz, który niewprawy szermierz włożył do pochwy zbyt gwałtownie pod niewłaściwym kątem. Kaneyasu zmienił elewację peryskopu i polecił zapalić lampy pozycyjne na kiosku. W ich słabym świetle ujrzał szybko podnoszące się ku górze skalne sklepienie i wskaźniki z odblaskowego szkła, pojawiające się w wyraźnie malejących interwałach. To był sygnał, by zastopować i dać małą wstecz.

– Obydwa stop. Obydwa mała wstecz – powiedział z wyprzedzeniem, którego precyzja zależała już wyłącznie od jego intuicji.

Dwa tysiackonne elektromotory, osadzone na wałach śrub i sprzężone z doskonałymi dziesięciocylindrowymi dieslami Kampon model 2, zamilkły tylko na chwilę, by ruszyć z basowym miauknięciem, brzmiącym jak ziewanie wielkiego kota i mrowiącym skórę na karku. Okręt szybko zwalniał i po kilkunastu zaledwie sekundach znieruchomiał. Kaneyasu wysunął peryskop na całą długość i drepcząc wokół jego osi ze śmiesznie wypiętym zadkiem, skontrolował cały perymetr.

– Ciemno jak w dupie – rzucił, nie odrywając oczu od okularów. –

Najwidoczniej pojechali do domu. Albo na górze roi się od Amerykanów z peemami. Wynurzenie. Szasować balasty. Dziobowe rufowe. Równno, szefie.

Sprężone powietrze stopniowo wypełniało zbiorniki, wyciskając wodę, a oni jechali w górę na równej stępcie, jak windą. Wreszcie wszystko ucichło, ale tylko na sekundę, bo szef, otworzywszy klapy odwietrzników, kazał włączyć jeden z pomocniczych agregatów. Po wnętrzu rozsnuło się delikatne dudnienie małego diesla dochodzące z oddalonego przedziału silnikowego. Żarówki pojaśniały, a Kaneyasu złożył rękojeści peryskopu i trąc dłonie, bo wciąż było mu zimno, polecił:

– Dajcie reflektory na górę. Załoga pokładowa na górę.

Wachtowi rzucili się do włazu, ciągnąc przewody przenośnych szperaczy, a cumowniczy pospiesznie wciągali brezentowe, wzmocnione skórą rękawice. Kaneyasu wylazł na górę, a zaraz za nim zupełnie bez wysiłku (co przy jego korpulencji było zastanawiające) wyskoczył jak bobak z nory szturman Shimada i – choć nikt go nie prosił – szef lotników Sakamoto. Pokładowi umocowali już szperacze; silne promienie myszkowały po odległych zakamarkach pełnych drżących cieni i refleksów. Nie trwało to długo, bo gdzieś daleko, ale wyraźnie szcęknął hebel wysokiego napięcia, zabrzęczało i wzdłuż betonowego pirsu, a potem kolejno, jak na komendę, zaczęły się rozjarzać wielkie sodowe lampy, przygasające miarowo w rytm wchodzącego na obroty agregatu. Gdy na dole było już całkiem jasno, a powierzchnia spokojnej wody zmieniła barwę z oleistoczarnej na weselszą, szarobrunatną, zapłonął kolejny rząd świateł, wydobywając – jak teatralne dekoracje – z pierzchającego w panice mroku wyraźne kształty przeładunkowych kranów, zbiorników i przyczepionych na stromych ścianach na podobieństwo jaskółczych gniazd magazynów, warsztatów oraz pomieszczeń mieszkalnych i gospodarczych połączonych chodnikami i galeryjkami. Kaprys wulkanicznych wypiętrzeń pozostawił wewnątrz skały puste niczym wydmuchana przez szklarza bańka i budowniczywie portu w Takeshimie nie musieli tu wiele korygować. Można było odnieść

wrażenie, że natura zaprojektowała wewnątrz skały zachodniej specjalnie na użytek ich okrętu. Kaneyasu skonstatował z satysfakcją, że wyliczył wszystko idealnie. Sen-toku siedział w wodzie zaledwie kilka metrów od betonowego nabrzeża po prawej stronie i pokładowym wystarczyło przerzucić przenośny lekki trap, by zacumować okręt, a potem, wykorzystując elektryczne kabestany, dociągnąć porządnie wielki kadłub do odbijaczy.

– Jest pan wielkim żeglarzem, kapitanie – stwierdził szturman i nikt nie potrafiłby powiedzieć, ile w tym zdaniu było podziwu, a ile żartobliwej i nieszkodliwej ironii.

Sakamoto nie mówił nic, tylko oparłszy dłonie na burcie kiosku, powoli i delikatnie wciągał przez nos pachnące morzem, delikatną zgnilizną wodorostów i ropą mroczne powietrze gigantycznej groty.

– Zauważyliście panowie, że gęstość i smak powietrza zależą od oświetlenia? – zagadnął, nie otwierając oczu.

– Takie refleksje godne są zaiste kogoś, kto spędził kilka tygodni w mokrym, żelaznym pudle. Niech pan nie ulega złudzeniom, poruczniku – dziarskim tonem zaczął rozmarzonego lotnika szturman.

Kaneyasu milczał. Wiedział, że takie pogaduszki dobrze robią pokonanym wojownikom, ale jego interesowało co innego. Zapalono światła, a więc załoga bazy nie wróciła do kraju i pomna specjalnych instrukcji czekała na nich. Tylko dlaczego na początku było tak ciemno? Oczywiście. Zaalarmowani przez hydrolokatory przyczaili się na wszelki wypadek, nie wiedząc, co wychynie spod powierzchni morza. Po przegranej wojnie wszystko jest możliwe.

Komendant bazy Akira Takemitsu na czele kilku swoich ludzi o poszarzałych z niedostatku dziennego światła i z nudy twarzach już maszerował w ich kierunku, nedorzecznie machając chromą ręką. Kaneyasu bardzo go lubił za ironiczny stosunek do świata, delikatność i nieprawdopodobną zdolność naprawienia i udoskonalenia każdego możliwego do pomyślenia mechanizmu. Wpadało do nich zleźć.

Kiwnąwszy na szturmana, Kaneyasu przerzucił odrętwiałe ciało na drabinki kiosku. Oczywiście Sakamoto, choć nikt go nie prosił, polazł za nimi. Komendant bazy wyprężył się, salutując, gdyż zgodnie z procedurami Kaneyasu był jego zwierzchnikiem, ale kapitan delikatnie ujął prawą dłoń starego specjalisty i naciskiem zmusił go do jej opuszczenia. Potem równie delikatnie objął drobnego, malutkiego Takemitsu i poklepał go po szczupłych muskularnych plecach.

– Czekaliście na nas?

Takemitsu przełknął ślinę. Był najwyraźniej wzruszony.

– Jakżeby inaczej.

Kaneyasu odciągnął dolną wargę palcami i przez chwilę zastanawiał się nad wspaniałą siłą, która każe starzającemu się inżynierowi, niegdyś gwiazdzie arsenału marynarki w Kure, sterczeć w mokrej, gigantycznej i ciemnej dziurze, czekając nie wiadomo na co i pilnując zapasów.

– Macie komplet ludzi? – zapytał, biorąc inżyniera pod rękę i delikatnie prowadząc wzdłuż nabrzeża.

– Niezupełnie... – ściszył głos Takemitsu. – Trzech musiałem spisać... – Podrapał się fraszobliwie po starannie ogolonym podbródku i nie czekając na pytanie, wyjaśniał: – Dwóch porznęło się nożami na śmierć. Pokłócili się przy grze. Z nudów pewno. Młodym trudno tu wytrzymać. Przydałyby się im jakieś dziewczyny... Jeden żył jeszcze kilka dni, ale wdało się zakażenie. Pewno z tej wilgoci... – Spojrzał niepewnie na kapitana, a ten odwzajemnił mu się wesołym spojrzeniem i przycisnął serdecznie ramię inżyniera do swego boku.

– Gdybyśmy przywieźli im dziewczyny, dopieroż by było trupów, panie Takemitsu. A ten trzeci? Też gracz? – Nic go to nie obchodziło, wiedział jednak, że Takemitsu po tygodniach warowania jest złąkniony zainteresowania i nowych wrażeń.

– Psychiczny albo desperat, albo wykończył go stres. Albo wszystko razem. Tu o to nietrudno. Wlazł tam. – Krzywym, zdeformowanym reumatyzmem palcem Akira wskazał najwyżej usytuowany pawilon,

w którym mieściła się sekcja łączności. – Byłem akurat u siebie w kantorku i patrzyłem na redę. Tu, jak pan wie, kapitanie, nie ma innych widoków. Chyba że komuś chce się wyleźć na górę. Tylko, wie pan, to osiemset stopni. Ale i tak chętnych nie brakuje. Leżą pół godziny, żeby sobie tam na górze popalić albo pogadać z ptakami. Mnie się już nie chce. Żyję jak kret. Ale dobrze mi tu... – gadał, szczęśliwy, że ma dawno niewidzianego słuchacza.

Doszli już do najniższej położonej agregatorowni. Kaneyasu, który znaczną część życia spędził w pomruku diesli i alternatorów, zawinął z troską inżynierem i poszli znów w stronę okrętu, który stał już porządnie przycumowany, prezentując całą swą funkcjonalną i masywną wspaniałość.

– Patrzyłem na redę – opowiadał Takemitsu, umiejętnie dozując dramatyzm. – Pustą. Zaopatrzeniowca nie było już od tygodni. I nagle... – Zacisnął drobne, suche palce na bicepsie Kaneyasu, aż ten poczuł ból, ale pokonał odruch i nie odsunął ramienia. Akira wywrzeszczał następne zdanie, jakby recytował aktorską kwestię: – Nagle przeleciał mi za szybą jak nurkujący rybołów albo jakieś cholerne zero!³⁹ Głową w dół. Ale się zląkłem! Proszę mi wierzyć.

Kaneyasu uwolnił ramię, bo od wrzasku inżyniera aż zadzwoniło mu w uszach, a ludzie na pokładzie ciekawie odwracali głowy w ich stronę, przerywając pracę. Takemitsu zreflektował się i zaczerwienił. Relacjonował już ciszej, wbijając znowu palce w biceps komandora.

– Leciał w dół i popatrzył mi prosto w oczy. Taki młodziak! Sympatyczny. Może mi pan nie wierzyć, kapitanie, ale dam głowę, że się uśmiechał. Do wody nie doleciał. Trzasnął o tam, w te beczki. Wyglądało to... koszmarne. Jakby ktoś prasnął wielkim kawałem wątroby w kowadło. W końcu to z sześćdziesiąt metrów. Sprzątaliśmy kilka godzin. Żeby nie śmierdziało. Wie pan – Akira zaglądał w oczy komandorowi – dla nas ten port to jak dom.

Kaneyasu pomyślał, że raczej tylko dla Takemitsu, który stracił całą

rodzinę zaraz na początku wojny. Wybiło mu ją w miłosiernych odstępach kilku dni ostre zapalenie wątroby, bo wojskowy lekarz z Arsenалу postawił złą diagnozę. A wystarczyło przecież podawać glukozę, której wówczas (szczególnie w wojskowych aptekach) było ile kto chciał.

– Nie uważa pan, kapitanie – dopytywał inżynier – że tu w środku jest nawet ładnie. Szkoda, że tak mało światła. Można by posadzić kwiaty...

Kaneyasu uwolnił ramię. Żeby staremu nie zrobiło się przykro, objął go serdecznie, lecz powiedział coś, co przeczyło ciepłemu gestowi:

– Nie, drogi panie Takemitsu, nie uważam, żeby tu było ładnie. – I zaraz przeszedł do następnej kwestii: – Autobusy na chodzie?

– Jak najbardziej, panie kapitanie. Zatankowane i po przeglądzie. Chce pan od razu wracać? – W głosie starego Kaneyasu wyczuł nutki żalu i nadziei.

– Nie, panie Takemitsu. Nie zaraz. Dzisiaj się zabawimy. Moim ludziom to bardzo potrzebne, a i pańskim dobrze zrobi. Ma pan jakieś zapasy?

– Chodzi panu, kapitanie, o alkohol?

– Właśnie – z ulgą przytaknął Kaneyasu. – Ma pan jakąś sake? Tyle, żeby starczyło dla wszystkich.

Takemitsu zatrzymał się.

– Mam coś lepszego... – oznajmił.

„Czymś lepszym” okazało się dziesięć poszostnych skrzynek whisky z amerykańskiego przyżu, który nawinął się pod wyrzutnie ostatniego zaopatrzeniowca.

– Kapitan był najwyraźniej szczęśliwy, że mógł się tego pozbyć z pokładu – relacjonował Takemitsu, gdy kilka godzin później spotkali się w kantynie. – Wyznał mi, że postawił przy tych skrzynkach wartość z karabinami.

Kaneyasu z nieskrywaną przyjemnością patrzył na starego, który błyskawicznie i śmiesznie się zalał. Nawet w nikłym, pełgającym świetle żarówek widać było, jak zarumieniły mu się szczyty wydatnych kości policzkowych. Kaneyasu znał się trochę na twarzach i raptem uświadomił

sobie, że inżynier urodził się na Okinawie. Spojrzał na Takemitsu jeszcze ciepłej.

Lubił ludzi z Okinawy za ich zadziwiający dystans do wszelkich wstrząsów i niespodzianek. Czasem nadmiernie krzykliwi i pobudliwi, nigdy nie tracili wewnętrznej równowagi i pogody ducha.

– Tak, tak, panie inżynierze. Kiedy przegrywa się wojnę, ludzie tracą pion. – Podniósł szklanekę i popatrzył pod światło.

– Dobra whisky. To nie sikacz... – Rozprowadził alkohol po wewnętrznej powierzchni zębów.

– Fiu! Zna się pan na tym? – dopytywał Akira. – Ja za nic nie rozróżnię gatunków. Zresztą, jeśli chodzi o mnie... – Czknął głośno. – Niewybredny ze mnie pijak. Miesiącami... ba... proszę mi wierzyć... latami mogę nawet nie wachać alkoholu. Nie muszę pić... – Znowu czknął i Kaneyasu zaczął się obawiać, że inżynier zakwasił się nadmiernie wypitym pospiesznie, mocnym trunkiem. Ale Akira powstrzymał czkawkę. – Jeśli już mam się napić, może być i... – Popatrzył z zaciekawieniem w twarz kapitana, wyczekując jego reakcji. Ten nie wytrzymał i zachichotał, a Takemitsu, jakby się właśnie tego spodziewał, dokończył, zabawnie krzywiąc twarz: – Może być i nafta. – Kaneyasu parsknął głośnym śmiechem i chwycił się za gardło, które zapiekło go od alkoholu. Widząc to, inżynier roześmiał się wyrozumiale:

– Byle się kręciło w głowie i w brzuchu było gorąco.

Kaneyasu nie mógł się powstrzymać i parsknął ponownie, rozbawiony tak nieskomplikowaną i oczywistą filozofią picia. Podniósł swoją szklaneczkę i stuknęli się na szczęście. Choć załoga Sen-toku i ludzie z bazy byli już po paru głębszych, pili i bawili się spokojnie, z pewnością – by tak rzec – determinacją, chcąc za wszelką cenę uspokoić czy też zagłuszyć natłok myśli o powrocie.

– Zauważył pan, kapitanie... – Takemitsu chybnął się niebezpiecznie i Kaneyasu musiał go podtrzymać. Stary podziękował mu uśmiechem, w którym dało się wyczuć odrobinę pogodnej autoironii, i zapobiegliwie

poprawił się na krzeselku. – Zauważył pan, że nie słyhać toastów za cesarza?

Kaneyasu pociągnął spory łyk z rozkoszą, czując szczypanie alkoholu na języku. Zawsze dolewał do whisky tylko kilka kropel wody, tak by wydobyć z trunku pełny bukiet smaków i zapachów. Przełknął i uśmiechnął się błogo. Umysł powoli wypełniała mu ciepła, nieważka wata, pozwalająca choć na chwilę rozkoszować się tym, że nic nie jest ważne ani pilne. Wyrwanie się z kontemplacji tej przyjemności było trudne.

– Nie dziwię się – odparł po dłuższej chwili. – Najpierw ich uczono, że cesarz to nie człowiek, tylko wysłannik bogów. Potem, że jest nieomylny. Potem, że najpiękniej jest za niego umrzeć. A na koniec dowiedzieli się, że cesarz poddał ich okręt i całe cesarstwo Amerykanom. Myślę, że nie ma tu miejsca na toasty. Niech lepiej piją za zdrowie żon i kochanek... A najlepiej, niech wypiją za to, że przeżyli.

– Sądzi pan? – upewnił się Takemitsu i chyba odpowiedział sam sobie, bo mimo milczenia kapitana nie ponawiał pytania.

Kaneyasu z zadowoleniem rozglądał się po sali. Była to pomysłowo adaptowana sala jednego z warsztatów, pomieszczona na „antresoli” pierwszego, skalnego poziomu. Miejsca było tu dość nawet dla dwustu ludzi. Dach wsparto na lekkich, ażurowych kratownicach podpartych pilastrami, ale gdyby się dobrze zastanowić, w żadnym z pawilonów dach nie był zgoła do niczego potrzebny. Nawet Takemitsu lubiący, żeby rzeczy i urządzenia miały wygląd zgodny z nazwą, uważał, że to niepotrzebna strata materiału. W przypadku tej sali, szumnie nazywanej „kantyną”, dach rzeczywiście był z materiału, a ściślej z impregnowanego brezentu, który w irytujący sposób chłonał i skraplał wilgoć potraw i oddechów. Konstrukcje podtrzymujące ściany i dach wkuto w strome, nachylone pod ujemnym kątem skaliste zbocze tworzące „tylną ścianę”. Powstał przytulny nawis, a pomysłowy Takemitsu poustawiał w zakamarkach małe ołtarzyki Buddy i doprowadziwszy przewody, malowniczo podświetlił. Znalazł także sposób, by ustawić w niszy kilka stolików z wypolerowanych przez wodę

głazów. Blaty wykonano z deszczulek pozyskanych najwidoczniej ze skrzynek po zaopatrzeniu. Teraz na każdym z tych stolików stała kopczą świeczka. Na mocy niepisanej umowy to była oficerska część kantyny i kadra, prócz dyżurnych, stawiała się w komplecie. Powyciągali z szuflad niemiłosiernie pogniecione najlepsze mundury i wyglądali niezwykle, uroczyście ogoleni i wyświeżeni. Baza dysponowała całkiem wydajnym głębinowym ujęciem słodkiej wody, a w jednym z najniżej położonych pawilonów były prysznice i nawet kilka miniaturowych rozkosznych kamiennych *o-furo* ⁴⁰. Kaneyasu wspominał cudowny kwadrans w bardzo gorącej wannie, do której z racji rangi wlaźł pierwszy. Choć wiedział, że w kolejce czekają kolejni amatorzy wrzątku, celebrował to włożenie, jak mógł najdłużej. Uwielbiał uczucie balansowania na granicy termicznej tolerancji ciała. Z grubsza chodziło o to, żeby zanurzać się na tyle powoli, by dać organizmowi czas na dostosowanie się do temperatury, i by się nie cofnąć, bo wtedy celebry trzeba było powtarzać od początku. Wrażenie było niepowtarzalne i zawsze dawało Kaneyasu satysfakcję pokonywania własnych słabości. Takemitsu urządził *o-furo* tak pomysłowo, że wylazszy z parującej kąpieli, można było natychmiast zanurzyć się po szyję w wykutej w skale niecce z zimną morską wodą, dzięki filtrowi na rurze tylko trochę śmierdzącą ropą, a potem dokładnie opłukać pod prysznicami ze słodką.

– W pańskiej *o-furo* brakuje tylko dziewczynek do mycia pleców – pochlebił staremu.

– Myśli pan o łaźiebnych? – Takemitsu wolał tradycyjne określenia.

– No. Żeby umyły plecy, rozmasowały mięśnie i... – rozmarzył się Kaneyasu – żeby nie były szpetne. I nie miały iksowatych goleni, jak mój szturman. Niestety, one zawsze są brzydkie – dodał rzeczowo.

– Wie pan, komandorze? – bronił się słabo Takemitsu. – Tu tylko jednego jest w bród. Czasu. Między waszymi wejściami kilka miesięcy jedynie zaopatrzeniowce wpływają co pół roku. Nadzwyczajnych wydarzeń brak. Wynajduję sobie zajęcia. Z konieczności... Żeby nie oszaleć i nie... wie

pan... poszybować tam, na dół.

– To mi coś przypomina – podjął Kaneyasu, zawładnąwszy butelką –
i bardzo dobrze rozumiem pańską przyjemność.

Nie dokończył, pozostawiając inżynierowi pole do domysłów, ale myśl zakiełkowała. Przypomniawszy sobie bezsensowne wakacje spędzone daleko na północy Japonii z dziewczyną, która po krótkim okresie fascynacji znudziła go. Sytuacja była idiotyczna. On nie miał nic do roboty – ona połączyła wakacje z pracami wykopaliskowymi w prehistorycznej osadzie Ajnów. W dodatku (na co nie powinien był pozwolić) to ona finansowała ich wspólny wyjazd. Wynajmowali rozwalające się domostwo, o które właściciel najwidoczniej nie dbał. Kaneyasu, mając ocean wolnego czasu (bo, wyczuwając nieszczerą prośbę, dziewczyna nie zabierała go na te wykopaliska), zabrał się do remontu. Zaczął niewinnie od uporządkowania ogrodu i żywopłotów. Ale rozkręciwszy się, wyremontował saunę i przystań. Podreperowało to jego nadwątlone *ego* i doskonale pamiętał, jak z rozpierającym uczuciem dumy czekał na swoją archeologkę, by zademonstrować kolejne dokonanie. Dziewczyna traktowała jego zabiegi z lekką pogardą. Wyczuwała najwidoczniej, że zainteresowany jest jedynie korzyściami płynącymi z faktu, że jest świetnie sytuowana i nie ma uprzedzeń do uprawiania miłości we wszelkich okolicznościach i w dowolnym czasie. Uświadomił sobie, że stanowią wyjątkowo cyniczny tandem.

– Bardzo dobrze rozumiem pańską przyjemność z tych modernizacji – powtórzył Kaneyasu i dodał: – Ja też lubię się krzątać.

Zabawa się rozkręcała, a uczestnicy podzielili się na grupy. W każdej z nich przy akompaniamencie klaszczących dłoni bawiono się inaczej. W jednej z grup otyły (co na okręcie podwodnym należało do rzadkości) torpedysta, obwiązawszy tłustą, lśniącą jak księżyc gębę chustą, demonstrował we wcale udatnej pantomimie odwieczną historyjkę o tym, jak złodziej zakradł się na zagon melonów. W innej przy wtórze uderzeń pałeczkami w metalowe kubki śpiewano o miłości dziewczyny do śniegowego bałwana. Improvizowany chór powtarzał refren, który wszyscy doskonale znali od dziecka, ale który nieodmiennie rozśmieszał do łez. Zaraz obok – a melodie i rytmy mieszały się zabawnie – zgodnie kołysano

się w rytm innej piosenki o nieskomplikowanych słowach:

Nie gap się tak na tańczącą dziewczynę.

Przyjdzie wiosna i w rozdziawionej gębie

Wróbel uwije ci gniazdo.

O czym śpiewano w trzecim kręgu, tego Kaneyasu z racji odległości nie mógł usłyszeć, ale melodia i rytm wydawały mu się znajome. I już po chwili ze strzępków tekstów i melodii odgadł, że to sprośna piosenka o farbiarce O-Roku.

– Też się w to bawiłem. Jak byłem, ot, takim srajdkiem...

– Inżynier Takemitsu pokazał dłonią wysokość. – Śpiewają dziecięce piosenki...

Nie była to konkluzja, raczej wątpliwość, a Kaneyasu był wyczulony na takie delikatne nutki. Tak jak wszyscy podwodniacy. W czasie niekończących się godzin podwodnego przyczajenia opowiadano sobie wiele historii, a ludzie umieli słuchać i wyczuwać intencje narratora jak mało kto.

– Tęsknią, panie Takemitsu – zawyrokował. – To wszystko z tęsknoty. Nie obrazi się pan, jeśli zostawię pana na pół godzinki? - dopytywał troskliwie, a gdy Takemitsu z żalem zaprzeczył, dodał ciepło: – Pójdę sobie na górę. Popatrzę na gwiazdy. A pan niech nie szarżuje z tą whisky, dobrze? Chciałbym mieć jeszcze z pana pociechę, jak wrócę. – Popatrzył krytycznie na butelkę, w której została jeszcze dobra ćwiartka, i poczłapał w stronę bufetu, by wziąć następną.

Trzeba się było dobrze namęczyć, by pokonać kilkaset metrów dudniących schodków, poprowadzonych zmyślnie trawersami po załamaniach zbocza. Minęło dobre dwadzieścia minut, nim nieludzko zmęczony znalazł się pod szczytem. Musiał często przystawać i odpoczywać, bo drżały mu łydki. Pod wodą ma się niewiele okazji do spacerów i najzwyczajniej traci się formę. Na domiar złego w prawym kolanie odezwała się dawna kontuzja.

Kaneyasu mozolnie piał się w górę i coraz słabiej dochodziły do niego

odgłosy zabawy, choć wewnątrz góry wypełniało echo. Poszczególne melodie i rytmy mieszały się ze sobą, tworząc nową polifoniczną całość, w której było coś magicznego i pociągającego. Na piosenki, które znał z dzieciństwa i które słyszał przez ścianę, gdy w domu bawili się dorośli, nakładała się jeszcze jedna melodia. Natrętna, kiczowata i skopiowana chyba z amerykańskiego filmu. Ktoś akompaniował na akordeonie. Śpiewano o miłości, długim oczekiwaniu i tęsknocie. Kapitanowi wydawało się, że słucha opowiadania człowieka, który błyskawicznie popada w zmienne nastroje – od liryzmu do wybuchowej wesołości. Wreszcie, gdy uchylenie stoku wymusiło na konstruktorze schodów już tylko podwieszanie, a nie wkuwanie w ścianę galeryjek, kolejny podest przebijał metrową zaledwie w tym miejscu ścianę skały i wychodził na zewnątrz. Czekająca tu na wspinacza miła niespodzianka – osłonięta z trzech stron, a z czwartej zamknięta balustradą galeryjka z wtuloną w kąt budką meteorologiczną i wiatromierzem, na którego szczycie ktoś zainstalował misternie wyciętego z blachy, dumnie wygiętego karpia. Najwidoczniej na szczęście. Kaneyasu aż przykucnął ze wzruszenia i zachwytu. To miejsce mogło z powodzeniem być bajkowym mostem, jedynym przejściem, którym demony wydostają się na świat, a ludzie mogą wkroczyć w świat demonów. Pod warunkiem, że nie chcą już być ludźmi, bo znudziła ich dobroć, respekt dla szlachetnych kodeksów i altruizm. Tak przecież skończyło wielu *onimikado* * (* *Onimikado (jap.) – zawodowy likwidator demonów.*). Zabijając kolejnych przeciwników i przechodząc na tamtą stronę, nasycali się siłą i okrucieństwem demonów. W wyniku transformacji taki delikwent stawał się równie niebezpieczny dla nowych koleżków (bo zachowując część ludzkich uczuć, przewyższał ich siłą ducha), jak i dla ludzi. Posiadłszy magiczne tajemnice demonów, mógł górować nad najlepszymi ziemskimi szermierzami. Kaneyasu uśmiechnął się w duchu. Most demonów... Jeśli tak, to pozostaje tylko ustalić, na którą stronę kto przechodzi. Zaśmiał się głośno, bo koncept wydał mu się idiotyczny i zabawny, i siadł wygodnie, opierając plecy o skałę, a nogi o barierkę. Namacał butelkę, którą postawił

koło siebie, i patrząc w rozgwieżdżone niebo, pociągnął pierwszy łyk. Dopiero wówczas poczuł, że coś się skończyło i otwiera się przed nim całkiem nowa dziedzina, o której niczego jeszcze nie wiedział, a musiał się w nią zagłębić już następnego dnia. Myśl o tym odsunął na razie na samo dno umysłu i z westchnieniem ulgi wypełnił go tylko tym, co miał przed oczami.

Morze Wschodnie, 36° szerokości północnej, 132° długości wschodniej, kilka dni później, południe

Takemitsu radził płynąć nocą. Kaneyasu uznał to za niedobry pomysł. Mieli przecież udawać repatriantów z oddziałów stacjonujących w Korei. Rozsądniej więc było nie kryć się w mroku. *Basu** (* *Autobus.*), jak nazywali dwa odrapane, wyglądające na zaniedbane, ale wewnątrz całkiem dobrze utrzymane i sprawne dwudziestodwumetrowe kutry, jakich używa się do połowów tuńczyka i bonito, wypłynęły ze swoich wydrążonych w skale schronów w kilkugodzinnym odstępie. Pierwszy cumował już pewno w Izumi, bo do wybrzeży Japonii było ledwie 120 mil. W sumie trochę więcej, bo – by uprawdopodobnić trasę z Busan – trzymali najpierw kurs na południowy zachód. Załoga Sen-toku i ludzie z obsługi bazy obsiedli burty stateczku jak odpoczywające mewy i korzystali z pięknej pogody, wystawiając chorobliwie blade twarze na wciąż ostre jesienne słońce.

Kaneyasu przemieszał ich i rozdzielił pomiędzy dwa stateczki, a dowództwo drugiego powierzył szturmanowi. Prócz kilku marynarzy tworzących załogę „autobusów”, ludzie odziani byli w mundury piechoty i oddziałów saperskich ze starannie wybranych jednostek. Wszystkim wyrobiono nowe papiery, a każdy miał wyuczoną na pamięć własną legendę. Przed wypłynięciem Kaneyasu i oficerowie na wrywki egzaminowali załogę i uznali, że ludzie są dobrze przygotowani na

wypadek kontroli. Do tej pory nikt ich nie niepokoił. Tylko rankiem przeleciała wysoko catalina. Choć upłynęły już cztery godziny, horyzont był pusty i wyglądało na to, że szczęście wciąż im sprzyja.

– Chyba mamy szczęście... – Sakamoto postawił kołnierz i odwrócił się od łagodnie dmuchającego wiatru, przypalając papierosa, a gdy skończył, Kaneyasu z przerażeniem spostrzegł, że chowa do kieszeni paczkę amerykańskich chesterfieldów. Bez słowa wyciągnął rękę, a zdezorientowany pilot wręczył mu papierosy. Kaneyasu metodycznie podarł kartonik na kawałki i wyrzucił za burtę. Pełne pretensji spojrzenie Sakamoto świadczyło o tym, że lotnik niczego nie rozumie.

– Chcesz, żeby cię powiesili na maszcie razem z tymi chesterfieldami? Skąd masz amerykańskie papierosy? – indagował surowo Kaneyasu. – Trzymaj ster! – Nie czekając na odpowiedź, wziął blaszaną tubę i wychylił się ze sterówki. – Słuchajcie wszyscy – ogłosił. – Jeśli macie przy sobie jakieś podejrzane rzeczy... amerykańskie papierosy... wódkę... czekoladę itepe, wszystko za burtę, ale już. Bez dyskusji!

Pewien, że załoga bez szemrania wykona rozkaz, wrócił do koła sterowego. Sterowanie na powierzchni sprawiało mu przyjemność. W bazie mianował się więc kapitanem jednostki i wystroił w rozciągnięty biały golf i brezentową kurtę, której brakowało guzików. Nowe dokumenty zaświadczały, że jest oficerem marynarki handlowej wcielonym do służby pomocniczej.

Twarz Sakamoto była wciąż jak flaga sygnałowa. Dawał wyraźnie do zrozumienia, że jest mu przykro i czuje się urażony. Kaneyasu zerknął na niego z ukosa, a potem popatrzył znów przed siebie, usiłując powstrzymać śmiech. Ale nie zdołał. Pilot zawstydził się więc jeszcze bardziej.

– Co w tym takiego śmiesznego? – obruszył się głupio, co wywołało kolejny wybuch wesołości kapitana. Będąc człowiekiem dobrze wychowanym, Kaneyasu starał się powstrzymać, ale ramiona drgały mu od tłumionego chichotu. Uzmysłowił sobie, że Sakamoto pod pancierzem zdeterminowanego i gotowego na sprawy ostateczne wojownika skrywa

naturę delikatną i nieśmiałą. – Dostałem od staruszka. Nie myślałem...

– To myśl. – Kapitan przestał chichotać i nagle spoważniał. – Cholera ich wie, jak się będą z nami obchodzić. Nie chcę mieć was na sumieniu z powodu byle gówna... Wyobraź sobie, że to ty wygrałeś wojnę, a jakiś Amerykaniec pali sobie w najlepsze japońskie papierosy albo popija sake...

– Póki co nigdzie nie widać tych twoich amerykańskich... – Pilot szukał przez chwilę właściwego określenia, ale nie znalazł, toteż dokończył zdanie inaczej niż zamierzał: – Wygląda na to, że mamy szczęście... – Zadowolony, że dowódca nie zabrał mu chesterfielda tkwiącego w ustach, zaciągnął się chciwie słodkim, gęstym dymem.

– Chyba się właśnie skończyło – odparł ze smutkiem Kaneyasu i podniósł do oczu lornetę zawieszoną na piersi. Sakamoto podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Nieco na lewo od dziobu zza lekko zamglonego horyzontu wystawała cieniutka igiełka masztu i delikatne, zda się nieruchome dwa warkoczyki białego dymu.

– Zmieniamy kurs? – Sakamoto pospiesznie dopalił chesterfielda i skwapliwie wyrzucił niedopałek za burtę. Tak skwapliwie, jakby Amerykanie (bo któż by inny na tych wodach i w tych czasach) mogli z tej odległości dostrzec miniaturowy napis na papierosie.

– Jeśli ja ich widzę, to oni mnie też – odparł kapitan. – Jedziemy tak, jak jechaliśmy. Uprzedzę ludzi... – Ponownie wywiesił się z megafonem przez okno i zagadał do załogi: – Słuchajcie no. Będziemy mieli gości. Zachowujcie się normalnie i nie traćcie głowy. Jeśli ktoś zna angielski, niech się nie wychyla. Powtórzcie sobie wasze historyjki i nie prowokujcie ich pod żadnym pozorem. Zdajcie się na mnie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję wam. Za kilka godzin będziecie w domu.

Tłumek na burtach i na pokładzie zafalował niespokojnie i ludzie zbili się w rozgdakane, niespokojnie komentujące nowinę gromadki. Osłaniając oczy przed słońcem daszkami z dłoni, starali się dostrzec to, czego jeszcze nie mogli zobaczyć. Kaneyasu wrócił do obserwacji. Po kilku minutach dwa warkoczyki dymu zlały się w jeden. Mogło to oznaczać tylko tyle, że

jednostka zmieniała kurs i płynęła prosto na „autobus”. Sądząc po tym, jak szybko jej kadłub materializował się nad linią horyzontu, dali tam „całą naprzód”.

Kaneyasu porządkował w głowie dane, których zamierzał się trzymać. Jedynie on na statku zna angielski. Jest zwerbowanym przez marynarkę cywilem, dowodzi tylko transportem. Załoga to zdemobilizowani po kapitulacji piechociarze i saperzy. Płyną z Pusan. Kuter zarekwirowała marynarka jako jednostkę pomocniczą. Dowodził przedtem statkami handlowymi. Ich nazwy... Nie, takie szczegóły chyba są zbędne... A jednak... Na wszelki wypadek. Przecież nie mogą mieć na każdym cholernym patrolowcu wykazu całej floty handlowej. A więc dobrze... „Iwanami-maru” i... powiedzmy... „Inaduma-maru”. Tę ostatnią nazwę Kaneyasu zaczerpnął z kanonu form miecza, a określała ona... Zresztą, jakie to ma znaczenie. Trzeba się uspokoić. Wszystkiego nie sposób przewidzieć. Gdyby to jemu przyszło kontrolować kuter z repatriantami, od czego by zaczął? Od listy obecności? Od dokumentów? A może od gróźb, wrzasków i skopania kilku facetów? Nieeee... Tego by chyba nie zrobił. Chociaż... Gdyby nie chcieli odpowiadać na pytania i nie byłoby innego sposobu? We flocie mówiło się o różnych rzeczach, które wyprawiała armia na podbitych terytoriach, ale rzadko kto dawał temu wiarę. Mówiło się też o tym, że Amerykanie potrafią strzelać do ludzi w wodzie... albo właśnie nie strzelać, tylko zostawić ich w kamizelkach na środku oceanu i odpłynąć, paląc chesterfieldy. Człowiek zostawiony na środku oceanu... Dajmy spokój. Kaneyasu zamknął na chwilę oczy, chcąc uspokoić cisnące się niepotrzebne myśli. Sakamoto wyciągnął rękę. Kapitan bez słowa zdjął rzemień z szyi i podał lornetę lotnikowi. Ten przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podpływający okręt, choć szczegóły można już było rozróżnić gołym okiem.

– Typ Gleaves, udoskonalony Benson. – Rozpoznawanie sylwetek było pasją Sakamoto. Był zawsze na bieżąco i nigdy się nie mylił. Kaneyasu kiwnął głową, choć podane nazwy niewiele mu mówiły. Niszczyciel to

niszczyciel. Najskuteczniejsze obok samolotu narzędzie do polowania na Sen-toku. Odchrząknął, bo zaschło mu w gardle, i mocniej zacisnął dłonie na kole sterowym.

– Ładny okręcik. Taki poręczny... Chyba szybki?

– Trzydzieści pięć węzłów, prawdopodobnie tyle teraz robią - potwierdził Sakamoto, nie odrywając oczu od okularów.

Ładne, zwarte sylwetki mają te amerykańskie niszczyciele - pomyślał Kaneyasu. – Ale za mało w nich zadziorności, której japońskim dodawała wygięta fantazyjnie na kształt sztychu miecza dziobnica, dynamiczne, sugerujące przeznaczenie okrętu do wielkich szybkości uskoki pokładu i odchylone mocno w tył masywne kominy. Kominy niszczyciela, który płynął w ich kierunku, sterczały w niebo jak dwie pieszczalki, a w sylwecie okrętu nie było nic groźnego. Kaneyasu odebrał swoją lornetę i zawiesił ją dostojnie na szyi. Było w tym coś z gestu lekarza, który dyndającym na szyi stetoskopem chce podkreślić powagę swej roli. Znow popatrzył na amerykańską jednostkę, a ponieważ niszczyciel zmienił kurs, rozpoczynając cyrkulację, zdołał zauważyć nawet wielki numer taktyczny na burcie. „641”. Przesunął krzyż obiektywu wyżej i dostrzegł amerykańskiego oficera, który także najwidoczniej chwycił go w swoje szkła. Było to dziwne, krępujące uczucie i Kaneyasu, zmieszany niczym uczeń podglądający podciągającą majtki nauczycielkę, czym prędzej opuścił lornetę.

Raptem w górze zaszeleściło coś przenikliwie i warkotliwie i jakieś dwieście metrów przed dziobem „autobusu” wyrosła w wodzie smukła fontanna znacząca ślad uderzenia studwudziestostodmimilimetrowego pocisku. Chwilę potem dobiegł ich huk wystrzału i zobaczyli dyskretny obłoczek spowijający pierwszą przednią wieżę niszczyciela. W przewidywaniu tego, co nieuchronne, Kaneyasu westchnął i szarpnął rączką telegrafu maszynowego. Ucichł stuk diesla i kuter, wytracając szybkość, zakołysał się silniej na długiej, łagodnej fali. Amerykanie zatoczyli łuk i byli już bardzo blisko. Na tyle blisko, że ludzie na kutrze

mogli ich sobie dokładnie obejrzyć i nawet przeczytać nazwę okrętu wypisaną na tratwach ratunkowych: „USS Tillman”. Niszczyciel był czyściutki i porządnie odmalowany. Wyglądało na to, że przeszedł niedawno kapitalny remont, bo szarej farby na burtach nie zdołały jeszcze zeszpeciść rdzawe zacieki. Na tych wodach korozja postępowała błyskawicznie. Kołysali się leniwie w odległości kilkunastu zaledwie metrów, a jedynym odgłosem był plusk wypompowywanej za burtę wody. Amerykanie patrzyli na nich z góry, z wyższej jednostki.

Załoga niszczyciela była na stanowiskach bojowych. Wszyscy mieli na głowie hełmy i przeciwodłamkowe kamizelki, a lufy podwójnych czterdziestomilimetrowych i pojedynczych dwudziestomilimetrowych działek patrzyły prosto w oczy ludziom na kutrze. Gdy śródokręcie „Tillmana” zrównało się ze sterówką kutra, z mostku niszczyciela odezwał się megafon:

– Hej, wy! Czy ktoś mówi po angielsku?

Kaneyasu podniósł wzrok. Człowiek gadający przez tubę był bardzo młody i przerastał innych na mostku o głowę. Głos też miał młody i wysoki. Jakby nie przeszedł jeszcze mutacji. Kaneyasu, sam nie wiedząc, dlaczego to robi, zdjął czapkę i wychyliwszy się z okna sterówki pomachał dłonią. A potem też podniósł tubę do ust.

– Ja. Ja znam – odpowiedział z celowo przesadnym japońskim akcentem, chociaż język angielski znał bardzo dobrze.

– Przyjmijcie rzutki i dobijcie do naszej burty – polecił Amerykanin, wolno i dobitnie rozdzielając wyrazy. – Wchodzimy na pokład. Niech wszyscy zostaną na miejscu.

Po chwili z „Tillmana” poleciały rzutki i załoga kutra, zamocowawszy je, przyciągnęła stateczek do burty niszczyciela, na którą Amerykanie wyrzucili gumowe odbijacze z opon samochodowych. Amerykański oficer, niczym hiszpański konkwistador zeskakujący z burty galeonu na podbity ląd, koniecznie chciał być pierwszy. Wyprzedził nawet sprawnie lądujących na pokładzie żołnierzy z piechoty morskiej. Nie miał najwidoczniej wprawy

w abordażu i uraził sobie boleśnie staw skokowy, ale choć noga złożyła się pod nim, nadrabiał miną. Poprawiając kaburę pistoletu, pokuśtykał w stronę sterówki. Patrzył marsowo na mijanych Japończyków, a ci, pomni zaleceń kapitana, pokornie spuszczały wzrok i usuwały mu się z drogi. Kaneyasu spotkał go na międzypokładzie, bo odniósł wrażenie, że Amerykanin z rozpędu gotów jest wspiać się na stopnie sterówki. To nie byłoby właściwe, więc kapitan, wzdychając i poprawiając obszarpaną kurtkę, wyszedł zdobywcy naprzeciw.

Gdy znaleźli się o dwa kroki od siebie, Amerykanin ni stąd, ni zowąd podrapał swędzący podbródek, wykrzywił twarz i spytał pogardliwie:

– Ty dowodzisz?

– Tak jest... – Kaneyasu wyprostował się, sprawdził układ dystynkcji na pagonach oraz czapce zwycięzcy i zaryzykował wyższy stopień – panie kapitanie.

– Poruczniku – skorygował z żalem Amerykanin, któremu najwyraźniej spodobał się niespodziewany awans. Skręcona podczas popisowego skoku kostka dokuczała mu widać nie na żarty, gdyż powróciwszy do służbowego tonu wypytywał z grymasem bólu: – Co tu robicie? Skąd? Dokąd? Dokumenty!

Kaneyasu skwapliwie wyciągnął z wewnętrznej kieszeni plik papierów zaświadczających, że są tymi, za których się podają. Amerykanin wziął papiery, a że było ich dużo, wyleciały mu natychmiast z niezdarnej dłoni. Kaneyasu, nie czekając na polecenie, opadł na kolana, pozbierał je z pokładu i zwrócił porucznikowi. Ten z namysłem spojrzawszy na Japończyka, po czym przeniósł wzrok na swój oddział przyzowy, wiernie (jak mu się zdawało) wpatrzony w każdy jego ruch, i rozkazał dostojnie:

– Przeszukać statek. Sprawdzić dokumenty. Broń. Materiały wybuchowe i... – chwilę się zastanawiał – w ogóle wszelkie podejrzone rzeczy zarekwirować. – Poszukał oczu Kaneyasu, najwidoczniej nie mając pomysłu na dalszy ciąg kontroli. Wahał się chwilę. Wreszcie już nie jak zdobywca, a jak ktoś, kto ciekaw jest nowego otoczenia, zaproponował: –

Moglibyśmy spokojnie porozmawiać? Macie tu jakąś kabinę?

Kaneyasu usunął się na bok bez słowa i zrobił zapraszający gest. Porucznik znów władczo pomacał kaburę i ruszył we wskazanym kierunku.

– Przecież to po japońsku! – Amerykanin, który wbrew morskim zwyczajom wciąż nie raczył się przedstawić, trzepnął plikiem pięknie podrobionych dokumentów podróżnych w stół królujący w miniaturowej mesie kutra.

Kaneyasu powoli wypuszczał z płuc powietrze, myśląc, że wojna szczególnie w tej, kapitulacyjnej fazie, stawia swoim dzieciom wiele niespodziewanych i trudnych do zniesienia wyzwań. Uczono go jednak cierpliwości i czekania na właściwy moment, więc spytał pokornie:

– Czy mogę usiąść?

Pytanie rozbroiło Amerykanina. Uśmiechnął i wskazał kapitanowi krzesło naprzeciw siebie, po czym rozejrzał się szybko po malowanych na biało farbą ze sproszkowanym korkiem ścianach i spuszcając wzrok, po raz pierwszy honorując starszego stopniem, zagadnął:

– Nie ma pan tu czegoś do picia, kapitanie?

Kaneyasu wstał i sięgnął do szafki nad głową porucznika, co ten skwitował podejrzliwym spojrzeniem.

– Mam. Koniak. Francuski. Ale niezbyt markowy. – Postawił na stole blaszane kubki. Amerykanin podejrzliwie powąchał płyn, więc Kaneyasu demonstracyjnie upił spory łyk. Wtedy Amerykanin z widoczną ulgą wysączył swój kubek, nie pozostawiając Kaneyasu najmniejszych wątpliwości, że ma do czynienia z człowiekiem uzależnionym od alkoholu.

– Nazywam się Ohmann. Thomas Ohmann.

Japończyk bezbłędnie zdiagnozował oficerka. To był ktoś bezpośrednio po szkole albo rezerwista. Z pewnością nie miał bojowych doświadczeń. Ale mógł być tym bardziej niebezpieczny. Kaneyasu wstał więc i zwierając obcasy, wyrecytował swój stopień i nowe nazwisko. Ohmann chyba lubił wojskowy dryl, gdyż łaskawie się uśmiechnął, a ponieważ Kaneyasu wciąż

prężył się jak głupek, wskazał mu miejsce za stołem i spytał o kilka rzeczy naraz:

– Co jest w tych papierach? Dlaczego nie mam waszego transportu w ewidencji? Skąd są ci ludzie? Czy wasze dowództwo orientuje się w tym wszystkim?

Kaneyasu uznał, że lepiej będzie nie zaczynać od konkretnej odpowiedzi, a wdać się w ogólne rozważania natury filozoficznej. Nie powinno to, jak sądził, przeszkadzać tyczkowatemu porucznikowi, najwyraźniej rozmiękczonemu już koniakiem.

– Rozumie pan, poruczniku, że po kapitulacji jest zwykle większy bałagan niż na samej wojnie...

– Kapitulował pan już kiedyś? – przerwał Ohmann wcale inteligentnie.

– To mój pierwszy raz. I proszę mi wierzyć, to bardzo przykre i trudne...

Poza tym...

– Ośmielę się zauważyć – jadowicie wtrącił Ohmann, znów nie dając Kaneyasu dokończyć – że to pański kraj zaczął tę wojnę. Ale wróćmy do konkretów. – Spojrzał wyczekująco na kapitana. Kaneyasu udał zmieszanie.

– Ci ludzie to taka zbieranina z Korei i Mandżurii. Z różnych oddziałów. Część dopiero kilka dni temu wypisała się ze szpitali. Jest kilku z kwatermistrzostwa. Jacyś księgowi... – Pogardliwie zawiesił głos. – W tych papierach jest szczegółowa ewidencja. Mógłbym panu przetłumaczyć na angielski, ale zajęłoby mi to pewnie ze dwa dni. Nie mam wprawy w pisaniu...

– To bez sensu. Na razie muszę panu wierzyć na słowo – skwitował kwaśno Ohmann i pytał dalej: – Pan nimi dowodzi?

– W zasadzie tylko ich wiozę. Niby jestem najstarszy stopniem, ale ja jestem zmobilizowanym cywilem.

– Jak mam to rozumieć? – Ohmann nie był tym oświadczeniem zachwycony.

– Jestem oficerem marynarki handlowej... Powołanym do służby

pomocniczej. Na dobrą sprawę nikt, łącznie ze mną, nie ma więc pojęcia, jak mnie traktować. Żołd dostawałem według stawek marynarki, ale na przykład umundurowania już nie... Sam pan widzi.

Dotknął z wyrzutem wyświechtanych klap swojego cudacznego kubraka, a amerykański oficer, choć wyglądał na niezbyt rozgarniętego, z każdym słowem Japończyka utwierdzał się w swoich podejrzeniach. Miał do czynienia nie z cywilem, lecz z frontowcem. Był na te sprawy szczególnie wyczulony, bo koledzy z bojowym stażem dawali mu boleśnie odczuć, że trafił na tę wojnę, gdy wszystko się już skończyło. Nie były to żadne oczywiste aluzje. Ani ostentacyjne zachowania. To była ciężka i mroczna, pełna wyrzutów, wisząca w powietrzu pogarda. Taka mglista, wyczuwana tylko przez nowicjuszy aura dezaprobaty i może zazdrości, której przyczyna nie była dla Ohmanna jednoznaczna. Czego mogli zazdrościć nowicjuszowi frontowcy? Może tego, że nie musiał przechodzić przez ich piekło? Może tego, że nie budził się tak jak większość z nich z krzykiem, w sennym wyobrażeniu płonącej ropy, eksplozji dwustumilimetrowych burzących pocisków czy wypełnionych materiałami wybuchowymi samolotów walących się im, w tych niedośnionych snach, z nieba na głowy? To samo emanowało z Japończyka i Ohmann ani na moment nie poddał się doskonałej mistyfikacji. Nie był głupi. Słuchał więc uprzejmie i nie przerywał, postanawiając w duchu, że najpierw pozwoli kapitanowi odegrać rolę, a potem wezwie dyżurnego i każe wysłać do Pusan i do Centrum Ewidencji przy sztabie floty radiogramy z zapytaniami o transport. A Kaneyasu głądził w najlepsze:

– Ten transport zbierał się bardzo długo. Otrzymałem rozkaz, by natychmiast podnosić kotwicę, i jeszcze tego samego dnia kazano mi na kogoś jeszcze czekać. Pewnie dlatego nie ma nas w ewidencji...

Ohmann z uśmiechem aprobaty, który do końca uspił czujność Kaneyasu, wsłuchiwał się w melodię angielszczyzny kapitana.

– To dziwne, kapitanie – zauważył wreszcie z bystrością zupełnie nielicującą z jego gapiowatym wyglądem i nieodpowiedzialnym,

niedojrzałym zachowaniem. – Mówi pan po angielsku śpiewnie, ale słowa dobiera pan znakomicie i nie robi pan błędów gramatycznych. Nigdy nie uważałem się za człowieka mówiącego superpoprawnie, nie jestem też językoznawcą, ale gdyby nie akcent, przysiągłbym, że słucham Brytyjczyka albo kogoś ze Wspólnoty... Jeśli wolno spytać... Gdzie pan się uczył angielskiego?

– Przed wojną wysłano mnie – bez zastanowienia palnął z dumą Kaneyasu – na dwuletni staż do Wielkiej Brytanii...

Ostatnie słowa tego niemądrego oświadczenia powiedział już wolniej i mniej pewnie. Na tej podstawie Ohmann ostatecznie skryształizował swoje podejrzenia i postanowił, że pozwoli Japończykowi pograć się do końca. Zdobył się więc na niewinny ton, choć w jego małych, bystrych oczach zaświeciły ogniki triumfu.

– Staż w Wielkiej Brytanii? Dwuletni? A czegoż – pozwoli pan – miałyby się uczyć przez dwa lata w obcym kraju oficer marynarki handlowej? Bo, jak rozumiem, nigdy nie służył pan w marynarce wojennej?

Kaneyasu przełknął ślinę. Tego sobie wcześniej nie przemyślał, brnął więc dalej, coraz głupiej i mniej przekonywająco:

– Budowaliśmy wówczas w Anglii... – Gorączkowo szukał w myślach inwestycji, jaką owi mityczni „oni” mogli wówczas w Anglii rozwijać, ale nie przychodziło mu na myśl nic prócz rzeczy oczywistych i prawdziwych. Ale o nich akurat nie mógł Ohmannowi opowiadać. – Budowaliśmy... zbiornikowce! – wypalił wreszcie i na gwałt zaczął improwizować: – Zakupiono w Anglii licencję, bo w budowie takich jednostek Japonia nie miała żadnych doświadczeń. Pierwsza wzorcowa jednostka miała powstać u Lloyda – zaryzykował przypuszczając, że wiedza Amerykanina o brytyjskim przemyśle okrętowym jest dość ograniczona. Pojechałem w składzie komisji odbiorczej... Wie pan... znajomości w ministerstwie. Na miejscu, w naszym konsulacie spotkałem innych znajomych i... udało mi się załapać na dwuletni staż w stoczni – dokończył gładko, bo akurat te ostatnie informacje niewiele mijały się z prawdą.

– Zbiornikowce, mówi pan? – Palce Ohmanna wybijały na blacie stołu niecierpliwy rytm. Upewnił się w podejrzeniach i mógł wreszcie zagrać swoją rolę. Zadowolony, że i dla niego w sprzątanii po tej wojnie znajdzie się coś ważnego, wycedził zimno, nie patrząc Japończykowi w oczy: – Wie pan co? Mam ochotę zawołać kilku ludzi z piechoty morskiej i urządzić tu panu regularne przesłuchanie. Takie w japońskim stylu, z biciem i polewaniem wodą. Może mi pan podpowie kilka skutecznych sposobów? – Wstał i opierając się bielejącymi z wysiłku knykciami palców o stół, spojrzał groźnie na siedzącego wciąż Japończyka. Kaneyasu udał, że nie rozumie.

– Sposobów? Sposobów na co? – spytał niepewnie.

– Na to, żeby przestał pan wygadywać niestworzone rzeczy i grzecznie powiedział, kim jesteście – pan i pańscy ludzie. Ale dość żartów. Od tego są specjalne służby i one się panem zajmą. Proszę tu zostać – rozkazał twardo i wyszedł spiesznie, starannie zamykając za sobą drzwi.

Wrócił po kilku minutach w towarzystwie dwóch rosyjskich żołnierzy piechoty morskiej, którzy bez polecenia, nie zdejmując dłoni z pistoletów maszynowych, stanęli po obu stronach Kaneyasu.

– Jest tak, jak przypuszczałem – obwieścił triumfalnie Ohmann. – O panu i pańskim transporcie nikt nie słyszał. Zabieram pana do nas. Mamy na „Tillmanie” całkiem przytulny areszt...

Kaneyasu, demonstrując oburzenie, chciał zerwać się z krzesła, lecz ciężkie dłonie osiłków udaremniły ten zamiar.

– Niech pan siedzi, jak panu dobrze – polecił Ohmann, ale Kaneyasu nie zamierzał wyjść z roli.

– Jestem odpowiedzialny za transport i ludzi! Nie ma pan prawa...

– Dla pańskich ludzi lepiej będzie, jak się nimi zaopiekujemy. Wyprowadzić!

Kaneyasu błysnął złowrogo oczami, ale zaraz zgasił spojrzenie ciężkimi powiekami i Amerykanin na szczęście niczego nie zauważył.

Na pokładzie kręciło się już kilkunastu amerykańskich żołnierzy, a za

szybami sterówki Kaneyasu dostrzegł dwie obce sylwetki. Amerykanie szybko i fachowo obsadzili przyz.

W oczach mijanych ludzi z załogi Sen-toku i bazy dostrzegał pytanie i wyrzut. Obiecał przecież, że dowiezie ich do domu, a teraz, popychany szorstko w stronę burty, nie mógł im nawet niczego powiedzieć. Na pokładzie „Tillmana” przyglądano mu się ciekawie, ale bez natarczywości. Nim zdecydował się przekroczyć wysoki próg w drzwiach nadbudówki na śródkręciu, rzucił szybkie spojrzenie na niebo. Ładna pogoda najwyraźniej się kończyła. Od zachodu nadciągały niespiesznie nisko wiszące ciemne chmury.

Dowództwo Floty Podwodnej Oceanu Spokojnego, gabinet admirała Kotielnikowa, początek listopada 1947

Miał stąd piękny widok na zatokę, która w jesiennym słońcu i przy spokojnej, bezwietrznej pogodzie wydawała się wypełniona płynnym złotem.

Na połyskującym tle czarne (bo patrzył pod słońce) sylwety niszczycieli odcinały się wyraźnie, jak gdyby wycięto je z ciemnego glansowanego papieru.

Kotielnikow lubił sobie wyobrażać ten widok zupełnie inaczej. Gdybyż tak zamiast okrętów bez żagli – pozbawionych wyrazu, odartych z morskiego romantyzmu żelazek – stały tam liniowce, które malował Ajwazowski... Kotielnikow nie był znawcą technik malarskich, ale miał wrażenie, że marynista znalazłby tu dla siebie gotowe kompozycje. Także barwy zdawały mu się najzupełniej podręcznikowe, pasujące jak ulał do stylistyki znanych mu pejzażystów. Bywały nawet chwile, że tak jak w dzieciństwie odczuwał nieodpartą potrzebę malowania. Z trudem powstrzymywał się od wstąpienia do sklepiu papierniczego, w którego

witrynie na honorowym miejscu pyszniły się otwarte zachęcająco pudełka akwarel i tubki wyschniętych zapewne plakatówek. Do tej pory niczego tam nie kupił, ale ilekroć przechodził Tichoriecką, zatrzymywał się przed wystawą, zastanawiając się, czy wodne farbki pachną tak, jak pamiętał, gdy w bodaj trzeciej czy czwartej klasie on i jego koledzy musieli na zajęciach z rysunków projektować plakaty o tematyce rewolucyjnej. Do jego ulubionych motywów należał bohaterski pancernik „Potiomkin”. Za całą rewolucyjność wystarczała czerwona bandera na grotmaszcie, a on – zabezpieczony w ten sposób od strony ideologicznej – mógł, wysuwając język, oddawać się mozolnemu odwzorowywaniu uzbrojenia i załamań pancernych wież i kazamatów. Akwarele nie należały do ulubionych technik Kotielnikowa. Brakowało mu cierpliwości, by czekać, aż kolejne partie kompozycji podeschną na tyle, że bez obawy o nieestetyczne rozlewiska można było kłaść kolejne kolory. Wolał ołówek, który wydawał mu się techniką konkretną i wyrazistą. Ale nauczyciel, drobny, uporczywie kaszlący człowieczek z wąsikiem, był nieubłagany, bo w owych szarych czasach wciąż kochał kolory. Kotielnikow lubił go za jego pasję opowiadania o obrazach i twórcach, a nawet za śmieszne błędy wymowy. Pan od rysunków mówił bowiem „chiba” zamiast „chyba” i, pewno dla swoistej językowej równowagi, „nogamy” zamiast „nogami”. Był ich nauczycielem jedynie przez kilka miesięcy. Potem zabił go kaszel i głód. Ale jego śmieszny i rozczulający entuzjazm Kotielnikow zapamiętał na zawsze.

Czuł się tu wspaniale i wciąż wydawało mu się, że przyjechał do ukochanego niegdyś miasta na urlop. W niespokojnych, pełnych niespodzianek i przemocy latach Władywostok wyraźnie ożył. Choć wciąż była to zamknięta wojenna zona, odgradzona od cywilnego świata kordonami posterunków i zasiekami, miasto tętniło niespiesznym, podskórnym życiem restauracji i nocnych lokali wypełnionych oficerską klientelą i tabunami zaspokajających zachcianki wojaków prostytutek. Dowództwo garnizonu nie stawiało zbyt szczelnych tam niecnemu

procederowi, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że bohaterom w marynarskich i lotniczych mundurach należy się chwila wytchnienia i zabawy w kobiecych ramionach. Kobiety starano się raczej kaptować i rejestrować, tak by były jeszcze jednym – obok zastępów płatnych bądź zmuszonych do tego szantażem donosicieli – źródłem informacji. Zagadką dla wszystkich, łącznie z najwyższym dowództwem władzywostockiego garnizonu, było to, w jaki sposób stada łaknących zarobku i dostępu do wojskowych deputatów dziewcząt przedostawały się przez pilnie strzeżone posterunki. Ale o to należałoby raczej zapytać bossów czarnego rynku powiązanych delikatnymi, drżącymi niteczkami oficjalnych i mniej oficjalnych interesów z generalicją, wojskowymi dostawcami i sam diabeł wie z kim jeszcze. Jak zwykle, ustanawiając kordony, uczyniono wyłom w postaci pozwoleń i przepustek z rojem czerwieniejących urzędową mocą pieczętek i podpisów. I jak zwykle, ci, którzy mieli nadzorować przepustkowy proceder, stracili nad nim kontrolę w kilka dni na skutek nacisków, protekcji i całej owej zadziwiającej swoją tajemniczą siłą korupcyjnej maszyny, powiązanej z komunistycznym porządkiem.

Kotielnikow, który był po trosze marzycielem, uważał, że miasto ma cudowną, niepowtarzalną atmosferę. Uwielbiał włóczyć się wieczorami po nadbrzeżach, zdewastowanych skwerach i stromych uliczkach, wdychając łąpczywie tysiące ulotnych i wyrazistych zapachów z chińskich i koreańskich garkuchni, zagadkowy swąd kiepskiego węgla, którym palono w łaźiebnych piecach i pod kuchennymi płytami, wreszcie mydlaną woń rozwieszanego gęsto między balkonami prania. Najbardziej jednak lubił, kryjąc rangę pod połami skromnego cywilnego płaszcza, penetrować władzywostockie nocne lokale i hotelowe restauracje. A że było ich sporo, okazało się to dla samotnego admirała swoistą i podniecającą metodą spędzania wieczorów. Oddawał się tej niewybrednej i egzotycznej jak na jego gust rozrywce dość długo, zastanawiając się, czy nie przerodzi się w nałóg.

Jednak któregoś dnia, gdy swoim zwyczajem podczas

późnopołudniowej przechadzki zatrzymał się na Tichorieckiej, by popatrzeć na akwarele, poznał Zuzannę Wychowańską.

Z pochodzenia – co wskazywało nazwisko – Polka, była jedną z nielicznych obok oficerskich żon dziewcząt w mieście, które nie zajmowały się sprzedawaniem swoich wdzięków zwycięskim wojownikom i ustosunkowanym nasłańcom z Moskwy. Nie była też samotna, co – zachwyconemu taką bezpośredniością Kotielnikowowi – wyznała bez żenady w dwudziestej bodaj minucie znajomości. Jej rodzina od pokoleń żyła na Syberii, bo któregoś z nazbyt wojowniczo nastrojonych antenatów poprowadzono szlakiem zesłańców jeszcze w 1832. Wychowańscy zaaklimatyzowali się na Syberii i nie myśleli o powrocie. Zuzanna ukończyła dobre szkoły w Harbinie i po studium plastycznym trafiła do wydziału propagandy władzywostockiego garnizonu. Tu maltretowała nieszczęsnych szefów wydziału – którzy, jak to zwykle w tych czasach bywało, nie mieli zielonego pojęcia o kompozycji i kolorze – awangardowymi, a często obrazoburczymi pomysłami plakatów i obwieszczeń. Kolejnych szefów, z których żaden, o dziwo, nie zdołał jej zaszkodzić, odwoływano ciupasem, a ona ze swymi szalonymi plastycznymi ideami trwała na propagandowym stanowisku. Miała bardzo przyzwoitą pensję, dodatki i deputat materiałowy, który wykorzystywała bezczelnie, zamawiając kilogramy drogich farb, pędzli z sierści borsuka i wyszukanych kartonów. Oczywiście nie po to, by je marnować na ideologiczne bohomyzy w stylu „Cały naród...”, ale po to, by uprawiać własną, oryginalną i całkiem niepropagandową sztukę. Farby i kartony sprowadzane z daleka dostarczano jej na Tichoriecką.

Kiedy tego popołudnia wychodziła ze sklepiku obarczona rulonami i pudełkami, potknęła się i część pakunków wylądowała na chodniku. Kotielnikow w pełnej chwale wyjściowego munduru (wyjątkowo, bo był prosto z odprawy) bez chwili wahania przyklęknął, by zbierać. Sięgając po kolejny rulon, podniósł na chwilę wzrok. Tuż nad trotuarem zobaczył parę najśmieszniejszych i najbardziej rozczulających damskich butów. Były

czerwone, ze spiczastymi poddartymi noskami, a cholewki tuż nad kostką rozchyłały się, jako żywo przypominając obuwie Siedmiu Krasnoludków. Z krasnoludkowych trzewików wystawały bardzo kształtne i smukłe łydki obciążone grubymi szarymi pończochami. Wyżej był rozchylony zalotnie płaszcz sięgający prawie do cholewek. A tak naprawdę nie płaszcz, tylko niemalże wojskowy, szary szynel z wielkimi naszytymi kieszeniami i patkami takimi, jakimi ustrojono niegdyś szynele brygady Budionnego. Tyle że patki te były nie czerwone, ale szare, choć zapinały się również regulaminowo na dwa guziki. Gdy Kotielnikow podniósł wzrok jeszcze wyżej, dostrzegł wlepione w niego równie szare jak szynel oczy z wywiniętymi fantazyjnie skrzydełkami rzęs. Dwa dziecinne dołki w policzkach i zawadiacko zadarty, ale kształtny nos.

Dziewczyna, patrząc na admirała życzliwie, wyciągała dłoń po rulon. Kotielnikow dźwignął się z trotuaru i widząc, że nieznajoma zamierza znów zbudować ze swych ramion pojemnik na najzupełniej niewiarygodną liczbę pakunków i rulonów, postanowił – jak w morskim starciu – przejąć inicjatywę.

– Proszę to wszystko położyć tu. O tu – zadysponował, wskazując na szeroki parapet sklepowej wystawy. – Zastanowimy się... jeśli pani pozwoli, jak się z tym uporać. A najlepiej będzie... – Zmieszał się i umilkł.

Dziewczyna z podziwem obserwowała najzupełniej chłopięcy rumieniec wstydu i wahania na wojowniczej, marsowej twarzy wielkiego żeglarza. Kotielnikow był bowiem typem męskim, groźnym na pozór i malowniczym. Przypominał jej portret faworyta Katarzyny II – księcia Orłowa. Nawet blizna przecinająca białawą kreską prawą stronę czoła i skroń była na miejscu. Tyle że z pewnością nie pochodziła od cięcia szablą. Jednym słowem, Kotielnikow miał wygląd bohaterski. Nie była to kwestia munduru, ale raczej postawy, twarzy i ruchów staroruskiego witezia. Może najlepiej prezentowałby się z mieczem, w kolczudze, spiczastym hełmie i opasanych rzemieniami skórniach sięgających kolan.

Zauważył, że jego nowa znajoma dobrze się bawi i mężnie dokończył:

– Najlepiej będzie, jeśli pozwoli mi pani pomóc i odprowadzić się do domu, albo przywołam taksówkę... – Zawiesił głos zdumiony własną szczerością i nawet zaczął rozglądać się wkoło, choć o tej porze na Tichorieckiej o taksówkę było równie trudno, jak o latający talerz z Marsa.

Spojrzała na niego życzliwie i najwyraźniej kpiąc, co poznał po zabawnym rozciąganiu samogłosek, wyraziła powątpiewanie:

– Nie sądzi pan, kapitanie... – Najwyraźniej nie znała się na marynarskich dystynkcjach, ale Kotielnikow oszołomiony własną śmiałością nie skorygował. – Nie sądzi pan, kapitanie, że taka propozycja po pięciu minutach znajomości może być przez damę odebrana... – Szukała chwilę właściwego słowa, ale nie znalazła, więc uśmiechem wyraziła to, co chciała powiedzieć, a Kotielnikow zmieszał się jeszcze bardziej. Przez chwilę milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć, i gdy admirał był już bliski zrejterowania w najbliższą przecznicę, z tej właśnie przecznicy wyjechała dorożka. Zatrzymała się, a jej pasażer, oficer Sił Powietrznych, zapłacił i wysiadł. Kotielnikow przypomniał sobie studenckie czasy. Gwizdnął przeraźliwie przez zęby i wyskakując na trotuar, gwałtownie zamachał rękami. Wyleniały wałaszek z bielmem na jednym oku przysiadł ze strachu w dyszlach i szarpnął dorożką tak, że dorożkarz o mało nie spadł z kozła. Działanie szło admirałowi zawsze o wiele lepiej niż gadanie. Nie pytając o zgodę, wpakował do dorożki pudełko oraz tuby i bez słowa z lekkim ukłonem podał dziewczynie dłoń, by pomóc wejść na wysoki stopień. Nie zaprotestowała i uśmiechnęła się z uznaniem. Lubiała bawić się mężczyznami i ich zapałem, ale jeszcze bardziej – poddawać się woli mężczyzn, którzy w jej ocenie byli wystarczająco silni, by nie dać się wodzić za nos. Kotielnikow był dobrym obserwatorem i umiał wyciągać wnioski. Postanowił trzymać się przypadkowo odkrytej, a tak skutecznej taktyki – nie gadać, robić. W dorożce, co znów bardzo go poruszyło, całkiem naturalnie, jakby znali się od lat, położyła dłoń w rękawiczce na jego dłoni i lekko ściskając, sygnalizowała co ważniejsze momenty w tym, co mu mówiła. A mówiła dużo i Kotielnikow zrozumiał, że w mówieniu właśnie do

niego nowa znajoma znajduje prawdziwą przyjemność. Nie myśląc nawet, że może sobie zaszkodzić (przecież nie wiedziała nic o przystojnym „kapitanie”), opisywała mu szczegółowo zawiłą strukturę Propu, czyli Oddziału ds. Propagandy w Miejskim Komitecie Partii.

– Wie pan, kapitanie? – paplała. – Zatrudniają tam ze czterdzieści osób i oni wszyscy, jak jeden, są jakoś tam spowinowaceni. Od naczelnika do takiego staruszka portiera, który pilnuje tam czegoś, ale chyba nikt nie wie czego, na ostatnim piętrze. Bo pięter w Propie mamy siedem. Na szczęście jest winda. I oczywiście windziarz, chociaż każdy mógłby sobie sam nacisnąć taką tam wajchę... Wie pan, o czym mówię? – upewniła się, a on potakiwał rozbrojony jej bezpośredniością i zaufaniem. – No więc wszyscy od naczelnika do tego portiera to jacyś krewni i znajomi, rodzina bliższa i dalsza, kuzyni i kuzynki. To znaczy, naczelnicy zmieniają się dość często, ale każdy nowy zatrudnia kogoś ze swojej rodziny i zwykle nie czepia się tych, których zatrudnił poprzednik. Jest więc nas coraz więcej. Wie pan? – dopytywała po dziecinnemu. – I trzeba tworzyć nowe stanowiska. Temu staruszkowi z siódmego nie chce się nawet schodzić dwa piętra na dół do toalety, więc sika do zlewu...

– Skąd pani to wie? – zainteresował się Kotielnikow. Słuchając, położył swoją drugą dłoń na dłoni Zuzanny, co było także naturalnym pretekstem, by odwrócić się do niej i patrzeć na jej wargi. Rewelacje o sikaniu wcale go w jej ustach nie zbulwersowały. Pewnie dlatego, że mówiła o tym w sposób naturalny, bez cienia pruderii.

– Jak to skąd? – dziwiła się jego, jak sądziła, naiwności. – Widziałam – oświadczyła triumfalnie i zaraz uzupełniła, zupełnie się nie rumieniając, za to bacznie wypatrując, czy jej bulwersujące rewelacje o personelu Propu nie wywołują kolejnego rumieńca na twarzy Kotielnikowa. Wywołały, więc osiągnąwszy zamierzony efekt, paplała dalej: – Widziałam, bo ja, żeby się dostać do swojej pracowni, muszę wjechać najpierw jedną windą, a potem drugą. Bo ta pierwsza dojeżdża tylko na czwarte piętro... Ta z windziarzem, który jest bodaj zięciem dyrektora administracyjnego. Ten

dyrektor cały czas prowadzi się z księgową. Niech pan sobie wyobrazi... Jakby byli małżeństwem! Cały dzień razem. I zupełnie nic nie robią, tylko patrzą sobie w oczy. Na pewno są kochankami. (W tym miejscu znacząco, dla podkreślenia wagi konkluzji ścisnęła jego dłoń.) – I nic nie można załatwić – ciągnęła. – Zaraz pierwszego dnia, jak tylko przyszedłam do pracy, poszłam do tego dyrektora, żeby kazał mi wydać kartony, pędzle i wszystko co trzeba, ale on tylko na chwilę puścił rączkę tej swojej dziuni i powiedział, że te rzeczy mi nie przysługują, bo ja jestem na okresie próbnym. Pan sobie wyobraża? – Z przejęciem potrząsała oburącz dłonią szczęśliwego jak nigdy dotąd admirała. – Nie przysługują...

– I co pani zrobiła? – Był autentycznie ciekaw.

– Jak to co? – wypaliła z ogniem w oczach. – W ogóle z nim nie dyskutowałam, tylko zaraz poleciałam do naczelnika. Ten, który był wtedy (bo teraz jest już inny), na szczęście nie lubił tego dyrektora, a może też miał ochotę na romans z księgową, która jest bardzo przystojną kobietą... W każdym razie natychmiast, jeszcze przy mnie, połączył się z tym dyrektorem i kazał mu te materiały bezzwłocznie wydać. Trzeba było widzieć minę tego dyrektora, jak podpisywał te formularze. Jakby podpisywał wyrok śmierci na mnie... Aż ze złości złamał stalówkę. – Zaśmiała się cichutko.

– I nie miała pani potem kłopotów?

– Jakoś nie... – Spojrzała na niego ciepło. – Ja jestem taką wariatką, której wszystko uchodzi na sucho. I chyba wszyscy mnie lubią... Przynajmniej większość – sprostowała po chwili namysłu. – A pan będzie mnie lubił? – W pytaniu nie było cienia kobiecej zalotności, raczej ciekawość i powaga dziecka.

– Już panią lubię – gorliwie zapewnił admirał.

Gdy dojechali, Kotielnikow miał wielką ochotę wejść na górę. Zuzanna najwidoczniej wyczuła tę chęć, bo wyjmując mu z rąk kolejne paczki i rulony podniosła na chwilę wzrok na sufit odrapanej klatki schodowej z gołą żarówką, a potem zajrzała mu w oczy.

– Nie mieszkam sama – oznajmiła, lecz nim zdążył odczuć z powodu tego oświadczenia przykrość czy żal, zadziwiła go po raz kolejny. – Ale dam się zaprosić do pana – powiedziała. – Co? Chce pan? A może to nie będzie dobrze? – dopytywała, przesuwając buzię pomiędzy dwa największe rulony, które koniecznie chciały jej zasłonić widok na admirała, i nie dając mu czasu na potwierdzenie czy zaprzeczenie, jakby bała się, że odmówi, zadysponowała: – Niech pan będzie w piątek pod tym sklepem. Tak jak dziś. Kupimy butelkę wina... Dobrze? – Znów nie czekając na odpowiedź, odwróciła się szybko i uważnie patrząc pod nogi, weszła na schody.

Kotielnikow stał na tej klatce dobrą minutę, słuchając coraz wyżej się wznoszącego stukotania krasnoludzkowych trzewików, a potem, gdy ucichło i klucz zachrobotał w zamku, zdjął czapkę i przesunął dłoń po gorącej skórze czaszki. Potem powiedział sam do siebie coś, co miało odzwierciedlić ogrom jego zdziwienia i zachwytu nad światem tak niespodziewanie zaczarowanym przez dziewczynę:

- *U każdej zwieruszki swai igriuszki*⁴¹ .

Admirał oderwał się na chwilę od wspomnienia pierwszego spotkania i popatrzył na redę. Jeden z niszczycieli, wyrwawszy kotwicę, ruszył od razu całą parą, zawijając między stojącymi niczym bramki jednostkami jak narciarz w slalomie. Najwidoczniej alarm. Niszczyciel w kilkanaście sekund rozpostarł u stromego dziobu pienne wąsy odkosów i rwał dobre trzydzieści węzłów w stronę otwartego morza. Zakotwiczone wzdłuż jego trasy trałowce kołysały się gwałtownie, gdy trafiła w nie wzbudzona przez okręt długa fala. Wyglądało to tak, jakby dostojne matrony rozgdakały się i falowały wzburzone, komentując wyczyny biegnącego ulicą wisusa.

Kotielnikow westchnął. Jak fajnie byłoby teraz zamiatać po redzie, patrzeć, jak załoga sprawnie rozbiega się na stanowiska bojowe, mieć pewność, że wiązki wszystkich nerwów okrętu splatają się na mostku, a on trzyma je wszystkie w swoim ręku. Westchnął raz jeszcze i pomyślał ze smutkiem, że w pierwszym roku pokoju ciężko mu żyć bez walki. I że tęskni za wojną. Taką prawdziwą. Bo tam na redzie to z pewnością

ćwiczenia. Pomyślał też sobie, że za wojną może tęsknić tylko ktoś, kto poza wojną nie ma za czym tęsknić. Stalin miał rację. Warto by się ożenić. Jeśli nie z wielkiej i niespodziewanej miłości (admirał wierzył, że taka może spotkać nawet jego), to choćby po to, żeby nie tęsknić za wojną i zabijaniem, ale zająć się po pracy naprawianiem kaloryfera czy też innymi bardzo ważnymi z rodzinnych i małżeńskich powodów głupstwami.

Czy Zuzanna byłaby dobrą żoną? – pytał sam siebie i odpowiadał natychmiast: – Może by i była, ale czy to ważne i co to w ogóle znaczy „dobra żona”? Nie miał w tym względzie doświadczeń i trudno mu było określać kryteria. Doskonale wiedział, jakie cechy powinien mieć dobry niszczyciel czy okręt podwodny, ale materia małżeństwa była delikatniejsza. Potem pomyślał sobie, że Zuzanna ze swoim dziecinnym uśmiechem, wystudiowaną albo naturalną (tego jeszcze nie umiał rozgryźć) naiwnością i palcami poplamionymi tuszem podoba mu się.

Może nawet więcej niż podoba? Bardzo przyjemnie byłoby mieć ją przy sobie i patrzeć, jak mówi albo jak maluje.

Władystok, mieszkanie Kotielnikowa, kilka dni później

Nareszcie. Miał ją blisko siebie. W mieszkaniu, które mimo monstrualnej przestrzeni lubił i w którym czuł się pewniej niż na neutralnym gruncie. Gdy on przekazywał pakunki służącej, ona znikła w toalecie, nawet nie pytając o drogę ani o pozwolenie. Najwidoczniej potrzebne jej było lustro. Admirał był zachwycony także tym. Nalał sobie koniaku i uzupełniwszy szklanekę wodą sodową z syfonu, zwałił się w fotel stojący koło balkonowego okna w największym pokoju. Stąd, podobnie jak z biura, miał widok na zatokę. Pociągając drinka (który mimo niewymyślnego składu smakował mu nadzwyczajnie), starał się wyciszyć nadmierne podniecenie i uporządkować myśli.

W rzeczony piątek, jak na złość, sprawy szły jak po grudzie. Najpierw kilkugodzinna narada w biurze konstrukcyjnym, potem z bardzo głupiego, ale męczącego powodu zatrzymano go w stoczni. Spoglądając z trwogą na wielki ścienny zegar, admirał wyobrażał sobie, że nie zdąży i Zuzanna widząc, że go nie ma, zwyczajnie odejdzie. Potem nie wysłuchawszy do końca, co mają mu do powiedzenia ludzie z traserni, kazał sobie podstawić służbowego gazika i tak popędzał wystraszonego kierowcę, że w efekcie na Tichorieckiej – samochód odprawił przecnicę wcześniej – znalazł się dwa kwadransy przed czasem. Żeby te kwadransy jakoś przepędzić i nie sterczeć – znów w pełnej gali – na rogu jak uczeń przed pierwszą randką, zapiął porządnie mundurową marynarkę na wszystkie złote guziki i ruszył ulicą, oglądając z namaszczeniem kolejne witryny i wchodząc do otwartych jeszcze o tej porze sklepików. Sklepiki były cudowne i miały niepowtarzalną atmosferę prywatności. Najwidoczniej władzywostockie władze, niepomne odgórnych instrukcji, wciąż pozwalały działać prywatnej inicjatywie. Ot, takiemu choćby sklepikowi ze sznurkami, powrozami i płótnem żaglowym. Wystarczyło zejść po stromych schodkach i mocno się pochylić, by nie zedrzeć sobie skóry z czaszki. A potem można już było zanurzyć się w kształty, faktury i zapachy. Konopiane i manilowe. W ciałniutkiej przestrzeni, na regałach i specjalnych półkach z drewnianymi bębniakami-kołowrotkami nawinięto i poukładano liny i sznury z całego chyba świata. Admirał od razu poczuł się swojsko. Sztuki morza uczono go wszak na szkolnym żaglowcu. Bez szczególnego namysłu, za sumę nic nieznaczącą wobec jego astronomicznej gaży, kupił kilkanaście metrów najdroższej, pięknej bawełnianej linki, postanawiając w wolnej chwili pobawić się plecieniem węzłów, w czym kiedyś był całkiem dobry. Już na schodkach odwrócił się na pięcie, bo raptem zachciało mu się poprzebierać w belach żaglowego płótna. W efekcie kupił dwa metry najdelikatniejszego, mięsistego i ścisłego. Zapragnął znaleźć krawca i uszyć sobie parę białych spodni. Miał takie jako junga, uszyte przez matkę, i długo nie mógł odżałować, że z nich wyrósł, a ściślej, że rozniesione ciężką

marynarską pracą ciało wypełniło je zbyt ciasno. Prawie niezniszczone poszły na szmaty. Dobrze żaglowe płótno jest chyba najmocniejszą tkaniną świata.

W kolejnym sklepiku, do którego dla odmiany wchodziło się po schodkach prowadzących w górę, można było kupić wino prosto z beczki, ale trzeba było mieć własną butelkę. Admirał nie miał i już prawie odżałował, gdy właściciel, szczupły stary Żyd o twarzy francuskiego arystokraty, zaproponował mu w drodze wyjątku i za symboliczną kwotę odstąpienie dwulitrowej butelki. Kotielnikow przystał ochoczo, budząc wyrozumiały uśmiech winiarza, i gdy trzymał już w dłoniach butlę, bezradnie przyjrzał się stulitrowym, stojącym na kozłach beczkom. Przypięte do nich kartki z nazwami trunków i datami niewiele mu mówiły. Winiarz to zauważył. Najwidoczniej wśród klientów jego składziku przeważali ignoranci podobni Kotielnikowowi, gdyż dość obcesowo, co zupełnie nie harmonizowało z wysmakowanymi rysami jego starannie wygolonej facjaty i cieniutkimi złotymi oprawkami okularów, spytał:

– To do czego ma być to wino?

– Do kolacji... – niepewnie odpowiedział Kotielnikow.

– Ryby, mięso, drób? – indagował sprzedawca. Kotielnikow poczuł się zupełnie bezradny.

– Nie mam pojęcia. Powinien pan spytać moją kucharkę... – Jakobin dopiero teraz dokładnie zlustrował dystynkcje admirała i natychmiast zmienił ton. Kotielnikow wolał jednak pogardliwą wyniosłość od serwilizmu, więc dodał cierpliwie: – Pewno i to, i to.

Jakobin westchnął.

– W takim razie ta jedna butelka nie wystarczy. Musi pan mieć białe wino do ryb i drobiu i czerwone do mięsa. Będzie pewnie i deser, przydałaby się madera albo portwein. Ech... – Ruszył w głąb mrocznego, przytulnego składziku i pojawił się po chwili z jeszcze dwiema czystymi butlami. W efekcie Kotielnikow wrócił na Tichoriecką zaopatrzony w trzy różne gatunki wina, a butle wesoło dzwoniły w sznurkowej siatce, którą

wspaniałomyślnie podarował mu sklepikarz.

Czas płynął wyjątkowo marudnie i po wyjściu z handelku winami Kotielnikowowi został jeszcze cały kwadrans. Pomyślał więc, że warto by kupić Zuzannie kwiaty. Niestety, mimo że szybkim krokiem pokonał dobre sto pięćdziesiąt metrów, nie natrafił na kwiaciarnię. Zawrócił zrezygnowany i wtedy po drugiej stronie zaułka spostrzegł sklepik, który przyciągnął jego uwagę. Antykwariat. Mosiężny dzwoneczek nad drzwiami odezwał się tylko raz, bo admirał, który przejawiał zawsze wielką uwagę dla książek, zamknął drzwi bardzo delikatnie. Jakby w obawie, że spłoszy ulotny nastrój sklepiku. W pierwszej chwili poczuł się bezradny, gdyż powodowany niezrozumiałą manierą antykwariusza (podobny do większości antykwariuszy na świecie) ustawił tomy tak, że trudno było dostrzec tytuły. Szczególnie tych książek, które znalazły się na spodzie. Admirał, który – jak powiedziano – był bardzo wysoki, posunął się nawet do tego, że przyklęknął na jedno kolano na zakurzonej kamiennej podłodze, by – ryzykując zawalenie się całego stosu – wyciągnąć angielską książeczkę dziwnego poziomego formatu, traktującą o historii marynarskiej etykiety i morskiego obyczaju. Kolejne kilka minut spędził w tej pozycji, zachwycony wspaniałymi ilustracjami przedstawiającymi salutowanie bandery, kary cielesne, saluty okolicznościowe i wciąganie na pokład admirałów w stosowanych kapeluszach. To był rarytas, i admirał ucieszył się, słysząc niewygórowaną cenę książeczki wydanej przed stu laty. Kolejną zdobyczą – przez chwilę Kotielnikow nie wierzył własnemu szczęściu – było pierwsze wydanie *Ognistego anioła* z 1908 roku! Admirał kochał tę powieść, nie rozumiejąc jej do końca, i już cieszył się na myśl o chwilach, jakie z nią spędzi w wannie i pod wspaniałą lampą z kremowym abażurem, zdobiącą admirałski salon. Potem jednak postanowił, że podaruje Briusowa Zuzannie; tekst powie jej dużo o jego literackim guście. Utwierdziwszy się w swej decyzji, zapłacił i wyszedł na Tichoriecką, mrużąc oczy przed słońcem.

Zuzanna czekała już na niego. Na powitanie posłała mu leniwy, kpiący

uśmieszek, tak jakby jego gorliwy pośpiech i odświętny wygląd randkowicza były czymś zabawnym.

– Co pan tam ma? W tych paczkach? Coś dla mnie? – Zarzuciła go pytaniami i znów bardzo naturalnie wsuwając drobną szczupłą dłoń w wielką i muskularną łopatę jego dłoni, starała się zajrzeć mu w oczy pod wyniosły daszek admiralskiej czapki.

Admirał poczuł się bardzo szczęśliwy, ale nie powiedział tego, co chciał, tylko zupełnie coś innego:

– To wspaniała ulica. Wie pani. Znowu poczułem się, jakbym miał siedem lat. Proszę spojrzeć... – podsuwał jej kolejne paczki. – Piękna linka. Żaglowe płótno i książka dla pani. Pierwsze wydanie. Lubi pani Briusowa? Mamy też wino. – Uniósł bez wysiłku ciężką siatkę. – Sprzedawca wygląda jak Robespierre, ale okazał się bardzo wyrozumiały. Dał mi butelki i własną siatkę... No i doradził w ogóle... co kupić. Ja się zupełnie na tym nie znam, ale lubię wino.

Teraz ona usiłowała odpowiedzieć w zgodzie z kolejnością sugerowanych pytań. Podobało się jej, że jest taki gorliwy i że chce tyle powiedzieć w tak krótkim czasie. Nie znosiła mężczyzn zamyślonych na pokaz i mrukliwych, zwykle bowiem okazywało się, iż w istocie nie mieli wiele do powiedzenia.

– Nie czytałam... Jak pan powiedział? Briusow? Ale jeśli pan to dla mnie wybrał, na pewno przeczytam. O czym to?

Admirał pomyślał chwilę, a potem odpowiedział w stylu, który go zdziwił i zastanowił:

– To książka dla mężczyzn, niepotrafiących ocenić właściwie wartości kobiet, które darzą miłością...

– Dla mężczyzn? – przerwała, ale nie dał się zbić z pantafelku, bo nagle wydało mu się, że właśnie w tym momencie zrozumiał powieść do końca.

– I dla kobiet, nieumiejących ocenić właściwie mężczyzny, którego nie potrafią pokochać... – Zawiesił głos zastanawiając się, czy nie posuwa się za daleko na pierwszej randce, ale Zuzanna była pojętną słuchaczką. Zaśmiała się z uznaniem.

– To na pewno lektura dla mnie. Ciągłe budzę się u boku mężczyzn, których nie jestem w stanie pokochać. Ale to pewnie właśnie dlatego, że ich niewłaściwie oceniam. – Spojrzała wyczekująco na Kotielnikowa, a admirał poczuł się przez chwilę jak ekspert w sprawach, o których miał niewielkie pojęcie.

– Nie sędzę, żeby zdolność kochania miała wiele wspólnego ze zdolnością właściwej oceny drugiego człowieka. Te rzeczy raczej nie idą w parze. Zdarzyło się pani zakochać w człowieku, którego... hm... od razu i właściwie udało się pani ocenić? Niech pani odpowie – poprosił. – Ale tak szczerze...

Spojrzała na niego z dołu roziskrzonymi oczami.

– Do tej pory nie, ale... Kto powiedział, że się nie przydarzy. To w ogóle dziwny rok. Poderwałam sobie kapitana i mam z nim pierwszą randkę. W dodatku jest wino. Czy to nie wspaniałe?

Kotielnikow był podobnego zdania, ale postanowił przyznać się do rangi, której Zuzanna nie umiała rozpoznać.

– Pewnie uzna pani ten rok za jeszcze dziwniejszy, jeśli powiem, że – jak raczyła to pani określić – poderwała sobie pani admirała...

Nie dała mu dokończyć, wyrwała dłoń z jego dłoni i zaśmiewając się, bezceremonialnie przykucnęła na chodniku.

– No nie! Oszukuje mnie pan. Naprawdę jest pan admirałem? Takim z akselbantami, szablą i lunetą? Fiu, fiu. Wie pan co, jeśli nie musimy iść od razu do pana, chodźmy do portu. Nie przepuszczę takiej okazji. Musi mi pan opowiedzieć, jak to jest być admirałem i w ogóle o morzu. Był pan na wojnie? Chodźmy! – Podniosła się i znów wzięła go za rękę. – Nie będzie panu ciężko z tymi zakupami? Niech pan przynajmniej da książki i tę linę – dyrygowała, a on posłusznie spełniał jej polecenia.

Do portu nie było daleko, wystarczyło skręcić w pierwszą prowadzącą w dół ulicę. Kotielnikow szedł, starając się nie utykać. Podziwiał drobny kark i odsłoniętą szyję w rozcięciu kołnierza budionnowskiego szynela, bo Zuzanna tego dnia upięła jasne włosy w coś, co zapewne miało być kokiem,

ale wyglądało raczej jak przewiązany wstążką czubek ptaka kakadu. Za to na karku włosy z natury gładkie, proste i niesforne układały się w zabawne loczki. Kotielnikow miał wielką ochotę dotknąć takiego loczka i okręcić go wokół palca.

– Czemu pan utyka? – spytała, a on z rosnącą przyjemnością opowiadał:

– Odłamek. Może pani nie wierzyć... ale zanim trafił mnie gdzieś w okolicy kości ogonowej, odbijał się od wszystkiego na okręcie. Gra pani w bilard? Nie? Ale pewnie widziała pani, jak bile uderzone kijem odbijają się od innych i od krawędzi stołu. Tak było z tym odłamkiem. Myślałem, że spadnie na pokład, bo mógłbym przysiąc, że widziałem, jak lata w powietrzu, a na pewno go słyszałem. Ale nie spadł, tylko trafił mnie... No, wie pani, z tyłu. Coś tam naruszył i od tego czasu tak chodzę... – Spojrzał niepewnie, bo opowieść wyszła mało bohaterska, ale Zuzanna słuchała uważnie i życzliwie, więc znów się rozgadał: – Jak zapomnę, że mam utykać, to chodzę normalnie. Myślę, że się przyzwyczailem. Zresztą do admirała to nawet pasuje. Niech pani wspomni choćby Nelsona albo kapitana Ahaba, nie mówiąc o wielkich piratach... Może jeszcze lepiej prezentowałbym się z całkiem drewnianą nogą, albo taką z kości kaszalota?

– Niech pan przestanie wygadywać takie rzeczy i przestanie utykać. Jeśli może pan nie utykać, to najwidoczniej nic panu nie jest. O, widzi pan? Nie mówiłam!

Kotielnikow spróbował nie utykać, i rzeczywiście przestał, myśląc z zachwytem, że los postawił na jego drodze dobrą wróżkę. Pomyślał też, że utyka, bo nie potrafi rozstać się ze wspomnieniami, o których już dawno należało zapomnieć. Wojna nie jest czymś wartym wspominania...

Zuzanna miała dobre wyczucie nastrojów.

– Ten odłamek to na pewno na krążowniku? – Nie pozwoliła mu się zasępić.

– Proszę sobie wyobrazić, że nawet nie na morzu, tylko na rzece. Dowodziłem flotyllami takich rzecznych okręcików. Zresztą bardzo

groźnych i skutecznych właśnie na rzece, kiedy walczy się z bliska. Wystarczy kadłub kutra i wieża z działem od czołgu. Strzela się na kilometr albo i bliżej. To zupełnie inna perspektywa... Ale dowodziłem także krążownikami i zapewniam, byłem wystarczająco dzielny, żeby nie musiała się pani wstydzić mojego towarzystwa...

– Co też pan wygaduje! – ucięła. – Bardzo miło jest spacerować z admirałem, nawet słodkowodnym. No i jesteśmy!

Zeskoczyła zwinnie z ciągnącego się wzdłuż nabrzeża kamiennego murku, bo nie chciało się jej iść do schodków. Kotielnikow poszedł w jej ślady niechętnie, ale mimo że murek miał dobry metr wysokości, nic go przy zeskoku nie zabolalo. Wyprostował się i zdejmując z muru paczki, które przed skokiem przezornie tam położył, pomyślał, że teraz właśnie jest dobry moment, żeby rozpocząć nowe życie. Dogonił wielkimi krokami Zuzannę i wyrównując oddech, oznajmił:

– Wie pani co? Czuję, że zaczyna się w moim życiu nowy etap...

– Naprawdę? – Przystanęła i spojrzała na niego z zaciekawieniem. – W takim razie jest okazja, żeby przejść na ty. Niech pan odstawi te paczki. – Odstawił, a ona wyciągnęła do niego dłoń i gdy uścisnął tę dłoń, pociągnęła go w swoim kierunku tak, że o mało nie stracił równowagi, i cmoknęła w lekko rozchylone ze zdziwienia usta. – Zuzanna – oznajmiła. – A pan, admirale... Jak mam pana nazywać? – Nie puszczała jego dłoni, a on także nie myślał o uwolnieniu się z uścisku drobnych, chłodnych palców.

– Siergiej... Siergiej Kotielnikow – powiedział, wpatrując się w jej oczy.

– Ładnie. – Wspięła się na palce i nie puszczając dłoni admirała, chwyciła za klapę jego marynarki. – To teraz chyba pocałuje mnie pan porządnie?

Zuzanna nie zamknęła – tak jak się spodziewał – oczu. On też patrzył, czując miły chłód i zabawne drobne gruzełki na czubku jej języka, którym badawczo penetrowała jego usta. Dopiero po dłuższej chwili – najwidoczniej przekonana do admiralskiego pocałunku – zamknęła oczy, więc

i Kotielnikow zamknął swoje. Całowali się z zapamiętaniem gimnazjalistów i dopiero pod długiej chwili Kotielnikow delikatnie odsunął dziewczynę i przytrzymując jej świeżą buzię w swoich ogromnych dłoniach, powiedział:

– Zuzanno... – Nie dała mu dokończyć i strzepnęła dłońmi po swoim szynelu, wygładzając jakąś wyimaginowaną zmarszczkę. Dopiero teraz uświadomił sobie, jaka jest czysta i nieskazitelna, mimo swoich poplamionych farbami palców.

– Dobrze – powiedziała. – Czuję, że będę pana bardzo lubiła. Świetnie pan całuje, jak na takiego dryblasa.

– Przeszliśmy na ty – poprawił ją. – Od teraz za każdego pana dajesz buziaka.

– Dobrze, a ty za każdą panią... – Zastanawiała się chwilę i znalazła wreszcie rozwiązanie: – Za każdą panią stawiasz butelkę wina!

– Nie wiem, czy to sprawiedliwe? Buziaki są za darmo, a wino kosztuje...

– Phi! – Przy twojej gaży stać cię z pewnością na tysiące butelek wina. Nie bądź sknerą! A w ogóle, jeśli mam się z tobą całować, powiedz mi, od czego jesteś teraz admirałem. I co tu robisz?

Kotielnikow w pierwszym odruchu chciał zacząć relacjonować postępy nad projektem, ale w porę się zreflektował. Przecież ta cudowna dziewczyna może być szpiegiem. Albo – w najlepszym wypadku – nasłanym przez centralę kontrolerem, który sprawdza, czy on, Kotielnikow, potrafi trzymać język za zębami. Pozbierał więc skrupulatnie pakunki i zadysponował:

– To są sprawy tajne i nie będziemy teraz o nich mówić. A w ogóle to mam już dość morza i jestem głodny. Poza tym moja gosposia przebiera nogami, bo kazałem, żeby wszystko było gotowe na szóstą... A szóstą tuż-tuż – Wskazał jej wzrokiem wielką tarczę zegara odległego kapitanatu. – Chodźmy, to dobry kwadrans stąd.

Zuzanna spojrzała na niego z uznaniem i pokornie wsuwając dłoń pod

jego ramię, podreptała w kierunku, który jej wskazał.

Gospoia Kotielnikowa, która także mu gotowała, miała talent i proste rosyjskie potrawy w jej wykonaniu smakowały wspaniale. Tę gospoię razem z siedmiopokojowym mieszkaniem odziedziczył po jakimś partyjnym tuzie, którego odwołano do Moskwy. Kotielnikow był przekonany, że gospoia donosi.

Utwierdzały go w tym przekonaniu jej wyjątkowe zdolności. Nie dość, że wspaniale gotowała i robiła cudowne nalewki na śliwkach i owocach tarniny, to umiała pięknie i ze znanstwem zastawić stół, a także – co zdumiewało go najbardziej – artystycznie przyszyć zamszowe łąty do przetartych rękawów jego ulubionego blezera w kolorze morskiej trawy. Była schludna i miała nieco kostyczną urodę, dzięki której w teatrze powierzono by jej zapewne rolę angielskiej guwernantki z najlepszych domów. Mówiła zastanawiająco mało i zastanawiająco starannie. Kotielnikow uznał, że nie należy zadawać jej pytań i ograniczał kontakt do grzecznego minimum, nie starając się nawet o stosowną serdeczność. Wszystkie osobiste notatki zamykał zaś w dolnej szufladzie biurka w kasetce opatrzonej szyfrowym zamkiem. By nie prowokować losu, nigdy nie przynosił do domu służbowej dokumentacji. Studiował ją w biurze i zamykał do pancерnej szafy. A było co studiować...

Zadanie, które mu narzucono, było skomplikowane. Rodzima „podwodna” myśl techniczna rozwijała się w ostatnich dekadach najzupełniej analogicznie do innych dziedzin uzbrojenia. Tajemnicą poliszynela było to, że konstruktorów okrętowych potraktowano dokładnie tak jak lotniczych. Najzdolniejszego z nich, Władimira Nikołajewicza Pieriegudowa, nazywano nawet „towarzyszem T budownictwa okrętowego” – bo jego los dziwnie przypominał przypadek znany z dziejów sowieckiej awiacji⁴². A przecież to nie kto inny, a właśnie ten błyskotliwy matematyk i inżynier przyczynił się, kierując pracami nad kadłubem, do zwodowania serii „C” – okrętu, który przy swych rozlicznych wadach miał imponującą szybkość nawodną i dużą autonomię pływania⁴³. Tyle tylko, że ten

niewątpliwie najlepszy rosyjski okręt biorący udział w wojnie był w istocie projektem konstruktorów biura projektowego stoczni Deschimag. Wystarczyło zresztą położyć szkic sylwetki serii „C” obok szkicu pierwszych modeli słynnego typu VII, by spostrzec uderzające podobieństwo⁴⁴.

Ojczyzna odwdzięczyła się Pieriegudowowi, najpierw zmuszając go, by złożył zeznania obciążające Turkowa, który kierował projektem okrętu „C”. Pieriegudow znał Turkowa jedenaście lat i nie zdobył się na pogrążenie przyjaciela. Konsekwencje były łatwe do przewidzenia. O dziwo, miesiąc przesłuchań nie załamał Pieriegudowa i wypuszczono go, ale Turkow – konstruktor równie obiecujący – przepadł gdzieś w obozie i nikt go więcej nie widział. Nic dziwnego, że przy takim traktowaniu naukowców myśl konstruktorska zatrzymała się na etapie serii „C”, gdy tymczasem Niemcy pod koniec wojny spuścili na wodę i wprowadzili do linii 119 jednostek typu XXI – okrętu, który zanurzał się aż na dwieście sześćdziesiąt metrów, a pod wodą przepłynąć mógł prawie trzysta mil ze stałą, niezłą prędkością! Do tego – jak przystało na konstrukcję nowej generacji – pływał pod wodą szybciej niż na powierzchni i miał imponujący zasięg. Podobnie jak w innych dziedzinach, opóźnienie było gigantyczne i sięgało – jak oceniał Kotielnikow – dziesięciu lat. W technologii to cały eon i gdyby postawić obok siebie serię „C” i typ XXI, okręty – biorąc pod uwagę nawet najbardziej zewnętrzne cechy – wyglądały, jakby dzieliły je epoki.

Niemcy zaszli też zastanawiająco daleko w kwestiach napędu. Z turbiną Waltera eksperymentowali już z powodzeniem na początku wojny, a osiągi doświadczalnego dwudziestodwumetrowego załedwie okręciku były porażające. Zarówno pod wodą, jak i na wodzie V-80 płynął z szybkością niszczyciela!⁴⁵ Szkoda, że z projektu ocalała tylko dokumentacja. Po V-80 Niemcy budowali w krótkich seriach po dwie, trzy jednostki kolejne większe okręty o niemal równie imponujących osiąгах w pływaniu pod wodą. Na obronę rodzimej polityki technologicznej można by też znaleźć argumenty. Owszem, już w trzydziestym piątym Bazilewski pracował nad silnikiem spalinowym, który mógłby działać w obiegu zamkniętym, czyli

takim, który nie wymaga pobierania powietrza spoza okrętu.

Wykoncepowany przez niego system zainstalowano na doświadczalnej jednostce, co zaowocowało serią dramatycznych wybuchów i awarii, a rezultaty okazały się żałosne. System przepracował bez przerwy raptem pięć i pół godziny. Uznano, że jako niebezpieczny i awaryjny nie nadaje się do instalowania na jednostkach bojowych. Równolegle z Bazilewskim eksperymentował Dimitriewski, który chłodził i oczyszczał spaliny diesla, a po dodaniu do nich porcji tlenu ze zbiorników kierował na powrót do silnika. Próby morskie z tym potworkiem, przerwane przez działania wojenne, zakończyły się dopiero po wojnie, a w ich wyniku uznano koncepcję za „całkiem obiecującą”. Niewiele jednak z tego wynikało dla floty. Przełomem mógł okazać się szczęśliwy traf. Bowiem niedługo po kapitulacji sowiecka „misja naukowo-techniczna” (tak eufemistycznie nazywano speckomando penetrujące stocznie, laboratoria i wytwórnie) trafiła szczęśliwie na kompletną dokumentację wykonawczą najnowszych hitlerowskich okrętów typu XXI i XXVI w biurze konstrukcyjnym Gluckauf w Blankenburgu.

Inna „misja”, szczęśliwie ubiegłszy Amerykanów i Brytyjczyków, wygrzebała w Dreźnie kompletną turbinę Waltera o wielkiej mocy. Oficerom speckomanda udało się także aresztować kilkunastu współpracowników Waltera, choć jego samego zgarnęli wcześniej Brytyjczycy. Antipinowi, którego mianowano szefem misji w Blankenburgu, udało się, o dziwo, pozyskać zaufanie ludzi Waltera i prace nad turbiną i – generalnie – napędem parowo-gazowym ruszyły pełną parą i pełnym gazem. Tym efektywniej, że latające po całej strefie speckomanda co rusz natrafiały na kolejne elementy i dokumentację. Wszystko, co udało się Antipinowi złupić, przetransportowano ciupasem do Leningradu i tęgie głowy zabrały się w tamtejszym CKB do projektowania „sowieckiego U-boota” – mitycznej jednostki 616⁴⁶.

Napęd parowo-gazowy był obiecujący, ale przysparzał także bezliku problemów. System rozkładał w generatorze pary skoncentrowanego

nadtlenku wodoru, który magazynowano w kilkudziesięciu miękkich zbiornikach w międzykadłubowej przestrzeni okrętu. Proces przebiegał w przeraźliwej temperaturze 450 stopni Celsjusza. Powstały z rozkładu tlen i wodę mieszano z węglowodorową dekaliną i spalano w kosmicznej już temperaturze ponad dwóch tysięcy stopni, potem powstałe paro-gazy schładzano i wpuszczano na łopatki turbiny osiągającej imponujące moce rzędu siedmiu i pół tysiąca koni mechanicznych na głębokości 40 metrów. Ale im okręt schodził głębiej, tym więcej mocy zużywano na usuwanie wykorzystanych spalin za burtę, i dlatego już na głębokości 160 metrów agregat mógł działać zaledwie przez pięć minut, czyli tyle co nic. Kotłownik, który z początku był entuzjastą napędów alternatywnych, w miarę lektury kolejnych raportów dochodził do wniosku, że wynalazek potrzebuje jeszcze co najmniej dziesięciu lat eksperymentów i badań⁴⁷.

Dla zadania, które on miał wykonać, potrzebne były zupełnie inne rozwiązania. Najbardziej obiecująco wyglądał, a w zasadzie wyglądały – bo miał we Władywostoku dwie sztuki – wielkie monsunowe U-booty, czyli podwodne krążowniki typu IX D2. Wspomniana już stocznia Deschimag zbudowała według własnego projektu do końca wojny aż 113 podwodnych krążowników. Między nimi te najnowocześniejsze typu IX D2. D2 zasługiwał w pełni na swoje miano. Projektowano go bowiem jeszcze przed wojną tak, by mógł samodzielnie i przez długi czas operować na rozległych akwenach południowej Azji na Oceanie Indyjskim. Przy długości prawie 90 metrów i wyporności podwodnej 1800 ton okręt miał świetne osiągi. Zanurzał się na 200 metrów i robił to nad wyraz sprawnie. Miał wspaniały zasięg prawie 24 tysięcy mil i bardzo dobrą szybkość nawodną dzięki dwóm doładowanym dziewięciocyndrowym dieslom Mana osiągającym 4 i pół tysiąca koni na wale. Zakładano, że okręt musi bardzo szybko docierać do odległych rejonów operacyjnych wokół Przylądka Dobrej Nadziei, na Ocean Indyjski i dalej do Japonii, dlatego dodano im prócz głównych diesli po dwa mniejsze tysiackonne silniki marszowe. Hitlerowscy planiści zakładali, że niemiecka flota podwodna będzie ściśle współpracować z cesarską

marynarką wojenną Japonii, dlatego niektóre monsunowe U-booty wyposażono w składane wiatrakowce Fa 330 Bachstelze, czyli Pliszka. Pomysł był genialny w swej prostocie. Najtańszy chyba samolot świata, wagi zaledwie 80 kilogramów, a składający się z wirnika, statecznika i fotela pilota, wypuszczano na uwięzi z płynącego po powierzchni, pod wiatr U-boota. Samolocik – dzięki sile nośnej powstającej na łopatach wirnika – wznosił się nawet na 300 metrów, co powiększało pole obserwacji do 50 mil morskich, podczas gdy z kiosku było to tylko 12 mil. Po ściągnięciu na pokład samolocik pakowano do wodoszczelnego pojemnika. Fragmenty pliszek wyławiane przez brytyjskie niszczyciele z Oceanu Indyjskiego zdawały się zaświadczać o tym, że w przypadku alarmowego zanurzenia pozostawiano pilotów własnej przemyślności. Japończykom jednak pomysł spodobał się na tyle, że poprosili Niemców o podesłanie dwóch pliszek. Niemcy dostarczyli wiatrakowce wraz z dokumentacją na pokładach dwóch monsunowych U-bootów. Okręty po wykonaniu misji weszły w maju 1945 roku w skład floty japońskiej. Do kraju po kapitulacji Niemiec nie miały po co wracać. Choć obsadzono je japońskimi załogami i niemieckimi ochotnikami i nadano nowe oznaczenia taktyczne, do końca wojny nie weszły do akcji, bo flota nie miała już paliwa, nawet syntetycznego. Okręty stały więc sobie grzecznie w Kure, a gdy Rosjanie zażądali przekazania części floty podwodnej pokonanej marynarki cesarskiej, Amerykanie, nie namyślając się wiele, zaoferowali właśnie te dwa U-booty, a jednocześnie odmówili podzielenia się okrętami specjalnego przeznaczenia, które Rosjan najbardziej interesowały. Ale cóż! Lepiej było wziąć to, co dawali, niż nie brać niczego. Amerykanie okazali się w dodatku na tyle uprzejmi, że obsadziwszy prezenty szkieletowymi załogami, przyholowali je na własny koszt do Władywostoku.

Kotelnikow oczywiście nie zamierzał puszczać pliszek na sznurku, zamierzał natomiast połączyć obydwie monsunowce w tandem, tak by zyskać przestrzeń wewnątrz kadłubów dla zbudowania tam hangarów na samoloty. Wyglądało to całkiem realnie, bo po połączeniu kadłubów

sztynnych w jeden o kształcie leżącej na boku ósemki uzyskano by przestrzeń o szerokości dziesięciu metrów i wysokości czterech i pół metra. A przestrzeń ta mogła stanowić wystarczającą podstawę do zbudowania hangaru porównywalnego rozmiarami do hangaru na japońskich OSP⁴⁸, jak nazywano je w materiałach dostarczonych przez wywiad marynarki. Poza tym przestrzeń tę można było przeznaczyć na dodatkowe zbiorniki paliwa, co powinno zwiększyć aktualny zasięg pojedynczego D2 o jakieś 10 tysięcy mil. Otwarte pozostawało oczywiście pytanie, jak i czy w ogóle będzie pływać projektowany tandem, a raczej dwukadłubowiec. To właśnie sprawdzały zespoły Kotielnikowa, puszczając w laboratorium doświadczalnym modele dwukadłubowca, nazwanego roboczo D2 do kwadratu. Na szczęście Doświadczalna Stocznia Marynarki i przyłączone do niej CKB (wobec wyjątkowej tajności projektu nawet go nie numerowano) dysponowały wszystkim, czego trzeba – łącznie z basenem do prób hydrodynamicznych i zestawem symulatorów ciśnieniowych do prób obciążeniowych. Kotielnikow mógł też pracować z najlepszymi ludźmi, więc wybrał najlepszych, nie bacząc na to, że przy kilku nazwiskach ktoś wyjątkowo gorliwy postawił czerwone znaki zapytania. Jednak nikt nie odważył się we Władywostoku podważać jego decyzji ani o nic go pytać, a Kotielnikow czuł, że respekt dla jego osoby spowodowały specjalne instrukcje Głównodowodzącego. Po kilku tygodniach prób modelowych wiele wskazywało na to, że pomysł zdublowanego monsunowca zapewni projektowi powodzenie. Z nadzieją, że nie brnie w ślepą uliczkę, Kotielnikow zabrał się za drugi nie mniej istotny problem. Problem samolotu uderzeniowego.

Potrzebna była maszyna o wyjątkowych parametrach i admirał kazał sobie dostarczyć dokumentację nie tylko latających w linii, sprawdzonych konstrukcji, ale także modeli będących w fazie prototypu, serii informacyjnych lub nawet projektowej. Na tym etapie nie zabiegał jeszcze o najlepszych konstruktorów lotniczych, uważając, że jego opinia, opinia człowieka niezaangażowanego w ich konstruktorskie idee i spory, będzie

najbliższa niezależności i zdrowemu rozsądkowi.

Poprzestał na zespole kilku konsultantów, ale i od nich wymagał jedynie przygotowywania dokumentacji i zbierania materiałów o najnowszych konstrukcjach. Tak więc, po pierwsze, samolot musiał mieć składane skrzydła, by mógł zmieścić się w stosunkowo wąskiej tubie hangaru. Po drugie, skrzydła po przekręceniu musiały składać się wzdłuż kadłuba, bo na złożenie ich do góry (tak jak składają się skrzydła motyla) w trzyipółmetrowym hangarze również brakłoby miejsca. Kotielnikow wiedział, że taką mniej więcej średnicę miały hangary japońskich OSP. Kłopot w tym, że w Rosji nie budowano lotniskowców, tak więc nie projektowano maszyn pokładowych ze składanymi skrzydłami dla oszczędności miejsca. Mechanizmy składania płata najlepiej byłoby skopiować z konstrukcji japońskich lub amerykańskich. Kotielnikow złożył zatem w specjalnej sekcji wywiadu „zamówienie” na dokumentację i części z amerykańskiego „Avengera Grummana”. W tej bowiem maszynie płat składał się właśnie w ten sposób. Po drugie, maszyna przy niewielkich stosunkowo wymiarach musiała mieć potężny udźwig i przestronną komorę bombową. Z dość skąpych informacji na temat parametrów bomby wynikało, że będzie ona ważyć co najmniej 1200 kilogramów. To z kolei wymagało od jednosilnikowego napędu (bo tylko taki był możliwy) mocy rzędu dwóch i pół tysiąca koni mechanicznych. Na dodatek maszyna powinna mieć wystarczająco duży zasięg, tak by po wykonaniu uderzenia mogła wrócić w pobliże macierzystej jednostki. Dość długo admirał zastanawiał się nad użyciem pływaków, tak by samolot mógł bezpiecznie wodować koło okrętu po powrocie, doszedł jednak do wniosku, że jeśli uderzenie dojdzie do skutku, nie będzie konieczności ani zapewne możliwości powtórnego wykorzystania maszyny, a w tej sytuacji nawet klasyczne podwozie wydawało się zbędnym luksusem. Nie przesądzał tego w tej fazie myślenia o projekcie, ale czuł, że odrzucany po starcie prosty wózek do katapultowania najzupełniej wystarczy. Samolot w zasadzie powinien być dwumiejscowy. Bynajmniej nie po to, by pilot miał z kim

pogadać w czasie lotu, ani z żadnych „klasycznych” powodów, takich jak obsługa kaemu broniącego tylnej półsfery czy zadania nawigacyjne i bombardierskie. Kotielnikow zakładał, że maszyna będzie na tyle szybka i osiągnie wystarczający pułap, by umknąć myśliwcom, a ponadto element zaskoczenia winien zdecydować o dużym prawdopodobieństwie dotarcia nad cel. Któż bowiem będzie się spodziewał uderzenia niesygnalizowanego wcześniej niż podczas ostatniej godziny misji?

Drugi człowiek na pokładzie był potrzebny jedynie do tego, by ręcznie odbezpieczyć i uzbroić bombę, co – jak wynikało z dokumentacji – było zadaniem dość skomplikowanym. Trzeba by więc zrobić tak, by komora bombowa miała połączenie z drugą kabiną i by obydwie były hermetyczne, przy założeniu, że atak nastąpi z wysokości co najmniej pięciu, a jeszcze lepiej ośmiu lub dziewięciu kilometrów. Ten drugi musiałby na kilkanaście minut przed celem zleźć do komory i zrobić co trzeba, potem wyleźć, zakręcić jakiś włącznik, czy co tam było potrzebne, i wrócić na swój fotel. Jednak drugi załogant komplikował zadanie. Kotielnikow coraz bardziej skłaniał się ku koncepcji uzbrojenia i odbezpieczenia bomby jeszcze przed startem. Rozwiązanie to miało same zalety: zmniejszało wagę maszyny, upraszczało konstrukcję komory bombowej, pozwalało przestrzeń w drugiej kabine wykorzystać na przykład na zasilanie bomby i jej systemów lub dodatkowy zbiornik paliwa... I jedną wadę. Jeśli uzbroi się i odbezpieczy to diabelstwo jeszcze przed startem, to będą ekspediować w powietrze nie samolot, ale latającą bombę gotową eksplodować jeszcze na katapultcie. Ale o to niech się martwią inżynierowie. Można chyba skonstruować skuteczny bezpiecznik, który do tego nie dopuści. Gdyby więc założyć, że maszyna będzie jednomiejscowa, to powinna być podobna do firebranda wytwórni Blackburn. Kotielnikow rozpostarł starannie kalkę z rzutami płatowca i rozłożył obok kilka zdjęć kiepskiej jakości wykonanych przez wywiad. Samolot oblatano już w czterdziestym drugim, a miał być pokładowym myśliwcem bombardującym i torpedowym. Piątej wersji rozwojowej, której rzuty miał przed sobą, dano znakomitego napiera sabre, który przy mocy

ponad dwu i pół tysiąca koni miał całkiem skromne wymiary i nie wymagał projektowania nadmiernie rozdętego kadłuba, tak jak wielkomocowe gwiazdy rodzimej produkcji całkiem niestosowne do instalowania w smukłych kadłubach.

Maszyna przenosiła z łatwością tonową torpedę. I to jak gracko! Z imponującą jak na samolot torpedowy szybkością ponad 550 kilometrów na godzinę. Jeżeli przenosiła tonę, to pewno poleciałaby i z większym ciężarem. Bombę z instalacjami zasilania trzeba by dla bezpieczeństwa liczyć z zapasem na jakieś półtonę. Spadłby pewno zasięg, który i tak nie jest wielki – ledwie 1200 kilometrów. Ale dla naszych celów wystarczy i połowa tego. Poza tym samolot ma cztery dwudziestomilimetrowe działka. Można by to żelastwo wymontować, a to wraz z amunicją daje już, lekko licząc, ze dwieście kilo. Tyle że dla bomby trzeba by znaleźć miejsce w kadłubie lub przynajmniej częściowo ją schować czy oprofilować. Diabli zresztą wiedzą, jaki to świństwo będzie miało kształt. Ale będzie raczej pękate, niż smukłe⁴⁹. Wymiary? – Admirał obracał kalkę w potężnych łopatach dłoni, starając się odcyfrować drobne i niewyraźne pismo techniczne. Kalka odbita była na powielaczu i niebieskie linie szkicu i opisów zacierały się w sposób irytujący. Kotielnikow wysunął więc szufladę i pomógł swoim zmęczonym oczom potężną lupą w ciężkiej mosiężnej oprawie. Teraz wszystko było jasne. Skrzydła o wiele dłuższe. Ale przecież się składają, i to nie powinno być problemem. Kadłub taki sam jak konstrukcji japońskiej, wysokość też się zgadzała i generalnie firebranda dałoby się upchnąć w hangarze, nawet gdyby był w ciąży z tym świństwem. Kotielnikow uśmiechnął się do swojego odbicia w szkle portretu ojca (trzymał ten portret w eksponowanym miejscu mimo delikatnych upomnień „życzliwych” współpracowników), a ojciec zdjęty przez prowincjonalnego fotografa w całej chwale carskiego jeszcze, oficerskiego marynarskiego munduru odwzajemnił uśmiech i Kotielnikow odniósł wrażenie, że ruszył porozumiewawczo węsami. Tak jak to zwykł czynić, gdy spletał rodzinie figla.

– Fajnie! – powiedział na głos do portretu Kotielnikow. – Tylko skąd ja wezmę firebranda? Mam kazać wywiadowi go ukraść? I to nie jednego, a co najmniej sześć, bo tyle potrzeba, by obsadzić okręt i mieć trzy maszyny w rezerwie i do szkolenia załóg. Absurd. MK V dopiero wchodził do linii i Anglicy z pewnością dobrze go pilnują. Choć dokumentację dali sobie zwędzić. – Zachichotał. – Ale co innego dokumentacja, a co innego samolot w linii, i to na lotniskowcu. Trzeba by znaleźć chętnych do uprowadzenia maszyny. Obiecać im wielkie pieniądze albo zaszantażować. A to groziło wpadką i międzynarodowym skandalem. W dodatku brytyjskie lotniskowce rzadko teraz wychodzą w morze, bo skrzętni Angole, zdając sobie sprawę z tego, że wojna się skończyła, zaczęli znów liczyć pieniądze. Jeśli nawet wyleżą poza Kanał i ten swój Gibraltar, to albo na Atlantyk, albo na Morze Śródziemne, a stamtąd ciężko dolecieć gdzieś, gdzie można by maszynę gładko upłynnić. Odpada. Skopiować? Nawet gdyby udało się „pozyskać” kompletną dokumentację bez oryginału, który można rozebrać, i bez prób w locie, trwałoby to lata. – Kotielnikow westchnął i postanowił wspomóc swoje myślenie. Otworzył dwuskrzydłowe, rzeźbione w roślinne esy-floresy drzwi secesyjnej szafy, która nie wiadomo za jaką przyczyną znalazła się w sztabie floty, i przez dłuższą chwilę lustrował zapasy alkoholu. Bar w szafie, której ścianki od środka wyłożono kryształowymi lustrami, odziedziczył po kimś, kto zajmował przedtem gabinet, ale musiał najwidoczniej wyprowadzić się bardzo szybko i nie zdążył ewakuować także alkoholu. Admirał sam z siebie nie wpadłby nigdy na pomysł, żeby pić w pracy, i w dodatku, by zgromadzić tak imponującą kolekcję. Jego tajemniczy poprzednik – najprawdopodobniej niezły birbant i znawca mocnych trunków – musiał mieć dobre układy z władzywostockimi rekinami kontrabandy, bo rosyjskich wódek w szafie było niewiele. Kotielnikow szybko stłumił chęć na piekielnie mocną, ale cuchnącą śliwowicę, która (sądząc z cudaczych napisów na etykiecie) przywędrowała do admirałskiego barku z jakiegoś morawskiego browaru. Koniaki i francuskie brandy pachnące pluskwami także niespecjalnie go pociągały.

W pewnym momencie pomyślał nawet, że nie ma ochoty na jakikolwiek alkohol, ale widok etykiet i butelek pokonał ten cnotliwy zamiar. Kotielnikow wyciągnął dłoń i chwycił za szyję potężną butlę francuskiego brązowego rumu Ambrę – trunku, który piękny, erotyczny niemal zapach łączył z mocą i dobrze wyważonym, ciepłym i pełnym słońca smakiem. Zagryzając rum plasterkiem cytryny, admirał dumał dalej. Firebrand odpada. Zobaczmy więc, co wymyślili krajowi geniusze. Powstaje przecież mnóstwo prototypów i może któryś dałby się gładko rozwinąć w... Właśnie. – Kotielnikow uświadomił sobie, że nie ma nawet roboczej nazwy dla potworka, którego zamierzał inkubować. Nie odstawiając szklaneczki z rumem, sięgnął po kolejny segregator, w który pilny adiutant powpinał naj świeższe doniesienia z konstruktorskiego frontu. Admirał wertował je przez chwilę, krzywiąc się z niesmakiem, gdy przed oczami odkrywały mu się kolejne poronione pomysły. Dał się jednak wciągnąć lekturze i pomyślał sobie, że tak jak wszystko, co jest wytworem ludzkiego ducha – koncepcje samolotów rodzą się od razu w swoim dobrym i błędnym kształcie. Przecież tak jest nawet z literaturą. Ileż w niej zdań, które wydają się tworem nie pisarza, a jakiegoś kretyna. Potem... potem wystarczy wziąć ołówek, gumkę. Coś skreślić, coś przestawić i nagle literacki kawałek żużla zamienia się w brylant. Kotielnikow uwielbiał takie zabawy. Z wielkim powodzeniem i satysfakcją potrafił poprawiać nawet takich mistrzów, jak Iwan Turgieniew.

O proszę... Mikojan. Zdawałoby się człowiek rozsądny. Bodaj po dwóch zawałach... a jego zespół zbudował coś takiego. Kotielnikow dotknął z niedowierzaniem podretuszowanej fotografii przedstawiającej z profilu karykaturę myśliwskiego dolnopłata. Tuż za maleńką kabinką wyrastał potężny statecznik pionowy. Z przodu śmigło, z tyłu... coś, co wyglądało jak rura wydechowa. Kotielnikow, mrużąc oczy, wczytywał się w charakterystyki. No, patrzcie państwo. Napęd hybrydowy. Z przodu normalny, chłodzony cieczą silnik tłokowy, z tyłu WRDK⁵⁰, czyli prymitywny silnik odrzutowy konstrukcji niejakiego Chołszczewnikowa.

Jeśli zsumować okazałą, sięgającą dwu i pół tysiąca, moc klasycznego tłokowca i przeliczoną z kiloniutonów siłę ciągu „przyspieszacza”, to razem uzyskamy potworną jak na tak mały samolot moc trzech i pół tysiąca koni! Obiecujące! – Kotielnikow z przejęcia poprawił się w fotelu i przez chwilę walczył z chęcią ponownego wejrzenia w kryształowe wnętrze szafy. To wyglądało obiecująco, bo pracujące na wspólnym paliwie silniki rozpędzały samolocik o rozpiętości ledwie dziewięciu i pół metra do prędkości ponad ośmiuset kilometrów na godzinę! To może być coś dla nas. Kotielnikow chwycił ołówek i szybko odjął masę startową od masy własnej maszyny, by dowiedzieć się, ile samolot jest w stanie udźwignąć. Obliczenia nie były trudne. To, co I-250 był w stanie wynieść w powietrze z potworną szybkością, to była właśnie masa paliwa i tyłek pilota. Poza tym od przedniego silnika do tylnego, między nogami pilota poprowadzono rurę zasysającą i tłoczącą powietrze do WRDK. To wykluczało włożenie do kadłuba jeszcze czegokolwiek, a już na pewno nie ponadtonowej bomby z agregatem zasilającym.

Admirał przewracał kolejne karty upięte w segregatorze do momentu, w którym coś przyciągnęło znów jego uwagę i wywołało błysk zainteresowania w oczach. – Proszę... Kolejny mądrala. Też niby normalny. W więzieniu siedział jak wszyscy. Suchoj. Samolot trochę większy i trochę ładniejszy od Mikojanowego, choć w rzucie z góry dysza odrzutowego „przyspieszacza” wyglądała tak, jakby ktoś nadepnął maszynie na kuper. Osiągi gorsze. W dodatku ten prymus pod ogonem mógł dawać ciąg tylko przez cztery minuty. Do bani!

Zniechęcony wstał i poczłapał, by napełnić szklaneczkę. Policzki zaczynały go piec i wchodził w tę miłą fazę, w której wielkie problemy maleją, by wreszcie zniknąć przy kolejnej szklance. Pociągnął łyżeczek rumu, nim siadł na powrót w admirałskim fotelu, i kartkował segregator dalej. – A może, do cholery, odrzutowiec? – Ten niespodziewany pomysł ożywił go. – Mają duże moce i można im podczepić Bóg wie jakie ciężary. Zobaczmy. Maszyna Ławoczkina. Brzydka jak psia kupa. Ze spuchniętą, obwisłą

mordą i wątłym ogonkiem. Ale osiągi, proszę siadać. 840 na godzinę i 900 kilogramów udźwigu. Tyle że w tym udźwigu pół tony trzeba było przeznaczyć na paliwo, a i tak Ła-150 mógł przelecieć ledwie 700 kilometrów. To niewiele więcej niż pierwsze modele messerschmitta walczące nad Anglią w czterdziestym. Może innym udało się zajść dalej? Kotielnikow przez dobrą chwilę studiował plany kolejnych odrzutowców, przepuszczając pod palcami koncepty Jakowlewa, Mikojana i Gurewicza. Osiągi i problemy były podobne. Zamknąwszy segregator, admirał odchylił się na oparcie i zamknął oczy. Refleksja przyszła sama: – Jakie odrzutowce? Kretynie jeden. Przecież każdy z nich to wielka rura z otworem z przodu i dziurą z tyłu. Gdzie upchniesz komorę bombową w odrzutowym jednosilnikowcu? To przecież sam silnik ze skrzydełkami, a pilot siedzi na tym wszystkim okrakiem jak pijany Zaporozec na beczce prochu.

Taki impas w rozumowaniu usprawiedliwiał kolejną szklaneczkę i admirał już ze spokojnym sumieniem ruszył znów w stronę szafy. Gdy wracał, upijając ostrożnie ze zbyt pełnej szklanki, wpadł na kolejny koncept: – A może dwusilnikowe odrzutowce? Takie jak Me-263! Tu w kadłubie powinna być masa miejsca, bo silniki podwieszono pod skrzydłami. Zobaczmy, czy nasi geniusze coś takiego zrobili. O ile ich znam – Kotielnikow znów uśmiechnął się do swojego odbicia – zaczęli od zmałpowania messerschmitta! – Przerzucił kolejne opakowane w sztywny, przezroczysty celuloid karty i w duchu pochwalił sam siebie za domyślność. No, proszę. Znów suchoj. Maszyna jest już w prototypie i za chwilę będzie brylowała na defiladach. Skóra zdjęta z messerschmitta. Ten sam rekini, identyczny układ płatowca, tyle że silniki turboodrzutowe, zapewniające lepsze parametry. Świetna szybkość, dobry (dla naszych celów wystarczający) zasięg i pokaźny udźwig, prawie dwie tony... – Kotielnikow znów sięgnął po ołówek i obliczył. Gdyby zatankować maszynę połową paliwa, wyrzucić wszystko, co zbędne, a więc absurdalnie wielkie, czterdziestopięciomilimetrowe działo z nosa, skomplikowany wyrzucany

fotel pilota, radio i inne fintifluszki, Su-9 (jeśli oczywiście wprowadzą go do linii) będzie w stanie pomieścić i dźwignąć bombę oraz ponieść ją na siedemset kilometrów w głąb terytorium wroga. Potem pilot, jeśli uda mu się uciec przed skutkami wybuchu, wyskoczy na spadochronie i na piechotę pomaszeruje na brzeg, ale pewnie daleko nie zajdzie...

Su-9 miał jeszcze jedną fajną rzecz, która mogła się przydać: dwa przytroczone do burt prochowe przyspieszacze startu, dające maksymalny ciąg dwu i pół tony w pierwszych ośmiu sekundach po odpaleniu. Przez chwilę Kotielnikow miał poczucie pełnego triumfu. A jednak rozwiązanie się znalazło. Teraz należało wykonać kilka radiogramów. Ściągnąć szybko zespół suchoja wraz z dokumentacją i prototypami i zabrać się do roboty... Tyle że... – Z trzaskiem odstawił szklanę, którą już podnosił do ust, i zaklął w sposób, którego sam u siebie nie lubił: – Gównu psie! Przecież skrzydeł z silnikami nie da się złożyć wzdłuż kadłuba, tak żeby samolot wlaź do ciasnego hangaru. A hangar musi być ciasny, bo innego na okręcie podwodnym zrobić się nie da, nawet na dwukadłubowcu. Nawet gdyby jakimś cudem się dało i pionowo stojące silniki zmieściłyby się na wysokość, każdorazowo trzeba by mozolnie montować skomplikowany system ich zasilania i sterowania, co pewnie zajęłoby ze dwie lub trzy godziny, a w tym czasie okręt musiałby tkwić na powierzchni jak oczekujący oklasków aktor na pustej, oświetlonej scenie.

A gdyby silniki przenieść nad kadłub i ustawić jeden nad drugim? Nie... – Studził sam siebie. – Nie wiadomo, czy w takim układzie samolot by w ogóle latał, i to z takim ciężarem. Projektowanie należałoby zacząć od początku, a na to nie ma czasu. Jedyne wyjście to oprzeć się na konstrukcji gotowej i sensownie ją adaptować. Inaczej, jakbyś się nie kręcił, dupa z tyłu.

A może rozwiązania szukać należy gdzie indziej. Czasem rzeczy oczywiste pomija się jako zbyt oczywiste. Najciemniej bywa pod latarnią. – Właśnie. – Kotielnikow, stękając, zgiął swój długi tułów i sięgnął do dolnej, zamykanej na patentowy zamek szuflady po teczkę z materiałami, które

dostał od Stalina. – A ten, jak mu tam... seiran. Górską mgłą. Ładna nazwa. Japończycy pięknie nazywali swoje samoloty i okręty. Nie to co my. Suchoj, Ławoczkin, Polikarpow... Czyż nie ładniej brzmi Pogodne niebo, Spadająca gwiazda albo choćby Światło księżyca?⁵¹ A tu suchoj! Zawiązał tasienki segregatora z rodzimymi konstrukcjami i delikatnie odwiązał te, które krępowaly celuloidowe karty dokumentacji seirana.

Aichi M6A. – Ktoś pięknie i z zakrętasami wykaligrafował nazwę na nalepce segregatora, ale Kotielnikow wolał myśleć o samolocie jako o górskiej mgle. Mgła powoli się podnosi, a gdy uniesie się na tyle, że coś już widać ze zbocza, wali na wroga ukryta wśród drzew kawaleria seiran – górską mgłą. Tak to pewnie wykoncypował poeta ze sztabu japońskiej marynarki. Niespodzianka i zaskoczenie.

Teczkę czytało się znakomicie. Kotielnikow, który przepadał za technicznymi opisami i szczegółami, odczuwał przy tej szczególnej lekturze prawdziwą, niemal zmysłową przyjemność. Prawie tak wielką, jak ta, której doznawał, gdy jako chłopiec przewracał z namaszczeniem pięknie ilustrowane karty *Tajemniczej wyspy* Jules'a Verne'a. Wywiad miał rzeczywiście świetne wejścia w Japonii na długo przed wojną, a sposób kompletowania materiałów świadczył o tym, że autorzy informacji prawdopodobnie także lubowali się w skrzętnych opisach. Projekt, którego dokumentację miał przed oczami admirał, poczynił się i realizował w największej tajemnicy, ale jak widać Japończycy nie docenili geniuszu rosyjskiej agentury.

Decydenci ze sztabu marynarki cesarskiej, którzy przeforsowali projekt okrętu uderzeniowego specjalnego przeznaczenia, zakładali słusznie, że sukces całego przedsięwzięcia w równej mierze zależeć będzie od osiągnięć i możliwości seirana. Tak więc kierownictwo Kaigun Koku Hombu * (* *Kwatera Główna Lotnictwa Morskiego.*) zażądało, żeby samolot uderzeniowy miał szanse uciec myśliwcom. Wydawało się, że prędkość rzędu 550 kilometrów na godzinę na wysokości czterech kilometrów będzie do tego wystarczająca i nie zaprojektowano integralnego uzbrojenia

strzeleckiego, ograniczając się do ruchomego kaemu w kabynie obserwatora. Ważny był także zasięg, tak by maszyna mogła zostać wyrzucona w powietrze w takiej odległości od wybrzeży wroga, by cała operacja za wcześnie się nie wydała. Dlatego seiran dysponował zasięgiem półtora tysiąca kilometrów. Poza tym myśleli zupełnie tak jak Kotielnikow. To była maszyna do jednej misji. Miała wystartować, zadać cios i... Reszta była sprawą drugorzędną, więc podwozie uznano za coś zbędnego. Najważniejsze, że seiran musiał wleźć do hangaru, który był wielką rurą o średnicy trzech i pół metra. Z tego powodu zakładano, że skrzydła będą się składać i że jest to rozwiązanie lepsze niż demontaż. Ponieważ samolot musiał być (ze względu na hangar) wyjątkowo smukły, zdecydowano się na silnik rzędowy, choć większość japońskich konstrukcji bazowała na silnikach w układzie gwiazdy. Na szczęście mieli taki motor, odwróconą, widlastą dwunastkę o nazwie słynnej świątyni Atsuta w prowincji Aichi. Bogiem a prawdą był to tylko nieznacznie zmodyfikowany, zakupiony od Niemców w ramach licencji Daimler Benz DB 601, który miał zdecydować o sukcesie innego programu. Ale nie zdecydował⁵². Tu silnik wydawał się idealny, zapewniając przyzwoitą moc aż do wysokości pięciu kilometrów. Ponadto mocy tej wystarczało na wyniesienie dwóch ludzi, prawie tony paliwa i oleju, oraz, co najważniejsze, ośmiuset kilogramów bomb lub jeszcze cięższej torpedy. Jak to zrobili, dysponując jedynie 1400 końmi mechanicznymi? Diabeł raczy wiedzieć, ale gdy Kotielnikow przyjrzał się rzutom i fotografiom, zrozumiał, że seiran miał idealnie zaprojektowany płatowiec i piękną sylwetkę, i po prostu musiał dobrze latać.

Admirał z trzaskiem zamknął segregator i odchylił się na oparcie fotela.

Jeśli – pomyślał – z ledwie 1400-konnym silnikiem seiran latał z torpedą, to gdyby wstawić mu najnowszy rzędowy motor Mikulina AM-42B z turbosprężarkami, wówczas mielibyśmy do dyspozycji wielką moc startową... Zaraz, zaraz... – Sprawnie przeliczył kilowaty na konie mechaniczne i wyszło mu ponad dwa i pół tysiąca. – Z taką mocą samolot z łatwością dźwignąłby dwa razy większy ładunek. Wprawdzie silnik

Mikulina AM-42B nie należał do lekkich konstrukcji i ważył prawie tonę, co wymagałoby z pewnością wzmocnienia łoża, a może i całej konstrukcji płatowca... Specjaliści, których zatrudniał jako konsultantów, mówili mu wprawdzie, że pozornie krucha i nietrwała konstrukcja nośna japońskich maszyn była zadziwiająco sztywna i stabilna, przy świetnych parametrach wagowych. Samoloty były lekkie, ale wytrzymałe. Tak. W takiej konfiguracji mielibyśmy nosiciela jak marzenie. Nic by się też nie stało, gdyby wyprosić tylnego strzelca i korzystając ze zwolnionej przez niego przestrzeni, przysposobić tam komorę dla naszej Arki Przymierza. Tak. Seiran byłby idealny. Tylko skąd ja wezmę seirana. Te szkice i ogólne parametry nie wystarczą przecież do zrekonstruowania genialnie zaprojektowanej japońskiej maszyny. Nie wiadomo, czy ostał się choć jeden egzemplarz. A nawet jeśli tak, to z pewnością testują go już Amerykanie⁵³.

Admirał chciał wrócić myślą do tematu, ale obsesyjne rozważania przerwał zabawnie załamujący się głos Zuzanny:

– Admirale! Gdzie pan jest? Pewnie śpi pan w jakimś fotelu... – Wstał pospiesznie i ruszył jej naprzeciw, a ona uśmiechnęła się ciepło zarumieniona i admirałowi wydało się nagle, że dziewczyna jest szczęśliwa. Z pewnością szczęśliwe były jej oczy. – To mieszkanie jest zastanawiające – stwierdziła i zaraz poprawiła sama siebie: – To znaczy... Nie, źle się wyraziłam. Jest cudowne. Tyle światła. Tyle miejsca! – Gdy Kotielnikow dumiał o seiranie, spenetrowała wszystkie pokoje z entuzjazmem kolonistki oglądającej sypialnie letniego obozu. – Nie czujesz się tu samotny?

Jej niski, jakby zakatarzony głos drażnił go ledwie uchwytnymi nutkami ironii. Przyszła tu przecież z własnej woli i w zasadzie na własne żądanie. Choć pocałowała go już na drugiej randce, ucinając gwałtownie jego spekulacje, czy i kiedy coś takiego byłoby możliwe, Kotielnikow wciąż nie czuł się w jej obecności pewnie. Nie mógł po prostu uwierzyć, że spotyka go coś tak miłego i bezpośredniego. Nie miał w tym względzie najlepszych doświadczeń, bo kobiety, które dotychczas spotykał na swojej drodze, bezbłędnie wyczuwając jego dobroć i szczerą intencję, krzywdziły

wielokrotnie jego męską dumę i aż dziwne, że nie nabrał do płci przeciwnej nieuleczalnych uprzedzeń. Zuzanna była jednak na tyle niezwykła, że potrafiła docenić również to, że admirał jest naiwny, otwarty, szczery i pełen zaufania. Podniecało ją to w szczególny sposób, bowiem i ona w swoim dotychczasowym niedługim przecież życiu spotykała nie tych mężczyzn, których powinna była spotkać.

– Można by tu jeździć na rowerze – stwierdziła nie całkiem od rzeczy, stając we framudze i opierając się o nią niedbale barkiem. – Zawsze chciałam mieszkać w wielkim mieszkaniu. Żeby nie ocierać się o sprzęty. Wiesz, jak w czymś takim ogromnym znajdziesz sobie odpowiedni kącik, to taki kącik dopiero przez kontrast jest naprawdę przytulny. Ja zawsze miałam małe mieszkania. To okropne...

Delikatne światło znad zatoki padało na nią od tyłu i Kotielnikow aż sapnął z zachwyty. Włosy dziewczyny tworzyły wokół delikatnego owalu jej dziecinnej buzi rodzaj świetlistego halo, jakie zdobi zwykle księżyc w letniej pełni, a wróży długotrwałą, piękną pogodę. Zauważył, że zdjęła swoje krasnoludkowe obuwie i zawłaszczyła sobie bez pytania jego olbrzymie holenderskie drewniaki stojące w przedpokoju. Jej drobne stopy zupełnie w nich tonęły i ta właśnie konstatacja rozczuliła Kotielnikowa najbardziej.

– Wywrócisz się w tych trepach albo skręcisz nogę, a ja będę miał kłopot. Uważaj. Moja pomoc domowa konserwuje parkiety woskiem najlepszej jakości. Sam kilka razy o mało się nie wywaliłem.

– Może nie. – Pochyliła przekornie głowę. – Jeżdżę na łyżwach. Figurowo – uzupełniła, by rozproszyć wątpliwości. – Umiesz?... – zawiesiła głos i raptem całkiem niespodziewanie wysunęła stopy z holenderskich sabotów i w samych pończochach poszła szybko w głąb mieszkania.

Mieszkanie było zaiste imponujące: siedem pokoi w amfiladzie, trzy łazienki, osobny pokój dla służby i sień z garderobą, w jakiej zmieściłoby się umundurowanie plutonu wojska. Łącznie bodaj czterysta metrów kwadratowych. Kotielnikow na dobrą sprawę korzystał z jednego pokoju,

tego na samym końcu, w którym spał i pracował, i z jadalni, w której obsługiwała go Nina Andriejewna. (To, że jadł w tym właśnie pokoju, było jej sprawką, a czuł się podczas owych samotnych posiłków u szczytu wielkiego stołu na dwanaście osób wyjątkowo głupio.)

Zuzannę dogonił wreszcie w bibliotece, której zawartość odziedziczył po poprzednim lokatorze, ale nie sądził, by imponujący księgozbiór był tegoż lokatora własnością. Znajdował tu tytuły, które wskazywały na niedopatrzenie administratora i mogły zostać zakwalifikowane jako literatura wywrotowa. Było to tym dziwniejsze, że tomy owe sąsiadowały z najnowszymi wydawnictwami traktującymi o historii partii i z pomnikową edycją dzieł wszystkich Włodzimierza Iljicza. Pokój był sześciokątny, a biblioteczne regały wypełniały go od podłogi do sufitu. Księgozbioru nie kompletowano według jakiejś stałej zasady, bowiem roczniki flot sąsiadowały z seriami poetyckimi, poradnikami ogrodnictwa i przedrewolucyjnymi wydaniem arcydzieł światowej prozy. Kilka półek poświęcono teologii i religioznawstwu. W przyływach dobrego nastroju Kotielnikow lubił wertować opasłe tomy nikomu niepotrzebnych rozważań o istocie idei i wiary. Stał tu też wykonany z białej woskowanej sosny prosty stojak, a na nim dwa japońskie miecze. Od czasu, gdy Nina Andriejewna postanowiła je odkurzyć, admirał wolał ich nie dotykać. Dość gwałtownie zdjęła jeden z nich ze stojaka, przechylając broń na stronę rękojeści. To, co wynurzyło się z pochwy i stuknęło o podłogę, wyglądało tak jadowicie i niebezpiecznie, że Kotielnikow zamknął oczy i delikatnie wyjął częściowo obnażony miecz z dłoni gosposi. Potem, kierując się bardziej przecuciem niż logiką, obrócił miecz rękojeścią do góry. Ostrze z dyskretnym młaśnięciem ulokowało się na powrót w pochwie. Postanowiwszy więcej nie dotykać czegoś, co wydawało mu się groźniejsze od własnej i dobrze znanej brzytwy, odłożył miecz na stojak. I tak jak umiał, poukładał czarną taśmę przewleczoną przez zmyślne oczko w kostce dolepionej do pochwy. Od tej pory nie dotykał tej broni i kategorycznie zabronił Ninie Andriejewnie jej odkurzania.

Zuzanna znajdowała się teraz blisko sosnowego stojaka i niebezpiecznych japońskich przyrządów. Stała na rozstawionych, pięknych nogach o smukłych i delikatnych kostkach i dopiero teraz zauważył dziurkę w przetartej na pięcie pończosze, a w dziurce kawałeczek skóry. Głowę zadarła wysoko, starając się odczytać tytuły na grzbietach najwyżej posadowionych tomów. Nie było to łatwe, bo mieszkanie było bardzo wysokie, a regały sięgały sufitu.

– Czytasz to wszystko? Jak tam włączysz? Pod sufit... Aha. Jest drabina. Mogę?

Pomógł jej rozstawić drewnianą biblioteczną drabinę o szczeblach z tego samego ciemnego dębu, z którego wykonano półki, zastanawiając się, co też mogło ją zainteresować. Jak się okazało, sięgnęła po wielki angielski album japońskiego malarstwa erotycznego. Nie zeszła nawet na podłogę. Otworzyła album jeszcze na najniższym stopniu drabiny.

– Mogę pożyczyć? – spytała.

Z tonu głosu i błysku w oczach Kotielnikow wywnioskował, że bardzo jej na tym zależy. Zastanowił się chwilę i pomyślał, że i tak nikt nie ewidencjonuje tego księgozbioru. Postanowił więc zrobić jej przyjemność.

– Możesz go sobie wziąć. Tylko poproś Ninę Andriejewnę, żeby ci starła kurz. Najlepiej na mokro. A co to w ogóle za świństwo? – Kotielnikow zezował na okładkę albumu, na której na pozór niewinnie podkreślała sobie brwi *Piękność w kimonie* Kitygawy Utamaro⁵⁴.

– Czyżbyś był staroświecki? – Zuzanna uniosła brwi i znów zabrzmiała w tym kpina.

– Zaraz staroświecki... – burknął zmieszany admirał. – Nie lubię, jak zbyt otwarcie mówi się o pewnych rzeczach, które... które powinny odbywać się za zamkniętymi drzwiami. – Wygłosił ten komunał, ale wcale nie był pewien, czy rzeczywiście nie lubi.

Zuzanna zlazła wreszcie z drabiny. Podeszła do niego, a ściślej mówiąc, podjechała jak na łyżwach, bo podłoga istotnie mogła być śliska dla kogoś, kto był w samych pończochach. Z trzaskiem zamknęła album, aż wyleciał

z niego obłoczek kurzu.

– Admirale! – zaczęła zabawnie i pompatycznie. – Te sprawy trzeba traktować normalnie. A oni... – strzepnęła po albumie drobną dłonią – tak to właśnie traktują.

– My inaczej? – zaproponował, marszcząc zabawnie czoło, co ona natychmiast zauważyła i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– My udajemy, że tamto, że sramto. A tak naprawdę nie potrafimy się przyznać, że seks i różne takie zabawne figielki nas rajcuja. Że to lubimy i że o tym dużo myślimy. Myślisz o tym dużo? – spytała obcesowo, usiłując podrapać grzbietem stopy najwidoczniej swędzące miejsce na łydce drugiej nogi. Jednocześnie cały czas trzymała album pod pachą, a barkiem znów opierała się o framugę.

Wyglądało to wspaniale i Kotielnikow w tej właśnie chwili gotów był przysiąc, że w życiu nie spotkał kogoś bardziej autentycznego i bezpretensjonalnego. Wziął Zuzannę łagodnie pod ramię, wyjął wielki album spod pachy i poprowadził ją w stronę skórzanej kanapy w sąsiednim pokoju. Kiedy ją usadowił, stanął przed nią z rękami w kieszeniach spodni i spojrzał z góry. Podniosła na niego wzrok wciąż uśmiechnięta i wciąż pełna ironii, ale i oczekiwania. Nie powiedział nic. Uśmiechnął się także. Ujął jej świeżą i rumianą buzię w dłonie. Pochylając się nad nią wielkim i muskularnym korpusem, delikatnie ją pocałował. Oddała buziaka z wielkim przejęciem, a jej wargi i język przekazywały mu znacznie więcej niż sam dotyk i ruch. To był pocałunek, który każdy w miarę doświadczony mężczyzna musiał odebrać jako jednoznaczny komunikat. Kotielnikow odebrał i wszystko w nim zaśpiewało. Odniósł nieodparte wrażenie, że jego ciało jest kadłubem szybkiego okrętu, który na sygnał z mostku dał całą naprzód.

– Zuzanno! – Jeszcze chwila, a admirał dałby się ponieść emocjom i padł przed dziewczyną na kolana, ale Zuzanna położyła palec na ustach. Przypominała w tym momencie bajkową dobrą wróżkę uciszającą dzieci.

– Ciii... Nie trzeba mówić. Wszystko jest jasne, a ja jestem głodna.

Zadzwoń na tego swojego kocmołucha czy kamerdynera i niech podają. Dama zgłodniała.

Przerysowanym gestem ujęła go pod ramię i ugięła nogi jak łobuziak udający, że tańczy poloneza, a on, podejmując grę bez wysiłku, trzymając jej ramię pod swoim, przeniósł ją w powietrzu do jadalni, gdzie czekała już z manifestacyjnie obojętną miną jego agenturalna pomoc domowa. Agenturalna pomoc domowa uznała, że skoro admirał nie jadł jeszcze niczego w domu, trzeba zaserwować coś pośredniego pomiędzy obiadem i kolacją. Efekt był bardzo dobry, bo Zuzanna, wymiótłszy talerz do czysta, orzekła z przejęciem:

– Jadłam w życiu wiele rosółów. Jestem, jak wiesz, Polką, a rosół to nasza narodowa zupa. Ale takiego... Nigdy. Jak to jest zrobione?

Kotielnikow, któremu rosół z makaronem smakował także nadzwyczajnie, z uśmiechem wyjął serwetkę spod szyi i rzucił krótko za siebie:

– Nino Andriejewna. Proszę na chwilkę do nas.

Agenturalna pomoc domowa zjawiała się natychmiast, najwidoczniej gotowa na wezwanie.

– Nino Andriejewna – z satysfakcją (jakby smak rosółu był jego zasługą) zagaił Kotielnikow. – Pani Zuzanna... – zawiesił głos, zastanawiając się, a potem – chcąc, by przepisane formy zostały zachowane – poprosił dziewczynę wzrokiem o pomoc.

– Ryszardowna – podrzuciła i sprostowała: – Panna...

Admirał nie zmieszał się wcale i prezentował dalej, jakby nic się nie stało:

– Panna Zuzanna Ryszardowna chciałaby się dowiedzieć, jak osiąga się tak nadzwyczajny smak rosółu. Czy pani, Nino Andriejewna, zechciałaby nas oświecić w tej materii? – Mimo woli Kotielnikow, który był człowiekiem dowcipnym, wszedł w ton proponowany przez Wychowańską. A ta postanowiła się wtrącić:

– Nino Andriejewna. Pamiętam smak rosółu jeszcze z dzieciństwa. Wie

pani. Tak jest wtedy, kiedy na obiad czeka się w specjalny sposób. Bo jest święto albo jakaś okazja. Pamięta pani takie rzeczy?

Nina Andriejewna, wbrew obawom Kotielnikowa, tajała jak śniegowy bałwan w marcu.

– Oczywiście, że... – zaczęła, stojąc, ale Kotielnikow odsunął jedno z dziesięciu wolnych krzeseł i szerokim gestem zaprosił ją do stołu.

– Niechże pani siądzie na chwilę z nami. – Podkreślił to „na chwilę” zazdrosny o możliwość przebywania sam na sam z Zuzanną. Nina Andriejewna siadła z namaszczeniem. Widać było, że docenia gest Kotielnikowa.

– Przede wszystkim, proszę państwa. Składniki trzeba wrzucać na wrzątek. Czyli najpierw gotuje się woda, a potem dodajemy to, co trzeba.

– To znaczy co? – chciała wiedzieć Zuzanna.

– Najpierw mięso. Kurczaka. I tylko kurczaka. Polacy dodają wołowe. Ale według mnie to tylko psuje smak i rosół traci klarowność. Rosół powinien być lekki. Ważne, żeby dać kawałek skóry. Najlepiej z udka, bo to nadaje rosółowi specyficzną tłustość. Nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale rosół wie. – Uśmiechnęła się na tyle porozumiewawczo, na ile pozwalała agenturalna instrukcja. – Rzucamy więc mięso na osolony wrzątek. I tylko białe. Żadnych podrobów. Gdy zaczną wypływać oczka tłuszczu, mniej więcej po półgodzinie dodajemy pokrojone warzywa. Nie za dużo. Dwadzieścia talarków marchewki. Kilka talarków pietruszki. Ćwiarteczkę selera. I teraz najważniejsze. Liść świeżej kapusty. Cały. To jest najważniejsza nuta rosółu. Ja daję także plasterek cytryny, dla złamania goryczki kapusty, i jedną łyżeczkę cukru.

– Poemat – skonkludował Kotielnikow, który nie podejrzewał, że Nina Andriejewna jest nie tylko agentką, ale także poetką. Podziękowała mu kostycznym uśmiechem i odsunawszy krzesło, dostojnie pożeglowała do kuchni, by stamtąd czuwać nad przebiegiem wydarzeń.

– Skąd wzięłaś tę Ninę Andriejewną? – konfidencjonalnie spytała Zuzanna, dmuchając na łyżkę śmiesznie złożonym dzióbkiem z warg.

– Sama się wzięła. Jak się wprowadzałem, już tu była i zachowywała się tak, jakby wszystko zostało powiedziane i ustalone. A ja nie zadawałem niepotrzebnych pytań. Gdy w takim mieszkaniu jak to zastaje się gosposię, to trzeba ją przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza, ot choćby tak, jak ten kuriozalny księgozbiór. Miałem ją pytać o referencje? I tak dobrze, że nie zastałem tu oficera politycznego, jak na okręcie – zażartował, ale chwilę potem postanowił, że tego wieczoru nie będzie się więcej wypuszczał na pełne raf i mielizn wody politycznych aluzji. Nina Andriejewna, która swoimi agenturalnymi kanałami dowiedziała się zapewne, że tego dnia przy admiralskim stole zasiadać będzie wyjątkowy gość, przeszła w kucharzeniu sama siebie. Po rosole na stół wjechały litewskie kołduny z przepyszny ziołowo-mięsny nadzieniem i pikantne pierożki, które Nina Andriejewna uformowała własnoręcznie, a była to wobec ich imponującej liczby praca tytaniczna. Potem były wędzone ryby, kawior i sałatki. Wreszcie koronne danie Niny Andriejewny, za które łasuch Kotielnikow dałby się posiekać, czyli słynny klops z pieczonymi ziemniaczkami. Klops parował i rozpływał się w ustach, a admirał z przyjemnością patrzył na pałaszującą Zuzannę, nie omieszkając opychać się klopsiem na wyścigi z dziewczyną. Kotielnikow, wielki, muskularny i żylasty mężczyzna, spalał każdą liczbę kalorii w niewiarygodnie krótkim czasie. Zuzanna przy pozorach wiotkości – miała bowiem delikatne i smukłe przeguby dłoni i kostki stóp – była ładnie zaokrąglona w biodrach, choć nie miała wcale tłuszczu, raczej dobrze uformowane mięśnie, co Kotielnikow mógł podziwiać, gdy po rozgrzewającym ciałem i duszą rosole zdjęła perłowy sweterek i została w samej satynowej bluzeczce z krótkim rękawkiem. Kotielnikow widział taki rękawek bodaj po raz pierwszy w życiu i z wrażenia o mało nie udławił się wielkim kęsem klopsa. Byli tak zagadani, tak uszczęśliwieni nawzajem własną obecnością, że o winie przypomnieli sobie dopiero po deserze, choć Nina Andriejewna wyeksponowała karafki na stosownych obszarach stołu. Gdy Kotielnikow chciał nalać dziewczynie, ta powstrzymała jego dłoń:

– Wolałabym coś mocniejszego. Masz koniak albo co się tam pije w takich razach?

Admirał, nie fatygując służącej, potoczył się radośnie w stronę stołowego kredensu, skąd wrócił dzierżąc w prawicy armeński koniak, a w lewicy dobrą francuską brandy, i poprosił wzrokiem o wybór. Zuzanna nie miała problemów z komenderowaniem:

– Weź obie i chodźmy gdzieś dalej od... – spojrzała na niego znacząco – i gdzie można się swobodnie oprzeć i wyciągnąć nogi. Jeszcze szklanki – zadysponowała, a Kotielnikow posłusznie zgarnął z kredensu potrzebne szkło. Dłonie miał tak duże, że mógł to zrobić, nie odstawiając butelek. Przemierzywszy amfiladę, dotarli do pokoju, w którym admirał przebywał najchętniej i w którym dzięki temu (mimo starań Niny Andriejewny) panował największy nieporządek. Pokój, a właściwie obszerny salonik, mieścił się w narożnej części budynku, którą dziewiętnastowieczny architekt zaokrąglił pięknie na kształt rufy liniowca, i Kotielnikow czuł się tu jak w prawdziwym admiralskim salonie. Wielkie okna w półokrągłym ryzalicie wychodziły na zatokę, a salonik miał jeszcze tę niewątpliwą zaletę, że połączony był z łazienką – niewielką, ale stylowo wyłożoną różowymi kafelkami. Admirał, który często wstawał w nocy, by się wysiusiać, uważał, że architekt miał doskonały pomysł. Salonik wyposażony był w otomany i te właśnie, obite wspaniale wyprawioną i wzorzysto tłoczoną skórą, były zaiste godne swej nazwy. Admirał czasami zastanawiał się, czy mebli nie zrabowano jakiemuś krymskiemu czy kazachskiemu paszy w zawierusze wojny domowej. Tak były wygodne i zachęcające. Nim zagłębili się z Zuzanną w dynastyczne poduchy, podtoczył niski stolik na kółkach, na którego szklanym blacie pyszniły się cytrusy i orzechy. Zuzanna podkuliła stopy i bez pytania otuliła ramiona wzorzystym szalem ściągniętym z oparcia. Szal także nie był własnością Kotielnikowa. Najwyraźniej okrywała się nim odaliska poprzedniego baszy zajmującego to mieszkanie.

– Dobrze ci się żyje. W życiu nie widziałam tylu pokoiów naraz – zagaiła

zaczepnie, ale i ciepło.

Wzruszył ramionami. Nie miało to przecież żadnego znaczenia. Czuł się równie dobrze w ciasnej żelaznej kajucie trałowca. Nie podjął więc wyzwania. Ale Zuzanna nie dawała za wygraną, pociągnąwszy dobry łyk koniaku, którego naląła sobie sama. Korek wyciągnęła zręcznie zębami. Wszystko, co robiła, miało w opinii admirała wielki, dla niego tylko czytelny sens, a poza tym (co bardzo lubił nie tylko u kobiet) pozbawione było cienia pretensji czy wystudiowania. Rozgrzana koniakiem, koniecznie chciała dobrać się do słabych miejsc w pancernej wyrozumiałości i tolerancji admirała. Najwidoczniej było to jej do czegoś potrzebne. Dłubała więc igiełką, bacznie obserwując jego reakcje.

– Jak mieszkanie jest takie wielkie, to trzeba chyba równie wielkiej miłości, żeby wypełnić tę kubaturę?

– Albo wielkiej samotności – nie wytrzymał i uświadomił sobie w tym samym momencie, że samotność może także wypełniać życie.

W oczach Zuzanny zgasły płomyki złościwości.

– Czujesz się samotny? – spytała całkiem poważnie.

– Czasami – odpowiedział i poweselał. – Nie zawsze. A poza tym mam dużo pracy i gitarę.

Poderwał się z otomany sprężyscie jak tygrys i już po chwili był z powrotem, trzymając niewielki angielski instrument, którego wierzchnia deka zaświadczała o bogatej historii licznych pewno przed Kotielnikowem właścicieli. Admirał nie lubił wspominać momentu, w którym wyjął tę gitarę z przedziału dowódcy PZKW III⁵⁵ rozłupanego na brzegu przez wielką studwudziestodwumilimetrową armatę jego rzeczno „pancernika”.

Na dystansie ledwie dwustu metrów, bo z takiej odległości trafili artylerzyści w nieszczęsną „trójkę” podkalibrowym, załogę zabiło samo uderzenie pocisku i wywołany nim szok. Nie dali czołgowi żadnych szans, wyłaniając się niespodziewanie zza wyspy. Twarze martwych młodzików z załogi nie wyrażały żadnych emocji, tak jakby spali. Admirał, choć nigdy

tego nie robił, postanowił tym razem obejrzeć swoje ofiary z bliska. Monitor dobił ostrożnie do brzegu z zamartwym w pół kroku czołgiem, a Kotielnikow, nie czekając, aż wachtowi przerzucą trap, nieporadnie, by nie urazić nogi, zeskoczył na dziwnie czysty i delikatny piach. Długo stał potem przed pancernym trupem, zadzierając głowę i osłaniając oczy przed słońcem, nim zdecydował się wleźć do osmalonego po ciosie, tajemniczego wnętrza.

Gitara w płóciennym pokrowcu była jednym z niewielu przedmiotów należących do admirała. W swoich apartamentach zameldował się tylko z nią i z niewielką walizeczką o wytartych okuciach. Dla porządku dodajmy, że adiutant wniósł za nim wieszak z galowym mundurem. Admirał grał całkiem nieźle, choć był samoukiem i lubił śpiewać, ale nie po to, by brylować w towarzystwie, lecz – choć zabrzmiał to może dziwnie – z potrzeby serca. Nastroiwszy gitarę, bez namysłu zdecydował się na prostą, chropawą marynarską balladę, pamiętającą jeszcze zapewne czasy dalekomorskich wojaży „Napastnika”:

*Rozlało się morze szeroko
I fale buszują we mgle.
Mój druhu, płyniemy daleko,
Wciąż dalej i sam Bóg wie gdzie.
Nie słysząc na boku już pieśni,
A tylko zew wiatru, szum fal.
Znikają we mgle brzegi cieśnin,
Przed nami nieznana lśni dal.
Mój druhu, sił nie mam, choć wachty nie kres,
Na rusztach nie widać płomienia.
Sam widzisz, mój druhu, że coś ze mną jest.
Nie mogę utrzymać ciśnienia.
Od żaru mi słabo, spociałem się fest,
I muszę porzucić robotę.
Idź, proszę, zamelduj, że źle ze mną jest,
Śmierć na mnie ma chyba ochotę.*

*Towarzysz wybiega, a on szuflę wziął,
Zbierając ostatnie już siły.
Gdy drzwiczki palenisk otwierać się jął,
Płomienie mu twarz osmałyły.
Gdy skończył dorzucać, to wody się napił
Wystanej, spleśniałej, nieczystej,
A z twarzy śród sadzy kroplisty ciekł pot -
I rzekł jemu druh maszynista:
Już wachty ty nie kończ, mechanik, ten drań,
Niczego nie musi on wiedzieć.
Lekarza ci trzeba – tu nie ma dwóch zdań -
Na pokład wyjdź chwilę posiedzieć.
Bez czucia na pokład z wysiłkiem się piął,
W źrenice mu słońce zajrzało.
Kolana w modlitwie ostatkiem sił zgiął
I serce bić nagle przestało.
Do rana w mundurze paradnym złożony -
I czapkę wcisnęli na skronie -
Ze świecą łaskawą jak święty z ikony;
Wosk padał stopiony na dłonie.
Depesza do matki: Mój synek już trup,
Na próżno jej Boga wyzywać...
A fale jak biegły, tak biegną przed dziób
I w dali ich kształt się rozplywa...
A fale jak biegły, tak biegną przed dziób
I w dali ich kształt się rozplywa.⁵⁶*

Surowa, prosta melodyka i niewyszukane harmonie były urzekające. Zuzanna potrafiła to docenić. Zresztą trudno byłoby chyba wyobrazić sobie lepszego wykonawcę tej ballady od admirała, który odrobinę fałszował, co dodawało posmaku autentyczności. Gdy skończył, Zuzanna niespodziewanie podniosła jego dłoń do ust i pocałowała.

– Za co? – wzbraniał się zaskoczony.

– Za to, że potrafisz docenić rzeczy proste i ważne – odparła z błyszczącymi oczami. – To fantastyczne, że wy, Rosjanie, potraficie czasami (bo nie zawsze) mówić o sprawach ostatecznych bez patosu i zwyczajnie. Bez wielkich słów. A piosenka jest cudowna. Musisz mi zapisać słowa...

Nie dał jej dokończyć i tym razem on ucałował jej śliczną, drobną dłoń. Takie dłonie widuje się na obrazach mistrzów stylu rokoko.

– Ty też śpiewasz? – Byłby to kolejny atut dla dziewczyny, której wspaniały wizerunek tworzył się w duszy admirała.

– Czasami, ale nie gram na gitarze. Jedynie troszkę na fortepianie i będziesz mi musiał akompaniować. Melodia to walczyk. Prosty. Czeka, zaraz sobie przypomnę funkcję...

– Sam dobiore. Tylko mi podrzuć, jak to leci – zapalił się Kotielnikow.

Zuzanna zmarszczyła śmiesznie czoło i zanuciła:

– Taratita ta ta ta ta... Tara tita ta tam, tara tira...

Admirał, który był muzykalnym człowiekiem, szybko znalazł stosowne harmonie, a nawet udało mu się dobrać ładne opóźnienia i zboczenia modulacyjne⁵⁷.

– Dwa razy przygrywka? – upewniał się skupiony i przejęty, a Zuzanna kiwała głową, jak profesor zadowolony z pojętnego ucznia. Jej głos niski, kontrastujący z dziewczynkowatym wyglądem – załamywał się malowniczo:

Na armaty w śnieżnej zamieci

Poszli śmiało, jak na trybunę.

Rozstrzelali odważny mój Kronsztad,

Tak jak kiedyś w Paryżu Komunę...

Rozstrzelali odważny mój Kronsztad

Tak jak kiedyś w Paryżu Komunę...

Czemu czyjaś ręka nie drgnęła?

Wydać rozkaz, ach, jakie to proste...

– Treń! – Angielska gitara zgrzytnęła dysonansem, a admirałowi pociekły łzy. Łykał je spazmatycznie, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się stało.

Zuzanna była autentycznie przejęta. Zsunęła się z kanapy na kolana i usiłowała zajrzeć Kotielnikowowi w oczy.

– Admirałku. Maleńki. Co się stało?

Kotielnikow ryczał już na całego i przynosiło mu to niewiarygodną ulgę. Czuł się jak idiota. Był szczęśliwy i rozrzewniony do łez. Przez głowę przelatywały mu obrazy kronsztadzkiej zamieci i ojca ślizgającego się na popękanych lodzie. Dopiero teraz uświadomił sobie, z jaką siłą mogą wracać sprawy, z którymi nie rozliczyliśmy się do końca. I jak potrzebny jest drugi człowiek, zdolny podzielić i zrozumieć nasz żal za tym, co utracone, co nie do końca opłakane, co powinno już przeminąć.

– Coś nie tak? – Zuzanna nie udawała, że rozumie, ale domyślała się, że białogwardyjska piosenka, pełna nostalgicznego żalu do losu, poruszyła w admirałku coś ważnego i bolesnego. – Coś nie tak? Przepraszam... Admirałku... Już dobrze. Jesteś za duży, żeby tak rozpaczać.

Wróciła na miękkie poduszki admirałskiej otomany i z całej siły objęła Kotielnikowa. Kołysała go w ramionach, w których ledwie mieściły się jego bary, a on dał się utulać jak dziecko, które obudziły nocne majaki. Nie mówił nic, tylko pociągał nosem, a ona to rozumiała i nie zadawała pytań. Wiedziała albo wyczuwała, że jeśli zechce, sam powie. Wyczuwała dobrze. Kotielnikow, mimo że postanowił nie poruszać tego popołudnia żadnych „trudnych” tematów, akurat jej chciał się zwierzyć. To, że tak mało o niej wiedział, było całkowicie nieistotne.

– Trocki... wiesz, ten...

– Wiem, o kim mówisz. – Wypuściła go z ramion, bo niełatwo było tulić kogoś tak dużego, za to – jakby chciała dopomóc w mówieniu – gładziła grzbiet jego dłoni.

– Ogłosił, że wystrzela ich jak kuropatwy. Nas z mamą to nie spotkało, bo byliśmy w samym Kronsztadzie, ale inne rodziny mieszkające

w Piotrogradzie wziął jako zakładników... Ojciec miał chyba szczęście. Przecież przeszedł na stronę Tymczasowego Komitetu⁵⁸... Zginął w tyralierze. Tamtych było podobno pięćdziesiąt tysięcy. Mieli artylerię. Szli jak zaczadzeni. Mówiło się, że przed atakiem po lodzie dano im wódki. Na pięty następowała im Czeka z karabinami maszynowymi. Nie mogli się cofać, bo zginęliby od swoich. – Zamilkł. Spojrzenie miał nieruchome, jakby patrzył w zastygłą w czasie przeszłość.

– Mówisz, że ojciec miał szczęście? – spytała, a Kotielnikow pokiwał głową.

– Jeńców od razu rozstrzeliwano. Z marszu. Wiesz, jak to jest? Grabieże. Gwałty. Zawsze to samo. Piosenka jest piękna. Tyle że nie wolno jej śpiewać. Czasami wydaje mi się, że nie powinienem służyć krajowi, w którym robiło się takie rzeczy.

– Zaraz krajowi... Może tu nie chodzi o kraj, tylko o ludzi? Co ma do tego kraj?

– Miałem na myśli ojczyznę – usiłował doprecyzować Kotielnikow, ale sprostowanie nie było widać najcelniejsze, gdyż Zuzanna zareagowała pytaniem, które na powrót skłębilo wątpliwości:

– Myślisz, że inne ojczyzny są lepsze? – spytała w zadumie i odpowiedziała sama sobie: – Wszystkie mają coś na sumieniu... Chyba jednak najlepsze są te, w których można śpiewać do wyboru, do koloru piosenki – i te o ptaszkach i jelonkach, i takie jak ta o tym twoim Kronsztadzie. Ciekawe, czy Trocki ją znał. A jeśli tak, to czy mu się podobała? Zajmijmy się lepiej czymś przyjemniejszym. – Spojrzała Kotielnikowowi śmiało w zmęczone niedobrymi wspomnieniami oczy, a on odpowiedział takim samym rozumiejącym spojrzeniem.

– Na przykład czym? – spytał i serce zaczęło mu bić ciężko.

Zuzanna podwinęła nogi i uniosła się na kolanach, ujmując jego twarz w swoje drobne dłonie:

– Na przykład kochaniem się.

Objęła dowództwo, a on – czując się w tej ni to zabawie, ni to

najważniejszej rzeczy na świecie niezbyt zręcznie i pewnie – z ulgą poddawał się jej zarządzeniom. Zachowywała się bardzo opiekuńczo i dbała o to, by nie urazić go nadmiernie śmiałym posunięciem. Rozumiała, że się boi, a ów strach przed czymś, co nigdy dotąd nie było jego udziałem – przed zbliżeniem z kobietą bez zahamowań i pozbawioną pruderii – wynika także z tego, że jest wielkim, silnym i bardzo przystojnym mężczyzną. Tacy często czują respekt przed drobnymi kobietami i takich najczęściej pociągają istoty kruche i delikatne. Zmusiła go, by zdjął wygalonowaną ciemnogrnatową kurtkę zapinaną na rząd złotych guzików z kotwicami, i odpinając je wolno, zaglądała mu badawczo w oczy. Admirał, oczarowany dołęczkami pogłębiającymi się w jej uśmiechniętej twarzy, dał sobą powodować. Sprawiało mu to przyjemność, jakiej nigdy do tej pory nie zaznał.

Dziewczynie także było dobrze ze świadomością, że może narzucać swoją wolę komuś tak potężnemu. Doskonale wyczuwała zarówno jego siłę fizyczną, jak i potęgę władzy. Gdy zdjęła z niego kurtkę, podziwiając wmontowany biały kołnierzyk, złożyła ją porządnie podszewką na wierzch i delikatnie odłożyła na oparcie. Pod spodem – zamiast przepisowej, mundurowej koszuli – admirał miał marynarską koszulkę w paski. Najtańszą, z bawełny. Taką, jaką fasowali szeregowcy i piechota morska. Zuzanna podziwiała przez chwilę wspaniały tors opięty tą koszulką, a jako laik w sprawach floty nie podejrzewała, że koszulka Kotielnikowa jest absolutnie wbrew regulaminowi. Napatrzywszy się, czemu on nie przeszkadzał, wyciągnęła tę koszulkę z za paska jego spodni i ruchem podbródka pokazała, co powinien zrobić z rękami.

– Rosyjski admirał nigdy się nie poddaje! – zaprotestował, ale posłusznie podniósł ręce do góry. – Jeden z moich wykładowców miał sygnet – zagadał zduszonym głosem ze środka koszulki, raptem to sobie przypominając. – Wygrawerowany był taki właśnie napis. *Ginę, ale się nie poddaję*. Ten mój wykładowca. Taki jeden Przyjemski. Dostał ten sygnet, jak wrócili z rejsu dookoła świata. Na parowej fregacie. Był tam młodszym miczmanem.

Wiesz, takiej, co to oprócz maszyny parowej miała jeszcze żagle... – zaczerwieniony motał się coraz bardziej i uświadomił sobie, że chyba się wstydzi. Tego, że rozbiera go tak bezceremonialnie o wiele młodsza od niego dziewczyna, i tego, że może się jej nie spodobać jego zapach.

Ale jego zapach spodobał się Zuzannie. Admirał pachniał gorzko i przyjemnie, a w tę woń subtelnie – co uwielbiała – wcierał się zapach dobrego lawendowego mydła. Rozprawiwszy się z marynarską koszulką, Zuzanna zarumieniona (bo była już bardzo podniecona) popatrzyła z zachwytem na tors Kotielnikowa, a potem zaczęła delikatnie dotykać jego barków i ramion. Jako malarka знаła się na męskiej anatomii. Tors Kotielnikowa był idealny. Z przyjemnością by go szkicowała. A może z tych szkiców powstałby olejny portret? Zapaliła się do tej niespodziewanej myśli. Cofnęła dłonie i wciąż klęcząc, odsunęła się tak gwałtownie, że admirał prawie się przestraszył: zaraz mi ucieknie. Ale Zuzanna chciała tylko popatrzeć z większej odległości.

– Będiesz mi pozował – oświadczyła, a on, wciąż zawstydzony nagością, zdobył się jednak na swój zwykły ironiczny ton:

– Tak. A potem obraz oprawimy i powiesimy w głównym holu Admiralicji. Moi przełożeni będą zachwyceni. Jak chcesz nazwać swoje dzieło?

– Nie stawiaj się, admirałku – upomniała go. – Jesteś pod moją komendą i masz mnie słuchać przynajmniej dziś.

Zastanowiła się chwilę. Proporcje godne Samsona, ale szkoda takiego ciała na głupią biblijną tematykę. Może motyw mitologiczny. Nie. Na Herkulesa admirał był za mało sękaty. To nie były mięśnie na pokaz. Wydęte jak balony od machania hantlami. Te miały idealne proporcje, jakie może nadać tylko ciężka praca. Praca, w której mięśnie muszą być przede wszystkim funkcjonalne i wydajne. Dobrze, że jego urzędowanie za biurkiem trwa od niedawna i nie zdążył jeszcze wyhodować tłustego brzucha. A gdyby uchwycić go jako palacza? Z nagim spoconym torsem, w grubym skórzanym fartuchu. Podrzucającego węgiel szuflą. Gdyby

schować ten charakterystyczny profil z ostrym nosem (przodkowie Kotielnikowa zawdzięczali go wikingom), a wyeksponować plecy, barki i ramiona... Można by wtedy taki obraz całkiem oficjalnie... Tematyka jak najbardziej... i w ogóle. Mogłoby się to nazywać *Koniec wachty* albo jakoś tak. Niech to będzie na przykład taka śmiertelna wachta, jak ta z jego ballady. Może obraz zdobyłby nagrodę, a wtedy...

– Będziesz mi pozował – powtórzyła. – Zrobimy z ciebie palacza. Szkoda, żeby takie ciało marnowało się w Admiralicji.

– Na golasa? – dopytywał niby żartobliwie, ale w jego zainteresowaniu dosłyszała ton nadziei.

– Jeszcze czego! Przez pewien czas tylko ja będę cię oglądać na golasa. Innym babom wystarczy twój tors. Wyobrażasz sobie. Zrobię z ciebie takiego miśka na ostatnich nogach, jak ten palacz z tej twojej ballady... – zapalała się coraz bardziej. – Masz tu jakiś szkicownik, ołówki? Tylko żeby były miękkie...

Kotielnikowa też to podekscytowała. Nie wciągając nawet koszulki, przeleciał kilka pokoi, by wrócić po chwili z blokiem brystolu w dobrym gatunku i kubkiem pełnym porządnie (bo był w tych sprawach pedantem) zatemperowanych ołówków. Zuzanna wyciągnęła ręce po brystol i ołówki, ale on zatrzymał się na środku pokoju.

– Jeden warunek... – Uniosła brwi w niemym pytaniu, a on wyjaśniał, rumieniąc się, bo znów powierzał jej jedno ze swych najskrytszych marzeń: – Nauczysz mnie malować okręty. Żaglowce. Nawet nieźle rysuję, ale w kolorze nigdy nic mi nie wyszło. Zgoda?

Kiwnęła poważnie głową, a on był pewny, że dotrzyma niemej obietnicy.

– Dobrze! – Oceniała przelotnie światło. Nadmiar. Padało zza wielkich okien. Zmarszczyła nos, ale już po chwili miała gotowe rozwiązanie. Upewniła się jeszcze: – Słuchaj, paleniska. No, te od kotłów. Na jakiej są wysokości?

Uśmiechnął się, stojąc wciąż na środku pokoju.

– To zależy. Jak kotły opalane są mazutem albo ropą, to...

– Nie błażnij! – Zuzanna pochłonięta była aranżacją *Śmiertelnej wachty* (bo o tytule zdążyła już przesądzić). – Mają być takie, w jakie wrzucił węgiel ten twój koczegar⁵⁹. No więc...

– Na takiej mniej więcej – pokazał dłonią poziom i wyjaśnił, choć nie proszono go, by dalej się mądrzył: – Nie za wysoko, żeby palacz przy naturalnym zamachu ramion, bez przykurczania, mógł wrzucić celnie całą szufłę, i nie za nisko, żeby w razie trafienia, przecieku czy rozdarcia poszycia woda nie od razu zalała ruszty. Mogłoby wtedy dojść do eksplozji...

– Czyli gdzieś tak. – Przykucnęła i patrzyła na niego wyczekująco, a jej drobna dłoń głaskała niewidzialne płomienie.

– Mniej więcej – potwierdził zapatrzonej w jej kark i tę dłoń.

– No, to czekaj... – Zerwała się z podłogi i szybko rozejrzała wokół: – Aha! – Ustawiła na dywanie, tam, gdzie miało być otwarte palenisko, nocną lampkę i manipulowała abazurem, aż udało się jej oświetlić Kotielnikowa od dołu. Potem opuściła ciężkie zasłony na wszystkich ryzalitowych oknach. Zrobiło się przytulniej. Rozejrzała się raz jeszcze, ale najwidoczniej nie znalazła tego, czego szukała. – Nie masz tu łopaty do węgla?

– Nie mam... na szczęście. Zmiłuj się. To przecież mieszkanie, a nie pancernik, ale... Dwa pokoje dalej jest kominek. Wisi przy nim taka szufelka do podgarniania węgla.

Wróciła za moment, ale nie z szufelką, tylko z myśliwskim sztucerem w futerale, który Kotielnikow również odziedziczył po poprzednim lokatorze. Otworzył futerał tylko raz, żeby upewnić się, że broń nie jest nabita, i nigdy więcej do sztucera nie zaglądał. Pewnie dlatego, że miał dosyć strzelania.

– To się nada od biedy. – Zuzanna wręczyła mu sztucer. – Ta szufelka jest za mała. Dzieci się taką bawią w piaskownicy. Wyglądałbyś jak głupek, a ja ze śmiechu nie mogłabym rysować. Dobra... Tam jest palenisko. To jest łopata...

– Szufla – poprawił łagodnie.

– Szufla – powtórzyła. – A ty jesteś koczegar. Jesteś śmiertelnie chory, zaraz będziesz miał zawał serca, ale jesteś ambitny jak cholera i za nic nie chcesz zejść z... wachty... Dobrze mówię? – upewniła się. – Z wachty... – Czekał – ustawiała go. – Weź porządnie tę strzelbę... Nie... Może tak. O tak! Cudownie. Wrzucałeś kiedyś węgiel do paleniska? Wrzucałeś? No, to pięknie. Zamachnij się! – rozkazywała. – Ale... zostań tak. Co tak patrzysz? Nie śmieć się, głupku. Właśnie tak. – Zatrzymała zamaszysty gest Kotielnikowa w krańcowym położeniu, a on westchnął w duchu, szczęśliwy jak nigdy, myśląc, że długo tak sztucera nie utrzyma i że to „głupku” było bardzo miłym i wyjątkowym słowem. Nie chciał jej jednak robić przykrości. Kątem oka (bo ulokowała się za nim, nieco z tyłu) obserwował, jak wysuwając koniuszek języka i zdmuchując niesforne kosmyki z oczu, szkicuje pospiesznie. Był – jak powiedziano – szczęśliwy. Niezwykle szczęśliwy. Szczęśliwy, jak nigdy dotąd w życiu. Choć było mu niewygodnie.

– Siergieju Aleksandrowiczu!

Kotielnikow drgnął i omal nie wypuścił sztucera. Przez moment balansował na jednej nodze, odzyskując równowagę. Nina Andriejewna jak zwykle poruszała się po mieszkaniu bardzo cicho i jej nadejście było niespodziewane. Drzwi były otwarte, nie uznała więc, że należałoby zasygnalizować swoje pojawienie się na scenie. Szybko ogarnęła wzrokiem niezwykle widok półnagiego pryncypała stojącego w szerokim rozkroku przed kominkiem, trzymającego w dziwny sposób myśliwski sztucer, i dziewczyny ze szkicownikiem siedzącej po turecku na otomanie. W dodatku okna były zasłonięte, a nocna lampka dziwacznie usytuowana. Tak czy owak, Nina Andriejewna była wychowywana w dobrej, stworzonej tuż po rewolucji szkole i nie dała po sobie poznać nawet drgnięciem powieki, że dostrzega w tej sytuacji cokolwiek niezwykłego. Kotielnikow odstawił strzelbę i sięgnął po marynarską koszulkę, lecz po namyśle ją także odłożył i wciągnął na goły tors mundurową kurtkę, starannie

zapinając haftki przy kołnierzu. Wyprostował się w całej powadze swoich 190 centymetrów i spojrzał pytająco na Ninę Andriejewną. Nina Andriejewna patrzyła (tak jak ją uczono) w przestrzeń.

– Siergieju Aleksandrowiczu. Przysłano ze sztabu floty. Mówią, że to bardzo pilne.

Kotielnikow spojrzał na Zuzannę, ale ta tylko na moment przerwała cieniowanie i uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo i przyzwalająco zarazem. Pomaszerował bocianimi krokami przez amfiladę tak szybko, że flankująca go Nina Andriejewna ledwo za nim nadążała, choć chwilami wpadała w kłus.

Było ich trzech. Uzbrojonych po zęby, w bojowych hełmach, z komandoskimi nożami piechoty morskiej i z zawieszonymi na piersiach pistoletami maszynowymi najnowszego modelu. Wszyscy w randze lejtnanta. W pierwszej sekundzie Kotielnikow pomyślał, że przyszli go aresztować, i zwolnił, czujnie obserwując ich zachowanie. Oni jednak wyprężyli się, salutując, a środkowy otworzył małym, ale misternym kluczykiem zamek solidnej, okutej teczki, przytroczonej kajdankami do przegubu dłoni, i wyjął z niej zalakowany spory pakiet, owinięty w gruby woskowany papier.

– Proszę pokwitować, towarzyszu admirale. Czytelnie i z datą... bądźcie łaskawi. – Skrzydłowy usłużnie podsunął mu blok kwitariusza z dyndającym na sznureczku kopiowym ołówkiem. – W sztabie uznano, że sprawa nie cierpi zwłoki, ale jak się z tymi materiałami zapoznacie, nie trzymajcie ich w domu, tylko rano zadzwoncie po samochód z eskortą. Tak będzie... – dowódca uzbrojonej trójki zastanowił się chwilę – tak będzie najwłaściwiej, towarzyszu admirale.

Kotielnikow utkwiał jasne spojrzenie w jego oczach schowanych głęboko pod hełmem.

– Czy to sugestia, dobra rada czy polecenie? – spytał z uśmiechem.

Funkcyjny nie odwzajemnił uśmiechu, ale jego ton był nadal wzorowo uprzejmy, by nie powiedzieć ugrzeczniony.

– Traktujcie to, towarzyszu admirale, jak polecenie służbowe.

– Jasne – skwitował Kotielnikow, wtykając mu w osłonięte rękawicami dłonie kwitariusz i ołówek.

Zasalutowali z defiladową sprawnością i tyłem wycofali się do sieni, a Kotielnikow pojął, że ci trzej to z pewnością członkowie oddziałów specjalnych. Wybrani z wybranych. Widać wiadomość była najwyższej wagi. W domu nie musiał się niczego obawiać, bo obydwaj wyjścia z klatki schodowej pilnowane były przez uzbrojonych funkcjonariuszy dzień i noc. Miał poza tym koło siebie nieocenioną Ninę Andriejewną i wcale by się nie zdziwił, gdyby w przypadku zagrożenia służąca okazała się mistrzynią walki wręcz albo wyszkoloną morderczynią, perfekcyjnie rzucającą nożem. A swoją drogą ciekawe, co to mogło być aż tak pilnego? – dumał, maszerując przez amfiladę i obracając pakiet w dłoniach. Podekscytowany obecnością dziewczyny pomyślał, że nic się nie stanie, jeśli włoży pakiet do pancерnej kasetki, przyśrubowanej hartowanymi śrubami do podłogi w jednym z gabinetów, i wróci do pozowania, ale zawodowa ciekawość zwyciężyła.

Zuzanna powitała go spojrzeniem pełnym dumy i ulgi – może ona także obawiała się, że przyszedł go aresztować? – i podała mu szkicownik. Była bardzo zdolna. Tak przynajmniej uznał Kotielnikow, który nie uważał się za osobę kompetentną, by oceniać malarstwo, ale miał zwyczajnie dobry gust. Niektóre fragmenty szkicu były już wykończone. Na świetnie uchwyconych partiach mięśni kładły się delikatne cienie, co już w tej fazie rysunku pozwalało wyobrazić sobie pełganie światła z otwartego paleniska.

– Podoba ci się obrazek Zuzanki? – spytała, a w nim po raz kolejny tego popołudnia zaśpiewało coś cieniutko i radośnie.

– Słuchaj, mała. – Kucnął koło niej na podłodze, dziwiąc się, że nic go nie zabolalo w kontuzjowanych partiach ciała. – Admirał pójdzie teraz studiować bardzo ważne wiadomości. Zajmij się czymś przez jakie dwadzieścia minut. Nalej sobie. Powyglądaj przez okno albo idź do

biblioteki i ściągnij albumy spod sufitu. Potem wrócimy do twojego... do naszego – poprawił, widząc naganę w jej spojrzeniu – szkicu. Zdecydowałaś, jak to się będzie nazywało?

- *Śmiertelna wachta* ! – zakomunikowała radośnie.

– Pięknie. Dobrze, że nie jestem przesądny – powiedział, nie będąc o tym do końca przekonany, i dodał: – A potem będziemy dalej pełnić... – zastanowił się chwilę – tę twoją śmiertelną wachtę.

Znów nie zabrzmiało to najlepiej, więc Kotielnikow nie kombinował dalej, tylko pomaszerował do przyległego pomieszczenia, ale po namyśle poszedł jeszcze dalej i ulokował się dokładnie w połowie dystansu pomiędzy Zuzanną a Niną Andriejewną, w pokoju, którego nie lubił z racji kiczowatych pąsowych tapet w pseudoimperialnym stylu. W dodatku rzucającym się w oczy motywem owych tapet był cesarski dwugłowy orzeł. Skąd administracja wojskowego budynku wzięła te tapety i kto dopuścił do ich położenia (były wszak całkiem świeże i nie spłowieły od słońca), sam Bóg raczy wiedzieć. W każdym razie tapety zdecydowanie godziły w ustrój i przeszkadzało to nawet admirałowi, który nie zwykł mieszać ideologii z estetyką. Jakby dla równowagi i na usprawiedliwienie wrogich tapet biurko w tym pokoju było cudowne. Z białego japońskiego dębu, drzewa, które wspaniale się starzeje, nie tracąc niezwykłego, jasnego odcienia. Z blatem z prawdziwego czarnego marmuru. Na nieskazitelnym (bo Kotielnikow nigdy go nie używał) blacie stał równie nieskazitelny komplet do pisania z czarnej chińskiej laki, a w skład owego kompletu wchodził nóż do papieru z rzeźbionym ręcznie trzonkiem wyobrażającym smoka, bardzo podobnego do stwora, którego w chmurach na południe od wyspy Ponape zobaczył Toru Kaneyasu.

Kotielnikow chwycił smoka za ogon i rozbroił pieczęcie pakietu. Potem, wolno przysiadając, rozprostował arkusz. Już ten pierwszy spowodował, że admirał klapnął zamasyście na rozłożyste krzesło obite czarną skórą. Kolejne arkusze, opatrzone czerwonymi klauzulami „ściśle tajne”, wbijały go w owe krzesło coraz głębiej.

– A więc był jeszcze jeden – mamrotał uszczęśliwiony jak detektyw, któremu niespodziewanie położono na stole dowód zbrodni, którego istnienia nikt wcześniej nie podejrzewał. – Ciekawe, gdzie teraz jest? Piszą, że amerykański wywiad nawet nie podejrzewał, a nasi... właśnie... nasi sugerują, że jest tajna baza i... Nic więcej. – zafrasował się, bo wiadomość zapowiadała się bardziej obiecująco. Jedno jest pewne. Nie ma żadnych informacji o zniszczeniu albo samozatopieniu. To już coś. – Kotielnikow rozpostarł kolejny arkusik. Była to fotokopia protokołu przesłuchania. Po japońsku. Japońskiego nie znał ni w ząb, więc po co? Aaaaa! Jest tłumaczenie. To co innego. Przesłuchanie jakiegoś Japończyka, którego aresztowali Amerykanie. No tak. Ale to kapitan kabotażowca. Więc po co to w ogóle? – Odłożył arkusz i wziął kolejny, który wyjaśniał przynajmniej w części jego wątpliwości: – Nie byłeś ty kto i nie byle głowa! – Przypomniawszy sobie zajęcia z literatury klasycznej. Były nadobowiązkowe, ale właśnie to stanowiło wystarczający powód, by kadeci uczęszczali na nie bardzo sumiennie. – A zatem to nie szyper brudnej, towarowej skorupy, tylko dowódca takiego właśnie okrętu. Specjalista. Pewnie jeden z kilku. A... No proszę. Mamy też dossier części załogi. Też specjaliści. Tych nie posadzono. Po prostu sobie mieszkają, a tak naprawdę może siedzą na kupie gruzów, przerzucając śmieci, które zostały z ich spalonych domów. Tak jak ludzie w Rosji. Wróciłem, mam... a tu dymi się stosik czarnych cegieł, a pośrodku komin. Niespalony, bo z cegły. Jedyna rzecz, której można się chwycić. O którą można się oprzeć. Jeśli byli z okolic... No właśnie. O, proszę. Są też rzuty okrętu i samolotu. Seiran... Jeśli jest jeszcze jeden i gdzieś go zamelinowali, to przecież nie po to, żeby pozbywać się seiranów. Mamy więc co najmniej trzy. Mamy? Nie... Spokojnie... To na razie tylko informacje wywiadu. – Kotielnikow lubił konkrety i nauczył się przywoływać swoją nazbyt niekiedy rozbujaną wyobraźnię do porządku. – Wiedział, że do strzelania nie wystarczy sama chęć i sztandary. Trzeba mieć armatę i pociski. Ale to już coś. Kolejny arkusik. Aha... *Curriculum vitae* szefa personelu lotniczego. Bardzo interesujące. Nie posadzili go. Na

razie bez zajęcia... – Admirał siadł wygodnie i odchylił się na oparcie, wbijając wzrok w sufit, jak zawsze, gdy chciał dobrze i intensywnie pomyśleć. Potem wyprostował się w krześle i wyrwał kartkę z dziewiczego bloku notatnika wchodzącego w skład owych wspaniałych przyborów do pisania. Z notowania ważnych rzeczy wynikały kolejne ważne rzeczy. Pisał więc:

1. Znaleźć bazę okrętu!
2. Niech zanalizują możliwość przejęcia tego kapitana (bo z niego wyciśnie się dużo informacji).
3. Niech zweryfikują możliwość przejęcia pozostałych specjalistów (być może kogoś da się zwerbować).
4. Potrzebny dobry konstruktor lotniczy, który już teraz mógłby zacząć prace nad udoskonaleniem samolotów i dostosowaniem ich do naszych celów.

Po namyśle skreślił „dostosowanie do naszych celów”, uznając, że ci z wywiadu też nie powinni mieć wszystkich informacji o projekcie. Wystarczą im zadania. Swoją drogą – uśmiechnął się z uznaniem – sprawili się znakomicie. Na tyle znakomicie, że ich informacje zmienią zasadniczy bieg projektu. Zastanawiał się chwilę, czy trzeba weryfikować prace nad monsunowcami, ale po namyśle nie dopisał już żadnego punktu do listy. Monsunowce mogą się jeszcze przydać, a poza tym miał wciąż niewiele konkretów. Spojrzał na zegarek. Była 19.15 i niebo za oknem było już ciemne. – Czy trzeba robić coś już teraz?

– Uśmiechnął się. – Kilka godzin niczego nie zmieni. Zajmiemy się tym rano, a teraz... Zaraz... Jest jeszcze jeden arkusik... A to co innego. Ta rzecz wymaga natychmiastowej decyzji. – Kotielnikow westchnął i sięgnął po słuchawkę:

– Centrala. Dajcie mi sztab. Tak, ja... – Przez chwilę, poirytowany, nasłuchiwał, długich sygnałów. Wreszcie dyżurny oficer zdecydował się odebrać. Nie czekając na koniec służbowej prezentacji, admirał zadysponował: – Goniec z eskortą. Do mnie za kwadrans. Czekam. Tak, do

ewidencji...

Spoglądając na zegarek i myśląc o tym, czy Zuzanna nie zorientuje się, że przedłużył przerwę w pozwaniu, szybko napisał rozkaz. Potem wyjął z szuflady rzeczonoego biurka specjalną kopertę, która raz zaklejona nie dawała się otworzyć bez rozcinania, i wsunął w nią arkusik. Potem znów odchylił się na oparcie i pogрузzył w rozmyślaniach, w których obraz okrętu mieszał się z Zuzankowym szkicem koczegara.

Nie spóznili się ani o minutę i tak, jak przypuszczał, była to ta sama uzbrojona po zęby trójka. Anonsująca ich po raz drugi Nina Andriejewna okazała się wzorem spokoju i opanowania, a admirał, przekazawszy rozkaz, odetchnął z ulgą. Czy można było na tym etapie zrobić coś więcej?

Zuzanna nie marnowała czasu. Wprawdzie siedziała po turecku na podłodze, tak jak ją zostawił, ale zawłaszczyła jego japoński szlafrok, a mokre włosy świadczyły o tym, że wzięła prysznic. Rozczuliło go to, że nie oczekiwała ani pochwał, ani pytań. Po prostu się wykąpała. Ryzalitowy salon pachniał mydłem, koniakiem oraz czymś trudno uchwytnym, ale bardzo przyjemnym. Zuzanna skwitowała jego powrót spojrzeniem, w którym nie było nagany, a jedynie rejestracja. Jej rozkaz był oczywisty:

– Rozbieramy się i pozujemy, gospodin admirał⁶⁰. Rozumiem, że są ważne sprawy, ale ten szkic to także ważna sprawa. Dobrze mówię? – Rzuciła mu filuterne spojrzenie, a on odwzajemnił się uśmiechem. Informacje wywiadu wprawiły go w doskonały humor. Gdyby się potwierdziły (a niby dlaczego nie miałyby się potwierdzić), projekt i jego kariera ruszyłyby szybko do przodu. Ściągnął kurtkę nonszalanckim ruchem i sięgnął po sztucer, a ona – ładna i godna pożądania, jeszcze bardziej niż przedtem – przesunęła się o kilka centymetrów, by skorygować punkt patrzenia na modela.

– Możesz naprężyć mięśnie?

– Które? – spytał. Nie mógł przecież napiąć wszystkich jednocześnie.

– Na plecach.

Próbował przez chwilę tylko po to, by uświadomić sobie, że nad tymi

akurat nie ma żadnej kontroli i że ich praca wiąże się z określonym rodzajem ruchu.

– Naprężą się, jeśli damy im jakieś obciążenie. Ale od tego sztucera chyba nie, musiałbym machać czymś znacznie cięższym. Wiesz co? – Kotielnikow poczuł nagle, że ma dość pozowania. – Dokończymy kiedy indziej... – Zauważył w jej spojrzeniu ognik protestu, toteż wymienił prędko korzyści wynikające z tej propozycji: – Każę przynieść tu szufłę do węgla i mogę się nawet wysmarować pastą do butów. Słowo. Ale dziś dajmy już spokój... Co? – Spojrzał na Zuzannę z nadzieją, ale także z sygnałem w oczach, który powiedział jej wyraźnie, że nie będzie pozował dłużej. Przygasiała natychmiast ogniki irytacji i odłożyła szkicownik.

– Dobre wieści?

– Ważne – odpowiedział chętnie, ale choć wyjaśnienie wszystkiego właśnie jej sprawiłoby mu wielką przyjemność, nie powiedział nic więcej, a Zuzanna zrozumiała, że nie podzieli się z nią szczegółami. Kotielnikow pomyślał chwilę, śmiesznie marszcząc nos i dodał: – Ważne i dobre.

– Na tyle dobre, żeby się wreszcie porządnie napić? – spytała z miną świadcząca o tym, że ma ochotę zrobić wreszcie coś szalonego.

– Lubisz porządnie się napić? Naprawdę? – Nie dowierzał, bo niewinna uroda nie licowała w jego ocenie z hulaszczymi upodobaniami.

– Uwielbiam – potwierdziła i zaraz dodała kolejne sensacyjne szczegóły: – Raz nawet przygazowałam tak, że mi się urwał film. Teraz już sobie na to nie pozwalam, ale lubię doprowadzić się w pobliże granicy. Wiesz, o czym mówię? – spytała z nadzieją.

Nie chciał sprawić jej zawodu, prezentując siebie jako mężczyznę wstrzemięzliwego i znającego umiar. Przeszedł poza tym szkołę Przyjemskiego, który był bardzo wymagającym nauczycielem, więc doskonale wiedział, o czym mowa. Nie ustrzegł się jednak mentorskiego tonu.

– Wiem, skoro jednak udało ci się opanować to bardzo trudne zatrzymanie w pasie przygranicznym, to znaczy, że już osiągnęłaś

mistrzostwo dane tylko wybranym, a uzyskiwane dzięki wielu długim latom treningu. To naprawdę nie jest takie proste.

– Widzisz! – stwierdziła z satysfakcją i bardzo poważnie spytała: – A co będziemy pili? Przecież nie to wino, po którym tylko nas głowy rozbolą.

– A na co byś miała ochotę? – spytał z troską, przebiegając w myślach listę kompozycji, na których jako tako się znał. Czołowe pozycje na tej liście zajmowały mocne spirytualia, w jego pojęciu, niestety, całkiem niestosowne dla dam. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Z okazji twojej wizyty i pomyślnych wieści... napijemy się wódki! – oznajmił.

Zaaprobowała jego mało wymyślną, ale ideologicznie słuszną propozycję uśmiechem, a potem pociągnęła go na otomanę i gdy doszli do momentu, w którym jego wielka dłoń zaczęła delikatnie i pytająco dotykać jej piersi, odsunęła go na chwilę, ale tylko na chwilę, i popatrzyła mu w oczy wyzywająco spod długich, wywiniętych jak u dziecka rzęs. Potem odezwała się do niego tak, jak zwykła się do niego odzywać babcia, kiedy chciała, by zabrzmiało to wyjątkowo tkliwie: – Bisurmanie!

Areszt miejski w Fukuoce nieopodal kompleksu uniwersyteckiego, połowa października 1945

Wydawało mu się, że ma potężnego kaca. Wszystkie symptomy się zgadzały, więc nie otwierając oczu, by nie poraziło ich światło, przesunął ostrożnie językiem po wnętrzu ust. Kwaśny, odrażający smak rzygowin i charakterystyczne bolesne zgrubienia na wysuszonym przez niestrawiony alkohol języku. Wszystko by się zgadzało. Łącznie z pełnym strupów z zaschniętej krwi nosem, przez który wciągał teraz chłodne, ale – jak mu się zdawało – spalone i gorące powietrze. Gdzieś w gardle rosło coś suchego i nieprzyjemnego, co nie pozwalało swobodnie przełknąć bolesnej grudy śluzu i flegmy.

Na pewno się spił. Wprawdzie teraz, po trzydziestce, zdarzało mu się to niezwykle rzadko, ale się zdarzało. Przekroczenie granicy, za którą – miast miłego oszołomienia – czyhała na pijącego noc pełna koszmarów i męczący, wypełniony pragnieniem i bólem głowy poranek, nie było trudne. Granicę tę oceniał obecnie – w wieku, w którym był i przez pryzmat wypitego do tej pory alkoholu – na pół litra whisky i cztery piwa albo na litr sake. Ale kace po sake były zupełnie inne – odnosił wrażenie, że całe jego ciało to *koshiki* * (**Tradycyjna kadź do parowania ryżu w celu wytworzenia koji, czyli „ryżu zarażonego pleśnią”. W dalszych procesach fermentacji koji pełnikluczową rolę.*) wypełniona zacierem moto⁶¹.

Kac po sake był mętny – jak piwo, którym kiedyś poczęstowali go Niemcy.

Piwo niepasteryzowane, które oni nazywali „drożdżowym”, bo istotnie nasycone było delikatnym posmakiem drożdży, ale bardzo smaczne. Dwie butelki, schłodzone w wiadrze z morską wodą, wypił wtedy zachłannie w kilka minut, dziwiąc się, jak bardzo mu smakuje i jak szybko uderza do głowy. Japończyka, który nie przeszedł, tak jak on, odpowiedniego treningu w angielskich pubach, dwie butelki takiego piwa zwałyby z nóg. On oblizał się tylko, jakby napił się oranżady. Nieopodał pochylni stoczni, w której praktykował w Wielkiej Brytanii, był pub, w którym serwowano piwa z własnego browaru. Tam poznał niezwykle, wyrafinowany smak wytrawnego, czerwonego i mocnego ale, którego duży kufel pozwalał rozjarzyć wszystkie smutki świata czerwoną, rozgrzewającą poświatą. Piwo, nie wiadomo dlaczego, nazywało się „Palec Biskupa” i miało prawie osiem boskich procentów.

Z Niemcami i ich piwem zapoznał się rok temu, bo dwa ich potężne U-booty gościły w Kure, kiedy załatwiał tam coś dla swojego okrętu. Obejrzał sobie przy okazji niemieckie jednostki oceaniczne i był pod wrażeniem. Budowali solidnie i mieli dużo dobrych pomysłów. Na okręcie podwodnym, pomijając kwestie osiągow i wytrzymałości konstrukcji, liczą się drobiazgi. Szczególnie na takim, który jest domem dla załogi nawet przez kilka

miesiący. Niemcy po mistrzowsku rozwiązywali problem schowków, pojemników i półek. Tam, gdzie japoński projektant wnętrza ograniczał się do szuflady albo skrzyni z podnoszonym wiekiem, niemiecki dopiero zaczynał pracę. W efekcie przestrzeń niemieckiej szuflady dzieliły pomysłowe przegródki, pomagające segregować skarpetki, kalesony, koszule i swetry. Wieko każdej skrzyni miało pod spodem pomysłowe siatkowe kieszenie z gumowego sznurka, pozwalające wykorzystać każdy centymetr sześcienny tak przecież cennej kubatury. Podobnie, gdy podniosło się koję, jej spód pysznił się zapinanymi na zatrzaski kieszeniami, w których można było poupychać przybory toaletowe i osobiste drobiazgi. W efekcie wnętrza „monsunowych” U-bootów, bo tak Niemcy nazywali swoje potworki, sprawiały wrażenie schludnych i uporządkowanych. Niemcy mieli też wspaniałe przyrządy optyczne, szczególnie te do obserwacji nocnej, i znakomity, oszczędny, a jednocześnie wydajny napęd. Ale przecież jego okręt też był wspaniały...

Uczucie gorąca i obrzmiałości powiek wyrwało go ze wspomnień i uznał, że czas obudzić się na dobre. Powieki jakoś nie chciały się rozkleić, więc spróbował sięgnąć do nich dłonią... Ten ruch zabolął dotkliwie. Kaneyasu jęknął i ponowił próbę. Ból, początkowo ostry, złagodniał i pozwolił położyć dłoń na powiekach. A właściwie na tym, co Kaneyasu wymacał w miejscu powiek i co zabolęło go tak, że ból w barku wydał się mniej dokuczliwy. Była to jedna wielka opuchlizna o konsystencji ryżowego budyniu, przelewająca się pod ostrożnymi palcami niczym woda w gumowym termoforze.

Upiłem się – pomyślał – i ktoś mnie obsmyczył w zaułku... Zaraz... w jakim znowu zaułku... – Starał się skupić, smakując ból. Powoli, jakby ktoś puścił taśmę filmową do tyłu, odwijają się niejasne jeszcze obrazy i sugestie. Zupełnie wyraźnie pamiętał tylko sterylnie czysty, pachnący olejnym lakierem areszt na „Tillmanie” oraz nijaki, wodnisty smak herbaty, którą mu podano wraz z podejrzanym posiłkiem, złożonym z utartych na papkę ziemniaków i kawałka ociekającej tłuszczem i galaretą

mielonej konserwy. Ziemniaki i mielonkę odsunął na bok wraz z cynową łyżką i posługując się palcami, zjadł jedynie to, co nie budziło jego wątpliwości – zielony, konserwowy groszek i pokrojoną w kostkę duszoną marchew. Potem zaczęły powracać inne obrazy. Pamięć wyostrzała je stopniowo, tak jak ostrzy się zamazany obraz w okularach morskiej lornety, korygując wadę wzroku.

Amerykanie nie obchodzili się z nim źle. Nikt na niego nie krzyczał. Oficerowie śledczy byli – jak mu się zdawało – zupełnie obojętni, a długie zestawy pytań pochodziły chyba z wcześniej przygotowanej listy, bo większość z nich powtarzała się w kolejnych przesłuchaniach. Ubrano go w czyste, kremowe drelichy z czarnym stemplem zaświadczającym, że ubranie jest własnością US Navy, a co trzy dni dostawał świeży komplet bielizny. Po kilku przesłuchaniach, podczas których uporczywie powtarzał własną legendę, zorientował się, że Amerykanie nastawieni są przede wszystkim na wyłowienie ludzi, którzy dopuścili się uchybień wobec prawa wojennego. Tak to sobie nazwał na własny użytek – uchybień... Jednakże po dalszych kilku przesłuchaniach wywnioskował, że te „uchybienia” to chyba sprawy, o których tylko słyszał, gdy przypadkowo natrafiał na częstotliwości, na których nadawały amerykańskie i brytyjskie rozgłośnie radiowe. „Przypadkowo natrafiał”... Kolejny eufemizm, do którego wreszcie się przyznał sam przed sobą podczas długich samotnych godzin w schludnej celi. Nie. Przecież nie było tak. Gdy Japonia weszła w fazę, w której stało się oczywiste, że o zwycięstwie nie ma mowy i należy pomyśleć raczej o honorowym zakończeniu, zaczął coraz częściej „natrafiać” na wrogie audycje. Ale przecież częstotliwości tych stacji znał na pamięć. To, co mówiono o jego rodakach, początkowo wydało mu się propagandową bzdurą. Tak było potworne i niewiarygodne. Wszak japońscy żołnierze od czasów wojny z carską Rosją uznawani byli przez cały cywilizowany świat za wzór rycerskości.

Byli... – pomyślał. – Istotnie. Dopóki nie stało się coś dziwnego. Przecież już w Nankinie nasza armia wyprawiała niestworzone rzeczy. Opowiadał

mu o tym przy jakiejś zakrapianej okazji w czasie kolejnej wizyty w bazie stary Takemitsu. Wtedy wpuszczał owe rewelacje jednym uchem, a wypuszczał drugim. Teraz słowa staruszka wracały do niego i pojawiały się na kliszy wspomnień, jak fotograficzny obraz, gdy światłoczuły papier po naświetleniu włoży się do wywoływacza.

Takemitsu, już wówczas niemłodego – a było to bodaj w trzydziestym siódmym – powołano z rezerwy do wojsk inżynieryjnych. W armii brakowało specjalistów, zwłaszcza tak doświadczonych. Z początku – jak z błyskiem onemiałej zgrozy, czającej się wciąż w jego oczach, opowiadał stary w skąnym, brązowym świetle panującym w pomieszczeniach bazy – nic nie zapowiadało makabry. Cesarskimi dywizjami posuwającymi się w górę Jangcy dowodził malutki i wyniszczony przez gruźlicę generał Matsui⁶². Matsui, zagorzały buddysta, był wzorem łagodności i żołnierskich cnót. Generał gotów był pokochać Chińczyków, nim zaczął do nich strzelać. Ale jego dobrotliwego buddyźmu – wobec spustoszeń, jakie czyniły w płucach prątki gruźlicy – nie starczyło na długo. Chińczycy o dziwo walczyli całkiem sprawnie – przed bramami Nankinu stanęła o wiele mniejsza liczba cesarskich piechurów od tej, którą desantowano na początku kampanii na brzegi rzeki. Ciała zabitych zatruwały rzekę lub gniły na polach. Choć kaszlący krwią Matsui nakazał swym oficerom, by „zachowywali się godnie”, godność i rycerski kodeks zostały pod bramami Nankinu, a kilkadziesiąt tysięcy japońskich piechurów pod bezpośrednimi już rozkazami niejakiego Nakajimy i cesarskiego wuja, generała księcia Asaki, rozpoczęło orgię, jakiej świat nie widział pewno od czasu, gdy Kartagina w wojnach przeciw Rzymowi sięgnęła po pomoc barbarzyńców.

– Kapitanie... – mamrotał Takemitsu, któremu sake skleiła rzadkie wąsiki. – Kapitanie... – Chwytał go swoim zwyczajem za przedramię suchymi, drażniącymi wåtłością i nerwowością palcami i choć Kaneyasu nie znosił dotykania podczas rozmowy, staruszek był jednym z nielicznych, któremu na to pozwalał. – Kapitanie... Nie uwierzy pan w coś takiego, ja też z początku nie wierzyłem. Ten Nakajima to zidiociały sadysta,

a cesarski wujaszek nie lepszy⁶³. Dobrali się idealnie. Powinni otworzyć rzeźnię. Kazali zabijać wszystkich. Żołnierze zaczęli od jeńców, ale potem mordowano wszystkich, jak leci. Mógłbym - wie pan - jeszcze mocniej i jeszcze bardziej drażniąco ścisnął ramię kapitana - mógłbym powiedzieć, że mnie to nie dotyczy, ale przecież widziałem. I - proszę mi wierzyć - omal mnie nie zmuszono, żebym do nich dołączył. Wszyscy byli pijani... W dym. Myślę, że o wódkę zadbał ten zboczeniec Asaka, bo lała się strumieniami. I to... nie sake, tylko ten ohydny koreański samogon z ziemniaków. Pan przecież wie, kapitanie, jak to świństwo działa? - upewniał się z gorliwością alkoholika, szukając potwierdzenia w oczach Kaneyasu. A Kaneyasu doskonale wiedział, co może 40-procentowy, niechlujnie przepędzony trunek, którym z takim upodobaniem, na koniec znojnego dnia, dodając do niego gorącej wody, raczą się na północy dla rozgrzewki plantatorzy kapusty. Kiwał więc tylko głową, z niepokojem czekając na rewelacje inżyniera. Ten puścił w końcu jego ramię i obracając w palcach czarę, nie patrzył już w oczy kapitanowi, tylko w jej dno. Jakby spodziewał się tam, w resztkach alkoholu, zobaczyć niczym w kryształowej magicznej kuli spływające krwią ulice Nankinu.

- Z ludźmi, panie kapitanie - ciągnął, uporczywie wbijając wzrok w dno czarki - gdy poczują krew i zadziała alkohol, dzieje się coś takiego jak z rekinami. Wie pan, o czym mówię? - powtórzył, ale nawet nie podniósł oczu, by stwierdzić, czy Kaneyasu choć spojrzeniem potwierdza jego opinię. - Wpadają w szal. I szarpią ścierwo na oślep. Chciałem zostać w ciężarówce, ale moi koledzy... a właściwie moi podwładni, bo jakby na ironię miałem w oddziale inżynierskim najstarszy stopień, wyciągnęli mnie z niej siłą. Mówili, że muszę to zobaczyć, bo więcej taka okazja mi się nie trafi. Byli młodzi, już mocno pijani i za silni, żebym się z nimi szarpał. Patrzyłem więc całkiem trzeźwy i, niech mi pan wierzy, kapitanie, nie chciałby pan tego oglądać. Po minucie zacząłem żałować, że nie upiłem się tak jak inni. Pewno byłoby mi łatwiej. - Takemitsu wciąż wpatrywał się w dno czarki, a gdy Kaneyasu chciał mu dolać, łagodnie odsunął jego ręce

z butelką i nie odrywając wzroku od naczynia, opowiadał dalej. Głosem coraz cichszym. Przerwy między zdaniem stawały się coraz dłuższe. Nieznośnie długie. Ale Kaneyasu nie ponaglał inżyniera.

– Pamiętam, jakby to było wczoraj. Proszę mi wierzyć. To wspomnienie jest najwyraźniejsze spośród wszystkich moich wspomnień. Dobrych i złych. Nawet swojego pierwszego razu z dziewczyną nie pamiętam tak dobrze... – Takemitsu odchrząknął z wysiłkiem i wreszcie odrywając wzrok od czarinki, sam sięgnął po butelkę. Nalał sobie i natychmiast wypił. Po czym napełnił czarękę znowu i znowu wypił. A potem energicznie odstawił butelkę i czarękę na sam koniec stołu i najwidoczniej pozbył się resztek wątpliwości, bo zaczął opowiadać szybko, dynamicznie, nie czekając nawet na błysk zrozumienia w oczach rozmówcy: – Tylko z początku wyglądało to na bałagan. Wie pan? Dym, wrzaski, panika, rozpacz, ból, krew. Wszyscy biegają jak zaczadzone kaczkę... Kiedy się temu przyjrzałem... To piekło miało swój harmonogram i porządek. Wie pan, jak potrafimy działać, kiedy jesteśmy dobrze zmotywowani i kierowani? – Staruszek zajrzał mu w oczy, śmiesznie przekrzywiając cienką szyję, niczym sympatyczny, ciekawski ptak. I odpowiedział sam sobie: – Działamy doskonale. Nie robimy błędów, a to działanie i fakt, że jest perfekcyjne, nakręca nas do dalszego działania. O nie, panie kapitanie. To nie były bezładne stada morderczych, pijanych demonów pędzących na oślep, by zabić i wypić krew. Tym wszystkim kierowali oficerowie. Zdaje pan sobie sprawę z tego, co mówię? Oni tym kierowali. Według odgórnego planu. Jakby jakiś szaleniec, tam, w sztabie rozpiął to wcześniej niczym inspicjent w teatrze. Na trawnikach i placach nasi saperzy wkopali słupki. Ot takie, na jakie nasadza się ryżowe chochoły do ćwiczeń w robieniu bagnetem. Te słupki wkopano wcześniej bardzo porządnie. W regularnych odstępach. Jak na koszarowym placu ćwiczeń. Do tych słupków przywiązywano Chińczyków. I nasi żołnierze. Kolejno. Pijanymi pododdziałami stawali naprzeciwko tych ludzkich manekinów i trenowali sztychy. A obok stali dowódcy. Niewiele od nich starsi. I dawali im dobre rady... To znaczy korygowali technikę tych sztychów. Postawę. Kąt ciosu i tak dalej. Zna pan te sprawy. Sam pan przecież dużo ćwiczy... Pamiętam. Jakiś porucznik podniecał się tak, jakby był na meczu. Krzyczał: „Teraz! Włóż w to siłę. Dynamicznie. Nie spiesz

się. Zaczynaj wolno. Najwięcej siły jest na końcu sztychu. Tam gdzie zaczyna się ciało!” Tak krzyczał. I miał rację. Bo po tych radach żołnierzowi, który czuł się trochę nieswojo, od razu lepiej szło. Widać trzeba go było lepiej zmotywować... Niech pan nie myśli, że trenowali w nieskończoność na jednym takim manekinie. Ciało ludzkie jest dobrym workiem treningowym tylko do momentu, w którym wola, czy może świadomość, utrzymuje napięcie mięśni. Potem, jak tych sztychów jest za dużo, taki manekin wiotczeje i przypomina rozpruty worek z trocinami. Myślę, kapitanie, że żołnierz wbijający bagnet nie odczuwa już wtedy takiej przyjemności i podniecenia, bo mięśnie nie stawiają dostatecznego oporu. To pewnie tak, jak z używaną przez zbyt wielu mężczyzn dziewczyną. Wiotczeje tam i przestaje pana podniecać... Trzeba przyznać, że oficerowie nadzorujący te ćwiczenia byli czujni, choć też pijani, i jak tylko któryś manekin był za bardzo popruty, zastępowano go innym z kolejki oczekujących. Czasami ci bardzo podziurawieni jeszcze żyli. Mimo to odwiązywano ich i rzucano na kupę tych zużytych. Niekiedy próbowali się jeszcze ruszać. Jeden nawet spełził sam z tego stosu, ale żołnierze – nie czekając nawet na rozkaz – wrzucili go z powrotem na samą górę i już się nie wychylał. Dziwne, wie pan, panie kapitanie, było to, że ci Chińczycy, których zapędzono w kolejkę do tych słupków, zachowywali się tak pokornie i spokojnie. Jakby stali po bułki. Jeden bardzo młody i... jak na mój gust, choć nie jestem pedałem, o nie... był bardzo ładny. To znaczy, miał ładną buzię, taką dobrą i dla mężczyzny, i dla małego chłopca. Chciałbym mieć takiego pięknego dzieciaka, takiego syna... – Takemitsu dolał sobie znowu i Kaneyasu zaniepokoił się, że sake zwali inżyniera pod stół, nim zdoła dokończyć swoją opowieść. Ale Takemitsu wszedł w tę fazę zamroczenia, w której wytrawni alkoholicy widzą rzeczy najjaśniej i potrafią najcelniej o nich opowiadać. – Ten chłopiec w kolejce miał taką minę, jakby nie mógł się doczekać, aż zaczną go dziurawić. Daję panu słowo. Jakby to było coś przyjemnego... – Jakby... – szukał przez chwilę właściwego określenia – jakby mieli mu dać pyszne ryżowe ciastko... – Takemitsu przełknął

z wysiłkiem ślinę i zamilkł. Milczenie to trwało na tyle długo, że Kaneyasu odważył się spytać:

– I?

– I doczekał się... Doczekał się – powtórzył. – Wie pan, potem często zastanawiałem się, co czują i o czym myślą ludzie w takiej kolejce... I o czym ja bym myślał.

– I co pan wymyślił? – chciał wiedzieć Kaneyasu, bo problem wydał mu się bardzo interesujący. Takemitsu podjął skwapliwie:

– Sama śmierć chyba nie jest taka straszna. Pewno pierwsza dziura boli tak bardzo, że następnych już się nie czuje albo czuje się mniej. To tak jak w bójce. Jak się dostanie porządną fangę w nos, to następne ciosy już nie bolą. Coś się tam w człowieku blokuje. Ale to czekanie musi być nieznośne. Pewnie bym sobie wyobrażał ten bagnet. Jaki będzie. Zimny czy ciepły. Ostry czy tępy. Dokąd dojdzie i czy moje ciało zachręści tak, jak chręści łuskana nożem ryba. To bym sobie pewnie wyobrażał. A może tak bym się spietrał, że niczego bym sobie nie był w stanie wyobrazić? Tylko nawaliłbym w spodnie. Kto wie... Nam, żywym, łatwo się nad tym zastanawiać, ale oni... Tyle że wie pan, kapitanie... Myślę, że ci, którzy rznęli, w ogóle nie myśleli o tych Chińczykach jak o ludziach i nie zastanawiali się, co można w takiej chwili czuć. Nadmuchiwał pan kiedyś żabę przez słomkę? – Popatrzył na Kaneyasu, a ten w zadumie, widąc przypominając sobie dziecinne grzeszki, przytaknął z uśmiechem. – I co? Zastanawiał się pan, co czuje żaba?

– Nie – spokojnie zaprzeczył Kaneyasu. – Nie zastanawiałem się.

– A o czym pan wtedy myślał?

Kaneyasu zastanowił się chwilę i raptem poczuł się tak, jakby doznał olśnienia.

– Taaak. Ma pan rację. Najważniejsze było to, żeby ta żaba eksplodowała jak najgłośniej. Tak, żeby to się podobało kolegom. Trzeba się było postarać...

– Ano właśnie. – Takemitsu zdawał się tylko czekać na taką konkluzję,

jak nauczyciel naprowadzający ucznia na właściwe rozwiązanie podczas lekcji algebry. – Jestem przekonany, że ci nasi piechurzy tak to właśnie robili. Żeby się podobało kolegom. Zastanawiałem się, czy to możliwe, i doszedłem do wniosku, że tak. I że tak jest właśnie najwygodniej. Inaczej bardzo trudno byłoby zmusić się do okrucieństwa. Bo mało kto sam z siebie jest okrutny. Mało kto po prostu lubi zabijać, choć pewno są i tacy. Większość z nas, normalnych ludzi, boi się śmierci, to znaczy myśli o zadawaniu śmierci i cierpienia, ale jeśli wbijemy sobie do głowy, że trzeba to zrobić jak najlepiej, bo kolegom się będzie podobało, to... Wie pan, kapitanie? – Takemitsu zaczesał palcami rzedniejące włosy na tył głowy, bo gdy pochylał się nad stołem, przygnieciony ciężarem wspomnień, długi kosmyk opadł mu na oczy. – Wie pan? To takie bushido na opak. Zabij tak, żeby sprawić przyjemność kolegom. Żeby huk pękającej żaby był najgłośniejszy...

Pewnie masz rację – pomyślał wówczas Kaneyasu. – Wszystko można postawić na głowie. Wszystko można odwrócić, tak jak bieguny w baterii. Najłatwiej załgać samego siebie. Zaprzedać duszę. Bo to zrazu nic nie kosztuje. Ciekawe, swoją drogą, jak takich nas, takich rycerzy bushido, a raczej anty-rycerzy, postrzegają Amerykanie? Nie zdążyliśmy im przez cztery lata wytłumaczyć ani udowodnić, że człowiek jest miłosierdziem. Tak przecież stanowi kodeks⁶⁴. Przecież to właśnie samuraj może być najbardziej miłosierny, bo mogąc zabić, daruje życie. A zatem to nie tylko stan uczuciowy lub kaprys. To rzeczywisty akt miłosierdzia. Miłosierdzia z wyboru. Ci, o których mówił Takemitsu, też mieli wybór. Mogli zabić albo nie zabijać tych Chińczyków. I dokonali wyboru...

– Myśli pan, że to tylko kwestia rozkazów? – zapytał.

– Myślę, panie kapitanie, że ci, którzy wydawali takie rozkazy, jeśli je wydawali, też mieli szansę na miłosierdzie, ale powiem panu coś więcej...

A więc to jeszcze nie koniec, jest jeszcze coś – pomyślał wtedy Kaneyasu. Nie przepadał za rozmowami o okrucieństwie i sprawach ostatecznych. Zostało mu to jeszcze z dzieciństwa. Kiedy czytał awanturnicze powieści,

pomijał wszelkie opisy egzekucji i równie drastyczne sceny, starając się nie zastanawiać nad szczegółami. Ponieważ miał zwyczaj wracać wielokrotnie do ukochanych lektur, problem się odnawiał i Kaneyasu za każdym powrotem nieodmiennie udawał sam przed sobą, że takiej właśnie sceny w książce nie ma.

– Myślę, panie kapitanie – dręczył go dalej Takemitsu – że nawet mając takie rozkazy, można okazać się człowiekiem w mniejszym lub większym stopniu⁶⁵.

Zabrzmiało to idiotycznie, ale Kaneyasu rozumiał i nie poprawiał starego. Takemitsu pochylił się nad stołem jeszcze bardziej i Kaneyasu mógł widzieć czubek jego głowy, na którym spod rzadniejących włosów prześwitywała błyszcząca, żółta jak pergamin skóra.

– Czy są, panie kapitanie, takie rozkazy, które każą przez lejek wlewać komuś do gardła benzynę, a potem podpalać? Żołnierze, którzy to robili, mówili, że to będzie „chiński cyrk” i zaprezentują zaraz najśłynniejszych połykaczy ognia. Widowisko rzeczywiście było niezwykle i było na co popatrzeć. Czy są, panie kapitanie, takie rozkazy, które każą młodemu chłopcu, bo przecież takim chłopcem był ten porucznik, wybrać z grupy przerażonych jeńców – cywilów małego chłopczyka i ściąć mu głowę swoim *gunto*?⁶⁶ Mało tego, że to zrobił i że najpierw napluł na głownię, bo nie było w pobliżu wody, to jeszcze potem rzucił główkę jednemu ze swoich żołnierzy, radząc, by ten zabrał ją sobie do domu na pamiątkę!⁶⁷ Czy są, panie kapitanie, takie rozkazy, które każą grać niemowlakami w serso?

– Jak to w serso?⁶⁸ – Kaneyasu czuł, że się upił, ale pomysł był tak kuriozalny, że na chwilę całkowicie otrzeźwiał.

– Ano, podrzuca się chińskiego niemowlaka w powietrze, a inni łapią go na bagnety, tak jak się łapie kółko na patyk. Wyobraża pan sobie taką japońską grę, panie kapitanie?

– Niezwykle pomysłowa – ponuro przytaknął Kaneyasu i spytał: – Czy to wszystko, cośmy tam robili? Bo ja mam już dość.

Od opowieści inżyniera powoli robiło mu się naprawdę niedobrze. I to w podwójnym sensie. W gardle rosła mu gęsia kupa, której nie mógł przełknąć, a duszę wypełniał coraz ciasniej czarny, oślizły polip, którego macki, miast szponami, zdawały się zakończone bagnietami od karabinków Arisaka.

– Niestety, nie, panie kapitanie, a chciałbym to panu opowiedzieć do końca. Może zrobi mi się źlej.

– Jestem chyba za trzeźwy, żeby tego spokojnie słuchać. – Kaneyasu sięgnął po flaszkę. – Poza tym, co można jeszcze zrobić bardziej głównianego?

– Można – skwitował krótko Takemitsu. – Gdy zaciągnęli mnie na dziedziniec koszar, który zamieniono w prowizoryczny obóz dla tysięcy jeńców, poczułem zapach *shabu-shabu* * (*Popularna zupa przyrządzana w kociołku z wrzątkiem, do którego wedle upodobania wrzuca się cienkie płatki wołowiny, warzywa i przyprawy.). Z początku wydał mi się smakowity i myślałem, że gotują tam rosół dla jeńców. Szczególnie, że na dziedzińcu rozstawiono kilka kuchni polowych...

– Gotowali? – Kaneyasu domyślał się najgorszego, ale część intelektu, która decyduje o tym, co ludzkie a co nie, broniła się przed ostateczną konstatacją. Takemitsu skrzywił się, jakby nagle zabolął go ząb.

– Wie pan, kapitanie. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem. Wstydzilem się, że w ogóle na to patrzyłem i żyję. Ale okazuje się, że mamy w sobie jakieś bezpieczniki, które powodują, że nie popadamy w szaleństwo, patrząc... Tylko patrząc... – powtórzył w zadumie. – Podchodziłem do tych kotłów i choć wiem teraz i wiedziałem wtedy, że nie powinienem – zainteresowało mnie to. Koniecznie chciałem tam zajrzeć i zajrzałem, a piechur, który mieszał w tym wielką chochlą, uprzejmie się odsunął. I proszę sobie wyobrazić – nic się ze mną nie stało. Tak, jakbym zajrzał do kociołka z *shabu-shabu*. Woda silnie wrzała i zapach był całkiem przyjemny, bo nawrzucaли tam chyba jakiegoś rozmarynu. Potem zobaczyłem maleńkie stópki, całkiem już białe od gotowania. Gotowali małe dzieci... rosół z dzieci. Śmiali się, jakby to był dobry żart, a obok

stłoczeni stali Chińczycy i pewnie byli wśród nich rodzice tych dzieci.

Kaneyasu wyobraził sobie to, o czym opowiadał Takemitsu, i przełknął ślinę.

– Myśli pan, inżynierze, że to jedli? – zapytał lakonicznie.

– Kto to wie, ale myślę że znaleźli się tacy, którzy chcieli spróbować, jak to smakuje. Mięso to mięso, a wszelkie hamulce, jeśli ktoś je ma, są tu – Takemitsu pokazał na czoło. – Jeśli ktoś nie wie, że je niemowlaka, to pewnie będzie mu smakował jak cielęcina albo kurczak. Co za różnica?

– Właśnie – przytaknął Kaneyasu, myśląc, że takie rzeczy już się zdarzały. W Kartaginie oddawano dzieci kapłanom, by spalili je w spizowym, rozżarzonej brzuchu byka, a w końcu cóż za różnica, czy ktoś odda sam dziecko na ofiarę, czy mu je wyrwą z rąk...

– Potem poprowadzili mnie dalej... W ogóle, wie pan, kapitanie, traktowali mnie tak, jakbym był jakimś inspektorem, który ma ocenić, czy rozkazy zostały dobrze wykonane, albo jak kogoś, przed kim można się pochwalić pomysłowością. Poprowadzili mnie na drugą stronę tego placu. Tu stały ciężarówki z opuszczonymi plandekami... chyba z dziesięć, a do każdej kolejka żołnierzy. Ci, którzy mnie podprowadzili, spytali, co wolę: dziewczynkę, chłopaka, kobietę, a może staruchę? Bo, wie pan, tam można było sobie użyć. Na tych ciężarówkach. Sanitariusze rozdawali nawet prezerwatywy. Żeby się nie zarazić. Wyrwałem się i powiedziałem, że jestem impotentem, więc dali mi spokój, ale potem dowiedziałem się, że to było doskonale zorganizowane. W wielu punktach miasta. W sumie zużyto na to chyba z osiemdziesiąt tysięcy kobiet, dziewczynek i małych chłopców. W niektórych punktach wypisywano nawet na takich ciężarówkach przedział wiekowy. Tak jak ceny na targu: 10-15, 20-30, 60-80. Jak się miało specjalne znajomości, można było mieć nawet Europejkę, ale to nie było oficjalnie...

Kaneyasu znów zaczął być pijany i słowa inżyniera docierały do niego mgliście w postaci puszystych kul, które za nic nie chciały zmieścić się w uszach.

– Czy po tym wszystkim, a wie pan, kapitanie, że na tej wojnie też wyrabiamy podobne i jeszcze gorsze rzeczy, możemy normalnie żyć? Jak pan sądzi, kapitanie?

– Myślę, panie Takemitsu, że po tym wszystkim nic już nie będzie normalne. A w ogóle to nie wiem – jego ton stał się niespodziewanie zaczepny i pełen pretensji – po co mi pan o tym opowiada. Ani pan, ani ja niczego podobnego nie robiliśmy. Ja mam na sumieniu tylko tych, których zabiłem w walce... tych w amerykańskich i brytyjskich mundurach... Pan nie zabił nikogo... O czym więc mówimy? Czy nas to w ogóle dotyczy? – zapytał wówczas i pomyślał, że nawet gdyby stał się cud i cesarstwo wygrałoby tę wojnę i nikt by ich z takich uczynków nie rozliczał... to nawet wtedy tacy jak on i Takemitsu nie zaznaliby ukojenia. A może jednak... Może zalaliby koszmar i osłupienie alkoholem i zagłuszyli triumfalnymi defiladami? Może udałoby się zapomnieć wśród bliskich i przyjaciół? Tylko jeśli ten zwycięski nowy ład miałby wyglądać właśnie tak...

Udało mu się wreszcie rozkleić opuchnięte powieki, więc wspomnienia z tamtej rozmowy pierzchły, tak jak pierzchają groźne cienie, gdy zerwie się okienne zasłony. Ale rzeczywistość po tej stronie powiek wcale nie była przyjemniejsza. Kaneyasu, tocząc przekrwionymi oczami po celi, zaczął sobie powoli przypominać.

Ten tłusty, niedomyty i wiecznie spocony profos... jakże mu tam... nazywają go tu – nie wiadomo dlaczego – Shika⁶⁹, chociaż jako żywo bardziej przypomina świnię albo hipopotama. Przy pozorach świńskości jest potwornie silny. Bywają takie wynaturzenia. Ktoś wygląda jak wór zjełczanego sadła, a jest szybki i silny. Shika był właśnie taki. Pierwszego dnia, gdy przywieźli go tu amerykańscy żandarmi, to właśnie on pokazał mu celę. Wprowadził do środka i nim zdjął mu kajdanki, powalił go szybkim, pozornie niedbałym uderzeniem w głowę. Cios – zadany, jak zdążył ocenić Kaneyasu (który przecież doskonale się na tym znał) luźną dłonią – był ogłuszający. Leżącemu i na poły nieprzytomnemu, Shika wymierzył jeszcze kilka solennych i fachowych kopniaków w brzuch i w

uda. Tak, żeby bolało, ale nie uszkodziło niczego w środku. Dopiero potem, starannie sprawdziwszy, czy Kaneyasu ma dość, zdjął te kajdanki, przysiadł na piętach obok i zaczął skręcać papierosa. Pogadywał przy tym dobrotliwie niczym przedszkolanka usypiająca wymagającego specjalnej opieki wychowanka:

– To na początek. Żebyś sobie czasami nie raczył pomyśleć, że będziemy się tu z tobą cackać, jak ci jankesi. A takie wały będziesz dostawał regularnie, żebyś sobie nie raczył myśleć, że tu jest jakiś nadmorski kurort. Jankesi powiedzieli, że mamy cię zweryfikować i pan audytor raczy wyciągnąć z ciebie wszystko, co trzeba. Powiedzieli, że jesteś twardy i nie chcesz współpracować, ale my mamy wprawę w takich trudnych przypadkach jak twój. Założę się, że w czasie tych swoich jankeskich przesłuchań nawet nie raczyli ci dać porządnie po łbie. Nie mają o tym zielonego pojęcia i dlatego raczą zlecać to nam. Pragnę (rzeczywiście użył tego słowa) cię uprzedzić, że metody na moim oddziale nie raczyły się zmienić od dziesięciu lat i jeśli zechcę, żebyś się przyznał, że przyleciałeś tu z Jowisza i nie jesteś człowiekiem, tylko rozumnym gazem, to będę dotąd nad tobą pracował, aż mi to raczysz podpisać. A potem podpiszesz, że tego nie odwołasz i że nie podpisywałeś pod przymusem...

Kaneyasu, do którego słowa Jelenia docierały już całkiem wyraźnie, pomyślał sobie, że profos – bez wątpienia prostak, najprawdopodobniej z chłopskiej rodziny – aspiruje. Świadczył o tym sposób wyrażania się i wtrącanie, nie zawsze sensowne, sformułowań przynależnych językowi honoryfikacji. Przez chwilę miał ochotę zadrwić z Shika i odpowiedzieć mu w tym samym nieudolnym i śmiesznym stylu, ale uznał, że rozsądniej będzie tego nie robić. Tymczasem tłusty Jeleń perorował w najlepsze:

– Tutaj zawsze udawało się nam sprawiać, że nasi pensjonariusze raczyli przyznawać się do wszystkiego, o co ich podejrzewaliśmy. Trzeba ci wiedzieć, że specjalizowaliśmy się w przypadkach nielojalności, nieprawomyślności i generalnie braku entuzjazmu dla nowych idei cesarstwa, a ja miałem niewątpliwą przyjemność podeptania wielu

znakomitości świata nauki, sztuki i polityki. Kogoś takiego jak ty, to znaczy... – namyślił się i uzupełnił zaraz gorliwie – kogoś tak tajemniczego, jeszcze nie deptałem. Dlatego po znajomości z tobą obiecuję sobie wiele nowych i ekscytujących wrażeń. Taaak... – Zadumał się i skręciwszy wreszcie papierosa, wetknął go pomiędzy małe, mięsiste wargi, ale nie zapalał skręta, za co Kaneyasu był mu autentycznie wdzięczny. – Teraz sobie poleż, odpocznij. Za godzinę zaprowadzę cię do pana audytora, a wieczorem urządzimy sobie małe przyjęcie. Rozesłałem już zaproszenia.

Spotkanie z audytorem także nie było przyjemne. Kaneyasu siedział na twardym stołku, a ręce miał skute pod kolanami. W dodatku nogi związane mu w kostkach. Major Tasaki, audytor o wyglądzie dystygowanego dentysty, w istocie cichy i ironiczny sadysta, nie wygłaszał w przeciwieństwie do Jelenia pompatycznych tekstów. Mówił wolno, syczącym głosem, przedłużając wygłosowe „s” niczym nadmiernie uprzejmy kierowca taksówki. Nosił zresztą dokładnie takie same, jak dentyści, białe bawełniane rękawiczki. Nie chciał widać brudzić sobie rąk w czasie przesłuchań. W egzekwowaniu odpowiedzi wielce pomocna była metrowa stalowa linijka, którą wymierzał precyzyjne, szybkie i hałaśliwe ciosy w czubek głowy i w pośladki przesłuchiwanego, gdy ten po ciosach w głowę spadał ze stołka. Była to bolesna i skuteczna metoda, ale Kaneyasu, któremu w tej fazie pobytu w areszcie wydawało się, że dostąpił już szczytów poniżenia, trzymał się swojej legendy. Nie wiadomo właściwie dlaczego.

Sam nie wiedział, co skłania go do uporczywego powtarzania wyuczonych personaliów i tego, że jest zwerbowanym przez marynarke cywilem i kapitanem kabotażowca⁷⁰. Wszystko, co stanowiło o konieczności utrzymywania w tajemnicy istnienia projektu rezerwowego Sen-toku, przestało przecieżyć istnieć. Wprawdzie gdzieś tam, pod kopułą bliźniaczej skały tkwi niezłomny i stęskniony zapewne za wspólnymi hulankami Takemitsu... Gdzieś tam przesłuchują jego ludzi, choć może puścili ich do

domu... Gdzieś tam cicho pracują niezbędne do utrzymania gotowości okrętu agregaty... Można by machnąć na to wszystko ręką i wyznaczyć sadystycznemu, ironicznemu dentyście, że było się dowódcą okrętu, o którym wiedziało tylko kilku wybrańców w sztabie.

Gdy po kolejnym seansie z linijką wrzucano go do celi, Kaneyasu – hołubiąc siniaki i stłuczenia – myślał, co też właściwie się stało i dlaczego tak wyszło, że ludzie, na których jeszcze kilka miesięcy temu nie chciałby nawet spojrzeć, traktują go bez odrobiny szacunku, a gorliwością przerastają zwycięzców, tak jakby mieli z nimi jakieś wspólne interesy. Komu teraz w ogóle potrzebna jest wiedza o tajnych projektach? Jeśli Amerykanom, to dlaczego oddali go tym sadystom? I sami nie wzięli się za niego porządnie?

Czasu na myślenie miał dużo i nie załamywał się. Uczono go przecież wytrzymałości i odporności i miał do takich rzeczy odpowiednie przygotowanie treningowe, ale niezależnie od woli i efektów myślenia tracił motywację i nadzieję.

Gdyby Kaneyasu zagłębił się w historię rodzimego więziennictwa, mógłby stwierdzić, że od czasów szogunatu niewiele się zmieniło. Prawa człowieka? Jakie prawa? Przed egzekucją skazany nie mógł się nawet zobaczyć z rodziną. Zakaz tortur i bicia? No, a jakże by inaczej, proszę państwa, wydobyć z więźnia niezbędne zeznania? Karczer, izolotka? Jak najbardziej. Za najdrobniejsze uchybienia wobec regulaminu, którego przestrzegania typy w rodzaju Jelenia i Tasakiego pilnowały z gorliwością godną lepszej sprawy. Jedno było w tym wszystkim pocieszające. Miał celę tylko dla siebie i mógł godzinami oddawać się niespiesznym wędrówkom po oceanie własnej świadomości, a trzy razy w tygodniu prowadzono go pod prysznic. Rozkoszna, pachnąca rdzą i czymś jeszcze, znanym może z dzieciństwa, woda pozwalała na piętnaście minut zmyć ze świadomości ból stanu rzeczy i czarny osad braku perspektyw na odmianę losu. Właśnie braku perspektyw, bo o ile Kaneyasu – z usposobienia stoik wychowany i kształcony w buddyjskiej tradycji – miał nadzieję na rychłą odmianę,

o tyle trudno mu było wyobrazić sobie, na czym by ta odmiana miała polegać i co miało być dalej. Powoli i nieuchronnie narastała w nim pretensja do zwycięzców. Nie dlatego, że zwyciężyli. To można by im było wybaczyć. Zwycięzca jest przecież godny szacunku, tak samo jak pokonany, i ten szacunek mu się należy. Kaneyasu nie mógł się pogodzić raczej z tym, w jakim stylu Amerykanie zwyciężyli. Przetoczyli się po armii i marynarce jak walec po wyrównywanej drodze, miażdżąc drobne kamyki i wyrównując powierzchnię piasku. To nawet nie było zwycięstwo technologii czy myśli wojennej, nie mówiąc o tym, że z pewnością nie było to zwycięstwo ducha. (Tak przynajmniej rozumował Kaneyasu.) To było zwycięstwo większego przemysłu, dysponującego nieograniczonym dostępem do surowców strategicznych, nad mniejszym, zużywającym w alarmowym tempie kurczące się zbyt szybko rezerwy. W takich czasach można by w zasadzie rozstrzygać wojny jeszcze przed ich rozpętanem – ot, po prostu porównując dane z roczników statystycznych. Ciekawe, że wielu nowocześniejszych myślicy oficerów w armii i we flocie bardzo dobrze zdawało sobie sprawę z dysproporcji rezerw i zaplecza. Yamamoto nie był w swoich opiniach odosobniony. Zastanawiające także było to, że wojskowi – zazwyczaj tak przewidujący i zdolni do precyzyjnej oceny szans – rzucili się w wir tej wojny z bezrozumną desperacją wojownika, któremu to, czy ma szansę na zwycięstwo, czy też jest ich pozbawiony, nie robi żadnej różnicy. Myślenie o wojnie, jej przyczynach i nieuchronności klęski Kaneyasu dla urozmaicenia przerywał sobie, próbując w myślach ćwiczyć. Chwilami, wtedy gdy zapominał o innych rzeczach i swoim niepokojem o matkę, nawet mu się to udawało. Do prawdziwych ćwiczeń wydawał się sam sobie zbyt obolały i zniechęcony, ale formy pięknego poziomu hasegawa wychodziły mu w wyobraźni bardzo dobrze. W jakiejś mierze wyciszało to wyrzuty sumienia. Przecież powinien ćwiczyć i dbać o formę, bo jak tylko uda mu się stąd wyrwać...

Ostrożnie usiłował odwrócić się na drugi bok i wreszcie zdołał otworzyć sklezione powieki. Podbite oczy to nie był największy problem. Gdzieś od

pasa w dół zaczynał się mrowiący ból, taki jak po otarciu podczas długiej drogi w upale, kiedy uda kleją się do siebie, a nie można zmienić bielizny ani użyć kojącej maści z oleju palmowego. Kaneyasu, stękając, podparł się na łokciach i podczołgał do ściany. Wtedy bardzo szybko otrzeźwiał i przypomniał sobie wszystko.

Impreza zapowiadana przez profosa zaczęła się istotnie wieczorem. Gości w osobach czterech krzepkich Koreańczyków w różnym wieku – najmłodszy miał może dwadzieścia pięć lat, najstarszy czterdziestkę – przyprowadził Jeleń. Mieli na sobie sfatygowane japońskie mundury bez dystynkcji. Kaneyasu wiedział, że Koreańczyków z okupowanych terytoriów powoływano do służby pomocniczej. Pętali się po intendenturach, harowali jako kierowcy i poganiacze w transporcie. Najczęściej używano ich do pilnowania jeńców w obozach, powierzając najbardziej uciążliwą służbę wartowniczą wszędzie tam, gdzie brakowało japońskich żołnierzy służby czynnej i coraz starszych roczników rezerwy. Kaneyasu słyszał, że nie byli najlepszymi żołnierzami. Stanowili rozsądę łapownictwa, destrukcji i pokątnego obozowego handelku. Kaneyasu nie miał nic przeciwko Koreańczykom, ale do tej pory udawało mu się trzymać od nich z daleka. Zobowiązywała go do tego zarówno pozycja w korpusie oficerów marynarki, jak i dobre urodzenie. Nie zastanawiał się nigdy nad swoim do nich stosunkiem ani nad ich narodowym losem, uważając, że szkoda czasu na jałowe dociekania sprawiedliwości i niesprawiedliwości we wzajemnych relacjach.

Sam fakt, że Koreańczyków zamknięto razem z japońskim oficerem, stanowił coś bardzo dziwnego i Kaneyasu postanowił mieć się na baczności. Zachowywali się z początku nieśmiało, jak wieśniacy, których zaproszono na przyjęcie do domu dzierżawcy, ale w ich spojrzeniach Kaneyasu odkrył z przerażeniem coś fałszywego i podstępnego. Zaledwie jednak, nie kłaniając mu się (co wyrozumiale im wybaczył), ulokowali się w przeciwległym końcu celi i przysiadając na piętach, rozpoczęli niespieszną gadkę w swoim gardłowym i niebrzmącym przyjemnie dla

uszu Japończyka języku, w drzwiach ukazał się profos w towarzystwie strażnika, który wstawił im do celi okazałych rozmiarów kosz. Koreańczyków kosz nie zdziwił. Zabrali się do jego rozpakowywania z takim spokojem, jakby z góry wiedzieli, co zawiera.

To rzeczywiście miało być przyjęcie. Mnóstwo gotowanego na parze ryżu, ryby, cienkie strąki czerwonej papryki, wodorosty i sake. Naprawdę dużo sake, choć Kaneyasu bardziej by się ucieszył widokiem ciepłobrazowych flaszek Jasia Wędrowniczka. Nie bardzo wiedział, jaką postawę wobec tych ludzi ma przyjąć. Czy będą tu siedzieć na stałe? Ale wtedy przynieśliby ze sobą koce i miski. Więc chyba nie. W takim razie to towarzystwo na wieczór... Przecież tłusty Jeleń zapowiadał imprezę. Ale dlaczego Koreańczycy? To wszystko było zupełnie niespójne i niezrozumiałe. W zasadzie powinien uważać i zachować pełną czujność, ale widok białych butelek sake dziwnie osłabił jego wolę. Na myśl o tym, że będzie mógł pić, Kaneyasu odczuł podniecenie. Koreańczycy rozpakowywali kosz, a on zastanawiał się, jak poprosić o alkohol. Najstarszy, o wyglądzie spracowanego drwala, z pomarszczoną, opaloną twarzą, krzywiąc się w uśmiechu wyciągnął w jego stronę czarę, a inny odkorkował flaszkę i nalał mu, kłaniając się. Kaneyasu ujął czarę w obie dłonie i badawczo, ale bez agresji popatrzył w oczy Koreańczyka.

– Dziękuję bardzo – powiedział.

Tamten nie kwapił się – jak wypadło w takich sytuacjach - by lekko opuścić wzrok, więc Kaneyasu zatrzymał swoje spojrzenie nieco dłużej między oczami ofiarodawcy. Koreańczyk wytrzymał ten nacisk tylko przez chwilę, po czym, kłaniając się, zrejterował, a jego bezczelne przed chwilą spojrzenie umknęło gdzieś w bok.

A więc tacy jesteście? – pomyślał sobie wówczas Kaneyasu.

– Wielcy bohaterowie wyzywający wszystkich wzrokiem. Ale wystarczy was trochę przycisnąć, a już was nie ma.

– Ty kapitan? – zagadnął go po chwili najstarszy, a Kaneyasu z westchnieniem irytacji uświadomił sobie, że jego goście mówią

w dziwnym, łamanym japońsko-koreańskim językiem, powstałym samoistnie na użytek ciemnych obozowych sprawek.

Kiwnął głową i wyciągnął pustą już czarękę.

– Jesteście żołnierzami? Za co was posadzili? – spytał, wyraźnie wymawiając słowa i obserwując, jak najstarszy pilnie śledzi ruchy jego warg.

– Tak. Żołnierze... – przytaknął skwapliwie najstarszy. – Ale nie front...
– Popatrzył wyczekująco na Kaneyasu, a ten wyrozumiale pokiwał głową. Sake smakowała wyśmienicie.

– Obóz? – nie tyle spytał, co stwierdził Kaneyasu, a Koreańczyk potwierdził.

– A za co tu siedzicie? – chciał wiedzieć Kaneyasu, choć właściwie domyślał się przyczyn.

– Komendant... Japoński... Coś nie dobry dla Amerykanie. Za dużo nie dobry. Szubienica. Zakopywał do ziemi. Niedobry...

– Najstarszy wymownymi gestami uzupełniającymi wobec leksykalnych braków ekspresję opowiadania pokazywał, co japoński komendant robił jeńcom.

– A wy? – dopytywał Kaneyasu.

– My? – Najstarszy pokazał na żylaste muskularne, spalone słońcem piersi. – Mówi, że my też winne. Że zbrodniarze.

Wojna. Niedobry. Mówi, że powiesi. – Nieoczekiwanie posmutniał, a Kaneyasu zaczął mu niemal współczuć.

– Nic wam nie zrobią – bagatelizował, zastanawiając się po raz kolejny nad motywami dziwnej wizyty w kontekście jeleniowej „imprezy”. Co im kazano tu zrobić? Przecież nie wsadzili ich tu tylko po to, żeby ze mną pili...

Po monotonii rozgotowanego prosa, które było wprawdzie bardzo pożywne, ale smakowało jak kozie gównu, i żylastego, najpośledniejszego gatunku daikonu* (**Popularna w Japonii biała rzodkiew.*) ryż był cudownym przeżyciem. Kaneyasu na chwilę zapomniał o całym świecie,

rozprowadzając po języku ziarna. Japoński ryż był zaiste wyjątkowy i nic nie mogło go zastąpić. Kaneyasu przypomniał sobie, że wyśmiał kiedyś młodszego stopniem za jego natchnione i pełne wiary twierdzenia o wyższości japońskiego ryżu nad innymi ryżami świata. Ale tak właśnie było. Dostał im się kiedyś ryż ze zdobycznych brytyjskich zapasów. Bodaj indyjski. W porównaniu do krągłych, delikatnie matowych ziaren to było spiczaste, chropowate świństwo, którego nie dało się przełknąć. Wydało mu się wówczas, że on, Japończyk, jest takim unikatowym ryżem, a inne ryże świata, czyli inne nacje nie dorastają mu do pięt. Teraz, gdy patrząc sponad krawędzi miseczki na czterech Koreańczyków, wrzucał pałeczkami grudki ryżu do ust, sam sobie wydawał się śmieszny i żaloszny, ale ryż był japoński i wyjątkowy.

Koreańczycy znali się widać na kuchni, bo wydobywszy wiktuały, sprawnie zabrali się do gotowania. W koszu był kociołek i mały spirytusowy palnik, który nazywali po japońsku „maszynką”. Była też duża, trzylitrowa chyba, butla z wodą. Po kwadransie w kociołku buzowało coś, co zapowiadało się na *shabu-shabu*, ale nazywało się inaczej.

- *Saengseon Chige* [71](#) – oświadczył najstarszy, wyjmując kolejne wiktuały i ostry duży nóż (co znów zastanowiło Kaneyasu, ale nie dał tego po sobie poznać).

- *Senson Czige* – powtórzył ostrożnie Kaneyasu, smakując nowe słowa na języku, ale nie potrafił oddać gardłowej wymowy człowieka z Kyeongju. – A to co za ryba? – spytał, pokazując palcem. Nigdy takiej nie widział. Była srebrzysta, jakby wykonano ją z polerowanego aluminium, długości jego przedramienia, z niewielkim łepkiem, który najstarszy Koreańczyk przekroił wzdłuż, i całkiem małym ogonkiem. Wyglądała jednak na silną, a ostre zęby w pyszczku, który trochę przypominał dziób orła, były z pewnością niebezpieczne.

- *Chige!* – poprawił życzliwie, starannie wymawiając, najstarszy. I uzupełnił dobrodusznie: – Ryba dobry. Bardzo dobry. Taki okoń, ale inna.

Przekroił orłorybę wzdłuż, odciął łeb silnymi jak szpony, suchymi

palcami, niczym maszyną do filetowania, wyszarpnął kręgosłup, po czym zręcznie pokroił obie połówki w dzwonka i wszystko, łącznie z łbem, wrzucił do wrzątku. Na oczach zafascynowanego jego zręcznością Kaneyasu pokroił drobno kostkę świeżego tofu, pieczarki i pędy zielonej cebuli. Gdy zawartość kociołka zaczęła się burzliwie gotować, dorzucił potężną garść czosnku pogniecionej trzonkiem noża na deseczce i zaprawił z wyjętej z pazuchy buteleczki brunatnym, intensywnie pachnącym sosem.

- *Kochujang* [72](#) – objaśnił.

Gdy po piętnastu minutach aromat polewki wypełnił celę, najstarszy dorzucił na wierzch kociołka pęk ziół, które wyglądały jak liście ogrodowej chryzantemy, ale miały ostry i gorzki zapach. Polewka pachniała mocno i – jak na japoński gust Kaneyasu – ordynarnie, ale zapowiadała tym zapachem coś rozkosznego. Aby dopełnić rytuału, najstarszy wlał do kociołka dobre pół butelki sake i zdecydowanym ruchem przykręcił płomień palnika.

Potrawa miała oszałamiający, ostry i zarazem kojący podniebienie smak. Mogła być spełnieniem marzeń wszystkich niepoprawnych pijusów, którzy nadużywszy alkoholu, pragną wprowadzić nową treść do zrujnowanego alkoholem żołądka. Kaneyasu wiele by teraz dał, by móc jeszcze raz jej spróbować. Polewka była taka dobra, że zapomniał o tym, że każąc mu obcować z Koreańczykami, po raz kolejny poniżono jego więzienną godność, i tak już zniwelowaną niemal do zera przez brutalne przesłuchania. Po kilku kolejnych czarkach sake, które wezwany do spełniania toastów posłusznie opróżniał, niemal ich polubił. Przestały mu przeszkadzać ich bezczelne, myszkujejące spojrzenia i zapach ciał. Choć nie znał ani języka, ani cech tego narodu, instynktownie wyczuwał w nich ludzi z niskich stanów. Można to było rozpoznać po sposobie trzymania naczyń i pałeczek, po hałaśliwości i po czymś, co na sali treningowej nazywało się „pracą z ciałem”. Ruchy ich ciał, suchych, nieobciążonych ponad miarę mięśniami, opalonych i w dziwny sposób pokracznych były naturalne i Kaneyasu stwierdził w duchu, że taką sprawność uzyskuje się przy ciężkiej,

wymagającej zręczności pracy.

– Jesteście rybakami? – zapytał, gdy wszyscy strząsnęli kropelki ostatniej kolejki. Odpowiedzieć chciał któryś z młodych, ale najstarszy przyhamował jego zapał ciężkim spojrzeniem, które uzmysłowiło Kaneyasu, że od początku „imprezy” odzywa się tylko najstarszy, a trzej pozostali co najwyżej potakują lub wyrażają swoje emocje spojrzeniami, uśmiechami i gestami. Najstarszy usiadł wygodniej i poprawił ułożenie brudnych, bosych stóp ze zrogowaciałymi, nigdy najwidoczniej niepumeksowanymi piętami.

– My rybaki – potwierdził, a ponieważ mówienie o przeszłości sprawiało mu przyjemność, rozgadał się na dobre: – Ale niedaleko od brzeg. Blisko. Mała łódź. Łowi i zaraz na targ. Świeża ryba. Dobry. Chciał łowi i w wojna. Mówił. Lepiej, jak łowi ryba dla wojsko. Ale kazały pilnować więzień. Amerykan. To niedobry dla rybak. A teraz chce powiesi. – Zasmucił się znów, przypominając sobie najwidoczniej, co go czeka.

– Nic wam nie zrobią – powtórzył po raz drugi tego dnia Kaneyasu, ale nie był tego taki pewien.

Najstarszy podziękował mu krzywym, nieszczerym, spojrzeniem, a Kaneyasu stwierdził z niepokojem, że los czwórki koreańskich rybaków, wplątanych w obozowe morderstwo, zupełnie go nie obchodzi. Przypomniał sobie, co wiedział o takich ludziach przed wojną. W istocie nic. Był przecież kiedyś w Korei na targu rybnym w Pusan, rozpostartym zda się w nieskończoność wzdłuż wybrzeża. Wtedy bardziej fascynowało go to, co tam sprzedawano, niż ludzie, którzy wydobywali to z morza. On, który był przecież także człowiekiem morza, pracownikiem morza, takim jak bohater powieści Hugo, ale nie miał pojęcia, że w morzu żyje tyle gatunków. Większości z nich nie potrafił zidentyfikować, a co dopiero nazwać. W wielkich, zasilanych przez specjalny targowy wodociąg akwariach, kadziach i korytach kłębiło się, pływało, wachlowało płetwami, ogonami i mackami tysiące gatunków i stworzeń. Niektóre najzupełniej fascynujące kształtami i kolorami. Zaciekawilo go wówczas, co dzieje się z tymi, które

nie znalazły nabywców. Czy wyrzuca się je z powrotem do morza? A może po prostu na śmietnik. Pamiętał, że jego wzrok przyciągnęła wówczas wielka szklana kuweta, w której kłębiły się białe kształty. Tak. To były węgorze, które żywcem obdarto ze skóry, a które jeszcze żyły. I to jak żyły! Zostawiono im bowiem skórę na łbach i oczy. Kaneyasu zastanawiał się wówczas, ale tylko przez chwilę, jakie to może być doświadczenie. Życie po obdarciu ze skóry, która – jak się okazuje – do tego, by żyć przez pewien jeszcze czas i poruszać się konwulsyjnie – jest zbędna. Wrażenie z rybnego targu dopełniła wówczas witryna sklepu, w której rozkosznie baraszkowały czarno-białe szczeniaczki. Tak ładne i rozkoszne, że stał przed sklepem kilkanaście minut, obserwując ich nieporadne baraszkowanie. Dopiero gdy udało mu się oderwać od nich wzrok i pokonać (mimo zachęcającej ceny) chęć kupienia jednego z piesków, uświadomił sobie, że akwarium na leżącym kilkanaście metrów poniżej targu rybnym (sklep z pieskami ulokowano na górującym nad nabrzeżem wzgórzu) niczym się od niego nie różni. Przecież te psiaki sprzedawano na zupe. Słynną, rozgrzewającą i leczącą wszystkie dolegliwości stawów i kręgosłupa, koreańską psią zupe⁷³.

Wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie swoją niechęć i pogardę do tego narodu. Pomyślał, że naród, który w ten sposób traktuje zwierzęta, nie zasługuje na lepszy los. Ale po powrocie do kraju szybko o tym zapomniał, zachowując w pamięci jedynie obraz ślicznych koreańskich dziewcząt o wielkich oczach, długich nogach i kształtnych biodrach.

Koreańczycy nie wyczuwalijego niemanifestowanej pogardy i „impreza” rozwijała się w najlepsze. Kaneyasu zaś miał się na baczności. Jednakże – jak to często „w takich razach” bywa – szybko udało mu się zapomnieć o własnym postanowieniu i nie wiedząc kiedy, przekroczył granicę, której nie wolno mu było naruszać. A już z pewnością nie tego dnia. Alkohol w nadmiarze u ludzi takich jak Kaneyasu od pewnej dawki zaczyna działać jak katalizator zachowań i postaw, których pijący postanowił się wystrzeżać. Jest to faza, w której jesteśmy przekonani, że się

kontrolujemy. Ale jest to przekonanie złudne. Tymczasem po kolejno spełnianych do dna toastach pojawił się główny punkt programu – butelki amerykańskiej taniej whisky. Kaneyasu, śmiejąc się głupkowato, doprowadził się do stanu najgorszego z możliwych. Pokazywał rozochoconym Koreańczykom sztuczki wykorzystujące jego znajomość gospodarowania energiami, czego nie powinien demonstrować po pijanemu i czego nie powinien demonstrować w ogóle. Potem, podniecony sukcesem, postanowił pochodzić na rękach. Gdy po kilku wysiłonych, nieudolnych krokach zwałił się na cementową podłogę, zaśmiewając się z własnej głupoty, jak pijany kappa⁷⁴, rzucili się na niego wszyscy czterej, przewrócili na brzuch i uświadomili mu cel i strategię „imprezy”. Wreszcie – w przenośni i dosłownie - szeroko otworzyły mu się oczy.

Przypominając sobie po kolei szczegóły i sekwencje wydarzeń, przewinął w myślach rolkę filmu, którego nie powinien nigdy więcej oglądać i w którym wziął udział jako główny aktor.

Zrobili to! Zrobili, zaśmiewając się z jego bezradności, kopania nogami, rozdierających krzyków bólu i gróźb, że ich pozabija. Bo przecież to oni go zabijali. Każdym ruchem, każdym prostackim oddechem, cuchnącym czosnkiem. Sprowadzili jego człowieczeństwo do poziomu brudnej, zachlapanej wydzielinami podłogi. Jeśli to nie był ich pomysł, a polecenie Jelenia lub pana audytora, zamiar doprowadzenia go do ostateczności - uczucia beznadziei, oszołomienia, wstydu i rozpacz - powiódł się znakomicie. W wielkiej samotności zatrutej gwałtem celi, zwijając się jak noworodek w łonie matki, Kaneyasu rozpoczął teraz mozolną wspinaczkę na wielką, mroczną górę, na której szczycie spodziewał się znaleźć odpowiedź na pytanie o sens dalszego istnienia.

Forpik kutra artyleryjskiego projektu 213, Morze Japońskie, koniec listopada 1947 tuż przed północą

Usiłował ulokować się na jednej ze składanych koi, ale krótka, niespokojna fala rzucała okręcikiem tak, że po chwili znalazł się na podłodze. Hałas i wibracje wielkiego benzynowego silnika były potworne. Doświadczonym uchem ocenił, że motory miały co najmniej po tysiąc koni * (** W rzeczywistości licencyjne packardy kutrów serii G-5 projektu 213 miały po 1150 koni mechanicznych, co pozwalało rozwijać kilkunastometrowym okręciom zawrotne prędkości bliskie 50 węzłów.*). Były na pewno dwa, bo od czasu do czasu na skutek różnic oporu, jaki woda stawiała śrubom przy zmianach kursu, amplituda obrotów silników rozjeżdżała się dysonansowo, co sprawiało, że jazgot stawał się jeszcze bardziej nieznośny. Kaneyasu z trudem uniósł się na kolana, kiedy jednak usiłował wcisnąć się na powrót w kąć legowiska, kuter – podrzucony widać większą falą – wyskoczył w górę, a dziób opadł w kolejną dolinę tak szybko, że on sam został w powietrzu. Tyle tylko, że uderzył boleśnie czaszką w na szczęście sprężynujące dno górnej koi, a dolna – na skutek przesunięcia dziobu tym razem w płaszczyźnie poziomej – umknęła mu spod zadka i znów wylądował na zimnej, śmierdzącej benzyną i moką stęchlizną podłodze. Łomotała pod nią i szorowała zagarniana przez kuter woda, tak iż miało się wrażenie, że samo cieniutkie, choć z pewnością podwójne duraluminiowe dno, faluje pod siedzeniem. Zachichotał żałośnie i rozłożywszy ręce tak, by zaklinować się między kojami, zrezygnował z dalszych prób zajęcia bardziej godnej pozycji. Rezygnacja z godności po prawie dwu latach przebywania w celi przychodziła mu bez trudu. Mówiąc dokładniej – nauczył się doskonale udawać, że na godności zależy mu mniej niż na dłuższym spacerze na więziennym dziedzińcu.

Ciekawe, że człowiek w czarnym kombinezonie, wyglądającym na sprytną kombinację elementów umundurowania sił specjalnych ze strojem ninja, i w czarnej kominiarce, a w zasadzie w dwu przemyślnie zawiązanych czarnych chustach, utrzymywał się na przeciwległej koi bez żadnego widocznego wysiłku, samą chyba siłą woli. Skrzyżował na posłaniu drobne stopy, obute w chińskie pantofle na sznurkowej podeszwie, i zdawał

się poświęcać całą uwagę patrzeniu na kapitana oraz swojemu niewielkiemu waltherowi PPK, trzymanemu niedbale między kolanami. Agenturalny pistolecik świetnie harmonizował z drobną figurką zamaskowanego komandosa.

To właśnie ten człowiek, równy Kaneyasu wzrostem, ale drobnej budowy, wtargnął do jego aresztanckiej kabiny na sowieckim dozorowcu. Kabiny, którą dzielił z trzema innymi więźniami. To ten człowiek wysokim, dźwięcznym głosem spytał wtedy w starannej japońszczyźnie:

– Który z panów nazywa się Kaneyasu Toru?

Gdy Kaneyasu odruchowo, nie bacząc na konsekwencje, wystąpił krok przed szereg stremowanych z emocji i nadziei współwięźniów, komandos wyjął tegoż małego walthera PPK i szybko ich zastrzelił, celując w głowy. Potem uprzejmym gestem zachęcił Kaneyasu, by ten – przestąpiwszy ciała towarzyszy niedoli i zabitego przed drzwiami aresztu strażnika – wyszedł na pokład. Strażnika dla odmiany chyba nie zastrzelono – na pokładzie nie widać było śladów krwi – ale skrecono mu kark, bo leżąc na brzuchu patrzył martwymi oczami dziwnie daleko za siebie, jakby nawet po śmierci usiłował sprawdzić, kto się do niej przyczynił. Każdy krok po rozkołysanym pokładzie, pod szybko ciemniejącym listopadowym niebem, był dla Kaneyasu rozkoszą. Od tak dawna był pozbawiony przestrzeni. Kochał przestrzeń. Lubił, gdy nic nie zakłócało mu widoku odległego horyzontu. Kiedy – delikatnie popychany lufą walterka – wyszedł na pokład, stwierdził, że pomiędzy nim a ledwo już zauważalną linią horyzontu nie ma niczego prócz trzech podskakujących na krótkiej, złośliwej fali Morza Japońskiego, jak wędkarskie spławiki, gdy ryba szarpie za haczyk, karykaturalnie małych okręcików. Okręcików, dodajmy, o śmiesznie wyoblonych na użytek wielkich prędkości kadłubach, z małymi wysepkami sterówek i groźnie sterczącymi lufami dwudziestomilimetrowych działek i wukaemów. Numery taktyczne tych, jak szybko ocenił, kutrów torpedowych zostały zamalowane ciemną farbą, a na flagsztokach brakowało banderek. Na pokładzie leżało w zastygłych pozach kilka

trupów żołnierzy z piechoty morskiej i marynarzy w czarnych żałobnych kurtach. Wyglądało na to, że zginęli gwałtowną śmiercią. Jeden z kutrów, mimo wysokiej fali, rezydował przy burcie sowieckiego dozorca. Człowiek z waltherem, niedwuznacznie kiwając pistoletem, wskazał na jego pokład. Zejść na kuter było niełatwo, ale dwu podobnie zamaskowanych ludzi pomogło Kaneyasu nie wpaść pomiędzy ocierające się burtami okręty, oddzielone tylko kilkoma odbijaczami ze starych opon. Właz forpiku był otwarty, lecz Kaneyasu nie był w stanie dojść do niego na stojąco i opadł na kolana. Uznał, że bezpieczniej będzie, przy wciąż wzrastającej fali, włożyć najpierw głowę i górną część tułowia. Przewinął się, trzymając za krawędź włazu, i gdy stopy stuknęły o podłogę, odczuł wielką frajdę, że udał mu się ten akrobatyczny, stosowniejszy dla czołgisty manewr ciałem. Ledwie znalazł się na dole, poczuł, że komandos, ów drobny morderca, wylądował bez hałasu na podłodze tuż za jego plecami.

Wydarzenia ostatnich kilkudziesięciu minut sprawiły Kaneyasu przyjemność, a po monotonii ostatnich dwu lat stanowiły prawdziwą niespodziankę. Po pamiętnej koreańskiej imprezie przestano go bowiem przesłuchiwać. Powoli i nieuchronnie zaczął się pograżać w otępieniu. Objawy tego stanu były niepokojące. Przestał cieszyć się wspomnieniami i dbać o paznokcie. Było mu wszystko jedno, co je i ile razy w tygodniu prowadzi się go pod prysznic. Być może – gdyby zdecydował się na jakąś odrażającą, prymitywną i męczącą metodę – udałoby mu się popełnić samobójstwo, ale na szczęście wezwano go w końcu na przesłuchanie, a właściwie nie na przesłuchanie, a po to, by zaznajomić go z najzupełniej od niego niezależnymi wyrokami losu. Szanowny i wszechwładny pan audytor w obecności szanownego i wszechwładnego Jelenia po kilku rytualnych szturchańcach i groźbach, które nie robiły już na nim żadnego wrażenia, oświadczył, co miał do oświadczenia, a Kaneyasu słuchał z uprzejmym zainteresowaniem, nie zadając żadnych kłopotliwych pytań

– Upomniał się o ciebie sowiecki prokurator! – wypalił major. Kaneyasu uśmiechnął się w duchu, myśląc, że nic go już nie zaskoczy. – Nie pytasz

dłaczego? – Audytor teatralnie zawiesił głos.

Ciekawe – pomyślał Kaneyasu – czemu zawsze, i w życiu, i w książkach, takie stanowiska zajmują pewni swojego wyimaginowanego autorytetu kretyni. Skrywając irytację pod powiekami, ukłonił się uprzejmie panu audytorowi i powiedział cicho:

– W mojej obecnej sytuacji zadawanie jakichkolwiek pytań nie ma najmniejszego sensu, panie majorze.

– To i lepiej. – Major był chyba zadowolony, bo zatarł dłonie, jak ktoś, kto ma za chwilę wypić czarę sake, a stojący czujnie w kącie Jeleń także się uśmiechnął. – Może i nie jesteś ciekaw swego losu, lecz mam obowiązek wyjaśnić ci to i owo. – Audytor łągał, bo wcale nie miał obowiązku wyjaśniania czegokolwiek, ale dręczenie tego akurat więźnia sprawiało mu nieodmiennie od dwu lat dewiacyjną, niemal seksualną przyjemność. Ciągnął zatem: – Sowieci twierdzą, że jesteś zbrodniarzem wojennym... – Umilkł na moment, ciekaw reakcji kapitana. Kaneyasu pokiwał głową ze smutkiem, ale nie powiedział nic, więc audytor mówił dalej: – Twierdzą, że dowodziłeś oddziałem specjalnym w Mandzurii. Co ty na to? – Kaneyasu znów pokiwał głową ze smutkiem w oczach, a audytor uznał najwidoczniej ten gest za akt przyznania się do winy, gdyż powiedział: – A widzisz. Sowieci nie są tacy głupi. A w ogóle to – dodał tonem wyjaśnienia – teraz toczą się procesy zbrodniarzy wojennych⁷⁵. Takich jak ty... Na pewno mordowałeś kobiety i dzieci, i pewnie gwałciłeś, jak ten żołnierz w Chinach. Nie wiesz, o kim mówię? Też był z oddziału specjalnego. – Pan audytor przemawiał z taką satysfakcją i zaangażowaniem, że nawet Shika, którego najwyraźniej nudziła ta mitomańska farsa, zaczął słuchać z zainteresowaniem. – Ten bandzior pacyfikował wsie. Nakazał, żeby wydawano mu młode dziewczyny. Musiał sobie poużywać. W jednej wsi Chińczycy zaparli się i poukrywali dziewczyny. Ogłosił więc, że dopóki nie dostanie tych dziewcząt, będzie mordował małe dzieci. Po kolei. I faktycznie – wziął małą dziewczynkę. Miała trzy latka... – rozczulił się pan audytor, a Kaneyasu bez trudu odczytał w jego głosie fałsz

i podniecenie. – Poderżnął jej gardło⁷⁶. Podobno zrobił przedtem coś jeszcze, ale nie chce się przyznać. Siedzi tu u nas, niedaleko od twojej celi. Pracujemy nad nim. No tak... – Potarł czoło teatralnym gestem, jak ktoś, kto ma pokazać, że się rozgadał. – Sowietci zamierzają cię zabrać. Pewnie po to, żeby zrobić wizję lokalną w tej Mandżurii albo żeby także nad tobą popracować przed procesem. Spokojnie, swoimi metodami... – rozmarzył się, myśląc, że chętnie poznałby sowieckie metody. – Jednym słowem, rozstajemy się z panem kapitanem z wielkim żalem, ale także z nadzieją – tyrada audytora brzmiała coraz bardziej teatralnie – że przekazujemy go w godne ręce. Jednym słowem... – Zastanowił się chwilę.

Uznał zapewne, że odrobina kurtuazji na pożegnanie będzie całkowicie na miejscu i zaświadczy o jego klasie, gdyż dodał: – Proszę spakować rzeczy. Za godzinę przewiozą pana do portu.

Do portu eskortowali go Amerykanie. Trzech krótko ostrzyżonych osiłków z żandarmerii, opowiadających sobie bez przerwy głupie dowcipy. Najwidoczniej nie wiedzieli, że Kaneyasu doskonale włada angielskim. Toru zaś miał coś lepszego do roboty, niż słuchanie ich prymitywnych żartów, w których (choć oni zarykiwali się ze śmiechu) nie widział nic szczególnie dowcipnego. Wieźli go skutego otwartym dżipem i po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł wiatr na twarzy i wielką chęć do życia. Cieszył się, że znów zobaczy port. W dzieciństwie było to jego ulubione miejsce. Po szkole jeździł tam na zdezelowanym, wciąż psującym się rowerze, o który nie dbał i którego nie konserwował. Potem godzinami krążył po dostępnych dla publiczności wybetonowanych nabrzeżach, kręcąc finezyjne ósemki i obserwując wypływające z Fukuoki promy pełne rozgadanych i roześmianych ludzi. Teraz, wbity między żandarmów na tylnym, twardym, wyściełanym ceratą siedzeniu dżipa, zobaczył, że port wcale się nie zmienił. Nie widać było zniszczeń i jedynie wystające z wody nadbudówki transportowców zbombardowanych na płytkich wodach wewnętrznej redy świadczyły o tym, że trwały tu działania wojenne. Wraków nie było zresztą wiele. Pewno podnoszono je z dna i cięto na złom.

Rozczulił się, gdy dżip mijał jeden z basenów, bo wciąż tkwił tam pomalowany jaskrawo, stareńki, ale świetnie utrzymany okręt przeciwpożarowy o dźwięcznej nazwie „Ukishima”. Jako chłopiec marzył, by zobaczyć „Ukishimę” w akcji, ale na redzie nigdy nic się nie zapaliło. Tak jak przed laty, okręt sprawiał wrażenie opustoszałego, lecz pięknie wyszorowany pokład i świeże poprawki malarskie, a także cieniutka strużka dymu ulatująca z komina świadczyły, że jest gotów na każde wezwanie.

Przy oddalonym od budynków dworca morskiego pirsie czekał na nich sterany służbą sowiecki dozorowiec najwyraźniej przeciążony uzbrojeniem. Na siedemdziesięciometrowej – jak oceniał na oko Kaneyasu – jednostce ustawiono dwa zbyt wielkie, jak na tak nieduży okręt stumilimetrowe działa, a – jakby tego było mało – pomiędzy kominami trzyrurową wyrzutnię torped. Dozorowiec miał archaiczną sylwetkę z prostą dziobnicą i rufowym kranem do stawiania min. Wypisana cyrylicą na niskiej, dziwacznie ściętej rufie nazwa „Mietiel”⁷⁷ niczego kapitanowi nie mówiła. Gdyby zaś wyjaśniono mu, co oznacza, pewnie uśmiechnąłby się wyrozumiale.

Dość długo trwały formalności – podpisywanie i przekazywanie papierów oraz wzajemne wyjaśnienia, bo Rosjanie nie znali angielskiego. Nie martwiło to kapitana, gdyż miał okazję, siedząc na pokrywie luku, obserwować do woli port, morze i niebo. Gdy wreszcie odbili, było już ciemno. Kaneyasu z żalem, ponaglany gestami i rosyjskimi komendami, których nie rozumiał, dał się zaprowadzić pod pokład. Miał nadzieję, że będzie mógł spędzić na pokładzie noc pod gwiazdami, bo było ciepło i cicho, a morze gładkie jak blat sosnowego stołu w mesie Sen-toku. Miał też nadzieję, że będzie w celi sam, ale czekało go niemiłe rozczarowanie. Gdy matros z pepeszą na pasie wepchnął go do niewielkiego pomieszczenia, Kaneyasu zrozumiał, że podróż odbędzie w towarzystwie.

Było ich trzech, w porządnie wypranych i wyprasowanych oficerskich mundurach bez dystynkcji, ale od razu zorientował się, że to piechociarze.

Uklonił się im krótko i mając nadzieję, że dadzą mu spokój, wcisnął się w kąć jednej z czterech koi ustawionych piętrowo po dwie pod ścianami czystego i starannie odmalowanego aresztu. Jedynym mankamentem był brak iluminatora i towarzystwo. Niestety, nie dali mu spokoju i gdy dokonali formalnej prezentacji, podając stopnie i nazwiska, chcąc nie chcąc i on musiał wyleźć z kąta i przedstawić się im nazwiskiem ze swojej legendy.

– Pan cywil? – nie mógł się nadziwić major Jakiś-tam. – To po co pan Sowietom?

Jego kolega, pułkownik Jakiś-tam, wysoki i cienki jak włócznia *yari*, nieproszony pospieszył z pomocą:

– To nie słyszał pan, że za wykroczenia przeciwko dyscyplinie wojennej mogą być rozliczani także nasi zwykli obywatele?

Określenie „zwykli obywatele”, samo w sobie grzeczne i neutralne, zawierało lekki odcień pogardy, ale Kaneyasu nie podejmował wyzwania, uznając, że ma po raz kolejny do czynienia z pewnymi swoich przekonań głupcami. Nie odezwał się więc, a tylko smutno się uśmiechnął. Jeśli to fanatycy, lepiej ich nie drażnić. Szczególnie w tak małym pomieszczeniu. Majora nie usatysfakcjonowało jednak wyjaśnienie tyczkowego pułkownika i naciskał. Wstał nawet ze swej koi ustawionej naprzeciw koi kapitana i nachylił się nad nim, co już nie było grzeczne. Od spoconej gęby biła woń zbliżona do zapachu topionego masła.

– Nie odpowiedział pan na pytanie! – W kąciku ust o wąskich, łuszczących się wargach zaległa plamka zaschłej śliny. Kaneyasu uznał, że nie będzie dalej tolerował takiego zachowania. Zestawił porządnie stopy, wychylił się spod górnej koi i powiedział zimno, choć uprzejmie:

– Nalegam, żeby dano mi spokój. Przedstawiliśmy się sobie i mniemam, że powinno to panu wystarczyć. Jestem zmęczony i nie mam ochoty na rozmowy...

– Niiieee... Pozwól pan... – Nachalny major rozkraczył się nad kapitanem i najwyraźniej zamierzał złapać go za klapy i uczyć szacunku

dla kadry. Kaneyasu także się uniósł. Bez trudu wyprzedzając ruch oficera, zacisnął dwa palce prawej dłoni (wskazujący i kciuk) na tętnicy szyjnej majora, kierując je w górę w kierunku zuchwy. Przerwało to natychmiast dopływ krwi do mózgu i gniewne oczy majora zagasły, jak zdmuchnięty nagłym powiewem wiatru ogrodowy lampion w papierowej osłonie, a jego ciężkie ciało bezwładnie klapnęło na podłogę. Być może zrobiłoby sobie przy tym krzywdę, ale Kaneyasu podtrzymał je opiekuńczo i puścił łokieć dociekliwego majora dopiero wtedy, gdy upewnił się, że zad oficera dosięgnął stalowej podłogi. Kapitan wrócił wówczas do swego kąta i ogłosił pozostałej dwójce:

– Panowie. Bardzo proszę nie zadawać mi więcej pytań. Mam swoje powody i nie pytam was o wasze. Jeśli będziecie mnie niepokoić... – Wymownie pokazał spojrzeniem na majora, którego cielsko zajmowało całą przestrzeń podłogi.

– Czy... Czy pan go zabił? – ośmielił się zapytać drżącym głosem ten trzeci, który dotychczas się nie odzywał. Był niziutki i miał starannie rozczesane rzadkie włosy, których tłuste pasemka oklejały śmiesznie czaszkę.

– Skądże znowu. – Kaneyasu uśmiechnął się wyrozumiale, myśląc, że zbrodniarze wojenni, którym zapewne łatwo było pozbawiać życia innych, wiedzą tak mało o technikach służących w swych ostatecznych wersjach także do tego. – Przyjdzie do siebie za kilka minut. Niech sobie leży. Powinien nawet czuć się potem... że tak powiem... lekko odświeżony. Ale może go też rozboleć głowa. Ludzie różnie reagują...

Tej nocy więcej go nie niepokojono. Nawet nieszczęsny major, gdy otworzył wciąż zmętniałe oczy, nie zadawał niepotrzebnych pytań. Szeptał tylko konfidencjonalnie ze swymi kolegami, bojaźliwie zerkając na dłonie kapitana spoczywające na kolanach. Po dwu godzinach spokojne dotąd morze postanowiło urozmaicić podróż starego dozorcówca i okrętem zaczęło porządnie kołysać. Dla Kaneyasu nie był to powód do niepokoju. Wiedział, że na tym akwenie pogoda, szczególnie późną jesienią potrafi zmienić się

błyskawicznie. Obserwował więc spod przymkniętych powiek, jak jego towarzysze niedoli bledną i zielenieją. Nim jednak któryś z nich zdążył się porzygać, drzwi otworzyły się cicho i stanął w nich ten niewysoki, drobny morderca.

Choć bieg wydarzeń był gwałtowny i niespodziewany, Kaneyasu nie odczuwał zaniepokojenia. Także teraz, siedząc naprzeciw swego oswobodziciela, o którym niczego przecież nie wiedział (nawet tego, czy jest to istotnie oswobodziciel, czy też kolejny ciemiec), nie bał się. Choć może to się wydawać absurdalne, odczuwał ten rodzaj pewności, która wypływać może jedynie z intuicji. W sylwetce komandosa było coś kojącego i dającego poczucie pewności, ale Kaneyasu postanowił, że nie zrobi pierwszego ruchu. Było w tej postaci jeszcze coś i choć Kaneyasu odganiał uporczywą myśl, wracała podpowiadając, że to ktoś znajomy. Wreszcie, gdy obustronna obserwacja stała się nieznośna, komandos powoli odłożył walthera tak, by mieć go nieco z tyłu i osłaniać własnym ciałem, a potem powolnym ruchem zaczął odwiązywać swoje czarne chusty. Spod górnej ukazały się ściągnięte gładko w ciasny węzeł na karku jasne, lekko falujące włosy. Dla kapitana była to pierwsza niespodzianka, bo u kogoś, kto mówił tak piękną japońszczyzną, spodziewał się innego koloru włosów. Zaraz potem, choć komandos nie zdjął jeszcze dolnej chusty przykrywającej twarz aż po oczy, Kaneyasu uświadomił sobie, że to... dziewczyna. Uświadomił sobie także, że właściwie od początku to wiedział czy też może podejrzewał... Zresztą nieistotne. Wrażenie, że ją zna, potęgowało się, ale może było to tylko wrażenie? Tymczasem dziewczyna (na oko dałby jej dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat) zajmowała się swoimi włosami, obserwując z rozbawieniem jego zmieszanie i nieporadne próby niepoddawania się wariackim zachowaniom G5. Ona sama – jak powiedziano – nie miała z tym żadnego problemu, a jej zgrabny tyłek (Kaneyasu dopiero teraz zaczął domyślać się doskonałości kształtów ukrytych pod kombinezonem) zdawał się przyklejony do koi.

– Nie poznaje pan? – Pokiwała z naganą głową. – Kaneyasu milczał,

wsluchując się w zamglone jak jesienne niebo nad bazą Sen-toku wspomnienia. Wycie monstrualnych packardów i tępy łomot fal w dno kutra zupełnie mu w tym nie przeszkadzało. – Ach, wy... niegrzeczne chłopaki. Umiecie tylko nabroić i potem wszystko zapominacie. Potraficie tylko włożyć, a potem wyjąć i otrząsnąć... duszę i sumienie ze wspomnień. Albo nie włożyć i też otrząsnąć... A ja przepłakałam przez pana wiele nocy, kapitanie Kaneyasu... Byłby pan marnym agentem...Wie pan dlaczego? Gdy wlałam tam do was, do pana i tych trzech fiutów, których zabiłam – i dobrze, bo pewnie eksperymentowali, zarazając dzumą młode dziewczyny i chłopców albo palili żywcem niemowlęta – i rzuciłam pańskie prawdziwe nazwisko, od razu pan się przyznał. Od razu pan zareagował. A skąd pan wiedział, że nie przyszedłam zabić właśnie pana?

Kaneyasu uśmiechnął się i zdecydował się wreszcie odezwać:

– Jakoś nie przyszło mi to do głowy, a w ogóle to mam już dość zastanawiania się nad swoim losem. Tak się składa, że miałem na to dwa lata... – Pewnie rozgadałby się, bo nagle zachciało mu się opowiadać o wszystkim, co przeżył, ale śliczny komandos uciął:

– Wszystko wiemy... a więc nie kojarzy mnie pan. Cóż, pomogę.

Cofnął się przerażony, bo nagle znalazła się tuż nad nim siedzącym na skaczącej, łomoczącej podłodze i pomyślał, że chce go zabić, ale dziewczyna zatrzymała swoją twarz o milimetry od jego twarzy, zamknęła oczy i najpierw bardzo delikatnie, ostrożnie, a potem śmieiej, ale nienatarczywie zaczęła go całować, z wielkim taktem i wyczuciem czekając, aż zaakceptuje i przyjmie pytanie jej smacznego, chłodnego języka. Po dwu latach w celi i latach korzystania z usług ewidencjonowanych dziewcząt obsługujących bazy floty podwodnej chciał się w tym zagubić i raptem poczuł, że jest mu zupełnie obojętne, co się z nim stanie i w jakim scenariuszu przyjdzie mu zagrać. Chciał całować się z tą dziewczyną. Otworzył oczy i zobaczył, że ona także to zrobiła. Drugiej takiej pary oczu nie było na świecie. Miały niepowtarzalny wykrój, przypominając prostokątne wizjery w średniowiecznym hełmie, i były nieprawdopodobnie jasnoblękitne, a to

wraz z delikatnością buziaka uświadomiło mu wreszcie, z kim ma do czynienia. Odsunął ją od siebie i trzymając za ramiona, powiedział:

– Mała Ki! – Mrugał oczami jak ktoś wyciągnięty z ciemności na światło i próbował dopasować rysy dziewczyny do obrazu dziewczynki, którą los postawił na jego drodze dawno temu, a po raz drugi przypomniał o jej istnieniu teraz, jedenaście lat później. Kaneyasu wierzył święcie, bo kilka razy się mu to sprawdziło, że ludzie ważni dla jego życia pojawiają się w tym życiu dwa razy. I że ten drugi raz ma siłę zmieniania nawet porządku karmicznego. Za tą wiarą, prócz kilku rzeczywiście zastanawiających faktów, nie stały żadne inne świadectwa, ale Kaneyasu lubił to swoje naiwne wyobrażenie o przyczynach i skutkach i teraz także z ulgą wciągnął pojawienie się Kiry do ewidencji dowodów słuszności swej teorii. Im dłużej patrzył w twarz dziewczyny, tym wyraźniejszy stawał się obraz tamtej szesnastolatki. Myślał właśnie tak: „tamtej”. Bo przecież ktoś, w kogo się teraz uporczywie wpatrywał, był zupełnie inną osobą.

Małą Ki poznał późną wiosną 1935 na dorocznym turnieju *kenjutsu* w Kioto. Mimo młodego wieku (Kaneyasu nie miał jeszcze trzydziestki) reprezentował oficjalnie szkołę swego mistrza, doktora Sasamori Junzo, który jak na mistrza też był stosunkowo młody, jeśli można tak powiedzieć o mężczyźnie pięćdziesięcioletnim. Kaneyasu, który praktykował *kenjutsu* od dwunastego roku życia i robił to bardzo systematycznie i skrupulatnie, był już wówczas zaufanym i chyba ulubionym *shihanem* ⁷⁸ Sasamoriego. Miał także wymaganą do takiej reprezentacji licencję i choć nie czuł się tym, kogo oficjalnie nazywają posiadaczem *kaiden* ⁷⁹, przywiązywał do treningu i przychodzących z czasem sukcesów wielką wagę. Sasamori, ostatni żyjący uczeń Tani Shozemona Hidemasy, był postacią wielce oryginalną. Miał morze pieniędzy, a żył skromnie. Mógł błyszczeć w życiu publicznym, a pełnił swe zaszczytne funkcje bez rozgłosu. Oddawał się ciałem i duszą praktyce miecza, a był zdeklarowanym pacyfistą, co w owych militarnych czasach komplikowało mu życie. Kaneyasu przejął od niego głębokie przekonanie, że umiejętność walki służy przede wszystkim

temu, żeby tej walki unikać. Po to, żeby zaspokoić instynkt walki, urządza się sparingi, podczas których można się do woli łąć z innymi uczniami bambusowymi *shinai*⁸⁰. Po to, żeby zweryfikować swoją gotowość do zwyciężania i pokonania przeciwnika, bierze się udział w turnieju. Ale przecież podczas turniejowej walki, która w połowie jest pokazem, obowiązuje bezwzględna zasada *sundome* ⁸¹ i nikt nie ginie. Kończy się najwyżej zadrażnieniami lub przecięciem skóry.

Kaneyasu długo nie mógł się przekonać do uczestniczenia w uroczystych turniejach. Dla niego *kenjutsu* było sztuką intymną, rozgrywaną w samotności, i jedyny i największy sens widział w ćwiczeniu form. Długo, do upadłego. Dwa razy dziennie. O świcie, kiedy wszyscy jeszcze spali, i późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali. Jednak *soke* nalegał: „Formy są bardzo ważne, ale musisz dokładnie wiedzieć, gdzie kończy się cięcie i gdzie miecz tnie ciało. Twoje *sundome* nie będzie nigdy prawidłowe, jeśli nie będziesz praktykował. Nie musisz tego lubić. Musisz przekonać się, że bez tego nie będziesz robił postępów ani nie posuniesz się w rozumieniu miecza”. Zaczął więc startować i o dziwo w krótkim czasie jego nazwisko zaczęło się pojawiać na listach zwycięzców. Nie polubił startów, ale musiał przyznać sam przed sobą, że są świetnym treningiem opanowania i koncentracji. Turniej w starej stolicy był pierwszym, który wygrał, i sprawiło mu to niemałą przyjemność, tym większą, że asystująca komisji dziewczynka w marynarskim mundurku którejś z najlepszych szkół dla panienek z dobrych rodów, wręczająca upominki i nagrody, była prześliczna. Potem podczas przyjęcia dla zwycięzców, sędziów i honorowych gości, zajmujących eksponowane miejsce pod flagą cesarza, przedstawiono mu ją oficjalnie. A zrobił to szczupły, siwiejący pułkownik sił lądowych. Towarzyszyły mu dwie kobiety w strojach europejskich i mężczyzna w świetnie skrojonym granatowym garniturze. Kaneyasu ze zdziwieniem stwierdził, że obie kobiety – młodsza, która wręczała mu nagrodę, i starsza o równie olśniewającej urodzie – miały jasne włosy i europejskie rysy. Podobnie jak młody mężczyzna.

– A... nasz triumfator. – Pułkownik kłaniał się z daleka Kaneyasu ubranemu wciąż w ceremonialny strój turniejowy, składający się z szarych, drobno prążkowanych *hakama* ⁸² i *montsuki*⁸³ z herbami jego nauczyciela. Uczestnicy bankietu z szacunkiem rozstępowali się przed oficerem i towarzyszącymi mu osobami, choć na sali było wielu wojskowych w randze generała i admirała. – Pozwoli pan, że wbrew etykiecie sam się przedstawię, a potem zaprezentuję moją rodzinę. Czy pan pozwoli, mistrzu?

Po raz pierwszy ktoś nazwał go mistrzem, więc Kaneyasu zaczerwienił się i podziękował uśmiechem. Ale nie oponował, tylko oddał ukłon. Czuł się trochę głupio w stroju do walki, bo przyjęcie zorganizowano na modłę europejską z długim szwedzkim bufetem. Zestawiono go ze stołów nakrytych białymi papierowymi obrusami, a tradycyjne przystawki i przekąski znalazły się obok potraw kolonialnych, tworząc mieszankę w stylu stosowniejszym dla brytyjskich kolonii. Poczęstunek miał taki charakter zapewne ze względu na obecność przedstawicieli korpusu dyplomatycznego i brytyjskiego biznesu. Stoliki dla gości rozstawiono wzdłuż ścian i ozdobiono kwiatami oraz papierowymi lampionami. Wszystko to stwarzało nieco jarmarczną atmosferę i Kaneyasu dałby wiele, by móc ulotnić się jak najszybciej.

Pułkownik najpewniej odczuł jego nastrój, gdyż dopomógł mu wiele rozumiejącym uśmiechem, a stwierdziwszy, że młody oficer rozluźnił się, przedstawił siebie i swoich bliskich:

– Kidera Eiso, bardzo mi przyjemnie, a to moja rodzina – pani Wanda Laudowska-Kidera oraz dzieci: Kira i Iwan. Nazywamy go Iwanami. Jest rzeczywiście trochę za gwałtowny⁸⁴. – Młodzieniec zarumienił się aż po szczyty kości policzkowych i z ledwie widoczną pretensją spojrzął na ojca. – Kidera nie wychodził z roli. Prezentowanie dorodnej rodziny sprawiało mu wielką przyjemność. – A to, moi drodzy, pan podchorąży cesarskiej marynarki, *menkyo-kaiden*, *shihan* znanego wam doskonale *soke* Sasamoriego i zwycięzca dzisiejszego turnieju, pan Kaneyasu Toru.

Nim Kaneyasu zdążył zakończyć ukłony, Kidera – człowiek serdeczny i prostolinijny – ujął go pod ramię i delikatnie pokierował w stronę bufetu. Toru nie był tym zachwycony, chciał lepiej przyjrzeć się dziewczynce, ale szpakowaty pułkownik najwidoczniej szukał towarzystwa do wypicia pierwszego drinka. Nie puszczał ramienia podchorążego, lecz jego chwyt był delikatny i pełen szacunku i nie wywoływał w Kaneyasu poczucia dyskomfortu. Bliscy Kidery, znając zapewne doskonale jego metody, flankowali dyskretnie głowę rodziny. Kidera, holując Toru, dobił wreszcie do bufetu i zręcznie ominąwszy część zastawioną tradycyjnie, zatrzymał się przy kolonialnej. Szybkim, wprawnym spojrzeniem objął ustawione w karnym ordynku butelki i bez specjalnego namysłu sięgnął po skromnie stojącą na skrzydle, niewymyślną w kształcie butelkę glen gate. Obejrzał pod skąpe popołudniowe światło, padające z wysoko pomieszczonych w hali sportowej okien, jasnobursztynową barwę trunku i oświadczył:

– To będzie stosowne na tę porę dnia. Jak pan widzi, mamy tu wiele bardziej luksusowych alkoholi, ale o tej porze lubię trunki... by tak rzec... zdecydowane w smaku i bukicie. Ta whisky, chociaż tania i pozornie prosta, jest – przekona się pan - godna szacunku. Spróbujmy jej tu, a potem weźmiemy sobie butelkę i pójdziemy do stolika. Chcę – jeśli pan pozwoli – zapytać o kilka rzeczy.

Gdy nieco onieśmielony tą bezceremonialnością Toru dał sobie nalać whisky i zachęcony spojrzeniem ostrożnie umoczył język, Kidera stwierdził z uznaniem:

– Cóż, panie podchorąży. Przyznam, że mi pan zaimponował. Myślałem, że już po panu, ale... Zasada, żeby walczyć do końca, zawsze się sprawdza. – Było to na poły oświadczenie, na poły pytanie, więc Toru – zwłaszcza że nic go to nie kosztowało - potwierdził grzecznie:

– Wygląda na to, panie pułkowniku, że tak. Ale... – spojrzał na Kiderę, oceniając w duchu, czy warto być wobec niego zupełnie szczerym – faktycznie... byłem bliski rejterady.

Wygłosił ten komunał, ale musiał przyznać sam przed sobą, że to

prawda. Gdyby zgodnie z taktyką przyjętą przed finałową walką trzymał się zasad, byłby przegrał. Kiedy jednak przeciwnik napierał bardzo zdecydowanie i Kaneyasu był o krok od rejterady, coś jak elektryczny przełącznik trzasnęło w jego świadomości i zaczął działać instynktownie. Zamiast bronić się, powoli ustępując pola, zatrzymał się i opuścił sztych miecza, tępo wpatrując się w podłogę. Zdetonowało to nieco przeciwnika, który, trzeba przyznać, był szybki. Może wydało mu się, że Kaneyasu zasłabł albo sfiksował. Ponieważ jednak – jak powiedzieliśmy - był silny i zdecydowanie parł do przodu, wszedł śmiało, skracając dystans i atakując przedramiona Kaneyasu. Toru w jakimś somnambulicznym, bezmyślnym transie zrobił krótki wykrok lewą stopą w lewo do przodu, przesunął nadgarstki z mieczem pod mieczem oponenta i ciął krótko z góry, zatrzymując cios o milimetry od ciała przeciwnika. Chorągiewki sędziów poleciały w górę, a w spojrzeniu przeciwnika błysnęła zawiść, ale i szacunek. To było proste, lecz zaskakujące. Jak wszystkie najbardziej skuteczne rozwiązania w walce.

– Tak... – skwitował Kidera, jakby czytał w myślach Kaneyasu. – Trzeba zdecydować, gdzie kończy się forma, a gdzie zaczyna się taktyka i strategia. Ale, jak pan zapewne doskonale wie, żeby rezygnować z zasad, należy je najpierw doskonale poznać i wytrenować.

Kaneyasu uświadomił sobie wówczas kolejną ważną w jego życiu zasadę: Poznawanie form służy w efekcie temu, by móc ich – kiedy sytuacja tego wymaga – nie stosować.

– Czułem – ciągnął Kidera – że pan przegrywa i że zdecyduje się pan na coś desperackiego, ale to...

– Co? – Kaneyasu niezbyt grzecznie wszedł mu w słowo, podejrzewając, że może dowiedzieć się o *kenjutsu* czegoś zupełnie nowego.

Kidera uśmiechnął się z uznaniem. Podchorąży podobał mu się coraz bardziej. Wybór był najlepszy z możliwych. Postanowił, że nie będzie skąpił informacji. Nawet o *okuden*.

– Nie chcę tu rozstrzygać, ale najpewniej nie zrobił pan tego świadomie.

W pańskim wieku i przy niedużym doświadczeniu nie ma pan prawa znać „milczącej formy”...

Nazwa ta niczego Kaneyasu nie mówiła.

– Chce pan pułkownik powiedzieć, że to, co zrobiłem, zostało skodyfikowane? Czy to możliwe, by bezmyślność i brak pomysłu na wygraną miały swoje miejsce w tradycji?

Kidera znów uśmiechnął się z uznaniem. Jego rozmówcy nie brakowało tego, co bardzo ważne – zdolności krytycznej oceny własnych możliwości.

– Nie mieliśmy, mój młody przyjacielu (bo chyba pozwoli mi pan tak się do siebie zwracać) do czynienia z – jak pan to raczył nazwać – brakiem pomysłu. Zawierzył pan intuicji, a to umiejętność dana tylko wybranym. Niech pan nie zapomina, że zdolność właściwej oceny zachowań przeciwnika i wyciąganie właściwych wniosków jest równoznaczne z osiągnięciem specjalnego poziomu wykształcenia. Pan umie już tyle, że nikt nie rozpozna pańskich intencji po oddechu ani z wyrazu twarzy⁸⁵. To nie komplement. Sam umiem sporo, ale miałem trudności z odczytaniem wszystkich pańskich intencji. Najlepiej, jeśli opowiem panu buddyjską historyjkę. Jeśli pan ją zna, to proszę mi przerwać i nie słuchać tylko przez grzeczność.

Kaneyasu uśmiechnął się. Bardzo lubił ludzi bezpretensjonalnych, co nie oznacza, że nie lubił takich, którzy potrafią zręcznie ukrywać, co naprawdę myślą. Kidera uznał ten uśmiech za akceptację i zaczął opowiadać:

– Pewien sędziwy mistrz miecza miał bardzo młodego ucznia. Uczeń służył mistrzowi dopiero od kilku tygodni i niczego jeszcze nie potrafił. Ale miał dobre serce i otwartą głowę. Mistrz zdążył go już polubić. Któregoś dnia stary mistrz poważnie zachorował. Jak na nieszczęście skończyło się lekarstwo, które zawsze pomagało w krytycznych momentach. Po nowe trzeba było iść do miasteczka położonego za rwącą i głęboką rzeką. Przez rzekę przerzucono tylko jeden most, a w dodatku od dłuższego czasu okupował go oszalały samuraj, który – by utwierdzić się we własnej sztuce – wyzywał wszystkich do walki na śmierć i życie. Nikt, jak dotąd, nie

stanął do walki – wszyscy bowiem woleli nadłożyć drogi i skorzystać z innego mostu. By uratować życie nauczyciela, uczeń gotów był natychmiast wyruszyć po lekarstwo. Przypomniał sobie jednak o złowrogim strażniku i jego zapał osłabł. „Mistrzu – rozpaczał – nic jeszcze nie umiem. Co zrobię, gdy trzeba będzie stanąć do walki z tym wariatem? Zginę, a ty umrzesz bez lekarstwa...” – Kidera zawiesił głos, jak wytrawny gawędziarz, a Kaneyasu, którego historyjka zdążyła wciągnąć, bezwiednie przysunął się bliżej pułkownika, by w gwarze panującym w sali nie uronić ani jednego dalszego słowa. Zabawnie zmieniając głos, tak by wcielić się w starego nauczyciela, pułkownik kontynuował: „Nie bój się. Weź mój miecz i idź”. – Zestrachany uczeń usiłował protestować: „To bez sensu – mówił. – Lepiej od razu ruszę do najbliższego mostu...” – Nauczyciel z łagodnym uśmiechem odwodził go od tego zamiaru: „To dzień drogi stąd. Nim zdołasz wrócić, umrę. Zaufaj mi. Nie zamierzam przecież wysłać cię na pewną śmierć. Musisz tylko zrobić dokładnie to, co ci każę. Posłuchaj uważnie. Weź mój miecz, przewiąż rękawy⁸⁶ i idź. Jeśli ten szaleniec wyzwie cię na pojedynek, zrób tak: Spokojnie siądź na ziemi. Połóż miecz koło siebie, ale po lewej stronie⁸⁷. Potem zamknij oczy i nie otwieraj ich pod żadnym pozorem. I czekaj...” – „Nauczycielu – nie wytrzymał uczeń - a kiedy będę mógł je otworzyć?” – „Spokojnie. Nie ekscytuj się tak. Sam będziesz wiedział, kiedy to zrobić”. Uczeń pokłonił się nauczycielowi i poszedł. Po godzinie wrócił z lekarstwem i, proszę mi wierzyć, zdążył na ostatnią chwilę.

Kidera uśmiechnął się delikatnie, pewien wrażenia, jakie historyjka musiała wyrzeć na słuchaczu.

– A teraz, panie podchorąży... przepraszam... mój młody przyjacielu, niech pan spróbuje wyobrazić sobie, co się stało nad rzeką? – Zawiesił głos, patrząc wyczekująco na Kaneyasu.

Toru usiłował znaleźć rozwiązanie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Ścisłej, przychodziły mu do niej rozwiązania głupie i trywialne. Potem sięgnął do swojej wiedzy o *kenjutsu*, ale i tu niczego nie znalazł.

Zrezygnowany poprosił wzrokiem o pomoc, a Kidera małodusznie triumfował:

– To przecież proste. Niechże pan sobie wyobrazi taką oto scenkę: Chłopiec z mieczem przychodzi nad rzekę, a gdy rozjuszony, pewny siebie i swoich umiejętności samuraj wyzywa go na pojedynek, spokojnie siada na ziemi, odkłada miecz (tak jednak, by mieć go pod ręką) i na dodatek zamyka oczy. Gdyby pana, słynnego szermierza, potraktował tak ktoś wyzwany na śmiertelny pojedynek, co by pan zrobił?

Kaneyasu wyobraził sobie tę sytuację i rozwiązanie napłynęło samo.

– To oczywiste. Pomyślałbym, że mimo młodego wieku ten ktoś to wielki mistrz miecza. Jeśli tak spokojnie siada i zamyka oczy... Nawet nie interesuje go, co zrobię...

– Właśnie – wpadł mu w słowo Kidera. – To jak by się pan zachował?

– Pewnie wycofałbym się jak najszybciej i zapewne właśnie to zrobił ten szalony samuraj...

– To właśnie zrobił – potwierdził pułkownik. – Ale oczywiście to postać fikcyjna. Niech pan nie zapomina, że takie historyjki są jedynie modelami rozwiązań. Zarówno pan, jak i ja wiemy, że w rzeczywistości mistrzostwo wiąże się z latami treningu... A my trenujemy i nie jesteśmy prymitywnymi szaleńcami. Dla pana, młody przyjacielu, z tej historyjki płynie jeden morał, który warto zapamiętać...

– Przeciwnik widzi tylko to, co chcemy mu pokazać – wyrwał się Kaneyasu, choć nie było to zbyt grzeczne.

– Właśnie! – Pułkownik był zadowolony. – Właśnie tak. Niech pan jednak raczy pamiętać, że w życiu przed mostami, po których musimy koniecznie przejść, nie napotykamy samych prymitywnych głupców. Czasami przeciwnik jest inteligentny i wytrenowany. Żeby z takim wygrać, konieczne są inne chwytaki i inne modele zachowań. A co do pańskiej – jak raczył to pan nazwać – bezmyślności... Cóż, musi pan wysłuchać jeszcze jednej historyjki i proszę się na mnie nie gniewać, ale zawsze lubiłem być mentorem. Rodzina nie chce już słuchać moich opowieści, a ściślej –

wszystkie je zna. Teraz padło na pana, ale to się panu przyda. Tylko najpierw nalejmy sobie jeszcze po jednym. – Naleli więc sobie jeszcze po jednym, a Kaneyasu pomyślał, że pułkownik jest miłym kompanem i że z przyjemnością poznałby go bliżej. Jego i jego piękną rodzinę...

Kidera znów delikatnie ujął go pod ramię i pokierował w stronę rozsuniętych drzwi werandy wychodzącej na wewnętrzny dziedziniec. Nie było tu bawełnianego chodnika, który rozłożono w środku, by nie zmuszać gości spoza Japonii do chodzenia w skarpetkach, więc pułkownik przystanął i oparł się na ramieniu towarzysza, by zdjąć wojskowe półbuciki.

– Powinienem być w zasadzie w długich butach i przy szabli. Jak gala to gala, ale proszę mi wierzyć, nie przepadam za pobrzękiwaniem ostrogami ani za tymi koszmarnymi regulaminowymi *gunto*. Które wymyślił chyba – i to w obłądnie – jakiś prostak. Na szczęście moi przełożeni są wyrozumiali. Zresztą, jak się ma mój stopień i staż, to ma się już niewiele przełożonych. A wśród tych niewiele nie ma wcale durniów... Jak na razie... – dodał z zagadkowym uśmiechem. Kaneyasu nie potrafił zapanować nad ciekawością.

– W jakiej formacji pan pułkownik służy?

Kidera zdawał się czekać na podobne pytanie.

– W wywiadzie – odpowiedział uprzejmie. – Prawdę mówiąc, przeważnie sam jestem swoim przełożonym – dodał tajemniczo. – To nawet miło, gdy ktoś nam wydaje rozkazy, ale okazji do tego jest niewiele. I wciąż coraz mniej.

Kaneyasu domyślał się po części znaczenia aluzji, ale nie chciał ciągnąć świeżo poznanego oficera za język. Zdobył się więc jedynie na niezobowiązujący komplement:

– Pewnie niedługo czeka pana pułkownika awans?

Kidera zmrużył oczy w ironicznym uśmiechu. W kącikach ust i w kącikach oczu pojawiła się delikatna siateczka zmarszczek. Nie zdejmując uśmiechu z wąskich warg pod cieniutkim, starannie przyciętym wąsikiem,

pokiwał wolno głową zapewne w refleksji nad własnym losem i perspektywami.

– Nie sędzę – powiedział wreszcie. – W mojej profesji generalskie szlify to byłoby... – Nie znajdował przez długą chwilę właściwego sformułowania, więc nie dokończył myśli i ominął konkluzję: – Daję panu, panie podchorąży, mnóstwo zagadek, ale jest pan mądrym chłopcem, więc pewno domyśla się pan rozwiązania części z nich. Reszta rozwiązań z pewnością może poczekać. A teraz proszę posłuchać drugiej historyjki: Znany już panu z poprzedniej młody uczeń tegoż (wyleczonego już) mistrza poznał podstawy sztuki miecza. Był bystry, pracowity, pełen zapału. Robił więc zauważalne postępy. Mistrz chwalił go coraz częściej za samodzielność i staranność. Zachęcał go także do wyciągania wniosków z treningu, a pytania ucznia były coraz ważniejsze i coraz trudniejsze. Któregoś dnia uczeń ukłoniwszy się mistrzowi i mieczowi po treningu, w którym miał okazję poćwiczyć z mistrzem *bunkai* ⁸⁸, zapytał: „Mistrzu! A kiedy naprawdę będę musiał walczyć... ostrym mieczem... to gdzie mam umieścić umysł? Żeby nie przegrać, tak jak teraz?” – Mistrz poprawił go łagodnie: „Każda walka, również ta, jest naprawdę...” – powiedział, a potem spytał poważnie, choć dobrze znał odpowiedź i choć zadowolony był z takiego właśnie pytania, bo cały trening miał ucznia na to właśnie pytanie naprowadzić: „A gdzie umieściłeś swój umysł w czasie walki ze mną?” „W twoim mieczu, mistrzu!” „Istotnie – pokiwał głową mistrz i pytał dalej: A dlaczego właśnie tam?” Uczeń odpowiedział bez namysłu: „Bo byłem przekonany, że w ten sposób będę mógł najlepiej reagować na ruchy twojego miecza”. „No właśnie” – przytaknął mistrz. „I co się stało z twoim umysłem?” Uczeń zastanowił się chwilę: „Miałem wrażenie, mistrzu, że twój miecz mnie hipnotyzuje... Że nie jestem panem własnych decyzji”. „Bo tak właśnie było. Twój umysł stał się niewolnikiem mojego miecza. Mój miecz kazał ci robić to, co chciałem, żebyś zrobił. Dlatego przegrałeś. W czasie walki musisz znaleźć lepsze miejsce dla umysłu. Pomyśl, gdzie go ulokować?” Uczeń zastanowił się chwilę i wypalił: „Wiem, mistrzu, trzeba

ulożować umysł we własnym pępku!” Mistrz znów się uśmiechnął, bo odpowiedź była znacznie bardziej po jego myśli: „To lepszy pomysł – pochwalił. – Ale nie taki znów dobry. Jeśli uda ci się, co wcale nie jest takie proste, wsadzić umysł do własnego pępka, to co może się stać?” By pomóc chłopcu w rozwiązaniu niełatwego rebusu, podpowiedział ostrożnie: „Czy to da twojemu myśleniu dostateczną niezależność?” „Widzę, mistrzu, po twojej minie, że nie” – sondował uczeń, a mistrz podpowiadał rozwiązanie: „Jeśli tak zrobisz, twój umysł zawładnie tobą. Znajdziesz się w niewoli własnego myślenia. Rozumiesz. To też nie jest komfortowa sytuacja”. „No więc, mistrzu – naciskał coraz bardziej zaciekawiony uczeń – gdzie mam ulokować umysł, żeby nie przegrać?”

Kaneyasu był także coraz bardziej zaintrygowany, poprosił więc pułkownika wzrokiem o wyjaśnienie. Kidera jednak nie przeszedł do puenty, lecz spytał:

– Ma pan jakiś pomysł, mój młody przyjacielu?

Kaneyasu przecząco pokręcił głową, a Kidera spojrział w niebo, jakby chciał pokazać rozmówcy, że tam właśnie znajduje się odpowiedź. Kaneyasu również popatrzył w niebo, ale prócz wspaniale wypiętrzonych chmur i krążącego brzękliwe na dużej wysokości patrolowca marynarki niczego tam nie dostrzegł.

– Oszukuje mnie pan – skarcił go łagodnie pułkownik. – Przecież dziś podczas walki znalazł pan to rozwiązanie. Gdyby pan na to nie wpadł, cóż... Przegrałby pan. Proszę być wobec siebie szczerzy... aż do bólu. Przecież zwycięzców się nie sędzi...

Kaneyasu bezmyślnie, jednym haustem wypił wszystko, co miał w szklance, i gorąca fala glen gate rozlała się po jego głowie z siłą przyboju. Chwilę łapał powietrze, bo whisky była mocna, a nie dolał wody. Potem wyciągnął szklankę w stronę pułkownika, a ten nalał mu od serca, na trzy palce. Kaneyasu nie zamierzał ogłuszyć się alkoholem, ale łaknął go, by przynajmniej w ten sposób uczcić olśnienie, które przed sekundą stało się jego udziałem.

– Chce pan powiedzieć, panie pułkowniku...

Kidera, patrząc na niego życzliwie, kiwał głową:

– To dokładnie chcę powiedzieć. Udało się panu pozbyć umysłu. Na tę króciutką chwilę. Na to mgnienie, które właśnie zdecydowało. Może... a nawet z pewnością nie był to jeszcze „pusty umysł” (bo to udaje się tylko najlepszym), tylko stan osiągnięty na poły dzięki przypadkowi, na poły dzięki pańskiej niesamowitej intuicji, ale... – pułkownik, podejmując wyzwanie, także wydudlił swój trunek duszkiem – ale rzeczywiście umieścił pan swój umysł „nigdzie”. I taki jest koniec mojej historyjki.

– Czy tamten mistrz... no, ten z pana opowieści... pochwalił ucznia za odpowiedź? – chciał wiedzieć Kaneyasu. Zależało mu może nie tyle na wiedzy, co na tym, by Kidera powiedział mu coś budującego. Kaneyasu bardzo lubił, gdy go chwalono. Ale wyłącznie za coś konkretnego. Nie znosił komplementów w stylu „jaki pan uroczy i inteligentny”. Pułkownik dostrzegł ten głód pochwał, lecz nie zaspokoił go od razu:

– To nie moja historyjka. Opowiedział mi ją mój nauczyciel *kenjutsu*. Dziwię się, że *sensei* Sasamori jej panu nie opowiedział, ale każde *dojo* ma swoje opowieści... Niech pan ją zapamięta, mój młody przyjacielu, i kiedyś opowie ją swemu najlepszemu uczniowi. Zresztą z tego, co mi wiadomo, już ma pan prawo uczyć. Tylko niech pan nie próbuje podczas treningu powtarzać na siłę tego, co udało się panu, ku pańskiemu, jak mniemam, wielkiemu zdziwieniu zrobić dziś. Nic z tego nie będzie. To przyjdzie samo. Kiedyś. Kiedy będzie bardzo potrzebne i pozna pan technikę wchodzenia w ten dziwny stan. A proszę mi wierzyć – by doświadczyć tego po raz pierwszy, potrzeba co najmniej dwudziestu lat treningu.

– Ale jak można świadomie osiągnąć nieświadomość? – zapytał Kaneyasu.

Kidera zadumał się, kręcąc palcami cieniutki wąsik, i odpowiedział zastanawiająco poważnym tonem:

– To trudne pytanie. Myślę, że chyba tak, jak poprzez lata niedojrzałości

osiąga się dojrzałość, a dzięki latom hałasowania i wybryków docenia się milczenie i spokój. Podobnie może być z umysłem, ale wydaje mi się też, że ten nieobecny umysł, w przeciwieństwie do aktywnego i skoncentrowanego, może o wiele więcej. Może zwyciężać samą swoją nieobecnością.

Kaneyasu (być może na skutek wypitego pospiesznie alkoholu) był w euforii albo w stanie bardzo do niej zbliżonym. Spotkał człowieka, który szczerze i z wielką powagą odkrywał przed nim obszary stanowiące dotąd tajemnicę. Nie używał eufemizmów i aluzji. Stwierdzał i brał za to, co mówi, odpowiedzialność wobec młodszego przecież i mniej doświadczonego rozmówcy. Kaneyasu nie mógł zapanować nad chęcią wykorzystania tej powagi i szczerości. Spytał więc:

– Zdarzało się panu zabijać?

Kidera uśmiechnął się wyrozumiale, jakby spodziewał się tego właśnie pytania.

– Mieczem? – dopytał spokojnie, a Kaneyasu, rozemocjonowany, zdobył się tylko na potakujące skinienie głową. – Kilka razy – przyznał pułkownik ze smutkiem i po chwili uściślił: – Cztery. Nieszczęśliwa liczba⁸⁹. Warto by ją zaokrąglić. Zabijałem, ale nigdy tu. W Korei, w Chinach i w Rosji. I oczywiście nie w pojedynku. Tylko wtedy, kiedy trzeba było zrobić to szybko i cicho. I oczywiście nie kataną. To przecież anachronizm. Tylko ukrytym ostrzem⁹⁰. Pragnę jednak panu uświadomić, że to, co mówię, mówię jedynie panu. Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy?

– Jakie to uczucie? – gorączkował się Kaneyasu. Nie miał natury mordercy, tak jak Kidera, ale bardzo chciał wiedzieć. Pułkownik rozumiał to doskonale. Identyczne pytanie nurtowało go do momentu, w którym nie poznał owego „uczucia”. Spytał więc:

– Próbował pan kiedy, panie podchorąży, *tameshigiri*?⁹¹

– Robię to regularnie. *Sensei* Sasamori, mimo że, jak pan wie, uważa *kenjutsu* za sztukę czystej formy, jest przekonany, że każdy, kto doskonali sztukę miecza, musi wiedzieć, na czym polega istota cięcia...

Kidera przerwał mu. Było to niezbyt grzeczne, ale pomyślał sobie, że Kaneyasu jako „teoretyk” zabijania powinien dowiedzieć się jak najszybciej o wszystkim, co związane jest z praktyką.

– Opór namoczonej trzciny i wielkość siły, jakiej trzeba użyć, są panu zatem doskonale znane. To teraz proszę sobie wyobrazić poleć kilkunastu kilogramów cielęciny z kością. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że mięso cielęce i ludzkie mają podobną konsystencję, choć ludzkie jest ponoć delikatniejsze. Niech pan sobie nabije taki poleć na żerdź i popróbuje. Chrzęst jest nieco inny, a siły potrzeba znacznie mniej. Reszta z grubsza wygląda tak samo, pomijając to, że przy cięciu trzcinowych chochołów trudno o wątpliwości natury moralnej czy etycznej.

Kaneyasu wyobraził sobie to, o czym tak obrazowo mówił pułkownik, i przełknął ślinę, bo naraz zrobiło mu się niedobrze. Pułkownik podał mu napełnioną szklanę.

– Najlepiej sobie tego nie wyobrażać – powiedział – ale rozumiem pańską ciekawość. Są ludzie, którzy zabijają właśnie dlatego.

– Z ciekawości? – Kaneyasu nie bardzo chciał uwierzyć w taki motyw.

– Oby nie musiał pan nigdy przekonywać się, że to tak samo dobry powód, jak każdy inny. – Kidera znów skrzywił wargi w swoim skąpym uśmiechu. – Oczywiście dla tych ludzi. Przecież nie dla nas. My mamy swój kodeks. Ale wie pan co? Dajmy spokój zabijaniu. Dziwię się, że w taki dzień przychodzą panu do głowy takie rzeczy. Chodźmy teraz do stolika. Chciałbym, żeby poznał pan lepiej moją rodzinę.

Stolik rodziny Kidery bawił się w najlepsze. Kaneyasu od razu domyślił się, że to jego osoba jest obiektem żartów, bo córka pułkownika, zabawnie wywracając oczy i zaciskając wargi, naśladowała jego „milczącą formę”, imitując miecz parą palców. Kiedy podeszli, natychmiast je odłożyła i zawstydziała się całkiem niepotrzebnie, gdyż Toru uklonił się i powiedział:

– Faktycznie. To mi się bardzo często zdarza. Robię głupie miny, ale nie potrafię nad tym zapanować. To silniejsze ode mnie. Pewnie wyglądam jak stary generał cierpiący na hemoroidy.

Żona Kidery wskazała mu krzeselko pomiędzy sobą i Kirą, a gdy lokował się ostrożnie, kątem oka sprawdzając odległość swojego łokcia od łokcia dziewczynki, pochwaliła:

– Na szczęście jest pan nie tylko uprzejmy, ale i bardzo wyrozumiały. Proszę się nie gniewać na małą Ki. Ma to po mnie...

– Ma pani na myśli urodę? – Kaneyasu postanowił zabłysnąć.

– Jest pan doprawdy rycerzem – podjęła pani Kidera z uznaniem – ale miałam na myśli wprost bezprzykładną złośliwość i krytycyzm mojej córki. Na razie wszystko uchodzi jej na sucho, ale kiedyś miarka się przebierze i ktoś spuści jej porządne lanie.

Kaneyasu za wszelką cenę starał się nie zarumienić i nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie, jak przekłada małą Ki przez kolano i wlepia jej w okrytą granatową plisowaną spódniczką, ponętą, jeszcze na poły dziecinną pupę kilka siarczystych klapsów. Być może ona też o tym pomyślała, bo gdy ich spojrzenia na chwilę się spotkały, natychmiast odwrócili wzrok. Kaneyasu uznał, że jeśli nie przejmie inicjatywy, będzie z nim źle. Zwracając jasne spojrzenie ku głowie rodziny, spytał:

– Proszę mi opowiedzieć – jeśli oczywiście moja ciekawość nie okaże się nietaktem, ale niewiele jest takich rodzin jak państwo – jak pan poznał swoją szanowną małżonkę?

– Tak jak wielu mężczyzn poznaje swoją przyszłą. W pociągu... – odparł Kidera i zrobił oko do żony.

– Tu w Japonii? – indagował Kaneyasu, nie zauważając coraz szerszych uśmiechów na twarzach całej czwórki.

– Niezupełnie... – odpowiedziała pani Kidera i dodała: – To był pociąg relacji Moskwa – Władywostok.

– Ach! Rozumiem. Kolej Wschodniochińska?

– Nie – sprostowała ponownie. – Raczej pociąg specjalny...

– Specjalny? – podchwycił, podejrzewając, że jednak sobie z niego dworują.

– No... tak.

– Trudno za zwykły uznać pociąg, któremu pokonanie trasy zajmuje prawie trzy lata, który wiezie pięćset ton złota i w dodatku maszynistą jest mój szanowny małżonek, a jego pomagierem na lokomotywie ten tu oto młodzieniec⁹². Podejrzewam zresztą, że bawili się na tej lokomotywie nie gorzej niż w tej chwili. Proszę spojrzeć.

Pułkownik usiłował zachować powagę, ale dwójka młodych chichotała otwarcie. Kaneyasu nie wiedział, czy przypadkiem nie powinien się obrazić, ale już po chwili – zarażony wesołością szalonej rodziny – chichotał razem z nimi, zerkając na małą Ki.

– Najgorsze, panie podchorąży, jest to, że to wszystko, niestety, prawda. Myśli pan, że nie wolałbym, by narzeczoną wybrali mi moi szanowni rodzice? Zgodnie z urodzeniem i interesami rodu? – gdała całkiem już czerwony Kidera, tocząc zabawnie oczami, a rodzina wpatrywała się w niego z zachwytem.

Na koniec owego wspaniałego dnia zaprosili go, by odwiedził ich w domu. Kidera zapraszał tak szczerze i serdecznie, że nie wypadało wykręcać się ponad miarę. Pułkownik wstał i kłaniając się, wystosował zaproszenie w najlepszym stylu, więc Kaneyasu, który także wstał, dziękował i był wdzięczny oraz nieco zmieszany, bo mała Ki podobała mu się coraz bardziej, a jej oczy coraz beczelniej lustrowały jego twarz.

– Tak się wspaniale składa, że my też mieszkamy w Fukuoce, a ja przez najbliższe kilka miesięcy mogę cieszyć się rodziną. Tak więc, panie podchorąży, jako starszy rangą życzę sobie widzieć pana w najbliższym czasie, kiedy tylko ustali pan grafik służby. I proszę traktować to zaproszenie jak polecenie służbowe. Zresztą, jak sam pan widzi, gdyby pan o nas zapomniał, mała Ki byłaby niepokieszona...

Pomyślał wówczas, że jest to aż nazbyt oczywiste i że Kidera nie powinien tak otwarcie zachwalać swojej córki, ale złożył to na karb serdeczności, a poza tym... miło było poczuć się w roli starającego się o tak piękną pannę. Spojrzenie, którym obdarowała go na pożegnanie, było więcej niż obiecujące, i był to drugi dziwny moment tego rozstania.

W pociągu chciał się nad tym jeszcze raz zastanowić, ale odsunął od siebie refleksję i, jak zwykle podczas długich podróży, zajął się zaległymi lekturami.

Dom pułkownika był niezbyt okazały, ale uroczy. Wchodziło się z niepozornej bocznej uliczki, jakich pełno wokół centrum, a potem służąca poprowadziła gościa tajemniczymi zakamarkami. Od ulicy rezydencja nie wyglądała na dużą. Niepozorne wejście stanowiło całkowite przeciwieństwo reprezentacyjnej części posiadłości. Od frontu znajdował się niewielki, wyglądający na zapuszczony ogród. Środkiem, obok wielkiego głazu, na którym można było postawić ogrodowe *tabi*, płynął sobie w najlepsze wesoły potoczek, rozlewający się nieco dalej w sporą sadzawkę. Królowały w niej, wysuwając grzbiety na powierzchnię, czerwone i biało-złote karpie. Za ledwie kilkanaście metrów od ganku piętrzył się wysoki mur, prawie niewidoczny pod biorącą go zachłannie w posiadanie zielenią.

Przed złożeniem wizyty Kaneyasu zastanawiał się długo, czy wystąpić w mundurze, za którego bielą i nakrochmaloną sztywnością nie przepadał, czy też włożyć tradycyjny strój, w którym czuł się najlepiej. W końcu uznał, że jest to prywatna, a nie służbowa wizyta, i ubrał się z rozkoszą w stosowny na tak ciepłą porę komplet z pięknie barwionego na kolor głębokiego granatu jedwabiu. Pomiedzy pierwszy zawój obi [93](#) a gi [94](#) wsunął bojowe solidne wakizashi [95](#), które może nie wyglądało elegancko, ale budziło respekt, bo okucia dorównywały wielkością okuciom dużego miecza. To *wakizashi* zainteresowało pułkownika, który pojawił się w salonie jako pierwszy i ku wielkiemu zadowoleniu gościa także w tradycyjnym stroju japońskim. Fakturowany, delikatny jedwab w odcieniu srebrnoperłowym pięknie korespondował z siwizną i ostrym profilem twarzy Kidery.

– Miło, że jest pan punktualny, choć damy nie będą tym pewnie zachwycone, bo jak zwykle nie są gotowe na czas.

Kaneyasu pochylił się w ceremonialnym ukłonie i wręczył gospodarzowi podarunek. Była to niewielka, ledwie półlitrowa flaszka pomarańczowego

cointreau, którą „załatwił” przyjaciel z bazy, świeżo przybyły z rejsu do francuskich Indochin. Nad prezentem Kaneyasu też długo się namyślał. Mógł się przecież wykpić paczuszką ekskluzywnych ciasteczek i zastanawiał się, czy wręczanie zagranicznego alkoholu będzie na miejscu.

– Cointreau! – Kidera zdawał się być wniebowzięty. – Moja żona będzie zachwycona. O ile wiem, kieliszeczek tego likieru do kawy... – ja kawy w ogóle nie piję, a ona uwielbia – poprawi jej samopoczucie na najbliższy tydzień. – Usiadł i zatarł szczupłe dłonie. – Nim panie nadciągną, porozmawiajmy. Ale... przedtem... przedtem poproszę pana, by pozwolił mi pan obejrzeć to *wakizashi*. W życiu nie widziałem takiej oprawy. – Przyjrzał się uważnie słojom drzewa pochwy. Był wielkim znawcą mieczy, a nie spotkał jeszcze niczego tak oryginalnego. Linie słoju były piękne, wyraziste, nad podziw regularne. Co ciekawe drzewo – jak zdążył wywnioskować, nielakierowane a jedynie woskowane na gorąco – zdobyły złote plamki. To już było zupełnie niezwykle. – Panie chorąży, co to za drzewo?

– To akurat wiem – odparł Kaneyasu – choć o tym mieczu generalnie niewiele mi wiadomo. Był zawsze w domu i ojciec wieszał go na honorowym miejscu. Po śmierci ojca respektowałem to i choć w domu jest kilka bardziej okazałych mieczy, ten był zawsze najważniejszy. A pochwa... To merbau, jakaś afrykańska odmiana mahoniu. Te złote plamki to drobinki minerałów, które drzewo odkłada w swoich słojach. Bo rośnie na wyjątkowo suchym gruncie i za wszelką cenę chce zmagazynować wodę w swojej tkance. Po wypolerowaniu efekt jest właśnie taki. Wszystko to wiem, gdyż znalazłem merbau w angielskiej encyklopedii. Dlatego tak się mądrzę...

Kaneyasu lubił popisywać się swoją wiedzą, ale Kidera nie zwracał na to uwagi zafascynowany oprawą. Masywna *tsuba*⁹⁶ o kształcie kwadratu o zaokrąglonych rogach i okucia z ciemnego żelaza, zdobione złożonym motywem konia wpadającego na łeb na szyję w wykrot, były urzekające. Kidera obrócił miecz w palcach i tonem, który nie dopuszczał odmowy, ale

był pełen szacunku, poprosił o pozwolenie obnażenia głowni. Długo przyglądał się linii hartu, skomplikowanym słojom skuwanej warstwowo stali i kilku ewidentnym wadom w postaci zapolerowanych „listków”⁹⁷ i otwartych ziaren węgla.

– Wie pan, panie podchorąży... To może być Hiromitsu⁹⁸. Nie jestem wielkim znawcą, ale głownia ma wiele charakterystycznych cech. Oprawa – i to taka nietypowa – sądząc po stanie, jest znacznie późniejsza. Pewnie siedemnastowieczna. Sprawdzał pan sygnaturę na trzonku? Nie? A warto by było ten miecz otworzyć. Na mojego nosa sygnatury nie będzie i powiem panu dlaczego. Głownia ma zbyt wiele wad i Hiromitsu za nic nie dopuściłby jej do oficjalnego obiegu. Przy okazji... – Kidera popatrzył pod światło wzdłuż ostrza – lekko ją skrzywiło podczas hartowania. To się zawsze może zdarzyć. Odprostowano ją na rozgrzanym bloku miedzi i skrzywienia prawie nie widać, ale te listki dyskwalifikują miecz – w sensie estetycznym, rzecz jasna, bo jakości głowni to nie zmienia. To znakomicie skuta stal. I jeśli ktoś potrafi, można tym rozwalić każdy hełm. Podejrzewam, że ktoś tę głownię mistrzowi podwędził. Może uczeń. Albo czeladnik, któremu kazano zniszczyć spartaczone ostrze, a on odprostował je na własną rękę i potem sprzedał albo zachował. Kto wie? W każdym razie miecz jest piękny. I proszę za nic w świecie się go nie pozbywać. Może się jeszcze okazać, że jest wart fortunę. Poznam pana przy okazji z człowiekiem, który powie panu o tej głowni wszystko. Nawet to, czego ta głownia sama o sobie nie wie.

Kaneyasu dałby wiele, żeby obejrzeć miecze gospodarza, których kilka stało na stojakach pod ścianą, i już zamierzał o to poprosić, lecz przeszkodziło mu otwarcie przesuwanych drzwi i pojawienie się kobiet. Tym razem, ku zaskoczeniu Kaneyasu, obie były w wizytowych kimonach. Najwidoczniej oswojono je znakomicie z tym niełatwym w noszeniu strojem, bo gdy ukłoniły się i upewniły wzrokiem, że mogą wejść, wstały z zachwycającą swobodą, której pozazdrościłaby im niejedna mistrzyni herbacianej ceremonii. Z pewnością każda pozazdrościłaby im urody.

Wanda Laudowska-Kidera była już po czterdziestce, ale zarówno jej twarz, jak i szczupłe a jednocześnie pełne ciało zachowały młodość i wigor. Kaneyasu, zapytawszy w myślach swojego ciała i swoich doświadczeń z kobietami o zdanie, musiał przyznać, że obok tej kobiety o twarzy dziewczynki położyłby się na futonie z największą przyjemnością. Niezwykłe wrażenie w zestawieniu ze śliwkowym, haftowanym w maleńkie sylwetki ptaszków kimonem i tonującymi odcienie beżu, głębokiej czerni i złota podkimonami robiły jej bardzo jasne, krótko obcięte „na chłopczycę” włosy i jasna karnacja skóry.

Mała Ki wystroiła się o wiele skromniej. Jej bawełniane kimono zadrukowano w nieregularne, ciepłe pomarańczowo-zielone prostokąty, a zielony jedwabny pas *obi* pozbawiony był jakichkolwiek wzorów. Burzy złotych falujących włosów nie dało się najwidoczniej w żaden sposób opanować, toteż właścicielka owego pandemonium wybrała wyjście najprostsze i wzorem niezaprzysiężonych jeszcze w służbie samurajskich podrostków związała je w koński ogon, którego koniec – gdy siedziała – sięgał jej stóp w białych *tabi*. Rozpuszczonymi włosami – Kaneyasu wyobraził to sobie natychmiast – mała Ki mogłaby się okryć prawie do bioder.

Pułkownik był najwyraźniej dumny z oryginalnej urody żony i córki, gdyż kątem oka zerkał na swego młodego gościa, ciekaw jego reakcji. Kaneyasu istotnie był pod wrażeniem. Zaniepokoił się nawet, czy fizjologiczne efekty owego wrażenia nie uwidoczną się pod jedwabiem jego *hakama*. Po raz pierwszy od wielu miesięcy był aż tak podekscytowany obecnością kobiety.

– Widzi pan, panie podchorąży, jak dobrze się składa, że nie włożył pan munduru – zagaił Kidera, a Kaneyasu nie potrafił ocenić, czy w stwierdzeniu tym kryje się aluzja. A propos

– Kidera z gracją wtrącił francuskie słówko – w jakiej broni pan służy?

– Jestem podwodniakiem, ale zgłosiłem się właśnie na kursy lotnicze, choć nie wiem, czy dowództwo mnie zakwalifikuje.

– To chce pan jeszcze latać? Nie wystarczy, że ryzykując życie, krąży pan, wbrew prawom fizyki i ludzkiej naturze, pod wodą? – Kidera wypowiadał swoje kwestie z żartobliwą emfazą człowieka, który doskonale zdaje sobie sprawę z intelektualnych możliwości rozmówcy.

– Nie będę oczywiście mistrzem pilotażu po takim kursie - tłumaczył pokornie Kaneyasu, nie mogąc powstrzymać się od zerkania na prześliczne dłonie Kiry wynurzające się z rękawów kimona. – Nawet jak mnie przyjmą. Bo kurs jest dla wybranych. Trzeba mieć najlepsze lokaty, a ja mam tylko dobre chęci. Ale, wie pan, panie pułkowniku. Chciałbym wiedzieć, jak to jest. Wydaje mi się, że flota powietrzna będzie miała wkrótce tyle samo do powiedzenia co okręty...

– Nie przesadza pan? Panie podchorąży? – zdecydowała się wtrącić żona Kidery. – Ilekroć patrzę na te rzeczy latające nam nad głowami, wydaje mi się, że ich żywot jest dość wątpliwy. Chociaż... Może i ma pan rację. Jeden z moich wielkich przyjaciół przeleciał kiedyś tym czymś szmat świata, żeby dogonić mój pociąg i... nie zabił się. Było to dobre piętnaście lat temu.

Jeśli postęp techniczny rzeczywiście galopuje w takim tempie, jak twierdzi prasa, to może...

– Moja droga – pospieszył jej z pomocą mąż. – Mamy inne czasy. – I zwracając się ku gościowi, wyraził swoją aprobatę: – Oczywiście, że powinien pan próbować... Potem zresztą o tym porozmawiamy. Wydaje mi się, że będę mógł panu troszkę pomóc. Jeśli rzeczywiście tak trudno dostać się na ten kurs i jeśli pan oczywiście pozwoli.

Kaneyasu pomyślał, że los, który postawił na jego drodze rodzinę Kidery, był bardziej niż łaskawy. Skłonił się uprzejmie i podtrzymał rozmowę zwracając się do Kiry, bo w tej fazie wizyty można już było to zrobić:

– Nie widzę pani przyrodniego brata. Dlaczego nie mogę dziś cieszyć się jego obecnością?

Mała Ki zmieszała się z początku, a potem zachichotała:

– A nie wiem. Wiedział, że pan będzie dziś u nas. Ale najwidoczniej zatrzymały go interesy. – Porozumiała się wzrokiem z ojcem (co nie uszło

uwagi Toru) i wyjaśniła: – Ma przedstawicielstwo handlowe. Prowadzi interesy ze spółką z Harbinu. Ale wie pan...

Ojciec przyszedł jej z pomocą.

– Tam jest teraz trochę niespokojnie, więc Iwanami musi być w stałej dyspozycji. Będzie jeszcze okazja, by panowie się zaprzyjaźnili. Nie będzie pan chyba miał nic przeciwko temu, żebyśmy przenieśli się na ganek i coś łyknęli?

Kaneyasu ukłonił się z aprobatą, ale pomyślał z niepokojem, że jeśli wizyta ma tak tradycyjną oprawę, trzeba będzie pić sake, za czym – poznawszy możliwości i smak europejskich i amerykańskich alkoholi – specjalnie nie przepadał. Na szczęście jego obawy okazały się nieuzasadnione. Mała Ki, detaszowana przez ojca w głąb domu, wróciła, tocząc przed sobą lakowany barek na kółkach. Choć na jego półeczkach była także sake, królowały wódki, likiery i whisky. Nie było jedynie aperitifów i win. Najwidoczniej Kiderowie nie gustowali w niezdecydowanych trunkach. Były tu marki, które Kaneyasu – znawca whisky – widział po raz pierwszy w życiu. Na przykład piętnastoletnia dimple w zabawnej, obłej, przypominającej manierkę butli oplecionej delikatną złotą siateczką.

– Zna pan to? – spytał grzecznie Kidera, a Kaneyasu wahał się chwilę, nim zaprzeczył. Okazało się, że w dziedzinie europejskich luksusów jest ignorantem. Pułkownik wyjaśniał uprzejmie: – Wbrew pozorom i mimo przeraźliwej ceny jest to mieszanka. Czego dokładnie – nie pamiętam, ale w skład wchodzi różne gatunki zbożowe i słodowe. Jeden warunek: te składniki nie mogą mieć mniej niż piętnaście lat, czyli tyle, ile skończyła właśnie mała Ki. Niech pan skosztuje.

Kaneyasu skosztował i poczuł się tak, jakby łyknął dymu. Ze zdziwieniem spostrzegł, że małej Ki też nalano. Wprawdzie jej szklanekę Kidera uzupełnił sporą ilością wody, ale to, że dziewczynka piła mocny alkohol w obecności rodziców i gościa, było złamaniem wszelkich zasad.

– Pewnie się pan dziwi, że moja córka pije z nami? – zagadnął Kidera

z uśmiechem. – Wiem, że to wbrew regułom, ale wolę, żeby nauczyła się pić mocne trunki pod moim okiem, niż gdyby miała w sekrecie obombać się taniej sake i potem chorować jak zając, który objadł się zmarznąętą kapustą... Jesteśmy, jak pan zapewne raczył zauważyć, nowoczesną rodziną, co wcale nie oznacza, że nie respektujemy zasad.

Tego wieczoru Kaneyasu miał okazję się zdziwić jeszcze kilka razy. Najwięcej niespodzianek czekało w ogrodzie, do którego zaprosił go gospodarz, wręczając kolejną napełnioną szczerze szklaneczkę, podczas gdy kobiety oddaliły się dyskretnie, by – jak oznajmiła pani Kidera – „dopilnować przygotowania kolacji”.

Chwilę postali nad sadzawką, rzucając karpom ziarenka spęczniałego, zanęconego ryżu ze specjalnie przygotowanej na te okazje miseczki. Potem Kidera pociągnął gościa jeszcze kilka kroków dalej, tam, gdzie miniaturowe stawidło spiętrzało wodę wypływającą z sadzawki. Tu zachęcił go do zdjęcia *tabi* i zanurzenia stóp w wodzie. Kaneyasu – zdziwiony, bo nikt mu niczego takiego w swoim domu nigdy nie proponował – skorzystał z zaproszenia i po chwili obaj rozkoszowali się chłodem i czystością wody, alkoholem i własnym towarzystwem.

– A zatem jest pan podwodniakiem? – nie tyle pytał, co upewniał się Kidera. – I czego się już pan dochrapał?

– Mam za sobą staże w morzu i pierwszy stopień specjalizacji nawigacyjnej. Jak dobrze pójdzie, za pięć, sześć lat będę szturmanem, a potem pewnie dostanę okręt.

– Pewnie tak – pokiwał głową Kidera. – W zupełności pan na to zasługuje. Myślę jednak, że pańska kariera nie musi rozwijać się tak schematycznie. Po pierwsze, rzeczywiście dobrze by było, gdyby pan skończył ten kurs pilotażu, i to się z pewnością da załatwić. Po drugie, przydałby się panu trochę inny pogląd na świat, na marynarkę i – generalnie – dobrze by panu zrobiło poznanie Zachodu... Niech pan nie robi takich wielkich oczu. Możemy myśleć o nich różne rzeczy, tak jak oni o nas, ale dopóki nawzajem się nie skosztujemy, będziemy nieufni

i będziemy myśleć stereotypami. Przydałby się więc panu, mój młody przyjacielu, kilkumiesięczny staż w dobrej brytyjskiej stoczni. W tej sprawie też mógłbym pomóc. Wróci pan z dobrą znajomością języka, przeleci pan kilka młodych Angielek i pozna pan smak dobrej irlandzkiej whisky. Takiej jak ta. Co pan na to?

Kaneyasu był oszołomiony hojnością i bezpośredniością propozycji. Oczywiście nie mógł ich nie przyjąć. Latanie było jego marzeniem, a staż w Europie spotęgowałby możliwość szybkiego awansu. Kiwnął więc z entuzjazmem głową.

– Byłbym niewdzięcznikiem, odrzucając takie propozycje, ale nie chciałbym się czuć pańskim dłużnikiem, panie pułkowniku...

– I nie musi pan. Nie będę pana zmuszał do zaciągania giri⁹⁹ na całe życie. Odwdzięczy mi się pan za kilka dni. Naturalnie, okolicznościowy urlop załatwię panu od ręki. Tak się składa, że doskonale znam pańskich przełożonych. Wyświadczy mi pan niewielką, ale bardzo ważną dla mnie przysługę. Mogę na pana liczyć?

– Oczywiście, panie pułkowniku – gorliwie zapewnił Kaneyasu, sądząc, że chodzi o łatwe w realizacji, ale dyskretne zlecenie. Coś w rodzaju... właśnie... Co też by to mogło być? Spojrzał wyczekująco w uśmiechniętą twarz Kidery. Ten nie zdecydował się od razu. Wyjął stopy z wody i wstał, poufale opierając się na ramieniu młodego oficera. Potem odsunął się o kilka kroków i w zadumie krzyżując ramiona na piersi, popatrzył na Toru moczącego stopy w wodzie. Toru odwzajemnił to spojrzenie, patrząc z dołu, jak przed ripostą w *ukenagashi*¹⁰⁰. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i żaden nie opuścił wzroku. Kidera wyczytał w oczach Kaneyasu to, co chciał w nich zobaczyć, i podjął decyzję.

– Mała Ki ma kilka dni wolnego. W jej szkole panuje epidemia świnki. Chorował pan jako dziecko na świnkę? Doskonale. Chciałbym wysłać ją do naszej letniej rezydencji. To jakieś dwie godziny jazdy. A właśnie... Czy pan prowadzi samochód? Doskonale. Sam nie mogę jechać, żona kieruje małą szkołą muzyczną, a to akurat czas egzaminów. Tam zaś trzeba nająć

nowego ogrodnika, bo stary, niestety, zmarł... ze starości. Sprawdzić, w jakim stanie jest dom i ogród. Mała Ki powinna już zacząć się uczyć tych rzeczy. Miał z nią jechać Iwan – Kidera wymawiał rosyjskie imię poprawnie, przez zębówowargowe „w” – ale poleciłem mu załatwienie innych spraw. – Słowo „poleciłem” pułkownik wymówił ze szczególnym naciskiem, chcąc najwidoczniej, by Kaneyasu zwrócił na ów akcent uwagę. – Jednym słowem... – Pułkownik sięgnął po stojącą na wielkim ogrodowym kamieniu szklaneczkę i dopił whisky. – Jednym słowem. Pan z nią pojedzie... jako jej opiekun. Nie mogę przecież puścić jej samej. To w końcu jeszcze dziecko – zakończył oklepanym zwrotem i westchnął jak człowiek, którego zmęczyło długie przemówienie.

Kaneyasu wciągnął z sykiem powietrze jak ktoś, kto oparzył się herbatą, ale szybko się opanował. To cudowna propozycja – pomyślał w swojej wspaniałej naiwności. Miał sporo doświadczeń z kobietami. Na tyle dużo, że bez trudu – przynajmniej tak sobie wyobrażał – poradziłby sobie z rolą starszego opiekuna. Przyjaciela. Czyli Kogoś, Kto Musi Trzymać Swoje Żądze na Wodzy. Ale przecież kilka takich dni z małą Ki mogło być rozkoszne. Będzie ją można podziwiać od rana do wieczora. Będzie można robić jej stosowne uwagi, wygłaszane z pozycji starszego doświadczonego mentora. Będzie można ją nawet strofować i pouczać. To może być naprawdę bardzo miłe i ekscytujące. Wizja strofowania małej Ki tak go pochłonęła, że zapomniał o świecie. Pytanie Kidery dotarło do niego dopiero po chwili.

– Czy pan to dla mnie zrobi? Panie chorąży?

– Oczywiście, panie pułkowniku. Z największą przyjemnością. Szczególnie, że pańska córka wydaje mi się bardzo sympatyczną osobą...

– Dobrze. – Kidera był zadowolony. – Przy okazji. Mamy tam całkiem ładną salę treningową. Widziałem pańską rozgrzewkę przed turniejem. Doskonale pan zna poziom hasegawa. Proszę nie kręcić. Wiem coś o tym. Niech pan weźmie miecz i strój. *Bokuto*, ochraniacze i wszystko co potrzeba jest na miejscu. Chciałbym, żebyście poćwiczyli. Niech pan jej da

solidnie w kość. Mała sporo umie, ale jest leniwa i bezczelna. Jeśli będzie się obijać, niech pan jej wypłaci parę bambusów po głowie. Mówię serio. Proszę tak nie patrzeć. Ja jestem jej nauczycielem, ale wie pan, jak to jest uczyć rodzinę... – Uśmiechnął się jadowniczo, szukając zrozumienia w twarzy rozmówcy. – Wszystko wiedzą lepiej... Myślę, że sporo się ode mnie nauczyła. Ale najwyższy czas, żeby poznała inne metody. I proszę jej nie pobłażać... Tak jak ja... Obiecuje pan?

– Oczywiście.

– Teraz najważniejsze. Proszę posłuchać uważnie i zanim odpowie pan coś nierozsądnego, proszę się chwilę zastanowić. Chciałbym, żeby mała Ki wróciła z Kumamoto... Nie tyle chciałem, co życzę sobie i pokładam w pana dojrzałości i takcie wielką ufność... – Pułkownik kluczył wokół tego, co chciał powiedzieć. Najwidoczniej nie było mu łatwo. – Jednym słowem, życzę sobie, żeby Kira wróciła z Kumamoto jako kobieta. Czy dobrze się rozumiemy?

Kaneyasu nie wiedział, jak się zachować. Wyczytał kiedyś, że w starożytnym Rzymie, gdy chciano dokonać egzekucji na dziewczycy, co mogło przynieść nieszczęście miastu, najpierw kazano oprawcom pozbawić ją dziewictwa, a dopiero potem dekapitowano. Kaneyasu w pierwszej chwili poczuł się jak taki właśnie rzymski oprawca... Nim wszakże zdążył coś odpowiedzieć, Kidera siadł koło niego i zajrzał mu w oczy.

– Mam swoje plany co do Kiry, a z tymi sprawami jest trochę tak, jak ze wszystkimi innymi w tym wieku. Pamięta pan, co mówiłem o alkoholu i mojej córce? Rozumie pan? Wolę to mieć pod kontrolą. Nie chcę, żeby marnotrawiła energię na szczeniackie flirty i romanse. Oczywiście niech pan nie robi jej dziecka i potraktuje ją wyrozumiale, ale i stanowczo. Kira ma mocny charakter, ale z tego, co widzę, akurat pan nie powinien mieć z tym najmniejszego problemu. Od kilku dni mała mówi tylko o panu. I jeszcze jedna rzecz. Nie wiem, jak pan to robi, ale zależałoby mi na tym, żeby wasza znajomość ograniczyła się tylko do Kumamoto. Wiem, że to trudne i z pewnością nie uda się jej nie zranić, ale wie pan co... Zaraz

potem wyekspedujemy pana na ten kurs, potem do Anglii i pewno skończy się na kilku płomiennych listach i czarce łoż. Ale proszę to zrobić jak najdelikatniej. Wie pan. Najbardziej cierpią ci najsilniejsi... A mała Ki jest bardzo silna...

Błękitny adler triumf junior, którym wybrali się w tę niedługą stukilometrową podróż, był samochodem ze sportowym zacięciem i prowadzenie go krętymi, ciasnymi drogami wzdłuż wybrzeża było pasjonującym zadaniem. Samochód był świetnie utrzymany i wdzięcznie reagował na pedał gazu. Kidera musiał być nieprzeciętnie zamożnym człowiekiem, bo w garażu, z którego wyprowadzono auto, stały jeszcze dwa inne znacznie większe i robiące wrażenie luksusowych. Kaneyasu nie był pasjonatem motoryzacji, ale nauczył się dobrze jeździć, korzystając z uprzejmości szczęśliwie posiadającego sportowego austina kolegi, który miał wprawdzie auto, ale nie umiał nim kierować. W efekcie austinem jeździł niemal wyłącznie Kaneyasu, płacąc jedynie niewygórowane serwituty, gdy trzeba było zabrać kolegę i jego skądinąd miłą żeńską kompanię na wycieczkę.

Mała Ki sprawiała wrażenie szczęśliwej i podekscytowanej. Oczywiście wystroiła się w swój galowy marynarski mundurek, ale Kaneyasu pomyślał, że tak właśnie wypadało. Kręciła się niespokojnie na skórzanych poduszkach przedniej kanapy i wciąż usiłowała zwrócić uwagę swego towarzysza na różne widoki i rzeczy po obu stronach drogi.

– Niech pan spojrzy, o tam! Dom się całkiem zawalił. Pewno go podmyło w czasie ostatniej ulewy...

Kaneyasu ignorował jej paplanie, ale wreszcie zareagował:

– Po pierwsze, mów mi po imieniu. Nazywam się Toru. Po drugie, nie mogę rozglądać się na boki, bo będzie katastrofa. Muszę uważać na drogę...

Powiedział to życzliwym, spokojnym tonem, lecz mała Ki speszyła się i zamilkła gwałtownie, opuszczając długie rzęsy na zarumienione policzki. Obserwował ją kątem oka i z trudem powstrzymywał uśmiech, bo siedziała

odęta, usiłując się obrazić. Nikt go nie uczył, jak się w takich sytuacjach zachowywać, ale miał dobre wyczucie, więc nie zrobił nic, oddając się przyjemności prowadzenia wozu. Okazało się, że wybrał najlepszy sposób, bo mała Ki, jak każda nastolatka, próbowała swoich pazurków. Przekonawszy się w kwadrans, że jej taktyka zawodzi, jak gdyby nigdy nic oświadczyła:

– A więc dobrze, będę cię nazywała Toru. To ładne imię i dobrze do ciebie pasuje...

– A niby dlaczego? – nie wytrzymał próby milczenia Kaneyasu, a mała Ki wypaliła bez namysłu:

– Bo ty jesteś taki Toru!¹⁰¹ – Roześmiała się tak żywiołowo, że słomiany kapelusik z czarną wstążką spadł jej z głowy i porwany prądem powietrza wyleciał za otwarte okno. Kaneyasu sprawdził w lusterku, czy można się zatrzymać i zaczął zwalniać, ale mała Ki położyła mu dłoń na ramieniu i zadysponowała: – Jedź. Niech sobie leży. Niespecjalnie go lubię. W ogóle najlepiej się czuję z gołą głową, ale zakonnice z mojej szkoły mówią, że to „nie wypada pannie w moim wieku”. Swoją drogą, ciekawa jestem, czy jest w ogóle coś na świecie, co wypada pannie w moim wieku. A mam już, szanowny Toru, całe piętnaście lat.

– Pannom w twoim wieku, a zwłaszcza takim jak ty, wypada robić całe mnóstwo wspaniałych rzeczy – tajemniczo zaczął Kaneyasu, czując, jak między nim a dziewczyną zaczyna się snuć niteczka czegoś miłego i wspólnego.

– Na przykład co?

– Na przykład to, co teraz... Pomyśl. Jedziesz sobie automobilem z bardzo atrakcyjnym młodym oficerem, przed którym otwierają się bardzo interesujące perspektywy. W dodatku za zgodą swojego szanownego ojca i z gołą głową. Czy to nie wspaniałe?

– Ojciec nie dał mi zgody, szanowny Toru. On mi kazał, kazał jechać z tobą, a ja nie do końca rozumiem, dlaczego nie mogłam pojechać z kierowcą albo z jakimś adiutantem papy. Kręci się ich tyłu w sztabie. To

by nawet było zabawne – ironizowała, co w jej wieku i w zestawieniu z dziecinną jeszcze buzią brzmiało ciekawie. Nieświadoma dysonansu, kreśliła ze swadą portret sztabowego adiutanta: – Zadki trzymają tak ściśnięte, że zawsze wydaje mi się, że dojdzie do jakiegoś wypadku albo że są w nagłej potrzebie. Najgłupsze jest to prężenie się i trzaskanie obcasami przy salutowaniu... Nie, może nie to jest najgłupsze, tylko ich odpowiedzi. Pewno uczą ich w szkole oficerskiej wszystkich możliwych odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania, a oni tylko wybierają to, które im się wydaje odpowiednie. I zawsze wybiorą coś tak głupiego, że strach... Raz zagadnęłam takiego jednego, który przynosił ojcu papiery... Nawet ładny chłopak... miał takie chmurne spojrzenie, jakby ciągle się na kogoś gniewał. Więc pytam go, dlaczego jest ciągle taki sztywny, jakby mu ktoś wsadził w zadek kij od szczotki. A on mi na to: „Rad jestem się starać”! I znów się pręży. Jak jakiś głupek. Poradziłam mu na odchodne, żeby spuścił trochę powietrza. Nic nie odpowiedział, tylko się uklonił. Widocznie odpowiedzi na takie pytania nie było w podoficerskim podręczniku. A ty co o tym sądzisz? Ty masz zawsze dobre odpowiedzi, i śmieszne, ale to te odpowiedzi są śmieszne, a nie ty sam, jak te dupki ze sztabu.

– Sądzę, Kiro, że gdybyś wiedziała, jakimi metodami uczy się w szkole oficerskiej grzeczności i dyscypliny, tobyś ich zrozumiała...

– No, no! – Wlepiała w niego spojrzenie. – Powiedz mi. To musi być bardzo interesujące.

– Faktycznie. Nie chcę cię urazić, ale powiedz mi – dostałaś kiedyś w wypiętą pupę bambusową pałką? Taką długą i taką mniej więcej grubą? Z całej siły? – Puścił na chwilę kierownicę i pokazał jej dłońmi i kółkiem z kciuka i palca wskazującego rozmiary pałki.

– W gołą? – spytała bez żenady.

Kaneyasu zaczerwienił się, ale dzielnie brnął dalej:

– To bez znaczenia, ale nie w gołą. Przez drelich. Dostałaś?

Kira potrząsnęła swoim samurajskim ogonem.

– Czasami podczas treningu, jak się lenię albo udaję, że nie dam rady,

tato stuknie mnie po plecach *bokken*¹⁰². Raz nawet trzasnął mnie w czubek głowy wachlarzem. Bolało, ale tylko przez chwilę.

– Ból jest potworny. Jakby ktoś przyłożył ci do... – zawahał się i znów użył dziecinnej formy – do pupy rozpalony do czerwoności pręt...

– Biją was? W dupę? Niiieeee. To niesamowite. – Była najwyraźniej podekscytowana, a on uśmiechnął się z zażenowaniem i rosła w nim irytacja, że poważił się skierować rozmowę z piętnastolatką na tak niebezpieczne tory.

– No, teraz już nie, ale w czasie szkolenia podoficerskiego dostałem wiele takich bambusowych pał.

– No i jak było? – koniecznie chciała wiedzieć. – To chyba normalne, że wojownik musi znosić ból.

– Wiesz co?! – zezłościł się. – Bzdurne jest to twoje uogólnienie. Bo... Wyobraź sobie: taki kapral, przepraszam, „pan kapral”, każe ci złapać się stołu, rozstawić nogi i naprężyć pośladki. Po pierwszym uderzeniu nie wiesz, czy się rozryczeć, czy uciekać i czy za chwilę nie będzie jeszcze gorszej, jeszcze bardziej wstydlivej rzeczy. Wszyscy patrzą, a ty masz świadomość, że nawet nie jesteś winny. Że zrobiłeś coś złe, bo ci nie wytłumaczyli albo nie dali czasu, żeby to wytrenować. Na przykład upuścisz pocisk przy działoczynach¹⁰³. W dawnych czasach tego nie było i nie wiem zupełnie, skąd w armii i w marynarce pojawiły się takie chińskie metody. Czemu to niby ma służyć? – pytał bardziej sam siebie niż Kiry, od której nie oczekiwał przecież odpowiedzi, ale dziewczyna nie była głupia.

– Może chcieli was złamać?

– To też – przyznał – ale myślę, że przede wszystkim miało to nas pozbawić indywidualnych postaw. Takie upokorzenie, jeśli ktoś je zniesie i nie załamie się, uodparnia na stres, ale jestem w stanie wyobrazić sobie o wiele bardziej ludzkie metody. Cóż, nasi zwierzchnicy myślą sobie zapewne, że bicie w... dupę (świadomie użył wulgaryzmu, którego ona dopuściła się pierwsza) wzmocni wojskowego ducha. Ale... ale...

– Ale wzmacnia tylko zadek! – dokończyła dyplomatycznie, rozładowując napięcie.

– No właśnie. – Uśmiechnął się, wyczuwając, że odziedziczyła po ojcu bezpretensjonalność i poczucie humoru. – Nie dziw się więc, że te pistolety tak się prężą. Pewnie ciągle mają w uszach świst bambusowej pały czy też czegoś, czym bili ich kaprale. Wiem, że w użyciu są nawet żelazne rurki. Ale dajmy już spokój. Co to za temat!

– Dobry jak każdy inny. Nie wiem dlaczego, ale bardzo lubię wszystko, co jest związane z wojskiem. Powinnam była urodzić się chłopcem. Lepiej nigdy nie zapraszaj mnie na swój okręt, bo nie wyleżę, aż wszystkiego nie obejrzę i nie dotknę...

Kaneyasu wyobraził sobie miny chłopaków z załogi, gdyby Kira rzeczywiście pojawiła się na okręcie. Pewnie zaczęliby szukać dla niej zabawek... Chociaż... Zerkał na nią ukradkiem. Nie była już kijanką. Była młodziutką żabką. Nadgarstki jej dłoni i kostki stóp miały jeszcze dziecienną kruchość, ale wszystko, co miało się wypełnić i zaokrąglić, właśnie wypełniało się i zaokrąglało, a intensywny trening sprawiał, że ciało dziewczynki było pięknie umięśnione i mocne. Może, jak na gust Kaneyasu, trochę zbyt pulchne, ale była to pulchność typowa dla jej wieku, a nie wynikająca z przejadania się i braku ruchu. Poza tym – dlaczego dziewczynki? Przecież to już kobieta... – Spojrzał uważniej przed siebie, obserwując drogę oraz wsłuchując się w paplanie Kiry i we własne ciało, które potwierdziło jej kobiecość.

– Papa ma bardzo nowoczesne poglądy na armię i szkolenie. Uważa, że to, co się teraz wyrabia w jednostkach, nie wpłynie dobrze na poziom naszych wojaków. Mówi, że koncentrowanie się na drylu i dyscyplinie prowadzi donikąd.

Kaneyasu kręcił się na siedzeniu, usiłując zamaskować wzbierające podniecenie.

– A co pan pułkownik uznaje za priorytet?

– Szkolenie specjalistów. Papa mówi, że przy naszych metodach

szkolenia specjalistów wystarczy na pierwszy rok wojny, a potem nie nadążymy ich uzupełniać. Że przy dobrym szkoleniu dyscyplina tworzy się sama, bo bez niej nie ma mowy o specjalizacji. Że to tak, jak przy treningu – jak nie zawiążesz równo troczka, to gatki ci zlecą przy cięciu i wtedy zrozumiesz, że najpierw musisz się nauczyć porządku, a dopiero potem przychodzi czas na wyższe umiejętności.

– I dobrze mówi! – Kaneyasu odetchnął z ulgą, bo podniecenie wreszcie opadło. – U nas we flocie jest dokładnie tak samo. Powinniśmy wypuszczać ze cztery razy więcej dobrych oficerów na rok, ale programy przeładowane są musztrą, głupią teorią i podobnymi bzdurami. Poza tym kto nas uczy? – pomyślał o Szyjce od butelki. – Karierowicze i durnie albo instruktorzy, którzy nie sprawdzili się w służbie i dlatego przesunięto ich do szkolenia – i to na poziomie podstawowym, kiedy nauczyciel jest najważniejszy. A powinno być tak, jak w Anglii... – Wiesz? – Spojrzał na nią, żeby się upewnić, że jej nie nudzi. Słuchała uważnie, kiwając głową, więc kontynuował: – Tam do szkół podoficerskich deleguje się czasowo najlepszych oficerów z linii, a nie jakieś miernoty. Podobno w lotnictwie marynarki i armijnym jest jeszcze gorzej...

Kira przytaknęła z przejęciem i znów to coś wspólnego, co zawiązywało się między nimi, odrobinę się wzmocniło.

– Papa mówi dokładnie to samo. Biciem po gębie i wrzaskami nie zrobi się dobrej armii. Cieszę się, że też tak myślisz. A swoją drogą szkoda, że do szkół oficerskich nie przyjmują dziewczyn. A to by się zakonnice zdziwiły, gdybym przyjechała je odwiedzić w mundurze. Albo przeleciała nad szkołą...

– Jak byś tylko przeleciała, toby się nie zdziwiły. Mało to samolotów lata nad miastem?

– No to zrzuciłabym im coś na głowy...

– A niby co? – zainteresował się ironicznie Toru.

– A pstro! – odpaliła Kira, która miała wprawdzie pewien pomysł, ale na tym etapie znajomości nie chciała się nim dzielić z Toru. – To tam! –

pokazała. – Skręć nad morze, nie trzeba wjeżdzać do miasta.

Kumamoto było bardzo malowniczym miejscem, a wakacyjna rezydencja Kidery – przeurocza. Dom – liczący sobie jakieś sto pięćdziesiąt lat – był przygięty przez czas, rozłożysty i krzepki jak starzejący się, trochę otyły samuraj. Służył też kiedyś jako samurajska rezydencja, ale solidność i wysokość ogradzającego go muru, masywne belkowanie wrót i ukryte pod daszkami otwory strzelnicze dla łuczników świadczyły o tym, że w zamyśle budowniczych posiadłość miała wytrzymać małe oblężenie. Znajdowała się na wzgórzu, a droga prowadząca do głównej bramy pięła się ostrymi zakosami wśród bezmiaru fantastycznie zielonych i bujnych upraw prosa i jęczmienia. Kaneyasu zatrzymał adlera w połowie tej drogi, dobre czterysta metrów od celu, i choć w spojrzeniu Kiry zauważył pytanie, wysiadł bez słowa.

– To naprawdę tam? Fenomenalne! – Podparł się pod boki i patrzył w górę na dom. Kira także wysiadła i oparłszy drobną stopę w szkolnym, czarnym półbuciku na stopniu auta, przyglądała się Toru. Podobał się jej bardzo taki jak teraz – w wojskowego kroju i koloru koszuli z podwiniętymi rękawami. W ogóle wszystko się jej w nim podobało: wyrazisty, mocny męski profil twarzy z nieco za dużym nosem; opalone, szczupłe i na pierwszy rzut oka bardzo silne przedramiona z wymodelowanym niczym w anatomicznym atlasie rysunkiem mięśni; niewysoka (był jej równy wzrostem), ale bardzo prosta sylwetka z kształtnym, suchym zadkiem i długimi jak na Japończyka nogami o dużych stopach. Podobało się jej wreszcie to, że zachowywał się swobodnie i niekonwencjonalnie, że robił to, na co w danej chwili miał ochotę. Kaneyasu odwrócił wreszcie zachwycony wzrok od szczytu wzgórza.

– Mało kogo stać dziś na takie domy – powiedział. – Twoja rodzina musi mieć masę pieniędzy. To wszystko wasze?

Kira przyłożyła dłoń do czoła, bo raziło ją południowe słońce.

– Jesteś beznadziejny... – zawyrokowała.

– Niby dlaczego?

– Co cię obchodzi, ile mamy pieniędzy? Jesteś księgowym czy co? A może chcesz mi się oświadczyć? – Nie dała mu czasu na obronę. – Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, papa dostał to w prezencie. Od takiego jednego generała¹⁰⁴. Bardzo zasłużonego. Pracowali kiedyś razem. Tata bardzo tego generała lubił i... szanował. Ten generał nie miał spadkobierców i zapisał rezydencję tacie. A tak w ogóle, to dom i teren jest mój, bo papa scedował akt własności na mnie. Mam też udziały w firmach mamy i przyrodniego brata. Jestem więc całkiem niezłą partią. Jedźmy! – zadysponowała. – Jak zobaczysz, co jest za murem, to się dopiero zdziwisz.

Do Kaneyasu, który po raz pierwszy zobaczył w Kirze taki impet, zaczęło powoli docierać, co miał na myśli Kidera, mówiąc, że jego córka ma silny charakter.

Wyglądało na to, że na nich czekano, bo Kaneyasu nie zdążył nawet zatrąbić, a okute żelazem wrota otworzyły się wolno. Kiedy uchyliły się na tyle, że mogli zajrzeć do środka, zobaczyli, że otwiera im stary, schludnie ubrany mężczyzna, który z racji postury i krzaczastej, czarnej – mimo siwych włosów na głowie – brody, mógłby z powodzeniem zagrać w teatrze rolę Darumy¹⁰⁵. Starzec był imponująco wielki i potężny. Uporawszy się z bramą, zamarł w ukłonie, a Kira wysiadła z samochodu i podeszła do niego. Otwierając bagażnik, Kaneyasu mógł doskonale słyszeć ich rozmowę. Swoim zastanawiająco niskim głosem Kira zatrąbiła życzliwie:

– Witam. Nie znam pana. Kto panu kazał na nas czekać?

– Pan inspektor policji z miasta – odpowiedział Daruma.

– Mam być nowym ogrodnikiem, po starym Ishizu, któremu się - jak panienka wie – zmarło. Pan inspektor powiedział jednak, że o tym, czy dostanę tę posadę, zdecyduje panienka. Ja na razie miałem kilka dni... i pozwoliłem sobie zająć się ogrodem. Proszę się nie gniewać, ale wiele drzew i krzewów wymagało szybkich zabiegów. W przeciwnym razie...

– Dobrze – odrzekła Kira kategorięcznym tonem, o który Kaneyasu nigdy by jej nie podejrzewał. – Rozpakujemy się. Obejrzę ogród i zdecyduję. Na razie proszę zostać. Porozmawiamy jutro przed południem. Aha! Niech no

mi pan powie, dlaczego nie widzę służącej?

– Rozchorowała się jej córeczka. Nie ma jej od tygodnia. Obiecała wrócić jak najszybciej, lecz jakoś się nie pojawia. Ale proszę się nie martwić. Pozwoliłem sobie przygotować pokoje i napaliłem w piecu. Wieczorem będzie dużo gorącej wody na kąpiel.

– Dobrze. Dziękuję wam – powiedziała niczym dowódca.

– Zrobiliście wszystko co trzeba.

Kaneyasu z walizkami w obu dłoniach rozglądał się ciekawie po podwórku, ale Kira nie pozwoliła mu się długo zastanawiać.

– Wiesz co? – powiedziała. – Zostaw te walizy i wejdźmy do domu. Umyjemy ręce i pójdziemy nad morze. Masz ochotę?

Wzięłeś slipki? Nie? – Obrzuciła go karcącym spojrzeniem. – Nie szkodzi. Wykąpiemy się na golasa. Na dole jest moja prywatna plaża. Ogrodzona. Nikt tam nie zagląda. Zawsze tak robię, gdy tu jestem.

Fala gorącej krwi uderzyła Toru do głowy. Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć, więc posłusznie postawił walizki na matach.

– A gdzie będzie mój pokój? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– Znajdź sam – doradziła. – Przecież jesteś nawigatorem.

Eleganckie, haftowane w smoki jedwabne gatki, które z myślą o swojej „misji” kupił w drogim do bólu zębów magazynie, wyglądały wspaniale, gdy były suche, ale kto wie, co by się z nimi stało po zamoczeniu w morzu. Jak większość rodaków, i w dodatku marynarz, nie przepadał za morskimi kąpielami, choć pływał całkiem nieźle. Na szczęście w pokoju znalazł bawełnianą *yukata* [106](#). Po chwili namysłu owinał pod nią biodra ręcznikiem i... Niech się dzieje, co chce – pomyślał.

Dom stał na kilkunastometrowym klifie i na wąską, pokrytą drobnym żwirem plażę trzeba było schodzić po stromych schodkach. Kira też była w *yu kata*, a włosy upięła wysoko.

– Naprawdę chcesz się kąpać? – Kaneyasu miał nadzieję, że nie będzie się musiał rozbierać.

Japończycy mają morza pod dostatkiem i zapewne dlatego rzadko

zażywają morskich kąpiele. Owszem, chodzi się na plażę, ale raczej po to, żeby pospacerować brzegiem lub posiedzieć pod parasolem, bo słońca w tym klimacie należy unikać.

Spojrzała na niego wesoło, luzując *obi*.

– Jak nie chcesz, to siedź. Ja to uwielbiam. Moja mama urodziła się w kraju, w którym w morzu kąpać się można tylko przez dwa miesiące. Na dodatek jest tam ze trzydzieści milionów ludzi, a morza mają tylko taki kawałek – pokazała, rozstawiając palce, jak mało morza mają krajanie jej matki.

Zdjęła *yukata* i nie manifestując, ale też nie ukrywając nagości, przykucnęła i starannie złożyła kimono w kostkę, przyciskając je z wierzchu swoimi *tabi*, gdyż wzdłuż wąskiej plaży wiał przyjemnie ciepły, ale dość silny wiatr. Potem ostrożnie weszła do wody i gdy kolejna fala sięgnęła jej okrągłej sprężystej dupki, dała nurka i po kilkudziesięciu sekundach wypłynęła znacznie dalej – tam, gdzie na pierwszej płyciźnie załamywały się grzywy niewielkich fal.

Kaneyasu chodził przez chwilę jak kwoka wodząca kaczęta nad stawem i zaczął się już martwić o dziewczynę, ale widząc, jak wspaniale pływa, dał spokój. Potem rozebrał się i pewien, że z tak daleka nie będzie mogła go obserwować, wszedł do ciepłego morza tylko po to, by położyć się na wodzie kilka metrów od brzegu i ochłonać z wrażeń dnia. Gdy wreszcie po dobrych dwudziestu minutach Kira wyszła z wody, siedział znów na brzegu, owinięty w swoją *yukata* i ręcznik, i starał się okazywać demonstracyjny brak zainteresowania jej złocistymi udami i wysokimi piersiami o drobnych sutkach. Włożyła kimono na mokre ciało, potrząsając głową, rozpuściła włosy, a potem nachyliła się nad nim i zmusiła go do długiego pocałunku.

– I tak wiem, że się będziesz do mnie dobierał, więc wolę ci to ułatwić. Jak ja o tym marzyłam! Od dwóch tygodni nie myślę o niczym innym.

Siadła obok i nie zwracając uwagi na to, że nieprzepasana *yukata* rozchyła się, prezentując światu całą chwałę jej piętnastoletniej, świeżej urody, zajęła się skręcaniem włosów w węzeł. Kaneyasu chciał coś

powiedzieć, ale zrezygnował i podłubał patykiem w piasku. Mała Ki postawiła wszystko na głowie. Przecież to on miał się nią opiekować i decydować o przebiegu wydarzeń. Ale może tak jest lepiej? Najwidoczniej mała wie, czego chce, i nie trzeba jej w realizacji tych planów przeszkadzać. Nie przeszkadzał więc, a Kira widząc, że milcząco akceptuje jej poczynania, rozkręcała się.

– Wiesz co? Jeśli pozwolisz, nie będziemy dziś trenować ani robić żadnych rzeczy wymagających nadmiernego wysiłku...

– Czyli co? – zdobył się wreszcie na pytanie, które – choć krótkie i rzeczowe – musiało zabrzmieć nieco dwuznacznie.

– Czyli pstro! – Mała Ki znów posłużyła się dzieciennym słówkiem-unikiem, myśląc: Doskonale wiesz, co będziemy robili, ty tłumoku. Ale brak ci odwagi, żeby przyznać, że też tylko o tym myślisz. Czekał, urządzą ci taki cyrk, że popamiętasz chiński miesiąc.

– No wiesz... – usiłował wejść w rolę, którą przed chwilą odrzucił, a dziewczyna zachichotała:

– Przestań się nadymać. Nie do twarzy ci z tym. Przecież potrafisz być całkiem normalny. Potrafisz? No to bądź. Zrobimy sobie coś dobrego do jedzenia, a potem siądziemy na werandzie. Będziemy patrzeć, jak słońce zachodzi i popijać coś dobrego.

Toru ocknął się nagle. Odezwał się w nim człowiek praktyczny.

– Macie w tym domu zapas sake?

– Kto by się tam truł sake. – Opasała kimono, zasłaniając niesforne piersi, które koniecznie chciały wyglądać przez rozchylone kesa¹⁰⁷. – Mała Ki nie jest taka głupia, za jaką ją pan uważa, panie podchorąży. Mała Ki pożyczyła sobie od ojca całkiem sporą butelkę całkiem dobrej wody. Tylko proszę się nie stroić w jakieś mundury albo garnitury. Spotykamy się o siódmej, tak jak teraz. Jest parno jak diabli. Może pan, oczywiście, włożyć gatki, ale... – Popatrzył na nią pytającym wzrokiem. Tego chyba chciała, lecz wbrew jej intencjom nie spuścił oczu, tylko wytrzymał bezczelne, wyzywające spojrzenie. Dokończyła więc łagodnie i niemal obiecująco: –

Ostatecznie może pan nie wkładać.

Służąca nie wróciła, ale w chłodnej spiżarni pod podłogą było wszystko co trzeba, łącznie ze świeżo złowionymi i sprawionymi rybami. Najwidoczniej Daruma zadbał także o to.

– Wyrzucę tę babę! – Kira oznajmiła to spokojnie i bez złości, Kaneyasu wyczuł jednak, że nie ma sensu odwozić jej od postanowienia. – Wiem, wiem. Zaraz mi powiesz, że chora córeczka i tam takie, ale skoro ogrodnik potrafi zadbać także o zaopatrzenie i jest przewidujący, to lepiej niech on dostaje jej pensję i zarabia podwójnie. Korzystamy z tego domu od przypadku do przypadku. Nie bój się. Dam jej przyzwoitą odprawę.

Czerwcowe słońce zachodziło wolno i było olbrzymie. Kaneyasu wydawało się nawet, że dostrzega na obrzeżach jego korony jakiś ruch, ale było to – o czym doskonale wiedział – jedynie złudzenie. Krawędzie tarczy były ostre i wyraziste, a powietrze całkiem spokojne. Wróżyło to piękną pogodę przez kilka najbliższych dni. Butelka pożyczona z zapasów pułkownika zawierała bardzo dobrą whisky, ale Kaneyasu (co go dziwiło) nie miał ochoty pić. Wydawało mu się, że lepiej będzie, jeśli nadchodzące wydarzenia przyjmie ze świeżą głową. Mała Ki natomiast folgowała sobie, lecz robiła to z wprawą świadczącą o tym, że posiada już dostateczną wiedzę o właściwym dawkowaniu mocnego alkoholu. Szybko zrobiło się chłodno i, za jej radą, otulili się futonami przyniesionymi z sypialni. Zawinięci w nie, wyglądali jak para kolorowych kukiełek. Kaneyasu w swoim kokonie doznawał niezwykłego uczucia spokoju i komfortu. Mógłby spędzić życie na takim siedzeniu. Mała Ki nie domagała się rozmowy, tylko od czasu do czasu wyciągała spod swego futonu drobną dłoń, prosząc wzrokiem, by jej dolał, a on robił to z wyjątkową przyjemnością, zupełnie zapominając o tym, że to ona powinna go obsługiwać.

Stopniowo wszystko, co mieli przed oczami, robiło się coraz bardziej złote. Wciąż jednak kadr obramowany czarnymi sylwetami drzew rosnących na skarpie zachwycał wielką gamą odcieni – od najciemniejszej,

lekko pomarszczonej i skrzącej się miliardami błysków i odbić powierzchni morza tuż przy plaży poprzez jaśniejsze, w kolorze starego zmatowiałego złota, pasemka odcinających się wyraźnie mielizn i łach, aż do rozjaśnionego, jak w teatrze, horyzontu, na którym królowała zanurzona jedynie do połowy i zda się nieruchoma tarcza słoneczna. Potem złoto zamieniało się w czerwień i czerń, a nadal złotą tarczę przecięło na pół cienkie i proste jak główńia miecza pasmo niskich ławicowych obłoków, rozsnutych tuż nad horyzontem. Usłyszeli wtedy cichy, ale narastający pomruk diesla. W kadrze pojawiła się czarna sylwetka płynącego na powierzchni okrętu podwodnego, który ciągnął za sobą regularną jak na obrazku, czarną jak on sam, choć posrebrzoną pianą, nitkę kilwateru, nad którym leniwie unosił się dym.

– Taki jak twój? – spytała cicho Kira, obracając buzię ku Kaneyasu.

– Może nawet mój – odpowiedział. – Wraca z ćwiczeń. Albo z patrolu. Z tej odległości trudno je identyfikować. Mamy w służbie kilka typów.

– Nie masz pewności? – drażniła go leniwie. – Myślałam, że jesteś znawcą.

– Zmiłuj się. To dobre dziesięć kabli¹⁰⁸. Musiałbym mieć lornetę – bronił się bez złości, bo było mu dobrze, ale ona nie dawała za wygraną. Lubiała ludzi, którzy wiedzą wszystko o tym, co robią. Takich jak ojciec.

– Powinieneś – zakpiła – odróżniać je z zamkniętymi oczami. Po dźwięku silnika...

– Może i masz rację. – Wyłuskał górną połowę ciała z futonu i podjął wyzwanie: – A zatem posłuchajmy. – Teatralnym gestem, jak aktor grający zająca, postawił uszy i po nieznośnie długo trwającej chwili stwierdził: – Miałaś rację. To można odróżnić słuchem, a takiego klekotu nie wydaje żaden inny silnik na świecie. To stary sulzer... typ KD-1. A jeśli to jest KD-1, to w tej okolicy i o tej porze nie może być to nikt inny, tylko mój kolega kapitan Ryu-Matsumoto i jego I-51¹⁰⁹. – Porażony trafnością swojej dedukcji, miał ochotę zerwać się i zacząć machać do Matsumoto, który z tej odległości i w zapadających ciemnościach i tak nie mógłby go zobaczyć.

– Nabierasz mnie... – Mała Ki była pełna wątpliwości.

– Nie. Nie nabieram – odpowiedział godnie i dodał: – Dzięki, że namówiłaś mnie do tej zabawy. Rzeczywiście można rozpoznać okręt po dźwięku silnika. Jak wrócimy do Fukuoki, dam ci niezbity dowód...

– A niby jak?

– Kapitan tego okrętu to mój kolega. Potwierdzi, że przepływali tu o tej porze...

– Nie zalewasz? – bezceremonialnie ujawniła swoje powątpiewanie. – Tego kolegę mógłbyś przedtem ustawić, żeby zełgał... Ale nie... – wycofała się energicznie. – Wierzę ci. Z tymi swoimi oczami, jak u łani, nie mógłbyś być kłamcą.

Kaneyasu na powrót zawinął się w kołdrę i oparłszy podbródek na dłoni, wyrozumiale patrzył na dziewczynę. Nikt nigdy nie powiedział mu, że ma oczy łani. Jemu samemu wydawało się raczej, że są to oczy wilka, i jako chłopiec często studiował groźne, wilcze spojrzenie przed lustrem. Szkoda, swoją drogą, że Matsumoto, dobroduszny i drapieżnie inteligentny, o ciele zwodniczo miękkim i bezbronnym, a w rzeczywistości świetnie wytrenowanym, nie mógł go teraz oglądać. Pewnie bardzo by się zdziwił, widząc go na tarasie starej rezydencji z zawiniętą w kołdrę piękną dziewczyną. Dziewczyną, na dodatek, której ojciec jest bardzo wpływowym człowiekiem i może wyprowadzić karierę młodego podchorążego na rzeczywiście szerokie wody.

Mała Ki brnęła dalej, wymacując ostrożnie ścieżkę:

– Może nie wiesz, ale papa jest świetnym wywiadowcą... – Popatrzyła na Toru, sprawdzając, jakie wrażenie to na nim wywrze.

– No i? – spytał bardziej ze zrozumienia dla jej wieku niż z rzeczywistego zaciekawienia.

– No i nauczyłam się rozpoznawać, kiedy ludzie kłamią. Ćwiczyłam to w szkole na naszej siostrze przełożonej i doszłam do perfekcji...

– I na czym ją przyłapałaś? – zainteresował się życzliwie, a Kira pochyliła się w jego stronę konfidencjonalnie.

– Ona chyba nie wierzy w tego swojego Boga! – oświadczyła.

– A właśnie... To ciekawe. Czy te zakonnice narzucają wam swoją wiarę?

– Jeszcze by! – obruszyła się mała Ki. – Mają nas uczyć kursowych przedmiotów. Wszystkich po angielsku. Czasami którejś się coś wyrwie przy okazji, ale przecież rodzice nie za to im płacą. Papa zresztą mnie uczył, żebym nie wdawała się w szkole w żadne religijne dyskusje. Papa mówi, że nie po to tam jestem.

– Dobrze mówisz po angielsku? – Kaneyasu bardzo chciał mówić dobrze po angielsku, toteż w pytaniu zabrzmiała leciutka zazdrość.

– *Can we try?* – wypaliła bez zastanowienia, a on zrejterował zmieszany.

– Przepraszam, ale wolałbym nie. Twoje angielskie zakonnice posługują się na pewno lepszym angielskim niż moi wykładowcy z marynarki.

– Chyba tak, choć bez dwóch zdań mogłyby się nauczyć od tych twoich marynarzy paru przydatnych wyrażonek. Nie masz pojęcia, jakie są świętojeblive...

– Jakie? – Nie wierzył własnym uszom.

– No wiesz... – Rzucała mu porozumiewawcze spojrzenia, a on po raz kolejny zachwyił się piękną, niezwykłą mieszanką dorosłości i dziecinności w osobie jego młodziutkiej znajomej. – Takie co to... i swędzi, i chciałoby się, ale przeorysza nie kazała... – Roześmieli się obydwójce, przy czym – dodajmy - każde miało inny powód do uciechy. Mała Ki coraz bardziej zapalała się do opowiadania. – Jest kilka pięknych dziewczyn wśród naszych nauczycielek. Na przykład biologica i ta od geografii. Nie widziałam ich bez kornetów i tych koszmarnych kiecek, ale mówię ci. Sama bym spróbowała...

– Mówisz serio? – To był wątek, który poderwałby do boju każdego mężczyznę, a Kaneyasu jako esteta uważał w dodatku, że w miłości lesbijskiej jest coś szczególnie frapującego.

– Czemu nie. Mam to po mamie. Przejechała przez całą Syberię i pół

Rosji w jednym przedziale z drugą dziewczyną. Tata twierdzi, że tak samo piękną jak mama. Coś tam między nimi pewno musiało być. Niestety, tę drugą dziewczynę zastrzelił jakiś komunista. Też podobno nie najgorszy przystojniak. I do Japonii już nie dojechała. Szkoda. Miałabym ładną ciocię.

– Mała Ki westchnęła i z właściwą sobie szybkością zmieniła temat: – Miałeś do czynienia z komunistami?

– Jeszcze nie. – Kenyasu szczerze żałował, że tak prędko zeszedł w rozmowie z tematu miłości lesbijskiej.

– Ja też nie, ale tato mówi, że to poważna siła – nawet w tej części świata – i każe mi konwersować po rosyjsku z Iwanem. Tak że władam tym językiem całkiem nieźle. Tato mówi, że jak będę na studiach, załatwi mi staż w Rosji. Mówi jeszcze, że w przyszłości to może być nasz główny wróg i że trzeba dobrze mówić po rosyjsku. Więc się staram, tylko że w ogóle mam strasznie dużo nauki. – Ziewnęła szeroko, ale elegancko przesłoniła buzię dłonią. Kiedy wykonywała ten ruch, spod futonu wysunęła się jej stopa i Kaneyasu zamarł. Stopa była piękna. Istne dzieło sztuki. Japonki, które znał, miały zazwyczaj pulchne stopy, a jego koledzy (znawcy kobiecej urody) twierdzili, że najpiękniejsze są stopy małe. Teraz, patrząc na stopę Kiry, stwierdził, że to nieprawda. Stopa Kiry była drobna, ale nie mała. Wąska, ale dość długa... I to go zachwycało. Na stopie siadł komar. Kaneyasu, wolno zaczynając ruch i błyskawicznie go kończąc, chwycił go końcami palców prawej dłoni.

– Jesteś szybki. Zobaczymy, czy ci tak dobrze pójdzie na sali. Jutro trenujemy. Od rana, proszę pana – zrymowała. – A teraz tak! – Uniosła się zgrabnie, zawinięta w futon nachyliła się nad Toru i cmoknęła go całkiem po dziecinnemu. – Idę spać. Jutro będziemy robić różne figielki. Bardzo jesteś kochany i bardzo mi się podobasz. Ale – żeby wszystko było jasne – dziś nic z tego... i bardzo cię proszę, żadnych kombinacji z wchodzeniem do mojej sypialni. Dobrze? Śpię z mieczem pod ręką i mogłabym niechcący obciąć ci to i owo. Idź do siebie. Jesteś słoooodki.

– Ziewnęła. – Jakoś mnie zmogło. To chyba morskie powietrze. Lecę z nóg. Zobaczymy się na śniadaniu. – Cmoknęła go jeszcze raz i podreptała w głąb domu. Kaneyasu siedział bez ruchu, słuchając zamierającego szurania bosych stóp o deski ganku, a potem wysunął ramię spod futonu i nalał sobie potężną lampę.

– Cholera – powiedział i pociągając drobnymi łykami whisky, zadumał się, patrząc na nikły już, mieniący się matowoczarnym srebrem ślad okrętu, który skrył się w mroku, choć wciąż słychać było dudnienie sulzera.

Wbrew pogodowym znakom wieczoru poranek wstał pochmurny i tak mglisty, że nie widać było horyzontu. Spowijającą wszystko mgłą kłuły klaksony kutrów, a gdzieś dalej buczały posepnie syreny kabotażowców. Ruch na morzu był spory. Choć umawiali się na śniadanie, żadne z nich nie pojawiło się w jadalni. Kaneyasu wstał lewą nogą i wszystko go irytowało. Bywają takie dni. Ten zaczął się od bolesnego potknięcia o zawinięty róg maty. Łapiąc równowagę, Toru przewrócił bambusowy parawan, który z kolei zrobił sporą dziurę w papierze przesuwanych drzwi. Przez chwilę, cicho przeklinając, usiłował wyprostować rozdarty papier i skleić go śliną, ale nic to nie dało. Spał źle. Teraz, siedząc na podłodze i masując stopę, usiłował przypomnieć sobie, co go tak w nocy męczyło. No tak. Śnił mu się olbrzymi krokodyl, którego pożerało jakieś stworzenie – mniejsze i nieokreślonego kształtu. Krokodyl wrzeszczał, wił się w męce, a stworzenie – potworek z ostrymi zębami, coś w rodzaju monstrualnego szczura, rozdzierało mu powłoki brzuszne i zżerało kiszki. Po takim śnie człowiek nie może czuć się dobrze. I skąd ten krokodyl?

Kaneyasu potarł w zamyśleniu czubek głowy gestem, który podpatrzył u swojego mistrza, i postanowił przełamać zły początek. Poszedł do łazienki i choć kąpielowy piec był gorący, umył się powoli w przeraźliwie zimnej wodzie, celebując to z masochistyczną przyjemnością. Potem ubrał się starannie i poszukał sali ćwiczeń. Mieściła się w prawym skrzydle domu, a jej wysoko umieszczone wąskie okna dawały dobre do ćwiczeń światło, bo wychodziły na południowy wschód. Myślał, że będzie pierwszy, bo pora była

wczesna, ale Kira, najwidoczniej już rozgrzana, ćwiczyła *kata*. Ukłonił się duchom tej sali, usiadł na prawo od wejścia i przez dłuższą chwilę obserwował, jak sobie radzi. Kira zaś długo udawała, że go nie spostrzega. Wreszcie skinęła przyzwalająco głową. To ona była tu gospodynią¹¹⁰. Rozłożył swoje rzeczy pod ścianą i rozpakował miecz. Potem w kącie starannie się rozgrzał i siadł pod ścianą, wyczekując. Przy Kirze całkowicie tracił inicjatywę. Na szczęście mała wyjęła miecz z za pasa i siadając, położyła go po swojej prawej stronie.

– Miałeś mnie uczyć – powiedziała.

– A chcesz?

– Czemu nie. – Ukłoniła się. – Takiego senseia¹¹¹ jeszcze nie miałam...

– Spojrzała na niego spod oka z tak łobuzerską miną, że nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Wielu ich było?

– Tylko papa... Aha... Głupstwa gadam. Papa przyprowadził kiedyś raz takiego sympatycznego holenderskiego marynarza. Jak mu było?... Wiem, Vim... Vim van Muorik. Wyobraź sobie, ten Holender uprawiał *kenjutsu*. Uczył się w Japonii. Ale jak uprawiał! Trzeba ci to było widzieć. Był fenomenalny. W jego *kata* było tyle siły, że aż trudno uwierzyć, że takie *kenjutsu* może robić taki drobny i miły człowiek. W dodatku nie-Japończyk. Pamiętam, że te leśne dziady z federacji nie chciały mu pozwolić na start w turnieju. Mówili, że turnieje są tylko dla Japończyków. Ale ja myślę, że bali się, że ich ogra i będzie wstyd. Uczył mnie przez dwa dni i bardzo chwalił. Powiedział, że mam dobry *zanshin*...

– No, zobaczymy! – uciął Kaneyasu. – Chcesz, żebym cię uczył, to zrobmy to porządnie! – W roli nauczyciela powoli odzyskiwał pewność siebie. Siadł naprzeciwko niej. Tak jak ona położył miecz przy swoim prawym boku i ukłonili się sobie, dziękując za zaszczyt wspólnego treningu.

– No, dobrze – zadysponował. – Zrobmy *reihō*¹¹².

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie, ale szybko zgasła ledwie dostrzegalny

ognik zdziwienia w oczach i posłusznie wykonywała ceremonię w jego tempie.

– Stop! – przerwał, gdy ukłoniwszy się mieczowi, zabierała się do ulokowania trzewika pochwy za szarfą. Odłożyła miecz i skierowała na niego już jawnie zdziwione spojrzenie. – Po co kłaniasz się mieczowi? – zapytał.

– Jak to po co? Miecz trzeba szanować. Miecz ma znaczenie symboliczne. To godne szacunku narzędzie do rozwijania własnej praktyki – klepała dobrze przyswojone formułki.

– Tylko po to? – Patrzył na nią uważnie, delektując się tym, że musiała mu się podporządkować i odpowiada, jak uczennica w szkole.

– No... i jeszcze może po to, żeby pokazać, że szanujemy także siebie i że jesteśmy pełni pokory wobec siły miecza i własnej słabości. – To już nie było wyuczone. To był efekt jej własnego rozumowania i Toru pokazał miną, że jest zadowolony. Nie poprzestał jednak na tym.

– No, lepiej. Ale jeszcze po co? Pamiętaj, że kłaniać się można różnie. Tak jak ludziom. Albo mechanicznie i bezmyślnie, albo z jakąś intencją. No więc?

– Nie wiem – przyznała i z tonu głosu wywnioskował, że to przyznanie się uraziło jej ambicje i poczucie własnej wartości.

– Właśnie. Nie wiesz. I to się daje wyczuć potem w twoich *kata*.

– Jak to?

– Ano tak. Jesteś ty i miecz w twoich rękach. Jest miecz i ty, która nim ćwiczysz...

– A jak niby ma być? – Chciała, by zabrzmiało to zaczepnie, ale nie zdołała zamaskować chęci poznania odpowiedzi.

– Masz być mieczem, a miecz ma być tobą – wyjaśnił.

– I ten ukłon?... – Powoli zaczęło to do niej docierać.

– Ten ukłon ma być aktem twojego połączenia się z mieczem. Jak skończysz ukłon, masz mieć świadomość tego, że jesteś mieczem, a miecz jest tobą. Wystarczy, że zrobisz go również z taką intencją. Zresztą,

spróbujmy. Zrób wstępne *reiho*, a potem *yokogumo*¹¹³.

Ukloniła mu się, a potem wstała. Wykonała wstępną ceremonię i pierwsze *kata*. Jej miecz miał głęboką strudzinę¹¹⁴ i przy *kiri-oroshi*¹¹⁵ zaśpiewał głęboko i ostro, zaświadczając czystość i siłę cięcia.

– Tak myślałem – powiedział Kaneyasu z satysfakcją, którą odczuwają wszyscy nauczyciele, gdy ich teorie potwierdzają się w praktyce.

– Coś źle? – spytała zawiedziona, bo włożyła w formę wszystko, co w niej samej było najlepsze.

– Zrób ceremonię jeszcze raz – polecił. – Ale pamiętaj. Jak będziesz kłaniała się mieczowi, spróbuj zrobić tak, żebyś po tym ukłonie była innym człowiekiem. Nie potrafię ci tego inaczej powiedzieć. Spróbuj...

Ukloniła mu się, ale w jej oczach wciąż było niedowierzanie i cień podejrzenia.

Sądzi pewnie, że jestem hochsztaplerem i pokazuję jej sztuczki – gadał do siebie w myślach. – Fizycznym i technicznym aspektem jej *yokogumo* nie można przecież niczego zarzucić. Są bardzo dobre. I ona jest bardzo dobra, wprost stworzona do miecza, ale... Przecież *sensei* Sasamori zrobił na mnie podobny eksperyment i zadziałało, a byłem wtedy dokładnie tak samo głupi i pewny siebie, jak ona.

Kira ze skupieniem wykonała *reiho*, a potem pierwsze *kata* poziomemu Hasegawa tak, że dech mu zaparło. Nie mówił nic, a ona zrozumiała. Siedziała pokorna i pokonana przez rzeczy, które tkwiły pomiędzy nimi w przestrzeni, których obydwójce byli teraz w pełni świadomi, które doceniali i których tajemnica nieznacznie i na krótko się przed nimi odkryła. Na koniec Kira, spytawszy go wzrokiem o pozwolenie, powiedziała wolno, rozdzielając sylaby:

– Nie-sa-mo-wi-te!

Kaneyasu uśmiechnął się.

– O takich rzeczach można mówić, gdy się już sporo umie. Tak jak ty. Powinnaś dużo o tym myśleć, bo technicznie jesteś bardzo dobra i z tego, co słyszę, bardzo silna i szybka. *Sensei* Sasamori zwykł mówić: „się tnie”. –

Kaneyasu zrobił śmieszna „mistrzowską minę”, naśladowując swego mistrza z odrobiną kochającej i ciepłej ironii: – Się tnie. Rozumiesz? Nie cięcie.

Nie wyjęcie. Tylko – „się tnie”. To znaczy, że nie ma żadnej granicy między człowiekiem, mieczem a akcją. Człowiek, miecz i akcja stanowią absolutną jedność. Dlatego, jak się jest bardzo dobrym, to miecz sam wie, co ma robić. A właśnie – przypomniał sobie. – Odłóż miecz i weź *bokken*.

Patrzył, jak mała Ki toczy się na kółeczkach swoich zachwycających stópek pod ścianę *dojo*, by odłożyć *shinken* * (**Shinken (jap.) – kuty miecz stalowy.*) i wziąć miecz treningowy. Była zachwycająca. Jej *keikogi* było z cieniutkiego, barwionego na granatowo jedwabiu, *hakama* zawiązane – zgodnie z kobiecą tradycją – wysoko w talii, a *obi* – o odcień ciemniejsze od i tak głębokiego granatu stroju – haftowane było białym jedwabiem w delikatny wzór kwiatów śliwy. Gdy szła, dostrzegł delikatne pęknięcie skóry na mlecznobrzoskwiniowej drobnej pięcie. (Ten drobny uraz zdarza się często trenującym *kenjutsu* i dlatego tak ważne jest pumeksowanie stóp po każdym treningu boso.)

– Dobrze! – zadysponował, gdy wróciła z drewnianym mieczem. - *Yokogumo!* Broń się. Ja atakuję!

Zaatakował szybko i bez pardonu, celowo skracając dystans, a ona – chociaż kontrowała we właściwym momencie – zdołała wykonać tylko połowę „wyjęcia” miecza.

– Widzisz! – wyjaśniał, bezwiednie naśladowując ton Sasamoriego. – Gdyby to była prawdziwa walka, nie miałabyś miejsca do cięcia i musiałabyś iść do ostrego zwarcia, na przepychanki. A to jest zawsze niebezpieczne, bo przeciwnik może być po prostu silniejszy albo lepiej od ciebie znać *jujutsu*. Jak myślisz, po co stworzono poziom Hasegawa?

Zastanowiła się chwilę i było jej z tym namysłem bardzo do twarzy.

– No... wyższy poziom. Dostępny dla tych, których stać na naukę. Tak, żeby można było pokonać tych, co znają *omori-ryu*.

– Niezupełnie – skorygował. – Tu miałaś najlepszy przykład, do czego służy dobrze zrozumiany poziom Hasegawa. Czego ci zabrakło, żeby

wykonać cięcie? – spytał i nie czekając, odpowiadał za nią: – Siły determinacji, techniki? Nie! Nic z tych rzeczy. Zabrakło ci miejsca. Dlaczego? Bo ja nie byłem grzeczny, jak twój papa, i skracalem dystans, jak tylko mogłem. I zabrakło ci miejsca, żeby wyjąć miecz. Tak może być na przykład w ciasnym pokoju albo gdy będziesz walczyć w tłumie, w ścisku. Więc do czego służy Hasegawa?

– Żeby kontrolować dystans.

– Właśnie – potwierdził z satysfakcją, bo wreszcie zrozumiała. – Przecież to nie jest tak, że jak będziesz kiedyś walczyć, to umówicie się z przeciwnikiem, że poruszacie się na poziomie Hasegawa. Będziesz walczyła tak, żeby zabić i nie zginąć. Hasegawa jest nieocenione wtedy, kiedy nie ma miejsca, a trzeba szybko i skutecznie zabić. Dlatego broniący się musi rozumieć formę tak, by zawsze zrobić sobie miejsce do cięcia...

– Nie zrobiłam tego? – upewniała się zawiedziona.

– Ależ zrobiłaś. – Kiwnął serdecznie głową. – Tyle że całkiem mechanicznie. Komisja, która będzie cię oceniać, musi widzieć, że potrafisz w każdej chwili korygować dystans, zależnie od tego, jak głęboko wejdzie twój przeciwnik. To musi być widoczne w prezentacji *kata*. Rozumiesz? Spróbuj.

Spróbowała i pojął, że jest bardzo zdolna i chwyta wszystko w lot. Jeszcze z dziesięć lat treningu pod okiem kogoś takiego jak Sasamori i w Japonii będzie zaledwie kilku ludzi, których nie zdołałaby zabić mieczem. Ale tego akurat mówić jej nie należało.

– Dobrze – powiedział po raz kolejny. – To było łatwe. Spróbujmy *ukigumo*. Uzbrojona w świeżo nabytą wiedzę, Kira wyszła dostojnie na środek *dojo*, obróciła się w lewo, kontrolując wzrokiem otoczenie, i siadła z wielką powagą, zręcznie rozgarniając swoje olśniewające czystością i głębią koloru *hakama*. Gdy zrobiła pierwszy ruch *kata*, zawołał ostro:

– Stop! Nie żyjesz.

Nie zrozumiała go, choć zatrzymała ruch i stała teraz na przygiętych mocno w kolanach, szeroko rozstawionych nogach, a on nie kazał jej

zmieniać pozycji. Niech sobie tak postoi. Zobaczymy, ile wytrzyma. Obszedł ją dookoła, delektując się złocistą, opaloną skórą na odsłoniętym karku. Japonce z tak wysokiej sfery nie przyszłoby do głowy, żeby się opalać, ale Kira była na wpół „biała” i sądząc z odcienia skóry, musiała to robić regularnie. Zapragnął naraz, i było to bardzo silne pragnienie, zobaczyć raz jeszcze białe pasy na skórze w miejscach osłoniętych kostiumem kąpielowym. Przełknął ślinę i wrócił do *kenjutsu*.

– Skąd wiedziałaś, że ten z prawej chce ci zabrać miecz?

– Po prostu zaczęłam formę.

– A właśnie...

– Co właśnie? – wtrąciła zaczepnie, nim zdążył dokończyć, więc pomyślał, że mała zupełnie nie szanuje w nim nauczyciela i że jeszcze przed końcem treningu trzeba będzie coś z tym zrobić. Udał, że nie zwraca uwagi na jej maniery, i wyjaśnił, małpując to jej „po prostu”:

– Nie można „po prostu” zacząć formy. *Iaido* jest sztuką odpowiedzi na atak. Mistrz Sasamori mówi, że jeśli zaatakujemy kogoś, kto nie ma intencji atakować, to przegramy. Można atakować, a ściślej uprzedzać atak, jedynie po rozpoznaniu tej intencji. Pytam więc: Skąd wiedziałaś, że ten z prawej chce sięgnąć po twój miecz? – Po ruchu jej drobnych, ale szerokich barków poznał, że była bliska wzruszenia ramionami, ale pohamowała ten gest, który na sali ćwiczeń byłby już skrajną niegrzecznością. Ponieważ milczała, odpowiedział z satysfakcją za nią: – Nie wiedziałaś. I komisja też to zobaczy. Że nie wiedziałaś. *Iaido* jest treningiem reakcji. Ćwiczenie *kata* na tym etapie jest ćwiczeniem automatyzmów, a nie boskiej intuicji, choć to sztuka serca. Masz spojrzeć w kierunku ruchu twojego przeciwnika. Wyraźnie. Jest wprawdzie coś takiego jak widzenie kątowe i przy dużej wprawie można dostrzec nawet to, co dzieje się z tyłu, ale masz to wyraźnie pokazać. Tak, żeby komisja to zobaczyła. Zrozumiałaś? Jeszcze raz! Od początku. – Kira z ulgą zsunęła stopy. Na grzbiecie lewej Kaneyasu zauważył strupek. Najwidoczniej komar zdążył się wkleść, nim go utłukł, a ona rozdrapała swędzące miejsce.

Postanowił to wykorzystać. – Widzisz. To tak, jak z tym komarem. Musisz dać mu usiąść, żeby go zabić. Nie możesz tego zrobić wcześniej. Bo w powietrzu trudno. Ale nie możesz także dać się ukłuć, jak już usiądzie. Musisz działać w tym jedynym, niepowtarzalnym momencie pomiędzy tymi dwoma fazami. Wtedy zwyciężysz. *Iaido* jest sztuką wykorzystania takiej właśnie chwili: Zaraz po – tuż przed. – Mądrzył się, pełen satysfakcji, bo właśnie udało mu się dołączyć do tysięcy historyjek opowiadanych w niezliczonych *dojo* przez rozlicznych *sensei* własną i pewno w miarę oryginalną. Kira tymczasem dopowiedziała sobie w myślach: „Jeszcze nie wsadzone, a już nie wyjęte. Czekaj. Dam ja tobie historyjki o komarach...” Siadła znów, pięknie rozgarniając *hakama* [116](#). Grzecznie spojrzała (tak, jak jej kazał) w prawo i wykonała pierwszy ruch *kata*.

– Stop! Nie żyjesz – przerwał i miłosiernie zezwolił: – Na miejsce. Wiesz dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Odęła się dziecinnie, jakby wyrządzono jej wielką przykrość.

– Za wolno. Ten z prawej już by chwycił za rękojeść twojego miecza. A z tego same kłopoty.

– Udowodnij!

Kaneyasu spojrzał na nią spod oka. Wbrew pozornie łagodnej i niekonfliktowej naturze uwielbiał wyzwania.

– Bardzo proszę.

Siadł po jej prawej stronie, wzorem ochroniarzy siadających w rzędzie, minimalnie z tyłu, by mieć pod kontrolą jej ciało, i zaczął oddychać. Na osiągniętym już poziomie wiedzy o *iaido* doskonale wyczuwał momenty koncentracji i rozluźnienia u partnera. Poczekał, aż Kira się rozluźni i zacznie wdech, i zaatakował błyskawicznie. Nie zaatakował jednak – tak jak się spodziewała – rękojeści miecza, ale końcówkę pochwy za jej plecami. Nim zdążyła przeciwdziałać, podniósł pochwę jej miecza, na wysokość jej łopatek i boleśnie naciskając jej własnym mieczem na jej plecy, zmusił, by przywarła twarzą do podłogi, bezradnie rozkładając ręce. Doświadczenie było bolesne, ale mała Ki wytrzymała dłuższą chwilę, poddając się łamiącej stawy dźwigni, nim postukała dłonią w podłogę. Kaneyasu puścił i powiedział:

– A widzisz. To najprostsza interpretacja. Taka, która zakłada, że jest tylko jeden przeciwnik. I, jak się przekonałaś, wcale nie musi działać podręcznikowo. Wcale nie musi chwytać twojego miecza za rękojeść, tylko tak jak ja... Musisz tak reagować, żeby się nie spóźnić.

Kira była obolała i troszkę pokorniejsza, ale w jej niebieskich oczach wciąż paliły się ogniki buntu i Kaneyasu pomyślał, że z rozkoszą wlepiłby jej w tę fantastycznie okrągłą dupkę parę piekących klapsów. Takich właśnie, jak jego szybka bezlitosna akcja. Żeby sobie popamiętała.

– No więc, co zrobiłam źle? Przecież byłam szybka...

– Szybka na początku, powolna na końcu. A powinno być odwrotnie. Zabijesz komara, nim zdąży się wkluć, tylko wtedy, gdy zaczniesz wolno i spokojnie, a skończysz błyskawicznie. Nigdy odwrotnie. Po pierwsze, to jest skuteczne. Po drugie, ładnie i dynamicznie wygląda, i komisja da ci punkty. Po trzecie, gdy zorientujesz się, że atak zmienia kierunek, wolno zaczynając ruch kontrujący, będziesz w stanie go skorygować. Tajemnica polega na tym, żeby podstawić dokładnie pod swoje centrum swój środek ciężkości. Wiem, że to brzmi głupio, ale właśnie o to chodzi. Jesteś wówczas panią własnego ciała i możesz szybko uciec przed atakiem i dobrze kontrować. Naucz się więc przede wszystkim tego. Jeszcze raz. Od

początku.

Tym razem zabranie rękojeści miecza poza zasięg przeciwnika poszło Kirze o wiele składniej, bo za radą swego nauczyciela myślała o lewym kolanie. Podstawiła je dokładnie pod swoją okrągłą dupkę, potem wyjęła błyskawicznie miecz, by oprzeć go o klatkę piersiową tego, który chciał ją pozbawić broni...

– Stop! Siadaj – przerwał bezlitośnie Kaneyasu.

Tym razem spytała o powód tylko samym spojrzeniem. Mówiło ono: „Teraz to już się tylko czepiasz, *sensei*. Przecież zrobiłam to bardzo szybko i gładko”. Najwidoczniej czytał w tych oczach albo miał zdolności telepatyczne, bo siadając obok niej i wdychając gorzki, lecz delikatny zapach jej spoconego po serii *kata* ciała, powiedział:

– Owszem, zrobiłaś to bardzo szybko i gładko, ale jeśli tak zrobisz w walce, już nie żyjesz. Po pierwsze, jak myślisz, po co przekłada się rękojeść tak wyraźnie i wysoko? Nie wiesz? Po to, żeby rozbić facetowi nos albo wybić oko. Pamiętaj. W *iaido*, szczególnie w tak starej szkole jak ta, nie marnuje się żadnego ruchu. Oczywiście ten prowadzi do ustawienia się naprzeciw wroga, ale jeśli przy okazji można przeciwnika poturbować, trzeba to zrobić. Dalej... To jest niby tylko przyłożenie miecza do piersi – demonstrował okrągły, wyglądający z boku dziwacznie ruch, ustawiając stopy w nienaturalnym, iście baletowym, lecz bardzo funkcjonalnym położeniu – ale musi mieć swoją dynamikę i dlatego nie spiesz się. Wyjmij miecz w ostatniej chwili. Zdażysz. Pamiętaj, że pochwa jest procą, z której wystrzeliwuje miecz. Trzeba ją napiąć. Widzisz. – Miecz wyleciał z pochwy Kaneyasu gładko, ale była w tym wyjęciu siła i pewność. – Dalej – wyjaśniał z głownią przyłożoną do piersi wyimaginowanego oponenta i prowadząc głownię także lewą dłonią. – Masz nie tylko przeciąć, masz przewrócić tym cięciem gościa na podłogę. Bo jest mało miejsca, a trzeba go skończyć. Wiesz, co ty zrobiłaś? Nie wiesz? – Nie dał jej nawet odpowiedzieć, tak był przejęty swoją rolą. – Zrobiłaś mu miejsce. Po co? Przez grzeczność? Przecież, jak ma miejsce, to będzie kombinował. A jak

będziesz w niego wchodziła tak, żeby nie miał ani centymetra, nie zrobi nic. Dlatego trzeba napierać. To jest inna odmiana *semeru*¹¹⁷. W ten sposób – pokazał i odetchnął głęboko: – Jeszcze raz. Od początku.

Doćwiczyła do miejsca, w którym ją poprzednio zatrzymał, potem chwilę się wahała, a ponieważ nie robił uwag, wykonała kolejne ruchy. Nadepnęła na lewe ramię powalonego oponenta i zadała cios znad głowy w poprzek jego piersi. Kaneyasu kiwał głową, zadowolony, i mruczał głęboko jak wielki kot, czego nauczył się od Sasamoriego. Gdy dojechała do końca formy, rzucił krótko:

– Dość! – i już nawet nie szukając jej wzroku, bo zdążyli utrwalić procedury poprawek, powiedział: – Dobrze.

Popatrzyła na niego z nadzieją, a on wyjaśniał:

– Ten cios w leżący kadłub – bo to jest już okrwawiony, bezwładny kadłub – musi rozwalić twojego wroga co najmniej do połowy. Co to jest? – Małpował jej ruch, głośno uderzając w podłogę stopą. – Nadepnij, do cholery, na niego. Nadepnij tak, jak nadeptujesz szerszenia, którego udało ci się strącić wachlarzem. Nadepnij z ulgą. Z taką intencją, żeby już więcej nie groził ci swoim żądłem. Przecież mógł cię zabić. Więc nadepnij na jego ramię. Tak. Na biceps. Wiesz, jak to boli. Wtedy się nie ruszy. A jeśli jeszcze będzie miał siłę się ruszyć, to tak go naciśnij, że straci tę siłę. Nadepnij. O, tak. Ja muszę to widzieć i czuć, że rozdeptujesz robaka. Wroga, który chciał cię użądlić. Uśmiercić. Zabić. Bez pardonu. Więc i ty go zabij. Nie ma litości. Mógł nie wyciągać miecza. Rozumiesz?

Porozumiał się z nią wzrokiem i zdziwił się. W jej zimnym błękitnym spojrzeniu nie było protestu, tylko akceptacja. Ciągnął więc uskrzydłony, bo zależało mu na tym, żeby ta dziwna, na wpół dziecinna, na wpół dorosła dziewczyna o niewiarygodnie podniecającej, okrągłej dupce akceptowała to, co jej mówił. Odsunął się od niej i demonstrował ostatnie fazy *kata*:

– Nie możesz cię *kiri-oroshi* tak, jak cięłaś. Widzisz dlaczego? Gdybyś to tak zrobiła, walnęłabyś mieczem o podłogę. Ciało leży płasko. Jest bezwładne. Otworzyłaś klatkę piersiową. Część żeber została przecięta. Ale

to ciało jeszcze żyje. Musisz się i zlitować, i zabić. Więc musisz ciąć płasko. Miecz musi ustawić się równolegle do podłogi. A jeśli tak, co należy zrobić?

Nie oczekiwał odpowiedzi, a ona nie zamierzała nic mówić. Pokazał gestem dłoni to miejsce na podłodze sali, gdzie powinna zacząć, a potem siadł po jej prawej stronie. Ale nie po to, by odegrać rolę hipotetycznego przeciwnika, lecz po to, by wykonać to piękne, oszałamiająco piękne *kata* razem z nią.

– W twoim tempie – powiedział.

Potem nastąpiło coś, co obydwójce powinni zapamiętać do końca swoich dni, ale zapamiętała tylko ona, bo Kaneyasu, choć zachwycony, przeszedł nad wzorowo zrealizowaną lekcją do porządku dziennego. Kira narzuciła mu porządek idealny i wykonała *ukigumo* z siłą i perfekcją aż niewiarygodną po tak niedługim instruktazie. Gdy schowali miecze do pochew, spojrział na nią z podziwem. W swojej krótkiej karierze nauczyciela nie spotkał dotąd nikogo, kto uczyłby się tak szybko i bezbłędnie realizował lekcje. Mała Ki unikała jego wzroku. Ale tylko po to, by wyjąć miecz spoza szarfy i – przesuwając kolana po posadzce *dojo* – znaleźć się tuż przy nim. Sięgnęła po jego miecz, a on nie oponował, zafascynowany dynamiką i determinacją jej ruchów. Patrzyli sobie w oczy z ciekawością. Gdy miecze leżały już na podłodze, skróciła dystans jeszcze bardziej. Była tuż. Prawym kolanem napierała na jego uda i Kaneyasu posłusznie wpuścił je pomiędzy swoje kolana. Z boku wyglądało to tak, jakby wolno ćwiczyli jakąś starą formę *jujutsu*. Zastanowił się, czy

Kira jest tak cyniczna, czy aż tak zdeterminowana. Postanowił jej pomóc.

– Co teraz ćwiczymy? – sapnęła.

– Formy, które powinieneś doskonale znać. Chyba że źle cię oceniałam. Proszę mnie ich nauczyć. Tylko powoli...

Napierała na niego i by nie stracić równowagi, musiał podeprzeć się z tyłu dłonią. Zauważyła, że dalej nie będzie mógł się cofnąć – chyba, żeby się położył – i delikatnie dotknęła wargami jego warg. Dotknąwszy raz,

dotknęła drugi i trzeci, i było to jak muśnięcie skrzydełek motyla, a Kaneyasu odpowiedział równie delikatnie. Całowali się, nie angażując rąk i ciała. Pomyślał, że najchętniej zaproponowałby, żeby się rozebrali i wykąпали, by zmyć lepki, gęsty pot treningu, ale zdał sobie sprawę, że coś takiego mogło ją jedynie spłoszyć. Nie wolno było reagować zimno i fachowo. Nie wolno było prezentować zachowań wprawnego, zdystansowanego deflatora. Bo coś, na co się właśnie zdecydowała, coś, co wynikło z ich partnerskiej walki, co zapulsowało w ich spoconych i rozgrzanych przez *iaido* ciałach, coś, co zrodziło się ze wspólnego tempa *ukigumo* i głębokiego przeświadczenia, że zabili swoich przeciwników, umknęłoby wtedy na zawsze. Udało mu się wyprostować, a raczej to Kira wyprostowała górną część jego ciała, szukając kontaktu z jego wargami i odchylając się do tyłu. Musiał podążać za nią. Odnosił nieodparte wrażenie, że zachowanie małej nie wynika z doświadczeń. Kierowała się raczej wyobraźnią i instynktem. On zaś nie miał pojęcia, czy oczekuje od niego inicjatywy, czy też poddania się jej woli. Spróbował tego drugiego. Kira manipulowała zadyszana koło rycerskiego węzła jego *hakama*, ale mocno zaciśnięty, prosty węzeł nie dawał się poluzować. Usiłował pomóc jej palcom, wciągając brzuch, ale nie na wiele to się zdało.

– Pokaż mi – wydyszała, a Kaneyasu zmusił ją, by uklękła, i metodycznie zabrał się do rozbierania jej. Poddawała się temu, czerwona i spocona, bez słowa protestu, pokornie pochylając głowę i obserwując ruchy jego zręcznych dłoni. Zaczął od rozwiązania węzła jej włosów, a gdy wyjął zapinkę, opadły złotą, puszystą mimo treningu masą, sięgając talii. Przełożył włosy za plecy Kiry i sięgnął do węzła jej spodni. Wywłókł końce taśm i poluzował węzeł z takim uczuciem, jakby wykręcał zapalnik kontaktowy morskiej miny. Gdy się z tym uporał, pomogła mu, gorliwie wyciągając końce taśm. Jego dłonie pokazały jej teraz, by wstała i odwróciła się. Gdy to zrobiła, *hakama* opadły z niej, jak skóra węża podczas wylinki. Kaneyasu wolno rozwiązywał węzeł pasa, podziwiając gładkość skóry na udach i śmieszne, dziecinne jeszcze dołki pod kolanami.

Nogi małej Ki były piękne. Takich nie miała z pewnością żadna znana mu Japonka, i patrząc na te smukłe, a jednocześnie trochę jeszcze po dziecinnemu pulchne, ale bardzo długie nogi, zrozumiał, dlaczego nosiła miecz tak wysoko. Jej kości biodrowe były bardzo wysoko. Pas opadł w czterometrowych skrętach na leżące już na podłodze *hakama*, a mała Ki – robiąc drobny krok w prawo - wdzięcznie wyszła ze zdjętych szmatek i niewiele myśląc, energicznie, jednym szarpnięciem rozwiązywała tasiemki białego jedwabnego *yubanu* i granatowego *gi*. Pod spodem miała całkiem prozaiczne, i przez to urocze, europejskie bawełniane majtki z nogawkami do połowy uda, takie, jakich używają kolarze, by nie otrzeć sobie w upale kroku. Stanika nie nosiła, ale nie musiała wstydzić się piersi – wysokich, strzelających na boki ostrymi czubkami. Gdy te piersi dojrzeją – pomyślał Kaneyasu - i staną się cięższe i pełniejsze, będą doskonałe. Nie wiedziała, co zrobić z tymi majtkami, więc spytała na wszelki wypadek:

– Zdjąć?

Toru uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową.

– Teraz ty mi pomóż. Nabierzesz wprawy.

Powtarzała więc kolejno to wszystko, co przećwiczyli już na niej. Kaneyasu posłusznie wstawał i jak krawiecki manekin dawał się okręcać w jej drobnych, silnych dłoniach. Powoli opadało z niego podniecenie i uświadomił sobie, że powinien był, idąc za jej podszeptem, rzucić się na nią i zadzierając strój, starać się, by zbliżenie miało posmak szaleństwa. Teraz obydwójce jakby wypadli z roli. Wydarzenia zaczęły rozgrywać się na zimno i oboje byli coraz bardziej świadomi pułapki cynizmu i dwuznaczności zarówno sytuacji, w którą ich wmanewrowano, jak i własnych postaw – coraz mniej szczerych i spontanicznych.

Kaneyasu hołdował tradycji, więc gdy wyszedł ze swoich *hakama*, ujrzała go w białej przepasce. Gdyby ktoś wszedł wówczas do *dojo*, zobaczyłby dwójkę wyjątkowo pięknych ludzi. Biel majtek i przepaski uwydatniała i podkreślała różnice koloru ich skóry. Kira była złota. Do bladozłocistych genów jej matki ojciec dodał odcień zmatowiałego

mosiądzu. Tak wygląda stara złota biżuteria o nieco zmatowiałej powierzchni, gdy położyć ją na ciemnym aksamicie albo – lepiej – na farbowanym na czerwono jedwabiu. Skóra Kaneyasu miała odcień czerwonego dębu, który długo leżał w wodzie.

Przypatrywali się sobie z nieskrywaną ciekawością. Kaneyasu skonstatował, że Kira ma w sobie niewiele z cech ojca, pomijając może pewną drapieżność harmonijnie umięśnionej sylwetki i dumną postawę człowieka pewnego swoich przewag nad otoczeniem. Było w niej coś z kota, który spostrzegł w kącie pokoju zdobycz. Kaneyasu mógłby zostać modelem pozującym dla najlepszych męskich magazynów mody. Sylwetkę miał smukłą, ale był w tej smukłości istotny ciężar, który określały mocno naładowane energią, ładnie zaokrąglone mięśnie ramion i wspaniale wyrzeźbiony treningami brzuch ze śmiesznie przyciętym i zupełnie schowanym w skórze pępkiem. Najbardziej podobała się Kirze osada głowy na długiej, muskularnej szyi, którą otaczały wyraziste mięśnie karku, rozbudowane na kształt rozpostartego kaptura kobry królewskiej. Toru nie był typem jarmarcznego siłacza, o sękatych niczym korzenie mięśniach. Miał w sobie raczej ten typ energii, którą latami zręcznościowego i siłowego zarazem treningu osiągają gimnastycy ćwiczący na przyrządach. Był idealny i podniecał ją, ale jego podniecenie słabło z każdą spadającą z niej szmatką. Ukląkł i niezdecydowanie wyciągnął dłoń w kierunku jej białych majtek. Zrobiła pół kroku w kierunku jego dłoni i podsunęła biodra tak, jakby był jej przeciwnikiem, a ona chciałaby skrócić dystans. Złapał za gumkę tych majtek i powoli zsuwał je w dół. Gdy znalazły się w połowie ud, cofnął dłoń, pokręcił głową, jakby coś zabolalo go w karku, wstał, bez słowa pozbierał swoje rzeczy i z mieczem przyciśniętym do kłębka trzymanej przed sobą odzieży, tyłem, jakby chciał ukryć swoją nagość i swoją rejteradę, nie podnosząc wzroku, wycofał się z sali.

Spotkali się nazajutrz w sali ćwiczeń i jak gdyby nigdy nic pokazywał jej kolejne *kata* Hasegawa Eishin Ryu, a ona realizowała jego polecenia z powagą i namaszczaniem. Nie mógł jej wiele zarzucić. Mówili do siebie

niewiele, ograniczając się do spraw związanych z treningiem. Gdy skończyli i chciała wyjść, zatrzymał ją ukłonem.

– Może... Może być...

Uśmiechnęła się z przymusem, a on odniósł wrażenie, że w ciągu jednej nocy wydorosłała, bo w tym uśmiechu było coś bardzo gorzkiego i dojrzałego. Położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała:

– Dobrze cię rozumiem. To nie była dobra rola. Możesz powiedzieć tacie, że wszystko w porządku... Jego też doskonale rozumiem. Tak bym chciała, żebyśmy byli normalną rodziną...

Pozostało mu po tej wycieczce gryzące uczucie wstydu, niespełnienia i krzywdy. Tyle że nie bardzo rozumiał, kto kogo skrzywdził. Dzięki właściwej swemu usposobieniu niefrasobliwości szybko wymazał ze świadomości poczucie winy i fałszu własnych postaw. Pomogło mu w tym zmaganie się z wyjątkowo krnąbrnym szkolnym dwupłatem A1N, udanym skądinąd myśliwcem marynarki, który w dwumiejscowej szkoleniowej wersji był jednym z najgorszych pomysłów znakomitej wytwórni Nakajima. Pilotując bulwiastego potworka ze zbyt słabym silnikiem i zbyt wąskim, za to przesadnie wysokim podwoziem, zastanawiał się, jak to możliwe, że pilotom tych myśliwców udawało się odnosić znaczące sukcesy w walkach z chińskimi boeingami P-12. Potem... potem nastąpił ekscytujący wyjazd do Anglii – bo zadowolony z kłamliwego raportu Kaneyasu Kidera dotrzymał także tej części swej obietnicy – a tam czekała już na niego piegowata, ruda i bezczelna Agnes – dziewczyna, która dzięki swojemu niebywałemu erotycznemu talentowi ubogaciła go wyjątkowym darem – zdolnością pozbywania się z pamięci niewygodnych wspomnień o kobietach.

– Przypomniałeś sobie, kapitanie? – Kira przestała go całować i odsunawszy twarz Toru tak, by się lepiej przyjrzeć, oceniła: – Postarzałeś się. Ale teraz podobasz mi się nawet bardziej.

Kaneyasu zdjął jej dłonie z policzków. Obroty wielkich silników spadły i można było teraz nawzajem się słyszeć. Zmaląła także prędkość

i podrzuty kadłuba nie były już tak gwałtowne.

– Jestem shosa... – sprostował łagodnie, a ona wyrozumiale pokiwała głową i nie wiadomo dlaczego tłumacząc na angielski, powiedziała:

– Komandor porucznik. Awansowałeś. Musiałeś się dobrze starać. I co? Wdzięczna ojczyzna wydała cię zwycięzcom? I po co się starałeś? Teraz pewno trafisz na szubienicę, ale Ruscy przedtem z tobą pokonwersują...

Zrozumiał, że – choć okrutnie i bezwzględnie – po prostu się z nim droczy. Może była to taka mała zemsta za to, że wtedy jej nie wziął. Kobiety, nawet te najbardziej bezwzględne, zachowują się czasami dziwnie. Gdy to zrozumiał, uśmiechnął się do niej promiennie, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, w którym nie było życzliwości, a jedynie pewność własnej władzy nad drugim człowiekiem.

– Daj spokój! – powiedział i w końcu udało mu się sięść prosto. – Mnie już nikt nie może nastraszyć. Nawet ty. Mam wszystko gdzieś. Wiesz. Nawet to, czy pożyję jeszcze dzień, czy tylko minutę. Mam to w dupie. Przestało mi zależeć. Więc nie żartuj ze mnie. Gdybym miał wisieć, tobym wisiał i nie byłoby mnie tutaj. Więc daj spokój. Masz pewno tę zadrę, że wtedy... – Spojrzał na nią. Wolał, żeby to ona wzięła na siebie trud sformułowania tego, do czego wówczas nie doszło.

– Jakbyś zgadł. Mam tę zadrę i wciąż jesteś mi to winien. Jestem chyba jedyną kobietą na świecie, którą zmuszono do tego, żeby się sama rozprawczyła. Wiesz, jak to boli? Skąd możesz wiedzieć?

Nie odpowiadał, tylko przez chwilę patrzył tępo w ścianę, myśląc, że dla równowagi on jest jednym z wielu mężczyzn na świecie, których męskiego, a właściwie nawet nie męskiego, tylko diabli wiedzą jakiego dziewictwa pozbawiono o wiele bardziej boleśnie.

– Co tak kiwasz głową? – zagadnęła zaczepnie. – Nie kiwaj. Nie mam już teraz pretensji do nikogo, bo to nieważne. Może tylko do siebie, że nie powiedziałam o tym papie... Może znalazłby mi kolejnego shosa? A może od razu kontradmirała?

Kaneyasu odsunął się od niej z niesmakiem. Była o wiele bardziej godna

pożądania niż wtedy, gdy miała ledwie piętnaście lat, ale teraz było w niej coś wulgarnego i mechanicznego, jak w dobrze zaprojektowanej broni.

– Możesz mu powiedzieć teraz. Zresztą ja też mogę mu teraz coś powiedzieć... – Zawahał się i nie dokończył, ale rozważał dalej w myślach. A niby co do powiedzenia miałby szacownemu panu Kiderze? Że ma pretensję o takie piękne przyspieszenie kariery czy że może jest wdzięczny za wspomaganą wysoką protekcją rozwój wydarzeń? I jakie to teraz miałyby znaczenie? Wojna jest dziwnym zakłóceniem kolei losu. Choćby dlatego, że wszystko, co rozegrało się przed nią, ma zupełnie inny wymiar w jej trakcie i po jej zakończeniu. Czy to dlatego najważniejszy tekst w sanskrycie nazywa się *Historią wielkiej wojny*? Czy wszystko na świecie... nawet godność i sens własnego istnienia musi wynikać z walki?

– Papy raczej nie spytam. Jego misja na tym świecie dobiegła już końca. Podobnie jak misja mojej mamy i przyrodniego brata, i jak misja twojej rodziny. Szanowny shosa...

Obserwowała go chwilę ciekawa, czy nie puszcza mu nerwy na wieść o śmierci matki, którą przecież kochał po swojemu, ale tylko spytał rzeczowo:

– Nalot?

Spuściła głowę, choć akurat ona nie musiała się wstydzić za ludzi, którzy to zrobili:

– Powiedzmy... – Popatrzyła mu w oczy ze współczuciem, ale i z ciekawością. Przez te wszystkie lata był dla niej wzorem mężczyzny, więc ciekawiło ją także to, czy przypadkiem nie pozwoli sobie na coś niestosownego.

– Czyli co?

– Czyli nasi... – zawahała się chwilę – a właściwie bardziej twoi rodacy...

Zwlekąca, więc ponaglił ją niecierpliwym wzrokiem. Nie kazała mu czekać ponad miarę, rozumiejąc, że sprawa dotyczy spraw ostatecznych i ważnych:

– Za twoją głowę, prawdziwą, a nie tę z fałszywych papierów, wyznaczono nagrodę. A właściwie dwie nagrody. Obydwie nieoficjalne. Amerykanie swoją... Chcesz wiedzieć ile? – Nie odpowiadał, zafascynowany informacjami, więc wyjaśniła: – Sporo. 50 tysięcy dolarów. Rosjanie z miejsca to przebili do 100. Oni nie żałują pieniędzy swojemu wywiadowi, gdy chodzi o takich ludzi jak ty. Na tę amerykańską ofertę trafiły jakieś japońskie, kolaboracyjne kutasy i dotarły do twojej mamy. Zanim zdążyła im powiedzieć, że nic nie wie, tak ją nacisnęli...

– Rozumiem – pokiwał głową Toru, przyjmując do wiadomości, że jest na świecie zupełnie sam, nie ma dokąd wracać, i dziwiąc się, że zupełnie go to nie obchodzi ani nie boli.

– Dobrze, że rozumiesz – ucieszyła się. – Przy okazji podpalili dom, więc pogrzebem także nie musisz się kłopotać. Nie zostało tam wiele, nawet ogród się wypalił.

– A twoja rodzina? – spytał przez grzeczność, bo los Kiderów zupełnie go nie obchodził.

– Podobnie. Papa zginął w Rosji. Z tego, co wiem, w akcji. Tak jak zawsze chciał. Na mamę i brata, gdy wracali do domu, zapolowały thunderbolty¹¹⁸. Ludzie, z którymi rozmawiałam, mówili, że cała ulica prowadząca do domu zasypana była łuskami. Udało im się nawet schować przed samolotami w domu. Wtedy thunderbolty wściekły się na dobre i użyły rakiet. Też się wszystko spaliło...

– Jesteśmy dwie wojenne sierotki. – Kaneyasu zachichotał głupkowato, bo nagle wszystko wydało mu się bardzo zabawne. Kira nie wydawała się specjalnie zdziwiona jego zachowaniem. Rozumiała, że w jego sytuacji wszystkie reakcje są możliwe i żadna nie wydawała się jej niewłaściwa ani niepokojąca. Przestał chichotać i spytał, pokazując palcem na stalową podłogę: – A ten tu... pancernik... Co to za flota? Piraci z Malajów, Sandokan czy może Czarna Wdowa? Co ty tu robisz? Dla kogo pracujesz? I gdzie do diabła mnie wiesziesz?

– Powoli – uspokoiła go. – Jedziemy do Władywostoku. Czekają tam na

ciebie. Ale nie po to, żeby cię powiesić. Tyle mogę ci powiedzieć. O utrzymanie też się nie martw. Może nawet dadzą ci kieszonkowe i na dziewczyny... – Tym razem to ona roześmiała się pogodnie, wyobrażając sobie Toru w objęciach władzywostockich Żeńskich Sił Specjalnego Przeznaczenia.

– Zaraz. – Przysunął się do niej. – Chcesz powiedzieć, że to jest rosyjski okręt... i że Rosjanie napadli na Rosjan?

– Zaraz okręt! – odparowała. – Chyba nie widziałeś prawdziwego okrętu. To jest dwieścietrznastka. Najszybszy, najbardziej wywrotny i hałaśliwy przyrząd do pływania po morzu, jaki można sobie wyobrazić. Nie ma tu nawet ubikacji i trzeba siusiać w bańkę po smarze. Ale do napadania w nocy na własną flotę nadaje się idealnie... Jak sam się mogłeś przekonać. – Pomilczała chwilę, starając się ocenić wrażenie, jakie wywarły na Toru jej rewelacje, a potem przyznała: – Tak. To jest rosyjski okręt. Płyniemy do Rosjan i jak będziesz mądry, to możesz z tego wszystkiego jeszcze się wygrzebać. Jak będziesz się stawiał, dostaniesz kulkę w łeb i nawet ja się nie dowiem, pod którym płotem będziesz leżał. Tyle mogę ci powiedzieć. – Odsunęła obcisły ściągacz kombinezonu i sprawdziła godzinę na małym zegarku w stalowej kopercie z siateczką osłaniającą szkło. – Mamy jeszcze kilka godzin. Co byś chciał robić?

Kaneyasu przełknął ślinę i poddając się niezbadanym wyrokom losu, zamknął oczy, a Kira z energią i szczerością, która go zastanowiła, przystąpiła do wyrównywania rachunków sprzed jedenastu lat.

Władzywostok, gabinet Kotielnikowa, koniec listopada 1947

– Ani mi się ważcie robić mu jakichś przesłuchań! Znam ja was. Zanim się człowiek obejrzy... Ani mi się ważcie. A jak macie jakieś wątpliwości, mogę je zaraz rozwiązać. Jednym telefonem... Potem już nie będzie tak

wesoło. Ulokujcie go wygodnie, żeby miał spokój. Zapewnijcie wszystko, co trzeba. Niech odpocznie jeden dzień. Potem przysłecie go do mnie. Zrozumieliście?... Dziewczyna? A, ta co go przywiozła... Nie! Absolutnie! Nie ważcie się jej pytać o cokolwiek. Od razu przysyłajcie ją do mnie. Tak. Za godzinę. Co? Co tam mamroczenie? Niepewna? Niebezpieczna? Niech was o to głowa nie boli. W zamkniętym samochodzie. Przywieźcie mi też jej akta. Tak. Z obstawą. I żebyście nie robili jej jakichś przykrości, bo przyjadę tam do tej waszej mordowni i zęby wam powybijam. Znacnie mnie... Tyle. Wykonać. – Kotielnikow delikatnie odłożył słuchawkę telefonu kodowanej linii i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrzanej szafie. Potem powiedział z przekąsem: – Kontrwywiad. Wszawa ich mać. Potrafią tylko tłuc i przypalać papierosami. Na froncie ich nie było. Chowali tłuste zadki po sztabach. Banda. Spuścić ich na chwilę z oka, to zabiorą się do człowieka po swojemu. Jak pomocnicy rzeźnika. Ale wystarczy pokrzyczeć, postraszyć Najwyższym, i spokój. Z nimi zawsze trzeba jechać na całość. Jak za Piotra I. Od razu w łeb...

Uśmiechnął się znowu, przypominając sobie zabawny fragment instrukcji dla żandarmerii z czasów wielkiego cara, który pokazywał mu kiedyś Przyjemski. Zalecała ona dać świadkowi pałką po łbie (świadkowi, bynajmniej nie oskarżonemu) od razu, jak tylko wejdzie, jeszcze przed rozpoczęciem zeznań. Wielki Budowniczy Floty i Wielki Reformator całkiem słusznie zakładał, że po takim wstępie zeznania będą miały zupełnie inny ciężar gatunkowy. Przyjemski, wielki oryginał, ale – jak powiedzieliśmy – człowiek bywały i doskonale wyedukowany, miał w swojej bibliotece różne dziwne i rzadkie woluminy. Prócz owej broszury z policyjnym okólnikiem oglądali wówczas dwutomowe dziełko jakiegoś niemieckiego zboczeńca – flagelanta, całe poświęcone biciu po tyłku. Ów dewiant był w dodatku profesorem szanowanego uniwersytetu w Getyndze. Książka, wydana na doskonałym papierze, była przepysznie ilustrowana rycinami przedstawiającymi tysiąc i jeden sposobów chłostania zadka. Najbardziej podobały się wówczas Kotielnikowowi dziewiętnastowieczne

ryciny przedstawiające semestralne „rozliczenie” w żeńskim gimnazjum, egzekwowane przez muskularną nauczycielkę, kobietę w typie germańskiej Walkirii. Z sadystycznym, świetnie oddanym przez ilustratora błyskiem w oku Walkiria chłostała pensjonarki po gołych tyłkach wiązką cieniutkich różeg, zostawiających równie świetnie oddane czerwone pręgi na różowiutkich niczym małe prosiaczki gimnazjalnych pupach... Dziwiąc się, że nachodzą go takie myśli, Kotielnikow, chcąc nie chcąc, przywołał przed oczy wizerunek już nie malowanego, ale całkiem realnego tyłeczka... i cichutko sobie westchnął. Tak miły był to obrazek. Swoją drogą, Przyjemski był wielkim świntuchem, ale jego stosunek do tych spraw był szczery i pełen entuzjazmu. Nigdy też nie rościł sobie pretensji do akademickich laurów za zainteresowanie podobnymi obszarami wiedzy.

Kotielnikow zerknął na zegarek, a potem na lustrzane wnętrze swojej ulubionej szafy. Było za wcześnie na kieliszeczek, a poza tym kobiet nie należy przyjmować po kielichu. Gdy już mu dostarczą tę, jak mówili, „niebezpieczną”, to jeśli okaże się sympatyczna, będzie ją można poczęstować koniakiem. Zastanowił się chwilę. – Może należało najpierw obejrzeć jej teczkę, a dopiero potem ją samą? – Namyslał się jeszcze przez moment i machnął na tę wątpliwość ręką. – A czort z ich teczkami – wymruczał. – Dziewczyna jest łebska i sprawna, bo namierzyła tego Japończyka i zorganizowała przerzut. To musi być niezłe ziółko. A poza tym we wszelkich sprawach związanych z Okrętem Specjalnego Przeznaczenia decyduję ja, a nie teczki kompletowane przez tych sadystów. Teczka to jedno, a człowiek to drugie... – sformułował pierwszą w swoim życiu maksymę filozoficzną i poczuł nawet coś w rodzaju dumy. Potem przez chwilę starał się sobie wyobrazić wygląd kobiety zdolnej do wyczynów, o których dotychczas mu raportowano. Pewnie okaże się podobna do tej baby chłoszczącej gimnazjalistki. Muskularna i wielka. Skoro potrafi zabijać marynarzy...

Po półgodzinie admirał mógł zweryfikować swoje wyobrażenia. Dziewczyna zajmująca najwygodniejszy (prócz tego za biurkiem) fotel

w gabinecie istotnie miała na sobie czarny kombinezon, stosowny dla komandosa, i chińskie pantofle ze sznurkową podeszwą, ale prócz tego stroju nic w niej nie zgadzało się z wyobrażeniami Kotielnikowa. Gdy ją wprowadzono, a oficer służbowy wręczył mu zapieczętowaną teczkę, Kotielnikowa zatkało. W życiu nie widział równie pięknej kobiety. W pierwszej chwili pomyślał, że coś pomyłono, bo przecież osoba tak drobnej i subtelnej budowy nie mogła być wyspecjalizowanym mordercą i superszpiegiem. Podpisując odbiór papierów, zerkał z zaciekawieniem na jej wąskie i długie dłonie, na szerokie barki, wąskie biodra i płaski brzuch. Najbardziej fascynujące wydały mu się jednak anielskie rysy jej twarzy i wykrój źrenic, przypominających prostokątne wizjery średniowiecznego hełmu. Siedziała skromnie i nawet – co byłoby przecież normalne – nie rozglądała się po jego ogromnym gabinecie. Kotielnikow kiwnął głową służbowemu i odprawił go neutralnym gestem dłoni nawykłej do rozkazywania. Potem stanął na środku gabinetu niczym uczeń przed dyrektorem i tak długo szukał jej wzroku, aż podniosła na niego nieobecne dotąd spojrzenie. Zatarł dłonie i pochylając swoje długie ciało najpierw w stronę jej fotela, a potem obróciwszy się niczym stoczniowy żuraw w stronę lustrzanej szafy, spytał ku swemu zdziwieniu niemal błagalnie:

– Ma pani ochotę się czegoś napić?

– Oczywiście! – odpowiedziała bez namysłu po rosyjsku i podnosząc się zwinnie z fotela, podreptała po dywanie, wyminęła admirała sterczącego na środku niczym latarnia morska, i zajrzała niezbyt grzecznie w głąb jego alkoholowego sezamu: – A co pan tam ma? Mogę zerknąć? – Usankcjonowała grzecznym pytaniem swoje zachowanie, ale Kotielnikowowi ta bezpośredniość akurat bardzo się podobała, bo przypominała mu sposób bycia Zuzanny.

– Może armeńskiego koniaku? – usiłował podpowiedzieć.

– W żadnym wypadku. Jestem bardzo zmęczona. Po koniaku zasnąłabym panu na dywanie. Nie spałam od trzech dni. Nie ma pan spirytusu?

– Spirytusu nie mam, ale jest tu bardzo mocna chińska wódka. Trochę pachnie pietruszką, bo to na korzeniu żeńszenia, ale postawi panią na no gi.

– Dobrze – zgodziła się z entuzjazmem, jak przewlekle chory pacjent, któremu lekarz zaoferował nowe, cudowne lekarstwo. – Nie, nie! – zaprotestowała, widząc, że admirał sięga po kryształowy kieliszeczek, w którym zmieściłoby się od biedy 25 gramów. – Niech pan mi naleje do szklanki. – Spełnił jej życzenie. Po chwili namysłu nalał chińskiego trunku także sobie i wręczywszy jej szklankę, zasiadł na swoim admiralskim tronie, a ona, patrząc mu w oczy, wolno i ze smakiem wypila kilka łyków 45-procentowej, piekającej, ale dobrze smakującej wódki.

– Miał pan rację. To orzeźwia umysł i duszę.

Kotielnikow nie mógł powstrzymać ciekawości, więc spytał:

– Mnie też zdarzało się nie spać po dwie doby. Na froncie. Ale trzy... Nie oszukuje mnie pani? Wygląda pani tak świeżo...

– Musi mnie pan zaprosić, kiedy będę wyspana. – Jej rosyjski był bez zarzutu. – Bardzo lubię spać i wciąż marzę o takim życiu, w którym mogłabym spać do południa... – Spojrzała na niego, zawieszając głos, jakby chciała powiedzieć: „Dobra, dosyć tych grzeczności. W końcu to przesłuchanie, a nie zakrapiana randka”. Kotielnikow zrozumiał wymowę tego spojrzenia i z niechęcią (bo czuł się dobrze w towarzystwie tej dziewczyny) uświadomił sobie własną rolę.

– No tak... – Odchylił się na oparcie fotela. – Ma pani rację. Winien jestem kilku zdań wyjaśnienia. Zapewne powiedziano pani, kim jestem i że będę pani... by tak rzec... dysponentem? – Popatrzył na nią, a ponieważ kiwnęła poważnie głową, ciągnął: – Nasz wywiad zlecił pani zadanie, z którego wywiązała się pani znakomicie. To zadanie wiąże się z pewnym projektem, o którego losach decyduję ja, i tylko ja. Także o losach i karierze ludzi zaangażowanych do jego realizacji, a także ludzi jedynie losowo w ten projekt uwikłanych. Proszę mi wierzyć. Ciężko mi w tej roli Zeusa wszechwładnego... – Potarł czoło. – Nie leży to w mojej naturze. Wolałbym,

żeby losy ludzkie rozstrzygały się same, albo żeby decydowali o nich sami ludzie, ale wciąż mimo pokoju mamy w pewnym sensie wojnę. Chyba pani – robiąc to, co robi – doskonale to rozumie? – Znów poważnie skinęła głową, więc kontynuował: – Nie znam pani motywów i nie będę rozstrzygał ich natury, proszę mi zatem powiedzieć rzecz następującą... Tu, w tej teczce jest wszystko, co o pani wiemy. Ja tego jeszcze nie czytałem, bo teczka zjawiała się u mnie razem z panią. Za chwilę ją otworzę i dowiem się rzeczy, z których część będzie zaskoczeniem także dla pani. Ale cóż, taka jest natura tych teczek. Czy w związku z tym, o czym mówię, chciałaby pani poinformować mnie o sprawach lub faktach, które uzna pani za tak ważne, że powinienem je poznać pierwej, nim zacznę czytać te dokumenty?

Kotielnikow był z siebie dumny i uważał, że to świetne zagranie. Ona natomiast dziwiła się jego naiwności i nieprofesjonalności. A niby dlaczego – myślała – miałabym cię, skądinąd sympatyczny misiu, informować o czymkolwiek. W teczce jest to, co jest. Co – mogę się domyślać i nie ma potrzeby wystawiania się na strzał.

– Myślę, że to niepotrzebne. – Uśmiechnęła się. – Proszę czytać w spokoju, a ja się zdrzemnę. Jak pan skończy, a ja się nie obudzę, proszę postukać palcami w biurko. To wystarczy...

Popatrzył na nią z podziwem, a pomysł, który jej przed chwilą przedstawił, już nie wydał mu się taki dobry. Dziewczyna tymczasem nie przejmowała się nim. Zwinąwszy się w kłębek, momentalnie zasnęła i posapywała cichutko, jak mały piesek.

– Cholera. Gównu psie! – jeszcze ciszej szeptał Kotielnikow, odwiązując tasiemki akt. Ależ ze mnie idiota – pomyślał. – Zamiast kazać ją skuć i wsadzić do celi, pozwalałam jej spać we własnym fotelu. – Westchnął (ale też bardzo cicho), przysunął sobie bliżej żeńszeniówkę i zaczął czytać. Nie było tego wiele. Gdyby był specjalistą, wyciągnąłby z lektury jeden wniosek: Dziewczyna była profesjonalistką najwyższej klasy. Nie zostawiała po sobie wielu śladów, a te, które zdarzało się jej zostawiać, skrętnie zacierała. Ale Kotielnikow nie był specjalistą, więc nie wyciągnął

od razu takiego wniosku.

Współpracowała z wywiadem armijnym od czterdziestego pierwszego. Była najlepszą agentką czarnej eminencji Kremla i Łubianki, niejakiemu Kazeduba. Znała doskonale japoński, angielski i rosyjski. Oddała nieocenione usługi przy realizacji projektu Tu-4, który był udaną kopią amerykańskiej superfortecy. Potem poleciała na próbny lot jako tłumaczka z rosyjską załogą niejakiemu Darrella, który zgodził się współpracować przy projekcie, i znikła wraz z nim i samolotem. Samolot na dodatek był nosicielem specjalnego rakietoplanu zarekwirowanego Niemcom. Kontrwywiad ustalił ponad wszelką wątpliwość, że rosyjska załoga sterroryzowała Amerykanina i ją i uprowadziła maszynę do Japonii. Rosjanie zrobili to z pobudek czysto materialnych, a każdy z nich dostał całkiem sporą sumkę. Najprawdopodobniej przewieziono ich natychmiast do USA, gdzie dostali nową tożsamość i roztopili się w krajobrazie. Wywiadowi udało się nawet sfotografować ze znacznej odległości bombowiec wraz z podwieszonym rakietoplanem, na którym Amerykanie namalowali swoje kokardy. Wywiad sugeruje, że Rosjanie musieli być w zмовie z Amerykaninem i dlatego rzecz się udała. Darrell pracuje teraz w sztabie lotniczych sił okupacyjnych, ona zaś – w kilka tygodni po przylocie – nawiązała kontakt z rezydentem rosyjskiego wywiadu w Japonii. Dostała to właśnie zadanie. Przy pomocy swoich kontaktów szybko namierzyła tego Kaneyasu. Potem wszystko poszło w miarę gładko, choć nie obeszło się bez koniecznych ofiar. Zlikwidowano całą załogę rosyjskiego okrętu. Przy okazji kilku japońskich zbrodniarzy wojennych. Taaak... Paszportowa fotografia, na której dziewczyna wygląda jak wypłosz. Czy to w ogóle ona? W dodatku jakiś artysta z kontrwywiadu wyretuszował zdjęcie. Nie... Jest jeszcze jedno zdjęcie. Niewiele na nim widać, bo choć z teleobiektywem, robiono je z dużej odległości. Łódka na stawie... Pochylona w stronę bioder mężczyzny sylwetka dziewczyny... Odchylona do tyłu sylwetka mężczyzny... Nisko pochyloną głowę dziewczyny, która chyba klęczy na dnie, zasłaniają burty łódki i wyłożone

za burtę wiosła. Co to niby ma być? – zastanawiał się admirał. – Mogliby choć podpisać... – Odwrócił kiepskiej jakości czarno-białą fotografię. Z tyłu widniała wykonana kopiowym ołówkiem notatka, która też niewiele mówiła: Czystyje Prudy, 5 sierpnia 1945. Nawet niedawno. Tylko co oni tam robią? Ściąga mu buty? W łódce...? Rosja jest chyba jedynym krajem na świecie, w którym dysproporcje pomiędzy służbami wywiadu a służbami kontrwywiadu są tak astronomiczne. Ale ja wiem, z czego to wynika. Wywiad działa za granicą. I ten prosty fakt tłumaczy wszystko. Trzeba znać języki, a więc trzeba być człowiekiem wykształconym i inteligentnym. Trzeba znać techniki zabijania, inwigilacji i dywersji, więc trzeba ćwiczyć. A generalnie, jak się coś ćwiczy, to człowiek mniej chla i ma czas, żeby się na trzeźwo zastanowić nad sobą i nad światem. Ale przede wszystkim wywiad jest daleko od Kremla i kremlowskich ścierwników. Dlatego, w przeciwieństwie do kontrwywiadu, działa świetnie i skutecznie. Nawet w tak trudnym kraju, jak Japonia. Najlepszy dowód, że wyłuskali tego Kaneyasu... Dobra... Nie... Chwila... Jest jeszcze jeden papierek. Już na pierwszy rzut oka złowieszczy. Pewnie przez to, że na dole jest tylko jedna pieczęć. Nieduża. A papierek nie ma kancelaryjnej sygnatury. Nie ewidencjonowano go. To tak, jakby go nie było. Kilka maszynowych linijek. W ostatniej napisano: „Po zapoznaniu się bezwzględnie zniszczyć dokument”. A powyżej... Powyżej ktoś anonimowy, ale – sądząc po pieczęci Wielkiego Wezyra – bardzo wysoko postawiony, napisał beznamiętym, dziwacznym językiem służb, że Kira Widmańska jest wyjątkowo niebezpieczna i niepewna i że w razie jakichkolwiek problemów najlepiej ją zlikwidować. Napisano także, że tę decyzję pozostawia się towarzyszowi admirałowi Kotielnikowowi... – Zamknął delikatnie teczkę i starannie zawiązał tasiemki. Pomyślał także, że za skutki podjęcia albo niepodejmowania tej decyzji odpowie także Kotielnikow. Cóż... – Obracając złowieszczy papierek uważnie nad rzeźbioną malachitową popielniczką, spalił go, czując, jak w płomyku benzynowej zapalniczki traci on swą sprawczą moc. Łyzeczką od herbaty pokruszył popiół, a potem wyjął

wiszący na łańcuszku na szyi stempel, a z szuflady laskę plasteliny i opieczętował akta. – Resztę – zdecydował – trzeba wyciągnąć od niej. Ale trzeba to zrobić delikatnie i zręcznie. Może sama coś palnie. Byłby jakiś punkt zaczepienia. Obrócił dłoń, by zgodnie z jej prośbą zastukać w blat, ale gdy zerknął na nią, napotkał życzliwe, ale i badawcze spojrzenie. Dziewczyna przeciągnęła się i ziewnęła słodko:

– Jestem jak nowa. Jeszcze pięć godzin i mogę iść z panem na bal. Proszę mi nalać. Ale czegoś innego. Zdam się na pana wyczucie. – Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, a on czekał na każde jej słowo, jak niewolnik na polecenie surowej pani. Nie zorientował się, że powoli i skutecznie brała go w swoje władanie. – Niech pan rozkaże, żeby dali mi coś na ząb. Nie jadłam od trzech dni. Może być kawałek chleba, cokolwiek, byle nie mięso.

– Mam sardynki... – podsunął. – I sucharki. Wystarczy? – Nie miał ochoty wzywać oficera i wydawać mu gastronomicznych poleceń. Chciał jeszcze побыć z tą dziewczyną sam na sam.

– Jasne. Świetnie – zaakceptowała jego propozycję. – A co do picia?

– Może jednak da się pani skusić na ten koniak?

– Nie. – Odmowa zabrzmiała tak kategorycznie, że zaczął penetrować wzrokiem zaplecze swojego baru.

– A na mocny, wytrawny rum? – spytał z nadzieją. – Może być?

– Może – ułaskawiła go. – Ale z cytryną. Ma pan cytryny, admirale?

Miał. Przekroił zaraz jedną, najbardziej dorodną, na pół i posługując się szklanym wyciskaczem, wydobył z dojrzałego – pochodzącego najprawdopodobniej z przemytu albo ze specjalnych przydziałów – owocu dobre pół szklanki soku.

– Może być? – Wyczekiwał jej opinii, jak kelner, który nachyla się nad kieliszkami gości z butelką polecanego wina. Sam sobie wydawał się coraz bardziej śmieszny i żaloszny, ale ta dziewczyna odbierała mu wolę i rozsądek. Życzliwie przyglądała się jego zmaganiom z oporną puszką rybek i patrzyła jak nieudolnie rozrywa papierową torebkę i ustawia na tacy sucharki.

– Wie pani? – zagadnął rozemocjonowany. – Takie sucharki w czterdziestym drugim śniły się nam po nocach. Naprawdę. Nie dziewczyny, tylko suchary...

– Teraz pewnie znowu śnią się panu dziewczyny?

Zaczerwienił się i chrząknął zmieszany. Wrócił na swoje miejsce i próbował wrócić także do swojej roli. Zrobił poważną minę, a ona – chcąc mu pomóc – także spoważniała, zdając sobie sprawę, że igranie z Kotielnikowem może być niebezpieczne. Mimo chłopięcych zachowań i kompletnego braku umiejętności koniecznych do odegrania roli, którą mu wyznaczono, była w nim siła i determinacja. Pokazała więc oczami i ciałem, że jest gotowa z nim współpracować.

– Nie miała pani problemów po przybyciu do Japonii? Ten... ten Amerykanin wiedział, że jest pani nie tylko tłumaczką, ale naszą agentką?

To było dobre pytanie i musiała chwilę się zastanowić. W końcu odpowiedziała i, co dziwne, powiedziała prawdę:

– Oczywiście, że wiedział. Łączyło nas znacznie więcej niż to, co zapewne zapisano w tej teczce. Lecieć miał inny tłumacz, niejaki Smoliarow, ale zachorował i dla kapitana Darrella okazało się to dużym zaskoczeniem. Tamtemu tłumaczowi daliby zapewne po łbie, mnie nie zrobili krzywdy. Związali mnie pod pistoletem, i tyle. Amerykanie w Japonii oczywiście przesłuchiwali mnie ze dwa dni, ale tylko Harold wiedział, kim jestem. Dla załogi byłam po prostu tłumaczką. Harold nic im nie powiedział... Nie ma pan nic przeciwko temu, że bym sobie gryzła tego sucharka?

– Ależ oczywiście. Niech pani gryzie – zezwolił i zaraz zadał następne nasuwające się w oczywisty sposób pytanie: – A dlaczego według pani niczego nie powiedział?

Była na to przygotowana.

– Zawarliśmy umowę.

– Można wiedzieć jaką? – Czuł się coraz lepiej w roli śledczego, a ona to zauważyła.

– Ja też wiedziałam o nim więcej... Pewne szczegóły jego pobytu w Rosji

mogłyby bardzo zainteresować jego rodaków i w tym świetle zasług mogłoby nie starczyć na pokrycie win... Teraz pan rozumie? Poza tym niemal natychmiast po wylądowaniu upomniał się o mnie i o tych zdrajców nasz konsulat. Oddanie mnie było dobrym posunięciem dyplomatycznym, gdyż Amerykanie mogli naszym powiedzieć, że tylko ja dobrowolnie chcę wrócić, a reszta nie. Konsulat żądał kontaktu z załogą, ale Amerykanie zdecydowanie odmówili i z tego, co mi wiadomo, przyznali załodze status azylantów. A tak w ogóle to... – Zrobiła surową minę. – Do diabła czarnego! Przecież ja nie powinnam się z niczego tłumaczyć. Podjęłam się zadania. Wykonałam je, działając na szkodę potencjalnych nieprzyjaciół naszego kraju, i tyle. Czy to nie dość? Gdybym była, jak to się u nas zwykle mówi, „wrogo nastawiona”, to po wyjściu od konsula po prostu rozpląnęłabym się w tłumie, o co w Japonii, szczególnie w dzisiejszych czasach, wcale nietrudno.

Swoją drogą, dobrze, że nie możesz tego wiedzieć admirałku – pomyślała. To nie była łatwa decyzja i wtedy, w pierwszym odruchu Kira poważnie zastanawiała się, czy nie rozpląnąć się w tłumie i zorganizować sobie przerzut do Europy albo do Stanów *via* francuskie Indochiny. Miała na kilku szwajcarskich kontaktach dość pieniędzy na dobry początek pod innym nazwiskiem i z inną tożsamością. Postanowiła jednak spotkać się z rezydentem wywiadu na neutralnym terenie i powęszyć. Gdyby przyszedł z zamaskowaną obstawą, zawsze mogła zrejterować. By utrudnić mu ewentualne porwanie w biały dzień, włożyła krzykliwe kimono, w którym wyglądała jak dziwka. Przyszedł sam i nic nie wskazywało na to, by miał ukryte zamiary. Nie zadawał jej też żadnych głupich pytań i nie deklarował niczego głupiego w stylu: „My dobrze wiemy, towarzyszeko, jak było naprawdę, więc nie róbcie z siebie idiotki”. Był za to bardzo podekscytowany i szybko wyczuła, że stała się znów potrzebna. Bardzo potrzebna. W kilku zdaniach wyłożył sprawę, a ona, słysząc doskonale sobie znane nazwisko, podjęła równie szybką decyzję. Czasu było niewiele, ale udało się jej skontaktować z kim trzeba i wspólnie ułożyć plany...

– Może potrzebowała pani pieniędzy? – wtrącił naiwnie Kotielnikow, przerywając film, który przewijała w myślach.

– Niech pan nie będzie śmieszny – odparowała. – Nie przedstawię tu panu wyciągu z moich zagranicznych kont, ale sam pan rozumie, że specjaliście mojej klasy płaci się dobre honoraria. I że nie jest to etat wymagający podpisywania paska wypłaty w księgowości. Takie numery muszą kosztować, a przecież ja robię to od ponad pięciu lat. Powiem więc panu. Pieniądzy mam dość, ale może mnie pan spytać, dlaczego robię wciąż to, co robię. Chce pan? – Spojrzała mu zimno i odważnie w oczy, a on, mimo że wzdłuż kręgosłupa najpierw z dołu do góry, a potem z góry na dół przebiegł mu dreszczyk, potwierdził oczami chęć poznania jej motywów. – Po pierwsze. Od dziecka przygotowywano mnie do tego i, jak pan zapewne zauważył, zrobiono to w sposób fachowy. Po drugie... – Zawahała się chwilę. – Może pan nie uwierzy, ale ja to lubię. Podnieca mnie to prawie tak jak seks, a czasami nawet lepiej. Jest w tej pracy synteza wszystkiego, co człowiek może wytrenować i czego się może nauczyć. Sam i przy pomocy swoich nauczycieli. Jest w tym przyjemność wypływająca z kontaktu z psychiką innych ludzi oraz emocja, ponieważ granica pomiędzy tym, czym się manipuluje, a tym, co jest autentyczne, spontaniczne i szczerze, nie jest nigdy wyraźnie widoczna. Moja praca śni mi się po nocach tak, jak zapewne pisarzowi śnią się bohaterowie jego sensacyjnych powieści. Mam przy tym tę satysfakcję, że mogę być swoim własnym strategiem. Przecież każde zadanie, nawet najbardziej błahe, trzeba precyzyjnie zaplanować, używając do tego całej swojej wiedzy i doświadczenia. Może się pan śmiać, ale ja wymyślam sposób realizacji powierzonych mi zadań w wannie. Rozwiązania przychodzą same, tak jakby czekały w gorącej, parującej, rozkosznej wodzie. Bo ja bardzo lubię się kąpać. Poza tym – ale to powiem panu w zaufaniu, bo robi pan na mnie bardzo korzystne wrażenie – poza tym, co robię, nie mam nic innego. Czy to panu wystarczy, żeby nie zadawać dalej pytań?

– Jeszcze tylko jedno... – odpowiedział i był w tym ledwie dostrzegalny

odcień prośby: – Przecież pani zabija...

– Owszem – odpowiedziała krótko. – Ale z zupełnie innych przyczyn, niż robi to większość ludzi. Na pewno nie z nienawiści ani z innych tego typu niskich pobudek. Zabijam... Zabijam, bo to należy do kanonu tego zajęcia. A pan nie zabija... nie zabijał nigdy? Przecież rozkaz, żeby napaść na własną jednostkę i zlikwidować świadków, to nie mój pomysł. Dostałam takie polecenie. I... nie pytam, czy to pan je wydał. Ale niech to będzie odpowiedź. Zabijać można różnie... Czy muszę to panu tłumaczyć?

– Nie musi pani – przyznał z takim wysiłkiem, jak gdyby położono mu na plecach stukilogramowy ciężar. Poczuł się bardzo źle, bo w tym potwierdzeniu była akceptacja różnych rzeczy, które nastąpiły już w jego życiu, a których do końca nie potrafił zaakceptować. – Zostawmy to – sapnął i gwałtownie wciągnął powietrze, jakby zabrakło mu oddechu. – Wierzę pani. Jestem przekonany, że będziemy mogli podpisać umowę na dalszą współpracę. A póki co... Dobrze pani zna tego Kaneyasu?

Nie widziała powodu, żeby się przyznawać. Poza tym pod pokładem kutra projektu 213 zawarła z Toru sojusz. Powiedziała więc:

– Przystudiowałam materiały, no i poznałam go trochę podczas transportu. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że dokonałam dość wnikliwej analizy.

Kotielnikow mógł jedynie domyślać się znaczeń ukrytych pod tym oświadczeniem, ale i tak się zarumienił i ona to zauważyła.

– Czy on mówi w jakimś europejskim języku? Na przykład po francusku? – spytał z nadzieją, bo akurat francuski znał dzięki domowym lekcjom z maitre i kursom w korpusie zupełnie przyzwoicie.

– Francuskiego nie zna. Mówi świetnie po angielsku. – Popatrzyła na niego wyczekująco, a admirał chrząknął zafrasowany:

– Mój angielski pozostawia wiele do życzenia. Szczególnie, gdy w grę wchodzi terminologia techniczna. Pani zna angielski?

– Byłoby to dla niego ogromne ułatwienie.

– To jeden z moich pierwszych języków. Mówię i piszę po angielsku

równie dobrze, jak po rosyjsku i po japońsku.

– A terminologia? Orientacja w technice?

– Mam dyplom inżynierski dobrej uczelni technicznej.

– Spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach i jednym haustem dopiła rum z cytrynowym sokiem, a potem szybkim, cichym ruchem podwinęła nogi i było w tym coś kochanego, dobrze znanego i ciepłego, co sprawiło, że Kotielnikow pomyślał o Zuzannie i jej nogach.

– Znakomicie. – Zatarł olbrzymie dłonie. – W takim razie ma pani nowe zadanie. Będzie pani moją asystentką, bo zamierzam temu Kaneyasu przedstawić pewną propozycję...

Uśmiechnęła się i proszącym gestem wyciągając ku niemu pustą szklankę, spytała swoim zastanawiająco niskim głosem:

- *May I have another one?*¹¹⁹

Grudzień 1947 na pokładzie M-214, okrętu serii XV. Godzina przed północą

Okręt nie budził jego zachwyty, ale rosyjscy oficerowie najwidoczniej byli z tego pudła dumni. Twierdzili, że to doskonałe rozwinięcie „dwunastki”. Akurat „dwunastkę” Kaneyasu znał doskonale z danych dostarczonych przez wywiad. Sowieckie „dwunastki” – projektowane jeszcze w latach trzydziestych – były małe, ciasne, zanurzały się tylko na pięćdziesiąt metrów i to bardzo wolno. Miały mały zasięg i słabe uzbrojenie. Pod wodą ruszały się jak ślimaki. Taka ot sobie łódeczka do patrolowania strefy przybrzeżnej. Z tego, co zobaczył we wnętrzu „piętnastki” i tuż przed wejściem na pokład, mógł wnioskować, że „piętnastka” odziedziczyła po poprzednicze większość wad.

Japończycy aż do czterdziestego czwartego roku nie projektowali tak małych jednostek. I w zasadzie większość projektów nie „schodziła” poniżej stu metrów długości. Projektowano wielkie okręty o dużej autonomiczności,

zdolne do wielotygodniowych działań na odległych akwenach. Projektowano zatem flotę „zaczepną”. Wojna zweryfikowała te założenia. Kiedy nastąpiło przesilenie i dla większości normalnie myślących stało się jasne, że przegrana jest tylko kwestią czasu, zaczęto projektować Sentaka, czyli szybkie łodzie bojowe. Po powierzchni snuły się z mizerną prędkością ledwie dziesięciu węzłów, ale pod wodą gnały jak durne, rozwijając – prawda, że na stosunkowo niedługich dystansach – aż dwadzieścia jeden! To były okręty idealne do działania w pobliżu macierzystych baz i wyprowadzania szybkich, zaskakujących ciosów. Czyli okręty do obrony. Małe łodzie potrzebne były także do zaopatrywania kolejno ulegających Amerykanom wysp i archipelagów, kiedy zaopatrzenie transportem nawodnym stało się albo zbyt niebezpieczne, albo zgoła niemożliwe. Powstały więc niewielkie, tanie, łatwe do budowy konstrukcje o umiarkowanych osiąгах, ale zdolne zabrać sześćdziesiąt ton zaopatrzenia i o dobrym stumetrowym zanurzeniu. Takie jak typ SS.

„Piętnastka”, jak zapewniali Rosjanie, była całkiem nową jednostką, spuszczoną na wodę niecały rok wstecz¹²⁰. Okręt obciążony był dwoma grzechami pierworodnymi. A ściślej, był to ten sam grzech. Gdy Niemcy, zajmwszy Krym, zaczęli zagrażać sowieckiej dominacji na Morzu Czarnym, jakiś geniusz w sztabie wymyślił, że okręty budowane w stoczniach północnych będzie się ładować na kolejowe lory i ciupasem ekspediować na zagrożone akweny. Musiały więc być małe i łatwe do demontażu. Pomysł nie był sowiecki, tylko niemiecki, bo Germanie mieli do pokonania Scyllę i Charybdę brytyjskiego Gibraltaru. Wozili więc niewielkie U-booty lądem, z Francji, *via* Jugosławia, i to nie koleją, a transportem samochodowym, obcinając po drodze i wysadzając wszystko, co im w tym przeszkadzało. Rosjanie poszli dalej. Dlatego główne zbiorniki balastowe pomieszczono na zewnątrz, w wypukłych, przylepionych do zewnętrznego kadłuba bułach. Przed załadunkiem na kolejowe lory można je było po prostu odkręcić. Nie wychodziło to na dobre szczelności i dokładności trymowania, ale zawsze w takich przypadkach trzeba było poświęcić jedną rzecz na korzyść innej.

Okręt miał też dwa diesle, obsługujące dwa oddzielne wały z dwoma śrubami, i cztery, a nie dwa, dziobowe aparaty. Ale też tylko dwie torpedy w zapasie. Za to najnowocześniejsza sowiecka konstrukcja mogła (co prawda bez gwarancji stoczni) zanurzać się do siedemdziesięciu metrów i rozwijała na powierzchni szesnaście węzłów, a zasięg był – jak na tę klasę okrętu – całkiem przyzwoity. Na szczęście tym razem nie trzeba było płynąć daleko, ale pod pokładem zamiast dwudziestu ośmiu ludzi tłoczyło się niemal sześćdziesięciu! Resztę „wolnego miejsca”, jeśli można użyć eufemizmu, zajmowały gumowe pontony i ich podłogowe stelaże oraz silniki do łodzi, paliwo, zapasy i wyposażenie. Kaneyasu uważał, że pomysł jest poroniony, ale i tak był zadowolony, że nie zgodził się na próbę wejścia „piętnastki” do bazy, pod wodą. Przy braku urządzeń namiarowych na rosyjskim okręcie i z załogą, która nigdy tego nie robiła, rzecz musiałaby się skończyć źle. Mieli więc osiągnąć wyspy w nocy, idąc w zanurzeniu, i po wyjściu na powierzchnię niedaleko od brzegu wyokrętować pontony. Potem, korzystając z niskiego stanu morza, będzie można wejść głównym tunelem i modlić się, żeby Takemitsu (jeśli jeszcze żyje) nie dostał zawału serca na widok gumowych łódek pełnych ludzi albo żeby, co gorsza, jego ludzie (jeśli tam jeszcze są) nie zaczęli strzelać. W przeładowanej dodatkową załogą „piętnastce” było duszno, choć szli na powierzchni i włącz kiosku był otwarty. Kaneyasu siedział cierpliwie na składanym krzeselku z brezentowym siedziskiem obok stołu nakresowego, nie patrzył nikomu w oczy i oddychając płytko, myślał o swoich sprawach. Rosyjska załoga zachowywała się – co było dla niego pewnym zaskoczeniem – taktownie i w miarę dyskretnie. Czasem tylko, gdy obserwował bacznie spod przymrużonych powiek duszne otoczenie centrali, dostrzegał szybkie i pełne ciekawości spojrzenia sterników i oficerów. Nie było w tym nic dziwnego. Chcieli się przyjrzeć dawnemu wrogowi. Byli też pewnie ciekawi, co potrafi japoński dowódca. Nie znali powodu, dla którego mieli go przed świtem wyokrętować wraz z dwudziestoma pięcioma ludźmi w marynarskich roboczych mundurach bez dystynkcji. Nie pozwolono im

rozmawiać z pasażerami, a z Kaneyasu wolno im było porozumiewać się jedynie za pośrednictwem tłumaczki. Toru pomyślał, że tak jest lepiej. Początkowo planowano, że „piętnastka” przyczai się w pobliżu, leżąc za dnia na dnie, a w nocy ładując baterie, a potem będzie eskortować Sentoku, ale Kaneyasu forsował swoją wersję. Po pierwsze, nie wiadomo, czy okręt w ogóle jest w środku, po drugie – jeśli jest – nie wiadomo, ile czasu zajmie doprowadzenie go do stanu gotowości. Po trzecie, dwa okręty w tej strefie są łatwiejsze do wykrycia niż jeden. Po czwarte, trzeba by korzystać z łączności radiowej, a to kolejne zagrożenie.

Kira także milczała oparta o obrotowy fotel, który kurtuazyjnie zaproponował jej rosyjski dowódca, zażywny jegomość o bardzo opalonej twarzy okolonej krótko przystrzyżoną, białą jak mleko brodą. Tłumaczka najwyraźniej wywarła na kapitanie piorunujące wrażenie, bo niepomny tego, że powinien całą uwagę poświęcać swojemu okrętowi, nie spuszczał z niej wzroku, licząc widocznie na to, że dziewczyna w czarnym kombinezonie odwzajemni jego spojrzenie. W końcu Rosjanin znalazł sposób, by zwrócić jej uwagę. Choć od celu dzieliła ich co najmniej godzina, chrząknął i gładząc swoją nienagannie wytrymowaną brodę, poprosił:

– Niech pani spyta Japończyka, od której strony będziemy podchodzić.

Spojrzała na niego uważnie i wyrozumiale, a potem posłusznie przekazała po japońsku pytanie. Kaneyasu podniósł głowę i bez życzliwości, zimno i obojętnie ukłonił się Rosjaninowi.

– Zapytaj go – zwrócił się do Kiry – jaki jest stan morza i kierunek wiatru.

Uzyskawszy żądane informacje, odpowiedział:

– Mają nas wysadzić na jakiś kabel od strony południowo-zachodniej. Niech podchodzi tak, żeby mieć większy szczyt trochę po lewej stronie. Wtedy jest szansa, że nie zniesie nas na pełne morze. Zresztą mamy silniki. Ale przy takiej fali tak będzie najrozsądniej. Powiedz mu, choć pewnie dobrze o tym wie, żeby ustawił okręt od nawietrznej. Wtedy będzie nam łatwiej spuścić łodzie i jest większa szansa, że się nie pozabijamy.

Kaneyasu nie przepadał za pontonami, szczególnie w listopadzie i na tych wodach przy takim wietrze. Najpewniej wszyscy jego ludzie serdecznie się porzygają. Ciekawe, czy Kira też? Nie! Jeśli nie zaszkoziła jej upiorna droga w rosyjskim kutrze, to nic jej nie zaszkozi. Usadowił się wygodniej, zwieszając ręce pomiędzy kolanami, tak by odciążyć kręgosłup, i myślał: Gdyby ktoś pięć lat temu przewidział, że coś takiego jest możliwe... Ale, cóż, świat, ludzie i rzeczy zmieniają się za szybko, żeby za tym nadążyć. Nie warto się opierać. Jesteśmy jak trzciny w nurcie rzeki... To samo powiedział temu sympatycznemu dryblasowi o urodzie wikinga – od kilkunastu dni panu jego życia i śmierci. Gdy wprowadzono go do przytulnego, choć przestronnego gabinetu z lustrzaną szafą, za której kryształowymi taflami rozpoznawał obiecujące kształty licznych flaszek, człowiek ten – najwidoczniej nawykły do rozkazywania – krzyknął coś gniewnie do oficera dowodzącego jego czteroosobową eskortą, a ten, zmieszany, pospiesznie odpiął mu kajdanki. Duży człowiek w ładnym ciemnogrnatowym mundurze ze stójką – co natychmiast wzbudziło sympatię Kaneyasu, bo kurtka przypominała krojem japońskie mundury – powiedział szkolną angielszczyzną:

– Przepraszam. Nie dawałem im takich rozkazów.

Kaneyasu, masując czerwone ślady po menotkach, uśmiechnął się wyrozumiale i ukłonił krótko, ale zawarł w tym ukłonie dla wyższego od niego o dobre dwadzieścia centymetrów człowieka o pszenicznej, świeżej urodzie wielką dozę sympatii. Rosyjski oficer bardzo mu się spodobał.

Rosjanin zacierał wielkie, ale kształtne dłonie i pochylał muskularne, potężne ciało z taką serdecznością i zaangażowaniem, że Kaneyasu poczuł się w jego gabinecie jak w domu. Oczywiście ani przez moment nie sądził, że Rosjanin zdobywa się na coś więcej, niż nakazuje obowiązująca w jego kraju kurtuazja. Tymczasem Kotielnikow naprawdę się starał.

– Zaraz przyjdzie tłumacz... – uspokajał, patrząc w znużone, smutne oczy japońskiego komandora. – Może napije się pan herbaty?

Kaneyasu pomyślał, że rosyjska herbata może okazać się ciężkim

doświadczeniem, ale skinął głową, a Rosjanin zaczął krzątać się po swoim gabinecie. Bez trudu można było jednak zauważyć, że uległ kiedyś ciężkiej kontuzji.

– Przy takiej pogodzie jak dziś pewno się to odzywa? – odgadł w ciemno Kaneyasu.

– Aaaa... a to? – Kotielnikow nie od razu zrozumiał. – A tak. Wojenna rana. Śmieszne miejsce. Jak wilgoć duża w powietrze. Czuję. Boli – wydukał po angielsku.

– Dawno? – ośmielił się spytać Kaneyasu, ale tylko dla potwierdzenia własnych szacunków. Admirał dopiero teraz zorientował się, że Japończyk stoi na środku dywanu, i wskazał mu ten sam fotel, w którym tak niedawno drzemała Kira.

– Pięć lat. Czasami zupełnie nie czuć. Czasami boli. Bardzo. Tak, że trudno się ruszać. Nie wiem, jak po angielsku. Taka część, jak wybuchnie pocisk... Leci w każda strona... – Popatrzył z nadzieją na rozmówcę, a Kaneyasu od razu podrzucił:

– Odłamek? To nie ma znaczenia, że dawno. Czasami kontuzja albo rana nie wygląda na poważną, ale okostna jest jak matryca. Pamięta bardzo długo. Te bóle może pan odczuwać do...

Kotielnikow pogubił się w zbyt dla niego skomplikowanej angielszczyźnie, ale w drzwiach gabinetu zobaczył Kirę. Najwidoczniej stała tam od jakiegoś czasu, bo gładko dokończyła po rosyjsku:

– Do końca życia... – I tłumaczyła dalej z marszu słowa komandora: – Ale można to w pewien sposób złagodzić, jeśli będzie pan ćwiczył. Ruch to najlepsze lekarstwo na takie sprawy.

– Zna się pan na tym? – z niedowierzaniem spytał admirał, a Kira uśmiechnęła się z takim samym niedowierzaniem czy też może z jego delikatną parodią.

– O tyle, o ile. Mój mistrz Sasamori kładł spory nacisk na taką właśnie wiedzę. Z tego, co widzę... Nie... Proszę mi nie opowiadać. Prawdopodobnie odłamek zrobił dwie rzeczy: naruszył nerw kulszowy i nadłamał kość

ogonową. Bolało, bolało. Nie mógł pan siadać na twardym przez długi czas. W końcu przestało. Dobrze mówię? – Kaneyasu popatrzył spod oka na admirała, a ten zafascynowany diagnostycznymi zdolnościami Japończyka zdobył się tylko na potakiwanie. – Potem zrobił pan to, co robi większość ludzi w takich przypadkach, i część z nich zostaje kalekami na całe życie.

– Czyli co? – spytała za Kotielnikowa Kira.

– Zaczął pan oszczędzać te partie swojego ciała. Na szczęście jest na tyle duże i ciężkie, że to się do końca panu nie udało. Ale ograniczenie ruchu jest wciąż widoczne. Jestem pewien, że dwa miesiące odpowiednich ćwiczeń pozwoliłyby panu na zawsze odsunąć od siebie widmo kalectwa.

Kotielnikow przypomniał sobie, co mówiła mu Zuzanna. U niej jednak była to kwestia intuicji i życzliwości, u Japończyka zaś wiedza. Admirał po raz kolejny przyłapał się na słabości, której się wstydził. Nie potrafił traktować ludzi z pozycji swojej funkcji i zadania. Jeśli, oczywista, czuł do kogoś sympatię. A do Japończyka poczuł ją od razu. Już zamierzał poprosić o dalsze wyjaśnienia, ale przypomniał sobie, po co przyprowadzono mu komandora. Z pewnością nie po to, by stawiał medyczne diagnozy, ale po to, by powiedział, gdzie jest okręt. Kaneyasu wyczuł tę zmianę nastroju i spuściwszy wzrok, zaczął zachowywać się jak jeniec. Kotielnikowowi znów zrobiło się głupio. Nabrał głęboko powietrza i szukając wzroku komandora, zaczął wolno i dobitnie, wstydzając się tego, co mówi:

– Komandorze. Jak się pan zapewne zdążył zorientować, wydarzenia ostatnich kilku dni nie są dziełem przypadku. Wiemy o panu wystarczająco dużo, by móc zdecydować o pańskim dalszym losie. Powiem więcej. Gdybyśmy nie wiedzieli, też moglibyśmy zdecydować. Oficjalnie, człowiek, pod którego nazwiskiem pan się ukrywa, czyli „pańska legenda”, to zbrodniarz wojenny ścigany literą prawa. Mniejsza zresztą o międzynarodowe prawo, choć jest pan zarówno na amerykańskich, jak i na naszych listach. Rosyjskie trybunały działają szybko i skutecznie. Jeśli nie wykaże pan chęci współpracy...

Kaneyasu uśmiechnął się z zażenowaniem. Ktoś obserwujący tę scenę

z boku mógłby pomyśleć, że usprawiedliwia swoją winę.

– Przecież pan... Przepraszam, nie wiem, jak mam pana tytułować?

– Jestem admirałem – nie bez dumy wyjaśnił Kotielnikow.

– A więc, panie admirale. Pan doskonale wie, że nie zrobiłem nic, co sprzeniewierzałoby się prawu wojennemu...

– Wiem – z niechęcią potwierdził Kotielnikow, a tłumacząca ten dramatyczny, w istocie absurdalny dialog Kira z zainteresowaniem czekała na puentę. – Wiem doskonale – powtórzył.

– Ale to nie ma żadnego znaczenia.

– To panu nie przeszkadza? – zainteresował się Kaneyasu.

– To też nie ma żadnego znaczenia. – Kotielnikow jeszcze się nie irytował, ale rola, którą przyszło mu grać, nie była wdzięczna, i zaczął perorować: – Niech pan sobie uzmysłowi jedną podstawową rzecz. Wojnę w zasadzie mamy za sobą, ale wciąż jesteśmy jak pionki na szachownicy i... i nie możemy robić własnych ruchów. Jeśli wyczuję, że pan nie chce współpracować... Dokładniej... – Machnął w powietrzu wielką dłonią dla podkreślenia efektu. – Jeśli wyczuję cień wahania albo niechęci do projektu, który chcę panu przedstawić...

– To... – dopowiedział życzliwie Kaneyasu.

– Przekażę pana wraz z tymi papierami – położył ciężką dłoń na teczce leżącej na jego sążnistym biurku – przekażę pana naszym specjalistom od szybkiego załatwiania spraw. Nie będzie pan miał nawet mogiłki...

Kaneyasu westchnął ciężko. Groźby go nie przerażały i przez moment miał nawet ochotę sprowokować Rosjanina. Miesiące i lata ponieważ wytworzyły w nim rodzaj nowego zmysłu - zmysł ryzyka. Doprowadzanie sytuacji do granicy przesilenia i zmiany podniecało go, choć był to wyjątkowo ponury gatunek ekscytacji.

– Dobrze – westchnął ponownie. – Może pan uznać, że się przestraszyłem i nie chcę posmakować wojennej sprawiedliwości, a raczej niesprawiedliwości. Czego pan ode mnie oczekuje?

Kotielnikow uznał, że może się nie patyczkować.

– Gdzie jest Sen-toku? – spytał.

– Który? – nie tracąc rezonu, odparował komandor.

– Pański – wyrębał ciężko Kotielnikow. – Los pozostałych jest nam doskonale znany i proszę nie grać ze mną. Nasz wywiad ustalił ponad wszelką wątpliwość, że był pan dowódcą okrętu niefigurującego w oficjalnych wykazach. Krótko mówiąc, wiemy, że był jeszcze jeden Sen-toku. Gdzie on teraz jest?

Kaneyasu odetchnął długo, wypuszczając powietrze nosem. Tak jak czyni się to dla wyrównania oddechu i nagromadzenia energii w sali treningowej. Admirał wbrew pozorom nie był łatwym przeciwnikiem. Gdy uczynił pierwszy wyłom w obronie, parł do przodu, nie zwracając uwagi na flanki. Nie było czasu, żeby się targować. Kaneyasu wyczuwał, że pomimo swojej dobroci i uczciwości zdeterminowany Kotielnikow, w razie odmowy, zrealizuje groźbę. Można jednak było, udzielając odpowiedzi, dowiedzieć się czegoś. Najpierw chciał spytać: Po co wam mój okręt? Ale po chwili namysłu spytał:

– Po co wam Sen-toku?

– To nasza sprawa – skwitował admirał. – Niech pan nie przeciąga struny. Na takie pytania odpowiem dopiero, jak powie pan, gdzie jest okręt...

Kaneyasu przymknął powieki i myślał intensywnie: Czy mam jakieś zobowiązania? Jeśli tak, to chyba tylko wobec starego Takemitsu. Poza tym...? Dyrektywy sztabu? Przysięga? To śmieszne. Dobrze, ale może da się jednak coś wytargować?

– Dobrze! – rzucił, a Kotielnikow odetchnął z ulgą. Ten człowiek z pewnością nie zasługiwał na tak haniebny i niesprawiedliwy koniec. – Tylko mam jeden mały warunek... Chyba nie będzie trudno wam go spełnić?

– Niech pan mówi – zgodził się admirał.

– Jeśli nic się nie zmieniło przez ostatnie dwa lata, to w bazie... No tam, gdzie jest mój okręt, są także moi ludzie. Nie... – pospieszył

z wyjaśnieniem, widząc cień niepokoju we wzroku Rosjanina. – Niewielu. Taka szkieletowa obsada. Wszyscy niezbędni do utrzymania bazy i konserwacji okrętu. Jeśli oczywiście są tam jeszcze...

– Ilu? – chciał wiedzieć Kotielnikow.

– Dokładnie nie pamiętam. Mniej więcej trzydziestu ludzi.

– Specjaliści?

– Najlepsi. Wybrani i sprawdzeni.

– Jakie mieli rozkazy? – Kotielnikow pomyślał, że jeśli Japończyk odpowie na to pytanie, w nagrodę za chęć współpracy zaproponuje mu drinka.

Kaneyasu odpowiadał bez zahamowań:

– Wszyscy moi ludzie byli ponad rozkazami dla floty. Mieliśmy osobne procedury i specjalne kody łączności. W sztabie było zaledwie kilku wtajemniczonych, a ci byli zobowiązani do zachowania absolutnej tajemnicy. Zresztą oni też nie wiedzieli wszystkiego.

– A kto wiedział wszystko? – nie wytrzymał Kotielnikow.

– Ja. – Kaneyasu delikatnie się uśmiechnął.

To by się zgadzało! – kombinował admirał. – Ci ze sztabu, do których dotarł wywiad, nie mieli pojęcia, gdzie jest baza Sen-toku.

– Chciałbym prosić, żeby nie wyrządzono im jakiejś... – Kaneyasu szukał słowa – ...żeby ich nie skrzywdzono... Nie są niczemu winni. Nie mają łączności ze światem. To byłoby ze wszech miar niewłaściwe. – Pochylił w pokorze głowę, a Kotielnikow, mimo że się tego wstydził, nie odpowiedział na prośbę Japończyka, tylko nawiązał do poprzedniej kwestii:

– Cieszył się pan wyjątkowym zaufaniem... – Przeciągnął ostatnie sylaby, lecz całość zdania wypadła jak kwestia w kiczowatym filmie szpiegowskim. Uświadomiwszy sobie to, admirał zaczerwienił się po swojemu, a Kaneyasu znowu to zauważył. Ten Rosjanin w swojej prostocie i naiwności był rozbijający.

– Tak się złożyło. – Skłonił głowę i postanawiając wrócić w stosowniejszym momencie do kwestii Takemitsu i jego zespołu, wyjaśnił

coś, co dla Rosjanina musiało być trudne do pojęcia. – Trzeba panu wiedzieć, że w Japonii zdrada jest bardzo trudną sprawą, choć w historii mieliśmy z nią do czynienia nader często. – Przyjrzał się twarzy admirała, ale nie zauważył w niej sprzeciwu ani zniecierpliwienia, więc ciągnął: – Człowiek z Zachodu zdradza, bo go przekupiono, bo chce rozegrać swoje interesy, bo nienawidzi. Japończyk zdradza, bo w sztuce wojny i dyplomacji zdrada jest klasyfikowana jako technika. Tak. Klasyfikowana i rozumiana na tym samym technicznym poziomie, co posunięcia strategiczne i elementy taktyczne. Japończyk zdradzi, bo przewiduje efekty zastosowania takiej taktyki i jej skuteczność na poziomie strategicznym. Trzeba więc mieć dobry powód. Ja go nie miałem. Do dziś. – Znów się uklonił. – Przyzna pan, admirale, że kara śmierci za wykroczenia, których się nie popełniło, to świetny powód do zdrady?

Kotielnikow nie odpowiedział, tylko pokiwał głową, a potem – uznając, że Japończyk dał wystarczający dowód chęci współpracy – spytał:

– Ma pan ochotę czegoś się napić?

– Wielką.

– Proszę w takim razie zorientować się w możliwościach tej szafy i coś sobie wybrać. Jeśli to panu nie zrobi różnicy, proszę sobie także przyrządzić trunek. Niespecjalnie znam się na alkoholach i ich mieszaniu, więc robi to pan lepiej ode mnie.

Kotielnikow rozsiadł się z zadowoleniem w fotelu. Początek został zrobiony. Obeszło się bez tego, o czym myślał zawsze z lękiem. Bez tortur, krzyków i gróźb w wykonaniu rzeźników z kontrwywiadu. Przecież nie ma powodu, żeby nie oddać temu miłemu człowiekowi szacunku. Kotielnikow nigdy nie pogardzał ludźmi – nawet wrogami, do których strzelał. Był w tym bardzo podobny do Kaneyasu. Japończyk nalał sobie jakiejś pospolitej whisky i grzecznie wrócił na miejsce, a admirał zrezygnował z odgrywania filmowych ról i zaczął ciepło:

– Widzi pan. Doszliśmy do porozumienia.

– Można tak powiedzieć – przyznał ostrożnie Kaneyasu.

– No więc, gdzie jest Sen-toku?

– I-405¹²¹ jest na 131° 51' 22" długości wschodniej i 37° 14' 18" szerokości północnej. Jeśli tam jeszcze jest.

Kotielnikow poderwał swoje wielkie ciało, aż coś zabolalo go w wiadomej okolicy, i powlócząc nogą, podszedł do ogromnej, rozpostartej prawie na całą ścianę mapy akwenu. Chwilę wodził po mapie, szukając skrzyżowania współrzędnych, a potem potrząsnął głową i zaczął metodycznie jeszcze raz. Współrzędne skrzyżowały się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzednio.

– Niech pan nie żartuje. Przecież to dwie nędzne skałki ledwo wystające z wody.

– Protestuję! – Kaneyasu przyjął pełną patosu, teatralną pozę, ale Kotielnikow przejął się na serio i nadstawił ucha. – Dokdo albo, jak pan chce po japońsku, Takeshima to naprawdę piękne miejsce.

– Daj pan spokój! – zaciętrzewił się admirał, a Kira próbowała oddać jak najlepiej kolokwialny szyk. – Gdzie pan tam ma kotwiczowisko albo choćby bunkier? Przecież to tylko dwa kamienie w morzu...

Kaneyasu był dobrym aktorem. Każdy kto ćwiczy *kenjutsu*, jest dobrym aktorem, choćby z tej prostej przyczyny, że elementy technik są wspólne dla obydwu sztuk. Aktorzy i szermierze poruszają się podobnie i potrafią być podobnie nieodgadnieni dla partnerów i przeciwników. Pokazują tylko to, co chcą pokazać. Komandor pokazał więc zadowolenie, wykorzystując ignorancję admirała:

– Czytywał pan Verne'a?

W twarzy Kotielnikowa błysnęło zrozumienie.

– Neeeeee! Naprawdę? Wydrążyliście skałę! – Admirał przypomniał sobie, że schrony okrętów podwodnych na Morzu Czarnym, w pobliżu Sewastopola, drążono już przed wojną w wysokim i miękkim wapiennym klifie. Co innego jednak wydrążenie poziomego stanowiska dla okrętu, a co innego wydłubanie dla niego przestrzeni w środku skały!

– Nie trzeba było niczego drążyć – wyjaśniał Kaneyasu. – To są dawne

stożki wulkaniczne. Puste jak... – przez chwilę szukał porównania zrozumiałego dla Europejczyka, ale nie znalazł, więc użył porównania japońskiego – jak te papierowe rybki koinobori przynoszące szczęście podczas święta Tangono Sekku. Trochę pracy zajęło nam poszerzenie wejścia. Ale poza tym wszystko było gotowe i czekało na przyjęcie „405”.

– Niesamowite! – szepnął Kotielnikow, który był wciąż dużym dzieckiem fascynującym się rzeczami, które takim wielkim chłopcom śnią się po nocy zamiast kobiet. – Co to jest koi-nobori? – spytał.

– Takie kolorowe ni to latawce, ni to proporce. Są kolorowe i mają kształt karpia. Wie pan, karp to w Japonii symbol odwagi i w ogóle wielkiej energii. Karp potrafi zdobyć się na wielki wysiłek, żeby osiągnąć swoje cele... Robi się to z papieru albo, jeśli kogoś stać, nawet z jedwabiu. Przyczepia się do tego białe i czerwone wstążki i złote wiatraczki. Potem na długiej tyczce mocuje się do dachu. Jak wiatr powieje, to te karpie wyglądają tak, jakby pływały. A są przecież tylko wydmuchane przez wiatr. Dla każdego chłopca w rodzinie wywiesza się takiego karpia. Ja też miałem swojego...¹²² – Nie dokończył zdania, bo nagle pomyślał sobie, że Kotielnikow jest jak taki wielki, uparty karp, który koniecznie chce osiągnąć rejon tarłowiska. Dopnie swego nawet wbrew swojej dobrej i życzliwej naturze.

– Mniejsza o karpie – przerwał Kotielnikow, bo zirytowało go nie wiedzieć czemu to, że ryba w jego pojęciu nadająca się tylko na stół, gnuśna i leniwa, ma być symbolem odwagi. – Jak tam wchodzicie?

Kaneyasu odpowiadał chętnie, zdając sobie sprawę, że bez systemu namierzania i jego pomocy nie wjechałoby tam nigdy. Chyba że kajakiem.

– Erupcja wulkaniczna i morze zrobiły swoje i niewiele trzeba było poprawiać. Tu trochę poszerzyć, tam wyprostować.

– Wchodzicie pod wodą? – entuzjasmował się admirał, który znów poczuł się jak chłopiec czytający *Tajemniczą wyspę*. Jego ulubionym bohaterem był inżynier Cyrus Smith, który potrafił zrobić wszystko z niczego. Małemu Siergiejowi nie przeszkadzało w wielokrotnym pochłanianiu ukochanej

powieści to, że wszystkie chemiczne, fizyczne i produkcyjne rozwiązania Smitha mają charakter podręcznikowy. I że zawsze wszystko Cyrusowi się udawało, choć w rzeczywistości powodzenie niejednego zamiaru mogło okazać się wielce problematyczne – choćby z uwagi na oczywisty fakt rozbieżności pomiędzy teorią a praktyką i oczywistą prawdę, że do zrealizowania czegokolwiek bardziej skomplikowanego od wbicia słupka w ziemię potrzebne jest doświadczenie wynikające z eksperymentowania i praktyki.

– Pod wodą. Na głębokości peryskopowej – odpowiedział Kaneyasu i wyjaśniał: – Z dwóch powodów. Po pierwsze, tunel leży pod powierzchnią morza. Do sklepienia jest ledwie kilka metrów. Dałoby się więc tam wpłynąć szalupą, ale z pewnością nie wielkim okrętem podwodnym w wynurzeniu. Po drugie, pod wodą można tam wejść nawet w dzień bez ryzyka wykrycia. Dlatego nie poszerzano przejścia. Nikt zresztą nie był pewien, czy kiedy zacznie się kuć albo rozsadzać skały na taką skalę, cała góra nie zwali się na głowę. Zrobiono więc wszystko bez zbędnego hałasu i przesunięć, minimalizując konieczność ściągania specjalistycznych, wielkogabarytowych maszyn, no i bez wysadzania większych partii skały.

– Dobrze, komandorze. To rozumiem, ale przecież powstał tam rodzaj bazy... terminalu. Tak duża jednostka musi dysponować zapleczem, warsztatami, zapasami, składami paliwa, smarów, amunicji...

– Zapomniał pan o samolotach – uzupełnił uprzejmie Toru. – Wymagają odrębnego zaplecza i składów. To wszystko tam jest. Żeby było ciekawiej – dla zachowania tajności projektu ani jeden kilogram zaopatrzenia czy materiałów nie został tam dostarczony na powierzchni. Wszystko przewieziono pod wodą, pod pokładami podwodnych okrętów transportowych, zaprojektowanych specjalnie do tego celu i zbudowanych w bardzo krótkiej serii. Załedwie cztery jednostki¹²³.

– Jak rozumiem – chciał znać kolejne szczegóły Kotielnikow – w środku tej pańskiej góry mieści się nie tylko Sen-toku, ale i taki transportowiec?

– Mieszczą się dwa – odpowiedział z dumą Kaneyasu, jakby

przestronność góry była jego zasługą.

– Wchodzicie oczywiście przodem? Ale chyba nie musicie wypływać tyłem. Jest tyle miejsca, żeby obrócić takiego wieloryba? Ile on tam ma?

– 122 metry – odpowiedział Kaneyasu i dodał zaraz kolejne wyjaśnienia, widząc, że wielki admirał słucha jego opowiadań z takim zapałem i chęcią, z jakim dzieci słuchają bajek: – Oczywiście, że nie dałoby się obracać okrętów silnikami i sterem, ale mamy tam całkiem sprytny system elektrycznych wyciągarek. Podajemy hole na okręt i potem wystarczy już tylko gracko nawijać i popuszczać liny. Najgorzej jest z wyjściem i trafieniem w tunel, bo przecież okręt nie ma miejsca, żeby nabrać prędkości. Dopóki nie trafi w dziurę i nie ustawi się w idealnej pozycji, trzymamy go jak kaczkę na sznurku i tylko trochę popuszczamy liny. Tunel jest na szczęście zupełnie prosty. Wyciągarka za pomocą holu przyczepionego do rufy utrzymuje go na prostym kursie. Gdy Sen-toku wyjdzie całkowicie z dziury, zwalnia zaczep i ma już wystarczającą prędkość, żeby wykonać kolejne manewry. Ale powiem panu, że ilekroć to robiłem, musiałem mocno ścisnąć zadek, żeby ze strachu nie popuścić w spodnie. To nie jest robota dla normalnych ludzi. Tylko niebezpieczny cyrk. Ale my nie jesteśmy... – Zastanowił się chwilę. – Nie byliśmy normalni. Byliśmy najbardziej trąconą w rozum bandą w całej cesarskiej marynarce. Choćby z tego powodu... – dodał widząc niedowierzające spojrzenie admirała – choćby z tego powodu, że to robiliśmy.

– Dobrze. – Po raz kolejny Kotielnikow wtrącił swój ulubiony przerywnik. – Niech pan mi w takim razie wyjaśni, dlaczego trzymano ten projekt w takiej tajemnicy i dlaczego w ogóle powstał Sen-toku... by tak rzec... poza oficjalnym programem.

– Mogę się tylko domyślać, ale choćby sam fakt, że pan, to znaczy Rosjanie, tak bardzo chcą mieć okręt, już wiele wyjaśnia. To nie jest zwykły okręt... Dowództwo wiązało z nim duże nadzieje. Mieliśmy wyeliminować możliwość przechodzenia amerykańskiej floty pancерnej i szybkich zespołów uderzeniowych przez Kanał Panamski.

– Bombardując śluzy? – wszedł mu w słowo Kotielnikow.

– Bombardując śluzy – potwierdził Kaneyasu i od razu zadał swoje pytanie: – Czy pan kiedyś widział te śluzy?

– No, na ilustracjach w pismach i w kronikach filmowych. Wyglądają imponująco, trzeba przyznać. Amerykanie, jak się rozpędzą, mają rozmach i zadęcie...

– Zadęcie? – poprosiła o powtórzenie Kira, która najwyraźniej nie знаła tego słowa. Po chwili je sobie przypomniała i gładko tłumaczyła dalej, uważnie przypatrując się mężczyznom. Obydwaj byli silni, ale każdy z nich reprezentował inny rodzaj siły. Rosjanin mógł zapewne rzucić słupem telegraficznym, chwyciwszy za piętę, ale Japończyk – nie tracąc nawet zbyt wielkiej dawki energii – zabiłby go bez problemu w ułamku sekundy. Co ciekawe, Japończyk doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a wielki Rosjanin nie. Wielki Rosjanin był przekonany, że jego wielkiej siły wystarczy do zrealizowania wszystkiego, o czym marzy, i przy okazji do zachowania swojej wielkości w jednym kawałku. Kira mogłaby zabić ich obu, choć zapewne z Japończykiem nie poszłoby jej łatwo, jeśli przez te jedenaście lat ćwiczył równie pilnie. Ale przecież nie ćwiczył zabijania, tylko swoje ukochane *iaido*. W którym forma najwyraźniej przerosła treść.

– No więc, żeby zrobić tym monstrualnym budowłom jakąś krzywdę – mówił Kaneyasu i widać było, że specjalistyczne wyjaśnienia sprawiają mu przyjemność – trzeba naprawdę dużego ładunku. Nasi specjaliści na podstawie symulacji obliczyli, że optymalne byłyby takie bomby, jakimi Anglicy załatwili „Tirpitz” w norweskich fiordach.

– Tona? – szepnął, uśmiechając się, Kotielnikow.

– Tak, byłyby najlepiej, gdybyśmy rzucali bomby. – Kaneyasu również się uśmiechnął. – Ale my, jak panu zapewne wiadomo, chcieliśmy to storpedować i bombardować jednocześnie, a mechanizmy torpedy, korpus, napęd, paliwo też swoje ważą. Więc dla ładunku wybuchowego zarezerwowano nośność rzędu 250 kilogramów. To też sporo, ale bomba o tej wadze tylko połaskotałaby śluzy. Ładunek wybuchowy torpedy działa

pod wodą, a to zmienia postać rzeczy. Woda jest, jak pan zapewne wie, zupełnie innym medium dla eksplozji i inaczej przenosi siły i ciśnienia. Ośmiusetkilogramowa bomba, zrzucona na grzbiet betonowej grobli, służy czy tamy, oczywiście narobi wiele szkód, ale musi się przebijać przez zbrojony beton wielometrowej grubości i zużyje na to większą część swojej energii. Lepiej zrzucić ją do wody blisko tamy. Wtedy fala uderzeniowa eksplozji, rozproszona w tak gęstym środowisku jak woda morska, zrobi to co trzeba i wszystko się wywali. Ale trzeba ją zrzucić naprawdę blisko tamy. Bombą nie można celować tak precyzyjnie z lotu poziomego, jak torpedą, którą wystarczy umieścić w wodzie, nadając jej kierunek. Przy tej wielkości obiektu można wycelować ją nawet „mniej więcej” w tę stronę co trzeba, a i tak trafi. Przecież słuza to nie szybki pancernik! Nie rusza się. Stoi w miejscu.

– I te samoloty? Seirany? Mogły ponieść taką bombę i torpedę?

– Mogły i niosły. Choć, jak sam pan rozumie, lepiej latały z torpedą, która ma doskonalszą aerodynamikę i rozkład mas. Bomba musi mieć siłą rzeczy bardziej zwarty kształt. Lepiej lata sama, po wyczepieniu. Jak stabilizowany kamień. A torpeda lepiej lata razem z samolotem. Bez samolotu też, ale ma niewiele do przelecenia, bo zrzuca się ją z niewielkiej wysokości. Z pewnością wasi specjaliści to przeanalizowali...

Kotielnikow uznał, że jeśli komandor tak chętnie odpowiada na pytania i rozwija kwestie nieprzynaglany, czas spytać o rzeczy najistotniejsze.

– Czy seirany poniosłyby większy ładunek?

Kaneyasu błysnął oczami i udał, że się zastanawia, a Kotielnikow dał się nabrać i nie ponaglał Japończyka. Kirę ich harce zaczynały wciągać na serio. Poczula szczególny rodzaj podniecenia. Pomyślała, że byłoby nieźle przetestować także Rosjanina.

– O ile większy? – Kaneyasu udał zdziwienie i zaskoczenie.

– No, powiedzmy, z półtorej tony! – wypalił Kotielnikow, jakby dał salwę z „czterystaszóstek”¹²⁴.

– Wykluczone! – odpowiedział bez wahania Kaneyasu, żałując, że nie ma

koło niego Sakamoto. Ten wsiadłby od razu na swojego konia i zarzucił Rosjanina argumentami. Można by mieć z tego niezły ubaw.

– Powody? – lakonicznie spytał admirał.

– Moc – odpowiedział Kaneyasu i wyjaśniał: – Samolot, który ma nosić ciężary, jest jak zawodnik podnoszący sztangę. Inne możliwości ma ktoś, kto waży więcej, bo jego mięśnie są większe, inne ktoś w niskiej kategorii wagowej. Seiran i tak jest wyjątkowy. Z silnikiem raptem 1400-konnym dźwiga ciężary zarezerwowane dla zawodników wyższej wagi. I jakoś mu się to udaje. Ma dobrą szybkość, zasięg i wznoszenie, ale to kres jego dobrze zaprojektowanych możliwości. Dodajmy mu sto kilogramów, zabierzmy strzelca – czyli siedemdziesiąt kilogramów – i jego broń – pięćdziesiąt. Będzie latał. Ale siedemset kilogramów więcej? Prawdopodobnie w ogóle nie wystartuje z pokładu. Jak zawodnikowi podnoszącemu ciężary dołożymy drugie tyle do jego życiowego rekordu, to też nie wstanie z podłogi.

– Czyli trzeba by dołożyć drugie tyle mocy? – spekulował Kotielnikow.

– W mojej opinii, może nawet nie, bo to prawie trzy tysiące koni, a w chwili, gdy wsadzano mnie za kraty, takie silniki jeszcze chyba nie istniały. Myślę, że dwa i pół tysiąca – nasi silnikowcy mieli już na deskach takie projekty – w zupełności by wystarczyły.

– A płatowiec by wytrzymał? – Admirał miał wątpliwości.

– Moc musi ważyć. Więc pewnie trzeba by wzmocnić albo przeprojektować zawieszenie silnika. Moc zwiększa osiągi, toteż pewnie trzeba by wzmocnić albo przeprojektować płatowiec. Ale w mojej opinii wzmocniony seiran dałby sobie radę z takim motorem i pewno latałby wspaniale.

– No to pięknie. – Kotielnikow zatarł z zadowoleniem dłoń, po czym podniósł swoją szklaneczkę i zaproponował toast: – Za seirana!

Kaneyasu uprzejmie podniósł także swoje naczynie i odpił odrobinę, ale nic nie mówił. Kotielnikow obtarł usta grzbietem dłoni, jak muzyk pijący wódkę w karczmie. Zrobił to specjalnie. Chciał jakoś podkreślić, że

wszystko zaczyna układać się po jego myśli.

– W takim razie popłynie pan do swojej bazy po okręt – wypalił, a Kaneyasu podniósł brwi:

– A niby po co?

– Będziemy musieli przebazować Sen-toku do Władystoku. Trzeba to oczywiście zrobić nocą. Przygotujemy mu tu kryty hangar. Każę zadaszyć suchy dok dla krążowników i nikt z góry niczego nie wypatrzy. Poprowadzi pan okręt. – Kotielnikow wydał ten rozkaz dumnie niczym Uszakow komendę do ataku na Turków.

Kaneyasu uśmiechnął się ironicznie.

– Sam? Mam biegać od steru do diesla?

– Ależ skąd! – Kotielnikow był esencją optymisty. – Dam panu ludzi.

– Pańskich podwodników? – zapytał z powątpiewaniem Toru. – Na pewno są świetni, ale nie na tym okręcie. Sen-toku to specyficzna konstrukcja.

– Daj pan spokój! – Kotielnikow znów używał kolokwialnego szyku, a Kira oddała ton jego odzywki najlepiej, jak umiała i Kaneyasu zrozumiał, że admirał nie zawsze potrafi nad sobą zapanować. – To świetni specjaliści. Dam panu najlepszych.

– W takim razie poproszę o samych oficerów. Specjalistów działów. Będę potrzebował... – zastanowił się chwilę – nawigatorów, silnikowców, torpedystów, mechaników, łącznościowców, akustyków. Wszyscy powinni dobrze znać angielski. Jak inaczej mam nimi dowodzić? Aha. Nie mniej niż po pięciu ludzi na dział.

– Oficerów? Z angielskim? – upewniał się Kotielnikow, myśląc, że będzie musiał jak najszybciej ściągnąć specjalistów z wszystkich flot. To dopiero będzie załoga! – Dostanie pan. A ci ludzie z bazy... Nie mogliby się przydać?

– Do prowadzenia okrętu nie, ale jeśli pan chce pracować nad Sen-toku tu, to będą niezbędni. Właśnie, czy...?

Kotielnikow zorientował się, o co chce spytać komandor.

– Tak. Baza musi być gotowa. Zostawimy tam naszych ludzi, a część swoich specjalistów... Tych, których uzna pan za najbardziej przydatnych tu na miejscu, przywiezie pan ze sobą.

– Co się z nimi potem stanie? – Kaneyasu uznał, że czas załatwić interesy starego Takemitsu i jego zespołu.

Kotielnikow zastanowił się chwilę.

– Jeśli tam są i siedzieli tyle czasu i czekali, to powinni być zadowoleni z odmiany losu. Jak rozumiem, chciałby pan dla nich gwarancji? – I nie czekając, aż Kaneyasu potwierdzi, odpowiadał na własne wątpliwości: – Przez pewien czas nie będą mogli wrócić do kraju, ale zarobią tu bardzo dobre pieniądze. Będę im płacił w dolarach albo we frankach szwajcarskich. Po kilku latach każdy dorobi się małej fortuny. Niczego do końca nie mogę panu gwarantować... Mam spore plenipotencje, ale nie jestem wszechmocny. Zresztą, jeśli pan nie przyjmie w ich imieniu tych warunków, wystrzelamy ich co do jednego... – oznajmił, wstydząc się po raz kolejny, bo przedstawiał zamiary, których nie akceptował. Kaneyasu pokiwał poważnie głową.

– Rozumiem. Pana słowo mi wystarczy, bo czuję, że jest pan uczciwym człowiekiem. Najważniejsze, żeby nie skończyli w obozie albo pod ścianą. Proszę uznać, że zwerbuję ich dla pana, ale pana to też zobowiązuje... – Zawiesił głos, czekając na reakcję Kotielnikowa. Admirał zasepił się. Jego wszechwładza nie była tak doskonała, jak by sobie tego życzył. Pomyślał chwilę i postanowił wziąć los kilkudziesięciu Japończyków na swoje sumienie.

– Dobrze. Daję panu słowo. Nic im się nie stanie, ale przez pewien czas nie będą mogli wrócić.

– To znaczy przez jaki czas? – chciał wiedzieć Kaneyasu.

– Teraz tego panu nie powiem. Nikt nie wie, jak rozwinie się sytuacja. Dziś mogę panu powiedzieć, że nie mniej niż pięć lat.

– Zgoda – z ciężkim sercem przystał Kaneyasu. Dla Takemitsu i jego ludzi pięć lat było z pewnością lepszą propozycją, niż kulka. – Kiedy mamy

wypłynąć?

– Spokojnie. Panie komandorze. – Kotielnikow wstał i przeszedł się po gabinecie. – Zebranie ludzi, o których pan prosił, zajmie mi kilka dni. Najważniejsze, że wiemy, co robić. Ściągnę też najlepszych specjalistów od silników i płatowca. No i oczywiście pilotów. Trzeba się będzie nauczyć dobrze latać tym pańskim seiranem.

– Chce pan bombardować Kanał Panamski? – ironizował Japończyk.

– Może – skwitował Kotielnikow i dodał: – Pani popłynie z panem. Jako asystentka i tłumaczka.

Kaneyasu nie odważył się porozumieć wzrokiem z Kirą, ale ucieszyła go ta decyzja. Kotielnikow promieniał.

– Teraz zajmą się wami moi oficerowie. Dostaniecie kwatery, oczywiście strzeżone, i wszystko, co uznacie za niezbędne.

Pani – admirał skłonił się przed Kirą – powinna kupić sobie trochę rzeczy. Proszę. – Wyjął z szuflady i podał jej plik talonów do wojskowego sklepu. – Przecież nie może pani wiecznie paradować w tym stroju. Jeśli pani pozwoli, zgłosi się do pani moja zaufana znajoma i pomoże wybrać rzeczy. Pan też, panie komandorze, nie powinien pokazywać się w tych aresztanckich ciuchach. Śmierdzi od nich więzieniem na kilometr. Zgłosi się do pana mój adiutant. Powinien pan nosić oficerski mundur naszej marynarki. Oczywiście z odpowiednimi dystynkcjami. Tak będzie najlepiej. Gdybyście państwo potrzebowali czegoś szczególnego, proszę dać znać oficerom dyżurnym.

Kaneyasu przestał dumać, słysząc cmoknięcie jadącego do góry peryskopu. Rosyjski dowódca szeroko rozstawił nogi i wypiął zadek, jak przy grze w salonowca. Lustrował przez chwilę to, co działo się na górze, przed dziobem „XV”, a potem z wypiętym zadkiem obszedł tunel peryskopu wokoło, najwidoczniej sprawdzając sektory. Nie odrywając głowy od wymoszczonego gumą okularu, powiedział coś, czego Kaneyasu nie rozumiał. Brzęczenie silnika elektrycznego stało się ledwie słyszalne i okręt zwolnił. Potem rosyjski dowódca zwrócił się do Kiry, a ta

przetłumaczyła komandorowi polecenie:

– Mówi, żebyś się przygotował. Za chwilę się wynurzymy. Mówi, że na górze wieje i że jest spora fala.

Tego jeszcze tylko brakowało – pomyślał Kaneyasu. Zaszumiały balasty i okręt zaczął się wynurzać. Musiało rzeczywiście nieźle wiać, bo kadłub powtórzył pierwsze ruchy powierzchni jeszcze pod wodą. Rosjanie sprawnie ciągnęli zwinięte flaki pontonów przez włazy, poganiani komendą, w której Kaneyasu nie słyszał groźby, a jedynie zabawny ton, całkiem, jak mu się zdawało, niestosowny w tej sytuacji. Równie chętnie i wesoło taszczyli rzeczy, które wcale nie wydały się komandorowi zabawne: kilka talerzowych erkaemów ze złożonymi wzdłuż lufy nóżkami podstawek i skrzynkę granatów.

– Po co to? – rzucił w stronę Kiry, ale dziewczyna udała, że jest zajęta wtykaniem włosów pod czarną chustę, i nie przetłumaczyła pytania. Zrozumiał, że nie należy go ponownie zadawać. Pytanie miał za to rosyjski kapitan.

– Mówi, że jest wyjątkowo ciemno, a w dodatku pada. Mówi, że ledwie widać skały. Pyta, czy trafisz w takich ciemnościach i czy w razie czego będzie mógł użyć reflektora.

– Powiedz mu, że trafię, ale jak będzie trzeba, to poświeci. W taką pogodę chyba nikt tu się nie pęta? – Kaneyasu podrzucał kolejne kwestie, a siebie zapytał, czy rzeczywiście nikt, ale uznał po chwili, że to nie jego problem.

Na górze było istotnie wyjątkowo paskudnie, ale Kaneyasu był zadowolony, że oddycha świeżym powietrzem. Złapał za osłonę kiosku i dociągnął pod szyję zamek kombinezonu z gumowanego brezentu. Rosjanie – niebezpiecznie ślizgając się na mokrym pokładzie, przez który przelewały się krótkie, złośliwe fale – kończyli nadmuchiwanie czterech dziesięcioosobowych pontonów, montując mozolnie kratki podłóg i mocowanie silników. Spojrzał w stronę skał. Mimo dostrzegalnych nawet w takich ciemnościach groźnych, białych pasm świadczących o sile, z jaką

fale rozbijały się o ich podnóże, skały wydały mu się swojskie i zatęsknił za tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w środku.

– Macie tam jakiś przyzwoity lokal i dobre łóżka? Marzę o tym, żeby się w końcu porządnie wyspać. Myślę, że w środku góry to się powinno udać.

Kira nie przejmowała się ani stanem morza, ani zacinającym pod ostrym kątem i wdzierającym się pod kapiszony kombinezonów deszczem. Zwinnie pokonała stopnie drabinki na ścianie kiosku. Kaneyasu naśladował ją bez entuzjazmu. Gdy stanął na pokładzie, spojrzał w górę. Rosyjski dowódca patrzył na niego, osłaniając oczy dłonią. Rosjanie sprawnie wodowali pontony i tylko jeden człowiek znalazł się za burta, ale szybko go wyciągnięto. Dwóch marynarzy, balansując na podskakującym jak spławik pontonie, i dwóch z załogi „XV” wstawiło jego i dziewczynę do pontonu i po kilkadziesiąt sekundach cztery gumowe łodzie znalazły się kilkanaście metrów od ciężko pracującego na fali kadłuba okrętu. Jeden po drugim zaskakiwały silniki i wbrew temu, co sądził komandor, nie było z tym żadnych problemów. Kaneyasu, klęcząc na śliskim dnie łodzi i wyczuwając kolanami i ciałem gwałtowny ruch wody pod cienką warstwą tkaniny, obejrzał się za siebie. Rosyjski dowódca wciąż dzielnie tkwił w kiosku swojego okrętu. Japończyk widział tylko ciemny kontur jego głowy i dłoni kiwającą na pożegnanie. Pewnie mu się tylko tak wydawało, ale wyczuwał w tym serdecznym z założenia geście ironię i współczucie. Odwrócił głowę i dotykając ramion, piersi i barków Rosjan, mozolnie przelazł na rufę, gestem prosząc o przekazanie drążka sterowego zakończonego motocyklową manetką. Siadł wreszcie z drążkiem pod pachą spocony i mokry, pokręcił ostrożnie manetką, próbując zbadać możliwości silnika. Potem zamknął na chwilę oczy i pomyślał o tutejszych bóstwach władających wodą i powietrzem, a potem zdecydowanie odkręcił gaz i gdy żwawo reagujący na przepustnicę silnik wszedł gderliwie na obroty, Kaneyasu, patrząc na grzbiety fal, zatoczył łodzią łagodny łuk i rozpoczął podejście z taką pewnością, jak robił to kiedyś prowadząc Sen-toku.

Trzy pozostałe łodzie posłusznie i sprawnie powtórzyły jego manewr.

Gdy minęli zachodni cypel, wiatr dmuchający w plecy przestał przeszkadzać w utrzymaniu pontonu na kursie. Pomiedzy skałami było spokojniej i Kaneyasu mógł wykonać wzorowe podejście. Kiedy wchodzili do czarnej, nisko sklepionej skalnej bramy tunelu, zredukował obroty i poprosił:

– Ki! Powiedz, żeby poświecili. Ciemno tu, jak w... – Nie znalazł dobrego porównania i z ciekawością obserwował wolno przesuwające się sklepienie. Po raz pierwszy miał okazję dokonywać obserwacji z tak bliska. Wewnątrz tunelu woda była zupełnie spokojna, a w świetle ręcznych akumulatorowych reflektorów wydawała się czarna i oleista. Jakby pokryto ją ropą. Nisko sklepione ściany odbijały wielokrotnym echem dudnienie silników. Gdyby wstał, mógłby dotknąć dłonią którejś z umieszczonych co kilkanaście metrów podsufitowych lamp w kloszach zabezpieczonych drucianą siatką. Woda była wyjątkowo wysoka. Rosjanie z ciekawością rozglądali się wokół, ale niewiele tu było do podziwiania, prócz wystającego z wody wzdłuż ścian oślizłego opalowania zabezpieczającego kadłub Sen-toku przed zbyt gwałtownym kontaktem ze ścianami. Konstrukcja sprawiała solidne wrażenie, a zakonserwowane specjalnymi żywicami drewno trzymało się dobrze. Kaneyasu jeszcze bardziej zmniejszył obroty, a gdy spojrzeli na niego, położył palec na ustach i gestem dłoni dał znak, by wyłączyli reflektory. A potem szepnął w ciemność przed dziobem już całkiem cicho i być może słyszała go tylko Kira:

– To ja. *Onimikado*¹²⁵. Wróciłem.

Demonów w bazie nie było i nikt do nich nie strzelał. Było za to ciemno i wydawało się, że to ciemność absolutna i że ciemniej już być nie może. Jednak Kaneyasu pewnie wyprowadził ich z tunelu – co bardziej poczuli, niż zauważyli – bo nagle ściany przestały na nich napierać. Potem z przodu, gdzieś daleko, ciemność stała się mniej nieprzenikniona. Już bez oglądania się na komandora popłynęli więc w tę stronę, budząc mruzeniem czterech silników i pluskiem oleistej, spokojnej tafli partej

tępymi jak u delfina butelkonosa dziobami rozliczne echa – niespokojne i zwielokrotnione przez odległe ściany, których nie widzieli. Ciemność była olbrzymia. Tak ogromna, że nie śmieli przepędzać jej reflektorami. Płynęli teraz wzdłuż betonowego pirsu, na którego odległym o kabel końcu pełgało delikatne światełko. Po drugiej stronie pirsu nagle, niczym smok w jamie, objawił się pancerny i monstrualny kadłub Sen-toku. Gigantyczny okręt leżał cicho, jakby spał, ale Kaneyasu od razu wyczuł, że Sen-toku nie jest trupem. Po pewnym czasie mogli już wyodrębnić z ciemności podświetloną na pomarańczowo, zgarbioną nad pełgającym kagankiem skurczoną postać. Ktoś na końcu pirsu najwidoczniej łowił ryby! Gdy podpłynęli jeszcze bliżej, usłyszeli słowa piosenki. Rosjanom niczego one nie mówiły, ale Kaneyasu i Kira słuchali z natężoną uwagą, starając się wyłowić sens. Starczy, załamujący się głos śpiewał:

*Gdy idziesz po lesie
nie bądź zbyt radosny.
Choć ptaki śpiewają
I dzień jest jasny,
Nie obudź czasem
Ducha dziewczyny.
Leży pod dębem,
Bo tyś ją rzucił...
Gdy ścinasz drzewo,
Nie gadaj za głośno,
Choć świt dopiero
I jasne niebo.
Pewno w tym drzewie
Duchy innych dziewczyn
Od dawna czekają
Na twoją radość,
Gdy zauważysz
Małą świątynię*

*W gąszczu, gdzie rzadko
Stopa ludzka błądzi,
Uważaj, nie musisz tam właśnie
Podchodzić...
Modlitwę usłyszają także
W twoim sercu -
Uważaj...*

Kaneyasu jednym ruchem wyłączył silnik i gwałtownie obrócił drążek sterowy, kierując ponton w stronę najbliższej drabinki z klamer. Po chwili był na górze i biegł w stronę starca. Takemitsu siedział na swoim ulubionym rozkładanym stołeczku. Przed nim wesoło paliła się gliniana, olejowa lampka, taka, jaką pali się przed ołtarzem. W składanym brezentowym kubelku pełnym wody kotłowały się białe, ślepe ryby bez oczu. Komandor nigdy takich nie widział.

Przykucnął przy starcu i szepnął z tkliwym wyrzutem:

– Panie Takemitsu!

Takemitsu nie odwracając głowy, jakby od dawna spodziewał się przybycia Kaneyasu w tej właśnie chwili, powiedział:

– Wszystko działa. Wszystko jest na chodzie. Wystarczy przełożyć dźwignię. Dużo pracy. Cały czas praca. Dla jednego człowieka to za dużo. Ale wszystko działa. Wszystko jest na chodzie. Wszystko jest nasmarowane. Codziennie uruchamiam silniki. Nic nie zerdzewiało. Zapasy też są całe. Za dużo pracy dla jednego człowieka. Za dużo.

Rosjanie z pontonów wyładowywali się na pirs i po chwili otoczyli ich kręgiem. Nie kryli zdziwienia. Takemitsu był czysty i zadbany, a na jego drelichowym kombinezonie nie było ani jednej plamki. Był zupełnie siwy i wzorem Tsuji Getana¹²⁶ zapuścił wielką, długą do połowy pleców grzywę i całkiem biały zarost.

– Panie Takemitsu! – Kaneyasu gwałtownie opadł na kolana obok inżyniera. Położył dłoń na jego przedramieniu i poczuł drobne przesuwane się pod palcami włókna starczych mięśni. – Panie

Takemitsu! Gdzie są wszyscy?

Takemitsu odwrócił wzrok od ciemnej tafli i popatrzył badawczo na komandora, a ten wyczytał w jego spojrzeniu cień szaleństwa.

– Wszyscy? – powtórzył bezmyślnie Takemitsu. – Wszyscy dorwali się do morfiny. Jakiś dureń przysłał tego o kilka skrzynek za dużo. I nie wiadomo w ogóle po co. Podejrzewam, że specjalnie zamówił to felczer. Czekaliśmy cierpliwie. Trochę piliśmy, ale wszystko było pod kontrolą. Organizowałem im czas, jak umiałem. Konserwacja. Bieżące utrzymanie. Wieczorynki. Popijawy. Zabawy. Zrobiliśmy nawet kilka ulepszeń. To byli zdolni ludzie. Potem któryś odkrył te skrzynki. Bodajże ten nasz felczer. Nie tyle może odkrył, co szukał kompanów do swoich morfinowych szaleństw. Wie pan, tak się zawsze dzieje, jak nie ma kobiet. I celu. I tylko się czeka nie wiadomo na co. I zaczęło się. Wie pan, kapitanie. – Takemitsu nieodmiennie nie używał należnego komandorowi tytułu. – Z nudów próbuje się wszystkiego. To akurat im się spodobało. Bardzo. Nigdy nie używałem tego świństwa. Moim jedynym narkotykiem, jak pan wie, były piękne doskonałe maszyny. Trochę sake. Przez pierwsze tygodnie nie mogłem zrozumieć, co się dzieje? Byli weseli i pobudzeni. Z własnej woli pracowali dłużej. Pierwsze tygodnie to była euforia. Potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Zatracali instynkt samozachowawczy. Jakby im przestało zależeć na życiu. Potem łączyli się w dziwne pary albo trójki. Prowadzali się po bazie objęci wół, jakby zupełnie im odbiło. Często napotykałem ich w takich sytuacjach... Nie myślałem, że coś takiego jest w ogóle między mężczyznami możliwe. Nie mieli już żadnych zahamowań. Te rzeczy i morfina pochłonęły ich zupełnie. Musiałem przejąć ich obowiązki, bo wszystko by stanęło. Wreszcie któregoś dnia... proszę sobie wyobrazić, panie Kaneyasu... Kucharz przyszedł do mnie, żeby poinformować, że w piekarniku czeka na niego diabeł. Zmusił mnie nawet, żebym poszedł z nim do kuchni i otworzył ten piekarnik. Sam za nic nie chciał tego zrobić. Trząśnięcie się ze strachu. Wie pan, kapitanie, że wiele rzeczy w życiu widziałem, ale stałem przed tym piekarnikiem z pięć minut, zanim go

otworzyłem... Diabła tam oczywiście nie było, ale odtąd ja też zacząłem widzieć więcej niż przedtem. Cienie ruszały się inaczej. Wszędzie dostrzegałem jakieś owady, ćmy, pająki... A, jak pan wie, nie znoszę robactwa. Więc zacząłem wszystko flitować. Wszystko naokoło... Potem zrobiło się jeszcze gorzej... Gdy mieli dość miłości i orgii nad wodą, zaczęli się mordować... zaczęli ze sobą walczyć. Nie wszyscy, bo część pograżyła się w apatii. Leżeli na pryczach i nawet nie chciało im się wstać, żeby coś zjeść. Ci, co walczyli, robili to jakoś tak nieporadnie, ale skutecznie. Mnie nikt nie ruszał, odkąd ten od piekarnika ogłosił pozostałym, że to ja jestem tym diabłem. Bali się mnie czy co? Chowałem ich jednego po drugim. No i została nas ledwie garstka. Reszta leży w szpitalu. Nie chce im się wstawać. Muszę ich karmić, jak dzieci... – Take-mitsu w ogóle nie zwracał uwagi na stojących kręgiem Rosjan, którym Kira cicho tłumaczyła to, co mówił inżynier, i Kaneyasu zrozumiał, że Akira nie jest już tym człowiekiem, którym był. Przebywanie z duchami morfinistów najwidoczniej poprzestawiało mu coś w głowie, choć mówił całkiem dorzecznie: – Wykończyli się w ciągu roku. Nie sposób było nad tym zapanować.

– Rozumiem. – Kaneyasu znów pogładził ramię staruszka, wyobrażając sobie, co przeżył Takemitsu, ale nie powstrzymał się przed zadaniem pytania:

– Gdzie oni są, panie Takemitsu?

Akira odłożył wędkę i wspierając się na ramieniu wciąż klęczącego komandora, ciężko stanął na nogi. Potem przeszedł kilka kroków w stronę budynków bazy, a ponieważ zaczęła przykrywać go ciemność, Rosjanie zapalili swoje reflektory, wydobywając z ciemności migotliwe płachty cieni. Takemitsu odwrócił się, by upewnić się, że za nim idą, a potem zachęcająco pokiwał dłonią. Szedł wolno, z trudem przedstawiając stopy, i orszak siłą rzeczy posuwał się równie wolno. Przededefilowali wzdłuż studwudziestodwumetrowego kadłuba, a na tym końcu pirsu, w którym betonowy peron łączył się z lądem, zobaczyli kilkanaście ustawionych

porządnie beczek, w których przechowywano olej silnikowy. Takemitsu oparł dłoń na pierwszej z brzegu i odwracając się do swojego audytorium, oświadczył tonem tak obojętnym, jakby wygłaszał pogadankę w szkole technicznej:

– Tu są – oświadczył. – Wszyscy prócz jednego, który rzucił się do wody, bo chciał wplaw wrócić do domu. Nie wypłynął, więc może mu się udało... – rozchichotał się niespodziewanie.

Kaneyasu z podziwem popatrzył na beczki.

– Zalutowani? – spytał cicho, jakby się bał, że martwa załoga bazy go usłyszy.

– Tak, panie kapitanie. Zaspawałem ich palnikiem. Żaden z nich nie wylezie, żeby się dalej szprycować i zatruwać mi życie. Najpierw chciałem ich powrzucać do wody, ale dałem spokój. Pewnie pływaliby mi tu pod nosem. Obijali się jeden o drugiego. Kombinowali. A tak stoją sobie spokojnie i czekają. Kto to są ci ludzie? – wskazał na Rosjan i Kirę stojących kręgiem niczym żałobnicy mający zaśpiewać panichidę przy reflektorach zamiast gromnic.

– Dobrze pan zrobił, inżynierze. – Kaneyasu puścił ramię Takemitsu i powiódł ciężkim wzrokiem po kręgu Rosjan. Nie dostrzegł kpiny ani lekceważenia. Najwidoczniej Kira wytłumaczyła im, o co chodzi. – Dobrze pan zrobił, ale trzeba ich będzie porządnie obciążyć i spuścić tu, w krypcie, na dno. Nie mogą marzyć o lepszym miejscu. Nikt im tu nie będzie przeszkadzał. Nie będą pana dręczyć. Pan nie mógł im pomóc. Nie mają do pana pretensji. A gdyby chcieli wyleźć, wyślemy ich z powrotem do piekła. – Kaneyasu mówił to całkiem serio, myśląc, że rola *Onimikido* mu odpowiada. Dawała władzę nad dwoma światami i satysfakcję z poczucia siły ofiarowanej przez obydwie światy.

Nikt tego nie mógł wiedzieć, ale komandor postanowił, że nigdy już nie dopuści do tego, by upiory przedostawały się na ludzką stronę. Także do tego, by ludzie wkraczali w świat upiorów. Pomyślał jeszcze, że ktoś, kto podejmuje nawet w myślach podobne zobowiązanie, nie jest całkiem

normalny i że szybko znajdzie wspólny język z oszalałym inżynierem, który zakosztował życia wśród upiorów.

– To, panie Takemitsu, Rosjanie – odpowiedział w końcu na pytanie inżyniera. – Są ze mną. To specjaliści. Podwodniacy. Nie musi się pan ich bać. Przeciwnie. Proszę im zaufać i mówić wszystko, czego zechcą się dowiedzieć o Sen-toku i bazie. Ta pani, panie Takemitsu, to Kira. Będzie tłumaczyć to, co pan będzie mówić moim przyjaciołom z Rosji. Wygląda jak biała, ale urodziła się w Japonii. Może jej pan zaufać.

Takemitsu zabrał dłoń z najbliższej beczki i odwrócił się stroną kręgu żałobników. Spytał rzeczowo:

– Co chcecie zrobić? Pan i pańscy Rosjanie?

Kaneyasu uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ruszymy go, panie Takemitsu. Ruszymy z barłogu i wyprowadzimy na ocean. Znowu będzie pływał. A pan popłynie z nami...

Przedmieścia Osaki, dom Katsuo Sakamoto, styczeń 1948

Było mu zimno i źle. Zimowy wiatr wciskał się w szczeliny starego domu. W zasadzie została tylko połowa. Druga zawałiła się od podmuchu bomby, która walnęła w sąsiedni kwartał. Żeby podnieść z ruiny tę połówkę, trzeba by mieć znacznie więcej pieniędzy. Ale jak tu mieć znacznie więcej pieniędzy w czasach, w których ceny w ciągu roku wzrastają nawet szesnaście razy *. (** Tak było w 1946 roku, kiedy to napływ pieniędzy bez pokrycia z wojennych oszczędności, wypłat żołdu zdemobilizowanym żołnierzom i pieniędzy wypłacanych przez rząd prywatnym przedsiębiorcom jako odszkodowania spowodował katastrofalną inflację.*) I tak dobrze, że miał pracę. Większość jego znajomych z lotnictwa marynarki była jej pozbawiona. Miał szczęście, że nie wylądował na ulicy z miseczką.

– Ito! – krzyknął w głąb domu, ale musiał zawołać jeszcze kilkakrotnie,

nim raczyła się pojawić, poprawiając wysuwające się spod chusteczki włosy. Włosy były piękne. Czarne i połyskliwe, wpadające w odcień głębokiego granatu. Długie i sztywne. Sakamoto lubił je rozczesywać. Te włosy i niekrzykliwa uroda sprawiły, że przygarnął Ito, a nawet płacił jej regularną niewielką pensję za nieskomplikowane domowe usługi. Zobaczył ją, gdy wracał z drugiej zmiany w browarze, i pomyślał, że szkoda. Siedziała na moście i wyglądała tak, jakby za chwilę miała podjąć jakąś decyzję. Spoglądała niespokojnie na boki i zaciskała drobne, blade wargi dziecinnych ust. W takich czasach decyzje mogły być tylko dwie – albo rzucić się do rzeki, albo zacząć zaczepiać przechodzących mężczyzn. Miała jeszcze całkiem porządne ubranie, ale jej determinacja mówiła wiele. Wyminął ją, ale tknięty mrocznym wyrazem jej twarzy zawrócił i stawiając kołnierz płaszcza na sztorc, bo na odkrytej przestrzeni wiatr był wyjątkowo złośliwy, spytał, czy nie szuka pracy. W pierwszym odruchu odwróciła się od niego gwałtownie w stronę rzeki, ale to, że był starannie ogolony i miał dobre oczy, skłoniło ją do ukradkowego uśmiechu i zajrzenia pod rondo jego sfatygowanego kapelusza.

– Co miałabym robić? – W pytaniu zabrzmiała nadzieja, ale i lęk.

Wsadził ręce głęboko w kieszenie płaszcza.

– Prowadzić mi dom. Mieszkam sam. Pracuję na trzy zmiany. Potrzebuję służącej. Nie mogę dużo zapłacić, bo sam niewiele zarabiam, ale będziesz miała jedzenie i dach nad głową. Widzę, że u ciebie niewesoło? – Uśmiechnął się.

– Będę musiała z panem spać? – spytała z niepokojem, a Sakamoto uświadomił sobie, że dziewczyna ma najwyżej siedemnaście lat.

– Zastanowię się, ale najpierw musimy cię trochę podtuczyć, bo teraz chyba nie znalazłbym cię w łóżku. – Żart okazał się dobrym rozwiązaniem, gdyż spojrzała na niego jaśniejszymi oczami.

– Jeszcze tego nie robiłam, więc pewnie nie byłby pan zadowolony, ale umiem dobrze gotować. Babcia miała taki mały bar z *okonomijaki*...

– Chodź. – Sakamoto wziął dziewczynę pod ramię. – Nie powinnaś tu

sterczeń. Pewnie już przemoczyłaś nogi? – Spojrzał na jej stopy w sfatygowanych półbucikach, czarnych od wilgoci. Na ich podbiciu topniały kryształki grudniowego, mokrego śniegu. – Babcia ci nie mogła pomóc? Nie masz gdzie mieszkać?

Wyczuwając, że jest zziębnięta, zdjął z szyi długi wełniany szal, prezent od jakiejś przedwojennej narzeczonej, i otulił nim jej ramiona. Potem, przeliczywszy w myślach swoje zasoby, kiwnął na rikszarza. Tuląc się do niego pod budą rikszy, powiedziała, że babcia spłonęła razem ze swoim barem, a ona wegetowała przez trzy lata w rządowym przytułku dla sierot wojennych. Jedzenia było tyle, by nie umrzeć z głodu, ale organizowano im nawet jakieś lekcje. Pewnie tkwiłaby tam dalej, ale zaczął się do niej dobierać jeden z wychowawców, więc uciekła i wylądowała na moście.

Tego pierwszego pamiętnego wieczoru to Sakamoto był służącym. Dziewczyna była tak przemarznięta, że postanowił zaszaleć i resztką drewna napalił w *o-furo*. Rozgrzaną kąpielą i ubraną w najcieplejsze kimono ulokował na własnych futonach i własnoręcznie naciągnął na jej drobne stopy o długich kształtnych palcach swoje marynarskie, białe wełniane skarpety z niezacerowanymi dziurkami na piętach. Potem ugotował ryż i z przyjemnością patrzył, jak je. Zasnęła momentalnie z pałeczkami w dłoni, a on tulił ją przez całą noc, uważając, by nie dotknąć pełnych piersi, szczęśliwy jak nigdy dotąd. Została, a on, chociaż od tego czasu upłynęło kilka tygodni, nie zmuszał jej do niczego. Spała w pokoju rodziców i przyrządzała pyszny ryż (wtedy oczywiście, kiedy go mieli).

Mówili sobie dużo. On powiedział, że ten sam podmuch, który zawałił połowę domu, zabił także jego rodziców. I że na ich pogrzeb poszła większa część zaległego zółdu, który wobec rozmiarów inflacji i tak okazał się śmieszną sumą. Wyznał jej, że był przed wojną inżynierem lotniczym i pewnie dlatego dostał pracę w browarze. Nie cierpiał swego zajęcia, choć zapewniało regularne dochody i nie musiał nawet pracować fizycznie, a jedynie nadzorować urządzenia do podgrzewania pary. Zarządowi starego browaru, w którego gnijących drewnianych budynkach administracyjnych

pomieszczono także tani hotelik, najwidoczniej nie przeszkadzało to, że był inżynierem lotniczym. Gdy przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną, spytano go o wykształcenie, a gdy zdążył odpowiedzieć, że ma dyplom inżynierski, nie pozwolono mu mówić dalej, tylko z uśmiechem wręczono kartę pracy. Odtąd codziennie – bo browar nie mógł przerywać cyklu – przemienne na trzy ośmiogodzinne zmiany łąził w kłębach pary, doglądając ciśnienia i temperatury i pokrzykując na trzech wyjątkowo leniwych pomocników, zajmujących się paleniem w kotłach i konserwacją. W przenikającym wszystkim smrodzie *koji* snuł się po kotłowni niczym upiór z innego wymiaru, tęskniąc do nieba i latania. Dali mu nawet (najwidoczniej zadowoleni z jego umiejętności utrzymywania parametrów na wymaganym poziomie) podwyżkę, która pozwalała jako tako wiązać koniec z końcem. W domu pojawił się węgiel drzewny i ryby. W dodatku, jako wydajnemu i zaufanemu pracownikowi średniego szczebla nadzoru, przyznano mu sporą rację sake. Wobec tej miłej decyzji poczuł się jak samuraj, któremu podwyższono stawkę *koku* ryżu¹²⁷. Ito nabrała ciała i wyglądała na tyle atrakcyjnie, że Sakamoto zaczął się zastanawiać nad tym, czy powinien ograniczyć się jedynie do przytulania dziewczyny.

– Ito! – krzyknął po raz piąty i już całkiem niepotrzebnie, bo klęczała tuż przy nim i ciekawie zaglądała przez ramię na pulpit, na którym rozłożył kolorowe amerykańskie pismo lotnicze, kupione za straszliwe pieniądze (za które można by ogrzewać dom przez miesiąc) na bazarze.

– Co to? – spytała, pokazując smukłym palcem na ilustrację.

– Amerykański myśliwiec. Wspaniały. Szkoda, że nie mieliśmy takich.

– Szkoda, szkoda – małpowiała. – Trzeba było nie zaczynać wojny. Nam z babcią zaczynało się już całkiem nieźle powodzić. Obok była baza wojskowa. Codziennie wieczorem miałyśmy komplet. Niektórzy musieli nawet czekać w kolejce. Babcia mogła kupić nowe stoliki i zasłony i opuścić ceny. Konkurencja oniemiała!

– Jak powiedziałaś? – upewnił się Sakamoto. – Oniemiała? – I w ogóle dlaczego przychodzili na *okonomijaki* do was? U konkurencji były gorsze?

Aaaachacha... – triumfował. – Nie odpowiadaj, już wiem. Przychodzili, bo ty tam podawałaś! Mam rację?

Zerknęła na niego płochliwie. Dziecko wciąż zwyciężało w niej kobietę.

– Sam pan powiedział, że jestem za chuda.

Odwzajemnił się jej wesołym spojrzeniem.

– Amerykanie podobno lubią szczupłe dziewczyny...

Czekał na jej reakcję i nie zawiódł się.

– A pan? – Bezwiednie wyprostowała plecy, chcąc by uwydatniły się piersi.

– Ja lubię tylko tłuste i ospowate – zażartował, ale tak poważnym tonem, że wzięła sobie jego oświadczenie do serca i posmutniała.

– Ospowate? – Najwidoczniej nie wiedziała, co myśleć o tej kategorii dziewczyn, a Sakamoto postanowił jej dalej nie dręczyć.

– Takie z dziurami na gębie po ospie. Ale to żart. Wygłupiam się.

– Dlaczego się pan wygłupia? – chciała wiedzieć. – Przecież jest pan inżynierem, na posadzie...

– Ładna mi posada! – zakpił. – Przez osiem godzin łązę i zaglądam w kocioł, czy aby nie wybuchnie i czy ten cholerny zacier nie jest za gorący albo za zimny. I ten smród. W życiu nie tknę sake.

To akurat miało swoje dobre strony, bo cotygodniowy przydział mogli – a było tego całkiem sporo – przeznaczyć na handel wymienny. Sake, szczególnie tak dobra i w markowych butelkach, była lepsza od powojennego jena. Znacznie lepsza. Sakamoto mógł kupić Ito dobre zimowe buty, których gruba gumowa podeszwa nie przemakała, a sobie od czasu do czasu zafundować ekstrawagancję w postaci ilustrowanego amerykańskiego pisma albo nawet amerykańskiego kremu do golenia.

– Jestem pilotem – powiedział. – Czy ty rozumiesz, co to znaczy być pilotem i nie latać? Nawet nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Wyobraź sobie... – Szukał przez dłuższą chwilę dobrego porównania, ale nie znalazł. Ito pomogła mu, jak umiała.

– Chyba potrafię to sobie wyobrazić. Tęskni pan?

– Pewnie, że tęsknię.

– Rzucał pan bomby? – spytała autentycznie zadowolona, bo nie mogło się jej pomieścić w głowie, że ktoś tak miły, przystojny i dobrze wychowany, mógł w tym uczestniczyć.

– Pewnie. – Był w tym odcień samochwalstwa, więc sprostował: – Takie ćwiczebne... No wiesz... Tylko, żeby trafić... Nie wybuchają tak naprawdę, ale i tak to świetna zabawa. To można porównać tylko z seksem, ale ty przecież nie wiesz jeszcze... – Przyhamował, uświadamiając sobie, że mówi głupstwa, ale pamiętał doskonale emocje związane z ćwiczeniami w bombardowaniu. Euforię, której się przy tym doznawało, rzeczywiście można było porównać jedynie z euforią seksu. Póki seirany nie weszły do serii, zespół lotniczy specjalnego przeznaczenia dostał połowę serii informacyjnej komety z wytwórni Kugisho. Suisei D4Y¹²⁸ faktycznie zasługiwał na swoje poetyckie miano. Sakamoto nazywał go „kometa z ogonem”, bo lekki, szybki i świetnie zaprojektowany samolot zmiatał po niebie i potrafił robić rzeczy, o których woleliby nie wiedzieć instruktorzy. Pewnie dzięki wypracowanej do perfekcji mechanice płata, pozwalającej postawić samolot na nosie przy każdym kącie nurkowania i przy każdej rozsądnej szybkości. W dodatku te perfekcyjne powietrzne hamulce sterowane były elektrycznie i ich używanie wymagało od pilota jedynie trzech palców prawej dłoni. Przy tym płatowiec był sztywny i trzymał się pewnie nawet przy krytycznych dla konstrukcji dźwigara i poszycia szybkościach, bo zaprojektowano płat o tak małej rozpiętości, że dwumiejscowy bombowiec mieścił się gracko na podnośnikach lotniskowców i nie trzeba było kombinować skomplikowanych mechanizmów składania końcówek płatów.

W niewielu samolotach, a miał ich sporo pod zadkiem, Sakamoto doznawał uczucia absolutnego zespolenia z maszyną. W komecie odnosił nieodparte wrażenie, że jest w stanie suwać maszyną po niebie, jak kartą do gry po lakierowanym blacie stołu. Samolot zdawał się wyczuwać nawet przesunięcia jego tyłka na fotelu. Czasami wydawało mu się, że kometa

jest najdoskonalszą ilustracją tego, o czym opowiadano na salach ćwiczeń: „Nie tnij mieczem! Bądź mieczem!”

Pilotując kometa, Sakamoto nie pilotował samolotu. Był samolotem! I czuł dokładnie to samo, co czują w snach mali chłopcy, którzy marzą o pilotowaniu. Ito była właśnie taką kometa, która spadła w jego gnuśne, bezwartościowe, pozbawione perspektyw życie i zamiotła je ogonem. Lekka, drobna i zwinna, miała piękną sylwetkę, a jej zachowaniu nie można było niczego zarzucić. W czasach, gdy wszystko układało się po jego myśli, Sakamoto nie wkładał wiele energii w zastanawianie się nad sensami i ideami. Wystarczyło mu, że realizuje swoje plany i marzenia, że podziwiają go mniej uzdolnieni rówieśnicy, a matrony zaprzyjaźnionych z jego rodziną domów stają na głowie, by zainteresował się ich córeczkami. Świat w jego oczach był trochę jak kolorowa plansza do dzieciennych gier, w których – sprytnie wyrzucając kostką odpowiednią liczbę oczek – można zdystansować rywala i dostać nagrodę.

– Szkoda, Ito, że mamy takie czasy i nie mogę cię zabrać w powietrze. To naprawdę fajne... – rozmarzył się. A potem wyciągnął ku niej dłoń: – Daj stopy! Pomasuję ci.

Oboje bardzo lubili te chwile. Dla Ito były namiastką zbliżenia, o którym skrycie marzyła, Sakamoto zaś, niepewny nawet w duchu swoich planów wobec dziewczyny, po prostu lubił rozcierać jej stopy. Odczuwał przy tym i spełnienie, i pragnienia, ale pomagało mu to zasnąć i było zdecydowanie zdrowsze od sake. Robiąc to co wieczór, przyłapywał się na tym, że z niepokojem myśli o wiośnie i temperaturach, przy których ów miły zabieg wyda się jego pomocy domowej absurdalny i niepotrzebny.

Tymczasem czekała na ten moment z utęsknieniem. Posłusznie odwinęła nogi spod pupy i wyciągnęła je w stronę pryncypała. Ledwo zdążył nakryć ciepłą, spragnioną dotyku dłonią grzbiet jej stopy, usłyszeli dźwięk kołatki przy drzwiach, które trudno było nazwać frontowymi czy nawet wejściowymi, bowiem cała reprezentacyjna część domu stanowiła obecnie przysypane mokrym śniegiem rumowisko. Z tego także powodu trudno było

odwiedzić Sakamoto, bo należało najpierw, zaszedłszy od ogrodu, natrafić na wejście dla służby. Ale gospodarza wcale to nie martwiło. Nie tęsknił do wizyt. Ta jednak była wyjątkowa i zupełnie niespodziewana. Kiedy usiłująca ukryć rumieniec podniecenia Ito wprowadziła gościa, Sakamoto pomyślał, że śni. W drzwiach, czekając na pozwolenie wejścia, siedział bowiem nie kto inny, tylko tak samo tłuściutki i zażywny jak przed laty, tak samo bojowy i pewny siebie mimo cywilnego ubrania szturman. Nawet wąsik, nadający mu wygląd małomiasteczkowego sprzedawcy garnków, miał dokładnie tak samo przycięty.

– Shimada-san! – Sakamoto nie mógł oderwać wzroku od gościa. – Chyba pan zabłądził? – Nie łączyły go nigdy z pierwszym oficerem zażyłe stosunki, ale obydwaj cenili się nawzajem i darzyli ostrożnym zaufaniem. – Proszę. Proszę do środka!

– Sakamoto posunął się zachęcająco ku gościowi. – Że też pan mnie znalazł... Ito! – Klasnął w dłonie. – Przynieś sake i coś na ząb. Nie odmówi pan?

Sakamoto zapobiegliwie zaglądał w oczy szturmanowi i autentycznie cieszył się z tych odwiedzin, choć czuł, że nie jest to kurtuazyjna wizyta. Ito pospiesznie, ale z godnością, rozstawiała naczynia i jedzenie. Potem naląła im pierwszą kolejkę i z wyczuciem wycofała się do swojego pokoju. Szturman i szef zespołu lotniczego, nie patrząc sobie w oczy, wypili, a potem dobrze wychowany Shimada pochwalił:

– Pańska żona jest wyjątkowo piękną kobietą.

– To służąca – sprostował z dumą Sakamoto, a Shimada znów umiał ładnie się znaleźć.

– Tym bardziej godna uwagi jest jej uroda. – Uśmiechnęli się ze zrozumieniem do siebie i do swoich doświadczeń, a szturman, siorbniejszy najlepszej przydziałowej sake, sapnął z uznaniem:

– Uroda tej sake dorównuje urodzie pańskiej pomocy domowej. Czy to krewna?

– Znajda – wyjaśnił pilot. – Przygarnąłem ją z ulicy. Inaczej

zmarnowałyby się. Pełno teraz takich dzieciaków. Żal. Ale cóż... Może rząd znajdzie jakieś rozwiązanie tego problemu?

– Wątpię... – Shimada spojrział z uznaniem na gospodarza, który zręcznie poprowadził rozmowę na istotniejsze tory:

– Biadolenie nic nam teraz nie da, więc nie narzekajmy. W końcu samiśmy tego chcieli...

– No właśnie. – Szturman podtrzymał delikatnie wątek polityczny. – Cesarz zdecydował... – Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym Sakamoto nalał ponownie i gdy wychylili po drugiej czarce, świat wydał się im trochę weselszy.

– A co u pana? – Sakamoto uznał, że może przejść do spraw bardziej osobistych. A Shimada jakby tylko czekał na to pytanie. Poprawił się na piętach i popatrzył przed siebie:

– Podobnie jak u połowy Japończyków. Nie najlepiej. Pan przynajmniej ma służącą. Mnie nie został nikt, bo jestem z Nagasaki...

- Sa!¹²⁹ – Sakamoto nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Zmieszał się, ale po chwili znalazł dobre rozwiązanie. Nalał gościowi i sobie i zaproponował toast: – Wypijmy za spokój duszy pańskich bliskich!

Shimada podziękował gospodarzowi wzrokiem i podniósł swoją czarę. Wypili i szturman, chcąc najwyraźniej zmienić temat, spytał:

– Skąd pan bierze taką sake? To świństwo, które można kupić w sklepach, ani się do tej nie umywa...

– Mam ją ze specjalnego przydziału, Shimada-san. Zatrudniłem się w browarze – wyznał Sakamoto. Shimada pokiwał wyrozumiale głową.

– Jest pan zatem świetnym pracownikiem, bo pańska sake jest doskonała!

Roześmieli się, tak jak wypadało, choć dowcip nie był przedni.

– Nie próbował pan po demobilizacji wrócić do latania? Nie rejestrował się pan jako specjalista? A lotnictwo cywilne?

Sakamoto stłumił ognik irytacji w oczach.

– Oczywiście, że próbowałem. Wypełniałem tony różnych ankiet

i kwestionariuszy, ale najwidoczniej istnieją różne kategorie zdemobilizowanych. Jeśli mam być szczerzy... – pochylił się ku szturmanowi, ale była to raczej manifestacja postawy niż rzeczywista obawa przed podsłuchaniem – cieszę się, że zostawiono mnie w spokoju i nie aresztowano, tak jak...

– Właśnie... – podchwycił czujnie szturman. – Ma pan o nim jakieś informacje?

– Skądżeby – odpowiedział Sakamoto. – Od czasu kiedy Amerykanie zabrali go na swój niszczyciel, słuch o nim zaginął. Słyszałem tylko jakieś plotki, ale nie bardzo chciałbym dać im wiarę... – Rzucił badawcze spojrzenie na twarz gościa, próbując odczytać z niej jego reakcję, ale Shimada pozostał nieprzenikniony i najwyraźniej czekał na dalsze zwierzenia. Sakamoto zastanowił się chwilę, a potem zdecydował się ujawnić szturmanowi to, co do niego dotarło: – Słyszałem, że oskarżono go o zbrodnie wojenne, ale to absurd. Przecież Toru nigdy...

– Oczywiście, że nie jest żadnym zbrodniarzem! – podtrzymał szturman. – Pan o tym wie i ja, i wszyscy, którzy go znali. Pan i ja wiemy, że trudno o lepszego człowieka i uczciwszego żołnierza, ale... Ale, drogi panie Sakamoto, w dzisiejszych czasach to, co wiemy, to jedno, a to, co chcą wiedzieć inni, to drugie. – Shimada wyprostował się jak ktoś, kto ma coś ważnego do powiedzenia, i pokiwał głową. – Nie będę pana trzymał w niepewności, bo widzę, że los naszego dowódcy bardzo pana obchodzi... – Posunął się po matach w stronę pilota i przez kilka minut klarował mu coś cichym, ale pełnym emocji głosem. Ito, która najstaranniej jak potrafiła przygotowała im ciepły posiłek, stawiając tace pod drzwiami, usłyszała tylko ostatnie zdania tej tyrady: – Oczywiście, że im więcej, tym lepiej, ale niepotrzebni nam wszyscy. Wystarczą specjaliści i sternicy. Ludzie, w których imieniu to mówię, liczą na pańską absolutną dyskrecję. Zresztą każda próba zdrady... Sam pan rozumie...

Wizyta Shimady, z każdą minutą weselsza, przeciągnęła się do późnej nocy. Sakamoto, przełamawszy zawodowy wstręt do sake, upił się

z rozkoszą i przykładowie dołączał rozentuzjasmowany baryton do dudniącego basu szturmana. Odśpiewali w niezłej harmonii większość znanych we flocie podwodnej patriotyczno-bojowych pieśni, łącznie z tą, której nie powinni byli śpiewać, choćby ze względu na wspaniałą akustykę zimowej nocy i skłonność sąsiadów do wysługiwania się nowym władzom:

*My Cesarza synowie,
Słońce jeszcze na niebie,
Nie nam klęska w głowie,
A wróg? Niech się...*

Pomni zasad konspiracji, wyciszali nieco dosadne końcówki każdej zwrotki, ale i tak w całej okolicy pozapalały się światełka.

Z pewną ulgą Sakamoto przyjął fakt, że energia i witalność szturmana wyczerpały się dokładnie w tej samej chwili, co sake w wielkiej porcelitowej butli. Shimada zasnął na siedząco niczym niesolidny ochroniarz przed sypialnią daimyo. Sakamoto nakrył szturmana kołdrą wyjętą ze ściennej szafy i przez chwilę wpatrywał się z sympatią i uznaniem w chrapiącego jak niedźwiedź zastępcę dowódcy. Potem, ponieważ pokój, w którym biesiadowali, był jednocześnie sypialnią i gabinetem do pracy, cicho zamknął drzwi i podumawszy chwilę, odsunął te, które prowadziły do pokoju Ito. Było oczywiste, że na to czekała, bo gdy rozbierał się po pijanemu, tracąc raz po raz poczucie równowagi, śmiejąc się cichutko, usunęła się na sam skraj swoich futonów i zrobiła mu miejsce. A gdy nagi, czując dotkliwy chłód powietrza i przyjemne ciepło nagrzanego od jej ciała pościeli, wślizgnął się pod kołdrę, natychmiast przywarła do niego odwrócona tyłem. Poczul na piersiach jej plecy, na biodrach szczupłe sprężyste pośladki, a na grzbietach stóp podeszwy jej drobnych, gładkich i chłodnych stópek. Nie poddając się pożądaniu na tyle, by ów niezapomniany moment przesądził o przyszłości ich stosunków, chciał po prostu spać przytulony do niej i śnić o Sen-toku. Uznał to za najlepsze rozwiązanie – tym przyjemniejsze, że nazajutrz pracował na drugiej zmianie, zatem mógł sobie pozwolić na kilkanaście godzin w łóżku. Ito

miała jednak inny pogląd na tę sprawę i wykazując zadziwiającą u kogoś zupełnie niedoświadczonego intuicję, tak długo i natarczywie dotykała go, podsuwając mu siebie i drażniąc zwinnymi placami, że w końcu zdecydował się przesądzić charakter ich przyszłych kontaktów.

Sprawiło mu to wielką, łagodną satysfakcję i przyjemność. Tak wielką, że miał ochotę popłakać sobie w jej zgrzane łopatki, ale Ito – nie dopuszczając, by się z niej wysunął – delikatnie pogładziła go po udzie i powiedziała cicho:

– Następnym razem proszę się bardziej postarać.

Zamiast płakać, pocałował ją więc delikatnie, wyczuwając wargami lekko słone od potu perełki kręgosłupa.

– Ito? – zapytał. – Czy ucieszyłabyś się, gdybyśmy mogli wyrównać wojenne rachunki z wszystkimi naszymi wrogami naraz?

– Mam to w nosie – sapnęła szczęśliwa jak nigdy dotąd i dodała rzeczowym tonem: – Śpij. Inżynierze...

Zasnął więc posłusznie i śnił nie tylko o Sen-toku, ale i o Ito biegnącej po mglistej plaży na bosaka. Nie przeszkodziło mu w tym nawet rozpaczliwe chrapanie szturmana, którego w ciężkim pijackim śnie dręczyły syreny oraz koszmarna wizja upiornego czarnego okrętu z błoniastymi, owadzimi skrzydłami wyrastającymi z kiosku i licznymi palisadami sterczących ostrych wyłomków najeżonych przestrzelinami i dziurami po pociskach.

Na szczęście tuż przed świtem koszmary ustąpiły i Shimada uśmiechał się przez sen, bo w tym przedświtowym śnie dla odmiany siedział na rufie zakotwiczonego w słonecznej zatoce Sen-toku i łowił wielkie, kolorowe ryby.

Władystok, suchy dok w stoczni marynarki wojennej "Akademik Suchowolcew" początek 1948

– Sen-toku oczywiście powstał nie bez przyczyny. Wielką rolę odegrał

w tej sprawie Isoroku Yamamoto... Zapewne słyszał pan o nim? – zapytał Kaneyasu Kotielnikowa, gdy pokonali dwa segmenty stopni studzienki głównego wjazdu i stanęli na podłodze centrali.

– Oczywiście. – Kotielnikow przytaknął, choć Bogiem a prawdą jego wiedza o Yamamoto nie była imponująca. – Wielki marynarz... – Wstydził się swojej ignorancji, ale gotów był iść w zaparte, byle tylko jak najszybciej wszystko obejrzeć. Kaneyasu wyczuł to, lecz chciał się pochwalić okrętem, a do ładnej opowieści o Sen-toku potrzebne mu były solidne podwaliny. Wskazał więc admirałowi jeden z dwóch wyściełanych dermą zydlu, przykręconych do podłogi przed stanowiskiem sterów zanurzenia. Kotielnikow przysiadł ostrożnie. Od kiedy dwa razy dziennie wykonywał ćwiczenia, które pokazał mu komandor, nic go przy siadaniu nie bolało, a mimo to organizm zachował czujność. Organizm Kotielnikowa okazywał się czasami mądrzejszy od admirała. On sam przyglądał się teraz ciekawie temu, co miał przed oczami, i po kilkunastu sekundach domyślił się przeznaczenia większości wskaźników i przyrządów. Nie pytając komandora o pozwolenie (choć był to do niedawna jego okręt), rozłożył poprzecznie przykręconą do jednego z dwóch kół sterów zanurzenia rączkę i delikatnie sprawdził luz mechanizmu. Był minimalny, co dobrze świadczyło o umiejętnościach japońskich inżynierów.

– W położeniu nawodnym albo, jak teraz, w suchym doku lepiej tego nie ruszać – doradził Kaneyasu i przysiadł na sąsiednim zydlu z taką samą jak niegdyś nonszalancją. Tłumaczącej rozmowę Kirze nie zaproponowano siedzącego miejsca. Główne stanowisko sterników wydało się jej zbyt odległe, oparła się więc o jedną z dwu wielkich kopuł żyrokompasów, które niczym gigantyczne pieczarki wyrastały na wysokość metra z podłogi centrali.

– Jak panu zapewne wiadomo, Yamamoto był dowódcą naszych połączonych flot i świetnym strategiem. Umiał połączyć wizję z realiami, określić atuty i słabości, mocne strony i zagrożenia. Traktował wojnę tak, jak handlowcy marketing. Nie egzaltował się i – z tego, co wiem – nigdy nie

uległ głupiej demagogii. Dlatego doszło do Pearl Harbor. Yamamoto wiedział jednak, że Pearl Harbor to początek końca, dlatego od razu, nie czekając na reakcje, planował dalej. Wymyślił, według mnie całkiem dobrze, że trzeba znaleźć sposób na atakowanie wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Wymyślił – i dłużej się tym nie przejmował. Do realizacji miał odpowiednich ludzi. Zadanie dostał kapitan Kameto Kuroshima. To był człowiek od czarnej roboty. Działał bez rozgłosu. Gdzieś tak w połowie stycznia 1942 praca Kuroshimy dobiegła końca i Yamamoto mógł przedstawić założenia okrętu w dowództwie połączonych flot. Po pierwsze, jednostka miała ekspediować w powietrze samoloty szturmowe zdolne atakować osiemsetkilogramową torpedą lub bombami. Po drugie, okręt miał ponieść więcej niż dwa takie samoloty i miał mieć zasięg 40 tysięcy mil morskich.

– Nieprawdopodobny zasięg... – wtrącił Kotielnikow.

– Bynajmniej. Już w trzydziestym drugim zrobiliśmy I-5. Przy dziesięciu węzłach osiągał dwadzieścia cztery tysiące mil. Takiego okrętu nie miała wtedy żadna flota na świecie¹³⁰. Plany były gotowe i, o ile dobrze pamiętam, w pierwszej połowie czterdziestego drugiego i na początku czterdziestego trzeciego można było kłaść stępkę w Kure...

– Pan brał w tym udział? Był pan w zespole konstruktorskim?

Kaneyasu porozumiał się wzrokiem z Kirą, co nie uszło uwagi Rosjanina.

– Teraz nie ma po co tego ukrywać. Tak, byłem w ścisłym kierownictwie projektu.

Pewnie dlatego – pomyślał Kotielnikow – że znałeś się nie tylko na pływaniu pod wodą, ale i na lataniu. W dodatku ten staż u Brytyjczyków... Nie jesteś byle kim, panie Kaneyasu, i szkoda, że świat tak ci odpłaca za twoje starania. Ale u mnie pożyczysz jeszcze trochę jak człowiek. Odpasiesz się. Może nawet uda się załatwić, żebyś pożył dłużej. Choć w tym akurat względnie nie mam żadnej pewności. Może jednak trochę się rozpogodzisz, nie będziesz taki mroczny. Po wizycie na tej twojej tajemniczej wyspie

sposępniałeś jeszcze bardziej. Muszę cię pociągnąć za język. Może powiesz mi coś więcej niż moi ludzie i ta Kira...

– Yamamoto zaplanował, że seria będzie liczyć osiemnaście sztuk, i od razu... – Kaneyasu uśmiechnął się do swoich wspomnień. – To był genialny facet... Od razu zaplanował, że sześć będzie stanowiło tajny dywizjon podległy bezpośrednio jemu. Najwidoczniej miał jakieś własne plany. Jak pan wie, admirał, nigdy nie zobaczył nawet pierwszego z serii, bo ustrzelili go jak kaczkę nad Wyspami Salomona¹³¹. W tym czasie zaczynaliśmy już odczuwać niedobory stali i w efekcie pierwszy Sen-toku spłynął na wodę w połowie czterdziestego trzeciego¹⁴⁴. Postanowiliśmy ograniczyć serię do pięciu okrętów, ale i to się nie udało, bo trzeciego Sen-toku, czyli „402”, wykończono w lipcu czterdziestego piątego w Sasebo i nigdy nie wypłynął na szerokie wody. Był prawie gotowy, ale dostał półtonową bombą lotniczą i puścił bańki o metr od nabrzeża stoczni wyposażeniowej. Tyle pracy! Co z pozostałymi? Nie wiem. Stępki pod „403” i „404” kładliśmy w czterdziestym trzecim w Kure. Co się stało z „403”, tego już zupełnie nie wiem...

– Jeśli to pana aż tak interesuje, przejrzę dane wywiadu – zaoferował Kotielnikow.

– Zastanawiające... – Kaneyasu podrapał się głowie z odrastającymi włosami.

– Niby co?

– Projekt był utrzymywany w ścisłej tajemnicy. Strzeżony pewnie lepiej niż budowa superpancerników¹³², a pan twierdzi, że informację znajdzie się w danych wywiadu. Jeden z moich ludzi chlapnął coś w kantine, w moim pojęciu całkiem niewinnie, i tylko specjalista mógłby się domyślić, o czym mówi. Nazajutrz na jego miejsce przysłano innego. Tamtego już nigdy nikt nie widział. Długo się wtedy zastanawiałem. Kto doniósł? Ktoś z zespołu? Obsługa kantyny?

– Niech pan się w końcu pozbędzie złudzeń – dobrodusznie poradził Kotielnikow i pomyślał, że Kaneyasu nie miał szczęścia trafić na swojego

japońskiego Przyjemskiego. Zaznał tylu krzywd, tyle przeżył, a wciąż dziwił się jak dziecko i oczekiwał, że świat objawi przed nim mechanizmy swoich machlojek i szwindli. I może jeszcze się ukloni? – Póki nie ruszyliście do boju, alianci lekceważyli was i wasze uzbrojenie. Mieliście opinię nieudolnych bałaganiarzy, a waszymi okrętami i samolotami nikt specjalnie się nie przejmował. Tylko nasz wywiad was nie lekceważył. Wie pan dlaczego?

– No? – Kaneyasu jakby trochę poweselał. Towarzystwo wielkiego Rosjanina wpływało na niego pobudzająco.

– Bo myśmy już kiedyś z wami wojowali i znamy waszą wartość. Ja was nie lekceważę – przyzna pan – choć o Japonii wiem niewiele. A tak w ogóle... lepiej nie być zbyt pewnym siebie. Niespodzianki są wtedy mniej przykre. – Kaneyasu milczał, a Kotielnikow, nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął: – Ma pan zresztą najlepszy dowód. Przyprowadził pan okręt z załogą, która w życiu nie pływała na takiej sztuce, i jesteście tu cali i zdrowi, a ja mam swojego „Nautilusa”.

– Formalnie Sen-toku należy chyba do Amerykanów? – próbował ironizować komandor, ale Kotielnikow nie był łatwym przeciwnikiem.

– Formalnie może i należy. Przy podziale waszej floty kiwali nas, jak chcieli. Ale co? – pochylił się w stronę Japończyka. – Wolałby pan, żeby oni z niego skorzystali? Kocha ich pan bardziej niż nas? No... Proszę się nie wykręcać. Wolałby pan?

– A dajcie mi wszyscy spokój... – Kaneyasu zasępił się.

Żebyś ty wiedział – pomyślał – ile mnie kosztowało wyciągnięcie okrętu z dziury! Nawet nie wiem, czy ci o tym opowiadać... Zresztą, twoi ludzie zdali ci pewnie dokładne raporty, tyle że w tych raportach nie ma zapewne ani słowa o tym, że musiałem dwóm dać po pysku. A trzeciemu troszkę nadkręciłem rękę, bo rwał się do bitki. Nie... Jednak coś ci powiem. Może sprawi ci to przyjemność. Bo mimo wszystko cię lubię.

– Nie powinien pan – odezwał się wreszcie – zmuszać mnie do odpowiedzi na takie pytania, bo co ja mam w końcu do gadania. Wie pan,

w Japonii jest takie porzekadło: „Nie wchodź pomiędzy miecze potężnych szermierzy”... Powiem panu jeszcze jedno: Ludzie, których dał mi pan do dyspozycji, są wspaniali. Szybko się uczą. Opanowali podstawowe procedury w dziesięć dni i w zasadzie „na sucho”, bo przecież nie mogliśmy paradować naokoło archipelagu w ćwiczebnych rejsach. To świetni specjaliści. Myślę, że jeszcze miesiąc i będą mogli pływać ze mną choćby na koniec świata.

Zarzuciwszy zręcznie przynętę, Kaneyasu zademonstrował pokazowo skromne, teatralne spojrzenie spod opuszczonych powiek. Tym razem admirał odwlekał odpowiedź.

A kto ci powiedział – myślał – że będą pływać z tobą? Jesteś potrzebny, żeby wyszkolić dowódców i żeby mi doradzać w kwestii przeróbki seiranów, a później tylko do tego, żebyś, kiedy będzie trzeba, na powrót schował mysz do nory, bo nikt prócz ciebie tego nie dokona. A potem... Potem może załatwię ci emeryturę w niezbyt chłodnym miejscu. Ale to wszystko zależy od ciebie...

– No to wspaniale – zawyrokował, przemyślawszy kwestię dalszych losów Japończyka. – Będzie pan miał okazję, komandorze, pracować z nimi dalej. Jeśli potrzebuje pan więcej ludzi, proszę określić swoje wymagania i wyspecyfikować działy, a ja postaram się dać panu najlepszych, jacy jeszcze zostali po tym poprzednim... – postanowił popisać się angielskim słówkiem – castingu. Jak ich pan utopi, rosyjska flota zostanie bez specjalistów. A teraz proszę mi pokazać swoją maszynę.

– Wstał z zydła i szerokim gestem, jakby to on był tu gospodarzem, wskazał otwór najbliższego włazu, prowadzącego do tylnych sekcji kadłuba, lecz Kaneyasu zasugerował przeciwnie.

– Poproszę pana najpierw w tamtą stronę. Mamy tu trzeci przedział mieszkalny. Pomieszczenie jest klimatyzowane.

Kotielnikow z trudem przeciskał swoje wielkie ciało przez ciasny, okrągły – w razie potrzeby hermetycznie ryglowany - właz pomiędzy piątą a szóstą sekcją. Kiedy wreszcie przelazł, skonstatował, że w środku jest

wcale przestronnie, a skromną przestrzeń mieszkalną zaprojektowano funkcjonalnie i pomysłowo. Kira pokonała włącz zręcznie niczym wydra podwodny przesmyk.

– Jak wy to robicie? W naszych okrętach jest nieprawdopodobnie ciasno, a tu można nawet zatańczyć...

Kaneyasu uśmiechnął się nie bez wyższości.

– Japończyk uwielbia robić wszystko systematycznie i wypracowywać procedury. My wszystko dzielimy na fazy. Rozkładamy je na mniejsze i starannie nazywamy każdą z nich.

Zakładamy przy tym, że błędu popełnionego na danym poziomie, czyli w danej fazie, nie da się naprawić wyżej...

– Nie rozumiem – sapnął Kotielnikow, sprawdzając sprężystość brezentowych składanych leżanek.

– To proste. – Kaneyasu szukał stosownej analogii. – Widział pan kiedy japoński miecz?

– Mam nawet dwa u siebie w mieszkaniu...

– No to – ucieszył się Kaneyasu – wie pan, jak idealnie wyprowadzona jest głownia i jak idealnie spolerowana?

– Od czasu, jak mojej służącej wypsnął się jeden z tych mieczy na podłogę, wolę ich nie dotykać... Ale owszem. Widziałem, że ostrze jest gładkie i równe.

– No właśnie. Taką głownię po odkuciu, zahartowaniu i wstępnym przeszlifowaniu stalowymi heblami i na kamiennym toczydle bierze na warsztat szlifierz i nadaje mieczowi ostateczny kształt. Mniejsza o szczegóły, ale używa się do tego kamieni naturalnych o gradacji od trzystu ziaren na centymetr kwadratowy do czterech tysięcy. Najdrobniejszy kamień ma ziarno tak maleńkie, że nie rysuje szkła optycznego, ale na wysoko hartowanej stali pracuje, dając określone efekty na jej powierzchni. Faz, w których używa się coraz drobniejszego ziarna, jest kilkanaście. Każda z nich ma oczywiście swoją nazwę, bo my – jak powiedziałem – lubimy nazywać poszczególne etapy.

– A te błędy... no, wie pan – przerwał Kotielnikow, który chciał wiedzieć wszystko od razu.

– Wiem. – Kaneyasu nie dał po sobie poznać, że irytuje go niecierpliwość słuchacza. – Najprościej mówiąc, błędu popełnionego na danym poziomie nie da się wyeliminować na wyższym – powiedział, lecz natychmiast zorientował się, że Kotielnikow nadal nie rozumie, i wyjaśnił: – Jeśli zrobimy coś nie tak, używając kamienia o tysiącu ziaren, to musimy to skorygować na tymże kamieniu. Jeśli to zbagatelizujemy i przejdziemy wyżej, to znaczy na wyższe gradacje, to i tak będziemy musieli wrócić na ten tysiąc...

– Rozumiem – odparł Rosjanin – ale nie pojmuję, jaki to ma związek z projektowaniem okrętu.

– Proste. Chociaż można to uznać za marnowanie czasu i materiałów, najpierw zbudowaliśmy drewnianą makietę naturalnej wielkości.

Kotielnikow nie krył podziwu, choć na dnie tego podziwu kryła się odrobina pogardy dla japońskiej zapobiegliwości.

– Chce pan powiedzieć, komandorze, że zbudowaliście taki duży model? A co było w środku?

– Przedziały, ścianki, podesty, dokładnie według projektu. Potem zaczęliśmy sprawdzać, czy wszystkie elementy i przestrzenie znajdują sensowne zastosowanie oraz czy w takiej konfiguracji będzie można skutecznie obsługiwać mechanizmy i po prostu żyć. Jak się pan domyśla, wszystko, co było źle zaprojektowane albo mało funkcjonalne czy po prostu niewygodne, zostało zmienione. Wyżej, to znaczy już na etapie prefabrykacji sekcji kadłuba, byłoby to o wiele trudniejsze, bardziej pracochłonne lub zgoła niemożliwe. W efekcie zawsze zyskujemy, gdy eliminujemy wady na poziomie, na którym powstają. Projektuje się w ten sposób szybciej i taniej.

Kaneyasu mówił o metodzie z dumą, ale nie powiedział wszystkiego. Nie powiedział na przykład, że prócz kilku osób wtajemniczonych do końca w projekt Sen-toku budowniczy nie mogli oglądać wszystkich sekcji modelu

naraz. Model był podzielony na strefy, w których wolno się było poruszać jedynie specjalistom konstruującym daną strefę. Ograniczenia te niewątpliwie odbijały się później czkawką, obniżając jakość jednostki. Poza tym – jak się okazało – całą tę sekretność można było sobie włożyć do zadka i popchnąć patyczkiem, bo i tak nie uchroniono się przed inwigilacją rosyjskich służb wywiadowczych.

Gdyby ową filozofię projektowania wdrożyć w kraju... – pomyślał Kotielnikow i natychmiast zrozumiał, że to niemożliwe. – U nas, jeśli ktoś popełni błąd, obojętnie na jakim poziomie, na wszelki wypadek woli się do tego nie przyznawać. Na wyższe etapy przepycha się więc rozwiązania niekiedy wyjątkowo absurdalne i pcha dalej... aż projekt się zupełnie zacopuje i trzeba rozpoczynać wszystko od nowa.

– Dlatego można się tu całkiem znośnie urządzić i nawet w sytuacjach awaryjnych ludzie nie muszą sobie deptać po głowach – dokończył Kaneyasu, a Kotielnikow, najwidoczniej usatysfakcjonowany wyjaśnieniami, spytał:

– A co jest tu, pod podłogą? To pomieszczenie... – ocenił na oko – zajmuje najwyżej pół wysokości kadłuba.

– Akumulatornia. Jedna z dwóch. Dzięki temu mamy zapas energii pozwalający pływać pod wodą przez trzydzieści cztery godziny. Przy minimalnej szybkości można przepłynąć sto mil. Ta elektrownia jest dwa razy większa niż na okrętach budowanych przed Sen-toku. Mniejsza ma siedemset ogniw, a ta, nad którą stoimy, tysiąc trzysta. Między nami mówiąc, baterie są do kitu. Gdyby projektowano większe i wydajniejsze akumulatory, byłoby ich tylko pięćset, ale miałyby jeszcze większą pojemność od tych gówienek, których jest zdecydowanie za dużo i są zbyt delikatne. Żeby tego stale doglądać, w morzu potrzeba aż pięciu ludzi. W czasie ładowania baterie za silnie gazują i elektrolit nie ma odpowiedniej gęstości. To byłaby pierwsza rzecz, nad którą należałoby popracować, ale... – Kaneyasu wstał z siedziska, którego blat był wiekiem skrzyni na osobiste rzeczy załogantów – ale i tak mamy do dyspozycji 27

tysięcy amperogodzin, no i odpowiednio o dziesięć tysięcy mniej przy skróconym cyklu ładowania.

Admirał przyznał w myślach, że to rzeczywiście dużo, bo ostatnie serie słynnych niemieckich „siódemek” dysponowały zaledwie dziewięcioma tysiącami amperogodzin. Z rodzimymi konstrukcjami było podobnie. Tymczasem komandor prowadził go dalej i Kotielnikow poczuł się niczym Aronax oprowadzany przez Nemo po „Nautilusie”.

– Tu mamy pomieszczenia mieszkalne brygady lotniczej. Trzyście osób... Nie, niech pan nie myśli, że w tym jednym pomieszczeniu. Pod podłogą jest drugie, prawie identyczne. Mają tu całkiem wygodnie – powiedział Kaneyasu i nagle chciwie, boleśnie zatęsknił do Sakamoto. Odczucie było tak silne, że przysiadł na chwilę na koi głównego pilota i pogładził odchylony róg koca. Potem wstał i pokazał na zejściówkę, zapraszając Kotielnikowa. – Jak pan widzi, admirale, miejsca jest tutaj mniej. Dlatego mieszka tu zwykle tylko pięciu ludzi. To przez ten zbiornik ze słodką wodą. No i te dwa szyby. W tym siedzi log hydrodynamiczny¹³³, a w tym drugim główny żyrokompas. Nad tym górnym pomieszczeniem są katapulty. A tu pod nami balasty. Jeśli przyjrzał się pan Sen-toku z zewnątrz, zapewne zauważył pan, że kształt kadłuba jest trochę... – szukał przez chwilę właściwego słowa – trochę dziwny... – To kadłub sztywny. Czyli ten w środku. Jest podzielony grodziami na osiem sekcji. Cztery środkowe od trzeciej do szóstej, licząc oczywiście od dziobu, tworzą kształt położonej na płask ósemki.

– Kombinowałem podobnie – przyznał admirał, myśląc z politowaniem o swoim braku pomysłowości. – Tyle że chciałem połączyć dwa okręty w jeden, żeby zmieścić w kadłubie hangar.

– Chciał pan zrobić własny Sen-toku? – Kaneyasu nie chciało się w to wierzyć. – Musiało panu bardzo na tym zależeć.

– Rozkaz to rozkaz i moje osobiste nastawienie nie ma tu nic do rzeczy.

– Nie ma – skwitował Japończyk. Poszukał potwierdzenia dla swoich myśli w spojrzeniu Kiry, ale Kira miała to gdzieś. Tłumaczyła

mechanicznie i najwyraźniej myślała o swoich sprawach. – Dobrze. Chodźmy dalej.

Pokonali kolejną gródź i Kotielnikow stanął przed niewielkim schludnym pulpitem.

– Stanowisko kierowania katapultą i drugi przedział mieszkalny – wyjaśnił Kaneyasu. – Jak pan widzi, trochę krótszy, ale prawie tak samo szeroki jak tamten, bo na tej wysokości kadłub, a w zasadzie kadłuby, jeszcze bardzo się nie zwężają. Pod podłogą druga część baterii, ta mniejsza. O tym już mówiliśmy.

Minęli gródź i Kotielnikow ujrzał kolejny tego dnia pulpity sterowniczy z manometrami, wskaźnikami, pokrętłami i dźwigniami. Nie bardzo wiedział, czemu to mogło służyć w tej sekcji okrętu, więc skierował pytający wzrok na komandora. Był to dla Japończyka kolejny powód do satysfakcji. Rosjanin – choć orientował się znakomicie w przedmiocie – najwidoczniej nie wiedział, z czym ma do czynienia. Uczucie dumy szybko jednak znikło. Kaneyasu wyrzucał sobie w myślach, że nie jest w stanie wyzbyć się resztek uczuć do swojego kraju. – Durniu – karmił się w myślach – równie dobrze mógłbyś być dumny z tego, co robiliśmy w Nankinie i w Mandzurii. Pamiętasz, co ci opowiadał Takemitsu? To też wybitne osiągnięcie japońskiej kultury wojennej. Niczym się nie różni... – Konkluzji nie był już taki pewien.

Kotielnikow z niecierpliwością obserwował nieodgadnioną dla niego grę uczuć na twarzy przewodnika. Rozumiał, że Japończykowi jest ciężko, i postanowił przy najbliższej okazji poddać go jednej z rosyjskich kuracji, najskuteczniejszej na takie choroby duszy. Tymczasem Kaneyasu odsunął ponure myśli i ze spokojem, za który można go było szanować i podziwiać, wyjaśniał ochoczo:

– Jak panu wiadomo, admirale, nie wystarczy zanurzać się jak najgłębiej. Trzeba to też robić...

– Jak najszybciej? Oczywiście... – podchwycił Kotielnikow.

– Właśnie – potwierdził Kaneyasu. – Czy ma pan jakieś pojęcie o tych

szybkościach?

– Niewielkie. – Skonfundowany admirał pokręcił głową. – Wiem tylko tyle, że nasze konstrukcje miały z tym kłopoty... Wie pan, dowódcy zawsze narzekali, że to za długo trwa.

– Ano właśnie – potaknął Kaneyasu. – Jest kilka czynników, które wspólnie decydują o tych parametrach. To wielkość kadłuba, zapas pływalności, powierzchnia sterów głębokości i wydajność urządzeń balastu. Najlepsze okręty szturmowe mieszczą się w granicach 30 sekund. Oczywiście mówimy o zanurzeniu alarmowym, to znaczy o takim, kiedy okręt zanurza się z położenia bojowego¹³⁴. Dobrze, czyli szybko zanurzający się okręt szturmowy powinien zanurzać się z pełnego wynurzenia w czasie nie dłuższym niż minuta. To są standardy wszystkich flot. Może raczej były. Nie jestem na bieżąco, ale przecież w dwa lata wszystko nie może się aż tak zmienić... – Zamilkł, gdyż znów gdzieś w środku głowy mignęła mu mroczna refleksja: Czyżby? Jeśli człowiek może się zmienić, to świat już nie?

– Myślę, że ma pan rację – przyznał Kotielnikow.

– No właśnie, ale te liczby dotyczą o wiele mniejszych okrętów. Sen-toku był największym okrętem świata i jeśli wy, albo Amerykanie, nie zbudowaliście większych, to nadal jest. Ma pan, admirale, jakieś pojęcie o wyporności najnowszych konstrukcji? – zapytał, chciwy nowinek ze świata, który kiedyś był całym jego życiem.

Kotielnikow chrząknął, przypominając sobie liczby:

– Amerykańskie typu „Tench” mają bodaj dwa i pół tysiąca ton...

– Pod wodą czy na powierzchni?

– Pod wodą... tak, pod wodą – odpowiedział admirał, choć nie był tego pewien.

– Sen-toku pod wodą wypiera prawie dwa razy więcej i pewnie jest ze czterdzieści metrów dłuższy. Wie pan, ile trwa zanurzenie?

– Nie mam pojęcia. Pewnie proporcjonalnie dwa razy dłużej. W końcu to nie okręt szturmowy, tylko podwodny lotniskowiec.

– 70 sekund. Z pełnego wynurzenia – nie bez satysfakcji odpowiadał Kaneyasu, a Kotielnikow nie usiłował ukryć wrażenia.

– Jak żeście to zrobili?

– To właśnie – Kaneyasu pokazał na konsolę – jeden z elementów decydujących. – Ma pan przed sobą stanowisko obsługi systemu szybkiego zanurzania. Dziobowe. Prócz tego są jeszcze dwa: to w centrali, które już pan widział, i rufowe. Razem sterują pięcioma grupami zbiorników balastowych, zalewając je w odpowiednich sekwencjach. Proszę do tego dołożyć zbiorniki wypornościowe wielkiej pojemności, które ciągną się wzdłuż całego okrętu pomiędzy kadłubem sztywnym a zewnętrznym, oraz zwiększone powierzchnie sterów głębokości. Trzeba też panu wiedzieć, że możemy zanurzyć się na sto metrów, a bez gwarancji stoczni – choć nigdy tego nie próbowałem – pewnie ze dwadzieścia metrów głębiej. Przyzna pan, że przy tej wielkości kadłuba to całkiem nieźle?

Nie tylko nieźle, a bardzo dobrze – pomyślał admirał. Sen-toku, który był w zasadzie pływającym pod wodą transportowcem dla własnego paliwa i trzech samolotów, przewyższał parametrami wiele współczesnych okrętów uderzeniowych. Przy czym nawet po wyekspediowaniu samolotów nie pozostawał bezbronny!

Przeszli jeszcze dalej. Kadłub okrętu zwężał się znacznie, mieszcząc jeszcze dwa, całkiem już ciasne, pomieszczenia załogi, które były jednocześnie stanowiskami wyrzutni torped. Wyrzutni było osiem – cztery w górnym i cztery na dolnym poziomie mieszkalnym. Kotielnikow dotknął z podziwem ciepłych, jak mu się zdawało, pokryw i zapytał ostrożnie:

– Długie lance?

– Lepiej, panie admirale. To model drugi. Ulepszony. Straszna broń. – Ze spojrzenia Kotielnikowa nie dało się wywnioskować, czy admirał miał jakąkolwiek wiedzę na temat modelu drugiego, wyjaśnił więc: – W silniku nafta spala się w tlenie. W głowicy torpedy jest ponad pół tony materiału wybuchowego. Ma ona wielką szybkość, ponad pięćdziesiąt węzłów. To oznacza, że po pięciu minutach może eksplodować w kadłubie okrętu

odległego o siedem i pół kilometra. Przy czym nawet na takim dystansie szybkość spada ledwie o trzy, cztery węzły, czyli tyle, co nic¹³⁵.

Kotielnikow uśmiechnął się z uznaniem i jeszcze raz położył dłoń na pokrywie najbliższej z pary wyrzutni.

– Nabity? – zażartował niezbyt fortunnie, a Kaneyasu potwierdził ruchem głowy. Admirał poczuł się trochę nieswojo. Wstał, pochylając głowę, bo pomieszczenie było niskie, i poprosił: – Chodźmy do hangaru.

Żeby tam się znaleźć, trzeba było wrócić do oddalonej o sześćdziesiąt metrów centrali, wyleźć na górny poziom i przejść włazem po lewej (patrząc w kierunku dziobu) stronie. W wodoszczelnym, mrocznym – bo paliły się tylko czerwone światła awaryjne – hangarze stały uspięte, niczym larwy w kokonach, seirany. Kaneyasu włączył pełne oświetlenie, a Kotielnikow patrzył oniemiały z podziwu. Nie przypuszczał, że hangar jest tak imponujący. Pomalowane na jasnobezowy kolor ściany trzydziestosiedmiometrowej rury były gęsto ozebrowane i admirał miał wrażenie, że znajduje się w monstrualnym jelicie jakiegoś prehistorycznego, pancernego giganta. Za to seirany były prześliczne. Przypominały mu zabawki, modele samolotów, które miał okazję podziwiać w dzieciństwie za szybami niedostępnych magazynów, ale były o wiele lepiej wykonane. Wyglądały jak kolorowe cukierki i Kotielnikow z trudem stłumił w sobie chęć polizania pierwszego z brzegu. To była maszyna Sakamoto (nazwisko dowódcy wymalowane było staranną drobną katakaną¹³⁶ na burcie), ale admirał nie mógł o tym wiedzieć, bo i skąd. Seirany od spodu – a więc spody płatów i dolne powierzchnie pływaków – pomalowane były na wesół jasnobezowy, szarawy kolor. Przez grzbiety pływaków przelatywała krwistoczerwona pręga. Jeszcze weselszym akcentem były jasnożółte oznaczenia tej części centroplata, która się składała. W pomieszczonej pod silnikiem chłodnicy powietrza było coś rybiego, a nawet – jak pomyślał admirał – rekiniego. Otwór chłodnicy był jednak wyprofilowany tak, że ta „rekinowatość” wydawała się raczej uśmiechnięta niż groźna.

Seiran ze stulonymi ku górze w motylim ruchu końcówkami płatów przypominał raczej samolocik z kolorowych książeczek dla dzieci. Taki, który ma duszę, własne zdanie i lubi pomagać innym samolocikom. Kotielnikow miał kiedyś taką książeczkę, ale rolę głównego bohatera grał w niej beczkowaty pokurcz. Ilustrator wzorował się najwyraźniej na karykaturalnym I-16 Polikarpowa.

Grzbiety pływaków, smukłego kadłuba i górne powierzchnie płatów oraz statecznik lśniły ciemną, butelkową zielenią, od której pięknie odcinały się białe obwódki *hinomaru* i numer taktyczny. Ktoś, kto decydował o malowaniu seiranów, wpadł na dobry pomysł, by potrójne łopaty śmigieł skonstruować z ciemnozielonymi kołpakami za pomocą optymistycznego, niezbyt ciemnego brązu przeciętego tuż pod górną krawędzią paseczkiem żółci.

Limuzyny kabin były odsunięte i Kotielnikow – już najzupełniej po chłopięcemu – zapragnął usiąść w kabinie. Kaneyasu i Kira pomogli mu podtoczyć składany wózek-drabinkę i admirał – nie bez trudu – wspiął się i przewalił do wnętrza przez zbyt delikatną – jak mu się zdawało – burtę. W pierwszej kabince też było zabawkowo, a wrażenie to potęgowały kolory wskaźników. Sztuczny horyzont był cudownie błękitny, za to tarczka wysokościomierza z białą skalą miała barwę różowego melona. Paliwomierz był jasnobeżowy. Kolorowe były także gałki przepustnicy i wyrzutników bomb oraz torpedy, choć tu dominowały jedynie dwa kolory – biel i krwista czerwień. Kotielnikow przypomniał sobie kokpity rosyjskich myśliwców. Porównanie wypadło żałośnie. Staranność wykończenia, którą inżynierowie rosyjscy uznaliby z pewnością za zbędny dodatek, nie wydawała się admirałowi tak zupełnie bezcelowa. W kabince, choć miał tu niewiele miejsca, było bardzo miło i nie od razu zdecydował się wyjść. Wychylił się i – jak w zatrzymanym kadrze – zobaczył, że w dole pod kadłubem Kira całuje się z Japończykiem, napierając smukłym udem między jego nogi. Nie było w tej scenie namiętności. Kotielnikow odniósł wrażenie, że robią to raczej po to, żeby nie myśleć o przykrych sprawach.

Chrząknął i rzucił po angielsku:

– Jeszcze dziś wyjmemy je na brzeg. Trzeba im dać nowe serca i te...
No, wie pan, co mam na myśli?

Kaneyasu odsunął Kirę, zlizując z zębów i języka zimny, owadzi smak jej pocałunków. Był bardzo pobudzony, ale też gdzieś w głębi duszy odezwała się nienawiść – do jej cynizmu, do ekstrawaganckich pomysłów...

– Żądła – podpowiedziała Kira.

– Właśnie. – Wyglansowane trzewiki Kotielnikowa głucho stuknęły o szyny prowadzące na pokład. – Czy moi ludzie i tych kilku pańskich da sobie radę z wyciągnięciem samolotów? – Wiedział, że tak, więc nie czekając na odpowiedź, dodał: – Czy ma pan tu jeszcze coś równie ciekawego?

Kaneyasu z trudem powstrzymał lekceważący ton, choć mówił po japońsku i Rosjanin i tak by tego nie odczytał. Jakiż ten Kotielnikow jest powierzchowny, niecierpliwy i niegrzeczny! Przecież skoro zaczęło się coś poznawać, nie pozna się tego dobrze, jeśli nie obejrzy się całości.

– Obejrzeliśmy dopiero połowę. Musimy zejść do centrali i przejść na tył.

Admirał wyglądał na zniecierpliwionego, lecz Kaneyasu udał, że tego nie dostrzega.

– To ulubione miejsce pilotów – oznajmił, gdy znaleźli się w przytłoczonym sprzętem pomieszczeniu.

– Jak to? – Kotielnikow zaczynał podejrzewać, że Japończyk z niego żartuje, i już zmarszczył brwi, gdy Kaneyasu pospieszył z wyjaśnieniami:

– Jak akurat nie mają co robić – a tutaj nigdy nie mają nic do roboty – to uwielbiają tu przesiadywać. Wie pan... pilot źle się czuje w takich klaustrofobicznych przestrzeniach. Tu mają choć cień złudzenia, że są w powietrzu. Wolni. – Nie dodał, że sam chętnie tu przychodził i nie miał nic przeciwko temu, że Sakamoto i jego koleżkowie namawiali „radiotów” na łapanie hawajskich stacji. – Chce pan znać szczegóły? – spytał, wiedząc, że wcześniej czy później będzie musiał wyjaśniać działanie automatycznych systemów kontroli kursu i zanurzenia¹³⁷, bo ich wskaźników i konsol nie

sposób przecież ukryć przed rosyjskimi specjalistami.

– Nie znam się na tym – szczerze i z niemal nabożnym podziwem wyznał Kotielnikow. – Wiem tylko tyle, że trzeba to będzie zgrać z naszymi systemami. Albo podmienić.

– Myślę, że lepiej będzie zgrać – poradził Kaneyasu i ciężko westchnął. – Mam wrażenie, że wciąż nie chce pan docenić naszych inżynierów. Gdyby nie zabrakło nam surowców, pieniędzy, ludzi i paliw, wyprzedzilibyśmy świat... – Umilkł czując, że znów głupio się egzaltuje. Patriotyzm...

Kotielnikow uniósł ironicznie brwi. Nareszcie miał okazję się zrewanżować.

– Już wyprzedziliście. Tyle że nie w tych konkurencjach, co trzeba...

Kaneyasu zmieszał się, wypunktowany przez Rosjanina, i wbił wzrok w podłogę.

– Tu lepiej nie palić – powiedział. – Pod podłogą są zbiorniki wysokooktanowej benzyny dla seiranów.

– Dużo tej benzyny? – Kotielnikow ożywił się, bo rozmowa znów tyczyła pięknych samolocików, ale papierosy schował.

– Sporo. Trzysta sześćdziesiąt ton. I ani litra mniej. Nie zdążyliśmy polatać.

– Gdzie to wszystko się mieści? – Kotielnikow z niedowierzaniem pokręcił głową. – Przecież nie tam? – pokazał na podłogę.

– Oczywiście, że nie tylko tam. Paliwo lotnicze jest w trzech grupach zbiorników SGB...

– Czego? – przerwał Rosjanin.

– Systemów Głównego Balastu. Jedna grupa zbiorników pozostaje wolna i zapewnia zapas pływalności Sen-toku...

– Bardzo to wszystko skomplikowane – sapnął admirał. – Jak to wszystko, do cholery, zgrać, żeby się nie utopić?

Kaneyasu nie odpowiedział, bo w kabinie radiowej pojawił się rosyjski podoficer i prężąc się, zameldował coś swemu zwierzchnikowi, a ten zezwolił Kirze, by przetłumaczyła. Wrócili do hangaru, wypełnionego już

dwujęzycznym gwarem mieszanej rosyjsko-japońskiej ekipy pod strażą uzbrojonych rosyjskich marynarzy. Widząc, że wśród ludzi z bazy jest Takemitsu, starannie ogolony i w czystych drelichach, Kaneyasu od razu poweselał. Ukłonił się admirałowi, przeprosił go i uzyskawszy pozwolenie w postaci uprzejmego kiwnięcia głową, podszedł do inżyniera. Takemitsu swoim zwyczajem wczepił się w rękaw swego dowódcy i gładził sukno kurtki drugą dłonią, jakby odnalazł utracony skarb.

– I co pan powie, komandorze. Chcą wyjąć seirany. Mam im pozwolić?

– Oczywiście. Niech wyjmują. Proszę im wszystko pokazać, uruchomić zasilanie, otworzyć hangar, uruchomić wyciągarki i podnośniki i niech pan nie zapomina, że jesteśmy w suchym doku. Zresztą zna pan procedury. Najważniejsze stanowiska proszę obsadzić naszymi ludźmi. I niech pan nie narobi jakiegoś bałaganu... Zostawię panu Kirę...

– Mam słuchać tej...? – Staremu brakowało słów. Delikatnie rzecz ujmując, nie przepadał za Kirą.

– Kira będzie tłumaczyć – wyjaśnił spokojnie Kaneyasu. – Ma pan tam również dwóch rosyjskich specjalistów, którzy jako tako znają japoński. Musicie sobie poradzić... – Wrócił do Kotielnikowa i powiedział po angielsku: – Otworzą hangar i wyjmą seirany. Zdążymy na finał. A teraz, jeśli nie jest pan znudzony, obejrzymy maszyny.

Maszynownia Sen-toku wcale nie była ponurą dziurą. Ciszę zakłócało jedynie mruczenie pomocniczych agregatów i usypiający szum płynów chłodzących. Było tu przytulnie i wesoło, a jasnoseledynowa zieleń ścian i pomalowanych o ton tylko ciemniej ciągów rur i przewodów pięknie kontrastowała z oksydowanymi częściami głowic rozrządu silników, wypolerowanymi do połysku blaszanymi pokrywami, czernią płyt podłogowych i – wyżej, na poziomie głowic – chodników zainstalowanych dla obsługi. Kotielnikow zauważył, że maszynownia jest bardzo czysta. Odniósł wrażenie, że mógłby wzorem admirała Roźdiestwienskigo¹³⁸ dotykać mechanizmów i ścian dłonią w białej rękawiczce i nie znalazłby na niej śladów brudu. Kaneyasu tymczasem, oparłszy się malowniczo o jeden

z silników, wyjaśniał, niczym przewodnik w muzeum, spokojną, prostą angielszczyzną:

– Mamy tu cztery dziesięciocylindrowe kampony. To czterosuwy z doładowaniem. To nasza licencyjna wersja niemieckich MAN-ów...

– Zaraz... – przerwał mu Kotielnikow, przypominając sobie to, co wiedział o monsunowych U-bootach, nad którymi do niedawna pracował. – Poznają. Są bardzo podobne...

– Widział pan już gdzieś takie? – zainteresował się uprzejmie Kaneyasu.

Kotielnikow machnął ręką na tajemnice. W końcu i tak miał nad tym pełną kontrolę. Odpowiedział więc, stwierdzając z zadowoleniem, że mówienie po angielsku przychodził mu coraz łatwiej:

– Mamy tu dwie niemieckie „dziewiątki”, tyle że tamte MAN-y mają po dziewięć cylindrów...

– Znam „dziewiątki” – przyznał Kaneyasu. – Ulepszyliśmy trochę M9V, bo, po pierwsze, nie musieliśmy oszczędzać miejsca i silnik mógł być dłuższy, po drugie – co prawda kosztem niewielkiego ubytku mocy – zmniejszyliśmy jeszcze zużycie paliwa, a po trzecie, jak pan widzi – szerokim gestem wskazał na kampony z lewej strony maszynowni – sprzęgliśmy je po dwa na oddzielnych wałach. Przejdziemy zaraz dalej i obejrzy pan sobie sprzęgło. Możemy je łączyć i rozdzielać. Doskonale rozwiązanie w razie awarii, a poza tym oszczędność, no i wielki zasięg. Razem mamy prawie osiem tysięcy koni na wałach i na powierzchni płyniemy z szybkością dziewiętnastu węzłów. Niemcy robią, robili... – poprawił się – świetne silniki. Podejrzewam, że Amerykanie takich nie mają?... – Mają. Już mają – zaoponował Kotielnikow w duchu, ale tego nie powiedział – Wygląda na to, że wszyscy będą wykorzystywać niemieckie osiągnięcia przez długie lata¹³⁹. Ponieważ możemy rozdzielać moc, nie stosowaliśmy silników marszowych. Chodźmy dalej. Ma pan tu silnik elektryczny... – Patrzyli na pancerną pałubę ze stalowego chodnika przedziału. – Jest spory, trzeba przyznać, ale ma świetną moc tysiąca dwustu koni. Ma także jedną wadę. Strasznie się grzeje. Trzeba go więc chłodzić. Oczywiście nie wodą, tylko powietrzem w obiegu zamkniętym. To kłopotliwe, bo powietrze trzeba chłodzić wodą zza burty. Stąd tyle tu pomp i dodatkowych urządzeń. Pompy hałasują, dlatego, jak pan widzi, pomieszczenie jest wygłuszone kauczukiem. – Kaneyasu otworzył właz, ale nie zamierzając nim przechodzić, wskazał ruchem głowy wewnątrz kolejnego, prowadzącego ku rufie przedziału. – Dalej już nic ciekawego. Wały. Smarownice. Maszynka sterowa i takie tam. Trzeba by się bardzo schylać.

Kotielnikow pokiwał głową ze zrozumieniem i pewnym ruchem, wyręczając przewodnika, zamknął starannie właz, jak gospodarz dbający o to, by nikt nie wlaźł mu do stodoły pełnej plonów.

Na górze było głośno i jasno, bo scenerię oświetlały tysiąc-watowe lampy.

Kotielnikow był dumny ze swego pomysłu przykrycia dwustumetrowego suchego doku dachem podobnym do tych, jakimi pokrywa się hale fabryczne w wytwórniach lotniczych. Z góry, przez tafle zbrojonego szkła, niczego się nie wypatrzy, a wejście na teren tego kwartału stoczni zabezpieczono trzema posterunkami, którym trzeba było okazywać przepustki. Oczywiście każdy z tych sukinsynów może być szpiegiem. Sam diabeł tego nie wie, ale zrobiono, co tylko można.

Stali na wyniosłym mostku Sen-toku i mieli przed sobą imponujący widok na sześćdziesięciometrowy, wznoszący się łagodnie ryj okrętu.

Specjaliści od hydrodynamiki uznali najwidoczniej, że z tak uniesioną stewą okręt łatwiej zniesie kaprysy oceanu – domyślił się Kotielnikow. – Poza tym jeśli falom będzie trudniej wtargnąć na pokład dziobowy, można będzie ekspediować seirany w powietrze przy wyższym stanie morza.

Centralną część, ściślej mówiąc – kręgosłup przedniego pokładu, stanowiły prowadnice dwudziestosześcimetrowej katapulty. Pancerna kopuła hangaru była już otwarta, a pierwszy z seiranów wyjeżdżał właśnie przy akompaniamencie elektrycznego cmokania wyciągarki. Na dole rządził Takemitsu, wymachując nedorzecznie cieniutkimi ramionami. W za luźnych rosyjskich drelichach wyglądał żałośnie, niczym wygłodzony, ale niespożyty gnom.

– Zejdźmy – powiedział admirał, gdy już się napatrzył. – Obejrzymy kadłub i powie mi pan, co trzeba zrobić.

Gdy stanęli na dnie suchego doku, Kotielnikow mógł docenić ogrom rozdętego niby spuchnięta murena kadłuba, podpartego sprytnie wyprofilowanymi przyporami. Nie czekając na Kaneyasu i Kirę, Kotielnikow pomaszerował szparko w kierunku dziobu, budząc marynarskimi, ciężkimi trzewikami betonowe echa. Stanął wreszcie dokładnie w centralnej osi okrętu, wznoszącego wyniosłą stewę dziobową. Zamknięte pokrywy wyrzutni torpedowych wyglądały niewinnie, jak osiem regularnych śladów rzeźbiarskiego dłuta. Pomimo swego ogromu, okręt nie wydawał się ciężki ani niezdarny. Był bardzo dobrze zaprojektowany.

Kadłub zniósł świetnie subtropikalne wody i nie było na nim widać glonów ani muszli, jedynie grubą warstwę skryształizowanej soli i minerałów. Admirała zaniepokoiło co innego. Skóra Sen-toku. Najwyraźniej się łuszczyła.

– Komandorze! – zawołał. – Co to tu odpada? Partactwo...

Toru spojrział na Kirę, prosząc o przekład. Chciał, by Rosjanin dobrze go zrozumiał.

– Nie będzie z tym problemu. To powłoka pochłaniająca impulsy sonaru. Mieszanka gumy, azbestu i jakichś klejów. Pana technicy muszą pobrać próbki i trochę poeksperymentować. Może uda się to ulepszyć na tyle, żeby wytrzymało w słonej wodzie dłużej niż pięć lat. Moim zdaniem, trzeba wszystko zeszkrobać, oczyścić i pomalować blachy, a potem trysnąć od nowa. Cały okręt. Przy okazji sprawdzi się spawy, nitowanie i kable demagnetyzujące.

– Czy ta guma z azbestem, jak pan mówi, nie zmniejsza szybkości?

– Jakoś nie – uspokoił Kaneyasu. – Jak pan wie, skóra rekina też nie jest gładka, raczej chropowata, ale to tylko polepsza jego właściwości hydrodynamiczne.

W części rufowej było znacznie gorzej. Najwyraźniej hydrodynamika kadłuba powodowała szybsze i silniejsze osadzanie się minerałów i skóra Sen-toku wyglądała w tych partiach jak gnijący w morzu sargasowym kadłub galeonu. Pachniało to też nie najlepiej i admirał postanowił, że technicy oczyszczą rufę, stery i śruby w pierwszej kolejności.

– Tu to kosmetyka, komandorze. – Uśmiechnął się łaskawie.

– A w środku? Jak pan sądzi?

– Diesel. Na pewno trzeba zrobić porządny przegląd. Przepłynęliśmy ze sto tysięcy mil. Uszczelki. Kompresja. Te sprawy. Nie powinniście mieć z tym problemów. Wziąłem z bazy co trzeba. Wymiana płynów. Filtry. Świece. Trzeba przejrzeć wszystkie agregaty, pompy, kompresory, chłodnice. Pomierzyć napięcia w instalacji elektrycznej. Zlikwidować przebicia. Potem zawory. Płukanie zbiorników balastowych. Przyrządy.

Trzeba skalibrować. Próby ciśnieniowe i obciążeniowe. Na koniec – katapulty i uzbrojenie. To potrwa miesiąc, może dwa. W tym czasie dotrzemy załogi i będą mogli ćwiczyć w morzu. Jeśli będzie pan gotów z przeróbkami samolotów i ze szkoleniem pilotów, to za pół roku możemy ruszać na wojnę i rozwalić Kanał Panamski w drobny mak. Zawsze miałem na to ochotę...

– Zerknął na admirała, niepewny efektu swoich żarcików, ale Kotielnikow, całkowicie już rozchmurzony, zrobił perskie oko i obydwaj się roześmieli.

Patrzący na nich, rechoczących na dnie doku, z góry Takemitsu westchnął i pomyślał: Panie Kaneyasu... że też potrafi się pan jeszcze śmiać. – Westchnął jeszcze raz, a potem nabrał powietrza i ryknął na – jak już ich w myślach nazywał – „swoich ludzi” wibrującym śmiesznie i wpadającym w wysokie tony głosem:

– Jazda! Mocujcie i bierzemy następnego!

Mieszkanie Kotielnikowa, późny wieczór, styczeń 1950

Był podniecony jak za studenckich czasów, kiedy to – wyglądając przez okno oficyny swojej stacji na podwórze – wypatrywał pierwszych urodzinowych gości i martwił się, czy pomyślą o przyniesieniu zamiast niepotrzebnego prezentu butelki wódki. Koniecznie wódki. Wino było źle widziane ze względu na swoją mniejszą „wydajność”. Z trudem hamował teraz chęć wychylenia porządnego kielicha, dziwiąc się, że przywiązuje do zaaranżowanego przez siebie wieczoru taką wagę. Wszak znał swoich gości doskonale. Gdy od godziny wyznaczonej na początek imprezy minęło dwadzieścia minut, nie wytrzymał i poszedł do jadalni. Poprawił ułożenie serwetki przy jednym z nakryć i z kryształowej karafki, zanurzonej w wiaderku z lodem, nalał sobie rosyjskiej wódki do szklanki od herbaty.

Dobłą rosyjską setę. Wypił wolno, delektując się smakiem. Potem spojrział na dno szklanki i wlał w szeroko otwarte usta ostatnią kropelkę. Nie zdążyła jeszcze skapnąć na język, gdy zabrzmiał dzwonek.

Zuzanna. Zarumieniona od mrozu, cudownie świeża i pachnąca. Tym razem, inaczej niż zazwyczaj, nie zostawiła butów w garderobie, lecz wpłynęła w jego otwarte na przywitanie ramiona w czarnych botach na wysokim obcasie. Były z cienkiej skórki i Kotielnikow bardzo chciał, żeby stopy w tych botach były zmarznięte na kość i żeby on mógł je rozcierać, czując w swoich wielkich, ciepłych dłoniach delikatną mgiełkę jedwabnych pończoch z przemytu. Stopy Zuzanny chyba jednak nie zmarzły. Wzięła taksówkę. Po raz pierwszy widział ją w wieczorowej sukni. Suknia była bardzo skromna, czarna. Zakrywała ramiona i przedramiona, za to wycięcie z tyłu (o czym przekonał się, obejmując ją przy powitalnym buziaku) sięgało rozkosznie aż do rowka pupy.

– Jak ci nie wstyd. Wiesz, że będą cudzoziemcy? – sapnął ściśnięty wzbierającym pożądaniem.

– Mam to gdzieś. Nie muszą mi tam zaglądać. Zresztą możesz mi dać mój szal. Czy ja ich znam?

– Nie znasz i nie chciałbym, żebyś po dzisiejszym wieczorze chwaliła się bez potrzeby tą znajomością.

Zuzanna zmarszczyła po swojemu nos. Zawsze marszczyła go wtedy, gdy Kotielnikow usiłował coś jej narzucić albo w czymś ją ograniczać. Lubiła męskie rzędy, ale była wolnym duchem.

– Taaak? – przeciągnęła. – A co to za cudaki, którymi nie wolno się chwalić?

Kotielnikow pociągnął ją na sofę i pocałował w przemiłe, gładkie, chłodne plecy w wycięciu balowej sukni. Poczł delikatny zapach konwalii.

– Moi współpracownicy, a dokładniej: tajni współpracownicy, więc nie wpytuj ich o sprawy związane z flotą i takimi tam rzeczami. Zresztą nie znasz się na tym, a oni nie będą podejmować tych tematów.

Wywinęła się zręcznie i cmoknęła go w ucho, wsuwając tam

błyskawicznie koniuszek języka. Ciepły dreszcz ukłuł go aż gdzieś między łopatkami.

– Fiu, fiu. Tylko mi nie mów, że wystroiłam się tak dla jakichś ponurych brodatych osiłek albo nudnych do wyrzygania inżynierków z tej twojej tajnej stoczni. Ostrzegam, że będę bezlitosna i połamię im serca na samym wstępie. Co będzie do jedzenia? – porzuciła temat tajnych współpracowników z właściwą sobie niefrasobliwością, a admirał topniał rozczulony jak śniegowy bałwan w marcowym słońcu.

– W pełnej gali flagowej widzę cię po raz pierwszy i powiem ci, że jest to wielkie przeżycie. Nie wiedziałem, że suknia może aż tak zmienić... – Zarumienił się, a dziewczyna wyczuła delikatną grę jego emocji.

– Bisurmanie! – powiedziała cicho z łagodnym wyrzutem – nie wyrzutem. – Bisurmanie. Znam cię. Chciałbyś się ze mną kochać w tej sukni...

– Czy to coś złego? – Zawstydział się, że tak łatwo czytać w jego myślach, i popatrzył Zuzannie w oczy.

– Nic złego. Przecież to przyjęcie nie będzie trwać wiecznie, a ja nie muszę wracać do domu. Więc co będzie do jedzenia? Ta twoja Scylla pewno przeszła samą siebie. Nina Andriejewna jest dla ciebie za dobra. Nawet nie wiesz, jak nazywają się te wszystkie potrawy, które pożerasz. Może mi wreszcie powiesz, z kim będziemy jedli kolację?

– To... – zawahał się Kotielnikow – to bardzo ciekawi ludzie. Dziewczyna przed trzydziestką... a właściwie chyba w twoim wieku. Polka urodzona w Japonii... Zresztą diabli wiedzą, jakiej jest narodowości. Mówi po rosyjsku jak Rosjanka, po japońsku jak Japonka, po angielsku jak Churchill i pewnie jeszcze paroma językami.

– Polka? – ożywiła się Wychowańska. – To będę mogła z nią rozmawiać po polsku? Jesteś cudowny. – Zarzuciła mu pachnące konwaliami ramiona na szyję i całowała długo, aż zabrakło mu oddechu. Odrzucił głowę na oparcie sofy i poczuł, że jest bardzo szczęśliwy. Pogładził Zuzannę po włosach kunsztownie upiętych w fantazyjny kok.

– On też jest wart uwagi...

– On? – przerwała. – Czyli, że będzie też kawaler. Świetnie. Może okaże się lepszym tancerzem od pana admirała. Będę mogła go prosić do tańca? Czy też może jest za bardzo tajny?

– To Japończyk.

– Japończyk? – Zastanawiała się chwilę, a potem rezolutnie nawiązała do poprzedniej kwestii: – Czy Japończycy tańczą walca? Albo tango?

– Nie bój się. Był w Europie. Mówi doskonale po angielsku i w ogóle jest bardzo dobrze ułożony. Spokojny. I... bardzo przygnębiony. – Poprawił się na sofie, tak by móc trzymać dziewczynę za obie dłonie. – Jest w nim wiele smutku i goryczy. Jest strasznie zrezygnowany. Właśnie dlatego go zaprosiłem. W zasadzie nie powinienem utrzymywać z nimi kontaktów pozasłużbowych, ale pracujemy razem codziennie od wielu tygodni i myślę, że się polubiliśmy. Chciałbym, żeby Kaneyasu trochę się odmoczył...Wiesz, co mam na myśli. Napijemy się porządnie. Przekąsimy. Pośpiewamy. Oni tu dziś zostaną w pokoju gościnnym. Ale postaraj się, co...? Niech poczują się jak w domu. Potrafisz okazywać takie domowe, normalne ciepło. – Popatrzył na nią prosząco.

– Japończyk – powtórzyła. – Przystojny?

– Nie znam się na tym. Ma miłą twarz.

– No, zobaczymy. – Wystudowanym ruchem przełożyła smukłe nogi i wstała zgrabnie, jak filmowa *diva*. W sam czas, bo znów zabrzmiał odległy dzwonek, a chwilę później głos meldującego się w przedpokoju Ninie Andriejewnie dowódcy eskorty.

Kotielnikow nie pozwalał Kirze i Kaneyasu poruszać się poza zamkniętą zoną projektu samodzielnie. Tak było bezpieczniej. W obrębie zony mieli jaką taką swobodę dzięki przepustkom wysokiej klasy dostępu, ale ponieważ posterunki znały ich doskonale, musieli i tam czuć się osaczeni. Z tego powodu zadbał o to, by mieli komfortowe kwatery i by niczego – w granicach rozsądku – im nie brakowało. Dla komandora ściągnął nawet japońskie książki z moskiewskich uniwersytetów i urządził małą salę

gimnastyczną, bo Japończyk skarżył się na brak ruchu. Stoczniowi cieśle wystrugali według wskazówek komandora dwa cudaczne drewniane miecze z wysezonowanego syberyjskiego jesionu i Kaneyasu wraz z Kirą spędzali tam większość wolnego czasu. Admirał – dyplomatycznie – nie pytał ich, co tam robią, bo sala rozwiązywała problem organizowania im rozrywek, do czego jako ich szef czuł się zobligowany. W końcu pracowali bardzo ciężko. Z pozostałymi Japończykami był mniejszy problem. Robili chętnie, co im polecono, i szybko uczyli się języka. Dostali czteroosobowe apartamenty, dobre jedzenie, wysoki żołd w amerykańskich dolarach i taki przydział alkoholu, by nie musieli się martwić, że nad ranem zabraknie. Wydawali się zadowoleni, a ich pocieszny brygadzysta Takemitsu był maskotką projektu. Każdy Rosjanin czuł się zobowiązany ukłonić w pierwszej kolejności właśnie jemu, wiedząc, że zyska tym sobie życzliwość starego Japończyka. Uważano powszechnie, zupełnie nie wiadomo dlaczego, że pierwszy poranny ukłon pana Takemitsu przynosi szczęście. Dlatego każdy chciał być pierwszy.

Nina Andriejewna wprowadziła gości, a Kotielnikow ruszył naprzeciw z tacą, na której stały cztery delikatne, smukłe kieliszeczki napełnione najlepszą nalewką. Zuzanna patrzyła uważnie na nieznaną parę. Obydwoje mieli na sobie oficerskie mundury rosyjskiej floty, z doskonałego wełnianego sukna. Dziewczyna, najpewniej z pomocą wojskowych krawców, zgrabnie dopasowała męską kurtkę ze stójką, przekładając zapięcie na lewą stronę. Podobnie zgrabnie wyglądały, przerobione mundurowe bryczesy z lampasem, wpuszczone w najmniejsze oficerki, jakie znaleziono w magazynie. Jediną ozdobą dziewczyny były wspaniałe, złote, falujące włosy, związane w prosty koński ogon granatową aksamitką, i biały paseczek kołnierzyka. Zuzanna nigdy nie widziała tak doskonałej urody. Ani kogoś, kto tak bardzo odpowiadałby jej własnym ideałom piękna. Uświadomiła sobie, że wiele dałaby za to, by tak właśnie wyglądać, choć jej urodzie Czytelnik niewiele zdołałby zarzucić... Mężczyzna też był godny uwagi. Wystąpił w podobnie granatowym mundurze bez dystynkcji,

z białym paseczkiem dopinanego kołnierzyka, tyle że nie w wysokich butach i bryczesach, jak dziewczyna, ale w prostych, długich mundurowych spodniach i ciężkich, czarnych mundurowych półbutach. Zuzannie spodobała się od razu jego ni to pokora, ni to rezerwa, wyrażana postawą, oraz to, że trzymał dłonie swobodnie opuszczone wzdłuż bocznych szwów spodni i wyglądało to zupełnie naturalnie. Dostrzegła też jego miłe, regularne rysy, przycięte krótko „na zapalną”, lekko siwiejące włosy i to, o czym mówił Siergiej: bezgraniczny, najzupełniej czarny smutek w ciemnych oczach i w wymuszonym uśmiechu.

Kotielnikow przedstawił wszystkich, nie szafując niepotrzebnie nazwiskami:

– To jest pan komandor. Ma na imię Toru i zapewne nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby tak się do niego zwracać. A to Kira. To moja narzeczona – Zuzanna. Proponuję, żeby wszyscy mówili sobie po imieniu.

– Jeśli tak – Zuzanna wczuła się w rolę gospodyni balu – to trzeba wypić.

Na szczęście nikt nie fundował Japończykowi łapy na powitanie i Kaneyasu od razu poczuł się lepiej. Gdy zaś wypił kieliszeczek jednej z genialnych nalewek Niny Andriejewny, oczy mu pojaśniały, a z mięśni ustąpiło napięcie. Zuzanna, na obcasach swoich botów dorównująca mu wzrostem, bez ceregieli ujęła go pod ramię i pociągnęła w stronę stołu z przekąskami. Chcąc nie chcąc, Kotielnikow podał ramię Kirze.

– Świat schodzi na psy. Szykują się nowe wojny, a kawior to jest coś, dla czego warto żyć i mieć to wszystko w nosie – wygłosił pochwałę jesiotrowego produktu, budując piętrową konstrukcję z gorącego blina, kawioru i kawałka puszkowego ananasa. Admirał miał, dzięki Przyjemskiemu, dobre wyczucie stylu i nie gustował w sowieckich przyjęciach za stołem pełnym mocnych alkoholi. Lubił dozować nastrój i przyjemności, a Zuzanna, która poznała go także od tej strony, twierdziła, że Kotielnikow jest w tych sprawach mistrzem.

– Jaka jest pańska diagnoza, panie admirale? – Kira najpierw cicho

przetłumaczyła komandorowi tyradę gospodarza, a potem zapragnęła przekonać się, na ile Kotielnikow potrafi być szczery.

– Sam mechanizm wydaje się znajomy... – Kotielnikow z żalem odłożył nadgryzionego blina na talerzyk i sięgnął po karafkę. – Wojna dobrych ze złymi. Obrona zagrożonych wartości i ciemionych ludów. To łatwe. Świat to przerabiał wiele razy. Po raz pierwszy jednak, proszę państwa, świat mnie naprawdę zadziwia...

– Niby czemu? – Zuzanna wzięła czysty talerzyk i widząc, że japoński komandor niczego nie je, postanowiła skomponować dla niego własny zestaw.

– Okazuje się, że nie wystarczy zwyciężyć. Trzeba umieć przewidzieć, co z tego zwycięstwa wyniknie. Tak się jakoś porobiło, że... – Kotielnikow zawahał się, dobierając słowa i myśli. – Jednym słowem okazuje się, że wygrana wojna jest wstępem do następnych. Nie daje się tego zatrzymać. My targaliśmy się za łby, a naokoło rosną nowe siły i diabli wiedzą, co się stanie za chwilę. Mnie to, proszę państwa, wcale nie cieszy, ale dajmy spokój. Kawior to jest coś. Komandorze! Dlaczego pan nie je? Moja gospodyni będzie niepokieszona.

– Już je. – Zuzanna ze ślicznym dygnięciem gimnazjalistki wręczyła zmieszanemu Kaneyasu talerzyk z wybranymi przez siebie zakąskami. Miała dobre wyczucie, pomijając wędliny i tłuste rosyjskie sery. Kaneyasu ostrożnie spróbował, podnosząc potrawy do ust palcami. Smakowało mu. Rosyjska kuchnia, czasami prostacka, narzucająca się, ciężka i tłusta, potrafiła również być delikatna, subtelna i bardzo różnorodna. Słysnęła z kiszonych ogóreczków, marynowanych arbuzów, delikatnej dyni, borówek, dobrych słonecznikowych olejów, marynowanych grzybów, żurawin, pestek ze słonecznika, placków, blinów i pierożków, a Nina Andriejewna znała się na rzeczy.

W stoczni Kaneyasu żywił się sam, głównie całkiem przyzwoitym brązowym ryżem, który intendentura sprowadzała chyba z Chin. Trochę cebuli, suszonych warzyw, wspaniałych rosyjskich grzybów, wędzone – zbyt

słone, jak na jego gust – ryby, fasola, świeża marchew i kapusta pozwalały na skomponowanie znośnej diety. Ludzie z bazy, na czele z Takemitsu, dawno już pogodzili się ze stołówkowym rosyjskim żywieniem, opartym na ziemniakach, kaszy, wieprzowinie i kapuście, i bardzo je sobie chwalili. Kaneyasu jednak nie chciał rezygnować z dietetycznych przyzwyczajień. Były wszak jedną z niewielu już cienkich niteczek łączących go z przeszłością i krajem. Od czasu gdy postawił stopę na rosyjskiej ziemi, nie pił też mocnych trunków i poprzestawał na butelce smacznego, choć za bardzo kwaskowatego piwa o zastanawiającej nazwie Wostocznaja Zaria. Dlatego – choć powitalny kieliszeczek mocnej 50-procentowej nalewki na jagodach przemarzniętej tarniny rozlał w jego ciele rozkoszne, mrowiące i słodkawe jak krew ciepło – nie dolewał sobie więcej. Wódka kojarzyła mu się z hańbą i wstydem. Odstawił talerzyk i nalał sobie cudownej w smaku wody mineralnej.

– Ma pan piękne mieszkanie – powiedział, rozglądając się po jadalni.

– Jest pan, komandorze, drugą po Zuzannie osobą, której to mieszkanie się podoba. Ja za nim nie przepadam. A co – jeśli wolno spytać – tak pana zachwyca? – chciał wiedzieć Kotielnikow, ale nie mówił całkiem serio.

– Jest tu tak wysoko i tak dużo miejsca – powiedział po angielsku Kaneyasu. – Prawdziwy pałac... Czy wolno mi będzie obejrzeć pozostałe pokoje?

– Oczywiście – tubalnie zgodził się admirał także po angielsku i pomyślał, że jeśli zmusi się do posługiwania tym językiem, to za dwa tygodnie będzie mówił zupełnie swobodnie. Angielski Japończyka był bowiem prosty i komunikatywny. – Pod jednym warunkiem... – Machnął wielką dłonią. – Napijemy się na drogę! Wszyscy. I nie jakichś tam narzanów, tylko wódki.

– Na drogę? – zapytał Kaneyasu z czystej uprzejmości, ale nie składał ewentualnych nieporozumień językowych na karb niedostatecznej edukacji admirała.

– Oczywiście. Mieszkanie jest bardzo duże. Nie wiadomo, kiedy będzie

następna okazja. – Kotielnikow grzmiał z emfazą doświadczonego birbanta, ustawiając na tacy angielski i nalewając wódkę z wielką, wypracowaną przez lata wprawą.

Kaneyasu przemógł wahanie i wstręt i nieoczekiwanie wódka sprawiła mu przyjemność. Poczul po raz pierwszy od długiego czasu, że można zapomnieć o sprawach, których nie da się zapomnieć, a przynajmniej, że można je choć na chwilę odłożyć na stronę i zająć się życiem, które okazywało się tak zaskakująco słodkie.

– Jak ci się podoba mój chłopak?

Kira poczuła tuż obok siebie pachnącą konwaliami Zuzannę. Stała tak blisko, że na moment zetknęły się biodrami. Raptem ogarnęło ją gwałtowne wzruszenie, lecz prawie natychmiast nad nim zapanowała. Zuzanna zadała pytanie po polsku!

– Nie jest w moim typie – odpowiedziała z rezerwą po polsku – ale bardzo dobrze rozumiem, za co można go kochać. Z pewnością czujesz się przy nim bezpieczna?

Zuzanna pokiwała głową w serdecznym i gorliwym potwierdzeniu, a Kira chciała się przekonać, czy właściwie rozpoznała inne walory Kotielnikowa:

– Bardzo się stara? Prawda?

– No – przytaknęła uszczęśliwiona Zuzanna. – Bardzo.

– Fajnie. Próbuj.

Zuzanna nie bardzo wiedziała, jak rozumieć to ostatnie zalecenie.

– A ty... Od dawna znasz komandora?

– Od bardzo dawna. Tyle że mieliśmy długą przerwę. Na szczęście Toru nigdy się za bardzo nie starał. Dlatego wciąż go lubię. Jesteś Polką?

Zuzanna z dumą, tak jakby polskość stanowiła dostateczny do niej powód, pokiwała głową:

– No. A ty?

– Moja mama przyjechała z Polski...

– Co z nią?

Kira oblizwała wargi i chwilę się zastanowiła.

– No, wiesz... Dajmy temu spokój. Chodź! – Pociągnęła Zuzannę do stołu. – Walniemy sobie i pójdziemy oglądać mieszkanie. Zobacz, gdzie już są nasi chłopcy. – Kotielnikow i Kaneyasu ginęli w perspektywie ogromnej amfilady.

– To jest biblioteka – puszył się Kotielnikow. – A tu mały salonik.

– Czy mogę obejrzeć miecze? – Kaneyasu natychmiast wypatrzył stojak i ułożone na nim wbrew wszelkim regułom estetyki i etykiety dwa miecze.

– Oczywiście. – Kotielnikow nie widział w pytaniu komandora niczego zdroźnego.

Kaneyasu podszedł do stojaka, ale po namyśle wycofał się w kąt pokoju i zdjął ciężkie, oficerskie półbuty, zostając w czarnych, wełnianych skarpetach. Nie wyobrażał sobie oglądania mieczy na stojąco, a rosyjskie sztywne, wykonane z grubej skóry trzewiki, uniemożliwiłyby mu seiza¹⁴⁰.

Kira patrzyła na to z pełnym skupieniem i zrozumieniem, a Kotielnikow i Zuzanna podejrzewali, że Japończyk szykuje jakiś żart. Kaneyasu uważnie, oszczędnie dozując ruchy, najpierw umieścił miecze tak, jak należy – częścią tnącą ostrza do góry i rękojeściami w stronę wyjścia z mieszkania.

– Dlaczego tak? – Zuzanna postanowiła naśladować Japończyka, więc pozbyła się botów, postawiła je w grzecznym ordynku obok trzewików komandora i siadła zwinnie blisko niego. Nieco z tyłu. Skąd wiedziała, że tak należy to zrobić?

– To są „nowe” miecze – objaśniał z namaszczaniem Kaneyasu. – Kiedyś noszono miecz na rapciach, a ostrze częścią tnącą wskazywało na dół. No bo walczono głównie w polu, z konia. Tak też go wyjmowano do cięć bezpośrednich z dołu, służących na przykład do obcięcia dłoni przeciwnika trzymających broń, lub do cięć przez tułów od dołu do góry.

Odłożywszy miecze na stojak, Kaneyasu ilustrował swój wykład ruchami dłoni i – co charakterystyczne – mówił przed siebie w stronę mieczy, nie odwracając się do Kotielnikowa i Zuzanny. Jego postawa wyrażała

pewność, że to, co mówi, jest słuchane i odbierane. Zuzanna i Kotielnikow byli autentycznie zainteresowani. Zuzanna dlatego, że nigdy nie widziała kogoś tak mówiącego, a Kotielnikow głównie dlatego, że po raz pierwszy w jego obecności Kaneyasu bez przymusu i ponagłania mówił o czymś tak żarliwie i w takim skupieniu. O okręcie mówił, bo taka wypadła mu rola, i był to pozbawiony szczególnych emocji wykład inżyniera. O mieczach mówił, bo chciał o nich mówić. Kira wydawała się znudzona. Pełniła bez zarzutu rolę tłumaczki, ale jej oczy błędziły po grzbietach książek.

– Do dziś w różnych szkołach szermierki są ślady tego wyjmowania z dołu. – Kaneyasu zamilkł na chwilę, bo przebiegła mu przez głowę myśl, czy powiedzenie „do dziś” w sytuacji, gdy wszystko, co było, zostało zniszczone, ma jakikolwiek sens. Potem potrząsnął głową, jakby opędzał się od dokuczliwego owada, i ganiąc siebie za brak opanowania, ciągnął: – Nazywamy takie wyjęcia *tachi-iai*, bo ten stary, noszony na rapciach miecz nazywał się właśnie *tachi*. *Tachi*, gdyby je trzymać na takim stojaku jak ten, mogłoby leżeć grzbietem do dołu, ale nowy miecz, czyli katana, już nie...

– A dlaczego pan... Dlaczego odwróciłeś miecz rękojeścią w stronę wejścia? Czy to ma jakieś znaczenie? – pytała zarumieniona z ciekawości Zuzanna. Od twardego parkietu rozboleły ją stopy, ale postanowiła wytrzymać.

– Zasadnicze – odpowiedział Kaneyasu. – W Japonii, gdybym przyszedł do kogoś i zobaczył miecz ułożony sztychem w stronę wejścia, natychmiast zrozumiałbym, że nie jestem w tym domu mile widziany i szybko bym się pożegnał.

– To jest... takie jednoznaczne? – nie dowierzał Kotielnikow.

– I naprawdę wystarczy, żeby gość zrozumiał?

– Tak. To wystarczy – potwierdził Toru. – Gość, który po takim sygnale przedłużałby swoją obecność w domu, okazałby wielki brak szacunku i doprowadziłby do ostrego konfliktu.

– Coś takiego! – zdziwił się admirał. – U nas, jak chcesz się wykręcić od

wizyty jakiegoś durnia albo teściowej, nie daj Bóg, albo kogoś z rodziny, łgasz, zmyślasz, udajesz, że jesteś chory. Albo że cię nie ma w domu. A tu. Proszę. Wystarczy przekręcić miecz i wszystko jasne. Bardzo mi się to podoba. Zuzanko? Zapamiętasz? – Żartował, bo nie zdarzyło się, by nie miał ochoty jej przyjmować. Zuzanna zaczęła się kręcić. Nie wiedziała, że tak trudno jest siedzieć na piętach.

– Proszę mocno napiąć mięśnie brzucha – doradził Toru.

– Ból zaraz ustąpi, ale najlepiej niech pani zmienia pozycje. Inaczej stopy zdrętwieją i nie będzie pani mogła wstać. To wymaga wprawy.

Japończyk najwidoczniej miał dodatkowe oko z tyłu głowy, i to w dodatku oko, które potrafiło zaglądać w kochane stópki Zuzanny. Kotielnikow z całej duszy zazdrościł mu tej umiejętności.

Kaneyasu tymczasem uważnie oglądał oprawy. Pierwsza nie wzbudziła jego zainteresowania, więc odłożył miecz na stojak. Drugiej przyglądał się z wielką uwagą. Miecz opatrzony był dużą i masywną bojową gardą z wizerunkiem Shoki – pogromcy demonów. Shoki, misternie połączany, z wytrzeszczonymi, także połączanymi oczami, zajmował połowę gardy. Miał złoty hełm, złotą brodę i brwi i złote *obi* zawiązane na prostą, mnisią kokardę. Miał również złoty miecz, który przechodząc przez otwór w gardzie, prezentował dumnie złote, obusieczne ostrze. Na rewersie gardy przerażone demony, a może lepiej – diabełki, wyposażone w wielkie miecze, zmykały co sił. Okucia rękojeści konsekwentnie wykorzystywały motywy gardy. Na *fuchi*¹⁴¹, w wypukłym reliefie, pomieszczono odrażającą, a mimo to sympatyczną gębę Shoki, na *tsuka gashira*¹⁴² widniał uciekający w panice demonek. Bawełniany oplot rękojeści nosił ślady częstego używania, a *menuki*¹⁴³ – jak można się było spodziewać – miały kształt małych, przerażonych diabełków. Oprawa była mistrzowska, choć nie bardzo stara. Kaneyasu oceniał, że pochodzi z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Ostrożnie położył miecz po swojej prawej stronie i uznając w admirale właściciela, obracając się całym ciałem w jego stronę

spytał:

– Czy mogę obejrzeć głownię?

Kotielnikow plasnął w dłonie.

– Niech pan da spokój. – Zapomniał, że ma mówić swojemu gościowi na „ty”. – Czy potrzebne panu jakieś specjalne pozwolenie? Przecież miecz nie jest nabity... – zazartował.

– W moim kraju, gdybym wyciągał głownię bez pozwolenia właściciela, byłby to wielki nietakt i pewnie nigdy więcej nie zaproszono by mnie do jego domu.

– Oj, doprawdy – bagatelizował admirał. – To nie są moje miecze. Były w tym mieszkaniu...

– A zatem mogę? – upewnił się Toru, a Kotielnikow, zrezygnowany, podporządkował się japońskiemu obyczajowi i kiwnął przyzwalająco głową.

Kaneyasu ponownie obrócił się w stronę stojaka. Wziął miecz i trzymając lewą dłonią matowo lakowaną, w stylu *kuroishime*, pochwę od spodu, delikatnie uwolnił *habaki* * (**Habaki (jap.) – osadka progę, element który „uszczelnia” miecz w pochwie, nie pozwalając mu się przypadkowo wysunąć.*) z gniazda i już po wyjęciu pierwszych pięciu centymetrów sapnął z podziwu. To był Masatsune z Bizen. Pofalowane słoje kilkunastu tysięcy warstw skuwanej stali w charakterystycznym rysunku *ayasugi hada* nie pozostawiały wiele miejsca na wątpliwości. Kaneyasu obnażył całą głownię, odłożył pochwę na swoją lewą stronę i uważnie oglądał ostrze, wykorzystując łagodne światło ściennych kinkietów.

– Admirale – powiedział wreszcie, zauważywszy, że ktoś dotykał miecza palcami. Na szczęście pot i kwasy skóry nie zdołały wedrzeć się jeszcze zbyt głęboko we wrażliwą powierzchnię. – Proszę nie myśleć, że oszalałem, ale potrzebuję szybko miękkiej bawełnianej szmatki i odrobiny zwykłego oleju.

– Na co to? – chciał wiedzieć Kotielnikow. Zuzanna nie zadawała zbędnych pytań. Nie wkładając botów, lekka jak iskierka, pobiegła do jadalni. Wróciła po chwili i podała komandorowi serwetkę umoczoną w salaterce z wędzonymi rybkami.

– Może być od sardynek? – spytała wcale niezadyszana, a Kaneyasu, nie odwracając głowy, sięgnął po bawełnianą szmatkę z nieapetyczną tłustą plamą pośrodku.

– Ostatni moment – powiedział. – Jeszcze kilka dni i głównię oszpeciłyby wżery. – Starannie przetaił zaplamione miejsca, obejrzał efekt i przeciągnął serwetką dwukrotnie wzdłuż całego ostrza. – Nie jest to zbyt eleganckie, ale, jak sądzę, nie znaleźlibyśmy w tym domu olejku z pąków goździków ani miękkiego ryżowego papieru. Musi nam wystarczyć to, co jest – choć pachnie sardynkami...

– Nie rozumiem. – Zuzanna znów dzielnie siadła na piętach i zaglądała komandorowi przez ramię. – Ta stal tak ładnie błyszczy, a szkodzą jej odciski palców? A krew nie?

– Szkodzą i palce, i krew. I nawet to, że się na głównię chucha.

Zuzanna nie dawała za wygraną:

– Słyszałam, że te miecze są bardzo wytrzymałe, że nie było nigdy lepszej białej broni. To jak to jest? Taki niby wytrzymały, a nie można na niego chuchnąć. – Poszukała wzrokiem aprobaty u Kotielnikowa, a ten natychmiast pospieszył ze wsparciem:

– Właśnie! – Kucnął tuż za Zuzanną, aż chrupnęło mu w stawach kolanowych.

– Głownia jest bardzo wytrzymała, ale to nie jest stal nierdzewna ani kwasoodporna. Nawet odrobina wilgoci czy kwasu zaczyna od razu niszczyć powierzchnię. Dzieje się tak dlatego, że na płaszczu, czyli na zewnętrznej warstwie, mamy stal o bardzo wysokiej zawartości węgla.

– Rozumiem, że pot – pokiwał głową Kotielnikow – ale ta krew? To znaczy... jak obcięło się komuś głowę i schowało taki zakrwawiony do pochwy... To dopiero będą wżery...

– Krew się strząsa. Zaraz po cięciu, które kończy walkę. Z tak wypolerowanej głowni świeża krew spływa bez śladu. Proszę zanurzyć nóż kuchenny w wodzie, a potem strząsnąć go, ot tak, jak się strząsa termometr. Nie zostanie ani kropelka. Podobnie strząsa się miecz. Takie

strząśnięcie po japońsku nazywa się *chiburi*. Kończy się nim każde *kata*, czyli każda forma w treningu miecza. Ten jest piękny i bardzo cenny. Szkoda, że nie będę miał okazji nim poćwiczyć. Kira, zobacz.

Nie trzeba jej było zachęcać. Od dłuższego czasu wpatrywała się w miecz, którym zajmował się komandor. Teraz musiała tylko nabrać pewności i nie okazywać wzruszenia. Zdjęła obuwie i usiadła na podłodze. Toru, nie pytając Kotielnikowa po raz drugi o pozwolenie, podał jej miecz. Kira przełknęła ślinę. Nagle zrobiło się jej słabo. W ciepłym świetle biblioteki nikt oprócz komandora nie zauważył, że pobladła. To był miecz ojca. Spuściła głowę, usiłując się opanować. Nigdy nie dowiedziała się, co zrobiono z jego ciałem. Teraz wiedziała przynajmniej, kto jest właścicielem jego miecza.

– Piękny – powiedziała, starając się, by w tej pochwalie nie zabrzmiały żadne emocje.

Kotielnikow nieświadomie przyszedł jej z pomocą:

– Mówicie, że te miecze są piękne. Ja tam nie widzę w nich niczego szczególnego. Dzisiaj to dobre do muzeum. Żaden miecz, nawet najbardziej – jak twierdzi komandor – nawęglony, nie wygra z pistoletem maszynowym. A ten drugi, komandorze? Też jest cenny?

Kaneyasu wziął drugi miecz i tylko chwilę mu się przyglądał.

– Nie. Nie jest. To głównia z końca ubiegłego wieku, jak sędzę. Nic szczególnego, ale to dobry miecz.

– W takim razie... – Kotielnikow postarał się, aby zabrzmiało to uroczyście – w takim razie, jeśli sprawi to wam przyjemność, jutro znajdziecie oba miecze w tej waszej sali do ćwiczeń. Razem ze stojakiem. Nie... nie. To nic wielkiego, komandorze. Daję, bo nie moje. Nie przepadam za tymi mieczami i dawno chciałem je kazać wynieść na strych. A tak przynajmniej nikt nie będzie na nie chuchał ani ich dotykał tłustymi palcami. Tylko, bardzo was proszę, nie skaleczcie się. Komandorze, pan – jak rozumiem – zna się na rzeczy. Tak? No więc niech pan uważa.

Kaneyasu ogromnie się ucieszył. Wstał i ukłonił się admirałowi

z szacunkiem. Jeżeli brakowało mu czegoś z dawnego życia, to chyba właśnie ćwiczeń z *shinken* [144](#).

– Bardzo dziękuję. To dla mnie wielka przyjemność. Jeżeli jednak ktoś ma te miecze przenosić, to na wszelki wypadek zrobmy tak... – Wprawnie oplatając *sageo** (*Sageo (jap.) – taśma służąca do umocowania miecza za szarfą, mająca także wiele innych zastosowań. Można nią podwiązać szerokie rękawy przed walką, można związać przeciwnika.) wokół rękojeści, zabezpieczył głównie przed wypadnięciem. – Dobrze by też było owinać je kawałkiem flaneli lub choćby ręcznikiem...

– Owiniemy, komandorze, owiniemy. Sam to jutro zrobię - zapewnił Kotielnikow – a teraz dajmy już spokój narzędziom mordy i chodźmy na mój mostek kapitański. Dziewczyny, włożcie buty. Jak to tak na bosaka? A jak któryś z obecnych tu kawalerów poprosi do tańca? – basował uradowany, że udało mu się prezentem poprawić nastrój Japończyka, i przymilając się, zaganiał swoich gości, jak wielki pies pasterski stadko owiec. Przemierzali przestrzenie amfilady, budząc ukryte po kątach echa, i znaleźli się w ostatnim, ryzalitowym saloniku narożnym. Paliła się tu tylko mała lampka na komódce i niewielki, miły ogień w empirowym kominku, ozdobionym słodkimi porcelanowymi kiczydółkami, a rozsunięte zasłony ukazywały całą nocną wspaniałość zatoki, portu i stoczni pod przezroczystą kopułą pogodnego, jasnego nieba. Kotielnikow, nim zdecydował się zaciągnąć story, patrzył długą chwilę w noc. Potem zapalił więcej świateł i oznajmił:

– Drodzy państwo. Goście tak wyjątkowi jak wy godni są wyjątkowego traktowania. Proszę siadać i... nie śmiać się. (Ostatnie słowa skierował pod adresem Zuzanny, która chichotała, szepcząc coś w zaufaniu patrzącej mrocznie przed siebie Kirze, przeszkadzając jej w tłumaczeniu.) Mam tu wyjątkowy koniak. Francuski. Proszę nie pytać, jak wszedłem w jego posiadanie. Jeszcze by się tym zainteresowały nasze służby graniczne. Proszę też nie pytać o liczbę gwiazdek i takie tam, bo się na tym nie znam. Wiem tylko, że koniak jest dobry, bo spróbowałem. Zuzanno, kieliszki. –

Rozlał gęsty, lejący się niczym olej trunek o pięknej, głębokiej barwie i dyskretnym, przytłumionym zapachu.

Kaneyasu opróżnił koniakówkę jednym łykiem, dziwiąc się, jak bardzo smakuje mu alkohol. Kira popijała drobnymi łykami, przyglądając się uważnie stojącej w kącie dużej sztaludze, przykrytej wielkim wełnianym szalem z frędzlami. Zuzanna znów zdjęła boty, ulokowała się po turecku na jednej z bisurmańskich sof i pijąc, rozmasowywała stopy.

– Dlaczego to zakryto? – spytała Kira.

Zuzanna, chcąc zapewne wyglądać bardziej godnie, spuściła stopy na podłogę i porozumiała się wzrokiem z admirałem. Kotielnikow, podochocony koniakami, zrobił minę klauna, która niczego nie mówiła, ale nie była groźna ani stanowcza.

Zuzanna pochyliła się więc do przodu i splatając drobne dłonie, powiedziała:

– Jeszcze nie skończyłam. Admirał nie chce mi pozować...

– A więc to pański portret? – Kira uśmiechnęła się z czułością. Dostrzegła naraz w wielkim, ciepłym i przedsiębiorczym marynarzu wszystkie te cechy, których nie miał żaden z jej dotychczasowych partnerów. Najważniejszą z nich było to, że Kotielnikow nie potrafił być cyniczny. Każdą sprawę traktował bardzo poważnie i nie umiał ukrywać swoich uczuć i sympatii. Wszystko miał wypisane na gębie.

Przez dłuższą chwilę admirał odwlekał odpowiedź. Stanęły mu przed oczami sceny związane z powstawaniem obrazu koczegara i aż się zaczerwienił.

– Niezupełnie mój... – rzekł niepewnie. – Ja tylko byłem... to znaczy... Zuzanna, wytłumacz, bo mnie jakoś to nie idzie! – uciał najwyraźniej poirytowany. Zuzanna wciąż siedziała pochylona do przodu i blask płonących kominkowych szczap oświetlających ją od dołu sprawiał, że jej buzia wyglądała dziecinnie i tajemniczo.

– Admirał ma rację, a zarazem jej nie ma – powiedziała. – Ale to się często zdarza admirałom. Z pewnością dlatego floty toną tak często i tak

bohatersko, i dramatycznie. Owszem, prosiłam go, żeby mi pozował w wolnych od służby chwilach, ale nie jest to portret Siergieja Kotielnikowa, tylko prostego palacza z piosenki. Poczekajcie. Jak admirał się rozbawi, będziecie mogli go poprosić, żeby wam zaśpiewał. A zatem jest to raczej admirał *a rebour* albo jego przeciwieństwo. Natomiast... proszę państwa... – Zuzanna lekko sfrunęła z sofy i ryzykując gniew brunatnego niedźwiedzia, obnażyła jednym ruchem niedokończoną *Śmiertelną wachtę*.

Kotielnikow w pierwszym odruchu chciał jej zrobić wymówkę, ale gdy rzucił okiem na bardziej niż sądził zaawansowane dzieło, dał spokój. Jako model mógł być z siebie dumny. Obraz był prawie skończony, brakowało tylko części bardzo ciemnego tła, bo Zuzanna – nie wiedząc, jak wyglądają ściany kotłowni – zdecydowała się ukryć w pełgających i chybotliwych półcieniach wszystko, prócz tych partii ciała i twarzy palacza, które oświetlało otwarte palenisko. Sam koczegar był znakomity. W rysunku mięśni, w ich maksymalnym napięciu poprzedzającym skurcz, w zarysowaniu napiętych do granic wytrzymałości ścięgien przegubów i stawów, w śliskiej, odrażającej powłoce błyszczącego potu, a wreszcie w bolesnym półprzymknięciu oślepionych żarem powiek był cały Kotielnikow. A raczej to, co zdołała w nim zobaczyć Zuzanna i czego być może on sam o sobie nie wiedział.

Admirał pomyślał, że gdyby kiedyś, schorowanemu i cierpiącemu, przyszło mu pełnić taką wypełnioną gorzkim przecuciem nadchodzącej śmierci wachtę, to wyglądałby właśnie tak.

Kaneyasu widział w obrazie to, co chciał zobaczyć, i zastanawiał się, jakim cudem ta drobna, ładniutka i trzpiotowata Polka zdołała przewidzieć to, co być może miało się wydarzyć. Taką zdolnością obdarzeni są jedynie ludzie wyjątkowo dojrzały i wyjątkowo doświadczony przez los. Kira też zobaczyła to, co chciała.

– On niedługo umrze? Tak? Dlaczego? – spytała.

– Bo jest chory, osłabiony, bo pracuje ponad siły. Bo bardzo poważnie, zbyt poważnie traktuje swój obowiązek.

– Dlatego umrze – powiedział ku zdziwieniu admirała i malarki Kaneyasu.

– Neeeeee... – zaproponował zdumiony Kotielnikow. – Pan, komandorze, to wszystko tam widzi? Nie wierzę. Na pewno wcześniej namówiliście się z tą prestidigitatorką.

– Nie namawialiśmy się. Daję słowo. Zuzanna... – Kaneyasu nie chciał dzielić się z admirałem mrocznymi przecuciami. – Zuzanna jest bardzo zdolna. Jeśli w tym obrazie wyraża się rzeczywiście wszystko to, o czym mówimy i myślimy, to powinna rzucić wszystko i jechać do Paryża...

– Wystarczy jej Władystok! – Kotielnikow przestraszył się samego pomysłu. – Zresztą, kto by ją puścił? Myśli pan, komandorze – nie wiedzieć czemu nie mógł zdobyć się na „tykanie” Japończyka, choć sam to zaproponował – że stąd wyjeżdża się ot tak, dla fantazji?

– Daj spokój! – wtrąciła Zuzanna. – Nie pojedę do Paryża. Nie skończyliśmy jeszcze obrazu, a poza tym... – Nie dokończyła, ale pomyślała, że wyjazd kochanki do Paryża zakończyłby w jednej sekundzie tak obiecującą karierę admirała. A ona miała konkretne plany – co do tej kariery i do niego samego – choć na razie mu o tym nie mówiła.

– No! – uspokoił się Kotielnikow i sięgnął po pękata butlę, by nalać wszystkim, a oni – zgodnie i chętnie – podstawili swoje kieliszki. – W takim razie wznoszę toast za moich gości.

Kira wypila pierwsza, traktując mocny, leżakujący wiele lat, koniak jak oranżadę, i poprosiła o dolewkę:

– Ja piję za talent Zuzanny.

Kaneyasu spełnił z ochotą i ten toast, a potem rozbawił wszystkich, bo pokonując swą ceremonialną powagę, oświadczył nagle:

– Jestem głodny. Chodźmy jeść.

Zuzanna postawiła na swoim i zmusiła admirała do uruchomienia patefonu. Potem długo grzebała w przegródkach szafki na płyty. Płytotekę – jak można się domyślać – Kotielnikow także odziedziczył po poprzednim lokatorze. Przeważały w niej koszmarki: patriotyczne pieśni w wykonaniu

wojskowych chórów oraz muzyka „ludowa”, pełna bałabajek, harmoszek i tandety. Z trudem doszukała się płyty z wiązką argentyńskich tang. Zniszczonej i trzeszczącej. Jej to jednak nie przeszkadzało. Miała wielką ochotę zatańczyć z komandorem. Gdy zobaczyła, że zapomniał swoich wypastowanych trzewików w bibliotece, pozbyła się botków i skłoniła się przed nim zabawnie. Teraz była od niego trochę niższa, a on objął ją ostrożnie, trzymając rękę wysoko nad wąską, sprężystą talią. Położył dłoń wysoko, a mimo to wyczuł chłód gładkiej skóry. Dłoń komandora była ciepła i sucha. Jej dotyk był bardzo przyjemnym doznaniem. Kotielnikow, który skłonił się przed Kirą, stłumił odruch zazdrości widząc, że komandor traktuje odsłonięte plecy jego ukochanej z należyтым szacunkiem. Zuzanna nie musiała rozmawiać. Chciała tańczyć i czuć. Keneyasu podobał się jej dlatego, że był spokojny, że niczego nie deklarował, z niczym się nie wrywał i zachowywał się tak powściągliwie. Pomyślała, że nie umywa się do jej admirała, ale bardzo chętnie widziałaby u Kotielnikowa cechy komandora. Powściągliwość i opanowanie! – myślała, a dłoń komandora nie zaprzeczała jej przemyśleniom. Tyle tylko, że ta dłoń – nic nie robiąc – wysyłała w stronę gołych pleców Zuzanny bardzo wyraźne i jednoznaczne sygnały. Przynajmniej tak odbierała je jej skóra.

– Czy pan mnie o coś pyta? – Zuzanna zmobilizowała resztki swojej żalösnej szkolnej angielszczyzny.

Kaneyasu nie zrozumiał i nawet nie wysiłał się, żeby zrozumieć, co mówi do niego ta jasna, wesoła i krucha dziewczyna. Dziewczyna, jakiej nie widział nigdy przedtem. Dziewczyna, której nie zobaczy nigdy potem. Dziewczyna bardzo ważna, decydująca. I zupełnie nieważna. Potrząsnął głową. To powinna zrozumieć. Powinna zrozumieć, do cholery, to, że on – jej partner w tańcu – jest w całkowicie obcym mu świecie i czuje się w tym świecie źle. Nie wie, czego ma się trzymać. Czego uchwycić.

Dlatego uchwycił się jej. Na moment. Zawarł tę intencję w intymnym i niewinnym sygnale i cieszył się, że intuicyjnie to odczytała. Ważne jest tylko to, że takie króciutkie, ciepłe fascynacje, wywołane szybko przyjętym

alkoholem, są potrzebne i miłe. Dają chwilowe, ale jakże mocne oparcie w kołującym w rytm argentyńskiego tanga świecie.

To wszystko, a może nawet jeszcze więcej, sygnalizowała dłoń Kaneyasu. Może nie tyle dłoń, co jej suche, obiecujące wnętrze. Bezwiednie – bo zrobiło to raczej jej ciało – Zuzanna wtuliła się w Japończyka, a Toru wciągnął powietrze i zatrzymał je tak, jak uczyło *iaido*. Poczuli się bardzo świeżo i dobrze, choć nie wiedział, dlaczego tak jest. Uczuli też, ale tylko na moment, silną więź z dziewczyną. Taką więź, która każe nam zwierzać się z najintymniejszych sekretów ludziom, których dopiero co poznaliśmy. Było to wartościowe i pulsujące serdecznością uczucie, lecz Kaneyasu potrafił być sceptyczny także wobec siebie.

Z czego niby miałby zwierzać się Zuzannie, oczekując jej serdecznego współczucia? Z tego, co zgotowano mu w Fukuoce? To było wciąż zbyt drastyczne i otępiające. Nawet jako temat do opowiadania. Czy może miał w niej szukać mentora, który pomógłby zrozumieć mechanizmy regulujące powojenną rzeczywistość jego kraju? Żeby móc spokojnie dywagować nad absurdami... nie, nie nad absurdami, ale nad wymóżdżonym okrucieństwem nowych czasów, potrzebny jest inny mentor. Ktoś, kto zamiast wrażliwego umysłu i czującego serca ma głowę pełną trybików, takich jak w budziku. Żeby żyć w czasach, które są najzupełniej mechaniczne i nieludzkie, trzeba być mechanicznym i nieludzkim. Może właśnie taka jest przyszłość?

Kotielnikow – myślał Kaneyasu – jest dobrym człowiekiem. Dano mu władzę i prerogatywy. Korzysta z nich, nie niszcząc ludzi, ale dając im szansę dalszej egzystencji obok siebie. Jest patriotą i stara się zrobić wszystko, by kraj dysponował najlepszą bronią. Czy fakt, że ta broń została ukradziona, zmienia moralny wymiar jego działań? A czyż my nie robiliśmy wszystkiego, by korzystać z najlepszych osiągnięć naszych wrogów i przyjaciół? Robiliśmy. Ale chyba nie tak. Nie tak. Nie stawialiśmy ich pod ścianą. Płaciliśmy, mówiliśmy, że chcemy się uczyć, albo prosiliśmy. Chociaż kto wie, czy było tylko tak. Czy ukradziona broń

może służyć dobrej sprawie? Z naszych legend wynika niezbitcie, że nie. Chyba że kradnie się broń bogom w interesie ludzi. Ale to zupełnie inna sprawa. Nie jesteśmy bogami. Staliśmy się małymi, nikczemnymi potworkami. Można o tym porozmawiać z Kirą... Tylko po co? Kira jest cynicznym demonem. Tym groźniejszym, że pozbawionym przyszłości. To, co robi, robi z rozpędu. Bo to lubi. Lubi zabijać.

Kaneyasu dobrze wyczuwał w ludziach chęć zabijania. W Kirze wyczuł ją dawno temu. Dlatego, choć z nią spał co noc, odczuwał tylko wielką, mechaniczną przyjemność. Nie była to kwestia wyuzdania czy braku uczucia. Kira zamieniła się w maszynę. Maszynę do miłości, maszynę do tłumaczenia i maszynę do zdrady. Jak można kochać się z maszyną do kochania? Chyba że...? Chyba że jest inaczej i cała wiedza o ludziach, którą zgromadził, jest do bani. Może Kira się maskuje. Może tylko udaje maszynę, by nie okazywać śmiertelnie niebezpiecznych w tym świecie uczuć. Może Kidera aż tak dobrze ją wytrenował? A on sam? W co gra? Cóż to za rola? Wymyślił sobie, że będzie *onimikado*. Że jest mu wszystko jedno, że może poruszać się między światami. Że pokonał nawet śmierć, bo przeżył coś bardziej krańcowego od śmierci. A może to poza? Maską, żeby usprawiedliwić własną małość, własne przyzwolenie na nieprawości tego świata. Żeby nie walczyć. Żeby mieć spokój. Żeby czuć się potrzebnym komukolwiek, do czegokolwiek. A może pokuta? Może potem będą order i oklaski. Ale czyje? Może będzie mu klaskał profos z Fukuoki i tych czterech Koreańczyków...? Czy z tego wszystkiego można... Czy należałoby z tego wszystkiego zwierzyć się tej małej, dobrej i kochanej dziewczynie z obcego kraju, która pachnie konwaliami i której drobne paluszki sygnalizują zrozumienie i współczucie?

Kaneyasu przestał wysyłać energię i jego dłonie stały się grzecznymi dłońmi dobrego, pełnego dystansu tancerza, a Zuzanna westchnęła i spojrzała na niego z pytaniem w oczach. Zajrzał w nie uważnie. Dostrzegł oczekiwanie i życzliwość. To też było dużo, więc całkiem po europejsku podniósł jej dłonie do ust i delikatnie pocałował, ale potem, gdy

odprowadzał ją na miejsce, uklonił się głęboko. W tym ukłonie, gdyby chciała i potrafiła, mogłaby odczytać wszystko, o czym myślał, tańcząc z nią.

Zaraz potem Kotielnikow zaciągnął Toru do jadalni. Nalewając wciąż nowe kolejki, dyskutowali o czymś zawzięcie, więc Kira wyciągnęła rękę do Zuzanny i zaproponowała po polsku:

– Chodźmy do tego ostatniego pokoju. Weź jakąś butelkę. Popatrzymy sobie na zatokę.

Zuzanna najchętniej poszłaby teraz do łóżka z Kotielnikowem, a może z Kaneyasu... To nie było zupełnie jasne i oczywiste. Ale taka możliwość pociągała ją. Widać było jednak, że obydwaj mają już dobrze w czubie i za nic nie przerwą dyskusji. Posłusznie wzięła więc pierwszą z brzegu butelkę oraz tacę z finezyjnymi kanapkami Niny Andriejewny i podreptała za Kirą przemykającą cicho jak duch przez amfiladę. Przystawiły sofę tak, by móc patrzeć na zatokę, a Kira odsunęła zasłony. Potem obie, bez porozumiewania, oparły stopy w pończochach na pseudomarmurowym parapecie, ciepłym od umieszczonego pod nim grzejnika.

Było już dobrze po północy i widok był bajkowy. To, co działo się na jasnym południowo-wschodnim nieboskłonie, przypominało czołówki mosfilmowych obrazów dla dzieci. Księżyc w pełni był wielki, niczym balon zaporowy, z doskonale widocznymi ospowatymi dziobami kraterów. Zdawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, by zanurzyć palec w takim dziobie. Niebo prezentowało wszystko, co miało pod tą szerokością geograficzną do zaprezentowania, a przezroczyste powietrze i czystość podwójnych okien, o którą pedantycznie dbała NinaAndriejewna, ułatwiały obserwację. Doskonałą konstrukcję zaokiennego kadru dopełniały wymodelowane, jak z białkowej pianki, długie, wąskie obłoki, z których jeden, najbardziej malowniczy, przechodził w tej właśnie chwili przez środek tarczy księżyca. Wewnętrzna reda skrzyła się milionami załamań i marszczeń, a całość przypominała perłowszarą tkaninę, ułożoną kunsztownie przez nadwornego krawca. Maleńkie z tej odległości sylwety okrętów wyglądały

jak czarne drzazgi, a może – lepiej – jak wpięte w materiał spinki z ciemnego, półszlachetnego kamienia. W kryształowym powietrzu wyczuwało się mróz, ale zatoka jeszcze nie zamarzała, toteż dyżurny niszczyciel, przemierzający ją w niespiesznym patrolu, rozsnuwał ciemne odkosy kilwaterny, które z odległości wydawały się zupełnie nieruchome.

Dziewczyny trąciły się kieliszkami i wypily jednocześnie w równym tempie, jakby obie przeczuwały, co będzie dalej. Kira odstawiła koniakówkę na podłogę, wyjęła z dłoni swojej znajomej tacę z kanapkami, którą też odstawiła, i ponownie umieściła na parapecie długie, szczupłe stopy obok krótszych i bardziej pulchnych stóp Zuzanny. Nachyliła się w jej stronę, ostrożnie ujęła jej miłą buzię w dłonie, tak jak bierze się naczynie napełnione po brzegi wodą, i zaczęła ją całować. Wargi Zuzanny, z początku obojętne i martwe, rozchyliły się wpuszczając chłodny język Kiry. Z niespieszną pedanterią spenetrował on emaliowane gładzie szkliwa ścisłych, równych zębów, a następnie – niczym doświadczony łamacz blokady – rozwarł także te zęby i nienatarczywie, lecz cierpliwie i stanowczo szukał kontaktu ze swym odpowiednikiem. Znalazł i pytająco, ale i uporczywie domagał się współpracy. Zuzanna mruknęła cicho, położyła obie dłonie na piersiach Kiry i odsunęła ją od siebie. Kira patrzyła na nią z zainteresowaniem, jakim wąż obdarza swoją ofiarę po wstrzyknięciu jadu.

– Co... Co ty? Odbiło ci? – Koniec pytania zabrzmiał cicho i chrapliwie.

Kira nie odpowiedziała. Zbliżyła wargi do warg. Zuzanna rozchyliła usta. Zaczęły się całować tak gwałtownie, że szczęknęły zęby, a Kira oblizwała krew. Gdy brakło im tchu, odsuwały się na moment od siebie, patrząc sobie w twarze roziskrzonymi, głodnymi oczami. Zuzanna zdjęła swoje lekkie stóпки z parapetu i zaplotła je wokół nóg Kiry. Kira, czując w tym przyzwolenie i zachętę, puściła twarz Zuzanny, chwyciła w palce cieniutkie ramiączka jej jedwabnej sukni i zsunęła je wzdłuż ramion.

Miseczki stanika wszyte były w czarny jedwab, a śliczne, pełne, choć niezbyt duże piersi – jak można się było spodziewać – nie wymagały

dodatkowych usztywnień.

– Szczęściarz z tego Kotielnikowa – szepnęła Kira, wążąc w dłoni każdą z tych piersi po kolei i dotykając twardniejących, dużych, ale bardzo ładnych sutków. Nie zachęcała Zuzanny do wzajemności. Wystarczyło jej, że sama dotyka. Lubiła dominować i przejmować inicjatywę, niezależnie od tego, czy chodziło o seks, o walkę czy o inną aktywność. Raz przełamana wola oporu nie obudziła się w Zuzannie ponownie, a jej ciało chętnie, choć nieśmiało wyraziło zgodę na kolejne manewry Kiry. Ta zsunęła czarny jedwab poniżej tali, a jej dłonie i wargi wzięły w jasyr ślicznie sklepiony brzusek. Jego coraz bardziej rozluźniające się mięśnie podpowiadały, że niżej także nie powinna napotkać zdecydowanego oporu. Ku zaskoczeniu bardzo już podnieconej Zuzanny Kira oderwała się od niej i poprawiła włosy. W mundurowej kurtce było jej ciasno i niewygodnie.

– Dlaczego? – szepnęła zemocjonowana Zuzanna, a Kira poleciła:

– Wciągnij sukienkę.

– Koniec? – W pytaniu było tyle samo żalu, co ulgi. Zuzanna także uporządkowała włosy i zmusiła obrzmiałe z podniecenia sutki do powrotu w czarne jedwabne miseczki.

– Skądże znowu. – Kira delikatnie, samymi wargami, musnęła wysunięte wargi Zuzanny. – Dopiero zaczynamy, ale nie mogę przecież tu ciebie zupełnie rozebrać, bo co by powiedziały te dwa głupki... gdyby tu wlażyły. Twój pewnie dałby ci w pupę.

– Noo. To możliwe. Takim marynarskim pasem... Co oni robią? – szepnęła Zuzanna konspiracyjnym tonem. Czuła, że ma ochotę na więcej. Pragnęła, by Kira posunęła się dalej. Przyczyny tego pragnienia pozostały dla niej niejasne, ale wizja chłosty admirałskim pasem była ekscytująca. Och, jakież to by było wspaniałe, gdyby Kotielnikow nakrył ją *in flagranti* z Kirą!

Podniecenie opadało z niej wolno ciepłą falą. Może nie tyle opadało, co przesunęło się gdzieś niżej, jakby chciało razem z nią ulokować się wygodnie na sofie, i Zuzanna uświadomiła sobie, że marzy o tym, by

znaleźć się z Kirą, jej wargami i dłońmi w innym miejscu i czasie. Kira lekko, jak leśny duszek, przemknęła przez amfiladę i chwilę nasłuchiwała odgłosów dochodzących z jadalni. Potem, uspokojona, pomknęła z powrotem i nawet pozwoliła sobie na sztubacki ślizg po wywoskowanej posadzce. Do sofy z rozemocjonowaną i pełną oczekiwania Zuzanną dojechała na kolanach i z rozłożonymi ramionami, jak gruziński tancerz przed ministerialną lożę podczas części artystycznej partyjnej akademii „na cześć”.

– I co? – Zuzanna nie wychodziła z roli konspiratora.

– I nic. Piją i gadają. Ten twój rozgadał się po angielsku jak głupi. Nawet nieźle mu idzie. Wygląda na to, że dobrze im razem...

– Tak jak nam? – Zuzanna przestała się maskować i wyczekująco spojrzała na wciąż klęczącą na podłodze Kirę.

– Jeszcze się nie całowali, ale kto wie... – Kira cicho i sprawnie przemieściła się pomiędzy okienny parapet a sofę. Bez słowa wstępu, bez pytania o zgodę, zaczęła przygotowywać kolejną część swoich poczynań.

– Co robisz? – Zuzanna była nieco zdetonowana. Czego jak czego, ale aż takiej jednoznaczności i bezkompromisowości się nie spodziewała.

– Zdejmuję... No podnieśże na chwilę pupę... Nie będę cię całować przez majtki.

Rolując i ściągając czarne jedwabne pończochy, trzymające się na udach jedynie dzięki wszytym elastycznym opaskom, Kira zaczęła oddychać tak samo głęboko i szybko, jak Zuzanna. Zuzanna zrozumiała, że od tego momentu nie da się już wycofać i wszelkie ceregiele będą nie na miejscu. Posłusznie rozchyliła lekkie uda i pozwoliła, by Kira umieściła jej obnażone już stopy na swoich plecach. Poczowała delikatne, chłodne palce oraz trochę cieplejszy, spiczasty, zwinnie język, a potem przestała koncentrować się na oczekiwaniu i jej rozluźnione ciało oddało się całkowicie leniwie dozowanej niepokojącej przyjemności. Zanurzyła palce obu dłoni we włosy Kiry i powoli zamknęła oczy, zatrzymując pod powiekami kadr wewnętrznej redy, pełen teraz roztańczonych, iskrzących się perłowo i szepczących coś

do niej po cichutku delfinów.

– Wie pan, komandorze... – Kotielnikow rozwalił się za wielkim stołem w jadalni w pozie nielicującej z rangą i absolutnie niezgodną z tym, czego o „zastołowych” manierach uczono go niegdyś w korpusie gardemarinów. Mundur, rozpięty niemal do pasa i włożony jak zwykle na gołe ciało, odsłaniał potężne tarcze mięśni piersi. Wzrok admirała był już dziki i przymglony. Od momentu, gdy porzucili koniak na rzecz amerykańskiej whisky, alkohol powoli, acz nieubłaganie unicestwiał wolę admirała. – Wie pan... nasza flota podwodna jest chyba najgorsza na świecie. W wojnę utopiliśmy albo daliśmy utopić więcej tonażu własnych okrętów, niż zdołaliśmy ustrzelić. Ale tak było wszędzie. U nas się szło na masę... „w rozwałku”¹⁴⁵ – wtrącił bezwiednie rosyjskie określenie.

Kaneyasu uśmiechnął się uprzejmie i poprosił o wyjaśnienie, ale Kotielnikow – nie znając angielskiego odpowiednika idiomu – był w stanie wytłumaczyć to jedynie na migi. Odgarnął zamasyżycie powietrze tak, jakby usuwał ludzi ze swojej drogi. Było to na tyle czytelne, że komandor kiwnął głową i uśmiechnął się zachęcająco. Pojął, że nadszedł czas głębokich, niekontrolowanych wynurzeń i nadstawił ucha. Choć pił równo z człowiekiem o znacznie większej masie ciała i o wieloletniej – jak sądził – praktyce, czuł się wspaniale. Działo się tak zapewne za sprawą doskonałej jakości trunku (whisky, co przeczytał na etykiecie, leżakowała przez szesnaście lat), jak i dzięki podjętej w duchu decyzji. Kaneyasu postanowił bowiem zagłuszyć wspomnienia. Póki co udawało mu się to doskonale i czuł, że jest w stanie zachować kontrolę nad sobą.

– Mieliśmy – ciągnął Rosjanin – dużo niedobrych okrętów, wielu bohaterskich dowódców, tysiące dzielnych marynarzy i kilku głupich ludzi w sztabie. A tam... na górze... – Admirał tkał oskarżycielsko palcem w zdobiony sztukateriami, pseudo-barokowy sufit z królującą pośrodku wielką rozetą, okalającą ciężki kryształowy żyrandol z mnóstwem misternie pozawieszanych wisiorów. – Tam – powtórzył i dla pewności sprawdził, czy Kaneyasu pofatygował się popatrzeć do góry. Komandor

przez grzeczność pobiegł spojrzeniem w ślad wskazującego palca admirała, który – sądząc z jego pełnej wyrzutu, sardonicznej wzgardy – lokował gdzieś w okolicach rozety najwyższych stopniem morskich decydentów. – Tam. Na samej górze... Kompletna ignorancja. Przerażliwa. Nawet pan sobie nie wyobraża... Jak w ogóle może funkcjonować jakakolwiek flota... Niech to będzie... – Machnął z determinacją dłonią z oskarżycielskim palcem wskazującym. – Niech to nawet będzie flota japońskich dzonek... Jeśli na górze siedzą tępi dranie, którzy nie mają pojęcia, co zrobić sami ze sobą, nie mówiąc już o tym, co ma robić flota... Ech! Szkoda gadać. Czy u was też tak było?

Kaneyasu nie próbował tłumaczyć Kotielnikowowi różnicy pomiędzy japońską galerą i chińską dzonką. By pocieszyć – jak się wydawało – autentycznie strapionego Rosjanina, przytaknął:

– Podobnie. Na górze nie brakowało tępaków, ale mieliśmy także wielu bardzo dobrych fachowców. Ale to, co pan mówi, dziwi mnie...

– Co pana znowuż dziwi?

Z tonu Kotielnikowa Kaneyasu wywnioskował, że lepiej nie wikłać zamroczonego umysłu admirała w zbyt skomplikowane rozważania, bo sensowna do tej pory rozmowa może łatwo zamienić się w klasyczny pijacki spór, w którego dziesiątej minucie dyskutanci kompletnie zapominają, co chcieli udowodnić.

– Proszę wybaczyć – podjął ostrożnie – ale uczono nas, że po reformach w 1905 roku mieliście bardzo wysoki poziom wyszkolenia kadry i dowódców. Bodaj najlepszy w świecie. Przynajmniej tak twierdzili Brytyjczycy, choć podobnie jak my uważają, że we wszystkim to oni wiodą prym.

– Tak mówili? – Kotielnikow był brytyjskim komplementem tak usatysfakcjonowany, że z radości znów wlał w siebie alkohol i – od razu trafiając – nabił na widelczyk marynowanego borowika z salaterki. – Może i tak było, ale się skończyło. W trzydziestym czwartym. Zostali sami cwaniacy i karierowicze.

– Dlatego nie macie lotniskowców – pokiwał głową Kaneyasu – a Amerykanie lotniskowcami wygrali wojnę.

– Nasz... wie pan... – Kotielnikow znów skierował oskarżycielski palec na sufit. – Nasz budował pancerniki. Tak jak wy. Wie pan. Wielkie działa. Maszynownie po dwieście tysięcy koni. Wielka szybkość. Wszystkie zostały na pochylniach¹⁴⁶. Albo na papierze. A namarnowali materiału i ludzi... Szkoda słów...

– Szkoda słów? – powtórzył z namysłem Kaneyasu, wyczulony już na to, że Kotielnikow, nie znając angielskich idiomów, oddaje ich znaczenia, jak potrafi. – Aaaa... – domyślił się wreszcie. – Niech pan się nie martwi. Wszyscy mają głupie pomysły. Anglicy też chcieli budować pancerniki... Hitler... Neeee... *Sorry*. Hitler najwcześniej przejrzał na oczy i zdemobilizował flotę pancerną. Przewidział, że to nie ma przyszłości, i rozwijał flotę podwodną. Niemcy mieli cudowne konstrukcje...

– Wiem – przerwał admirał. – Mam tu całą dokumentację, a te dwa „monsuny” też pan zna. No. Powiem panu, że Sen-toku mnie przeraża. I w ogóle cały ten projekt.

– No cóż – Kaneyasu uśmiechnął się kwaśno. – Za późno na skrupuły. Ma pan swoje rozkazy i musi pan dociągnąć rzecz do końca. Zastanawia mnie tylko jedno: po co wam ten okręt i samoloty? Na akwenach, na których operujecie, bardziej skuteczne byłyby dobre bombowce i samoloty torpedowe. Chcecie rozwalić Kanał Panamski, tak jak my, albo zbombardować Biały Dom? Jakie znaczenie ma kilka ton bomb dla takiej potęgi jak Ameryka?

Kotielnikow przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyjawić Japończykowi istoty projektu. W końcu wcześniej czy później, ale na pewno przed śmiercią, i tak się dowie... Resztkami woli powstrzymał jednak przemożną chęć pochwalenia się pomysłem i ciężko przełknął gorzką ślinę. Taką, która poprzedza mdłości.

– Powiem to panu później. Naprawdę – zadeklarował z pijacką serdecznością. – Może nawet jutro... Nie, jutro nie. Jutro jest niedziela

i nie będziemy sobie psuli humoru. Pamiętaj pan, że pan tu nocuje?

– Nie mam wyboru, ale dziękuję. Nocleg w pańskim domu to dla mnie zaszczyt.

– No tak! – Kotielnikow z trudem dźwignął się zza stołu. – Czas, żeby zjeść coś gorącego. Na pewno nie jadł pan nigdy dobrej rosyjskiej gorącej zupy. Nina Andriejewna robi świetny barszcz z uszkami. Niech pan nie robi takiej miny. W środku są grzyby... Taaak. Ja pamiętałem. Żadnego mięsa. Żadnych bulionów. Warzywa, ten tego... – Admirał chwiał się na nogach. – Ja pójdę teraz wydać polecenia mojej... tej... Andriejewnej... a pan, komandorze, niech idzie po dziewczyny. Właśnie... Eeep... Po dziewczyny. Gdzie one w ogóle są?

Kotielnikow ciężko potoczył się w kierunku służbowej części mieszkania, a Kaneyasu posłusznie i cicho, bo wciąż był w skarpetach, podreptał w drugą stronę. Gdy przechodził przez bibliotekę, nie mógł się powstrzymać. Zapalił więcej świateł, przypadł do stojaka z mieczami i wziął Pogromcę Demonów. Odłożył pochwę i zważył miecz w dłoniach. Głownia miała doskonały balans i Kaneyasu wyczuwał, że środek ciężkości miecza leży blisko gardy. To rokowało idealne wyważenie do cięcia. Siedząc na piętach, wolno przeniósł miecz nad głowę, trzymając go oburącz, a potem równie wolno przeniósł głownię drogą idealnego cięcia znad głowy i zatrzymał sztych miecza w odległości dziesięciu centymetrów od wywoskowanej posadzki. – „Taaak – szepnął do miecza. – Taaak”. Potem tak szybko, że postronny i niewprawy obserwator nie zauważyłby ruchu, powtórzył sekwencję, tym razem wkładając w to jednak serce i siłę. Powietrze zaśpiewało jadowicie. Kaneyasu skrzywił się, rozumiejąc, że nieznacznie sfuszerował. Powtórzył cięcie i tym razem śpiew miecza był ledwie słyszalny, ale dynamiczny i pełny. Komandor wypuścił powietrze z płuc i spojrzał uważnie na głownię. Była czysta. Sardynkowy olej i bawełniana serwetka usunęły kwaśne plamy od potu. Z żalem nasadził pochwę na głownię i owinąwszy rękojeść taśmą, odłożył miecz na stojak.

– Do jutra – powiedział i ukłonił się obydwu mieczom, ale myślał tylko

o jednym.

Nie wiedząc dlaczego, gdy był już blisko ostatniego pokoju, w którym spodziewał się zastać dziewczyny, zaczął się skradać i uciszył oddech. W pokoju panował półmrok. Tylko okna, którymi wlewało się światło księżyca, były jaśniejsze. Kominek dogasał, pełgając czerwono-srebrnym żarem. Nagle usłyszał dwa dźwięki naraz: cieniutki, pozornie pełen udręki, ale w istocie wyrażający spełnienie, jakby błagalny głosik Zuzanny – „Juuuuuuuuż...”, oraz ciężkie stąpanie brunatnego niedźwiedzia za swoimi plecami. Zareagował błyskawicznie. Chrząknął głośno i położył płasko dłoń na wyłączniku światła, tak by nadciągający Kotielnikow nie mógł go zapalić, a dziewczyny zyskały choć chwilkę na opanowanie sytuacji. Wykazały się nadzwyczajną przytomnością umysłu, bo gdy wreszcie – po serii zwodów, jakimi Kaneyasu grał na zwłokę – Kotielnikow trafił na kontakt i przekręcił go, zobaczył, że obydwie szukają czegoś na podłodze pomiędzy sofą a oknami. Był zbyt pijany, by zwrócić uwagę na szklany wzrok i silne rumieńce Zuzanny oraz zauważyć, że Kira ukrywa w prawej dłoni jej małe czarne majteczki. Pijacki instynkt podpowiadał mu jednak, że nie wszystko jest w porządku. Przytrzymując się framugi, domagał się wyjaśnień.

– A co tu się wyrabia? Co? Całujecie się? Świntuchy!

Kaneyasu stanowczo ujął Kotielnikowa pod ramię i obrócił w stronę jadalni. Po raz pierwszy w ich dziwnej znajomości zwrócił się do niego per „ty”:

– Daj spokój. Nie jesteś chyba zazdrosny o dziewczynę? Chodźmy na ten barszcz. No już!

Ktoś, kto widziałby, jak drobny, szczupły Japończyk, wprawnie naciskając ramię wielkiego Rosjanina, kieruje go w zamierzone rejony, miałby dobrą zabawę. Scena ta przypominała sytuację, w której ciężką, wyładowaną i niesterowną barkę pcha pod bystry nurt mały, ale zwinny holownik. O dziwo, chłopacki argument komandora trafił do admirała i ten nie usiłował nawet nawiązywać do damsko-damskiego tematu. Widok

parującej wazy z barszczem, w którym pływały smacznie wyglądające pierożki, wyciszył admirała do reszty. Gdy Kotielnikow wysiorbał kilka łyżek pikantnej, klarownej, cudownie kwaskowatej, pachnącej grzybami zupy, otrzeźwiał na tyle, że postanowił wrócić do czystej wódki. Dziewczyny – wciąż stremowane i starające się uspokoić serca po tym, co się stało, a raczej emocjach związanych z tym, co się mogło stać – nie zgłaszały sprzeciwów. Kaneyasu poprzestał na wodzie mineralnej. Pełne pretensji spojrzenie Kotielnikowa zgasił jednym ruchem ręki. Kolejną godzinę wypełniło oczekiwanie. Dziwne oczekiwanie dziwnie dobranej przez los czwórki. Troje sprzymierzeńców – Kira, Zuzanna i Kaneyasu – czekało spokojnie, starając się nie wymieniać znaczących spojrzeń. Czekali, aż Kotielnikow będzie miał dość. Nie nastąpiło to szybko, bo w potężnym ciele zdawały się drzemać niespożyte pokłady odporności.

Jak to zwykle w przypadkach takiej zmowy bywa, rozpoczęły się podchody, marsze i kontrmarsze. Kilka razy Kotielnikow, mrucząc coś niezrozumiałe, zdawał się gasnąć, ale było to tylko pozorne, bo jego jaźń, nie chcąc wypuścić spod kontroli otaczającej go rzeczywistości, trzymała się uporczywie na powierzchni. Wstrzymywali wówczas oddech, udając, że nie widzą, jak opada mu głowa, a łokcie gwałtownie osuwają się z oparcia fotelika. Gdy w zupełnie nieoczekiwanym momencie trzeźwiał, zastawał napełniony kieliszek, tak by nie awanturował się o to, że namawiają go do picia. Śledzili zgodnie wzrokiem ten kieliszek wędrujący powoli w stronę dziecińczych, pełnych ust admirała, a potem ich podnoszące się spojrzenia zdawały się pomagać w stosownym przechyleniu. Kaneyasu był odprężony i wyluzowany. Sytuacja bawiła go tym bardziej, że czuł się jej panem, a odczucie to potęgował fakt, że dziewczyny wpatrywały się w niego jak w dowódcę. Wreszcie admirał zaczął gasnąć na dobre. Gdy ciało Kotielnikowa zwiotczało, a kieliszek z brzękiem, ale nie tłukąc się, wypadł mu z bezwładnej dłoni i potoczył się po posadzce, Kaneyasu poderwał się lekko z fotela.

– Kira. Pomóż!

Sto kilogramów ludzkiego, bezwładnego mięsa nie było wielkim obciążeniem dla ludzi w treningu, a dzięki ćwiczeniom w sali udostępnionej przez Kotielnikowa Kaneyasu w pełni odzyskał formę. Flankowani przez skonfundowaną Zuzannę pojechali z nim jak na sankach Samojedów do jego sypialni, nawet nie przyspieszając oddechu, i rzucili go na sprężyste, rozłożyste łóżko. Jak spod ziemi wyrosła raptem przy nich czujna Nina Andriejewna. Zdjęła admirałowi buty, a jej wątpliwości, wyrażone w fachowo zadany pytanie: „Pijany?”, rozwiązała Zuzanna:

– Nic mu nie jest, Nino Andriejewna. Dużo wypił i musi odespać. Niech pani nie zawraca sobie głowy sprzątaniami, tylko idzie spać.

Ninę Andriejewnę szkolono na takie właśnie okoliczności długo i starannie. Prowadzący zajęcia uczulali ją: „Towarzyszko.

Pamiętajcie. Najważniejsze rzeczy dzieją się na końcu. Wtedy, kiedy niby wszystko jest jasne. Nie dajcie się zwieść. Jeśli przyjęcie trwa kilka godzin i leje się alkohol, to uważajcie. W ciągu tych kilku godzin ludzie wypracowywali sobie pozycje. Podejmowali decyzje. Przygotowywali grunt i taktykę. W ostatniej minucie trzeba być szczególnie czujnym i nadstawiać ucha”. Nina Andriejewna była więc nieufna. Zachowanie trójki konspiratorów było podejrzanie podręcznikowe.

Kira jednak odebrała lepsze nauki. Wyczuwając podejrzenia, potrafiła je rozbroić:

– No tak. Nie potrafi pani położyć się spać i zostawić bałagan. Zuzanka! Chodź! Pomożemy towarzyszcze.

Nina Andriejewna uznała, że mając dwie spośród czterech osób na widoku, nie musi obawiać się niespodzianek, więc – choć strasznie nie chciało jej się zmywać – uśmiechnęła się z wdzięcznością. Kaneyasu uklonił się krótko i podreptał w stronę pokoju gościnnego.

Suczki! – myślał po drodze. – I jak tu ufać kobietom. Ten Kotielnikow. Dobry, ale głupi. Zuzanna, śliczna dziewczyna, tyle że dała się tak łatwo zdeprawować. Szkoda. Mogliby wziąć ślub i narobić dużo ładnych dzieciaków. Obydwoje mają piękne ciała i twarze. Dzieciaki nie mogłyby się

nie udać. Zresztą niby dlaczego nie mieliby wziąć ślubu? O tym, że Kira kochała się z Zuzanną, wiem tylko ja. Kira zalicza pewnie wszystkie dziewczyny, na które ma ochotę. Z jej zdolnościami... Te ślepiec Zuzanny! Piękna dziewczyna. Pokochałbym się z nią, a potem mógłbym umrzeć. – Ogarnęło go pijackie rozczulenie. – Nie byłoby mi żal. Głupi – trzeźwił sam siebie. – I tak umrzesz. Przecież to czujesz.

Nie rozbierając się, położył się z rękami pod głowę. Jednak miał w czubie, gdyż czuł, że półmrok wokół zaczyna powoli krążyć. Nie miał ochoty na kolejny, rutynowy seans z Kirą, postanowił więc zasnąć, nim ta maszyna się zjawi. Ale jak zwykle wtedy, gdy usiłuje się to zrobić, sen nie przychodził. Kaneyasu leżał więc z otwartymi oczami, wyobrażając sobie Zuzannę. W wyobrażeniach tych zaszedł nawet dość daleko, ale musiał przerwać marzenia bo – jak zwykle bezszelestnie i nie wiadomo skąd, jak zły duch z aureolą jarzących się włosów, oświetlonych blaskiem księżyca z niezastłoniętego okna – pojawiła się koło niego Kira. Niechętnie zrobił jej miejsce, lecz oparła na łóżku tylko jedno kolano i powiedziała:

– Nie bój się. Nie musisz dzisiaj ze mną spać. Nie jestem ślepa i widzę, że sprawia ci to coraz mniejszą przyjemność. Mnie też. Dobranoc. – Odwróciła się cicho, ale Kaneyasu chwycił ją za nadgarstek i zmusił, by siadła na posłaniu.

– Dokąd się wybierasz? A... głupi jestem. Do Zuzanny... - odpowiedział sam sobie i nagle zrobiło mu się źle na duszy.

– Idę do admirała – przyznała cicho. – Na pewno da się coś z niego wykrzesać. Jestem pewna, że się da. Od dawna mam na to ochotę. Jest w nim coś... – Potarła czoło grzbietem dłoni.

– Wiesz... zawsze miałam koło siebie mężczyzn wyjątkowych. Niezwykłych. Jedynych w swoim rodzaju. Ot... choćby ty...

– Uważasz, że jestem niezwykły? – Kaneyasu chciał, by zabrzmiało to sarkastycznie, ale wyznanie Kiry sprawiło mu nieoczekiwaną radość i jego pytanie pełne było tej radości.

– Oczywiście, głupku, że jesteś niezwykły. Byłeś niezwykły podczas

naszego pierwszego spotkania i jesteś coraz bardziej niezwykły. Ale ja bym chciała przynajmniej przez chwilę mieć koło siebie kogoś zupełnie zwykłego. Bo tym niezwykłym nie można ufać. Idę... – szepnęła, a potem nachyliła się i delikatnie pocałowała komandora w czoło. – Pa.

Gdy znikła, Kaneyasu leżał, uśmiechając się w mroku i dziwiąc się, jak mało obchodzi go to, że Kira poszła „krzesać” admirała, choć w duchu uważał tę dziewczynę za swoją wyłączną własność. Kira jednak nigdy nie była i – wiedział to dobrze – nie będzie czyjąś własnością. Nawet kiedy w tych najbardziej emocjonujących momentach mówiła: „Jestem twoja”, odnosiło się to wyłącznie do tych chwil. Czy w ogóle można być „czymś”? Zachichotał bezgłośnie, przypominając sobie deklaracje i obietnice składane kiedyś przez niego oraz te, które składały mu dziewczyny i kobiety. Dopiero teraz, leżąc na łóżku w domu wroga – człowieka, który zmuszał go do współpracy pod groźbą procesu i stryczka – uświadomił sobie dokładnie wartość owych płomiennych przysięg i postanowił wyrzucić z pamięci wszystko, co było z nimi związane, choć pamięć ta pomogła przetrwać więzienie i uchroniła go od szaleństwa. Tak przynajmniej mu się wydawało. Potem... To było jak olśnienie. Jeśli – pomyślał – Kira jest z admirałem, to co robi Zuzanna? I dlaczego na to pozwala?

Chwilę rozważał różne warianty erotycznego gambitu, ale rozwiązanie nasuwało się w sposób oczywisty, więc wstał i w swoich czarnych skarpetach przemaszerował cicho przez lśniące posadzki amfilady. Mijając bibliotekę, z czułością i szacunkiem spojrzął na dzieło rąk Masatsune.

Tak jak przypuszczał, Zuzanna siedziała na sofie przysuniętej do okiennego parapetu, opierając boscie stopy o marmur. Choć z pewnością wyczuła jego obecność w pokoju, nie skwitowała tego nawet skinieniem. Kaneyasu, nie mówiąc nic, siadł ostrożnie obok niej. Nie odwróciła głowy i upiła mały łyk z kieliszka trzymanego tuż przy ustach. Widział teraz dokładnie, jak ładny i czysty, mimo lekko zadartego noska, jest jej profil, i jakie miękkie, zalotne cienie kładą na jej dziecinne policzki długie, bardzo jasne rzęsy. Spozstrzegł też, że dolna warga ledwie dostrzegalnie wysuwa

się przed górną, co nadaje temu profilowi niepowtarzalny wyraz dziecinnej ni to pretensji, ni to ostrożnej akceptacji. Napatrzywszy się, opadł bardzo spokojnie na oparcie sofy i patrzył przed siebie. Po chwili poczuł Zuzannę jednocześnie w dwóch miejscach, bo położyła mu głowę na ramieniu i dłoń na udzie. Objął ją i przez chwilę siedzieli w ciszy bez ruchu, jak para dobrych przyjaciół. Potem, gdy poczuł, że dłoń dziewczyny zaczyna skradać się w najlepiej wybranym kierunku, delikatnym dotknięciem pomógł czarnemu jedwabowi jej sukienki zsunąć się z uniesionych kolan w stronę bioder. W padającym znad zatoki świetle księżyca uda dziewczyny zdawały się świecić nikłym, chłodnym blaskiem. Takie też były w dotyku, gdy przesuwiał po ich wewnętrznej stronie opuszki palców z siłą tylko taką, jakiej potrzebuje dłoń niewidomego sunąca po wypukłościach brajla. Tak jak go uczono, zaczął droczyć się z ochoczą ustępliwością dziewczyny, przerywając pochód palców i nieznośnie długo zatrzymując je na chłodnej, gładkiej stromiźnie. Jego dłoń była teraz jak alpinista, który w połowie długiego, trudnego zejścia ze szczytu zatrzymuje się, by ocenić dystans i wyrównać oddech. Zuzanna wyczuwała znaczenie tych prowokacji i w rewanżu zaciskała uda, a wówczas dłoń komandora przypominała tegoż alpinistę zaklinowanego w stromym, zwężającym się skalnym kominie i podobnie jak on ostrożnie rozpychała szczelinę.

Kaneyasu nie poprzestał na pełnych namysłu dotknięciach. Trzymając zmysły na niewidocznej i coraz słabszej uwięzi, zsuwał palce o kilka centymetrów w dół i wracał w górę, jakby upewniając się, czy wcześniejsze rozpoznanie położonych bliżej kolan partii stromizny było właściwe i pełne. Ta niewyrafinowana taktyka zaczęła przynosić nadzwyczajne efekty. W ciele Zuzanny uaktywniły się wszystkie receptory. Poczuł, że odbiera go teraz całą sobą, bo naprężyła mięśnie i zacisnęła dłoń na jego udzie tak mocno, że cichym mruknięciem zamanifestował rezygnację z nieznośnych nawrotów i poprzestał na trawersowaniu stromizny w dół. Ich twarze prawie się stykały i nie tylko słyszeli wyraźnie swoje coraz szybsze oddechy, ale czuli ich powiew na skórze. Pocałowali się jednak dopiero

wtedy, gdy alpinista znalazł się na dole, zaskoczony tym, że nie napotyka w rozpadlinie przeszkody maskującej źródło. Mógł to zaskakująco wilgotne miejsce studiować bez odczucia szorstkiego, suchego oporu materii i wnikać w nie tak głęboko, jak tylko sobie wymarzył. Przesuwając się okrężnymi, badawczymi ruchami po pofalowanym sklepieniu, dłoń Kaneyasu – ów doświadczony alpinista – uruchomiła cudowny mechanizm, który odblokował napięcie mięśni. Zuzanna otwierała się coraz bardziej zachęcająco, aż jej prawe kolano spoczęło na udzie komandora. Wtedy to właśnie, nawet nie musząc szukać nawzajem swoich warg, zaczęli się całować.

Prawa dłoń Zuzanny (bo w pozycji, jaką zajmowali, tylko ona miała możliwość manewru) okazała się penetratorem nie mniej zdeterminowanym od Kaneyasowego amatora górskich źródeł. Nie była jednak tak zręczna, a w dodatku musiała poruszać się w o niebo trudniejszym od czarnychjedwabistości terenie sowieckich sortów mundurowych. Nie obyło się więc bez bolesnej dla komandora, nieporadnej szamotaniny, która jednak wyzwoliła go spod władzy granatowego sukna i na kilka minut pozwoliła obydwójgu uzyskać złudne wrażenie równouprawnienia.

Wiedzieli jednak, że subtelna równowaga wzajemnych ustępstw i zachęceń, dotykowych pytań i odpowiedzi, nawet wzmocniona pełnym uczucia akceptacji i wniebowzięcia porozumieniem warg i języków, może trwać tylko chwilę.

Kaneyasu był już bardzo spragniony, ale bał się zakłócić tak pomyślnie rozwijający się dialog. Zaprogramowane na najwyższą czułość receptory Zuzanny musiały odebrać sygnał, gdyż dziewczyna oderwała wargi od warg komandora i spojrzała mu pytająco w oczy. Najwidoczniej wyczytała z nich odpowiedź, gdyż zdjęła stopy z parapetu, odsuwając źródło radości komandorskiego alpinisty, i ułożyła się tak, jak gdyby bardzo uważnie i z bliska chciała obejrzeć to, co okrywało granatowe sukno. Była to aż nazbyt demonstracyjna deklaracja, że następne kilka minut poświęcone zostanie

trosce o doznania komandora. Kaneyasu docenił to, rozprężając mięśnie, uspokoił w sobie wszystko, co odpowiadało za nadawanie, i skupił się na odbiorze.

W poczynaniach Zuzanny nie było nic z wyuzdania i perfekcyjnej techniki Kiry, a za to dużo spontanicznego, dziecinnego zaangażowania, nieporadności i braku kontroli. Jednak ciała i serca obojga lgnęły do siebie tej dziwnej, niepojętej nocy z taką siłą, że wprawa i techniczna biegłość nie miały większego znaczenia. W takich przypadkach doświadczenie i umiejętność jego natychmiastowego spożytkowania rozwijają się w lawinowym tempie. Już w trzeciej minucie Zuzanna wykazała się nie tylko znakomitą intuicją, ale i inwencją. W piątej poczuła, że nie poradzi sobie ani z tym, co nieuchronne, ani – tym bardziej – z własnym ciałem, a chciała sama wybrać decydujący moment i konfigurację. Oderwała się może zbyt raptownie od lewitującego gdzieś pod powierzchnią nasłonecznionych, pełnych kolorowych ryb, ciepłych płycizn ciała komandora i by zatrzeć tę gwałtowność, powoli przekroczyła lewą stopą kolana Kaneyasu. Zwrócona do niego twarzą, bez pomocy dłoni zaciśniętych na oparciu sofy, bezbłędnie i od razu, dokonując namiaru samymi biodrami, znalazła połączenie.

Teraz znów byli równi wobec siebie i nocy za oknami, harmonijnie i w rosnącym napięciu dając i odbierając.

Na szczęście koczegar ze *Śmiertelnej wachty* nie mógł widzieć tego, jak są sobą zachwyceni, bo – czekając na komandora – Zuzanna zarzuciła na sztalugę zakrywającą niedokończoną pracę zasłonę.

Kwatera Główna USAAF w Tokio, Departament Projektów Strategicznych, gabinet pułkownika Harolda Darrella Jr., 25 czerwca 1950 roku, krótko przed świtem

Od początku uważał ten projekt za poroniony i miał jak najgorsze przeczucia. No i sprawdziły się. W jego życiu przeczucia zawsze się sprawdzały. Odłożył którąś tam instrukcję Kwatery Głównej na kupkę kilku podobnych i spoglądając przed siebie, zamyślił się. Jego departament ulokowano wyjątkowo komfortowo, w pomieszczeniach, które przedtem i w czasie wojny zajmowało dowództwo lotnictwa. Niewielu Japończyków miało tak imponujący widok z okien, w dodatku wielkich i czystych. Teraz nie sposób było to docenić, bo świt nie nadszedł jeszcze, a szyby przesłaniały pluszowe story, dokładnie zaciągnięte na noc przez japońskich sprzątaczy.

Departament zajmował lewe skrzydło pierwszego piętra. Prowadziły doń schody godne Hollywood, wyłożone zupełnie niezniszczonym dywanem w kolorze głębokiej purpury. Najwidoczniej w czasie wojny dowództwo lotnictwa armii nie miało wielu interesantów, a i ci nieliczni pewnie starannie wycierali obuwie. Gdyby Darrell pofatygował się, by podejść do jednego z wielkich dwuskrzydłowych okien, ujrzałby wyasfaltowane alejki, starannie przycięte żywopłoty i wielkie stare drzewa, które przycinano tak, by rosły w określoną stronę.

Cały ten kraj przez ostatnie kilkadziesiąt lat przycinano tak, by rozwijał się zgodnie z oczekiwaniami rządzących. W przypadku drzew efekt był znakomity, bo konary i listowie tworzyły piękne, regularne formy. Z krajem udało się gorzej... ale to nie był podstawowy problem pułkownika Harolda Darrella Juniora – szefa Departamentu Projektów Strategicznych USAAF, amerykańskich Sił Powietrznych stacjonujących w Japonii. Tak naprawdę okupantów. MacArthur mógł wygłaszać mniej lub bardziej ckliwe komunały przez radio i w materiałach prasowych, ale byli okupantami. Ze wszystkimi atrybutami okupacji.

Prawdziwego oblicza tego stanu rzeczy nie pokazywały z pewnością amerykańskie kroniki wojenne, na których projekcje musieli obowiązkowo stawiać się dowódcy, oficerowie, podoficerowie i wolni od służby szeregowcy. Na kadrach tych kronik sytuacja wyglądała pięknie. Amerykańscy chłopcy witani entuzjastycznie przez Japończyków

wyzwolonych od militarnych knowań złych wojskowych. Tu odbudowano szkołę i ślicznie puciołowate japońskie dzieciaki wbiegały do świeżo pomalowanej na biało klasy. Tam agitowano na rzecz przyjęcia nowej konstytucji i grono zachwyconych obywateli dyskutowało uprzejmie z prelegentem, obok którego siedział ktoś w świetnie wyprasowanym oficerskim mundurze z belkami i gwiazdkami. Gdzie indziej wreszcie rozradowana japońska dziewczyna, wspinając się na pancierz M-45, podawała paczuszkę ryżowych knedli zabójczo przystojnemu czołgście. (Clark Gable, jeśli oglądał ten numer kroniki, musiał nabawić się kompleksów.) Darrell, który spędził trzy lata w Sowietach i oglądał tamtejsze kroniki, konstatował nie tyle z przerażeniem, co zrozumieniem, że w treści i formie te koszarne agitki niczym się od radzieckich nie różnią. Może intencjami. Ale na poziomie propagandowym intencje były zrozumiałe raczej dla nadawców niż dla odbiorców. Choć i to nie było do końca pewne. Prowadziło do jeszcze bardziej oczywistych wniosków, i to wcale niewesołych: Masy można „obrabiać” dokładnie tymi samymi metodami w każdym ustroju. I wszędzie te metody są równie skuteczne. Pozostaje oczywiście kwestia praw i obowiązków, ale granica, poza którą pozostają nieprzekonani, jest bardzo niewyraźna. To cienka, czerwona linia...

Nie płacono mu oczywiście za to, żeby zastanawiał się nad podobnymi problemami, godnymi refleksji profesora politologii, ale Darrell lubił wiedzieć, w czym tkwi. Trzy lata sowieckiej ni to niewoli, ni to pracy (bo dostawał za to swoje zniewolenie dobre wynagrodzenie) nauczyły go ostrożności w ocenianiu zasług i krzywd. W czterdziestym czwartym przymusowo lądował we Władywostoku dowodzoną przez siebie superfortecą B-29. Potem, nim się spostrzegł, szantażem zmuszono go do współpracy, dzięki której Sowietci zrobili kopię¹⁴⁷. Mało że ją zrobili, to budują teraz całą flotę swoich zerzniętych od Boeinga superfortec. Brakuje im tylko bomby, a szanse strategiczne świetnie się wyrównają. Czy rzeczywiście brakuje? Tego nikt na razie nie wie.

Pewnie tkwiłby w Sowietach do dziś, choć upomniał się o niego Departament Stanu, gdyby nie Kira. To ona namówiła go do tego lotu. Uprawdzili jedną z najnowszych wersji sowieckiej superfortecy, na dodatek z uwieszonym pod skrzydłem tajnym projektem w postaci zrabowanego Niemcom rewelacyjnego raketoplanu. Razem z Kirą, gołymi rękami, wymordowali sowiecką załogę i szczęśliwie wylądowali w okupowanej Japonii.

To była dziwna dziewczyna. Czas spędzony z nią w Rosji Darrell miał zapewne wspominać po ostatnie dni swojego życia. Bo ani nigdy przedtem, ani nigdy potem nie dane mu było przeżyć niczego podobnego. Wzięła go w swoje władanie. Jest taki stan w męsko-damskich relacjach, w którym zakochany mężczyzna zatraca się w kobiecie. W kobiecie – dodajmy – która nim zawładnęła. Na początku, kiedy wydaje mu się, że ma jeszcze coś do powiedzenia, usiłuje nadrabiać miną i wmawia sobie, że relacje pomiędzy nim a obiektem jego pożądania (bo najczęściej o to chodzi) dadzą się w najbliższej przyszłości ustawić. Potem wystarczy już tylko kilka mądrych ruchów ze strony kobiety, która albo wie, jak takie ruchy wykonać, gdyż zdobyła już kilka męskich skalpów, albo ma szatańską intuicję. Darrell nie potrafił ocenić, czy spotkał się z pierwszym czy z drugim wariantem. Swoją drogą powinien zachować się inaczej. Choćby dlatego, że kiedyś, gdy miał dwadzieścia lat mniej, przeciwczono na nim obydwu.

Młodzieńcze doświadczenia powinny raz na zawsze nauczyć go ostrożności w oddawaniu duszy kobiecie. Nie nauczyło jednak i Harold po nieudanym małżeństwie i kilku jeszcze gwałtownych miłosnych, źle zakończonych, epizodach oddał się w niewolę Kirze. Na dwa lata. Był to związek przedziwny. Przy wszelkich pozorach partnerstwa i obopólnej (jak mu się zdawało) silnej więzi erotycznej był to układ pełen dysproporcji. On był w niewoli. Nie tylko sowieckiej, ale przede wszystkim w niewoli Kiry – jej ciała, zapachu, inteligencji i perfekcyjnej techniki obcowania z mężczyzną na wszystkich możliwych do pomyślenia płaszczyznach. Nawet wtedy, gdy zachodził ją od tyłu i nie dbając o delikatność, posuwając

się niemal do okrucieństwa, doprowadzał ją na szczyty ekstazy i gdy nabita, jak motyl na szpilkę, zezowała na niego pełnym oddania i wdzięczności wzrokiem, nie czuł się jej panem. Wiedział, że gdy ochłonie i uspokoi oddech, wróci do roli modliszki, świadomej swych przewag nad samczą, bezkrytyczną, bezgraniczną fascynacją i oddaniem.

Nim opony masywnego podwozia Tu-4 w idealnym (mimo podwieszonego pod skrzydłem raketoplanu) lądowaniu dotknęły pasa lotniska arsenału marynarki w Kure, ustalili wspólną wersję wydarzeń. W wersji tej Darrell został głównym bohaterem. To on namówił sowiecką załogę do współpracy i uprowadzenia samolotu. Władzom sowieckim powie się, że Rosjanie poprosili o azyl i nie chcą żadnych kontaktów z rodakami. (Wymordowani przez niego i Kirę gołymi rękami chłopcy z załogi eksperymentalnego nosiciela raketoplanu nie mogli wszak protestować.) Kira zaś była sterroryzowaną przez porywaczy ofiarą i Bogu ducha winną tłumaczką, zmuszoną pod presją pistoletu do posłuszeństwa. (Nawet pistolet się znalazł, bo Kira wniosła go na pokład we Władywostoku.) To była oczywiście wersja dla Rosjan. Amerykanom Darrell zamierzał wytłumaczyć, że powinni dać spokój Kirze, której udział w całej sprawie spowodował pozyskanie dwóch najnowszych sowieckich, tajnych projektów. Przesłuchiowano ją, ale w końcu umożliwiono jej kontakt z sowieckim przedstawicielstwem. Kontrwywiad władz okupacyjnych przystał na wersję Darrella, uznając, że takie przedstawienie sprawy i nietknięta, zwrócona swoim krajanom agentka przekonają z natury podejrzliwie nastawionych Rosjan. Tak też się stało.

Od momentu, w którym postawili stopy na japońskiej ziemi, w ich relacjach zaszło coś istotnego. Przedtem miał ją w każdej chwili, gdy tylko zapragnął i wyciągnął rękę. Teraz postawiła pomiędzy nimi niewidzialny parawan. Tak jakby zmiana otoczenia i inne oficjalne relacje kazały jej zamknąć napisany już rozdział. Oczywiście, że w fazie przesłuchań nie miał do niej dostępu, ale przed przekazaniem Kiry Rosjanom na jego prośbę umożliwiono im kontakt. Prócz nich dwojga nie było nikogo

w pokoju. Odniósł wrażenie, że Kira jest zirytowana i może właśnie ta irytacja sprawiała, że wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco.

– Nie podsłuchują nas? – zapytała.

– Nie mam pojęcia, ale chyba nie – odpowiedział. – Powiedziałem im, że to będzie rozmowa o prywatnych sprawach.

– Na pewno podsłuchują, ale trudno. Czego chcesz? – Długo nie mógł wyartykułować prostego pytania i jeszcze prostszego oświadczenia. Chciał spytać, czy będzie mógł ją kiedyś zobaczyć i powiedzieć, że bardzo ją kocha, choć to ostatnie wyznianie słyszała od niego tysiące razy.

– Cóż. Będziemy się żegnać... – wydukał, źle się czując w roli proszącego o łaskę. – Pomału... Ja jednak...

Spojrzała na niego uważnie i dostrzegła w jego oczach ocean pożądania i tęsknoty (bo choć jeszcze się nie rozstali, on już zaczął tęsknić). Doskonale wiedziała, co się dzieje, ale nie chciała odgrywać ckliwych scen, choć Haroldowi pewno by to pomogło.

– Daj spokój – powiedziała cicho. – Daj spokój i bądź wdzięczny za to, co udało nam się razem przeżyć. Niech ci nie przyjdzie do głowy mnie szukać. To mogłoby się źle skończyć. Zapomnij. Po prostu zapomnij.

Robił wszystko, żeby tak się stało... ale każda kolejna minuta po rozstaniu była torturą. Z tego też powodu postanowił nie dać się zdemobilizować i nie chciał wracać do kraju. Lotnictwo cywilne zupełnie go nie pociągało. Chciał mieć zajęcie na tyle absorbujące, by móc choć przez chwilę nie myśleć o piersiach, udach i dupce Kiry. W takiej bowiem kolejności przypominał sobie jej ciało. Rzadko myślał o twarzy, oczach i o tym, co mówiła, więc wyciągnął z całej sprawy niepozabawiony słuszności wniosek, że rozkochał się w miłości fizycznej, rozpamiętuje swoje pożądanie, a nie jest zakochany w niej samej. Ulżyło mu nawet nieznacznie i zaczął się oglądać za dziewczynami z kantyny. Był też już bliski podjęcia decyzji o rezygnacji ze służby, gdy wezwano go do Sztabu VIII Armii i zaproponowano zorganizowanie rzeczonoego departamentu, dodając na zachętę awans od razu na pułkownika (stopień majora dostał za kradzież

rosyjskiego Tu-4 z raketoplanem i likwidację załogi bombowca).

Zgodził się, czując, że ta propozycja niesie jakąś odmianę i perspektywę, uprosił też swoich przełożonych, by pozwolono mu od czasu do czasu polatać. Nie protestowali, wiedząc, że był etatowym oblatywaczem Boeinga. Roboty miał sporo, i to bardzo ciekawej, bo wojownikom z Sił Powietrznych trzeba było w sensowny sposób podpowiadać, co mają robić w okupowanym kraju wtedy, gdy nie upijają się w kantynach i nie wywołują burd w japońskich hotelikach oferujących dziwki i alkohol.

Do linii wchodziły nowe, rewelacyjne typy maszyn. Sytuacja wokół Wysp Macierzystych zmieniała się dynamicznie i w każdej chwili można się było spodziewać przełomu. Lotnictwo powinno więc ćwiczyć. Z eskadrami myśliwskimi sprawa przedstawiała się stosunkowo prosto. Mogli strzelać do rękawów lub drewnianych tratw holowanych przez niszczyciele. Z bombowcami było więcej komplikacji. Lotnictwo morskie obrzucało dymiącymi atrapami bomb tratwy i zrzucało ćwiczebne torpedy, ale bombowce strategiczne, bombardujące z wysokiego pułapu, musiały mieć dobry cel. W Japonii nie było, tak jak w USA czy w Europie, bezludnych wielohektarowych poligonów. Ba, wolnego miejsca nie starczało nawet na to, by zrobić przyzwoite pola golfowe¹⁴⁸. Trzeba było znaleźć dla lotników dobre cele. I trzeba, żeby cele te ulokowane były w dobrych, to znaczy bezpiecznych i niekontrowersyjnych miejscach. MacArthur prowadził wyważoną politykę i liczył się ze zdaniem Japończyków. Siły Powietrzne uważały, że to one wygrały tę wojnę dla Amerykanów i reszty świata i że to na nich spoczywa obowiązek zachowania równowagi w rejonie. Nie bez przyczyny w VIII Armii nazywano USAAF królową albo co gorsza „primabaleriną”.

Pomysł z archipelagiem był więc najgorszy z możliwych, choćby dlatego, że archipelag był powodem wiecznych niesnasek pomiędzy dwoma krajami, święcie przekonanymi o swoich prawach do dwu nędznych, choć trzeba przyznać – jak wynikało ze zdjęć wykonanych z powietrza – wielce malowniczych skałek, które miały aż cztery różne nazwy * (* *Dokdo*,

Takeshima, Wyspy Bambusowe, Wyspy Szerszenia.). Na szczęście pomysł ten nie wyszedł ode mnie – pomyślał Darrell – choć teraz trzeba się tłumaczyć... Westchnął i postanawiając solennie, że tego przedpołudnia nie pomyśli już ani razu o dupce Kiry, sięgnął po materiały projektu. Jeśli ma się sensownie tłumaczyć, musi przypomnieć sobie wszystko, co ważne w tej nieszczęsnej sprawie, a ponadto, ponieważ nie zmieniono dyrektyw, powinien zaproponować procedury, chroniące przed kolejnymi skandalami i wpadkami. Z materiałów, które miał przed sobą, wynikało, że projekt rozpoczęto w pierwszych miesiącach czterdziestego siódmego roku, choć decyzje podjęte zostały wcześniej. O wszystkim zdecydowała Kwatera Główna Połączonych Sztabów Sił Sprzymierzonych, w skrócie SCAP * (* *SCAP – skrót od Supreme Commander Allied Powers.*), czyli mówiąc po ludzku: faktycznie najwyższe władze w okupowanej Japonii i Korei.

Postanowiono unormować kwestię wykorzystania do celów wojskowych terenów okupowanych, a także otaczających je akwenów i przestrzeni powietrznej. W pakiecie unormowań znalazły się między innymi ustalenia gwarantujące siłom okupacyjnym manewry z użyciem ostrej amunicji. Rząd japoński poinformowano o tym łaskawie za pomocą... instrukcji. Będziemy rzucać prawdziwe bomby i strzelać, ale nie denerwujcie się, kochani. Wszystko jest pod kontrolą. Podobnych – bezczelnych i pisanych z pozycji siły – instrukcji przekazano Japończykom bardzo wiele. Nazywano je SCAPINAMI¹⁴⁹ i sygnowano kolejnymi numerami. Zgodnie z którymś tam SCAPINEM archipelag Dokdo stał się celem ostrego bombardowania w sierpniu 1947.

Jak powiedziano, spór o wyspy Dokdo między Japonią a Koreą trwał od stuleci. Teraz również znalazły się one na granicy dwóch stref wpływów – czyli dowództwa sił okupacyjnych w Korei i dowództwa sił okupacyjnych w Japonii. Nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. 24 Korpus dowodzony przez generała Hodge'a zarządzał południem Korei i rozlicznymi wysepkami. Spośród wszystkich wysepek położonych na południe od 38 równoleżnika, o których można bezdyskusyjnie orzec, że należą

historycznie do Korei, kontroli Hodge'a nie zostały formalnie poddane tylko nieszczęsne Wyspy Szerszenia. Zaowocowało to kolejnymi nieszczęściami. Archipelag znalazł się pod jurysdykcją VI Armii stacjonującej w Japonii i wylądował po „japońskiej” stronie granicy, rozdzielającej wpływy sił okupacyjnych w Korei i w Japonii. Nie zadbano o rozdzielenie stref połowów i solidne wykreślenie przyszłych granic administracyjnych. Dlatego też – wnioskował Darrell – nikt w połączonych sztabach nie jest w stanie zrzucić bezdyskusyjnej winy za ewidentne wpadki na kogo innego. Nie bez znaczenia były zapewne intrygi MSZ nowego japońskiego rządu. Urzędnicy składali petycję za petycją, prosząc o... – pułkownik uśmiechnął się, czytając następną frazę – „rozpatrzenie suwerenności archipelagu na korzyść Japonii”. Tak sformułować prośbę potrafił tylko japoński urzędnik, który uczył się zawodu krętacza jeszcze przed wojną w dobrej szkole premiera Tojo.

27 września 1947 roku SCAP wysmażył kolejną instrukcję, która zabraniała obywatelom Japonii zbliżać się do granicy dwunastu mil morskich od brzegów Dokdo. Jeszcze wcześniej SCAPIN nr 833 instruował rząd japoński o wyznaczeniu obszarów ćwiczeń i obligował go do powiadomienia wszystkich agend i stosownych „organów”. Chodziło oficjalnie o bezpieczeństwo żeglugi i rybaków, a nieoficjalnie (o czym SCAPIN nr 833 oczywiście nie instruował) o ochronę operacji z użyciem najnowszego sprzętu. Nie wiadomo przy tym, dlaczego duże obszary działań militarnych ulokowano na wyznaczonych uprzednimi SCAPINAMI akwenach połowów, dosyć sprawiedliwie rozdzielonych pomiędzy Koreę i Japonię.

Dowództwo sił okupacyjnych w Korei, a dokładnie Kimpo Air Base Aerial Gunnery Range, dla odmiany zarządziło (ku osłupieniu prowadzonego przez Darrella departamentu), że będzie bombardować wysepkę oddaloną raptem o dziewięć kilometrów od granic ludnego miasta Incheon.

W aktach – zastanawiał się Darrell – nie ma śladu wydania

jakichkolwiek ostrzeżeń dla ludności i rybaków... Nic więc dziwnego, że doszło do przykrych incydentów. Na dno poszły dwa kutry i zginęło kilkunastu rybaków, czemu Kimpo, a za nim SCAP, konsekwentnie zaprzeczało, łącząc w żywe oczy na starannie przygotowanych konferencjach prasowych.

W tym świetle pomysł, by bombardować niezamieszkane Dokdo, skalne wysepki położone na dodatek blisko lotnisk w Japonii i Korei, wydawał się lepszy. SCAPIN nr 1778 wydany 16 września 1947 roku nakazał władzom japońskim ostrzeżenie ludności cywilnej. Darrell wyjął kopię instrukcji z celofanowej koszulki i zaczął czytać równe, fioletowe od przebitki rządki maszynowego pisma: „Zobowiązuje się japońskie władze cywilne do ostrzeżenia obywateli Oki-Gunto, a także mieszkańców wszystkich portów na zachodnim wybrzeżu Honsiu, na północ od 38 równoleżnika...” I tak dalej...

Można się więc było spodziewać, że tym razem wszystko będzie jak należy, ale nie wzięto pod uwagę okupacyjnego bałaganu. SCAPIN dotarł, i owszem, do rybaków japońskich, ale koreańscy nie mieli o nim najmniejszego pojęcia. A jesienny sezon połowów był w pełni.

Rzecz wydała się Darrellowi tym absurdalniejsza, że to właśnie koreańscy rybacy, mający bazy na oddalonej ledwie o trzydzieści sześć mil wyspie Ullung, mieli do Wysp Szerszenia najbliżej. O wiele bliżej niż ewentualnie zainteresowani tamtejszymi łowiskami Japończycy. Piąta Flota Powietrzna, testując najnowszą wersję celowników radarowych, wykonała zgodnie z rozkazem wzorcowe bombardowanie z pułapu trzech i pół tysiąca metrów. Celowniki z pewnością były najnowszego modelu, co jednak wcale nie okazało się równoznaczne z celnością.

Wyspy, sądząc z treści raportów SCAP, nie zostały nawet drażnione, na dno poszła natomiast połowa koreańskiej flotylli tuńczykowców wraz z kilkunastoma ludźmi. Wezwane natychmiast na pomoc niszczyciele z najbliższych patroli wzięły na pokład tylko jednego, ledwie żywego topielca – starego człowieka, który razem z wodą wyrzucał z siebie tylko

jedną myśl. – Dar-rell pochylił się nad kartką raportu i czytał z niedowierzaniem. Człowiek ten (niejaki Gong) mówił personelowi medycznemu z lazaretu niszczyciela i obecnemu tam „inteligentnemu”¹⁵⁰, który akurat władał koreańskim, co następuje: „Nie płyńcie tam... Pod wodą... Duży... To diabeł... Jak go zobaczyliśmy, wszystko wybuchło. Nie powinniśmy patrzeć. To bóg wyspy... przekłete miejsce... Pomóżcie... Syn...Yong... żyje?”

Wewnętrzne śledztwo, owszem, potwierdziło fakt skrzętnego gromadzenia stosownej dokumentacji, ale w dokumentacji tej nie znaleziono nawet śladu ostrzeżenia koreańskich cywilów. Co więcej, oficjalnie spisane do protokołu zeznania Gonga „wydają się potwierdzać” najgorsze... – Harold po raz kolejny uśmiechnął się z politowaniem nad urzędowym sformułowaniem: „wydają się potwierdzać...” – A co by się tu miało „wydawać”? – ironizował w myślach. – Superfortece wypróżniły się z wysokiego pułapu. Było ich dwanaście. Każda, ponieważ nie było daleko, niosła maksymalny ładunek, czyli dziewięć ton. Razem ponad sto ton. Pułap chmur tego dnia był niski, więc rzucali jedynie według wskazań radaru. Czyli... mówiąc między nami... na pałę. Nic dziwnego, że załatwili te okręciki. Wyspy pozostały nietknięte. Zresztą... Czy można uszkodzić bazaltową skałę? Zrobić z bezludnego rumowiska jeszcze większe rumowisko?

Załogi B-29 zameldowały zgodnie... a jakże... o powodzeniu operacji. I tak też, dołączywszy dane o zużyciu paliwa i amunicji, zapisano to w raportach.

Gong – gdy ozdrowiał i przestał bredzić o podwodnych diabłach i wybuchach – zeznał, co widział, do protokołu naczelnikowi policji na Ullung, a rzeczy z protokołu nie sposób już było wymazać. SCAP dołączył do tych zeznań notatkę instruującą amerykańskich administratorów o skutkach nieprzestrzegania procedur uzgodnionych z japońskim rządem. Przepisy te stawiały struktury administracji okupacyjnej w o wiele gorszej sytuacji, w opozycji do analogicznych struktur japońskich. Sformułowano je

zapewne w wyniku złych doświadczeń pierwszych osiemnastu miesięcy okupacji.

Szef policji na Ullung, wyjątkowy idiota, zapewnił zboląłego Gongga, że może dalej łowić wokół Dokdo, deklarując – zgodnie z zdezaktualizowaną instrukcją SCAP – pełne bezpieczeństwo. Dla tego kretyna urzędowy papierek, podobnie jak wszelkie urzędowe papierki dla podobnych jemu kretynów na całym globie, stanowił dostateczne uzasadnienie deklarowanych idiotyzmów.

Panu Gongowi natomiast oplakującemu rozszarpanego przez pięćsetfuntową bombę syna, oświadczenie komendanta najwyraźniej przestawiło coś w głowie. Zamiast siedzieć cicho i korzystać z wielotysięcznego odszkodowania, wypłaconego przez SCAP w dobrych amerykańskich dolarach, zaczął monitować rodzące się obywatelskie przedstawicielstwa. Czas po temu był nie najlepszy, jednak głos rozpaczliwego skromnego rybaka dotarł gdzie trzeba, czyli do Senatu Stanów Zjednoczonych, i MacArthur musiał się gęsto tłumaczyć. Poleciały głowy, ale Hodge'owi udało się uratować tyłek. Najlepsze jednak wciąż było przed wszystkimi zainteresowanymi. Gong, dysponujący wszelkimi możliwymi zaświadczeniami i instrukcjami (pewno, by pocieszyć się po śmierci jedynaka), znów popłynął na Dokdo, zaciągawszy dzięki odszkodowaniu kredyt na kolejną łódź. Tym razem, by zbierać wodorosty, bo okupanci, nie wiedzieć czemu, zagustowali raptem w sushi i popyt na nie gwałtownie wzrósł. Na tym zarówno handlowa, jak i osobista kariera pana Gongga się zakończyła, a koreańska policja z Ullung nie była w stanie wyjaśnić Amerykanom dwóch rzeczy: dlaczego wyspa została zbombardowana z wysokiego pułapu akurat tego dnia, w którym pan Gong odławiał wodorosty, i dlaczego SCAP, zasypujący posterunki milionami papierków, tego akurat wartego życie pana Gongga papierka nie dosłał.

Dla wrogów MacArthura w rządzie i nieprzychylnych mu kongresmenów wniosek mógł być tylko jeden: Okupacyjne amerykańskie władze Japonii dyskryminują Koreańczyków tak samo, jak dyskryminowali ich przez lata

okupacji Japończycy.

Nie dość tego, bo rzecz przedostała się do japońskiej prasy, a z niej do prasy brytyjskiej. Po dwu tygodniach Hodge zobaczył na swoim biurku egzemplarz moskiewskiej „Prawdy” z artykułem niejakiego Tymochowicza, wyjątkowego – jak się zdaje – sukinsyna. Ów Tymochowicz – jak wskazywało nazwisko, Polak z pochodzenia – musiał odebrać dobrą, fachową szkołę załganej propagandy. Spod jego pióra spłynęły krokodyle łyzy nad losem Koreańczyków, określanych jako „nasi uciskani i oszukiwani towarzysze”. Japończycy dla odmiany zyskali miano „bezwolnego, podległego prawom imperialistycznej okupacji stada”, a rządy amerykańskiego dowództwa doczekały się wyjątkowo wyszukanego porównania do bezkompromisowej dominacji szogunatu. Nie było to mądre, obiektywne ani tym bardziej sprawiedliwe, ale rozpoczynał się czas walki o wpływy, a – jak uczy historia – takie okresy nie wymagają bezwzględnego przestrzegania zasad i etykiety dyplomacji ani Public Relations najwyższego lotu.

Na domiar złego prasa amerykańska - *post factum* – opublikowała oświadczenie japońskiego USAAF o „zamiarze” bombardowania Dokdo. Oczywiście z mniej lub bardziej ironicznymi komentarzami. Jeden z najbardziej wyważonych, choć siłą rzeczy niepozabawionych ironii komentarzy, głosem swego autora, niejakiego Robina Browna pytał: „Jak to możliwe, że wszyscy – to znaczy ci, którzy zamierzali bombardować, oraz ci, którzy mieli być bombardowani – zostali tą akcją zaskoczeni?”

Żeby było jeszcze śmieszniej, USAFIK¹⁵¹ ubzdurały sobie, że będą reprezentować interesy narodu koreańskiego, i uruchamiając kanały protekcji, znajomości i nacisku, doprowadziły do historycznego ich zdaniem zakazu wszelkich bombardowań Dokdo jako terytorium jurysdykcji władz koreańskich. Skutek był taki, że FEAF¹⁵² – zwierzchnik zarówno koreańskiej, jak i japońskiej części USAAF – oficjalnie i „na zawsze” zamknęły sprawę. I w tym właśnie momencie spadła ona na biurko Darrella.

Hodge nie bez powodu poczuł wściekłość, bo Projekt Dokdo był jego pomysłem i generał przywiązał się do niego, jak do własnego dziecka. Hodge uważał, że wystające z morza skałki o powierzchni nieprzekraczającej ćwierci kilometra kwadratowego są świetnym celem. Zarówno dla tych załóg, które będą specjalizować się w bombardowaniu nieprzyjacielskich okrętów, jak i tych, których zadaniem będzie obrzucenie bombami zapalającymi określonego kwartału miasta. Nie mówiąc o załogach ćwiczących się w „zawieszaniu flary” (tak nazywano w siłach lotniczych zrzut bomby termojądrowej). Jednym słowem, był to cel idealny i generał nie zamierzał z niego tak łatwo rezygnować. To było zadanie Darrella. Miał doprowadzić do eksterytorialności Dokdo pod... – tu pułkownik znów się uśmiechnął – pod zarządem amerykańskich sił okupacyjnych. Sformułowanie „eksterytorialność pod zarządem” brzmiało niemal równie dobrze, jak „suwerenność na korzyść Japonii”. Zadanie to wymagało oczywiście wielu zabiegów, ale nie wydawało się Darrellowi, który lubił wyzwania, niemożliwe. Poza wszystkim, gdyby mu się powiodło, miałby dobry powód, żeby osobiście dowodzić ćwiczebnymi eskadrami i nie zgnieć za biurkiem. Po pierwsze – myślał – warto by tam polecieć, żeby zobaczyć ten słynny archipelag z bliska. Najlepiej łodzią latającą, bo wtedy może udałoby się nawet postawić tam nogę. Dokdo to nie były wyspy na piknik. Ale gdyby była z nim Kira... Wtedy reszta byłaby nieważna. Ani to, że nie ma tam przyzwoitej plaży, tylko kamieniste skrawki, ani to, że nie zbudowano tam restauracji z widokiem na morze. Jemu i Kirze wystarczyłby śpiwór rozłożony gdzieś na mchu i dobra butelka... Gównu! – zżymał się w duchu. – Może trzeba było powiedzieć prawdę ludziom z kontrwywiadu i zatrzymać ją? Wyszłaby po kilku latach, a wtedy... Wtedy – otrząsnął się – naplułaby ci w twarz albo zabiła przy pierwszej nadarzącej się okazji. Za mało ją znasz?

Dźwięk alarmowego, czerwonego telefonu wyrwał go z kręgu udęcujących rozważań o Kirze. Nim odebrał, spojrzął na zegarek. Do świtu, wczesnego w czerwcu pod tą szerokością geograficzną, zostało ledwie

kilka minut. To był Hodge, bardziej zdziwiony niż uradowany faktem, że o tej porze zastał swego podwładnego w biurze.

– Harold? Dobrze, że jesteś. Słuchaj. Mamy wojnę...

– Znowu? – zdziwił się Darrell, choć przeczuwał, że tak się to skończy.

– Nie błażnij i słuchaj. Ci z Północy właśnie przekroczyli granicę i podobno idą jak burza. Nasi jak zwykle są zaskoczeni i trochę to potrwa. Znasz te sprawy?

– No... – potwierdził mruknięciem Darrell.

– Za chwilę przerzuci się większe siły i wszystko wróci do normy.

– Czy to oznacza coś szczególnego dla mojego departamentu? – Darrell starał się nie ujawniać zaniepokojenia.

– Broń Boże – uspokajał Hodge. – Ale to świetny moment, żeby postarać się o to Dokdo. Wiesz? Jak jest wojna, wszystko idzie gładko i nie trzeba tak bardzo bać się gazet. Napisz pismo. Najlepiej od razu do obydwu premierów. Ja to podpiszę i jak damy radę, może nawet sam MacArthur. Inteligentnie. Że na czas działań... i tak dalej. Że taki cel jest niezbędny dla lotnictwa, żeby dobrze walczyło w obronie demokracji z komunistami. Napisz o zagrożeniach i innych takich tam duperelach. Mam cię uczyć? Coulter¹⁵³ z VIII Armii obiecał mi, że też wysmaży pisemko.

– Wiem, jak to zrobić – uspokajał Darrell.

– I od razu planuj terminy ćwiczeń. Nawet jak się nie zgodzą, rób swoje – entuzjasmował się Hodge podniecony wojną. – Aha – dodał łaskawie, a Darrellowi serce zabiło mocniej w przewidywaniu dobrych nowin. – Jak ci tak zależy, możesz też latać jako dowódca eskadry. Cieszysz się? – Darrell przełknął ślinę i milczał, ale Hodge, znający go jeszcze sprzed wojny, wiedział, że Harold jest szczęśliwy. – No to świetnie, ale pamiętaj, wszystkie papierki mają być załatwione na czas. Jeszcze jedna dobra wiadomość... – Generał zawiesił głos, jak dyrektor college'u przed odczytaniem pierwszej dziesiątki nagród za osiągnięcia.

– No? – zniecierpliwiał się Darrell, a Hodge, żartując, wcielił się w surowego przełożonego. Najwidoczniej wojna (mimo że zaczęła się tak

wcześnie rano) wprawiała go w doskonały humor.

– Jak ty w ogóle rozmawiasz z przełożonym? Ponieważ schamiałeś już do szczeru u Sowietów, to ci nie powiem... Zresztą... powiem, ale nie wszystko... To będzie niespodzianka. Zamelduje się jutro u ciebie nowy oficer do spraw logistycznych. Pewno go polubisz...

Hodge odłożył słuchawkę, a Darrell odsunął zasłony z jednego z wielkich okien i długo wpatrywał się w japoński świt, jakby wysoko, w blednącym tokijskim niebie, chciał odnaleźć odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania.

Moskwa, Kreml, gabinet Stalina, południe 28 czerwca 1950

Głównodowodzący nie wyglądał tak, jak w wierszyku, za którego znajomość, a nie daj Boże przepisanie, można było skończyć w łagrze.

Palce tłuste jak czerwie w grubą pięść układa,

Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada,

Śmieją się karalusze wąsiska,

I cholewa jak słońce rozbłyska.

Fragment wiersza Osipa Mandelsztama *Bez tytułu*, przekł. Stanisława Barańczaka.

Wierszyk, zaśmiewając się, wyrecytowała mu oczywiście Zuzanka, przybierając przy tym stosowne pozy, co wobec faktu, że z całego stroju przy tej recytacji zostały jej tylko pończochy i podwiązki, byłoby naprawdę pikantne i zabawne, gdyby nie domowy podsłuch w osobie Niny Andriejewny. Zuzanka recytowała dysydencki wierszyk konfidencjonalnym scenicznym szeptem, a na zakończenie, gdy duszący się ze śmiechu Kotielnikow bił jej ciche brawa, rzuciła w niego zwiniętymi w kulkę majtkami.

Przypominając sobie tę scenę, admirał z uwagą przyglądał się Stalinowi.

Na pewno bardzo się postarzał od tamtej rozmowy. Wydawał się przygnieciony ciężarem swojej wszechwładzy, a może po prostu był chory, tak ciężko i boleśnie przesuwając obrzmiałe stopy w kaukaskich miękkich butach. Tył spodni generalskiego – czy może lepiej: generalissimowskiego – munduru zwisał żałośnie, jakby wódz nie podciągnął dostatecznie wysoko portek, wstając z sedesu. Kotielnikowowi, który i tak patrzył na niego z góry, Stalin wydawał się jeszcze niższy, niż był. Posiwał, włosy przeredziły się na czubku głowy, a piękne dłonie pokryte były plamami świadczącymi o nadmiernym obciążeniu wątroby pićm, jedzeniem i lekami. Z czasów, w których po raz ostatni go widział, zostały mu tylko dwie rzeczy: pełen zaskakujących, zmiennych tonów głos i całkiem młode, niezmęczone oczy, patrzące bystro i ironicznie spod wciąż ciemnych brwi.

Nim admirał zdążył się na dobre rozejrzeć po gabinecie, Gruzin niespodziewanie znalazł się tuż przy nim i Kotielnikow miał przez moment wrażenie, że Stalin chce go pocałować. Ale nie. Wódz ograniczył się do ujęcia wielkich dłoni admirała w przegubach i potrząśnięcia nimi w takim geście, jaki można zobaczyć na piórkowych ilustracjach pierwszych wydań *Klubu Pickwicka*.

– Siadajcie! Siadajcie, towarzyszu admirale – zachęcał Gruzin. – Nie stójcie tu nade mną jak kat nad dobrą duszą. Swoją drogą, jak można być takim wysokim? – gderał żartobliwie, a jednocześnie czujnie przyglądał się twarzy admirała i szukał spojrzeniem jego oczu. W tym starczym już krzątaniu się, w rzucanych spod oka spojrzeniach, zacieraniu rąk i przygarbieniach zaczął przypominać Dickensowskie czarne charaktery – rzezimieszków i skąpców.

– Napijemy się herbatki? Dobrze? – Zabrzmiało to niemal jak prośba, choć Kotielnikow doskonale wiedział, że ta przymilność jest tylko kaprysem władcy udającego służącego. Wódz nie wezwał oficerów. Robił wszystko sam i szło mu to wcale sprawnie. Wreszcie uporał się z samowarem, szklankami i spodeczkami konfitur i siadł obok

Kotielnikowa, jakby obydwaj byli petentami u kogoś jeszcze bardziej potężnego.

– Niektórzy, wiecie, twierdzą, że na takie czerwcowe upały jak dziś najlepsze jest piwo – zagał nieobowiązująco. – Mnie tam wcale nie jest za ciepło. Raptem marne 30 stopni! – Wskazał gestem na nieruchomy od gorąca świat za szczelnie zamkniętymi, wielkimi oknami. – A po jednej, wyobraźcie sobie, jednej butelce piwa robię się senny i nic do mnie nie dociera. Dlatego zostaniemy przy herbatce. – Zamieszał hałaśliwie łyżeczką w kryształowej szklance. – Na koniak też chyba za wcześnie? – sondował, najwyraźniej szukając aprobaty dla swoich przyzwyczajień, a Kotielnikow ku jego zadowoleniu zadeklarował:

– Na dobry koniak każda pora jest dobra.

– Mówicie jak prawdziwy marynarz i komunista! – uradował się wódz i ciężko dźwignął zad z krzesła po to, by przeszurać swoimi kaukaskimi kierpcami po wspaniałym dywanie w stronę kredensu z trunkami. Z tacą, na której ulokował butelkę i kieliszki, wracał, stawiając stopy jeszcze ostrożniej. Ostatnio coraz częściej zdarzały mu się zasłabnięcia i zawroty głowy.

– Czytałem wasz raport – powiedział, gdy wypili pierwszy łyk. Potem nabrał na łyżeczkę wiśniowych konfitur i długo rozcierał na języku smak ubiegłorocznego lata. – Podobał mi się.

Jesteście, towarzyszu admirale, bardzo konkretni i macie dobry styl. A więc naprawdę jesteście gotowi?

Kotielnikow ostrożnie wlał do ust to, co pozostało w kieliszku, i spojrzał na wodza jasnymi oczami.

– To zależy od rozkazów, towarzyszu Stalin, ale gotowość operacyjna to kwestia kilku dni. Trzeba zatankować okręt, uzbroić samoloty i pościągać ludzi z urlopów.

– Dajecie im urlopy?! – zdenerwował się Stalin. – Żeby wszystko wygadali?

Kotielnikow mitygował go, widząc, że Gruzin gotów jest wybuchnąć:

– Nie denerwujcie się, proszę. Nie mówię o takich normalnych urlopach. To się u nas tylko tak nazywa. Nasz „ośrodek wypoczynkowy” kazałem ulokować wewnątrz ściśle strzeżonej zony. Ci, co mieli ochotę, mogli ściągnąć rodziny, ale są uprzedzeni, że aż do zamknięcia projektu rodziny będą musiały zostać w bazie.

– Zamknęliście? – burknął udobruchany wódz. – To lepiej. A nie narzekają?

Kotielnikow odetchnął.

– Na co by niby mieli narzekać? Mają kino. Szkołę. Basen. Salę gimnastyczną i kantynę z wojskowymi cenami. Ludzie zatrudnieni przy projekcie zarabiają bardzo dobrze. Więc nie ma na co narzekać. Grupa japońska ma swój ośrodek zaraz obok.

– Skąd wzięliście na to pieniądze? – zainteresował się Stalin i znów zaczął wyglądać jak Dickensowy Fagin z *Olivera Twista*. – Nie robicie tam czasami jakichś przekrętów?

– Co też wy, towarzyszu Stalin – serdecznie obruszył się Kotielnikow, który akurat w tej materii nie miał sobie nic do zarzucenia. – Wszystko jest w preliminarzach i porządnie zaksięgowane. Proszę wziąć pod uwagę, że mam w bazie i w stoczni specjalistów, jakich sobie zamierzę, i bataliony poborowych, którzy kosztują nas tyle, co ich kasza ze słoniną. Poza tym, pozwólcie sobie przypomnieć, daliście mi wolną rękę, byle tylko projekt został zrealizowany. No i został... – Kotielnikow nadał się, chcąc choć w ten sposób zaprotestować przeciwko niesprawiedliwym sugestiom.

– Rzeczywiście dałem wam wolną rękę – potwierdził dumny z własnych możliwości wódz. – Czy ktoś wam przez ten czas przeszkadzał? Zawracał głowę? Mieliście jakieś komisje, kontrole? Ktoś kwestionował wasze decyzje personalne? A właśnie. Nie musicie odpowiadać. Oczywiście, że nie mieliście. Ja dotrzymuję obietnic. Nawet... nawet jeśli uznam, że decyzje moich ludzi są kontrowersyjne... Wiecie, o czym mówię... – Rzucił admirałowi znaczące spojrzenie i upewniwszy się, że Kotielnikow zrozumiał, ciągnął: – Gdy tylko któryś z waszych zawistnych kolegów za

bardzo się interesował tym, co robicie, lądował jak najdalej od was. A myślicie, że ja tu nie miałem nacisków, pytań, wściubiania nosa w nasz projekt? (Stalin łaskawie użył zaimka „nasz” i obserwował, jak twarz Kotielnikowa promienieje z radości.) Miałem. I to częściej, niż wam się wydaje. Jedno jest pewne: jak na razie wie o tym wszystkim niewielu ludzi, a ci, którzy wiedzą, nie wiedzą wszystkiego. Nawet wy wszystkiego nie wiecie. Ale przyjdzie i na to pora. Czy Japończycy są wam dalej niezbędni? A ten komandor? Kaneyasu czy jak mu tam? A ta Kira? Jak sami rozumiecie, prócz waszego raportu mam tu kilka innych, z których wynika, że zapraszacie ją i tego Japończyka do domu i bywa tam wesoło. – Popatrzył uważnie na admirała, a Kotielnikow mężnie wytrzymał spojrzenie. – Wiem – kontynuował Stalin, bawiąc się sytuacją – że dużo pracujecie i wasz czas po pracy jest waszym czasem, ale czy nie prowadzicie generalnie, jak na człowieka na waszym stanowisku, zbyt wesołego życia?

Kotielnikow zrozumiał, że wódz wie wystarczająco dużo, ale nie poczuwał się do winy.

– Komandor Kaneyasu... – zaczął, lecz Stalin przerwał:

– Może pora już pozbyć się tego Japończyka i jego ludzi? I tej kobiety? Co o tym sądzicie?

Kotielnikow przełknął ślinę.

– Komandor Kaneyasu – powtórzył – oddał nam nieocenione usługi. Niczego mu nie obiecywałem, prócz tego, że nie oddamy go trybunałowi sądzącemu zbrodniarzy wojennych, ale jeśli mam być szczery, chciałbym go jeszcze zatrzymać w projekcie... Czułbym się pewniej. Podobnie jest z Kirą. Mam ich pod dobrą kontrolą i z tym, o czym mówicie, towarzyszu, zawsze się zdąży. – Mówił spokojnie, lecz z przerażeniem myślał o tym, że Stalin każe mu zlikwidować Japończyka i dziewczynę.

– Już dobrze – ułaskawił go wódz. – Wiem, co jesteście warci. I szanuję wasze opinie. Poza tym ten Japończyk rzeczywiście może się wam jeszcze przydać. I ta... Ale, proszę... – Stalin ściszył głos. – Na nią miejcie oko.

Gdybyście coś sfuszerowali, nie liczcie na moje względy... Nie tym razem. Pamiętajcie też, że w dalszym ciągu nie może być w tej sprawie żadnych przecieków, bo odpowiecie głową. – Spojrzał groźnie, niby Kościej Nieśmiertelny z bajki o Ognistym Ptaku. – Mówicie więc – zatarł dłonie z zadowoleniem – że możecie być gotowi do wypłynięcia w ciągu kilku dni. Pełna gotowość? A właśnie... te samoloty teraz... z moimi ładunkami, jak latają? Jesteście zadowoleni? A zasięg? Właśnie. Niby napisaliście mi tam wszystko, ale powiedzcie mi łaskawie własnymi słowami.

– Nad podziw – chwalił się Kotielnikow. – Z nowym silnikiem, po przeróbkach seirany latają świetnie. Zasięg wzrósł. Mamy teraz do dyspozycji prawie tysiąc czterysta kilometrów. No i szybkość. Naprawdę imponująca. Nie wiem, co o tym myślicie, ale zgodnie z założeniami to mają być maszyny jednej misji, więc nie przewidzieliśmy możliwości lądowania. Pilot może wyskoczyć niedaleko okrętu, ale seiran pójdzie pod wodę jak kamień.

– I dobrze. Na zdrowie. Byle jak najgłębiej. – Stalin rozparł się za stołem, szeroko rozstawiając dłonie na nieskazitelnym politurowanym na ciemno blacie. – Samoloty nie muszą nigdzie wracać... Wasza głowa tylko w tym, żeby wystartowały i wykonały zadanie. Jeśli jest tak, jak mówicie, to bądźcie łaskawi być gotowi jak najszybciej. Kiedy możecie wypłynąć?

Kotielnikow zastanowił się chwilę. Jeśli rozkazy wyda się zaraz, korzystając z szyfrowanych dalekopisów Kremla...

– Za tydzień, towarzyszu Stalin. W przyszłą środę możemy ruszać – stanowczo oznajmił admirał, choć jednocześnie pomyślał: Ciekawe tylko, gdzie i co ten... Nawet w myślach starał się nie wyrażać o wodzu pogardliwie, poprzestał więc na „tym”. A więc co „ten” zamierza rozwalić? Nowy Jork? Londyn? Los Angeles? – Pozwolicie, że spytam – zadał istotne w tych okolicznościach pytanie – w którą stronę mamy płynąć?

Stalin zmierzył go kpiącym spojrzeniem.

– Jak powiedziałem, nie możecie za dużo wiedzieć od razu. Cele już wam wyznaczyłem. Na razie przebazujecie się i będziecie czekać na radiogram

potwierdzający dzień akcji. Dam wam na pokład mojego szyfranta i tylko on będzie miał dostęp do koperty z wykazem celów. On i wy. Okręt musi zniknąć z Władywostoku, i to tak cicho, żeby nikt tego nie zauważył. Najlepiej zorganizujcie tam jakieś zamieszanie. Ćwiczenia sił morskich i powietrznych. W takim rozgardiaszu będzie można się wymknąć kuchennymi schodami. Zróbcie ruch... Jeszcze jedno. – Zamilkł na chwilę i popatrzył admirałowi w oczy. – Może się wam to nie spodoba, ale od momentu, w którym miniecie główki portu we Władywostoku, nie znamy się...

– Jak to...

– Ano tak to. – Stalin westchnął ciężko. – To nie będzie sowiecki okręt wojenny. To nie będą sowieckie samoloty. Żadnych znaków, numerów, dokumentów. Rozpoznawalnych instrukcji, kodów i tak dalej...

Kotielnikow odważył się przerwać.

– Mam rozkazać ludziom, żeby wszystko zostawili na lądzie? Dokumenty. Pamiątki. Ideały?

Zabrzmiało to pompatycznie, ale Stalin zrozumiał.

– Wszystko. Gdyby was przechwycono, przesłuchiwano albo zatopiono, macie być znikąd...

Kotielnikowowi wydało się nagle, że jest postacią z awanturniczej powieści. Pytanie nasuwało się samo:

– A bandera?

Wódz podkreślił rzedniejącego wąsa i uśmiechnął się. On też czytał takie powieści i miał wyczucie stylu.

– Jak was to bawi, wciągnijcie czarną... Jeżeli się wam uda i wrócicie cało, będziecie mogli uważać się za pełnego admirała i już nigdy nie będziecie musieli martwić się o przyszłość...

Prócz tego, że dostał właśnie nominację, albo może lepiej – namaszczenie na jakiegoś cholernego Nemo, Kotielnikow zrozumiał tylko jedno. Jeśli ma dowodzić, będzie musiał zrobić z Sen-toku okręt admiralski. Trzeba będzie kazać przygotować osobną kabinę... Nie wiedział jeszcze, czy to, że będzie

dowodził operacją z pokładu, bardziej go zmartwiło, czy ucieszyło. Nie wiedział także, co ma znaczyć owo „przebazowanie”? Czy chodziło o bazy na północy? Jeśli tak, trzeba będzie przez kilka dni defilować pod okiem Amerykanów, chyba żeby wybrać marszrutę okrężną i płynąć naokoło wysp japońskich, co też było dość niefortunne. Postanowił rozwiązać wątpliwości i spytał:

– Którą bazę macie na myśli? Towarzyszu Stalin?

Gdy drzwi zamknęły się za Kotielnikowem, Stalin wstał zza stołu i ciężko przemaszerował na swoje miejsce u szczytu. Siadł i pedantycznie ustawił przybory do pisania oraz nieskazitelnie czysty blok notatnika. Po chwili wyjął z uchwytu drogiego malachitowego przybornika (prezent od Malenkowa) wieczne pióro. Odkręcił i tak, jak potrafił, wysuwając koniuszek białego od wątrobianego nalotu języka, narysował portret Mao. Wyszło mu całkiem nieźle. Szczególnie karykaturalny kontrast małych usteczek z wianuszkami włosów wokół łysej czaszki. Stalin odsunął się od notatnika i popatrzył w zasłonięte przed czerwcowym upałem okna.

– Chcesz być za mądry, kolego – mruknął i znów sięgnął po pióro. Dorysował przewodniczącemu wąsy i brodę. – I szybko rośniesz w siłę. I ten twój gnój koreański, Kim. Gnida. Chłopek. Tak jak ty. Marzy się wam władza taka, jaką ja mam. W porządku. Ale tylko pod moją kontrolą. Chcecie za dużo i za szybko. Ale nawet takie gówna chłopskie, śmierdzące jak wy, mogą się do czegoś przydać. Sojusz? Jasne. Ale jedyny rozsądny sojusz można zawrzeć ze słabszym partnerem. Ten silniejszy nigdy nie wywiąże się ze zobowiązań. Wy razem możecie być niebezpieczni, a ja nie potrzebuję waszej połączonej siły na Wschodzie. Urośnicie mi za bardzo i zaczniecie szczać na mnie i moje sprawy. Zawsze tak było. Potem więcej z wami kłopotu niż z was pożytku. Pewno się obydwaj zastanawiacie, dlaczego tylko daję sprzęt i pieniądze. Dlaczego nie włączam się do wojny? To wam, gnoje, odpowiem: Sprzęt wam rozwałą. Pieniądze sprzeniewierzycie. Moich ludzi wytraciecie. Tyle z tego będzie, bo ja – moi drodzy – znam Amerykanów. To moi przyjaciele. Nigdy mnie nie zawiedli

i o nic nie prosili. Ani ja ich. Oni rozumieli moje interesy, ja rozumiałem ich interesy. Wymiana była uczciwa. Długi są zapłacone. Ale moi przyjaciele Amerykanie też się za chwilę otrząsną ze zdziwienia i zaczną się zastanawiać, dlaczego Wujaszek Joe nie włączył się do takiej ładnej wojenki? Wujaszek Joe myśli trochę bardziej perspektywicznie. Wujaszekowi Joe Wschód jest potrzebny. Choćby po to, by lepiej kontrolować Zachód. Amerykanie nie są głupi. Postępują z Japonią bardzo mądrze. Demokracja. Pomoc gospodarcza. Po co? Bo kochają Japończyków? Nie, kochani. Nie miejcie złudzeń. Amerykanie znają japoński potencjał. Teraz będą mydlić oczy światu, ale przygotowują na wyspach siłę zdolną rozstrzygać w przyszłych wojnach. A że te nadejdą? Mamy już pierwszą. Będą następne. Dlatego mam w tej chwili dwa priorytety. Zadbaj o to, żebyście za szybko nie urosli, i osłabić Amerykanów. Jak to rozwiązywano w przeszłości? Najprościej. Ale wciąż to zaskoczenie. Jak masz dwóch potencjalnych wrogów, napuść ich na siebie. Niech się wzajemnie osłabiają. Proste. Ja mam swoje interesy do załatwienia i muszę mieć spokój, więc, kochane gnojki... – Dźwignął się ze swojego prezydialnego fotela i poczłapał w stronę karafki z koniakiem: – Piję wasze zdrowie!* (* *Kim Ir Sen przyjechał do Moskwy, by poprosić Stalina o „błogosławieństwo” przed zaatakowaniem Korei Południowej. Stalin sprytnie odesłał go do Mao. Wcześniej w 1949 roku, w czasie swej grudniowej wizyty w Moskwie z okazji 70. urodzin Stalina, Mao był „dyplomatycznie” ignorowany. Przewodniczący skarżył się, że w stosunkach sowiecko-chińskich „odsuwano go na bok”.*).

Dopił koniak i skonkludował już na głos:

– Gnojki!

***Na pokładzie Sen-toku, Morze Wschodnie, przed
świttem 10 lipca 1950***

Jeszcze rok temu miał wiele wątpliwości, bo projekt miał kilka newralgicznych punktów. Po pierwsze, silnik. Dwunastocylindrowy, chłodzony cieczą, w układzie odwróconego „V” Atsuta 32 H-60-32 * (* *Używam oznaczeń wprowadzonych już po unifikacji systemu oznaczania silników (Ha – skrót od: hatsudoki – silnik, 6 – silnik 12-cylindrowy rzędowy chłodzony cieczą. Kolejne cyfry oznaczają średnicę cylindra i skok tłoka oraz numer porządkowy modelu).*) był świetną konstrukcją, zdolną wynieść w powietrze ponad cztery tony masy płatowca, uzbrojenia, paliwa i dwóch ludzi. Potrzeba jednak było czegoś, co wyniesie sześć ton i zapewni lepsze osiągi. Stworzony dla potrzeb projektu zespół, skomponowany z silnikowców i specjalistów od płatowca, hydrauliki i uzbrojenia, postawił od razu na AM-42FNW, najnowszą konstrukcję Zakładów nr 24, silnik rzędowy chłodzony cieczą z bezpośrednim wtryskiem paliwa. Gdy kilka AM-42 znalazło się w magazynach projektu i zaczęto przymiarki, by pomieścić silniki w smukłym płatowcu, Zakłady nr 24 zawiadomiły, że zakończyły testy państwowe i produkcję serii informacyjnej rewelacyjnego rozwinięcia „42” – AM-43. Silnik osiągał świetne moce w wielkim diapazone wysokości. Aż do wysokości ośmiu i pół kilometra moc spadała niewiele w stosunku do mocy startowej. Silnik miał jednak gabaryty większe od atsuty. Nie były to różnice drastyczne, ale trzeba było przeprojektować łożę i przód kadłuba. Inżynierowie z zespołów Iliuszyna i Tumiłowa zachwycali się pomysłowością konstruktorów seirana, którzy zdołali zaprojektować strukturę lekką, lecz niezwykle wytrzymałą na odkształcenia. Wykonanie profili i dokładność montażu były na najwyższym poziomie. Ba, były na poziomie nieosiągalnym dla rodzimych technologii. Sowiecki silnik był szerszy, ale jego waga tylko nieznacznie przekraczała wagę atsuty, specjaliści z Zakładów nr 24 zdecydowali się więc na zamontowanie „43” odwrotnie (głowicą w dół), co przy zasilaniu bezpośrednim wtryskiem (*nota bene* skopiowanym ze zdobycznych rozwiązań Boscha) nie stwarzało żadnych problemów. By nie grzebać w zawieszeniu silnika, nie sztukować i nie łątać, zdecydowano się na

wykonanie nowego łoża według technologii japońskiej, nieznacznie pogrubiając część profili. Trzeba też było trochę obniżyć i powiększyć chwyt powietrza do chłodnicy, tak by nad nią zmieściła się dwustopniowa instalacja chłodzenia glikolu. W efekcie seiran, nie tracąc niczego ze swej wspaniałej smukłości, stał się z przodu nieco bardziej masywny.

Gdy zamontowano „43” na pierwszej przerobionej maszynie i rozpoczęto próby na hamowni, samolot wpadł w przeraźliwe wibracje i omal się nie rozleciał. Okazało się, że „43”, dysponujący o tysiąc koni większą mocą, nie chce współpracować z japońskim trójłopatowym śmigłem o średnicy 320 centymetrów. Ci od Iliuszyna nie załamali rąk i sprowadzili najnowsze, przeznaczone dla nowego szturmowo-myśliwskiego Ił-16 czterołopatowe śmigło AW-9Ł-70 o większej o 20 centymetrów średnicy. Okazało się, że kołpak śmigła idealnie odpowiada okapotowaniu silnika seirana. Uroda samolotu znów uległa nieznacznej modyfikacji, bo oryginalne kołpaki były zaokrąglone, a Iliuszynowe spiczaste. Z większym czterołopatowym śmigłem rosyjski silnik współpracował znakomicie. Gdy zmierzono moce na hamowni, okazało się, że „43” przekracza nawet o 200 koni fabryczne specyfikacje. Gdy wydawało się im, że uporali się z napędem, Zakłady nr 24 zawiadomiły ich, że ukończyły testy kolejnego, rozwojowego wariantu, który przy mniejszej o 40 kilogramów wadze i podobnych gabarytach rozwijał nieprawdopodobne moce, sięgające przy starcie 3000 koni. Inżynierowie optowali za tym, by pozostać przy „43”, jednak Kotielnikow postanowił raz jeszcze zmodyfikować napęd i polecił instalację AM-45-Sz. Jak wykazały późniejsze próby, w locie, była to decyzja słuszna.

Ponieważ seirany po powrocie z misji nie miały lądować na pływakach, a ściślej mówiąc, nie miały w ogóle lądować, specjaliści od płatowca zdecydowali się na rezygnację ze skomplikowanych klap zapewniających zminimalizowanie prędkości lądowania na wodzie do 113 kilometrów na godzinę. Pozwoliło to wzmocnić konstrukcję płata. A konstrukcja musiała być odporna, bo seirany miały dźwignąć w powietrze bombę o masie 1200 kilogramów. To były zmodyfikowane RDS-y¹⁵⁴ o specjalnie zmniejszonych

gabarytach i masie. Oficjalnie w ogóle ich nie było. To Stalin spowodował przyspieszenie prac nad wersją o zmniejszonej masie i niewielkich gabarytach. Specjalnie na użytek projektu wyprodukowano trzy egzemplarze.

Moduł sterujący i uzbrajający bombę, zasilany z 24-voltowej instalacji elektrycznej seirana, a po wyczepieniu z wbudowanych akumulatorów, był także konstrukcją prototypową. Ważył niecałe 80 kilogramów i zajmował niewiele miejsca. Tyle, co duża lodówka. Co więcej, jego obsługa nie była skomplikowana. Można go było uzbroić, odbezpieczyć i uruchomić w ciągu zaledwie piętnastu minut. Potem wystarczyło tylko przerzucić dwa hebelki na tablicy w kabinie pilota. Pierwszy zwalniał blokady bezpiecznika, drugi wyczepiał ładunek.

Technicy projektu, gdy po raz pierwszy pokazano im bombę, długo zastanawiali się, jak ulokować potworka w kadłubie seirana. Szybko, nie bez udziału starego Takemitsu i jego ludzi, pojawiły się pomysły. Bomba w kształcie dość topornej beczki nie była długa. Miała raptem trzy metry i metr średnicy. Technicy wykonali wstępne rysunki. Pierwotnie seiran był maszyną dwuosobową, teraz więc przestrzeń oszklonej limuzyny i kadłuba – przeznaczona dla drugiego członka załogi – była wolna. Miała ją zająć RDS. Skrócono limuzynę i zabudowano grzbiet kadłuba. Bombę i moduł sterujący umieszczono w skrzyni odpowiadającej dokładnie wymiarom powstałej dziury. To, co wystawało z dołu na prawie czterdzieści centymetrów, najpierw próbowano profilować owiewkami, a po namyśle i kolejnych interwencjach Kotielnikowa, któremu nie wiedzieć czemu zależało na tym, by seiran wyglądał jak najlepiej, jeszcze bardziej obniżono chłodnicę, dopasowując do niej brzuch centroplata i kadłuba i samolot znów zmienił urodę. Ale te modyfikacje, jak się okazało, nie zakłóciły jego właściwości aerodynamicznych. Skrzyni dospawano prowadnice i teraz wszystko razem, po przełożeniu niepozornej jaskrawożółtej dźwigienki zabezpieczonej nakładką (by nie wyekspediować bomby przypadkowym ruchem), wypadalo z seirana gładko, niczym stępor do wbijania pali w dno

rzeki. Technicy wymontowali z RDS-a stabilizatory, bo bomba miała spadochron i czujniki ciśnieniowe, które powodowały jej eksplozję na wysokości 500 metrów, i nikomu nie przeszkadzało to, że ten lot nie będzie zbyt piękny. Moduł sterujący leciał razem z bombą w skrzyni, bo cała ta instalacja pomyślana była do jednorazowego użycia.

Żeby wykonać próby w locie, trzeba było wyposażyć seirany w kołowe podwozia. Przysporzyło to zespołom wielu kłopotów do momentu, w którym wywiad dostarczył kompletną dokumentację szkolnej wersji Seirana M6A1-K Nanzan z takim właśnie podwoziem. Okazało się ono podobne do rozwiązań, które biuro Iliuszyna projektowało dla swojego Ił-10. Wykonano też obciążoną betonem atrapę modułu bomby. Kolejnym problemem był start z katapulty. Kotelnikow chciał, by zespół lotniczy opanował ten manewr do perfekcji. Dlatego też technicy z biura Tumiłowa wykonali dokładną kopię katapulty Sen-toku. Ustawiono ją na lądzie i przykryto cyrkowym namiotem otwartym z przodu, tak by uniknąć szpiegowskich fotografii. Tumiłowcy zaprojektowali też wózek o gabarytach pływaków seirana, który mógł być odrzucony zaraz po starcie, przy schowanym podwoziu kołowym. Oczywiście najpierw wykonano próby w locie bez obciążenia.

Zmodyfikowany seiran wypadł rewelacyjnie. Silnik zachowywał moc do wielkich wysokości. Maszyna miała bardzo dobre, porównywalne do najlepszych tłokowych myśliwców wznoszenie początkowe. Była stabilna w locie i łatwa w pilotażu, bez tendencji do przeciągnięć i wpadania w korkociąg. Początkowo pewne problemy sprawiał potężny moment obrotowy silnika. 3000 koni w połączeniu ze sporą masą propellera utrudniały utrzymanie samolotu w locie poziomym i lewe zakręty. Oczywistym rozwiązaniem okazało się precyzyjne wyważenie i kompensacja lotek i sterów, a seiran potulnie poddawał się kolejnym udoskonaleniom. Okazało się, że doskonale zaprojektowana struktura znosi wiele modyfikacji bez utraty swych właściwości. Seiran zarówno z klasycznego, kołowego rozbiegu, jak i katapultowany na odrzucanym

wózku rwał się w niebo pędzony potworną mocą AM. Żwawo nabierał wysokości i zachowywał przy okazji zwrotność myśliwca. Szybkość mierzona na wysokości 4500 metrów sięgała, bagatela, 700 kilometrów na godzinę!

Nadszedł wreszcie czas, by testować samoloty obciążone atrapą bomby, której seirany po wykonaniu testów pozbywały się nad wyznaczonym akwenem. O dziwo obciążone atrapą i paliwem startowały równie żwawo i równie dobrze nabierały wysokości. Zarówno z pasa, jak i z katapulty. Szybkość maksymalna spadła ledwie o trzydzieści kilometrów na godzinę i wciąż była imponująca. Można było również założyć, że po zakończeniu testów i wymontowaniu ważącego około 250 kilogramów kołowego podwozia osiągi jeszcze wzrosną.

Równocześnie z próbami lotniczymi Sen-toku wypływał w morze. Zawsze po zmierzchu. W dzień okręt ukrywał się przed obiektywami szpiegowskich kamer i wścibskich lornetek pod dachem napelnionego teraz suchego doku o irytującej wszystkich nazwie „Akademik Suchowolcew”. Nikt bowiem nie miał pojęcia, kto to był ów Suchowolcew, dlaczego został członkiem Akademii i co miał wspólnego z budownictwem okrętowym. Rosyjska załoga była bezlitośnie trenowana przez Kaneyasu. Postępy były zadziwiające i Kotielnikow poprosił o wyjaśnienia.

– Podzieliłem ich na hany¹⁵⁵... – Komandor uśmiechnął się skromnie, a widząc niezrozumienie w oczach admirała wyjaśniał: – To taka japońska metoda. *Han* to zespół zadaniowy. Dzielisz ludzi na zespoły i od razu wprowadzasz czynnik rywalizacji. Kto lepszy. Kary i nagrody. Ludzie to lubią i akceptują, bo każdy chce się okazać lepszy od innych, a w zespołach dochodzi jeszcze akceptacja i uznanie kolegów. To działa. Oczywiście odpowiedzialność też jest zbiorowa. Jak członek *han* coś spieprzy, wszyscy cierpią. Nie macie tu skautingu?

– Czego? – nie zrozumiał Kotielnikow.

– No... – tłumaczył Kaneyasu – obozy, namioty w lesie, podchody, zbiórki i tak dalej...

– Aaaa... Mamy... Oczywiście... Pionierów. Obierają ziemniaki, salutują, wciągają sztandary i donoszą na kolegów... Myślę, że to coś w rodzaju tych waszych *han*?

– Może – zgodził się Japończyk. – A czy u tych waszych pionierów istnieje odpowiedzialność zbiorowa?

– Co pan ma na myśli? – pytał Kotielnikow, choć domyślał się o co chodzi.

– U nas to się nazywa *rentai sekinin*. Bardzo skuteczna metoda. Zastosowałem ją w szkoleniu twoich marynarzy. Bardzo szybko uczy, że za wszystko, co zrobisz źle, odpowiada twój zespół zadaniowy i także on cię rozliczy.

– Mamy coś takiego – cicho powiedział Kotielnikow. – Jak się komuś coś nie podoba i to dojdzie do władz... to potem... u nas to się nazywa kolektyw... kolektyw zmusza cię do tego, żebyś się przyznał do grzechu i złożył samokrytykę. Wstrętna metoda. Wszyscy kłamią i zmuszają innych do kłamstwa...

– No właśnie – ucieszył się Kaneyasu, który (a trzeba to złożyć na karb i tak coraz to lepszej angielszczyzny admirała) nie do końca zrozumiał o co chodzi: – Na koniec tygodnia wywiesza się na tablicy wyniki zespołów, punktację i tak dalej. Może to dziwne, ale ludzie starają się wypaść jak najlepiej. U nas to się sprawdzało i tu też działa.

Działało jak trzeba i Kaneyasu nie mógł ukryć podziwu dla tempa, w jakim sformowane przez niego sowieckie *han* uczą się nowych zadań. Lotnikom szło równie dobrze, a to za sprawą ich szefa, bardzo przystojnego mimo przekroczonej pięćdziesiątki, siwego jak gołąbek Białorusina, majora Wiktora Durkota. W czasie wojny błyszczał w lotnictwie szturmowym (z tego, co mówiono, wyczyniał niestworzone rzeczy, latając ciężkim szturmowcem Iliuszyna kilka metrów nad ziemią i atakując niemieckie czołgi). Ciężko ranny w czterdziestym czwartym, po wyjściu ze szpitala zajął się szkoleniem i osiągnął znakomite rezultaty. Kaneyasu nie chciał się wtrącać w jego metody i tak naprawdę nie musiał. Durkot szybko

zorientował się w specyfice działań seiranów i równie szybko poukładał swój piętnastoosobowy zespół pilotów i mechaników. Ci z pilotów (a była ich trójka), którzy nie chcieli zaakceptować jego metod, szybko pożegnali się z projektem, a w ich miejsce pojawili się nowi. Sowieccy piloci byli niesamowici. Nie musieli wiedzieć niczego do końca. Nie musieli mieć żadnych gwarancji. Procedury miały dla nich ograniczone znaczenie. Liczył się dla nich sam lot. Kotielnikow kilka razy rozmawiał o tym z Kaneyasu, który obserwując wyczyny grupy Durkota, kręcił z niedowierzaniem głową.

– To zastanawiające – mówił. – Japoński pilot wie, że musi opanować procedury. To tak jak opanowanie *kata* w sztukach walki. Gdy zna je perfekcyjnie i nie musi się zastanawiać, co dalej, może sobie pozwolić na improwizację. Żaden z naszych pilotów nie wsiadłby do kabiny, nie przyswoiwszy sobie procedur, a u was to normalne. Gorzej. U was wszystko zaczyna się od improwizacji!

– Dlatego wygraliśmy wojnę – pokpiwał Kotielnikow, poklepując po plecach komandora.

Rosyjska zdolność improwizacji i japońska metoda utrwalania procedur uczyniły z Sen-toku i jego nowej załogi perfekcyjną broń. Sam okręt dostał udoskonalone chrapy i nową tłumiącą impulsy asdiku powłokę. Wracał do tajnej bazy.

Decyzja o przebazowaniu na Dokdo była dla Kotielnikowa zaskoczeniem. To nie było już dobre miejsce. Ale rozkaz Stalina był kategoryczny.

Szyfrant, którego kazał zaokrętować Stalin, nie wzbudzał entuzjazmu Kotielnikowa. Był wysoki, blady i zdawał się chwiać na nadmiernie szczupłych nogach. W drugim dniu rejsu, gdy szli nocą na chrapach, zameldował się w admiralskiej kabinie. Trzeba dodać, że kabina była naprawdę admiralska. Miała prawdziwe drzwi obite sklejką tłumiącą odgłosy aktywności załogi, zielone pluszowe zasłony, które niczego nie zasłaniały (bo nie było tu okien), ale tworzyły miłe złudzenie przytulności, i znalazło się w niej wspaniałe politurowane niewielkie biurko, które – jak podejrzewał Kotielnikow – wyszabrowano z intendentury, chcąc mu zrobić

przyjemność. Zrobili, i Kotielnikow z nieuświadomianą do końca radością postawił na tym biurku portret Zuzanny otulającej się wełnianym szalem, spod którego wystawała jej biała, drobna i przez to dziwnie niepokojąca stópka. Zdjęcie to zrobił osobiście. Teraz portret Zuzanny leżał na płask, ukrywając obrazek. Szyfrant siedział przy tym biurku, bo kabina była tak mała, iż Kotielnikow musiał przyjmować interesantów, siedząc na koi.

– Towarzyszu admirale... – referował w napięciu, a Kotielnikow postanowił trochę go rozładować. Napięcie u ludzi denerwowało go. Ogłosił więc konfidencjonalnie:

– Spuście parę. Denerwujecie się? Pewno pierwszy raz pod wodą? – I nie czekając na odpowiedź, którą znał, ciągnął: – Co macie dla mnie, pokażcie!

Szyfrant zmieszał się, ale bez namysłu sięgnął pod bluzę, gdzie na stalowym łańcuszku miał skórzaną kopertę z rozkazami. Kotielnikow wziął kopertę i złamał pieczęć. Nie czytał długo. Na opatrzonej osobistą pieczęcią Głównodowodzącego kartce z żółtego, grubego papieru widniały nazwy dwóch miast. Pierwszym z nich był Pekin...

– Kiedy? – spytał Kotielnikow, a nadmiernie długi i nadmiernie spocony szyfrant odpowiedział: – Mamy czekać na radiogram.

– Dobrze. Możecie odejść – odprawił go Kotielnikow i zatęsknił za Kaneyasu. Wyjął z uchwytu słuchawkę telefonu i wywołał przyciskiem centralę.

– Nie powinienem tego jeszcze mówić, ale mam już cele... – Kotielnikow obserwował, jak komandor spokojnie kładzie dłonie na granatowym suknie mundurowych spodni. Palce zacisnęły się drapieżnie, ale gdy Kaneyasu dostrzegł wzrok admirała skierowany na swoje dłonie, rozluźnił je.

– Pekin – podsunął Kotielnikow, wpatrując się w Japończyka.

– Po co? – zapytał Toru.

– Jesteś głupi...

– Aaaa – Kaneyasu pokiwał głową. Pewne sprawy od wieków były takie same, ale ludzie w nich uczestniczący nie mogli tego zrozumieć. – A drugi

cel? – zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

– Daj spokój. Co cię to obchodzi? Ma wyjść tak... Sam rozumiesz... – Kotielnikow kręcił się na siedzeniu. – Kto w tym rejonie może mieć bombę? Kumaszu? Proste! Tylko Amerykanie... Chiny i Ameryka rzucają się na siebie... A Stalin spokojnie rozegra swoją grę. Przeszkadza ci to?

– Nie wiem – odpowiedział Kaneyasu. – Jest mi wszystko jedno. Jak rozumiem, kazali ci mnie zlikwidować? Nie krępuj się... – Mówił spokojnym głosem, ale Kotielnikow wyczuwał w Japończyku krańcowe napięcie.

– Zaczekaj – mitygował, rozumiejąc, że komandor może szybko skończyć tę dyskusję. Jednym ruchem. – Zaczekaj - poprosił. – Popatrzmy na mapę. O likwidowaniu będziemy mówić później. Na razie spróbujmy przyjrzeć się zadaniu.

– Masz swojego kapitana – Kaneyasu wzruszył ramionami.

– I swoich oficerów. Nauczyłem ich wszystkiego o tym okręcie. Czyli, że co? Traciłem czas, ganiając ich od sekcji do sekcji? I tak mają szczęście, że stosowałem wybrane metody z naszego narodowego repertuaru...

Wzburzenie Kaneyasu było udawane, ale Kotielnikow był za głupi, żeby to rozpoznać, więc patrząc Japończykowi w oczy najbardziej szczerze i serdecznie jak potrafił, starał się go ułagodzić:

– Toru! Posłuchaj mnie uważnie. Jestem o ciebie i o Kirę o wiele spokojniejszy, mając was tu, niż gdybyście musieli zostać we Władywostoku. Mnie... Rozumiesz? Mnie zostawiono decyzję co do waszych dalszych losów. I tylko ja się będę z tego tłumaczył. Jak wykonamy zadanie, zrobi się niezła kotłowanina, a wtedy wszystko jest możliwe. Jak będziecie chcieli, wysadzę was gdzieś. Odłożyłem trochę pieniędzy. Amerykańskich dolarów, żebyście mieli na początek. Ja się będę tłumaczył. O to się nie martw. Marzyło mi się... Ech!

Kaneyasu, patrząc na ładną twarz admirała wykrzywioną dziecięcym zupełnie grymasem, rozculił się na serio i pomógł Kotielnikowowi zachęcającym uśmiechem. Kotielnikow docenił to i wyznał:

– Wiesz, marzyło mi się, że będziecie mogli z Kirą zamieszkać gdzieś w pobliżu i moglibyśmy się odwiedzać. Mam zamiar ożenić się z Zuzanną... Ale to (miał oczywiście na myśli sielankowe sąsiedztwo) raczej niemożliwe... Chociaż, kto wie... - rozmarzył się.

Na tyle blisko – odpowiedział w myślach zimno Kaneyasu - żebyś mógł przyrzynać Kirę i patrzeć przez palce, jak ja przyrzynam Zuzannę. Bo przecież wiesz... Nie możesz nie wiedzieć. Ale najwidoczniej taki układ ci odpowiada. Kira pokazała ci, co znaczy dobra technika... Tyle że obydwaj wiemy doskonale, że wyokrętowania mnie i Kiry nie da się ukryć przed załogą... Ona i ja za dużo wiemy, więc na pewno masz plan B, a raczej plan A, i wiesz, że będziesz nas musiał zabić... Z pewnością nie przyjdzie ci to łatwo... Ale przecież nie jesteś głupi i nie zaryzykujesz swojej kariery dla pary przybłędów...

– A o moim kapitanie mi nie mów. – Kotielnikow skrzywił się. – Ty będziesz dowodził wejściem Sen-toku do bazy. On tego nigdy nie robił. Teraz drugi cel... Myślę, że mogę ci powiedzieć o co chodzi. – Zajrzał komandorowi w oczy, ale znalazł tam tylko spokój i oczekiwanie. – Mamy wojnę. W Korei. Stalin się nie zaangażował. I ma w tym swoje racje. Zaangażowali się Chińczycy. Sytuacja zmienia się co chwila. Dlatego nie określono drugiego celu. Na razie komuniści z Północy gnają

Amerykanów jak burza. To pewnie za moment zwolni i front się ustabilizuje. Wtedy dostaniemy namiary drugiego celu. To będzie jakieś duże miasto po komunistycznej stronie. Rozumiesz? Dlatego musimy przycziąć się w bazie i poczekać. To nie jest takie głupie. Tak czy inaczej, trzeba mieć jakiś pomysł, z którego miejsca będziemy atakować. Spójrz! – Rozpostarł na biurku mapę w skali 1: 1 350 000. Zajmowała sporo miejsca i wielki admirał przez dłuższą chwilę walczył z szeleszczącym, niepokornym papierem: – Pekin! – pokazał wreszcie nóżką cyrkla. – Tu. Skąd byś ekspediował seirana?

Kaneyasu przysunął bliżej swoje krzeselko i chwilę przyglądał się mapie. Potem powiedział:

– Nie podpływałbym za blisko. Mamy do dyspozycji spory zasięg, a jak rozumiem, oba uderzenia mają być wyprowadzone w tym samym czasie? – Upewniwszy się, że rozumuje prawidłowo, pokazał punkt, w którym na Morzu Żółtym przecinały się 38 równoleżnik i 123 południk. – Stąd seirany będą miały po pięćset kilometrów. Zakładając, że w momencie uderzenia front ustali się na 38 równoleżniku. Ale tak można założyć, bo to w połowie. To godzina plus piętnaście minut na katapultowanie dwóch maszyn. Bomby uzbroi się odpowiednio wcześniej. Ludzie będą musieli się zwijać. Gorzej będzie z powrotem seiranów. Pilotów trzeba będzie podebrać z wody w biały dzień. Przecież nie uda im się wrócić w tej samej chwili, a my dla bezpieczeństwa będziemy musieli zmienić pozycję... Boję się, że wcześniej niż my znajdą ich rekiny. Na tych wodach o tej porze roku ich nie brakuje...

Kotielnikow pokiwał głową, potwierdzając trafność obaw komandora, ale w duchu był spokojny o pilotów. Kaneyasu oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, ale na jego rozkaz zamontowano w seiranach sprytne urządzenia. Pojemnik z bombą, w chwili gdy opuści swoje gniazdo w kadłubie samolotu, uruchomi zegarowy detonator nastawiony na 30 minut. Kilkukilogramowy ładunek plastiku rozwali seirana na tysiąc kawałków i na ziemię albo do morza spadną tylko żalosne strzępy, z których nikt nie odczyta historii projektu i przeznaczenia maszyny. W przypadku zaś, gdy potworna beczułka nie opuści samolotu w określonym czasie, nad którym trzeba się będzie jeszcze zastanowić, stanie się to samo...

– Czy Amerykanie podciągają jakieś większe siły? – przerwał mu niewesołe myśli Kaneyasu, a Kotielnikow postanowił podzielić się z Toru całą wiedzą, jaką dysponował o sytuacji w Korei.

– Zdaje się, że się wkurzyli porządnie. Poza tym cała rzecz odbywa się pod przykrywką Narodów Zjednoczonych, więc mogą pozwolić sobie na więcej. Ten Kim Ir Sen też nie jest w porządku, bo napadł na południową zonę. Możemy więc założyć, że to będzie mniej więcej w połowie.

Kaneyasu zatarł rękę, jak sprzedawca fajerwerków w przeddzień święta

Chichibu Yo-Matsuri¹⁵⁶.

- *Ji desssss* ! Bardzo dobrze! – przetłumaczył na angielski. – Seirany doleczą w godzinę. Trzeba będzie startować w nocy, grubo przed świtem. Uderzenia da się zgrać co do kilku minut. Sergei... – Po raz pierwszy zwrócił się do Kotielnikowa po imieniu, niezbyt udatnie je wymawiając. – Czy ty rozumiesz, że zginą tysiące ludzi. Może setki tysięcy? Jaką moc ma ta twoja bomba? Taką, jak tamte?

- Znacznie większą – odpowiedział spokojnie Kotielnikow i dodał zaczepnie: – A co? Tych Chińczyków i Koreańców będzie ci bardziej żal niż swoich? Kochaliście ich kiedy? Przytulaliście do piersi? Nie? To nie pieprz mi tu, że zginą. Jeszcze dziesięć lat temu cieszyłbyś się z takiej redukcji, bo byłoby więcej miejsca dla was... w waszych planach. – Zrobimy to, Toru! Świat się od tego nie zawali. Wytrzyma. Zobacysz. Szczaj na Chińczyków, a atmosfera się oczyści. Chciałbyś, żeby Amerykanie wiecznie tu rządili? Zobacz, co ci zrobili... i twoim bliskim. Może im się to należy.

Kaneyasu chciał jednak wiedzieć więcej.

- Czy Chiny mają bombę? – spytał.

- A chuj ci do tego?¹⁵⁷ – Kotielnikow wyszczerzył zęby. Zadał to ordynarne pytanie po rosyjsku, a Kaneyasu, domyślając się znaczenia, ale bez pewności, czy mówi to z pełnym przekonaniem, spróbował ostrożnie powtórzyć:

- A chuj ci do tego...

Planując marsz na południe, Kaneyasu wyliczył wszystko tak, by mogli zrobić precyzyjne podejście tuż przed świtem. Sen-toku miał doskonałe chrapy, które umożliwiały marsz na głębokości peryskopowej przy pełnej mocy obydwu diesli. Chrapy nie zostawiały dużego pianistego śladu i pokryte były udoskonaloną przez sowieckich techników, tłumiącą radarowe echo substancją. Wyremontowany, dopieszczony drobiazgowymi przeglądami, zaopatrzony w najlepsze paliwo i smary, fachowo obsługiwany okręt sprawował się znakomicie, jakby rozumiał, jaki wysiłek go czeka.

Sowieckiego dowódcę Kaneyasu traktował tak, jak swojego poprzedniego szturmana i wymagał od niego wiele, a aż dziwnie przypominający Shimadę budową i jowialnym stylem bycia kapitan pierwszej rangi Jakow Pasinski rozumiał nawet japońską komendę i bezbłędnie przekazywał ją załodze. Kaneyasu był zadowolony i z upływem czasu ostrożnie, po swojemu polubił zażywnego inteligentnego Żyda. Podczas tego marszu sowiecko-japońska załoga „dotarła się” ostatecznie, Kira zaś przestała czuć się potrzebna. Zamyślona snuła się po przedziałach, odprowadzana pożądanymi spojrzeniami. Nosiła znów swój czarny, bojowy kombinezon i chińskie pantofle na sznurkowej podeszwie.

Kierowani wspólnym impulsem, być może w przeczuciu tego, co miało nastąpić, Kaneyasu i Kira wzięli na pokład podarowane przez Kotielnikowa miecze. Nie informując admirała, przemycili je na okręt. Kaneyasu zawinął swój w rulon map, a Kira zapakowała swój jak wędkę i najzwyczajniej w świecie przemaszerowała przez posterunki strzegące trapu. Posterunkowi, przyzwyczajeni do jej obecności, uznali, że tak właśnie ma być.

– Oba stop! Nocny góra!

Kaneyasu wydawał komendy po angielsku, a Pasinski powtarzał je bezbłędnie po rosyjsku. Powoli zamierał basowy burdon diesli i nocny peryskop z oleistym młaśnięciem ruszył do góry. Komandor rozłożył uchwyty i lustrował horyzont. Na górze panował spokój, a ciepłe, czyste powietrze było przejrzyste.

– Mała naprzód!

Napęd elektryczny zamruczał cicho i przyjaźnie, jak wielki, przyczajony gdzieś na rufie okrętu senny tygrys. Radarzyści dokonujący namiarów na żelazne boje poprawili się w swoich fotelach. Akustycy docisnęli słuchawki do uszu, a sternicy zacisnęli dłonie na kołach sterowych. Kaneyasu rozstawił stopy i wypiął zadek, lustrując widnokrąg w pozycji, która nieodmiennie przypominała mu odbieranie kaprałskich kar.

Dane dotyczące stanu morza i pływów miał w głowie. Podając komendy

do stacji balastowych, wymagał teraz jedynie precyzji i dobrego wyważenia okrętu. Sowiecka załoga ćwiczyła to wielokrotnie, toteż Sen-toku wchodził do tunelu na idealnej na dzień 10 lipca głębokości.

– Światło!

W nocnym peryskopie pojawił się znany i miły sercu komandora widok pofalowanego sklepienia tunelu. Potem przestrzeń otworzyła się miękką ciemnością. Byli na wewnętrznej redzie. Teraz wiele zależało od jego wyczucia i doświadczeń.

– Stop. Mała wstecz. Pokładowi na górę!

Młóćąc wielkimi śrubami wodę, Sen-toku zwalniał bieg i jak zwykle, gdy podejście wykonywał Kaneyasu, zastygł dokładnie tuż obok pirsu, delikatnie trącając kadłubem oponowe odbijacze.

Gdy Kaneyasu znalazł się obok Kotielnikowa na pomoście i wciągnął nosem znajomy gorzkawy zapach wilgotnej zgnilizny i czegoś jeszcze, nieuchwytnego, czym przedtem nie pachniało tu powietrze, uświadomił sobie, że kocha tę wstrętą ciemną dziurę. Myślał o niej z rozrzewnieniem i czuł ciepło w sercu. Gdybyż można tu było spędzić resztę życia, nie oglądając innych ludzi i tylko od czasu do czasu wychodząc na górę...

Kotielnikow także podejrzliwie wciągał powietrze. Rozmiary bazy wyczuwał raczej instynktownie niż wzrokiem, bo światło pokładowych reflektorów wyławiało z mroku tylko krzątanicę wachtowych, cumujących prawie niewidoczny kadłub. Nowa maskująca powłoka była matowa.

– Kaneyasu... – Kotielnikow wciąż węszył podejrzliwie, pozwalając japońskiemu dowódcy działać. – Co tu tak... – chciał powiedzieć „cuchnie”, ale użył łagodniejszego słowa, jakby się bał obrazić demony strzegące tego dziwnego miejsca. – Co tu tak czuć w powietrzu?

– Śmierć – wyjaśnił z uśmiechem Kaneyasu, którego zdolność wyczuwania granicy dwóch światów jeszcze się wyostrzyła.

– Dużo śmierci. To jej główna baza. Teraz będzie pachnieć bardzo mocno, bo przywiozłeś jej nową nadzieję. Tam w środku - pokazał palcem na brzemienny zapłodnionymi już śmiercią seiranami pancerny hangar. –

A już nam zaczęła staruszka rdzewieć i przysypiać.

Kotielnikow rozumiał piąte przez dziesiąte, a to, co zrozumiał, nie wydawało mu się wcale śmieszne.

– Przestań pieprzyć. Powiedziałbyś lepiej, jak wystawić antenę poza tę jamę?

– Nic nie trzeba wystawiać – powiedział komandor. – Antena, i to porządna, jest tam, na górze. Złapiesz nawet Hawaje i Los Angeles. Na samej górze. Można tam wleźć, choć to zajmuje trochę czasu. Podłączyć się można tu, na końcu pirsu. Daj mi radiowców, to im pokażę. Zresztą co miałbym pokazywać? Taka skrzynka na słupku i rysunek białej błyskawicy. Sami znajdują, a ja chciałbym jednak iść na górę. Poćwiczyć... Pozwolisz mi?

– Uśmiechnął się prosząco i uprzedził dalsze pytania: – Antena to jedyna rzecz, o której wiem, gdzie jest. O reszcie nie mam zielonego pojęcia. Wiem jeszcze, gdzie jest bar, ale na ten twój ludziki, jak ich znam, sami natrafią. Magazyny części. Lazaret. Część mieszkalna. Umywalnie. Warsztaty. Jak będzie światło, wszystko będzie widać. – Wyciągnął dłoń, jakby chciał się obronić przed pretensjami. – Trzeba było wziąć starego Takemitsu. To jego baza. Ale ludziki szybko się zorientują, co i gdzie. Trzeba pewnie będzie pogrzebać w agregatach. Paliwa jest dość. Ja się na tym nie znam... Pozwól mi iść na górę! – Z niewiadomych powodów zdenerwował się i zaczął się spieszyć.

Kotielnikow przez chwilę bił się z myślami. Miał ochotę związać komandora sznurkiem i prowadząc go na tym sznurku okręconym wokół szyi, kazać mu pełnić rolę przewodnika, ale machnął ręką.

– Idź do diabła. Poradzimy sobie.

Zdziwił się jednak, widząc, że Kaneyasu wraca pod pokład.

– Pewno zapomniał okularów przeciwsłonecznych – zakpił w myślach i postanowił zająć się czymś konkretnym. Zaczął od obsztorcowania kapitana Pasinskiego. Kaneyasu, pokonując kolejne stopnie trapu, słyszał jego cichnące pohukiwania, choć nie rozumiał, o co Kotielnikow się piekli.

W centrali natknął się na Kirę. Nerwowo spoglądała na chronometry, porównując ich czas ze swoim zegarkiem. Zdziwiło go to. Kira rzadko się denerwowała. Poszedł do przedziału oficerskiego i wyjął miecz ze swojej koi, a po chwili namysłu zabrał również czyjąś awaryjną akumulatorową latarkę, wodoszczelną skrzyneczkę w białej bakelitowej obudowie. Gdy wracał, hołubiąc miecz, tym razem zawinięty w bawełnianą zasłonę, Kira znów spoglądała na zegarek. W kadłubie Sen-toku było cicho i Kaneyasu domyślił się, że większość ludzi wyszła na brzeg, a Kotielnikow pogonił ich do uruchomienia bazy. Pewno przyjdzie tu spędzić kilka dni, a może tygodni? – Uśmiechnął się do swoich myśli, do miecza i do Kiry.

– Weź swój i chodź – zaproponował. – Nie byłeś tam jeszcze. Zaraz będzie świt. Tam jest trochę miejsca. Możemy poćwiczyć. Chodź – zachęcił. – Co będziesz tu kisał? Kotielnikow rządzi na górze i pewnie zaraz zrobią światło i dokopią się do bufetu.

Kira popatrzyła na niego twardo spod rzęs.

– Zostanę tu... Ale ty – dodała łagodniej – idź. Idź. Dobrze ci zrobi świeże powietrze...

Gdy odwrócił się i poszedł w stronę trapu, znów sprawdziła czas i wsunęła stopę pod stół zakresowy, upewniając się, że jej miecz leży na podłodze. Blisko. W zasięgu ręki. I że wystarczy się schylić.

Na górze było głośno. Sen-toku był już porządnie oświetlony i Kaneyasu zatrzymał się na chwilę, by z satysfakcją, która była w tej sytuacji zupełnie nie na miejscu, popatrzeć na jego ogrom. Pomyślał sobie, że podobną radość odczuwa pewnie jakiś oszalały hodowca, któremu uda się wyhodować nadzwyczaj jadowitego skorpiona czy też największego ze znanych dotychczas grzechotników. Wielkość kojarzyła się z siłą. Pamiętał, że jako dziecko obserwował podczas wakacji tropiciela szerszeni. Wzywano go, gdy te groźne owady zabiły kolejną krowę albo użądliły kogoś tak, że lądował w szpitalu pod kroplówką. Specjalista ów łapał szerszenia, przywiązywał mu do odwłoka kawałek delikatnej białej wstążki i biegł potem przez trawę i krzaki, śledząc powiewającą w powietrzu białą flagę, wróżącą rodzinie

schwytanego owada zagładę.

Szerszeń bowiem, schwytny i wypuszczony, zawsze najkrótszą drogą wracał do gniazda. Jeśli tylko bieгло się dostatecznie szybko i nie spuszczało owada z oczu – co nie było trudne, bo ciężar wstążki i opór powietrza dostatecznie spowalniał jego lot – można było za nim nadążyć.

Oznakowany morderca sprowadzał zagładę na swoich pobratymców i królową, bo człowiek od szerszeni, gdy już wypatrzył gniazdo, nakładał ciężki wacik i maskę (wyglądającą prawie tak, jak *kobuto* do treningu *kendo*) i w kilka minut likwidował je ogniem i chemikaliami. Zazwyczaj pozwalał potem śledzącym z oddali akcję dzieciakom chwilę poprzyglądać się szczątkom, a jeśli miał dobry dzień, nadziewał na patyk nadpalone zwłoki największego z wojowników i podsuwał im przed zachwycone oczy nieszkodliwego, ale wciąż przeraźliwie wielkiego skrzydlatego mordercę¹⁵⁸.

Okręt wraz z całym swoim ogromem, jadowitą potęgą seiranowych odwłoków i sprawnością wyćwiczonej japońskimi metodami rosyjskiej załogi nie miał żadnego sensownego powodu dla swego monstrualnego, anachronicznego istnienia. A jednak wydawał się Kaneyasu wyjątkowo piękny i groźny tego właśnie dnia, przyczajony w spokojnej, oleistej, czarnej wodzie, mrużący cicho pomocniczymi agregatami, w swoim martwym teraz gnieździe, tuż przed świtem.

Żałując, że nie ma na nogach lżejszego obuwia, a na sobie czegoś bardziej sensownego od sukienego, ciężkiego munduru, komandor mijał swoich dotychczasowych podwładnych, poganianych do pracy okrzykami podoficerów. Wielu z nich uśmiechało się do niego. Chociaż ciemny, śmierdzący mchem i olejami, był to jednak ład i to ich zapewne cieszyło. Kaneyasu zaś cieszyło to, że za kilkanaście minut spojrzy w niebo. Nie martwiła go konieczność mozolnego pokonywania niezliczonych stopni na niezliczonych podestach. Po raz pierwszy w życiu uzmysłowił sobie aż tak dojmująco, że najważniejsza jest chwila. Może nie tyle chwila, co to, co się dzieje w ułamku sekundy właśnie teraz i właśnie tam, gdzie się jest. A w tym „tu i teraz” najważniejsze jest własne ciało i umysł i to, co one akurat

czują. Żadne inne sprawy się nie liczą. A już na pewno nie liczy się przeszłość, której przecież nie ma, ani przyszłość, której nie ma, bo jeszcze nie nadeszła. A zresztą. Nie wiadomo, czy w ogóle nadejdzie. Maszerując ochoczo po stopniach schodów, czując wypełniającą go energię, Kaneyasu powtórzył sobie na głos sentencję zdobiącą flagi wszystkich *dojo*, w których praktykuje się sztukę miecza:

– Rzeczywistość to jedyna prawda!

Rozpierała go energia i nagle, choć wiedział, że nie powinien, zaczął mieć plany. W tych planach zjawiała się dziecinna, naburmuszona buzia Zuzanny. Uświadomił sobie, że owe kilka godzin przed świtem w narożnym pokoju Kotelnikowa to nie była kwestia przypadku czy kaprysu losu. Zadumał się nad tym tak bardzo, że potknął się, a żelazny podest potwierdził jego brak uwagi głośnym, brzęknięciem.

Za chwilę wątle światło świtu sączące się z góry uwidoczniło kolejne stopnie na tyle, że Kaneyasu wyłączył swój lampion, z którym z daleka wyglądał pewnie jak drepczący po niekończących się schodach mały, zabawny demonek, którego nikt już się nie boi, a który dąży do siebie tylko znanego celu, uśmiechając się zagadkowo do swoich małych i nieważnych myśli. Nie wydawał się już sam sobie *onimikado*, gdyż pojął, że każdy człowiek, jeśli tylko otworzy się na wiedzę i cierpienie, może doskonale zrozumieć obydwie światy, a gdy tego dokona, nie da się pokonać ani ludziom, ani demonom. Bo zarówno ludzie, jak i demony pojmą, że wie o ich knowaniach i złych uczynkach zbyt wiele, by czegokolwiek albo kogokolwiek się lękać.

Zjawił się na górnej galerii jednocześnie ze świtem. Tak jak zawsze, usiadł pod skalistą ścianą, podpierając brodę opartymi na kolanach skrzyżowanymi przedramionami.

Tego dnia świat rodził się na nowo i Kaneyasu czuł, że wszystko zaczyna się od nowa. Nie wiedzieć czemu przypomniał mu się głupi tekst jednego z kolegów, który ocknąwszy się pierwszy po wyjątkowo wyczerpującej libacji, przygotował dla reszty ofiar pijaństwa pikantne, gorące śniadanie

z pysznymi marynatami i pieczoną w piecyku rybą. Gdy to, co zrobił, przywróciło im niewielką część wiary w sens dalszego istnienia, patrząc na nich triumfalnie i z czułością, podniósł do góry wielką szklanę cudownie zimnego, jasnego piwa i ogłosił:

– Panowie! Zaczynamy! Oto następna część naszego życia!

Gdy lipcowe słońce, tracąc sinoczerwony rumieniec, zaczęło gorliwie wznosić się ponad linię odległego horyzontu, Kaneyasu zrzucił kurtkę i prowizorycznie ulokował miecz za czarnym, oficerskim pasem. Potem zzuł ciężkie trzewiki i usiadł na zimnych kamieniach podestu meteorologicznego. Zrobił *shohatto* i także po raz pierwszy w życiu poczuł, że zrobił tę formę dobrze. Poczuł, że gdyby ktoś rzeczywiście siedział przed nim, *shohatto* zabiłoby go gładko i ostatecznie. Wstał i opierając obydwie dłonie na poręczy, powiedział głośno: – Dobrze! – uświadamiając sobie jednocześnie, że po raz pierwszy, bez nieszczerości i kompromisów pochwalił siebie. Być może był to najszczęśliwszy, a może lepiej – najbardziej świadomy moment w jego dotychczasowym życiu, bo Kaneyasu zaakceptował siebie takiego, jakim był.

Nie zdążył złożyć się do następnej formy, ponieważ z dołu dobiegł go hałas, krzyki i odgłosy wystrzałów. Z początku myślał, że to eksplodowała amunicja, ale im niżej zbiegał po schodach, przeskakując po kilka stopni, tym więcej pojmował.

Na dole było już jasno. Najwidoczniej ekipy Kotielnikowa uruchomiły zasilanie, a wtedy, gdy pododdziały rozpełzły się po bazie, by obudzić ją do życia, zaatakowali ci, którzy dotąd czaili się w ciemnościach. Gdy Kaneyasu, dysząc, znalazł się wreszcie na nabrzeżu, było po wszystkim. Rozprawa nie trwała długo. Ludzie Katsumoty i Shimady, uzbrojeni w broń krótką, pistolety maszynowe i przede wszystkim miecze, potrzebowali zaledwie minuty, by wymordować zaskoczonych, nieuzbrojonych Rosjan. Pocięte i postrzelane zwłoki leżały wszędzie, tam gdzie Rosjan zastał gwałtowny atak.

Kaneyasu obnażył miecz i szedł szybkim krokiem wzdłuż pirsu, nie

dowierzając własnym oczom. Ludzie z jego dawnej, japońskiej załogi Sentoku, których poznawał jak przez mgłę, rozstępowali się przed nim z szacunkiem, wycierając ostrza w bawełniane szmatki. Kotielnikow leżał przed samym trapez. Nie tyle leżał, co odpychając się kurczowo wyprężonymi stopami, kręcił się w wielkiej kałuży własnej krwi, jak pacnięty wachlarzem w locie szerszeń. Poziome, zamachowe, prowadzone z lewa na prawo cięcie otworzyło mu brzuch. Ból był widać tak potworny, że admirał nie był w stanie leżeć spokojnie. Z taką raną mógł żyć jeszcze kilka minut. Nie dłużej.

Kaneyasu schował miecz za siebie, jakby nie chciał, by admirał pomyślał, że podchodzi tylko po to, by skrócić mu mękę.

– Mosty na Jalu! – chrypiał Kotielnikow. – Jest drugi cel. Zbombarduj mosty na rzece Jalu!¹⁵⁹

Kaneyasu delikatnie odłożył miecz na beton, tak by nie uszkodzić głowni, i wystawiając stopę zatrzymał bolesny ruch krwawiącego bąka. Ujął tłukącą o pirs w męce głowę admirała w ciepłe, opiekuńcze dłonie i tak długo patrzył w oczy Kotielnikowa, aż ten zdołał powstrzymać się od wszelkich ruchów. Wtedy Kaneyasu poszukał jego wzroku, a gdy go znalazł i upewnił się, że Rosjanin go rozumie, powiedział:

– No i masz swoją śmiertelną wachtę. Spróbuj się uspokoić. To nie jest zabawa. To jest naprawdę. Ale nie bój się. To już niedługo potrwa.

Pomyślał chwilę, co byłoby najmniej bolesne i najszybsze. A potem podniósł miecz i podciągnawszy zadziwiająco lekkie ciało tak, by jego lewa stopa znalazła się tuż koło głowy admirała, rozwarł lewą dłoń, kierując palce ku zakrwawionemu betonowi, umieścił grzbiet miecza w zagłębieniu utworzonym przez poduszkę kciuka i szybko, z chrupnięciem przypominającym rozbicie skorupki jajka, przebił sztychem skroń Kotielnikowa. Schował miecz do pochwy, odłożył na beton i dopiero wtedy delikatnie zamknął powieki zabitego i szybko odwrócił wzrok, bo zastygła w męce twarz Kotielnikowa najwyraźniej układała się w maskę *shikami* [160](#). Kaneyasu pojął, że admirał nie był człowiekiem, tylko demonem i pojawił się w jego chorym życiu jak ów zły duch pająka z góry Katsuragi, by zarzucić nań pajęczynę i pogрузić go jeszcze bardziej w chorobę [161](#). Rad był, że choć dopiero teraz, po śmierci, to jednak objawiła mu się prawdziwa natura człowieka, którego nieomal pokochał. Ciężko podniósł się na nogi i już bardziej przytomnie rozejrzał wokoło. Ludzie z jego dawnej załogi, choć byli wśród nich także tacy, których sobie nie przypominał, zaczęli podchodzić do niego i kłaniać mu się. Odsuwając na bok przebranych za rybaków i poławiaczy wodorostów marynarzy Sen-toku, podszedł Katsumoto uzbrojony w *wakizashi* i wielki rewolwer. Sakamoto mimo pocerowanego, zniszczonego *samue* i pożółkłych od prania owijaczy, wyglądał jak herszt piratów. Za nim przeciskał się przez tłum zażywny Shimada.

– Nie spodziewałeś się nas, dowódco! – wysokim, radosnym głosem ni to spytał, ni to oświadczył pilot.

– Co? Niespodzianka. Wiedzieliśmy wszystko od dawna, dzięki Kirze, ale nie myśleliśmy, że wszystko ułoży się tak znakomicie – wtórował mu basem szturman. – Czaimy się tu w ciemnościach, jak pająki, od dwóch tygodni. No i masz. Musi nam pan opowiedzieć o wszystkich zmianach i modernizacjach... Na pewno udało się wam ulepszyć okręt...

– A seirany? – gorączkował się Katsuo. – Duże zmiany? Dasz radę nas poinstruować, jak uzbroić bomby... Z lataniem pewnie sobie poradzimy... Cholera, może szkoda, że wytlukliśmy wszystkich... Ale jak w takiej kotłowni poznać, czy tniesz kucharza, czy specjalistę? – Rozejrzał się dookoła, szukając aprobaty dla dowcipu, ale ludzie milczeli, odwracając wzrok.

Kaneyasu nie odpowiadał, wodząc po nich szklanym, nieobecny spojrzeniem.

– Gdzie jest Kira? – spytał i odwrócił się w stronę Sen-toku wiedziony instynktem, który od pewnego czasu nigdy go nie zawodził. Po trapie na prowizorycznie skleconych noszach wynoszono kolejne ciała. Kaneyasu podszedł bliżej i liczył. Nie było ich wielu we wnętrzu okrętu. Ledwie dwunastu. Zostali tam dyżurni poszczególnych sekcji i ekipa konserwująca akumulatory. Najwidoczniej wytłukła ich Kira, która znakomicie potrafiła używać miecza w ciasnych wnętrzach. Kaneyasu wiedział, że tak jest, bo dowiedział się o tym kiedyś od jej ojca. Kidera mówił wtedy: „To bardzo ważne, żeby ćwiczyć w ograniczonej przestrzeni. Niech pan to sobie zapamięta. Wyrabia się w ten sposób lepszą świadomość przestrzeni, w której walczymy. Po pewnym czasie doskonale wiemy, gdzie ona się kończy i poza który milimetr tej przestrzeni nie wolno nam wyjść. Każę dużo tak ćwiczyć małej Ki”.

Na końcu pogrzebowego orszaku pojawiła się też „mała Ki”, dziwnie drobna i krucha wobec ogromu bryły okrętu.

– Trzeba będzie coś zrobić z ciałami – zafrasował się Shimada. – Nie możemy ich chyba tak zostawić? – On, Sakamoto i oficerowie patrzyli na Kaneyasu, oczekując jego decyzji, ale komandor wzruszył tylko ramionami.

– Może po prostu wrzucimy ich do wody – zaproponował szturman. – Kraby się nimi zajmą. – Popatrzył wokoło dumny ze swojej pomysłowości.

– Nie będę wychodzić w morze w towarzystwie trupów – zaprotestowała Kira, podchodząc do nich. – Tu powinno być mnóstwo beczek po paliwie i smarach. Trzeba ich zalutować w tych beczkach. Coś im się w końcu od

nas należy. Potem się ich poustawia... To raptem kilka godzin pracy.

Kaneyasu kiwał głową, akceptując pomysł Kiry. Jemu też nie podobała się wizja wzdętych trupów pływających w ciemności i ocierających się o siebie bokami. Shimada wyznaczył więc ludzi i za chwilę wewnątrz góry poczęło błyskać upiornym światłem palników i ożywiło się znów koszmarną krzątaniną.

– A właśnie? – zapytał Sakamoto, gdy zorientował się, że zostali tylko we czwórkę. – Właśnie. Kiedy chcecie wypływać?

– Popatrzył po twarzach, ale pierwszy odpowiedział Kaneyasu:

– Jak najszybciej...

– Też tak myślę – przytaknął Sakamoto. – Czyli jak tylko skończymy...

– A tak... przy okazji... – zagadnął Kaneyasu z krzywym uśmiechem. – Dokąd chcecie płynąć i... po co?

– Jak to po co? – Katsuo zdawał się nie rozumieć pytania.

– Mamy trzy seirany? Tak?

Kaneyasu, ponieważ pytanie było skierowane do niego, kiwnął potwierdzająco głową. – I trzy gotowe bomby? Tak. No więc plan narzuca się sam. Rozdamy te prezenty sprawiedliwie. Myślę, że najbardziej oczywistym celem są Hawaje. Tam się wszystko zaczęło i tam niech się skończy, ale to w drugiej kolejności. Najpierw musimy dostarczyć dwa pierwsze prezenty...

– Czyli? – uprzejmie zainteresował się Kaneyasu, a pilot wyjaśniał tonem tak spokojnym, jakby chodziło o adresy restauracji:

– Pekin i Władywostok. Wtedy uderzenie na Hawaje będzie wyglądało jak sowiecki rewanz...

– Dobrze pomyślane – przyznał Kaneyasu. – W takim razie kończcie i ruszajcie jak najszybciej.

– Jak to: ruszajcie? – wtrącił szturman. – A pan, komandorze?

– Ja tu zostaję – odpowiedział spokojnie i odwrócił się, by jak najszybciej pójść na górę. Sakamoto chwycił go za ramię, a Kira drgnęła, bo знаła Kaneyasu. Jednak komandor zatrzymał się posłusznie i pokornie odwrócił,

gotów na kolejne pytania.

– Musisz dowodzić. Nie damy rady bez ciebie. Bez instrukcji. To są inne silniki... poza tym bomby... procedury uzbrojenia. Nie mamy o tym pojęcia...

Kira wysunęła się naprzód i uważnie, rozumiejącym wzrokiem popatrzyła na Toru. Nie unikał jej spojrzenia. Potem przeniosła wzrok na wzburzone twarze szturmana i pilota.

– Kaneyasu wie tylko tyle, ile miał wiedzieć. Ja mam kopie wszystkich instrukcji i procedur. Przetłumaczę wam. Poradzimy sobie.

Kaneyasu uśmiechnął się z wdzięcznością i zwrócił się do swoich dawnych oficerów.

– Wiecie, że seirany mogą tylko wystartować? Nie wiecie? Lądowania nie przewidziano...

Sakamoto nie zmieszał jego sarkastyczny ton.

– To nie ma znaczenia. Sam polecę jako pierwszy! Ochotnicy się znajdują. Ale ty musisz płynąć z nami!

Kaneyasu podziękował spojrzeniem Kirze i zamierzał ruszyć w swoją drogę, lecz Sakamoto znów, tym razem brutalnie, przytrzymał go za ramię. Puścił je jednak równie szybko, gdy poczuł na szyi płaz miecza. Nie słyszał nawet, kiedy Kira go wyjęła.

– Daj mu spokój. Niech idzie. Idź, Toru. Nikt ci nie będzie przeszkadzał – obiecała i Kaneyasu usłyszał w tym ton dawnej czułości.

* * *

Na górze było już bardzo jasno i bardzo pogodnie. Wiatr ucichł, a pachnące morzem powietrze było przejrzyste i klarowne. Usiadł wygodnie pod skalną ścianą i położył odwrócone dłonie na kolanach. Potem powoli zamknął oczy i znów je otworzył. To było wspaniałe i nigdy nie czuł się tak dobrze, toteż nie zmieniał pozycji i przesiedział nieruchomo kilka godzin. Nic go nie bolało ani nie dręczyło, pozwolił więc umysłowi kołysać

się swobodnie. W ciągu tych kilku godzin pojął istotę wielu rzeczy, dotąd mglistych i niejasnych. Pojął też, że zbyt pochopnie i zbyt wiele razy przekraczał granicę dwóch światów i że najwyższy czas zdecydować, po której stronie chciałby zamieszkać.

Podjęcie decyzji było na tyle zajmujące, że nawet nie podniósł głowy, gdy usłyszał odległe z początku, a potem coraz bliższe i potężniejsze unisono silników.

Wysoko ponad jego głową w kabine superfortecy lecącej na czele formacji dwunastu B-29 pułkownik Harold Darrell trącił w ramię swego drugiego pilota, pokazując mu wzrokiem coś w dole. Legenda przestał na chwilę żuć gumę (niedawno rzucił palenie) i popatrzył we wskazanym kierunku. Na olbrzymim perłowoszarym talerzu oceanu zauważył dwa czarno-zielone, ostro zakończone kamyki. Zupełnie takie, z tej wysokości, jak najmniejsze kamienie skalnego ogrodu, tkwiące w porządnie zagrabionym piasku. Taki ogród pokazywał mu ostatnio Harold na dziedzińcu jednej z tokijskich świątyń.

– Nie do wiary. Miałem cię za rozsądniejszego człowieka. Chcesz w to trafić? – Legenda, czyli major Forrest Fisher, był zachwycony tym, że znów może latać u boku przyjaciela i że znów jest wojna.

– Niech się martwią radarzysta i bombardier – uspokoił go Darrell. – Wysokość? – upewnił się.

– 15 tysięcy stóp – zameldował Fisher.

– No to możemy zaczynać. Zawiadom pozostałe załogi...

Pierwsza tysięcfuntowa bomba uderzyła w morze tuż koło skalnej ściany, gdy Sen-toku był już w czterech piątach swojej długości w tunelu. Potężna fala rzuciła kadłub na strop i okręt, wzniosłszy rufę, uderzył dziobem w muliste dno. Następne, zrzucane z coraz większą precyzją bomby trafiały już w zbocze, powodując wewnętrzny obwał wielu tysięcy ton skały. Sklepienie tunelu przez pewien czas przyjmowało te ciosy, ale potem obsunęło się, przygniatając studwudziestodwumetrowy kadłub do dna.

Kolejne bomby spowodowały obsypanie się luźniejszych mas bazaltowej skały, które wielometrową warstwą naparły na górny pokład, zasypując wszystkie włazy. Sen-toku, poskrzypując głucho wiązaniami kadłuba, pogrążał się coraz głębiej w grząskie podłoże. Wreszcie, jęknąwszy niczym żywe stworzenie, znieruchomiał.

Jeszcze przez kilkanaście dni przez warstwy pokruszonej skały przebijało światło pokładowego penetratora, wabiąc ryby i kalmary. Potem zgasło.

Epilog, Władystok, wrzesień 1950

Często tak bywa. Lato jest nieszczególne, a wrzesień... Bardzo proszę. Ciepły i piękny. Taki właśnie, jak lubiła. Ulokowała się na przewróconej rybackiej łodzi w takiej odległości od morza, że drobne fale obmywały jej bosc stopy. To nawet nie były fale i nie miały swoich pienistych grzbietów. Morze ledwie się poruszało i można było obserwować wszystko, co działo się pod powierzchnią. Trudno jej było wygodnie się usadowić. To już ósmy miesiąc. Gdy przeglądała się w lustrze, nawet się sobie podobała. Brzuszek był bardzo wystający, ale niewielki, tak jakby to, co się miało urodzić, było wyraziste, ale drobniutkie.

Nie miała wiadomości od admirała podejrzanie długo. Może jego misja się przedłużała? A może... – Przez chwilę odpędzała natarczywą złą myśl, ale ta zła myśl wracała.

To nie byłoby takie najgorsze...

Nie była tego oczywiście pewna, ale intuicja podpowiadała jej, że gdyby Kotielnikow szczęśliwie powrócił z rejsu, trudno by mu było zrozumieć, dlaczego dziecko (nieważne, czy to będzie syn, czy córka) ma rysy japońskiego komandora...

Westchnęła i z żalem popatrzyła na morze. Trzeba wracać. A w ogóle to nie powinna już chodzić tak daleko sama. Wstała ciężko i nie wkładając sandałków, poszła ostrożnie brzegiem, tak by woda dosięgała jej stóp za

każdym razem, gdy drobna fala wpełzała na piasek.

Ładne, regularne wgłębienia, ślady jej krótkich, ostrożnych kroków wypełniały się wodą, ale ich kontur pozostał widoczny nawet wtedy, gdy skręciwszy w stronę miasta, znikła za najbliższym nawisem stromego brzegu.

Słowo od autora

Chciałbym wierzyć, że wrócą kiedyś czasy, w których powieść – owoc fikcji – może wpłynąć na życiowe, więc najzupełniej realne wybory jej czytelników.

Wielu spośród czytelników Verne'a – ludzi sławnych i ludzi nikomu nieznanym – przyznaje, że ich życie byłoby inne, gdyby nie lektura jego powieści. Zapewne niewielu z nich wiedziało (czy wie), że główny bohater *20 000 mil podmorskiej żeglugi*, kapitan Nemo, hinduski arystokrata i dysydent walczący tak bezwzględnie z okupującymi Indie Brytyjczykami, w pierwszej wersji miał być... Polakiem – przegranym styczniowym powstańcem, mszczącym narodowe i osobiste krzywdy oraz tropiącym okręty carskiej floty po wszystkich morzach i oceanach. Jednak również w drugiej połowie XIX wieku wydawcy myśleli głównie o rynku, a w carskiej Rosji powieści Verne'a miały wielkie wzięcie. Wydawca Verne'a – Hetzel zażądał zmiany Nemo-Polaka, na Nemo-Hindusa, uznając najwidoczniej, że straty na obrażonym rynku angielskim będą nieznaczące w porównaniu do zysków na rynku rosyjskim.

Trylogia morska Verne'a (*Dzieci kapitana Granta*, *20000 mil podmorskiej żeglugi*, *Tajemnicza wyspa*) swą fenomenalną poczytność (Verne pod względem liczby sprzedanych dotychczas egzemplarzy plasuje się na trzecim miejscu, zaraz za Biblią i dziełami Lenina) zawdzięcza prezentacji wspaniałych idei: walki o wolność, altruizmu, bezinteresowności, bezgranicznego poświęcenia dla dobra bliźniego... Ale już na starcie, jeszcze na etapie rękopisu, wydana na przełomie 1869/1870

roku powieść *20 000 mil podmorskiej żeglugi* wikła się w brudne mechanizmy polityki europejskiej i światowej. Mechanizmy zmuszające pisarza i jego wydawcę do nieładnego kompromisu. W kompromisie tym interes wygrywa z ideą... Verne zapewne wyczuwał małość swego zgody na polecenie wydawcy, bo wymógł na nim choć to, że w salonie „Nautilusa”, dowodzonego przez hinduskiego Nemo, wisi portret Kościuszki z podpisem „Finis Poloniae!”

Nie bez kozery bohaterem *Wysp Szerszenia* jest Anty-Nemo, człowiek ściśnięty w okowach brudnej politycznej rzeczywistości tak mocno, że zwraca światu – niczym w paroksyzmie niepowstrzymanych wymiotów – wszystko, w co wierzył i do czego dążył. O tym właśnie – o nieumiejętności walki człowieka o samego siebie, o swoje ideały – są trzy moje ostatnie powieści: *Złoty pociąg*, *Czerwony Byk*, *Wyspy Szerszenia*, połączone w całość losami bohaterów, historycznym czasem i geograficzną lokalizacją.

Upewniam się, pisząc te zdania, że myślałem właśnie o tym: o kompromisie, który – nie kolidując z ideą wolności wszystkich zniewolonych – odbiera człowiekowi ostatecznie możliwość wyzwolenia siebie.

Mirostaw Bujko Warszawa, wrzesień 2007

MIROŚLAW M. BUJKO

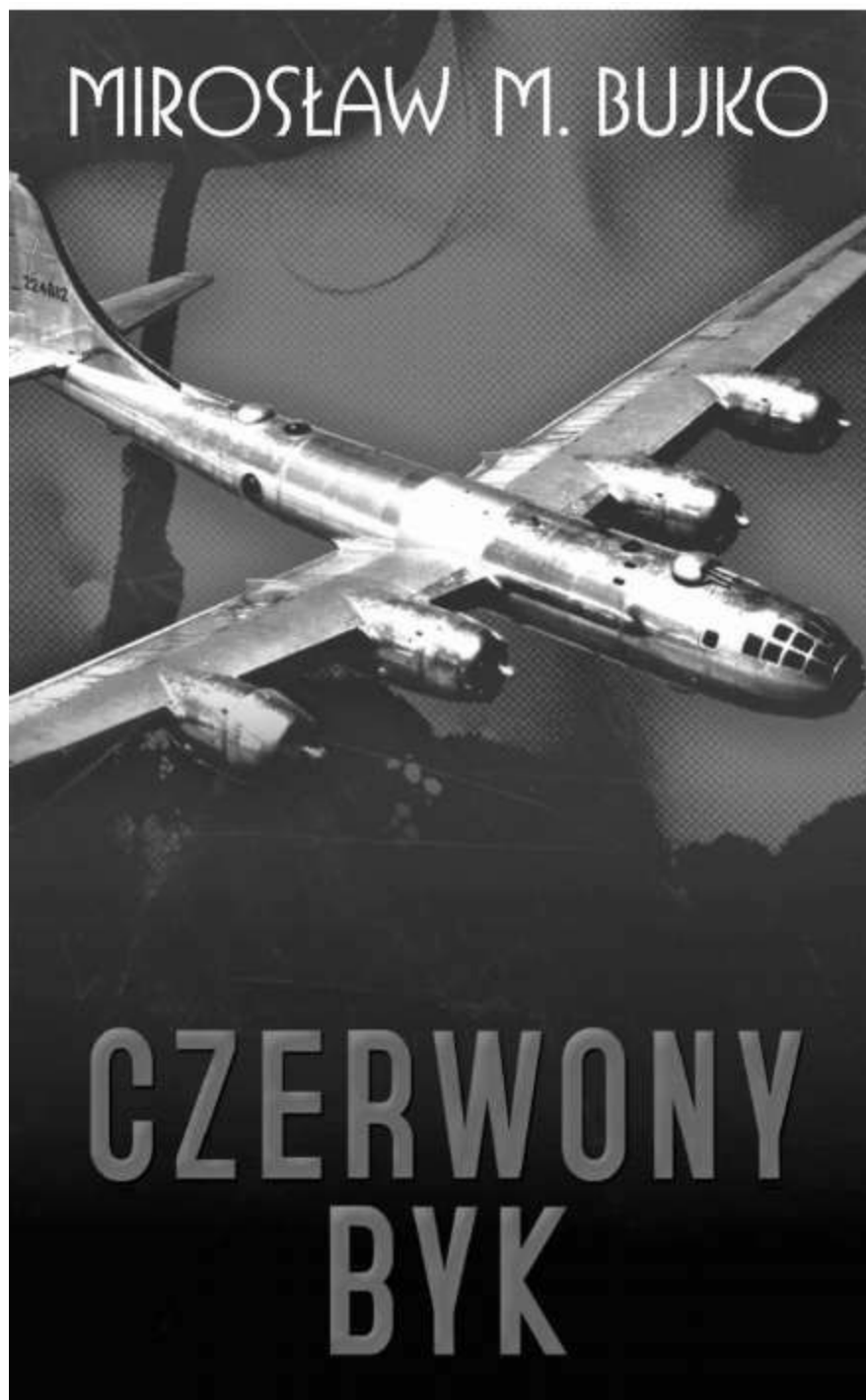


ZŁOTY POCIĄG

Powieść sensacyjno-polityczno-historyczna. Akcja zaczyna się w Rosji, tuż po rewolucji. Główny „bohater” to pociąg wyładowany carskim złotem, które bolszewicy usiłują wywieźć na wschód. O jego przejęciu marzą Biali, Brytyjczycy, Francuzi, Japończycy i Amerykanie. Wszystko – miłość, walka, nienawiść, zdrada i śmierć – rozgrywa się w trakcie dwuletniej podróży „wzdłuż 55 równoleżnika”, od Moskwy do Władywostoku. Obok

postaci „pożyczonych” z historii: Lenina, Dzierżyńskiego, Kołczaka, Jarosława Haszka, występują tu postacie całkowicie fikcyjne – agentki i agenci obcych wywiadów.

To przygodowa powieść ze świetnie zrekonstruowanym tłem historycznym, napisana sprawnym językiem, skłaniająca do refleksji nad niszczącą żądzą władzy i złota.



Czerwony Byk to druga po *Złotym pociągu* powieść sensacyjno-historyczna Mirosława Bujko.

Wśród barwnych postaci amerykańskich lotników, enkawudzystów i szpiegów pojawiają się też bohaterowie znani z pierwszej części cyklu – Iwan Każedub i japoński agent Kidera. Jest rok 1944. Amerykańska superforteca – bombowiec B-29, uszkodzona w czasie nalotu na japońską stalownię, ląduje awaryjnie we Władywostoku. Rosjanie przyjmują lotników nad wyraz gościnnie, nie żałują wódki i luksusowych prostytutek. Ale za nic nie chcą ich wypuścić...

To opowieść o największym plagiacie w dziejach, o przyjaźni i zniewoleniu, a także o samolocie – fascynującym dziele techniki, które budzi nie mniejsze namiętności niż władza i pieniądze. Powieść obfituje w zaskakujące zwroty akcji i brawurowe opisy wschodnich sztuk walki.

Cytat z *20000 mil podmorskiej żeglugi* Jules'a Verne'a w przekładzie Bolesława Kielskiego (Poznań 1997).

Cytat z *Heiho Kadensho* Munenoriego Yagyu w przekładzie Witolda Nowakowskiego (Bydgoszcz 2002).

Konsultacja japonistyczna i koreanistyczna: Stanisław Ryu-Matsumoto

Konsultacja w zakresie sztuk walki: Radosław Januszkiewicz

Redaktor prowadzący: Dariusz Sośnicki

Redakcja: Anna Adamiak

Korekta: Alicja Chylińska, Elżbieta Jaroszuk

Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt okładki i stron tytułowych:

© Brightness Creative Studio / Kede Maruda, Konrad Kielczykowski

Fotografia autora: © Mikołaj Dzierżanowski

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A., Kraków
ISBN 978-83-7414-397-4

1 Tereny, na których odbywają się konkury i toczy się życie rodzinne fok i lwów morskich.

2 Kawalerowie (ros.).

3 Region położony w północno-wschodniej części półwyspu.

4 Oczywiście! (jap.).

5 Stoi, załatwione (jap.).

6 Po zrzućeniu bomby na Hiroszimę premier ponagłał szefa przedstawi

7 Carl Spaatz – dowódca Strategicznych Sił Powietrznych.

8 James Byrnes – w lipcu 1945 mianowany sekretarzem stanu.

9 Lauris Norstad – szef sztabu Henry'ego Hapa Arnolda, dowódcy Sił Powietrznych Wojsk Lądowych.

10 W tym czasie Amerykanie szacowali, że będą w stanie produkować dwie bomby miesięcznie, od września 1945 już trzy, jednak do końca 1947 roku wyprodukowano „zaledwie” 13 sztuk.

11 Odpowiednik polskiego „odpowiadać za nie swoje grzechy”.

12 *Hinomaru*: japońska flaga – słoneczny krąg.

13 Udoskonalone działka typ 96.

14 Udoskonalone działo okrętowe typ 11 kalibru 140 mm, takie jak stosowane na japońskich pancernikach typu „Nagato”.

15 Pierwszy oficer, porucznik.

16 Okręt podwodny specjalnego przeznaczenia.

[17](#) Komandor Tatsunosuke Ariizumi, dowódca dywizjonu złożonego z dwóch bliźniaczych jednostek Sen-toku I-400, I-401, identycznych z okrętem dowodzonym przez Kaneyasu.

[18](#) Chorąży.

[19](#) Japońskie *shusse* oznacza dosłownie „wyjście w świat”.

[20](#) Jedna z odmian japońskiego teatru, w którym aktor widoczny na scenie ożywia misternie wykonaną marionetkę trzykrotnie mniejszą od niego.

[21](#) *Okuden* (jap.) – sekretne techniki na najwyższych poziomach sztuk walki, niedostępne adeptom i niższym poziomom.

[22](#) Naczelnik morskich sił (ros.). 58

[23](#) Konstruktor „maleństw”, nie dysponując zagraniczną konstrukcją, którą można by skopiować, oparł swój projekt na „Minodze” z 1905 roku, najlepszej konstrukcji swego mistrza i nauczyciela, niejakiego Bubnego.

[24](#) Wyczynu tego dokonał superszpieg z wywiadu wojskowego Lew Maniewicz.

[25](#) Pasażerski liniowiec „Wilhelm Gustloff” (25 484 t) i o połowę mniejszy „General Steuben” przerobiony na krążownik pomocniczy (14 600 t).

[26](#) Bez statków bander neutralnych.

[27](#) Jej celem było przełamanie blokady Sewastopola.

[28](#) Uszakow był twórcą potęgi Floty Czarnomorskiej. Dokonujemy tu na użytek fabuły powieściowej małego nadużycia, bowiem obraz skierowany został do dystrybucji dopiero w 1953 roku.

[29](#) Kotielnikow najwidoczniej znał wersję rozpowszechnianą przez NKWD. W rzeczywistości Marinesko w Nowy Rok zabalował z kolegami

w fińskiej restauracji hotelowej i pijany zaczął rozrabiać. Właścicielka, Szwedka, by go udobruchać, zaprosiła go do siebie „na wódeczkę”, która przedłużyła się do 3 stycznia.

[30](#) Krążownik liniowy „Alaska” osiągnął gotowość bojową w 1944 roku. Był w służbie tylko do 1947.

[31](#) W rzeczywistości Stalin, przywiązany do idei budowy ciężkich okrętów, nie zrezygnował ze swych dziwacznych planów i nakazał prace projektowe. Samych krążowników liniowych Projektu 82 miano zbudować do 1946 cztery a do końca pierwszej dziesięcioletki – siedem. Nie dość na tym. Stalin chciał także budowy pancerników najzupełniej anachronicznego projektu 24. Osobiście doglądał postępu prac projektowych i później budowy serii „82”. Jednak żaden z okrętów nie został ukończony. Wszystkie złomowano przed wodowaniem. Gigantyczny plan rozbudowy floty zakładał na dziesięć lat niewyobrażalny budżet ponad 200 miliardów ówczesnych rubli!

[32](#) To autentyczny przypadek. Ówczesny sowiecki przemysł okrętowy nie był w stanie zbudować okrętu tej klasy. Postanowiono więc zwodować lotniskowiec *STALIN* na papierze, zakładając, że fałszywej informacji i tak nikt nie będzie w stanie zweryfikować, bo Zachód wierzył we wszystko, co wydostało się z Sowietów. Papierowy *STALIN* zwodowany został 4 października 1937 roku w stoczni w Nikołajewie nad Morzem Czarnym i szybko trafił na łamy specjalistycznej prasy angielskiej i francuskiej. Na ślady nieistniejącej jednostki można natrafić jeszcze w 1946! W *Warships of the World Victory* pojawia się lotniskowiec ponoć zwodowany w 1939 roku dla odmiany w stoczni w Leningradzie, o wyporności 12 tys. ton, szybkości 30 węzłów, uzbrojony w 12 dział przeciwlotniczych, z planowanymi 50 samolotami pokładowymi.

[33](#) Typ VII seria 703 średnich okrętów – główna broń Donitza w bitwie o Atlantyk.

[34](#) ASR – skrót od *Angriffssehrohr* (niem.).

[35](#) Futon – japońska pikowana kołdra.

[36](#) Popularna japońska zupa ze sfermentowanej soi i wodorostów.

[37](#) Seria niezwykle udanych parowozów dostarczanych Kolejom Japońskim przez amerykańskie zakłady Baldwina.

[38](#) *Koiguchi* (jap.) – wejście do pochwy miecza.

[39](#) Samolot myśliwski Mitsubishi A6M Reisen, znany w Japonii jako „myśliwiec zero”. Zero według kalendarza japońskiego – końcowa cyfra roku, w którym samolot skierowano do produkcji seryjnej.

[40](#) Tradycyjny sposób zażywania kąpieli na siedząco w podgrzewanej paleniskiem wannie. Z tej samej bardzo gorącej wody korzysta kilka osób, obmywszy się uprzednio dokładnie w zimnej wodzie.

[41](#) Każdy ma swoje sposoby (ros.).

[42](#) O sekowaniu przez stalinowski aparat konstruktorów lotniczych napisano w *Czerwonym Byku* – poprzedniej powieści autora. Przez „Towarzysza T” należy rozumieć Andrieja N. Tupolewa, który w *Czerwonym Byku* kryje się pod nazwiskiem Tumiłow.

[43](#) To właśnie okręt serii „C” (konstrukcja zrealizowana przy współudziale Pieriegudowa) odniósł najbardziej błyskotliwy sukces wojny podwodnej, zatapiając na Bałtyku „Wilhelma Gustloff’a”.

[44](#) Atlantyckie U-booty typu VII były najliczniej produkowanymi okrętami faszystowskich Niemiec.

[45](#) V-80 zniszczony przez Niemców na Helu w marcu 1945 rozwijał pod wodą fantastyczną prędkość ponad 28 węzłów! Taką prędkość osiągnięto wiele lat później, stosując napęd atomowy.

[46](#) Aleksiej Antipin, późniejszy szef CKB (Centralnego Biura Konstrukcyjnego) nr 18, które stworzyło projekt 617 – pierwszy w miarę udany prototyp z napędem alternatywnym.

[47](#) I niewiele się mylił. Pierwszą jednostkę z tym napędem przekazano do prób państwowych dopiero w 1955 roku, a próby, choć pomyślne, wykazały moc nierozwiązywalnych problemów eksploatacyjnych.

[48](#) Okręty Specjalnego Przeznaczenia.

[49](#) Przypuszczenia Kotielnikowa były uzasadnione. Pierwsza bomba ukończona dopiero w 1949 roku RDS-1, wyglądała jak choinkowa, niemal kulista bombka z doczepionymi statecznikami. Kolejna „działająca jak należy” bomba RDS-3, zrzucona z Tu-4 w 1951 roku, była już całkiem smukła i ważyła niecałe 1200 kg. O znacznym opóźnieniu w pracach nad konstrukcją mniejszą i lżejszą, przeznaczoną specjalnie do opisywanego projektu, admirał w tym czasie nie mógł jeszcze wiedzieć.

[50](#) *Wozduszno-rieaktywnyj dwigatel kompriesornyj* (ros.).

[51](#) Obok nazw poszczególnych wytwórni (Mitsubishi, Aichi, Nakajima etc.) i oficjalnych oznaczeń numeracyjnych typu (np. Morski typ 0) Japończycy nadawali poszczególnym rodzajom samolotów nazwy własne zgrupowane odpowiednio dla każdego rodzaju w kręgi tematyczne (np. kwiaty – specjalne samoloty szturmowe i samobójcze, światło – nocne samoloty myśliwskie, grzmot i błyskawica – przechwytyjące samoloty myśliwskie). Seiran, czyli górską mgłą, czyli Aichi M6A1, reprezentował średnie i ciężkie bombowce i klasyfikowano go w kręgu tematycznym związanym z górami. Amerykanie, by usystematyzować dużą liczbę różnych rodzajów japońskich samolotów, w 1942 zaczęli im nadawać kodowe nazwy w postaci imion. Na przykład Zeke dla słynnego Mitsubishi Zero. (Zeke to popularne imię w stanie Tennessee).

[52](#) Licencyjny DB 601 (kupiony od Niemców jeszcze w 1937 roku) służył

pierwotnie do napędu myśliwca firmy Kawasaki Ki-61. Rozwojowe wersje silnika napędzały także bombowiec nurkujący D4Y1 Suisei (Judy).

[53](#) 20 sierpnia, w cztery dni po zawieszeniu broni, decydujący o losach Sen-toku i seiranów admirał Ariizumi, wypełniając rozkazy ze sztabu, nakazał zniszczenie maszyn. Seirany z I-401 zostały katapultowane z unieruchomionymi silnikami, a maszyny z I-400 po prostu wytoczono z hangaru i zepchnięto za burtę. Amerykanie do końca wojny nie wiedzieli niczego o samolocie, czego dowodem jest to, że nie nadali mu nawet nazwy kodowej. Wywiad sowiecki okazał się w tym przypadku o wiele sprawniejszy.

[54](#) Kitygawa Utamaro (1753-1806) – mistrz portretu kobiecego.

[55](#) Panzerkampfvagen III – jeden z najliczniej produkowanych przez hitlerowców czołgów II wojny.

[56](#) Popularna ballada marynarska (tłum. M. Bujko).

[57](#) W systemie harmonii funkcyjnej opóźnienie to osiągnięcie docelowych składników akordu poprzez inne, pośrednie, leżące wyżej składniki. Zboczenia modulacyjne uatrakcyjniają przebieg harmoniczny, kierując harmonię pozornie w stronę innej tonacji.

[58](#) Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Kronsztadu – powołany przez zbuntowanych kronsztadzkich marynarzy.

[59](#) Palacz (ros.).

[60](#) Panie admirale (ros.).

[61](#) Początkowy zacier w procesie powstawania sake.

[62](#) Powołany z rezerwy na okazję kampanii w Chinach schorowany generał Matsui Iwane.

[63](#) Wuj cesarza.

[64](#) Według kodeksu bushido *bushi-no Nasake*, czyli „czułość wojownika”, zaświadcza, że „najdzielniejsi czują najtkliwiej, a zdolni do miłości są najodważniejsi”.

[65](#) Najmniej winny w całej sprawie Matsui (wszak zakazał swoim dowódcom gwałtów) stał się w sprawie Nankinu kozłem ofiarnym i zawisł po wojnie na szubienicy. Przed śmiercią powiedział: „Sądzę, że do tragedii doprowadzili młodzi, porywczy ludzie, działający bez namysłu i bez opamiętania” (cyt. za Hayashi S., Cook A.D. Kogun, *The Japanese Army in the Pacific*. Greenwood Press, 1958).

[66](#) Miecz samurajski w regulaminowej, wojskowej oprawie.

[67](#) Autentyczne.

[68](#) Gra polegająca na wyrzucaniu i łapaniu uplecionego z wikliny kółka na wiklinowy kijek.

[69](#) Jeleń (jap.).

[70](#) Statek transportujący towary między portami krajowymi.

[71](#) Ostra polewka rybna, którą w tradycyjnej koreańskiej kuchni przyrządza się zwykle na orłorybie – pysznej i dającej bardzo esencjonalny wywar rybnie z rodziny okoniokształtnych, łowionej wzdłuż wybrzeży subtropiku.

[72](#) Popularny ostry koreański sos łączący nutę ryżowo-sojową z ostrą nutą chili.

[73](#) Mimo obietnic składanych światu i komitetowi olimpijskiemu Koreańczycy jedzą psy również dziś. A sklepy, takie jak opisywany, można spotkać na każdej ulicy.

[74](#) Wodny stwór – rodzaj japońskiego satyra czy wodnika, złośliwego, ale łatwowiernego i prostolinijnego, czasem szalonego, lecz przynoszącego

szczęście.

[75](#) Posiedzenia Międzynarodowego Trybunału Wojskowego dla Dalekiego Wschodu (tzw. Trybunału Tokijskiego) odbywały się od maja 1946 do grudnia 1948). Powstał 19 stycznia 1946 w Tokio. Państwami-założycielami były: Australia, Chiny, Francja, Holandia, Kanada, Nowa Zelandia, USA, Wielka Brytania i ZSRR. Później do porozumienia dołączyły Indie i Filipiny.

[76](#) Autentyczne.

[77](#) Zamieć (ros.).

[78](#) *Shihan* (jap.) – najbardziej zaawansowany uczeń mistrza (*soke*), który w opinii tegoż ma prawo prowadzić już własne zajęcia.

[79](#) *Kaiden* (jap.) – licencja ukończenia nauki w danej szkole sztuki walki.

[80](#) *Shinai* (jap.) – amortyzujący uderzenie miecz sporządzony z bambusowych listew, taki, jaki dziś służy do treningu kendo.

[81](#) *Sundome* (jap.) – technika zatrzymania cięcia lub pchnięcia o centymetry od ciała partnera-przeciwnika.

[82](#) *Hakama* (jap.) – tradycyjne spódnico-spodnie japońskie.

[83](#) *Montsuki* (jap.) – kimonowego kroju bluza z czarnego jedwabiu, o szerokich rękawach z naszytymi monami – czyli herbami rodowymi.

[84](#) *Iwanami* (jap.) – gwałtowna fala.

[85](#) W sztuce miecza faza oddechu jest bardzo ważna, bo szermierz biorący oddech jest wtedy najsłabszy. Największą energią dysponuje szermierz „na wydechu”, dlatego wszelkie rozstrzygające działania powinny mieć miejsce w tej fazie. Osobną sprawą – rzecz jasna – jest umiejętność „zamaskowania” oddechu, tak by przeciwnik nie wiedział,

w której fazie jest szermierz.

[86](#) Szerokie rękawy bluzy przewiązywano taśmą, by nie zaplątała się w nie blisko trzydziestocentymetrowa rękojeść miecza.

[87](#) Miecz po lewej stronie siedzącego sygnalizował gotowość do walki

[88](#) Pozorowana walka, podczas której dochodzi do kontaktu ćwiczebnej broni z bronią partnera.

[89](#) „Cztery” po japońsku ma wymowę taką samą jak „śmierć”, choć wyrazy te zapisuje się innymi znakami.

[90](#) Miecz japoński ma także formy stosowne dla skrytobójców i szpiegów. Kidera posługiwał się *shikomi-zue*, czyli mieczem ukrytym w lasce.

[91](#) Jedną z form treningu miecza: cięcie zwiniętej i moczonej przez kilka godzin maty grubości i konsystencji ludzkiej szyi.

[92](#) Losy pociągu i jego pasażerów opisałem w powieści *Złoty pociąg*, W.A.B. 2006.

[93](#) *Obi* (jap.) – szarfa długości 3,5-4 m, za którą wsuwa się miecz w pochwie.

[94](#) *Gi* (jap.) – bluza japońskiego stroju.

[95](#) *Wakizashi* (jap.) – miecz do boku, krótszy z pary mieczy, które wolno było nosić lepiej urodzonym samurajom.

[96](#) *Tsuba* (jap.) – jelec tarczowy, garda miecza japońskiego.

[97](#) Listek – wada na powierzchni skuwanej stali powstająca na skutek niepełnego „sklejenia” warstw w procesie kucia na gorąco.

[98](#) Sygnatura sławnego miecznika z okresu Nanbokucho – ok. połowy XIV wieku.

[99](#) *Giri* (jap.) – dług honorowy, który przechodzi na kolejne pokolenia,

a jego niesplacenie powoduje utratę twarzy.

[100](#) Forma w *kenjutsu*, w której atakowanym przez stojącego jest siedzący. Przed ripostą i zejściem z linii ciosu ten siedzący patrzy na ukos do góry na swego oponenta. Spojrzenie w *kenjutsu*, które musi być precyzyjnie „zogniskowane” na nieprzyjacielu, nazywa się *metsuke*.

[101](#) Gra znaczeń. Imię Toru brzmi podobnie jak czasownik oznaczający: trzymać się mocno i nie ustępować.

[102](#) *Bokken* (jap.) – drewniany miecz treningowy zwykle z białego lub czerwonego dębu japońskiego.

[103](#) Działoczniny – przewidziane instrukcją czynności przy obsłudze armaty.

[104](#) Od generała Akashi Motojiro. O znajomości Kidery z generałem piszę w pierwszym tomie trylogii – w *Złotym pociągu* (W.A.B., 2006).

[105](#) Daruma – mnich buddyjski, który zapoczątkował zen w Japonii.

[106](#) *Yu kata* (jap.) – zwykle bawełniany, najczęściej wzorzysty szlafrok krojony jak kimono ze „skrzydlatymi” rękawami, wykładany zawsze do dyspozycji gości hotelowych.

[107](#) *Kesa* (jap.) – plisy kimona krzyżujące się na piersiach.

[108](#) Kabel – 140 metrów.

[109](#) Typ KD-1, seria 35 okrętów „eskadowych” wzorowanych na zdobytych na Niemcach w czasie I wojny U-bootach U-125 i U-139.

[110](#) Żeby wejść do sali ćwiczeń sztuk walki, trzeba sięść i poczekać na pozwolenie – dobry zwyczaj, który zapobiegł zapewne wielu wypadkom.

[111](#) *Sensei* (jap.) – nauczyciel, mistrz, dosłownie „ten, który pokazuje drogę”.

[112](#) Ceremonia w sztuce miecza rozpoczynająca i kończąca ćwiczenie *kata*.

[113](#) *Yokogumo* (jap.) – pierwsze *kata* poziomu *hasegawa*, nazwa pochodzi od nazwiska twórcy.

[114](#) Strudzina – rowek, wyłobienie na płazku głowni, mające znaczenie zarówno konstrukcyjne (wzmacnia strukturę głowni i redukuje jej ciężar), jak i estetyczne (zdobi ją).

[115](#) *Kiri-oroshi* (jap.) – proste cięcie znad głowy.

[116](#) Tzw. *hakama sabaki* – czyli „rozbicie” prawą dłonią nogawek japońskich spódnicospodni, tak by pięknie ułożyły się na podłodze i nie przeszkadzały przy wykonywaniu *kata*.

[117](#) *Semeru* (jap.) – parcie, naciskanie na wroga, tak, by nie dać mu możliwości przeciwdziałania.

[118](#) Republic P-47, ciężki myśliwiec bombardujący, w ostatnich tygodniach przed kapitulacją niepodzielnie królował w powietrzu nad Japonią.

[119](#) Mogę jeszcze jednego? (ang.).

[120](#) Rosjanie budowali te nieudane okręty aż do 1953 roku, nie mając czym zastąpić ich w linii.

[121](#) Numery taktyczne *Sen-toku* kończyły się na 403. Ze względu na konieczność zmylenia wywiadu amerykańskiego *Sen-toku* komandora Kaneyasu nosił numer taktyczny I-405.

[122](#) Dla każdego chłopca w rodzinie powiewa oddzielny proporczyk przedstawiający karpia – największy dla najstarszego, a dla młodszych coraz mniejsze. Karp stał się symbolem Święta Chłopców, ponieważ Japończycy uznają go za rybę o niezwykłej werwie, tak pełną energii

i niespożytej siły, że może płynąć pod prąd nawet szybko płynących strumieni i wodospadów. I właśnie ze względu na niezwykłą determinację tej ryby w pokonywaniu przeszkód reprezentuje ona odwagę i zdolność osiągania wysoko postawionych celów. Karp jest uważany za symbol najbardziej do tego odpowiedni, gdyż jego postawa życiowa może stanowić dla młodych mężczyzn zachętę do pokonywania wszelkich trudności i działań, stanowiąc przykład ambicji, wytrwałości i sposobu osiągania sukcesów.

[123](#) Te cztery prototypowe jednostki stały się wzorem dla wodowanej sukcesywnie od czerwca 1944 roku transportowej serii Ha (typ SS). Były to niewielkie, czterdziestoczworometrowe okręty, których konstrukcja umożliwiała transport w obrębie kadłuba sztywnego aż 60 ton ładunku. Podział kadłuba tylko na trzy wodoszczelne przedziały umożliwiał także przewożenie i załadunek materiałów o stosunkowo dużych gabarytach. Podwodne transportowce miały mizerne osiągi zarówno na wodzie, jak i pod wodą, ale ich zasięg 4000 mil w zupełności wystarczał do zadań transportowych. Okręty obsadzano 21-osobową załogą, a ich jedyne uzbrojenie stanowiło dwudziestopięciomilimetrowe działko.

[124](#) Jeden z największych ówczesnie stosowanych kalibrów dział okrętowych – 406 milimetrów. Działa o takim właśnie kalibrze chciał mieć na swoich pancernikach Stalin.

[125](#) Dla porządku przypominamy Czytelnikowi to, co już wyjaśniliśmy w poprzednich rozdziałach. *Onimikado* to zawodowy likwidator demonów. Jednak specyfika jego szczególnego zawodu sprawia, że wciąż przekracza granice dwóch światów i po latach jest na poły demonem, na poły człowiekiem, istotą równie niebezpieczną zarówno po tej, jak i po tamtej stronie.

[126](#) Tsuji Getan – mistrz szermierki uczący na przełomie XVII i XVIII wieku, w dojrzałych latach tak właśnie się nosił.

[127](#) *Koku* (jap.) – miara pojemności. Wynagrodzenie samuraja obliczano jako ekwiwalent *koku* ryżu.

[128](#) *Suisei D4Y*, kometa (jap.) – w kodzie alianckim *Judy*, jeden z najładniejszych samolotów bojowych II wojny.

[129](#) *Sa* – japońskie słówko wyrażające zrozumienie lub brak komentarza: „a więc dobrze” lub „no nie wiem”.

[130](#) Dla porównania amerykański typ „*Tench*” z 1944 roku – oceaniczny duży okręt – przy dziesięciu węzłach osiągał 12 tysięcy mil.

[131](#) Admirala Yamamoto zestrzelono w czasie lotu inspekcyjnego w kwietniu 1943.

[132](#) Pochylnie przykrywano namiotami i drewnianymi ścianami, a personel stoczniowy wraz z rodzinami był starannie selekcionowany. Stoczniovcem nie wolno było zdradzać, czy budują pancernik, czy okręt podwodny.

[133](#) Urządzenie do pomiaru prędkości okrętu w oparciu o zasadę pomiaru ciśnienia i szybkości przepływającej wokół kadłuba wody.

[134](#) To znaczy z częściowo zalanymi zbiornikami balastowymi, w przeciwieństwie do tzw. wynurzenia pełnego, w którym balasty są wyszasowane, czyli opróżnione przy pomocy sprężonego powietrza z wody zaburtowej.

[135](#) Dla porównania torpedy amerykańskie z końca wojny – MK 14 były wolniejsze o 10 węzłów, miały mniejszy zasięg, a ich ładunek wybuchowy miał prawie dwukrotnie mniejszą masę. Torpeda japońska nie dawała atakowanemu okrętowi zbyt wiele czasu na unik, a jej siła rażenia była zdecydowanie większa.

[136](#) Jeden z japońskich sylabariuszy.

[137](#) Podobnymi systemami dysponowali w ostatnim okresie wojny także Amerykanie.

[138](#) Admirał Zinowij Roźdiestwienski, ten, który dowodził flotą rosyjską w bitwie pod Cuszimą, był – według świadectw współczesnych – chorobliwym pedantem uprzykrzającym życie marynarzom.

[139](#) Kotelnikow się nie mylił, bo w tym czasie powstawały już zarówno w Związku Radzieckim, jak i w USA neokonstrukcje będące w istocie twórczymi rozwinięciami niemieckiego typu XXI – w Rosji był to Whiskey, a w USA typ Tang.

[140](#) *Seiza* (jap.) – pozycja w siadzie na podwiniętych pod siebie, płasko przyłożonych do podłogi stopach.

[141](#) *Fuchi* (jap.) – pierścień rękojeści.

[142](#) *Tsuka gashira* (jap.) – kapturek rękojeści.

[143](#) *Menuki* (jap.) – ozdobne elementy pod opłotem rękojeści po obu jej stronach.

[144](#) *Shinken* (jap.) – kuty, stalowy miecz.

[145](#) Na chama (ros.).

[146](#) Pancerniki typu A, których budowę rozpoczęto przed wojną, nigdy nie zostały ukończone. Złomowano je ostatecznie w 1947 roku.

[147](#) O tych wydarzeniach traktuje drugi tom trylogii *Czerwony Byk*.

[148](#) Gdy dziś podróżuje się po Japonii, widać to doskonale. Pola golfowe pomieszczone przy autostradach odgrodzone są od jezdni wysokimi siatkami, ale czasami piłki przelatują przez nie, spadając przed maską samochodu.

[149](#) SCAP instructions.

[150](#) Oficer Intelligence Service.

[151](#) US Air Force in Korea – Amerykańskie Siły Powietrzne w Korei.

[152](#) Far East Air Force – Siły Lotnicze Dalekiego Wschodu.

[153](#) Generał John B. Coulter – zastępca głównodowodzącego VIII Armii w czasie wojny w Korei.

[154](#) Pierwszym modelom bomb jądrowych nadano ten specyficzny skrót pochodzący od słów: *Rossija dietajet sama*.

[155](#) *Han* (jap.) – zespół zadaniowy liczący od 5 do 10 osób. We współczesnej Japonii *han* to podstawa organizacji życia społecznego i struktury zarządzania w firmach.

[156](#) W nocy z 2 na 3 grudnia. Towarzysz ą mu pokazy sztucznych ogni i przedstawienia teatralne.

[157](#) W języku rosyjskim zdanie to brzmiało: *A chuj tiebia eto intieresujet?*

[158](#) Szerszeń japoński osiąga nawet kilka centymetrów długości i jest wyjątkowo groźnym stworzeniem.

[159](#) Te same, które później, w październiku bombardowali Amerykanie, by odciąć chińskich ochotników.

[160](#) Teatralna maska *shikami*, co oznacza dosłownie „posepny grymas”, przedstawia diabła albo złego ducha.

[161](#) Popularny motyw z klasycznej sztuki *Pająk ziemny*.